

ALICE  
I  
OLIVER



CHARLES BOCK



**Charles Bock**

**ALICE I OLIVER**

przełożył Jędrzej Polak



*Dla Diany Joy Colbert. Dla Lily Bock*

Część I  
Leczenie wstępne

Oto i ona: Alice Culvert, nieco wyższa od innych, o krągłych, niżby chciała, kształtach. Tego rześkiego poranka czwartej środy listopada szła Zachodnią Trzynastą Ulicą. Niosła przypięte z przodu niemowlę. Przeładowany plecak uwierał ją w ramiona. Buddyjskie paciorki w kształcie czaszek, którymi owinęła nadgarstek, grzechotały do rytmu kroków. Piła kawę z papierowego kubka. Po karku spływał jej pot. Raz po raz rozwiązywał się szalik. Wymiała sięgającymi do kolan botkami z delikatnej skóry, ze skomplikowanymi sprzączkami. Patrzyła prosto przed siebie, skupiając się na niewidzialnym celu. Ale zwalniała. Jakiś biznesmen wyminął ją w ostatniej chwili. Pochyliła się, zakaszła: atak kaszlu, po którym w ustach zostawała zakrwawiona flegma.

To się nie dzieje. Plany na Święto Dziękczynienia w Vermoncie były zapięte na ostatni guzik. Matka wariowała z radości, że zobaczy Jagódkę. Cały długi weekend u mamy z orzechowym ciastem i darmową całodobową opieką nad dzieckiem przebijał to świństwo, które tym razem złapała. Musi przez to przebrnąć, udawać, że od tygodnia nie brakuje jej werwy, że nie pulsują jej skronie. Na tym polega dorosłość, kwiatuszku. Nie poddajesz się. Nie spóźni się na spotkanie z Oliverem w wypożyczalni aut. Zimą Alice łapała kaszel jak na zamówienie. Przez całe popołudnie obracała w ustach tabletkę do ssania (albo leniwie trzymała ją pod językiem, zapewniając sobie niekończący się powrót do zdrowia) podczas szarpaniny z ostatnimi przygotowaniami (wkładania podkoszulków do plecaka, upewniania się, że w torbie dziecka są wilgotne chusteczki). Gdy wyszła z mieszkania i zeszła po schodach, wszystko było super. Aż do ataku kaszlu: trzech odruchów wymiotnych o nasilającej się gwałtowności. Klejnot flegmy – w pastelowym odcieniu różowej perły – był pewnie śliną z farbą do włosów numer pięć. Paskudnym osadem po wiśniowej tabletkę na kaszel.

Wypożyczalnia samochodów znajdowała się na obrzeżach West Village, zaledwie dziesięć minut spacerem, nawet jeśli niesiesz dziecko. Droga zajęła Alice pół godziny. Przed wypożyczalnią czekał na nią rdzawy taurus z otwartymi drzwiami kierowcy. Oliver stał z boku, upewnając się, że agent w garniturze dał mu wszystkie niezbędne dokumenty.

- Jezu – powiedział. – Kochanie. – Dotknął jej czoła. – Wszystko w porządku?
- Możesz zabrać Doe? – zapytała w odpowiedzi.

Potem wydostali się z miejskiego młyna wprost w sunące zderzak w zderzak piekło zapychające każdy cal jezdni od Bridgeport do New Haven. Oliver ogrzewał nawiewem przednie fotele. Nieważne, iloma kocami owijała się Alice, dziwne zimne poty nie chciały ustąpić. Czują się coraz gorzej, przemarznięta do szpiku kości. Zbliżali się do zachodniej granicy Massachusetts i zwolnili na którejś z tych pustawych wiejskich międzystanówek z wielkimi, gołymi i ciemnymi drzewami po obu stronach drogi.

- Mógłbyś się zatrzymać? – poprosiła drżącym głosem.

Oliver skręcił na pierwszy przydrożny parking oświetlony dziwnie rozdętymi, upiornymi światłami. „To nic” – powtarzała sobie raz po raz. Opuściła oparcie fotela do końca. Jej ciało podążało za sprężystym upadkiem oparcia, jakby jej wewnętrzne zębatki i zapadki również dostały pozwolenie, by ugiąć się pod ciężarem. Wrażenie to było czymś więcej niż tylko psychicznym czy fizycznym poczuciem wyczerpania: opadła i leżała nieruchomo na rozłożonym fotelu; zamknęła oczy.

Przez pewien czas wydawało jej się, że obchodzi dom, który jest ciałem, i w każdym pokoju włącza za sobą światło, jedno po drugim.

Niejasno zdała sobie sprawę, że maleńkie rączki i nóżki w dziecięcym foteliku zmieniają

pozycję, że Jagódka, zadowolona, oddycha przez sen. Wiedziała również, że mąż zmusza się do zachowania spokoju, gdy zapytał:

– *Favorito?*

Zamiast mu odpowiedzieć, skalibrowała się na powrót, skupiając się na pulsowaniu za oczami, ciężkim unoszeniu się i opadaniu klatki piersiowej i wysiłku potrzebnym do nabrania powietrza. Zmęczenie nasiliło się tak bardzo, że aż *bolalo*.

– W porządku.

Usłyszała najczulszy szept.

Pochyliła głowę w stronę pocałunku.

Lekko sine usta Alice wyglądały niepokojąco.

– To mogą być początki anemii. Albo coś innego.

Doktor Glenn umilkł. Zamiast dać do zrozumienia, czym może być „to coś innego”, kontynuował badanie, przesuwając mały stalowy dysk wzdłuż górnej części pleców Alice z niezachwianą koncentracją, precyzyjnymi ruchami, jakby umiejscowienie membrany stetoskopu w złym miejscu mogło wywołać eksplozję.

– Głęboki oddech – polecił. – Tak głęboki, jak tylko się da.

Zerkała raz po raz na różową maź (owiniętą w chusteczkę, zamkniętą w plastikowej torebce na drugie śniadanie, ignorowaną na stoliczku z lekarskim instrumentarium). Doktor zapisał coś w karcie i wyjął oliwki stetoskopu z uszu. Alice znała go od dzieciństwa. Od czasu gdy po raz ostatni odwiedziła jego gabinet, niemal zupełnie wyłysiał i zostało mu tylko kilka białych bawełnianych kępek wokół uszu. W kąciu ust miał półksiężyc musztardy po lunchu. Dawniej wchodził do gabinetu i mierzył do niej z palca jak z pistoletu. Dopiero gdy Alice została nastolatką, zaczęła go lekceważyć jako lekkoducha, który wie, że jest osłem, a mimo to zachowuje się jak osioł, który w rzeczy samej *postanowił* poświęcić życie flirtowaniu z matkami w średnim wieku i wpychaniu termometrów w zadki ich pociech. Życie nie umierać w maleńkim hipisowskim miasteczku.

Podniósł głowę znad karty Alice.

– Nie podoba mi się twoja temperatura ani bardzo niskie ciśnienie. Nie przy takich snych wargach. I to, co mówisz o braku apetytu i siły. – Poważny jak protestancki pastor, pełen uprzejmości, podniósł wzrok i upewnił się, że został zrozumiany. – Zrobimy ci prześwietlenie płuc. – A do pielęgniarki rzucił: – Pobierz krew.

– Co się dzieje? – zapytała Alice. Poczula strach, opadł jej podbródek. – Coś nie tak?

Minuty ciągnęły się w nieskończoność, a potem znikwały, czas wysysała czarna dziura. W końcu miły starszy doktor wrócił, wszedłszy do gabinetu – jakby to sobie obmyślił – ruszył prosto do Alice i ukląkł przed nią. Położył dłoń na jej kolanie i spojrzał prosto w oczy. Na jego twarzy malował się smutek.

– Musimy natychmiast przewieźć cię do szpitala.

Oliver Culvert siedział przy kozetce i tulił dziecko do piersi. Kołysał je – dzieci wyczuwają napięcie, Alice powtarzała mu to tysiące razy. Nie należał do ludzi sentymentalnych, odrzucała go sacharynowa słodycz piosenek pop i kartek z życzeniami, a demonstracyjne okazywanie uczuć sprawiało, że zastygał jak przerażona jaszczurka. Naturalną dla niego reakcją na większość sytuacji było pełne zażenowania pytanie: „Jak powinienem się czuć?”.

Przyglądał się wielkim oczom żony, widział strach na jej twarzy.

Doktor mówił dalej, rzucając jedno straszne zdanie po drugim: „Jesteś bardzo chora, to poważne niebezpieczeństwo, liczba białych krwinek...”.

W brzuchu Olivera rozlewały się mdłości rozpoznania. Miał tylko jedną myśl: „Nie”.

A potem zrobił, co mógł, żeby się opanować, i poprosił, żeby lekarz zwolnił i jeśli może,

wytłumaczył wszystko jeszcze raz. Przez gabinet przemieszczały się tabuny rejestratorek i pielęgniarek. Oliver był na tyle przytomny, żeby się cofnąć i pozwolić tym ludziom pracować. Oparł się plecami o ścianę, upewnił się, że mocno trzyma Doe, że nic jej nie grozi.

Przynajmniej tyle mógł zrobić: zająć się drobnymi sprawami.

Tylko że drobne sprawy wcale nie okazywały się proste.

Wsadzenie Alice do wynajętego samochodu i zawieszenie jej do najbliższego szpitala nie wchodziło w grę – tak to wyglądało.

– Czy rozumiesz – doktor Glenn zwrócił się do Alice – że masz gorączkę wywołaną neutropenią?

Załamane oczy spojrzały na lekarza, jakby ten oszalał.

– Oczywiście, że nie rozumiem – odpowiedziała Alice.

– Chodzi o to – wyjaśnił doktor – że w tej chwili twój organizm nie potrafi się przed niczym bronić.

Powiedziała Oliverowi, żeby nie zwracał na to uwagi.

– ...zawieź nas z powrotem do miasta, tam mamy opiekę medyczną, która pomoże nam we wszystkim.

W odpowiedzi doktor dał Oliverowi do zrozumienia, że jego zdaniem Alice nie dojedzie żywa na Manhattan.

– Tak czy siak musimy wezwać karetkę – zastanawiał się głośno Oliver. – Czy ci sami sanitariusze nie mogliby zająć się Alice w drodze powrotnej do miasta?

Oliver zaproponował, że pokryje koszty transportu, a potem kiwał głową podczas biurokratycznego przesłuchania przez lekarza: czy wie, że transport nie dotyczy nagłego wypadku, tylko będzie zaplanowanym użyciem karetki, którego prawdopodobnie nie pokryje ubezpieczenie, bo nie są to koszty leczenia w sieci szpitali. Nie wiedział ani nie obchodziło go, co to wszystko znaczy.

Ale naciskał dalej. Prowadzono rozmowy telefoniczne. Lecz nawet gdyby w którymś ze szpitali na Manhattanie, należącym do sieci ubezpieczenia Alice, było wolne łóżko (nie było, lecz nawet gdyby było...), to i tak żaden z tych oddziałów nie przyjąłby pacjentki niemal bez białych krwinek po sześciu godzinach podróży.

Choć to szambo wydawało się nie do przejścia, Oliver – jak większość jego kolegów programistów i dawnych znajomych ze studiów dyplomowych – poświęcił olbrzymią część dorosłego życia na poszukiwania logicznych następstw, na ewolucyjny taniec prób i błędów prowadzący do rozwiązania problemu. Choć czuł potrzebę wydarcia się na kogoś albo walnięcia w jakąś twardą powierzchnię, rozumiał też, że każda przyczyna, dla której coś nie działa, dostarcza więcej informacji, stanowi mały fragment układanki, której obrzeża i granice stopniowo się wypełniają, tworząc propozycję rozwiązania.

„To się dzieje naprawdę – mówił sobie w duchu. – Nieważne, czy to wygląda surrealistycznie, melodramatycznie, czy jakkolwiek, to się dzieje naprawdę”.

Dwaj mężczyźni w ciemnych uniformach ustawiali wózek z noszami, upewniając się, że nogi Alice leżą wyżej od głowy, żeby umożliwić dopływ krwi do mózgu.

– Tak na wszelki wypadek – wyjaśniał masywniejszy z sanitariuszy, do którego obowiązków należały najwyraźniej rozmowy z pacjentami. – To zapobiega obrzękowi płuc.

„Czy w grę wchodzi taka ewentualność?” – chciał zapytać Oliver, ale pytanie uwięzło mu w gardle. Odpowiedź wydawała się oczywista, gdy spojrzało się na czarne stabilizujące pasy zapinane ciasno na piersi żony; drugi zestaw przytrzymał jej uda. W gabinecie tłoczyło się teraz mnóstwo poważnych ludzi. Sanitariusze odliczyli wspólnie: „Raz, dwa, trzy”, Alice uniosła głowę, szukając czegoś wzrokiem. Miała bladą twarz, zaczerwienione, załamane

oczy, które w niego wbiła.

Nigdy nie zapomni tych skurczów: Alice trawiona bólem tak wszechogarniającym, że przerażała. Ta świetnie radząca sobie dorosła osoba – kobieta, którą kochał tak bardzo, że miłość pulsowała w każdym zakamarku serca – cofała się do swych ssaczych początków, wydając z siebie potworne pierwotne wrzaski, w które angażowała się całą sobą, cała stając się wyciem. Oliver wprawdzie odchodził od zmysłów i czuł ekstremalne zażenowanie, ale chłonał ból emanujący z zaciśniętej dłoni żony i odpowiadał delikatnym uściskiem. Oddychał razem z nią, a skurcze trwały, i Alice na komendę parła z całej siły (przyj-przyj-przyj, oddech, przyjm-przyj-przyj), a on wpatrywał się między jej rozłożone nogi, nie odwracając za cholerę wzroku nawet na sekundę. Dlaczego nikt mu nie powiedział, że będzie musiał patrzeć i zachować przytomność umysłu, dlaczego sam musiał to wykombinować? Dopiero gdy skurcz dobiegał końca, gdy dziecko było już bliżej, choć nie widział jeszcze główki, gdy mieli minutę czy coś koło tego, żeby odzyskać siły i przygotować się do następnego parcia, dopiero wtedy spoglądał w twarz żony i wciąż licząc, wciąż oddychając równo z nią, ocierał dłonią pot z jej czoła i powtarzał, jaka jest piękna i jak wspaniale się spisuje.

Teraz jej uścisk nie miażdżył mu palców. Złapała go za rękaw kurtki, ściskając szew między kciukiem a małym palcem. Oliver trzymał na piersi ciepły tobołek z ich córeczką. Pochylił się. Alice od niedawna zaczęła tracić ciężową pyzatość policzków i zaokrąglenie podbródka.

– Nie mogę uwierzyć, jak bardzo chcę się z tobą kochać – szepnął.

Wykaszła śmiech, na co liczył. Ale wtedy sanitariusze unieśli ją, musiała puścić jego rękaw. Odwróciła ku niemu twarz z wielkimi oczami.

Zasłaniając córeczce widok mamy wywożonej na noszach, Oliver zawołał:

– O nic się nie martw! – Kołysząc dziecko przy piersi, obiecał: – Pojedziemy tuż za wami. Jesteśmy z tobą.

Żona odjeżdżała w głąb korytarza ku karetki, coraz dalej od niego.

– Jesteśmy w twoim sercu! – krzyczał za nią. – Będziemy pierwsi, nie martw się! – Jego głos brzmiał niemal radośnie: – Bardzo cię kochamy. JA BARDZO CIĘ KOCHAM.

Przypadkowe wirujące płatki śniegu dryfowały przez ciemność za małym podwójnym okienkiem. Skupiła się na jednym z nich: porwał go wiatr, uderzył nim o szybę. Nie potrafiła odgadnąć, jak długo tu jest, jak długo już jadą. Nie słyszała syreny, ale wnosząc z tego, jak podskakiwali na nierównościach, domyślała się, że karetka jechała dosyć szybko. Jeśli się skupi wystarczająco mocno, zablokuje przerywane piski rejestrujące oznaki jej życia, swędzenie w połowie tułowia wywołane cienkim tanim kocykiem. Nie mogła jednak całkiem zignorować ciężaru. Ciężaru sadowiącego się na jej piersi. Umiała to sobie wyobrazić. Lekki, ale nieustępliwy. Czarna skrzyneczka z czarną wstążką związaną w wielką opadającą czarną kokardę.

– Wiem, jakie to przerażające – powiedział doktor Glenn. Wokół oczu miał głębokie zmarszczki. – Ale przez cokolwiek będziesz musiała przejść, przejdiesz przez to lepiej, jeśli nauczysz się żyć, nie znając wszystkich odpowiedzi. Pacjenci, którzy potrafią zaakceptować niepewność, lepiej sobie radzą w takich sytuacjach.

Ambulans wyjechał z zakrętu i zwolnił, zmieniła się częstotliwość jego drgań. To, że dotarli na miejsce, wydawało się ważne: coś się kończy, coś się zaczyna. To teraz jest stanem przejściowym. Te chwile przenoszą ją do fazy, w której się dowie, co się dzieje z jej ciałem. Silnik ucichł, karetka znieruchomiła. Przez długie sekundy Alice wyglądała w ciemność przez dwa podłużne okienka, była sama z ciemnością, czarną skrzynką i oczekiwaniem. Potem otworzyły się drzwi, noc wpłynęła w szczelinę, chłodne powietrze zaszczypało ją w policzki.



Rampę oświetlało kilka pomarańczowych żarówek. Gdy sanitariusze ustawiali nosze na betonowym podjeździe, kaskada płatków opadała na ich wełniane czapki, grube zimowe kurtki, rękawice i ocieplacze. Alice zauważyła, że mur odległego parkingu był zabezpieczony gumowymi odbojnikami na wypadek, gdyby karetka nie zdążyła zwolnić.

Nosze obróciły się, jechały krzywo. Toczoło je po nierównym asfalcie. Za pudełkowatymi budynkami szpitala Alice widziała ciemne warstwy gór, kawałek czarnego jak węgiel nieba. W kręgach lamp rampy i wieży oświetleniowej płatki śniegu przypominały świetliki i gwiazdny pył, i migotanie niewypowiedziane maleńkich obracających się diamentów. Wszystko to było jak scenografia jakiejś hollywoodzkiej produkcji albo przedziwny sen. Podniosła głowę z noszy, śnieg ukłuł ją w policzek. Przez długą chwilę miała złudzenie, że czeka na nią jakiś osobliwy pokaz magii. Nie mogła się powstrzymać: wysunęła język.

Gdyby nie doszła do siebie podczas postoju na parking, nie złapała oddechu, nie odzyskała sił na tyle, żeby przekonać Olivera, że powinien jednak zawieźć ich do mamy, żeby spędzili w końcu cholernie miły świąteczny weekend: „Błagam!”. Gdyby mama nie spojrzała rano na córkę w sypialni i gdyby zignorowała protesty Alice, żeby nigdzie nie dzwonić. Gdyby stary dobry doktor Glenn miał u siebie dzieci i wnuki na Święto Dziękczynienia, jak miewał w lata parzyste, i się nimi zajmował, zamiast czekać na odlot samolotu niespecjalnie zainteresowany tym, co piszą w jakimś tygodniku. Gdyby automat telefoniczny był zajęty albo doktor nie sprawdził automatycznej sekretarki, nie usłyszał spanikowanego głosu wiernej mu od lat pacjentki i gdyby nic z tym nie zrobił. Gdyby jego gabinet był zwykłym wiejskim gabinetem lekarskim, a nie względnie nowoczesną przychodnią ze względnie nowoczesnym sprzętem, w tym z ustrojstwem, które prześwietla płuca. Gdyby ten sam doktor, którego dorastająca Alice uważała za wiejskiego przygłupa, istotnie był wiejskim przygłupem, zadowoliliby się rozpoznaniem zapalenia płuc na rentgenie i nie zlecił badania krwi, żeby się upewnić. Gdyby mała przychodnia doktora nie miała laboratorium, które nie tylko dostarczało wyniki badań tego samego dnia, ale i było otwarte we wszystkie dni tygodnia, w tym w święta. Gdyby mniej więcej wszyscy mieszkańcy tego rejonu pocztowego, prowadzący w miarę normalne życie, zrobili sobie wolne w dniu przed Świętem Dziękczynienia i gdyby miejscowi ćpuni strzelili sobie w żyłę przeciętnie mocny, szmuglowany z Montrealu towar lub gdyby doszło do kilku groźnych wypadków czy też nieporozumień rodzinnych rozwiązywanych za pomocą noży do mięsa, to szczątkowy personel laboratorium, jak to bywa w komercyjnych laboratoriach medycznych, byłby zajęty czymś innym niż prostym i czytelnym oznaczaniem, a na wyniki badań krwi Alice trzeba byłoby czekać do popołudnia albo do wieczora. Gdyby upłynęło zbyt wiele czasu, zanim stwierdzono by, że Alice ma zero białych krwinek, *zero*. Gdyby to samo laboratorium odkryło, że nieco ponad połowa krwinek Alice jest neoplastyczna, a nie, jak orzekło, nieco mniej niż połowa. Gdyby jeden z najlepszych szpitali onkologicznych na Północnym Wschodzie nie był dostępny po mniej niż dwugodzinnej jeździe karetką, czyli na tyle blisko, że pracujący tam lekarze zdołali zastosować swą ogromną wiedzę i użyli odpowiedniego sprzętu, aby zapobiec dalszej replikacji neoplastycznych krwinek do punktu, spoza którego nie ma już powrotu. Gdyby Alice nie została odizolowana, a leczenie nie rozpoczęło się, zanim jakiś przypadkowy przechodzień kichnął w jej pobliżu, wypuszczając zarazki, które wylądowałyby w jej absurdalnie osłabionym organizmie, lub zanim wykończyło ją zapalenie płuc czy gorączka. Każde z poszczególnych zastrzeżeń na tej liście. Każde odgałęzienie z Bóg wie ilu innych prawdopodobieństw. Każda z niezliczonych możliwości, które przecięły jej drogę, choć mogły nie przeciąć. Gdyby Alice poświęciła chwilę, zastanawiając się nad każdą z tych ewentualności. Gdyby przyszło jej chociaż do głowy, ile miała do tej chwili szczęścia, zwłaszcza że nie mogła sobie jeszcze wyobrazić, przez co będzie musiała przejść – te wszystkie „gdyby” nie pozwoliłyby jej ruszyć z miejsca.

„Nie goń za przeszłością – napominała się. – Nie gub się w przyszłości”.

Musi docenić to, co teraz.

Dzień trzeci: spuchnięty nos między nozdrzami, płonące policzki. Ciemnoszkarłatne przebarwienia rozpoczęły się za uszami i pokryły dolną część żuchwy oraz kark.

– To normalne przy doksorubicynie – orzekł rozchełstany rezydent.

– Nie ma się czym przejmować – dodał podczas obchodu specjalista (Mongol, wschodząca gwiazda, wezwano go na konsultacje).

Następnego ranka podczas obchodu lekarz prowadzący zwrócił się do studentów, którzy weszli wraz z nim do sali. Wyraziwszy zadowolenie z powodu spadku gorączki, przedstawił podobną opinię o jej najświeższych wybroczynach (nie ma w nich niczego nadzwyczajnego, nie ma powodu do niepokoju). Te najnowsze były fioletowe i wylewały się spod pach we wszystkich kierunkach. Lekarz prowadzący miał na tyle oleju w głowie, żeby nie wspomnieć o możliwości zlania się wybroczyn w jedną superwybroczynę. A żaden ze studentów medycyny nie był na tyle odważny, żeby poruszyć ten temat.

Autorytet prowadzącego przynosił Alice ukojenie, a jednocześnie wywoływał wyrzuty sumienia z powodu tych wszystkich lat, przez które lekceważyła doktora Glenna.

– Maść powinna zlikwidować swędzenie – ciągnął lekarz prowadzący. Wyraził zrozumienie dla trudności z opanowaniem odruchu drapania się, a potem dodał, jakby zwracając się do dziecka: – Nie drapiąc wybroczyn, zapobiegamy ich dalszemu rozprzestrzenianiu się albo zainfekowaniu.

– Będę grzeczna – odpowiedziała Alice. – Słowo harcerki.

Mimo to drapała się. Tarła. Oliver zauważył też, że przesuwa palce przez włosy. Robiła to coraz częściej, jakby dawała komuś znaki podczas gry w pokera. To go martwiło – zastanawiał się, czy przypadkiem z cienkiej, niemal zanikającej żyły w zgięciu prawego łokcia Alice nie wysunął się wenflon i czy płyn z kroplówki nie spływa jej do bicepsa zamiast do żyły. Rezydent, specjalista i prowadzący zachowywali spokój. Podawany lek nie jest śmiertcioną mieszanką. Opuchlizna zjeździe. Pod warunkiem – podkreślali – że Alice nie będzie ruszała opuchniętą ręką. Ale ona bez przerwy się przeczesywała. Nieustannie proste wymachy spieprzonym ramieniem, palce przeczesujące włosy do tyłu. Oliver miał wrażenie, że twarz żony przechodzi transformację, przemienia się w ryj zmutowanego wieprza, a przyglądanie się jej – upiornie obrzękniętej, jaskrawo przebarwionej, kruchej, słabej, przykrytej kołdrami, podłączonej do tych wszystkich pierdolonych rurek – było wystarczająco złe. Oto cała Alice: z własnej woli nieustannie sprzeciwia się poleceniom lekarzy, przesuwa dłonią po czaszce, znów sprawdza, pokazując mu każde nowe pasemko, które przykleiło się jej do palców.

– Wcale nie całe garście, jak można by się spodziewać – powiedziała. Jej pełen nadziei głos był nawet przekonujący. – Słyszałam różne historie o kobietach, które przeszły chemioterapię i zachowały włosy.

Lekarz prowadzący pozwolił jej to z siebie wyrzucić, a potem odpowiedział po prostu:

– Wszystkie pani wypadną.

Mama Alice zamieszkała oczywiście w pobliskim pensjonacie. Siwa kobieta, która rozczesywała włosy córki, zawsze przepraszając za sprawiany jej ból. Która prosiła, żeby Alice siedziała nieruchomo, gdy zbierała jej włosy w niezliczone końskie ogony i uczyła ją zaplatać warkocz, kończąc każdą lekcję pocałunkiem w czubek głowy. Pensjonat wynajmował pokoje bliskim przewlekłe lub śmiertelnie chorych pacjentów za dwadzieścia dolarów za dobę, co było bardziej niż rozsądną ceną – uważała mama Alice – zwłaszcza że pokoje były niezwykle przytulne: ręcznie zszywane patchworki i tradycyjne amerykańskie ozdoby na ścianach, koronkowe obrusy i świeże kwiaty na wspólnym stole. Matka Alice była spokojna i racjonalna,

nie należała w żadnym razie do zrzęd i szybko okazała się niezastąpiona. Każdego ranka zjadała grejpfrut i płatki, piła mocną czarną kawę, wymieniała pozdrowienia ze smutnym małżeństwem, którego syn został ranny w wypadku na polowaniu, a następnie przewijała i przebierała wnuczkę.

Gdy zjawiała się z Doe w szpitalu, Oliver kończył czuwanie. Nadchodziła jego kolej, żeby pojechać szpitalnym busem do miasta, składającego się z czterech przecznic odnowionych budynków z cegły o historycznym uroku. Ten luksus, te kilka godzin dla siebie przeważnie wypełniały sprawy do załatwienia: wysyłanie faksów do ubezpieczalni z zagraconego biura sklepu z materiałami biurowymi, wysiadanie w budce telefonicznej w westybulu pobliskiej biblioteki uniwersyteckiej, gdzie – korzystając z karty do rozmów międzymiastowych – powiadamiał przyjaciół i rodzinę o stanie Alice, obmyślanie planów na funkcjonowanie interesu w czasie, gdy jest uwięziony tutaj.

Tego popołudnia niebo było surowe w swej szarości, a wiatr siekł marznącym deszczem na skos w niekończących się płachtach ulewy. Zanim Oliver odnalazł zniszczony przez pogodę drewniany totem, którego kazały mu szukać pielęgniarki, przemókł do suchej nitki, a policzki i dłonie zdrętwiały mu z zimna. Żaden z siedzących na fotelach golibrody starców nie odwrócił ku niemu głowy. Oliver zaczął przeglądać ciekawą gazetę, nie śmiejąc przerwać pogawędki o pogodzie.

Wichura zelżała, zaczynał się dosyć ciepły pochmurny wieczór. Dziecko przysnęło, babcia też. Odwiedzający chorych musieli nosić maseczki chirurgiczne i rękawiczki. Ale odchyłona głowa śpiącej na fotelu nie była osłonięta, babcia spała z otwartymi ustami, w których błyskały złote plomby. Alice zareagowała na skrzypienie drzwi, ale wydawała się półprzytomna, zdezorientowana. Otworzyła szeroko oczy, obrzęknięta żuchwa opadła, jakby wyrwana z zawiasów.

– Chciałem ci pokazać, że to tylko włosy – oznajmił Oliver.  
Przycisnęła dłonie do serca. Wydawało się, że zacznie wyc.  
– Odrośną albo i nie odrosną – ciągnął Oliver. – Srał je pies.  
– Najcudowniejsza rzecz zrobiona przez kogokolwiek od początku świata – powiedziała Alice. Wyrzuciła ku niemu ramiona, szarpiąc pompą infuzyjną. – Podejź, głuptasie. Daj pomacać.

Tej nocy pożyczy elektryczny trymer, który siostry trzymają w dyżurce. Włosy żony były już na to gotowe, wypadały same, czasem całymi pękami przy gwałtowniejszych ruchach. Alice od dawna farbowała włosy w jasne pasemka, zabójczo je rozjaśniała, poddawała różnym ulepszeniom dodającym jej blasku. Przed ważnymi wernisażami w galerii, przyjęciami czy pokazami mody rozumiało się samo przez się, że poświęca dużą część popołudnia na układanie skomplikowanej fryzury z pałeczkami do ryżu, piórami albo egzotycznymi warkoczykami w zależności od tego, nad czym rozpyływały się magazyny mody przez ostatnie sześć miesięcy. Ogolenie jej na łyso zajęło zaledwie trzy minuty.

Później posadzili dziecko między sobą na zatłoczonym łóżku, główka córeczki wyglądała jak różowa planeta wielkości całej reszty jej ciała. Pierwsze włoski były bardzo krótkie i przezroczyste, rosły zawijasami przypominającymi ledwo widoczne wzory zostawiane przez UFO na polach, a w tym wypadku na czubku jej głowy. Mama Alice sięgnęła po idiotycznie drogi jednorazowy aparat fotograficzny ze sklepu z pamiątkami. Oliver opuścił maseczkę na szyję. Pochylili się ku sobie z Alice, Doe gruchała, gaworzyła i wymachiwała grubymi nóżkami.

– Oto i oni. – Pielęgniarka odczekała, aż błysnie lampa. – Przykładna łysa rodzina.

Ale niektóre rzeczy pozostawały niestety wyłączną domeną Alice – na przykład sposób, w jaki maleńkie wargi otaczały jej brodawkę sutkową, czy to, jak brzeg delikatnych dziąseł obejmował jej sutek; przystawianie główki dziecka i słuchanie cichego bulgotu, czucie

pociągania i ssania. Przez pierwsze pięć miesięcy życia Doe znała tylko pokarm mamy. Ale komórki w krwiobiegu Alice to zmieniły. Chemioterapia zatrzymała mleko.

Położnicy przysłali maszynę, która przypominała mechanizm z filmów science fiction z lat pięćdziesiątych. Gdy piersi Alice wypełniały się pokarmem, przystawiała do nich próżniową ssawkę i wykonywała zniekształconą wersję zwykłej czynności. Pielęgniarka w niebieskiej masce, rękawiczkach i ołowianym przeciwradiacyjnym fartuchu zabierała pokarm w hermetycznym pojemniku.

Mama Alice bez specjalnych ceregieli wyszła ze szpitala i kupiła mleko dla niemowląt w Aptece Staromiejskiej. Przez trzydzieści lat uczyła angielskiego w dziesiątej klasie, była więc pragmatyczną i roztrofną kobietą. Po naleganiach córki wyprawiła się do miasta po raz drugi, żeby zajrzeć do niewielu sklepów ze zdrową żywnością i sprawdzić, czy nie mają czegoś bardziej naturalnego. Po czterech dniach Alice stwierdziła, że Doe inaczej pachnie. Chemicz-nie. Ten nowy zapach doprowadził ją do łez, a była tak osłabiona, że spazmy sprawiały jej ból. Ale nic nie mogła na to poradzić. Płakała, bo Doe nigdy nie miała wysypki od mokrych pieluch, a teraz będzie miała. Płakała, bo córeczka wciąż domagała się piersi i zaczynała ryczeć, gdy nie mogła się przyssać. Płakała, wspominając obolałe od ssania sutki, i płakała, bo z każdą minutą stawały się mniej obolałe. O trzeciej nad ranem, gdy przychodziła pielęgniarka, żeby zmierzyć jej ciśnienie i temperaturę, Alice płakała na wspomnienie ciężaru dziecka przy piersi, poruszającego się, budzącego się do karmienia, i na wspomnienie wsuwania mu piersi do ust. Na wspomnienie zaciągania zasłony w kąci dla karmiących matek w delikatesach Dean & DeLuca. Mokrych plam na jedwabnych bluzkach. Biustonoszy dla karmiących, tak znienawidzonych przez męża.

Pochodzący z Europy Wschodniej lekarz wizytujący miał zwyczaj posilania się w korytarzach czym popadnie, co w oczach Olivera nadawało mu bardziej ludzki rys, zwłaszcza że człowiek ten był nieodmiennie uprzejmy wobec reszty szpitalnego personelu. Zdybawszy go przed dyżurką pielęgniarek, by prosić o opinię słowami i zwrotami, które graniczyły z padnięciem przed nim na kolana i ciągnięciem go za nogawki spodni, Oliver błagał (choć nie słowami) o dodające otuchy wskaźniki przeżywalności, jakiś promyczek światła, iskierkę, która pozwoli im przejść przez to wszystko.

– To znaczy, jej stan jest stabilny i rozpoczęliśmy chemioterapię, więc...

Takim samym obojętnym tonem, jakim jego szacowny kolega powiedział Alice, że wypadną jej włosy, ten wizytujący lekarz rzucił:

– Rak to piekielna choroba.

Dorastanie: samotne popołudnia w Bakersfield, tata przez całe dni wyklepujący wgniecenia samochodów w sławnym warsztacie blacharskim, mama przepisująca rachunki dla księgowego, nieustający smród nawozów, industrialny obszar rolny jak okiem sięgnąć. Jego ucieczką był sklep z komputerami w miejscowym centrum handlowym; Oliver uczył się programowania od ojca kuzyna, który musiał się jakoś odgrodzić od ubóstwa ludzi ciułających pieniądze na commodore'a PET czy domowy system Atari. Jeszcze zanim częściowe stypendium wydobyci Olivera z tego krowiego miasta i rzuciło w drugi koniec kraju, pozwalając mu zapierdzielać w college'u i na studiach dyplomowych, jego życie intelektualne – a nawet samopojmowanie – zaczęło dojrzewać w znacznej mierze dlatego, że miał do czynienia ze złożonością. Harował godzinami przy nieskończeniu drobnych jednostkach, sznurach informacyjnych kodów, kopiując program kolejnej gry przygodowej, którego progresja liniowa była wydrukowana na ostatnich stronach czasopisma „Byte”. Oliver dowiedział się w ten sposób, jak zbudowane są potężne, lecz eleganckie struktury. I stopniowo przyzwyczaił się do przekształcania teorii w coś praktycznego, mocnego i przejrzystego doskonałego.

Kiedy ten człowiek powiedział: „Rak to piekielna choroba”, przewróciły się w nim

bebecy. Ale jeszcze gorsze – „gorsze” w sensie zaprzeczenia wszystkiemu, czego Oliver nauczył się o kosmosie – było rozpoznanie oraz to, że lekarz zajmujący się leczeniem jego żony otwarcie podziwia elegancką i złożoną strukturę pożerającą kości i krew Alice.

Towarzysz doktor podniósł rękę.

– Spróbuję jeszcze raz – powiedział.

I spróbował łamaną angielszczyzną:

– Jako osoba staram unikać mówić osobom, czego przyjąć nie może.

Doktor mówił dalej, dzieląc się przekonaniem, że „uczciwa opinia wyraża pewien szacunek”, a także podkreślając „ wagę tego, żeby informować bliskich, żeby się przygotowali”.

– Chce mi pan powiedzieć... – zaczął Oliver, ale stchórzył.

– Sto dni.

– Co?

– Widzimy, co się z nią dzieje. Wiedz, jak to wygląda. Dowiedz więcej. – Poklepał Olivera po ramieniu. – Sto dni.

Studium przypadku nr 53

Whitman Memorial, 1220 York Avenue, IV piętro, Hematologia/Onkologia

(katamneza: życiorys/tło środowiskowe pacjenta)

Nie było go stać na nowoczesny profesjonalny fotel biurowy, więc zaopatrzył się w solidny, w miarę ergonomiczny fotel ze średniej półki. Na nim siadywał. Jeśli chodzi o dietę, starał się, bardzo się starał jeść dużo zieleniny i gotowany drób, choć od czasu do czasu przemyślał czerwone mięso i smażone kalmary – częściej, niż był gotów przyznać. Odkąd urodziły się dzieci, ćwiczył średnio raz na dwa tygodnie. Prawdopodobnie mógłby zrzucić piętnaście funtów. Dwadzieścia. Był zatem wykonującym pracę biurową nieco otyłym ojcem w średnim wieku, przechodzącym męski rytuał chronicznego bólu pleców. Nie warto o tym pisać w dziale reportażu lokalnych gazet. Choć ból zasługiwał na materiał w wiadomościach dnia. Na fotelu musiał układać poduchy, żeby usiąść. Łykał advil jak cukierki, żeby przetrwać dzień. A tarzanie się po dywanie z Timothy i Susan Jo? No błagam. I wtedy jego żona dowiedziała się od jakiejś mamy na placu zabaw o tym akupunkturzyście. Niespecjalnie w to wierzył, ale pozwolił wbijać sobie igły po obu stronach szyi, w ramiona, łokcie, nerki, świętość, podeszwy obu stóp i miejsce między palcami. Później oddał stolec po raz pierwszy od czterech dni. Wrócił do domu i spał jak kamień na dnie oceanu.

Po czterech tygodniach i ośmiu wizytach u akupunkturzysty dostał przeciwbólowy zastrzyk z kortyzonu od lekarza rodzinnego. I receptę na cyprofloksacynę na problemy z oddawaniem moczu. Lekarz zastanawiał się, czy nie potrzebuje roztworu soli czyszczących, żeby uporać się z zaparciem, i doradził mu więcej ćwiczeń oraz zrzucenie pięćdziesięciu funtów. Mężczyzna stosował się do dawkowania leków z plastikowych buteleczek. Stał się mniej więcej ortodoksyjny, jeśli chodzi o nawyki żywieniowe, i starał się zamykać stanowisko pracy godzinę wcześniej, żeby chodzić wieczorami na siłownię. Rozciągał plecy przez dziesięć minut przed rozpoczęciem i po zakończeniu ćwiczeń. Ale nosił ze sobą ból niczym rażący prądem elektrycznym pas na krzyżu. Miał wzdęty i napięty żołądek, jakby ktoś nieustannie naciskał mu brzuch. Pojawiły się niepokojące odrętwienia w biodrach i dolnej części kręgosłupa. Zaczął się pocić nocami, a w biurze owijał się czasem starym wystrzępionym kocem plażowym, bo tak bardzo marzył. Poza tym drapał się przez cały czas, nie mógł przestać. Wszystko to było niewypowiedziane frustrujące. Robił to, co miał robić, a nawet o połowę więcej. Czy tak

cholernie trudno jest stwierdzić, co mu dolega?

Gastroenterolog wytłumaczył mu, że chłoniak jest wyjątkowo trudny do zdiagnozowania, zwłaszcza jeśli węzeł chłonny pod pachą nie jest jeszcze powiększony jak w jego przypadku. Pozostałe objawy stanowiły obraz kliniczny. Biopsja przyniesie odpowiedzi. Przekonają się również, czy są przerzuty.

Jak wytłumaczył mu lekarz, właśnie na tym polega kurewstwo takiego przypadku – czas potrzebny na taki rozwój choroby, by dało się ją zdiagnozować, jest jednocześnie czasem występowania przerzutów.

Teraz

Zajęło to ponad miesiąc: całkowita liczba neutrofilów przekroczyła wreszcie pięćset – magiczną liczbę pozwalającą zabrać ją ze szpitala Dartmouth-Hitchcock i z Granitowego Stanu<sup>1</sup>. Cichy wypożyczony samochód zawiózł ich do domu i wreszcie otoczyło ich to, co do nich należało: rolety z ryżowego papieru zastępujące firanki na zewnętrznych oknach zainstalowanych na tych od zachodu, poranne światło przesączające się zza napiętych brzegów papieru. Teraz było łóżkiem przykrytym kołdrą. Alice wpatrywała się bez zainteresowania w duży przemysłowy wentylator nad łóżkiem, w jego nakrapiane rdzą łopatki, w wybite miękką wykładziną ściany, żeby było cicho. Dzięki temu oraz dzięki szumowi oczyszczacza powietrza prawie nie słyszała hałasów z zewnątrz, z położonego sześć pięter niżej placu, na którym pracowały z chrzęstem wózki widłowe piszczące przy cofaniu oraz jęczeli i przeklinali robotnicy rozładowujący mrożone wołowe tusze z wielkich ciężarówek z naczepami, które spóźniały się względem planu dostaw, a potem zgrzytały na biegu przed wyruszeniem w drogę. Lecz nawet ten hałas niósł ukojenie, bo był dobrze znany i w pewnej mierze niwelował jej strach.

Ostateczne pytania okazywały się nie do zniesienia. Ale z logistyką i Alice, i Oliver potrafią dać sobie radę, prawda?

Jeszcze nie znalazła odpowiedniej opiekunki do dziecka, to fakt. Owszem, później będzie musiała zadzwonić w parę miejsc. Ale czy nie wynegocjowała sama, całkiem sama, kwestii o znacznie większym znaczeniu – przeniesienia leczenia do Whitman Memorial (cieszącego się dobrą opinią niedużego szpitala na Upper East Side)? Czy nie poprosiła o pomoc znajomych, którzy zapięli wszystko na ostatni guzik włącznie z terminami wizyt u onkologa, „prawdziwego geniusza”, według menedżerki projektów pracującej u Betsey Johnson<sup>2</sup>, „najlepszego w mieście”, już zaangażowanego i przejmującego opiekę nad Alice? Jedyne, co ona musi zrobić, to przynieść rozmazy na pierwszą wizytę.

Tymczasem w trakcie rutynowej (jak się wydawało) rozmowy telefonicznej pielęgniarka z New Hampshire poinformowała ją, że szpital nie wysyła rozmazów krwi pod adres zamieszkania pacjentów. Jednak i z tym sobie poradziła! Poprosiła zwyczajnie, żeby w takim razie przesłali rozmazy prosto do Whitmana.

Wspomnienie przywróciło jej nieco już zaśnieżoną pewność siebie i utworzyło pomost między obecną Alice a tamtą kompetentną profesjonalistką, za którą się uważała nie tak dawno temu, zanim stała się kobietą, w której istnienie jej samej było trudno uwierzyć.

Tyle tylko że znów pojawił się problem: jest kwadrans po dziewiątej w piątkowy poranek, a Whitman wciąż nie otrzymał rozmazów. Oliver stracił cierpliwość i przejął kontrolę nad aparatem bezprzewodowym. Nie pozwalał na chodzenie w butach w ich lofcie, więc słyszała, jak tupie tam i z powrotem w szarych sportowych skarpetach, a drewniana podłoga trzeszczy, gdy się zbliża. Słyszała, jak się dowiaduje, czy wysłano rozmazy, i pyta o nazwisko osoby u Whitmana, która je miała odebrać.

– Wielkie dzięki! – Nacisnął guzik na aparacie.

Jego naturalnie kręcone włosy odrosły już na tyle, że zaczynały się zwijać w małe sprężyste loczki wystrzeliwujące równo na wszystkie strony. Miał rozpiętą, niewpuszczoną w spodnie flanelową koszulę, gołą zapadniętą klatkę piersiową, wyraźnie zarysowany, lekko wystający brzuch z ledwo widoczną kreską meszku biegnącą ku włosom łonowym. Sztruksowe spodnie opadały mu do połowy pulchnych, białych jak kość słoniowa bioder. Dla każdego innego taki widok oznaczałby: gość późno wstał, dopiero się obudził, zмага się ze sobą, żeby nabrać rozpędu. Ale Oliver był w tym rozchelstaniu sobą, jakby rozkoszował się chaosem i ożywiał,

stając przed wyzwaniem. Zerknął na kołyskę, przesunął dłonią po mięsistej zarośniętej szczęce. I dalej przemierzał loft. Ich gruby pręgowany kocur umknął mu z drogi, a on wystukał kolejny numer. Podał sekretarce nowego onkologa z Whitmana nazwisko winnej wszystkim osoby – tej, która podpisała odbiór przesyłki – i od razu się dowiedział, że ta osoba ma dzień wolny. Rozłączył się.

Czaszka Alice – blada i gładka – wystawała znad koldry.

Oliver schował antenę telefonu, przyciskając ją brodą.

Alice szepnęła zza puchowej tarczy:

– Próbowałeś.

Odłożył telefon.

– Szpital nad tym panuje – powiedziała.

Oliver wpatrywał się przez uchylone drzwi w skrawek swego miejsca pracy. Choć nie widział stacji roboczych w głównym pomieszczeniu, wyczuwał wirowanie wiatraków chłodzących płyty główne, oczekiwanie uspiionych ekranów na rozbłyśnięcie po pierwszym uderzeniu w klawisz.

– Jest piątek rano – powiedział. – Zbliżamy się do piątkowego popołudnia. Jeśli tego nie znajda, nic nie zrobią przez cały weekend. Pojedziesz tam w poniedziałek na próżno. Lekarze nie dostaną wyników. Nie masz po co jechać.

Opuściła koldrę, odsłaniając twarz: nie zrobiło to na niej wrażenia. Oparła się ostrożnie o poduszkę, przenosząc ciężar ciała na ścianę. Cieszyła się chłodem pobielonych cegieł przez jedwabną bluzę pizamy. Gdy uniosła powieki, zerknęła w róg pomieszczenia, zatrzymując wzrok na kołysce.

Pominąwszy trzy zwykłe próby położenia jej spać i obowiązkowy wrzask o czwartej nad ranem, Doe przespała spokojnie noc. Nadal spała.

Obserwując jej oddech, Alice telepatycznie ostrzegła Olivera, by nie podnosił głosu. Wmasowała kroplę kokosowego kremu w wierzch dłoni. Mięka kiedyś skóra była teraz sucha jak kreda i nie wchłaniała wilgoci. Alice się wyprostowała. Wzięła trzy głębokie oddechy, z których każdy dotarł do przepony. Z każdym oddechem wciągała w płuca coraz mocniejszy zapach kokosowego kremu. Był wszędzie. Zaczęła bezgłośnie powtarzać mantrę, prosząc o opanowanie, modląc się o spokój. Wróciła pamięcią do przesłania, które umieściła na drzwiach lodówki, i pamiętała od dawna: „Zanim się odezwiesz, zapytaj siebie: czy to lepsze od milczenia?”.

Nie otwierając oczu, szepnęła:

– Gdybyś tylko wiedział, ile razy rozmawiałam z tą rejestratorką przez ostatnie trzy dni...

Uniosła ostrzegawczo palec wskazujący, zapobiegając przepoczwazzeniu się reakcji Olivera w odpowiedź.

– Czy nie możesz zwyczajnie uwierzyć, że ta miła niestrudzona Beth robi wszystko, co do niej należy?

Oliver usiadł obok Alice i pogłaskał ją po dłoni. Przez głowę przemknęło mu wspomnienie z czasów, gdy zaczęli się ze sobą spotykać, z innej rzeczywistości: Alice przy stole krawieckim wycina wykrój pizamy, którą ma na sobie. Na dole oskarżycielsko zapiszczały wózki widłowe. Duży edwardiański mankiet bluzy nie był zapięty. Po drugiej stronie nadgarstka siniak przypominający karalucha. Oliver przesunął wzrokiem po blednym fiolecie, mdłej zieleni, żółcieni jak żółtko jajka. Zajrzał w głąb rękawa, objął wzrokiem całe długie ziemiste ramię, przypomniał sobie poranek, gdy na skórze po lewej stronie pojawiła się infekcja – wielki przezroczysty brązowy pęcherz na środku ramienia.

Ten balon Alice nazwała „pan Bąbel”. Zmniejszył się. Podobnie jak jej prosiakowaty



obrząk – znów dało się rozpoznać rysy, znów wyglądała jak Alice. Dzięki Bogu, kurwa mać. Oliver przyglądał się małym wzorkom – niedużym srebrzystobłękitnym szewronom i lilijkom, pokrywającym miejsce po bąblu. Przez chwilę był tak wściekły jak wtedy, gdy odkrył złe wklucie wenflonu. Te pielęgniarki powinny były zorientować się wcześniej, a tak w ogóle to nie powinny były wkluwać się w cienką żyłę.

– Ta rejestratorka – mruknął – ilu ma twoim zdaniem pacjentów do obsłużenia w ciągu godziny?

– Jesteś nie...

– Popraw mi humor, Alice.

– Oliver...

– Przypuścimy, że do każdego lekarza co kwadrans zgłasza się jakiś pacjent...

Przerwała mu, wyczerpana, ledwo słyszalnym szeptem:

– Więc zadzwoń jeszcze raz.

– Myślisz, że przemiała Beth zajmie się tym w wolne od pracy piątkowe popołudnie?

W pieprzonej zamieci!

– Przed chwilą do nich dzwoniłeś. I wszystko poszło dobrze.

– Trzeba im patrzeć na ręce.

– Oliver... – Jej podbródek zadrżał. – Będę się leczyła u tego lekarza przez przynajmniej pół roku. – Zaczerwieniła się. – Jeśli ta rejestratorka mnie znienawidzi, zanim się tam pojawię...

– Ale czy to zbyt trudne upewnić się, że twój lekarz MA TE PIERDOLONE ROZMAZY BIAŁACZKI?

Przez ułamek chwili w drugim końcu pokoju nic się nie zmieniło. Ale zaraz się zaczęło: przemieszczenie cząstek, wiercenie, powrót świadomości, dezorientacja. Dziecko zebrało się w sobie, a następnie zawyło całą sejsmiczną mocą niemowlęcych płuc.

– Cudownie. – Alice wstała z pośpiechem, poruszając się tak szybko, jak mogła. – Mój bohaterze.

Gdy się zaręczyli i zaczęli się rozglądać za jakimś miejscem dla siebie, Oliver zapewniał ją, że to prawdziwa okazja – ta trapezoidalna postindustrialna przestrzeń na północ od West Village; niczego lepszego nie znajdą za te pieniądze. Był chyba, mówiąc delikatnie, nienormalny. Dzielnica pakowalni mięsa o każdej porze dnia stanowiła przystań dla zbirów i zamrożonych tusz. Po zmroku spod płyt chodnikowych wyłaziły mocno nadgniłe żywe trupy ćpunów, klubowych seksualnych niewolników i niewolnic z obrożami na szyjach oraz transprostytutek. Okolica nadawała się idealnie na brzydkie nocne zabawy – Alice nie miała z tym problemu, zamawiając w jakiejś norze drinki albo wymuszając na nim to samo. Jeśli miała odpowiedni nastrój, jako pierwsza wskakiwała na bar i zaczynała tańczyć, nie trzeba jej też było specjalnie namawiać do powieszenia biustonosza (o ile nie był to akurat zbyt wymyślny model z drucianym rusztowaniem) na ścianie sławy nory, w której się bawili. Jeśli jednak chodziło o sprowadzenie na ten świat dziecka, nie mówiąc już o jego wychowywaniu, mieliby się znacznie lepiej na terenie radioaktywnym. Kurwa, dla Alice ta dzielnica właśnie taka była.

Oliver odbierał to inaczej. I na tym polegał kłopot, bo należał do tego rzadkiego gatunku ludzi, którzy realizują pomysły, a przy tym miał prawie nadprzyrodzony talent do blokowania zakłóceń, izolowania problemów i rozbijania ich na mniejsze, dające się rozwiązać kłopoty. Na co dzień mogło to być irytujące i z całą pewnością zepsuło im więcej niż kilka wieczornych randek. Ale czy inaczej zdołaliby zbudować z potu pod pachami i opakowań po gumie do żucia cieszącą się uznaniem firmę komputerową wraz ze wsparciem technicznym dla sprzedawanego oprogramowania? Z tym samym uporem buldoga przedstawił Alice sekwencyjny diagram pokazujący odległości do pobliskich sklepów spożywczych i restauracji, przeprowadził

rozpoznanie okręgów szkolnych i wykazał, w jak doskonałym zamieszkali punkcie. Posunął się nawet do tego, że pokazał jej arkusz kalkulacyjny z wyszczególnionymi przyszłymi robotami renowacyjnymi mieszkania oraz wszystkim, co można zrobić za pieniądze zaoszczędzone na mniejszym czynszu. Na nieszczęście dla Alice Oliver spędził sporą część dzieciństwa na pomaganiu ojcu w pracach remontowych w domu, co oznaczało, że precyzyjnie umiał posługiwać się suwmiarką, wiedział, do czego służą płaskie śruby i jak znajduje się ścianę nośną, żeby powiesić na niej półki, znał się nawet na zagrożeniach wynikających z używania przemysłowej szlifierki. Nie był to też niewątpliwie przypadek, że znalazł dla nich dom na Upper East Side, gdzie rano wałęsali się niezrzeszeni wykwalifikowani robotnicy czekający, aż ktoś zaproponuje im pracę. Tak, dzięki swej przenikliwej inteligencji, godnemu podziwu zestawowi umiejętności technicznych oraz talentowi do nieustannego kombinowania Oliver tworzył własną czarną magię, czyniącą cuda siłą sprawczą, która nie stoi najczęściej za częścią gadaniną czy marzeniami dwojga zaspokojonych, leżących w łóżku ludzi, z których jedno wodzi palcem w górę i w dół uda drugiego.

Zupełnie przypadkowo, ma się rozumieć, Oliver trafił również na pracownika firmy administrującej nieruchomościami, akurat będącego w finansowej potrzebie. Gość ten z przyjemnością spojrzął w drugą stronę, gdy okazało się, że ich loft nie całkiem nadaje się do zasiedlenia. Oliver kusił Alice, prawił jej kazania, obiecywał wyszlifować i wykończyć drewnianą podłogę, stworzyć w pełni funkcjonalną kuchnię z mnóstwem blatów i zbudować garderobę, do której się wchodzi. Godził się na każde jej żądanie, przysięgając, że dopilnuje, aby je spełniono, albo sam je spełni. A ponieważ niewielkie oszczędności, jakie mieli, należały w zasadzie do Olivera, i ponieważ Alice zaczęła już organizować ślub i planować pełną parą urodzenie dziecka, trudno orzec, czy ustąpiła mu na tym froncie w całości – nie stawiała mu w każdym razie na drodze. Postanowiła się przekonać, co się wydarzy.

Redakcyjne asystentki z kolorowych pism o modzie, redaktorki-asystentki z wydawnictw w centrum, młodsze agentki reklamowe, pracownice galerii, absolwentki szkoły masażu, joginki, dziewczyny na posyłki, osobiste asystentki fotografów, detaliczne zdziury, te same neurotyczne, fajniejsze od wszystkich pierduśnice, które początkowo robiły zabawne i uszczypliwe uwagi o sensie kupowania mieszkania w tej okolicy, mające zawsze pierwszorzędne wymówki, żeby tu nie przychodzić albo, przeciwnie, kończące późne śniadanie i przechodzące do rzeczy, żeby wyrazić głęboką troskę o to, czy Alice i Oliver sobie poradzą – więc one wszystkie pojawiały się raz za razem, wychodząc ostrożnie z działającej w magazynie windy towarowej i zawsze wstrzymując oddech, żeby – broń Boże – nie zaciągnąć się odorem zeschniętej krwi dochodzącym z dołu, podciągały opadającą kratę, a potem w sam środek czoła trafiał je rozciągający się dalej widok: obscenicznie wielki metraż, nieprzyzwoicie wysokie sufity, gołe cegły – zrujnowane, a jednocześnie futurystyczne. Wzdychały z zachwytem, gapiły się, wyciągały szyje, żeby się lepiej przyjrzeć. Były wstrząśnięte – te przyjaciółki, które wciąż dojeżdżały do miasta z dzielnic na obrzeżach; gnieździły się tam w gównianych kawalerkach z koleżankami, których nie znosiły, spędzając całe lata na dzikiej walce o ustalenie swojej pozycji zawodowej i ułożenie sobie życia; te przyjaciółki, na których – programowo – absolutnie nic ani nikt nie robił wrażenia. Opuszczały bezradnie ręce z butelkami wina za dziesięć dolarów albo z bukietami kwiatów za pięć dolarów, które przynosiły, by ocieplić przestrzeń. Przyjaciółki, które Alice poznała w pierwszych dniach nauki w szkole mody, cmokały z rezerwą i w końcu wyrażały aprobatę dla stalowych naczyń do smażenia i gotowania, wiszących na stelażu w samym środku kuchni. Wyskubane brwi marszczyły się na widok pracowni Alice: wielkiego jak basen stołu do projektowania i szkicowania, jej klasycznego stołu krawieckiego z lat dwudziestych oraz damskiego manekina tuż obok. Tilda bez najmniejszych skrupułów weszła

prosto do prywatnej garderoby Alice i zaczęła kłąć jak szewc. Nie lepsi byli ich partnerzy, mężowie i kumple Olivera – młodszy maklerzy z Wall Street, młodszy wspólnicy z kancelarii adwokackich w centrum, asystenci z uczelni, doktoranci, księżkowi, komputerowi i muzyczni maniacy oraz kolesie, którzy zastanawiali się jeszcze nad wszystkim i pracowali za dnia w piekarni albo u ramiarza. Gdy spoglądali na rząd terminali stacji roboczych, gdy dowiadawali się, za ile Oliver dostał to miejsce i jak stosunkowo niewiele kosztowała przebudowa, jak jeden mąż walili się dłonią w czoło. Niejeden parsknął albo zakrztusił się piwem. Żeby im jeszcze dokopać, Oliver podciągał chińskie rolety i pokazywał ścianę okien, panoramiczny widok tylko trochę przesłonięty sadzą: puste kolejowe tory, zrujnowane nabrzeże i szemrzącą za nim szeroką rzekę Hudson.

Ego to drobiazg. Karmi się płytkimi sprzedajnymi przyjemnościami. Alice jednak się w nich pławiała. „Jeśli moje przyjaciółki stają się zazdrosne – powtarzała Oliverowi po wieczornych przyjęciach – bądź pewien, że trafiliśmy w dziesiątkę”.

Ale... gdy wpadała w furję, gdy musiała o coś Olivera obwinić, o cokolwiek, wracała do obietnicy, której nie potrafiła zapomnieć i którą umieściła wysoko na liście gwarancji: będą odizolowani, zapachy z magazynów, mrożona wołowina i czająca się wszędzie śmierć nie zdołają do nich dotrzeć. A dotarły.

## Wizyta zapoznawcza

Apotem wyruszyli w drogę. Albo coś w tym rodzaju. Taksówkarz zerkał przez ramię za porysowaną kuloodporną przegrodę, nie mogąc się napatrzeć na tę obłąkaną kobietę w niebieskiej peruce i maseczce chirurgicznej. No cóż, niech się bawi.

Nie zwracając na niego uwagi, Alice zapytała:

– Czy nie zasłużyliśmy na jakąś przyjemność? Po wszystkim, przez co przeszliśmy?

– Wierz mi – odpowiedział Oliver, wyglądając przez okno – że marzę o jakiejś przyjemności nie mniej od ciebie.

– Nie myśl sobie, że rezerwacja w Black Tide w czwartkowy wieczór to bułka z masłem.

– Umilkła na chwilę. – Mówiąc szczerze, jestem zdumiona, że mówimy o czymś takim.

Oliver zerknął na zegarek po raz trzeci w ciągu pięciu minut.

– Nie mam zamiaru się poddać i grać męczennicy – ciągnęła. – Siedzieć w domu i cierpieć, i nosić włosienicę.

– Ale nikt tego od ciebie...

– Przyjdą znajomi, a ja zamrugam powiekami i wszyscy będą się rozczulali: „Tak wspianale to znosi... to takie smutne”. Może później, bo na razie...

Oliver wypuścił powietrze z płuc, co oznaczało, jak się domyślała, że stara się opanować.

– Gdybyś tylko zechciała o wszystkim mnie informować – poprosił. – Pal sześć rezerwację, ale mamy środek najmroźniejszej zimy od niepamiętnych czasów. Gdybym był krabem ze Wschodniego Wybrzeża, odmroziłbym sobie jaja.

– Jeśli chodzi o ścisłość – odpowiedziała – one mają nazwę, te kraby. Kalinek błękitny.

Nie było czasu na delektowanie się widokiem unoszącego się w ironicznym uśmiešku kącika ust Olivera. Siedząca na kolanach Alice Doe zainteresowała się gumką i papierem z maseczki matki. Chwytała je pulchnymi rączkami. Alice rozpoczęła delikatne zadanie odwracania uwagi córki, zanim ta strzeli gumką maseczki prosto w jej policzek.

– Już dobrze, kochanie. Świetnie.

Oliver, jak wiedziała, pracował do późna – „wprowadzał Lynxa do UNIXA”, co mogło oznaczać pisanie programu albo onanizowanie się po kryjomu, takie męskie bycie ze sobą sam na sam. Alice nie miała o to pretensji. Zasnęła, zanim wrócił do łóżka. Obudziła się, dopiero gdy Jagódka zgłodniała, i zobaczyła męża człapiącego z pracowni. Widząc przygotowaną butelkę, Oliver z radością wrócił do pracy.

W tej chwili podziwiała jego doskonale ukształtowany nos. Doceniała, że ogolił się w nocy, była pod wrażeniem wyboru bladozielonkawoniebieskiego jedwabnego szalika i zaskoczona dopasowaniem go do ciemniejszego błękitu kaszmirowego płaszcza. Oliver zazwyczaj uparcie lekcewał swój wygląd. Często, w trakcie programowania, przez cztery dni chodził w ciuchach, które mu sprawiła, i nie przebierał się. Alice podejrzewała, że w gruncie rzeczy lubi eleganckie rzeczy – choć zdaje się, że bardziej lubił je odwirowywać niż nosić. Jakby chciał pokazać, że wcale nie są takie wyjątkowe. Ale nie dziś. Dzisiaj był ubrany nienagannie. Zadbany, gotów sprawiać jak najlepsze wrażenie.

Ale oczy miał podkrążone. I nie było to zwykłe zmęczenie ani zaabsorbowanie jakimś problemem logicznym czy jakąś trudnością techniczną. To coś innego. Odkąd wjechali w miejski ruch, unikał dłuższego kontaktu wzrokowego, siedział przygarbiony z rozstawionymi nogami i wyglądał przez swoje okno. Alice wiedziała, że korci go, by powiedzieć, że powinni pojechać FDR<sup>3</sup> zamiast Pierwszą Aleją. Wiedziała również: jeśli tylko otworzy usta, to przypomni mu o Beth, która zadzwoniła z Whitmana i szczebioczącym głosem poinformowała Olivera, iż

znaleziono rozmazy, a więc kryzys został zażegnany. Wiedziała, że o tym wie.

Oliver znów spojrział na zegarek.

– Zdążymy, nie martw się – uspokoiła go.

Ze skórzanej torebki na ramię wydobyła wielkie plastikowe kółko do kluczy, wywołując tym pisk radości Doe, która podskoczyła na jej kolanach i natychmiast zajęła się wkładaniem zabawki do buzi. Każdy podskok zwartego ciała powodował dotkliwy ból w udach Alice. Skrzywiła się i podążyła wzrokiem za spojrzeniem męża, oddając się na pewien czas fudze dysocjacyjnej za sprawą reklamy przedstawiającej białą umięśnioną gwiazdę hip-hopu w seksownych slipkach. Za przystankiem na jadłodajni *glatt kosher* mrugał czerwony neon z hebrajskimi literami.

– A nawet jeśli się spóźnimy, mamy wyznaczoną wizytę. Muszą mnie przyjąć.

– Ach, o to ci chodzi – rzucił. – Zupełnie zapomniałem. Ciągłe nie daje mi spokoju pewien problem: skoro jeszcze nie zaczął się sezon na kraby, jakim cudem w tej knajpie są wieczory „Świat krabów”?

Powinna była wrzasnąć. Czego on od niej oczekiwał? Nie znalazła jeszcze odpowiedniej opiekunki do dziecka, w poniedziałkowe poranki żadna dorywcza opiekunka nie kiwnie nawet palcem, a jego rodzice na pewno nie przyjadą z Bakersfield, żeby im pomóc. A to oznaczało, że nie mieli wyboru i musieli zabrać dziecko, prawda? A ponieważ nie mają przenośnego fotelika, poprosiła kierowcę, żeby jechał wolno. Czy to jej wina, że uparł się jechać prawym pasem, stawać za każdą zaparkowaną na jezdni ciężarówką dostawczą i co czwartą furgonetką z pralni? Tak, to jej wina, bo ruch na Pierwszej Alei nie przypominał już poruszania się pojazdem zmechanizowanym, napędzanym benzyną bezołowiową. Przypominał raczej osmozę. Albo ruch w polu magnetycznym.

– Mój słodki tumanie – odezwała się. – Powodem, dla którego cotygodniowe Święto Kraba jest taką sensacją, jest to, że *nikt* nie wie, w jaki sposób restauracja zdobywa świeże kraby ze Wschodniego Wybrzeża w trzecim tygodniu stycznia. Nasyłali na nich kontrole, agencje rządowe. Magazyn „New York” wysłał reporterów, żeby ich śledzili. Cały zastęp gazeciarzy siedzi w furgonetce naprzeciw ich rampy i obserwuje ją przez teleobiektywy. Druga ekipa obserwuje wejście przez teleskop zamontowany na dziewiątym piętrze biurowca po drugiej stronie ulicy...

– „New York” nie ma nic lepszego do roboty?

– *Nikt* nie ma nic lepszego do roboty – roześmiała się. – To prawdziwe szaleństwo! Mówię ci, że każdy bywalec z trzech okolicznych stanów chce wziąć udział w magicznym gotowaniu krabów. Ludzie tłoczą się do tych długich jak w parku stołów, o których piszą w gazetach. W kolejce stoi plebs i celebryci, wszyscy rozłupują skorupki gołymi rękami i ostukują szczypcę małymi młoteczkami. Odłamki skorupki i krabie flaki fruują w powietrzu, a jedyna rzecz, o której rozmawiają, to ta, kto z kogo robi balona.

Chrząknięcie Olivera oznaczało powściągliwe zainteresowanie, a nawet rozbawienie.

– Założę się, że przywożą je samolotami z Australii.

Zachodnią stronę York Avenue pomiędzy Sześćdziesiątą Siódmą a Sześćdziesiątą Ósmą wypełniał piaskowiec, wapień i marmur. Wyraźnie rysowały się pozostałości po wcześniejszych wcieleniach tego budynku: gotyckie witrażowe okna, katedra z iglicą stojącą pośrodku kompleksu, ustawione naprzeciw siebie posągi Najświętszej Marii Panny z rozłożonymi ramionami, przyjmującej wszystkich potrzebujących. Barokowy wystrój kończył się na wieżyczkach strzegących każdego rogu, dalej były tylko stal i szkło blokujące widok na szare jak pomyje niebo.

Alice przypomniała sobie, że powinna oddychać. Dopóki będzie oddychała, czas nie

stanie w miejscu, a ona przez to przejdzie. „Każdy dzień przynosi kolejne upokorzenia” – mówiła do siebie w duchu. To od niej zależy, czy je przyjmie.

Poklepała Doe po głowie, po rosnących włoskach. Meszek wydawał się jedwabisty pod palcami. Przycisnęła lekko dłoń do główki, starała się wchłaniać każde wrażenie. Doceniać każdy dotyk. Malutka wyglądała jak lalka w puchowym różowym kombinezonie od mamy Olivera. Alice pocałowała Doe w czubek głowy. Podniosła maleńki kapturek z różowym misiem i otuliła główkę córki, nie śpieszyła się, żeby ją oddać Oliverowi, który już wysiadł z taksówki i czekał z torbą na ramieniu.

Stojąc przy krawężniku, zatoczyła się od uderzenia wiatru znad East River i ukryła twarz w klapach płaszcza, przyglądając się znikającemu oddechowi. „Rób najprostsze rzeczy” – upominała się. Stawiając mocno stopy na ziemi, podeszła do bagażnika taksówki; kierowca wyjmował z niego spacerówkę.

– Przyda mi się każda pomoc – podziękowała mu Alice.

Odpowiedział jej łagodnym spojrzeniem; była wstrząśnięta. Nie zdążyła się przygotować na tak jawne współczucie. Wiatr wył naprawdę mocno, niebieskie kosmyki peruki przesłaniały jej oczy. Przyklękła, by rozłożyć wózek. Dwa szarpnięcia we właściwych miejscach i spacerówka ożyła; ta jej skwapliwość prawie uzasadniała absurdalnie wysoką cenę. Instynkt podpowiadał Alice, że powinna odebrać córkę, ale Oliver już sadowił Doe w wózku. Widząc jego troskę – dosyć nieumiejętną, ale pełną miłości – Alice odprężyła się odrobinę.

– Rozlicz się z taksówkarzem – powiedziała. – Nie wzięłam pieniędzy.

Nie czekając na odpowiedź, przejęła wózek – to było samolubne, zgadza się, i musi oszczędzać siły. Mimo to pchnęła spacerówkę ku rozsuwanym drzwiom. Była już w połowie drogi, mijając tłumek lekarzy, którzy zrobili sobie przerwę na papierosa, gdy zbliżył się do niej strażnik... żeby zaproponować fotel na kółkach?

– Uwielbiam przyglądać się mamom rozkładającym te pojazdy dla dzieci – powiedział i zrobił dwa szybkie ruchy dłońmi jak w kung-fu. – RACH-CIACH.

Na kamieniu węgielnym wyryto napis: „Parafia Santa Maria 1896”. Ozdobny marmurowy łuk z małą płaskorzeźbą przedstawiającą zakonnice i duże modernistyczne litery z przemysłowej stali, jakby wyjęte z kontekstu: „Pamięci Walta Whitmana”. Marmurowe, poźółkłe od upływu czasu mury wydawały się jeszcze starsze z powodu oświetlenia. Takie lampy nadawały ciepło pewnym typom hal – dużym otwartym pomieszczeniom, na przykład poczekalniom na dworcach. Jakaś kobieta i mężczyzna prowadzili przez wejście starszkę tak wiekową, że wyglądała jak mumia – wszyscy troje szukali, zdaje się, jakiejś konkretnej windy. Ludzie w chirurgicznych strojach przemykali obok, niosąc bajgle i kawę. Przy ruchomych schodach zatrzymywali się przechodnie, chwyтали poranne bulwarówki sprzedawane przez niewidomego i brali resztę z jego czapki Knicksów.

Pod jedną z obwisłych paproci Alice dostrzegła mężczyznę w jasnoniebieskiej piżamie – czekał na kogoś, przyglądał się wchodzącym i wychodzącym przez główne wejście. Nie miał zuchwy. By nie wpatrywać się w tę zdeformowaną twarz, przesunęła wzrok i trafiła na dżentelmena w najmodniejszym w tym sezonie trzyczęściowym garniturze: pchał chłopczyka na wózku. Chłopiec miał plamy na głowie, takie same łaty, jakie miała Alice, zanim Oliver użył trymera.

Zacisnęła mocniej dłonie na rączkach wózka. Zalała ją fala bolesnych i niepohamowanych wspomnień: ostra woń śmierdzących płynnym plastikiem chirurgicznych rękawiczek, kostki lodu grzechoczące w ustach – to wspomnienie było tak żywe, że niemal poczuła chłód na zębach. Oczyma duszy ujrzała pocztówkę z baletnicą przypiętą przez Olivera naprzeciw jej łóżka. Czuła się wtedy tak słaba, że samo leżenie wydawało się katorgą, tak słaba,

że niezamykanie oczu wyczerpywało ją do cna, podobnie jak wpatrywanie się przez długi czas w tę cudowną postać, koncentrowanie na niej myśli, na jej figurze i sile. Przypomniała sobie nagle jakieś popołudnie, gdy obudziła się z drzemki, przetarła oczy i w szpitalnej sali w New Hampshire ujrzała Tildę, swoją matkę i Doe – wszystkie spokojnie spały, zwinięte na fotelach i na rozkładanym łóżku. Przypomniała sobie myśl, że musi na nie patrzeć, przyglądać się, jak śpią, że musi zapamiętać widok tych trzech zdumiewających kobiet, musi pozostać w tamtej chwili i chłonąć to doświadczenie, bo nie wie, ile razy będzie jeszcze jej dane i czy w ogóle.

Miała też inne wspomnienia: wyszarpywanie wtyczki pompy infuzyjnej, pchanie kroplówki do łazienki i spuszczenie siatkowych majtek szpitalnych. Zdążyła przykucnąć w samą porę, by wyrzucić z siebie wybuch rozwolnienia wprost do plastikowego pojemnika, który umieszczali na muszli. Poczowała ulgę, że znów się udało, że tym razem się nie obsrała. Czuła się wypróżniona, bo nic w niej nie zostało, czuła, że krwawi z pochwy i krwawi z odbytu, a potem jej trzewia skurczyły się po raz kolejny, wysrywając następną eksplozję.

Niepojęte. I to wszystko znów się zaczyna. Znów do tego wróciła.

– To, wiesz, wizyta zapoznawcza – powiedział za jej plecami Oliver.

Kiwnęła głową.

– Mam podobne zdanie.

– Nie ma się czym przejmować, z wyjątkiem tego, co tuż przed nami.

Ścisnęła jego dłoń. Zebrała się w sobie, przełknęła i powiedziała:

– *Tu esta mi favorito.*

– *Tu esta mi favorito* – powtórzył.

I powędrowali dalej, kierując się notatkami Alice, przepychając się przez hol z rękoma na uchwytych wózka: chora kobieta w niebieskiej peruce, jej elegancki, krótko ostrzyżony mąż i ich dziecko – mała spokojna rodzina, kurcząca się, podążająca przed siebie.

## Tak, wszystko przebiega zgodnie z planem

Jasna karnacja kojarzona zazwyczaj z kreolskimi przodkami. Drobna ładna twarz, czarne włosy ściągnięte bardzo ciasno do tyłu dla podkreślenia delikatnych jak szkielet ptaka rysów, oczy małe, brązowe, całkowicie bez wyrazu. Na górnej wardze lekki meszek. Spojrzała na perukę Alice i uśmiechnęła się uprzejmie, lecz zdawkowo. Przedstawiwszy się, zapytała, czy synek, czy córeczka i w jakim jest wieku, a Alice przez cały czas miała wrażenie, że patrzy na dziewczynkę, która bawi się w dorosłą, przebijając się w ubrania mamy.

Alice musiała się upewnić, że nie drżą jej dłonie, ale zdołała zapisać w notesie „Culpepper” oraz mniejszymi literami „stażystka?”. Bez dalszej zwłoki panna Culpepper poprowadziła rodzinę krótkim korytarzykiem za rejestracją. Na ścianach wisiały oprawione w ramki poźółkłe fotografie z dawnych czasów: zakwefione zakonnice zajmujące się imigrantami, pielęgniarki z utapirowanymi na ul włosami pomagające chorym. Na początku korytarzyka stała otyła kobieta, podparła się krzeselkiem na kółkach jak balkonikiem; chowała brązowe koperty do szafki na akta.

– Przed wizytą u lekarza – odezwała się piskliwie panna Culpepper – muszę się upewnić, że cała pani dokumentacja jest w porządku.

Wprowadziła ich do niskiego pomieszczenia podzielonego na boksy i w jednym z nich przyciągnęła sobie krzesło. Na blacie biurka stał pudełkowaty komputer – plastik obudowy wyblakł do barwy zwarzonego mleka – obok otwarty karton soku pomarańczowego i kilka wymyślnie oprawionych zdjęć przedstawiających tę samą dziewczynkę: uśmiechającą się w spódniczce baletnicy i uśmiechającą się do lalek.

– Ma taką samą cudowną cerę jak pani – stwierdziła Alice.

Panna Culpepper zamrugnęła kilkakrotnie, jakby nie wiedząc, co odpowiedzieć. Potem znów pozwoliła sobie na lekki uśmiech, usiadła i wygładziła przód spódnicy. Kilka uderzeń w klawiaturę uruchomiło stojącą za nią na podłodze drukarkę wielkości małej lodówki, zmuszając ją do wydrukowania dwóch kartek.

– Proszę to przejrzeć. Jeśli informacje się zgadzają, szpital wymaga, aby podpisała je pani obie. Pierwszy dokument upoważnia nas do wystawienia faktury i wysłania jej do pani ubezpieczyciela. Proszę podpisać o tu, obok samoprzylepnej karteczki.

Alice ścisnęła długopis. „Wykonuj proste czynności”.

Panna Culpepper znów uderzyła w klawisze. Wydrukowała się następna kartka.

– To formularz na wypadek, gdyby pani ubezpieczyciel nie pokrył kosztów lub odmówił płatności. Bierze pani na siebie odpowiedzialność za uregulowanie opłat.

– Nie rozumiem – przerwała jej Alice. – Nasza polisa pokryła większość kosztów z New Hampshire, moją pierwszą chemioterapię. Nie ma powodu, żeby przypuszczać, że teraz może być inaczej.

Dziecko zagaworzyło i zaćwierkało w wózku. Mrugały trzy światełka połączeń nadchodzących na telefonie stojącym na biurku.

– Obok karteczki samoprzylepnej – powtórzyła panna Culpepper.

Oliver pochylił się nad biurkiem, jakby na to czekał.

– Mam pełnomocnictwo żony, żeby porozumiewać się z wami w tych sprawach. Przesłałem je faksem przynajmniej trzy razy. Jestem pewny, że dostała pani kopię. – Uśmiechnął się do niej, jak mu się wydawało, czarująco. – Panno Culpepper, moja żona ma dosyć innych problemów. Jestem pewny, że pani i ja zdołamy wszystko załatwić na osobności.

Panna Culpepper zrobiła wielkie oczy, choć nie było po niej widać specjalnego



zaangażowania czy zainteresowania. Przygryzła wargę.

– Tu, w Whitman, oferujemy znaczną pomoc finansową tym spośród pacjentów, którzy się do tego kwalifikują. – Odchrząknęła. – Kiedy nadejdzie pora, jeśli nadejdzie, i uznają państwo, że potrzebują pomocy, służę odpowiednimi formularzami.

– Więc to oznacza, że nasze ubezpieczenie jest okej? – zapytała Alice.

– Polityka tego szpitala wymaga, aby przed wizytą u lekarza podpisała pani ten formularz.

– Nie odpowiedziała pani na moje pytanie – zauważyła Alice.

– Pozwól, że ja się tym zajmę – powiedział Oliver. – Dobrze?

Tak, wszystko działo się zgodnie z planem. Alice pamiętała nawet, żeby oddychać. Oddychała zwłaszcza teraz, wypuszczała z siebie zmartwienia niczym gołębicę na wykwintnym weselu. Po raz trzeci od zgłoszenia się w rejestracji przeproszała za zamieszanie z rozmazami z Dartmouth. Powiedziała Beth, że nigdy nie wątpiła, że wszystko się wyjaśni, i podziękowała jej jeszcze raz za cierpliwość i kompetencje i – owszem, zgodziła się – to naprawdę miłe, gdy pozna się kogoś osobiście po tylu rozmowach telefonicznych; miała wrażenie, że już dobrze zna Beth.

Naprzeciw niej wisiały tabliczki informujące o dużym ryzyku infekcji wśród pacjentów, zwrócono uwagę, aby rejestrujący się pacjenci informowali personel o objawach przeziębienia oraz zmianach skórnych. Trzymając w ręku skierowanie na badanie krwi, Alice odwróciła się połową ciała od biurka i zapisała w notesiku – z odstępem dwóch linii od notatek na temat Culpepper – kilka słów o Beth.

„Wszystko będzie dobrze”.

Druga rejestratorka była zajęta szkoleniem nowego narybku, więc za Alice ustawiła się spora kolejka; dwie starsze panie narzekały na straszny ruch i martwiły się wspólnie, że nie zdążą na wizytę. Alice wyprostowała się i przeszła między nimi, przepaszając je z czcią należną królowym. Czula bez troskę, jakby w jej głowie tańczyły i pękały miliardy bąbelków. „Chcesz sabotować samą siebie? Pchaj wózek przez cały szpital”.

Oparła się o krzesło, otarła czoło, poprawiła maseczkę na twarzy i w ogóle się nie śpiesząc, rozpięła, zdjęła i złożyła zimową kurtkę.

„Ciało może tyle, ile może”.

Na długiej koszulce termicznej miała obcisły jasnożółty podkoszulek. Na piersi krzychały czarne naprasowane litery: DOBRE DZIEWCZYNKI IDĄ DO NIEBA. BLONDYNKI IDĄ WSZĘDZIE. Do tego dzinsy Thierry Muglera, strategicznie pocięte brzytwą, i wojskowe buty na trzycalowej czarnej gumowej podeszwie, związane w połowie łydki. Upewniła się, że peruka, niebieski metalik, trzyma się bezpiecznie na głowie. Wyprostowała się, choć nie za bardzo, i uniosła podbródek, choć nie za wysoko – wiedziała, jak się to robi, z pokazów mody, gdzie dopasowywała i zszywała sukienki w ostatniej chwili, gdy projektanci wykrzykiwali instrukcje dla modelek. Przełknęła gorycz gromadzącą się na tylnej ścianie gardła i trzymając pod pachą pękata czarną ośmiornicę puchowej kurtki, skupiła się ponownie na stawianiu kroków i zachowywaniu równowagi. W ten sposób weszła do poczekalni, całej w pastelowych barwach niczym przyjęcie w ogrodzie z dominującą łagodną zielenią i impresjonistycznymi pejzażami na ścianach.

„Poczekalnia raka krwi” – tak o niej pomyślała.

Golfy i pasy elastyczne, fryzury afro starszych pań i niebieskie chirurgiczne rękawiczki, brzuchy i obwisłe indycze podgardla, maski tlenowe i pompy infuzyjne z przezroczystymi plastikowymi rurkami. Starsi – w większości – ludzie, leżący albo siedzący sztywno na wygodnych sofach, dłonie z wątrobianymi plamami albo w rękawiczkach, poruszające się nerwowo, oczy zerkające na wszystkie strony albo oczy opuszczone. Siedzieli w małych grupkach, a najczęściej w parach. Kto chciałby przechodzić przez to sam?

Na najbliższej sofie jaskrawy szalik wokół głowy otylej kobiety. Jedno zerknięcie ukazywało przerażający widok: obrzmiałe czoło, czerwona zaogniona cera, wielka gaza na lewym oku i wszechobecna tu jasnoblękita zbójcka maska na nosie i ustach. Gdy Alice przechodziła obok niej, kobieta uniosła zdrowe oko znad *Czasu zabijania*. Jej maska poruszyła się, ledwo maskując szeroki uśmiech. Szturchnęła łokciem męża: siwa szczecina uniosła się znad *Firmy* w twardej oprawie. Spojrzał na Alice i też się uśmiechnął, ucieszył się.

Minęła pacjenta na noszach, znudzony sanitariusz puścił do niej oko.

Minęła lekarza pochylającego się nad dwojgiem gruszkowatych emerytów: tłumaczył im cicho, że minie przynajmniej pół godziny, zanim nadejdą wyniki.

– Może zejdą państwo na śniadanie? A po powrocie proszę powiedzieć w recepcji, żeby mnie powiadomiono.

Jakiś mężczyzna podniósł głowę: chudy jak patyk, powykręcany, z groteskowym garbem. Miał szarą, właściwie zielonkawą cerę i lśniące zapadnięte oczy, które ożywiły się i niemal błysnęły radośnie, gdy powiodł za nią wzrokiem.

Zauważyła nienagannie ubraną parę Japończyków, którzy też się w nią wpatrywali. Kobieta miała świetne botki, Alice dałaby wszystko za takie buty.

Jeśli ci ludzie zrozumieli cokolwiek z jej buntu, byłyby najszcześliwsza. Pasjami uwielbiała się buntować. „Niech ich Bóg błogosławi” – pomyślała.

Oliver trwał na posterunku we wnęce w rogu. Alice nadeszła, była zmęczona i rozradowana, i bardzo pobudzona, gotowa płakać, rzygać, krzyczeć.

– Muszę pamiętać, że wszyscy mają własny czas i własną podróż – oznajmiła. – Ale *ich* położenie nie jest moim położeniem. Jestem młoda i silna i mam wielką szansę z tego wyjść.

– Oczywiście, że tak – potwierdził Oliver. – Wyjdiesz z tego.

Wyjęła dziecko z rąk męża: Jagódka się wierciła. Codzienny kontakt z tabunami pielęgniarek i lekarzy zrobił z niej niezłą flirtującą, specjalistkę od wyszukiwania wzrokiem nieznanym; ale ta poczekalnia za bardzo ją pobudzała, Jagódka stawiała się marudna. Mamusia. Potrzebna jej mamusia.

Alice oparła główkę córeczki na dłoni. Przytuliła ją do piersi. Doe otworzyła szeroko oczy, wodziła nimi na prawo i lewo. Potem otworzyła usta, ukazując różowe górskie pasma bezzębnych dziąseł, i kierowana instynktem, pochyliła się ku piersi.

Alice odsunęła ją łagodnie i zakołysała córeczką, cmokając czule. W pokrytej grudkami ziemiaka twarzy Jagódki z radością rozpoznawała nos Olivera, jego mocno zarysowane wymowne brwi i odstające uszy. Była rozczarowana, że dziecko nie uniknęło przekleństwa niezbyt wydatnego podbródka mamy. Niemniej jednak Doe była wyraźnie sobą i, co ciekawe, wypełniała założenie jednego z powtarzanych do znudzenia banałów z podręczników dla matek: jej łysawa główka, wędrujące oczy i różowa buzia należały do niemowlęstwa, owszem, ale także do przodków. W gruncie rzeczy jej podobieństwo do wielu z tych starszych siedzących w poczekalni ludzi było niepokojące i przywiodło Alice do jakichś mrocznych, głęboko skrywanych skojarzeń wywołujących nieopisane przerażenie.

Za Oliverem, tuż nad jego ramieniem, wisiała mosiężna tablica upamiętniająca ukochanego patriarchę, którego rodzina ufundowała to skrzydło. Powietrze było suche i chłodne, co przeciwdziałało rozprzestrzenianiu się zarazków – Alice już o tym wiedziała. Stolik zaścieniały antykwaryczne numery czasopisma „Schlep” („Dla starszych odchodzących Żydów”). Oliver bez powodzenia namawiał Doe, by wypila mleko. Miał także butelkę dla Alice. Dałaby wiele za łyk wody. Upchnęła głęboko wszystkie swoje obawy i wycelowała plastikową buteleczkę w otwarte usta córeczki.

– Zamiast nie zgadzać się na to, by być tutaj... – pociągnęła nosem – ...powinam

powiedzieć sobie: „Tutaj będzie mi lepiej”.

Oliver pogłaskał ją po ramieniu.

– Jeśli magazyn „New York” poświęcił tyle czasu i nakładów na śledzenie Black Tide – powiedział – pewnie znają już odpowiedź w sprawie krabów.

Czekał na jej reakcję z obojętnym wyrazem twarzy, co wprawiło Alice w konsternację. Gotowa była się rozpaść. Zamiast tego zdusiła śmiech.

– Nie dałabym sobie rady bez ciebie. – Otarła łzy z kącików oczu. – Wiesz o tym? Wiesz, *tu esta*?

Pocałował jej dłoń. Szepnął:

– *Tu esta*. – Po chwili dodał: – Naprawdę. Tyłu reporterów! Musieli coś odkryć!

Oni odkryli natomiast, że troje nowych młodych ludzi zatrudnionych przy przyjmowaniu chorych było obłożonych pracą jak stąd do Duluth, że wszystkie pokoje zabiegowe były zajęte, a gdy pojawiał się któryś z lekarzy w białym kitlu i drogim krawacie, konsultował coś szybko z pielęgniarką i biegł dalej. Nie trzeba było mieć planszy Ouija, żeby wydedukować, że upłynie długa chwila, zanim wezwą Alice na badanie krwi, nie wspominając już o samej wizycie. Zabijali czas, grając w wisielca – Alice wygrała pierwszą partię dzięki „jagódce” (Oliver pochwalił ten wybór jako doskonały), w drugiej Oliver odpowiedział słabym „plum” (które rozwiązała w mgnieniu oka, popełniając zaledwie jeden błąd, który kosztował ją tylko głowę). Alice podniosła Doe i obróciła ją, by powąchać jej pupę. Zastanawiała się, czy nie powinni poczekać z przewinięciem, aż dostaną się w końcu do pokoju zabiegowego (kosz na odpady radioaktywne nadawałby się idealnie na pieluchy). Oliver wstał i poszedł do umywalki w korytarzu, żeby umyć ręce; robił to co dziewięć minut, chociaż niczego nie dotykał oprócz swojego długopisu. Poprosił pielęgniarkę o gumowe rękawiczki i nadmuchał je jak balony z wystającymi niebieskimi palcami. W New Hampshire to działało, odwracało uwagę dziecka, ale tu hipnotyzujący efekt skończył się po kilku minutach. W New Hampshire Oliver i Alice spędzili ze sobą Bóg wie ile czasu na leżeniu razem w szpitalnym łóżku i graniu w remika. Teraz będą pamiętali, żeby zawsze zabierać ze sobą karty.

Pomiędzy wypadami do umywalki, robieniem sztuczek i przegrywaniem w wisielca Oliver rozkoszował się wraz z Alice widokiem ich małego cudu oczarowującego wszystkich na trzecim piętrze wschodniego skrzydła, więc wciąż zwlekali ze zmianą pieluchy, ciężkiej już od zielonkawej brei, którą Oliver z lubością określał mianem dania *chana saag*. Wspominali swoje wyglupy w sali szpitalnej w New Hampshire i nie mogli uwierzyć, że potrafią myśleć z nostalgią o tym obłąkanym okresie, uznali przy tym, że mają szczęście, tworząc we dwoje zdumiewający związek, że bawią się wspólnie w tym głupim pokoju w tak koszmarnych okolicznościach. Uznali więc, że poradzą sobie i z tym bałaganem, przetrwają i będą to wspominali ze śmiechem. Alice podniosła numer magazynu „New York”, który przeglądała w poczekalni. Powiedziała, że szpiedzy pisma rzeczywiście coś odkryli, a mianowicie dodatkową piwnicę – tajny bar z czasów prohibicji, do którego wchodziło się przez klapę w podłodze Black Tide. Problem w tym, że dokonawszy tego odkrycia, odmówili odpowiedzi na zasadnicze pytanie o pochodzenie krabów.

– Szum medialny dla samego szumu? – Oliver machnął ręką. – Ciekawe, czy Black Tide kupuje u wydawców „New York” przestrzeń reklamową w pakiecie?

– Naprawdę uważasz, że kogoś obchodzi, skąd biorą te kraby? Czy przywożą je z Timbaktu? – Alice pokręciła głową. – Ludziom zależy na aurze tajemniczości. To im się podoba.

Przez poczekalnię kuśtykał mężczyzna, Alice zauważyła go już wcześniej – był powykęcany, prawy bark miał uniesiony. Przystanął przed nimi. Szara skóra pokrywająca czaszkę była mocno napięta, wszystkie tłuszczowe osłony dawno zostały spalone, a kości

policzkowe prawie przecinały cienką jak papier zewnętrzną powłokę. Miał dziwne oczy: piwne kamyki zatopione w oczodołach. Spojrzał na Doe.

– Ależ jesteś piękna. Cudowna! – powiedział i zwrócił się do Alice: – Ile już ma? Pięć miesięcy?

– Sześć, tak.

– Gdy się patrzy na takie maleństwo, wracają dobre wspomnienia.

Dodał jeszcze, że Alice wygląda *wystrzalowo*, a jej nastawienie ma ogromne znaczenie. Podziękował Oliverowi za propozycję zajęcia miejsca na sofie, ale musiał odmówić, gdyż – jak wyjaśnił – sofy są zabójcze dla jego kręgosłupa; w domu ma specjalny ergonomiczny fotel biurowy, ale to i tak niewiele pomaga. Przedstawił się jako Cael i zapytał, do którego lekarza zapisana jest Alice.

– Mają tu doskonały personel, robią wszystko, co w ludzkiej mocy.

Alice starała się uśmiechnąć, ale Cael wyczuł jej niepokój.

– Tak, wiem. Przepraszam. Bycie tutaj to główniana sprawa. W moim przypadku trwa to już z przerwami sześć lat, dwa razy w tygodniu przyjeżdżam tu z Syosset. Miałem chemioterapię. Naświetlania. Leki eksperymentalne. Brachyterapię. Magiczne fasolki. – Zachichotał i skrzywił się. – Za każdym razem byłem pewny, że go załatwili. Zawsze mówią, że terapia przebiega dobrze. Zaczyna się remisja, człowiek jest silniejszy i kawałek po kawałku odbudowuje sobie życie. Potem coś szwankuje. Robią testy. Dzwonią. Och, plamka wróciła. Plamka się rozprzestrzenia. Czwarte stadium. – Opamiętał się. – Chryste, jesteś nowa. Ostatnie, czego ci trzeba, to te moje rzygi. Powinienem wiedzieć, przepraszam...

– Niech pan nie będzie niedorzeczny. – Alice usiłowała się uśmiechnąć, ale miała skurcz żołądka.

– Z tobą będzie inaczej, czuję to. Masz śliczne dziecko.

Chciał być wspaniałomyślny, uśmiechnąć się wspaniałomyślnie, ale mu nie wyszło. Wiedział, że nie powinien się odzywać, ale nie umiał przestać mówić.

– Guz owinął mi nerki. Kto by pomyślał, że rak może zrobić coś takiego! To idiotyczne. Czasem wydaje się człowiekowi, że zdoła przemówić mu do rozsądku, że wystarczy mu wytłumaczyć, żeby nie rósł tak szybko, bo wykończy nas oboje. Nie może przecież żyć i być szczęśliwym guzem beze mnie. Została mi jeszcze tylko chirurgia specjalna. Mój lekarz nawet nie chce o niej słyszeć. Mówiąc szczerze, trudno mu się dziwić, bo operacja polega na tym, że wyjmuje się jedną nerkę, usuwa fragment guza owinięty w tej części ciała, a potem wysysa próżniowo resztę. Mój lekarz mówi, że umrę na stole operacyjnym. Ale jeśli tego nie zrobią... – Cael wyjął z tylnej kieszeni spodni jakiś zwinięty dokument, strzepnął go przed nimi. – Podpisałem zgodę, uwolniłem szpital od wszelkiej odpowiedzialności, co tylko chcieli. Jak mi się poszczęści, może dzisiaj ich przekonam...

Bez powodzenia udawał odważnego, podobnie jak Alice. Wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze. Zmusiła się do bezruchu. Robiła, co mogła, żeby nie opuścić oczu, żeby wyjść na spotkanie tego człowieka.

Cael przełknął ślinę. Nie uśmiechał się już, jego źrenice stały się czarne, niezgłębione.

## Terapia, o której mówimy

Wymagane pukanie do drzwi było pytaniem („Wszystko w porządku?”) i ostrzeżeniem („Bo wchodzi”). Onkolog zamknął za sobą drzwi i dołączył do zgromadzonych w pokoju. Lekarz Alice z New Hampshire wyglądał tak, jakby wycięto go z katalogu lekarzy; ten – doktor, który teraz przejmie opiekę nad nią i zacznie leczenie – wyglądał tak, jakby wycięto go z droższego katalogu, wydrukowanego na kredowym papierze i z wyższymi cenami. Mierzył nieco ponad sześć stóp, był dobrze zbudowany, miał gęste czarne włosy z przedziałkiem z boku, lekko wilgotne albo potraktowane żelam. Lekarz medycyny Howard Eisenstatt nie był ani tak stary, ani zgrzybiały, jak by wskazywało jego nazwisko. Pociągła blada twarz z cieniutką warstwą dziecięcego tłuszczu, małe, piwne, głęboko osadzone oczy emanujące inteligencją, długi cienki nos.

Nie zwróciwszy uwagi ani na pielęgniarki, ani na innych lekarzy w pokoju, podszedł do Alice, uśmiechając się w sposób, który nie był serdeczny, ale nie był też nieszczerzy. Miał mocny, pozbawiony ciepła uścisk dłoni. Spod rękawa kitla i śnieżnobiałego francuskiego mankietu koszuli wylaniała się połówka masywnego tytanowego zegarka z najwyższej półki. Podszedł do Olivera i przedstawił się w podobny sposób. Dopełnił obowiązku umycia rąk i ruszył do biurka, zerknąwszy obojętnie na pusty dziecięcy wózek, składane krzesło zarzucone okryciami, torbami, swetrami z wiszącymi rękawami i jednym maleńkim żółtym jednorożcem.

Obok tej stery siedział Oliver. Alice dopiero teraz zdała sobie sprawę, że usiadł na świętym lekarskim stołku i podpierając się czubkami butów, zataczał wraz z maleństwem powolne półkola. Dziecko gaworzyło, trzymało krawędź kołderki i ssało z zachwytem smoczek. Doe zorientowała się, że ktoś na nią patrzy, więc odwróciła głowę od ojca i spojrzała na nowo przybyłego miłego pana w białym kitlu.

Lekarz medycyny Howard Eisenstatt po raz drugi rozciągnął wąskie wargi w lekkim uśmiechu. Uniósł nogę, przysiadł na krawędzi biurka i podciągnął kanty spodni, odsłaniając cienkie drogie skarpety, idealnie dopasowane do szarego odcienia spodni. Zerknął na podkładkę do pisania i wyjął długopis z kieszeni na piersi kitla. Kilka prób nie uruchomiło długopisu. Poślinienie końcówki również nie pomogło. Doktor opuścił głowę, ukazały się mięsiste fałdy podwójnego podbródka. Eisenstatt zamrugał do długopisu, jakby mruganie było najlepszym sposobem wyrażenia rozczarowania i jakby wyrażenie rozczarowania mogło zmotywować tusz.

– Nie udało nam się załatwić opiekunki – powiedziała Alice.

Siedziała sztywno wyprostowana na podniesionym stole zabiegowym, opuściwszy lewe ramię pomiędzy zwisające nogi. W zgięciu łokcia miała wbity wenflon, a do przedramienia przylepione przejrzyste plastikowe rurki. W tym samym korytarzu pracowała milcząca kobieta w hidżabie, zatrudniona wyłącznie do brutalnie monotonnego wkłuwania wenflonów i pobierania krwi od chorych na raka. Potrzebowała trzech prób, żeby wbić się w żyłę Alice. Liczba tych prób zaniepokoiła Alice z powodów, o których wołała nie myśleć („Znaleziono żyłę, idźmy dalej”). Wenflon był potrzebny, jak tłumaczyła Fatima, „do ewentualnej transfuzji, którą mogą zaordynować lekarze. Wszystko działa bez problemu”.

Przyglądając się walczącemu z długopisem lekarzowi, Alice miała ochotę pomajtać nogami i rzucić ze stóp różowe skarpetki. Musiała zdjąć buty, żeby druga pielęgniarka – Requita? – mogła ją zważyć. Została w skarpetkach, żeby jej gołe stopy nie weszły w kontakt z jakimikolwiek zarazkami. A poza tym w pokoju zabiegowym było chłodno.

– Wszystko w porządku? – zapytał Eisenstatt. – Wiem, że długo pani czekała. Może wody?

Jakiś szelest za ich plecami – Requita zaczęła szukać papierowego kubka. Wyszła. W tej samej chwili do pokoju weszła inna kobieta, Latynoska w średnim wieku z kręconymi włosami, wbita w obcisły i dosyć pospolity zestaw składający się z bluzki i spodni. Podała Eisenstattowi działający i elegancki na oko pisak, który wyjęła ze swojej przeładowanej kieszeni na piersi. Alice dwukrotnie przyjrzała się laminowanej szpitalnej plakietce wiszącej na szyi kobiety na jasnofioletowej smyczy. „Dantelle? Tak, Dantelle”. Była tu już wcześniej. Dyplomowana pielęgniarka – skrzyżowanie pielęgniarki z lekarką. Przeglądała wtedy historię choroby Alice, wyraziła zrozumienie w kwestii opieki nad dzieckiem i wcale nie zachowywała się protekcjonalnie czy sztucznie.

– Tak, proszę o wodę – odpowiedziała Alice. – Dziękuję, panie doktorze.

Pod wiszącymi szafkami i półkami stała ostatnia osoba z tego zgromadzenia: urodziwa Hinduska, niemal tak wysoka jak Eisenstatt, ale wiotka jak kobiety ze świata Alice. Miała gęste długie włosy – wyprostowane prostownicą w modny sposób – oraz wypukłe żyły na szyi od nadmiaru ćwiczeń. Doktor Bhakti była wizytującym pracownikiem naukowym, specjalizującym się w terapii nowotworów. Ona weszła tu wcześniej, przedstawiła się i omówiła pobieżnie kwestię transplantacji szpiku, mierząc jednocześnie wzrokiem strój Alice. Raczej niewinnie, ale mimo wszystko. W każdym razie Alice zwróciła na to uwagę.

W tej chwili siedziała na końcu zabiegowej lady i piłowała paznokcie. Jej botki spodobały się Alice jako drugie tego ranka, co stanowiło widomy znak, że ktoś powinien sprawić sobie nową parę zimowych butów.

– Rozwiązaliśmy problem z pani rozmazami. – Eisenstatt czytał bez specjalnego zainteresowania kartotekę Alice. – Więc mamy pewien postęp. – Przerzucił kartkę na podkładce. – Wszystko wskazuje na to, że w Dartmouth-Hitchcock świetnie się spisali. Doprowadzenie pani do takiego stanu to spore osiągnięcie. Ale jest jeszcze kilka spraw, które chciałbym omówić. Czy możemy się zatem cofnąć do pierwszych objawów, zanim...

– Czy pielęgniarka tego nie zapisała? – przerwał mu Oliver. – Troje ludzi spisywało historię choroby i żadne z nich nie zanotowało tego, o co pan pyta?

– Nie chcę sprawiać trudności – powiedziała Alice. – Jesteśmy wdzięczni, że możemy tu być. Ale wracamy do rzeczy, o które pytano mnie już wiele razy.

Eisenstatt klepnął się w czoło niczym dziewiętnastowieczny dżentelmen uznający pomyłkę.

– Wiem, to obłąd. Ale spotka się pani z tym częściej. Standardowa procedura medyczna. Nieustannie powtarzamy sobie wspólnie pewne sprawy. Kryje się za tym pewna idea: nie możemy wykluczyć, że przypomni sobie pani coś innego niż to, co usłyszała od pani pielęgniarka. Jakiś detal, który pomoże doktor Bhakti lepiej zrozumieć pani przypadek. Zawsze, gdy opowiada pani historię choroby komuś z personelu medycznego czy lekarzowi, poprawiają się efekty naszych konsultacji, a każde z nas ma okazję usłyszeć wszystko na własne uszy. Wiem, że to spora niedogodność, wiem...

Począwszy od chwili przyjęcia do Dartmouth-Hitchcock aż do wypisu stamtąd, Alice śledziła liczbę swych krwinek. Uparła się, żeby zapamiętać imiona wszystkich pielęgniarek i stać się podmiotem w oczach salowych. Tu, w Whitman, po raz nie wiadomo który była w stanie zweryfikować swoją wiedzę, na przykład że w DHMC<sup>4</sup> dostała dwa leki: azytromycynę i ceftazydym na zapalenie płuc. („Dolna część lewego płata. Jestem pewna, że właśnie to mówiono o zapaleniu płuc”). Nie miała żadnych problemów z przypomnieniem sobie antybiotyków, które dostała po przyjęciu (acyklowir oraz jakieś przeciwgrzybiczne azole), czy „cytarabiny”, pierwszego leku wprowadzonego podczas chemioterapii, po nim „podano mi ten drugi, w czerwonej kroplówce. Tokso Rubikon”.

- Doksorubicyna – poprawiła ją wizytująca pani doktor.
- Tokso Rubikon jest łatwiejszy do zapamiętania – odpowiedziała Alice.

Liczyła dni do chwili, aż to wszystko się skończy, a ona i Tilda, i kilka innych dziewczyn sformują zakupowy tłumek i postawią sobie za cel wyzwolenie każdej pary seksownych botków z oków butików w Soho. Przyjmując papierowy kubek – „Dziękuję, Dantelle” – Alice pozwoliła sobie na delectowanie się ulgą sączenia letniej kranówki. Pozwoliła sobie na radość z tak błahego powodu, że doktor Bhakti znów wycofała się do swojego kącika.

Odpowiedziawszy na następne pytanie, wiedziała, że popełniła błąd, opuszczając gardę: pomyliła hydrokortyzon, maść na wysypkę na twarzy (skutek uboczny przetaczania płytek), z triamcynolonem, maścią, którą dostała po chemii na wysypkę na piersi. Ale było już za późno, obudziła czujność doktor Bhakti, dyplomowana pielęgniarka zaczęła się wtrącać, nie mówiąc już o Eisenstacie. Wszyscy ją poprawiali.

- One się czasem myślą – oznajmiła Dantelle.
  - Wspaniale pani idzie. – Głos Bhakti ociekał miodem. – Zapamiętać tyle leków!
- Alice liczyła w duchu na lizaka. Jej wina.
- Jest pani bardzo miła – odpowiedziała.

Potem wankomycyna, którą podano jej na ten okropny wrzód i infekcję skóry po przesięku z kroplówki. I to wklucie centralne – taki wenflon – uzyskane przez wenesekcję w żyłę szyjnej, żeby mogli podawać kroplówki. Kroplówka z heparyny przez dojście centralne na rozrzedzenie krwi po przesięku w ręce. Przejście z kroplówek z heparyny na tabletki lovenox, które potem zmienili na zastrzyki z coumadinu, kiedy się okazało, że jej ubezpieczenie nie pokrywa lovenoksu. Do tego przetaczanie płytek. A ile czasu upłynęło od ostatniej gorączki? Jej gehenna sprowadzała się do ścieżki farmaceutyków i procedur jak w grze Połącz kropki. Jakby mówiła o zawilościach i dokumentacji projektowej kołnierzyka bluzki, z którym sobie nie radziła. Starła się być tak dokładna, jak to tylko możliwe, mówiąc o czasie, który upływał między zjedzeniem dwóch łyżeczek pszennych płatków z kawałkami banana a skurczami pojawiającymi się z boku brzucha. Wskazała miejsce z prawej strony tułowia, tłumaczyła zmiany: skurcze, które stają się czymś innym, czymś, co ją rozpaczliwie pędziło i po czym przekonywała się, że konsystencja jej stolca jest wodnista.

Howard Eisenstatt i dyplomowana pielęgniarka wymienili znaczące spojrzenia. Eisenstatt przeczytał szybko notatkę znajdującą się w jej karcie informacyjnej, że po wprowadzeniu chemii ślady żołądkowego wirusa wykryto w rozmazach z nosa i gardła.

- Wirusy znikają zazwyczaj z upływem czasu po podaniu antybiotyków – zauważył. – Wyobrażam sobie, że mamy tu do czynienia z czymś takim.

Polecił dyplomowanej pielęgniarce pobranie następnych rozmazów.

- Jeśli wirus znów się pojawił – ciągnął Eisenstatt – musimy mieć pewność, że został w pani brzuchu. Nie chcę, żeby się pani niepokoiła. W razie czego mamy lekarstwa eliminujące wirusa. Podawane dożylnie.

- Nawet gdyby wirus przedostał się do pani krwiobiegu – dodała doktor Bhakti, podchodząc bliżej – istnieje lek znajdujący się obecnie w fazie testów, którego skuteczność jest wielce obiecująca. – Zmarszczyła nos. – Jest tylko jeden potencjalny problem. U niektórych pacjentów pojawiły się niepożądane skutki uboczne... – Zbyt późno zdała sobie sprawę z tego, co mówi. – Eee... najbardziej problematyczne... – zająknęła się – ...jest... eee... rozwolnienie. – Odczekała chwilę, a potem dodała z naciskiem: – Niebezpiecznie wybuchowe rozwolnienie.

Oliver parsknął i spojrzał na nią jak na osobę niespełna rozumu.

- Chce pani leczyć rozwolnienie żony specyfikiem wywołującym niebezpiecznie wybuchowe rozwolnienie! „W razie czego”?

Niemal odruchowo zerknął na Alice, spojrzął jej w oczy, spodziewając się niezadowolenia z tej jego dezynwoltury.

– Nie pozwolimy na to – dodał.

Mina Alice wyrażała wdzięczność i ulgę.

– Będziemy próbowali wszystkiego, czym dysponujemy – uspokoił go Eisenstatt. – W razie czego. – Posłał Bhakti pełne irytacji spojrzenie. – I nadal codziennie bierze pani zastrzyki z coumadinu?

– Mhm. Oliver, mój mąż, robi mi zastrzyki.

– Ktoś z pani krewnych chorował na raka?

Alice zetknęła dłonie i splotła palce. Oparła je na kolanach, potem zacisnęła usta.

– Mój ojciec zmarł na raka trzustki, gdy miałam jedenaście lat. – „Spokojnie. Wydech”. – Jego matka również. Była starsza, przez całe życie paliła dwie paczki dziennie, nałóg. Nie jestem pewna, jaki to ma związek z moim drzewem genealogicznym, ale można jeszcze włączyć do tego... – Przymknęła oczy i nie otwierając ich, zrobiła krótkie ćwiczenie oddechowe, rozplotła dłonie i położyła je z powrotem na kolanach, czując pod dżinsami wystające rzepki. – Panie doktorze, przez cały dzień wracam do tego... to... już... Jestem bardzo...

– Proszę się nie śpieszyć.

Opanowała się.

– Przepraszam. Poprawię się. Będę mówić dalej.

– Nie znamy przyczyny, dla której ludzie chorują na białaczkę. Żałuję, że nie umiem przedstawić pani konkretów.

– No a dziedziczenie? – Pochyliła się. – To nie jest genetyczne?

– Odnotowano bardzo niewiele przypadków dziedziczenia ostrej białaczki szpikowej – odpowiedział Eisenstatt. – Gdybym musiał zgadywać... tylko zgadywać... powiedziałbym, że takie ryzyko jest nikłe.

Alice zadrżał podbródek. Skrzywiła się, pociągnęła nosem, złapała powietrze.

– Nic jej nie grozi? – Podbródek Alice pokrył się zmarszczkami. – Mojej córeczce nic nie będzie? Nie dostanie tego?

Dyplomowana pielęgniarka przyniosła chusteczki. Alice wydmuchała nos i zdała sobie sprawę z zamieszania. Oczy dziecka jak wielkie białe spodki. Na buzi Doe malowała się niepewność, policzki oblał rumieniec, najpierw bladopomarańczowy, a potem szkarłatny. Potem policzki zacisnęły się wokół noska, malutka otworzyła buzię. Tę chwilę dobrze zna każdy rodzic – poprzedza wrzask. Powód wrzasku może być poważny, ale gdy przeżyło się odpowiednio dużo dziecięcych płaczów, proces ich narastania ku erupcji staje się w jakiś sposób ujmujący. Alice spojrzała przez łzy na równie jak ona rozbawionego Olivera. Pokazała gestem, żeby podał jej Doe.

Buzia dziecka znajdowała się zaledwie parę cali od piersi matki, gdy nastąpiło nieuniknione, rozległa się przeraźliwa syrena, donośne, wszechobejmujące, w *pluralis maiestatis*: „Wszyscy pogrążymy się w odmętach naszej rozpaczki!”.

Alice kołysała córkę, cmokała uspokajająco, stroiła miny.

Siedzący obok doktor Eisenstatt ujął palcami prawej ręki nasadę nosa. Nie miał obrączki, był bezdietnym singlem, lekarzem, na którego czeka Bóg wie ilu pacjentów. Wyglądał tak, jakby ktoś wpychał mu stringi do uszu.

– To rodzinne – wytłumaczyła Alice. – Jesteśmy beksami.

Uśmiechnęła się do córeczki, zaćwierkała do niej. Dyplomowana pielęgniarka zbliżyła się i szepnęła:

– Wszystko w porządku.



Gdy Doe się uspokoiła, Alice podjęła wątek:

– Musieliśmy wcześniej wstać, to dlatego. Między innymi. Wiedziałam, że rak pojawiał się wśród moich bliskich. Kiedy jest się dzieckiem, nieobecność najbliższych określa życie. Dziecko kształtuje się wokół tej nieobecności, wie pan? A potem, gdy się dorasta, ciągle nie wiadomo, ile lat jeszcze zostało. Wszyscy znajomi, wszyscy, których się spotyka, są zajęci odnajdywaniem się w życiu, robieniem kariery. Ja też mam swoje ambicje. Nie jestem Milutką Panią Domu. – Pociągnęła nosem, podniosła z roztargnieniem rękę. – Chciałam mieć pewność, że będę miała szansę... na... na bycie mamą. Chciałam urodzić dzieci, póki jestem młoda i mogę się nimi zająć, wychować je. Często się przeziębiam, w zasadzie ciągle chodzę przeziębiona, ale to bez znaczenia, bo dotąd byłam zdrowa. Więc myślałam sobie: „Okej, kwiatuszku...”. – Głos jej się załamał. – A teraz to...

Wpatrywała się w stelaż przy drzwiach: kartonowe pudełeczka z jasnoniebieskimi plastikowymi rękawiczkami, maseczki chirurgiczne, odkażacz do rąk. Podniosła rękę za plecami dziecka i otarła oczy rękawem termicznej koszulki. Oliver zamarł w gotowości z paluszkiem serowym owiniętym w folię.

– Jak wspominałem, nie wiemy z absolutną pewnością, dlaczego białaczka atakuje niektórych pacjentów. – Eisenstatt miał zdrową, rumianą wygoloną twarz z cieniem zarostu. – Tu napisano, że nie ma pani rodzeństwa.

– Zgadza się. – Kołysała lekko Doe. – Jestem jedynaczką.

Przy czymś pasku wibrował pager. W korytarzu za drzwiami słychać było śmiech i kroki.

Na obliczu doktora zagościł ślad jakiejś medycznej myśli. Eisenstatt rozważał ją przez chwilę. Gdy powiedział: „Okej”, jego ton był bardziej władczy, jakby to „okej” włączało jakiś przycisk. Oliver wyjął z torby szkolny kołnотatnik. Lekarz mrugnął i przełknął ślinę – z czasem Alice nauczy się rozpoznawać to jako oznaki zapowiadające dłuższą przemowę.

– Jest pani doskonale wprowadzona w terapię, to imponujące. I pomoże nam w leczeniu. Jeśli będzie miała pani jakieś pytania, śmiało. Proszę mi wybaczyć, jeśli naświetlam sprawy, o których pani już wie, ale chcę mieć pewność, że nadażamy za sobą.

Cały personel medyczny, zarówno lekarze, jak i pielęgniarki, posługiwał się takim zwięzłym stylem: krótkie zdania, szybka wymiana uwag. Podobnie było w świecie projektantów mody czy wśród dziennikarzy z czasopism – właśnie tak rozmawia się z ludźmi siedzącymi okrakiem na płocie między światem korporacyjnym a twórczym. Czas jest bezcenny. Gdy nie rozmawia się z kimś znajdującym się wyżej w hierarchii, nie ma chwili do stracenia, ma się tylko tyle czasu, żeby wyjaśnić, co potrzeba, co jest niezbędne, albo żeby zostać zrozumianym. Potem czeka się, czy rozmówca zajarzy – kiwnie głową ze zrozumieniem czy spojrzy szklanym wzrokiem. Po wyjściu przełożonego trzeba pływać albo tonąć. W świecie medycznym – a przynajmniej w doświadczeniach Alice z kontaktów z tym światem, obejmujących jej ciężę oraz sześć tygodni tego szaleństwa – lekarze udają, że ważne jest, aby pacjent wszystko rozumiał, zanim przejdzie się do następnego etapu.

– Cierpi pani na ostrą białaczkę szpikową, AML – zaczął Eisenstatt. – Co to oznacza? W pani kościach znajduje się szpik: gąbczasta czerwona tkanka odpowiedzialna za produkcję krwinek. AML to mutacja albo deficyt szpiku. Zamiast produkować normalne krwinki, pani szpik wytwarza fioletowawe komórki nazywane mieloblastami. – Sprawdził, czy za nim nadaża, i stwierdził, że ma przed sobą pilną uczennicę. – Liczba czerwonych krwinek, białych, płytek... zamiast tego powstają mieloblasty, a gdy zastąpią zdrowe krwinki, mamy do czynienia z poważnym zakłóceniem funkcjonowania organizmu. Zakłócona zostaje między innymi produkcja neutrofilów, komórek układu odpornościowego pomagających zwalczać infekcje. Naszym zdaniem to przyczyniło się do pani zapalenia płuc. I dlatego kluczową sprawą była

szybka diagnoza, którą postawiono.

Skrzypienie długopisu Olivera. Rażący zgrzyt pilnika do paznokci Bhakti, który teraz ustał. Alice podała córeczce palec. Policzki dziecka zapadły się, brwi zmarszczyły, rozpoczęło się rytmiczne gorączkowe ssanie.

– Łapię, panie doktorze – powiedziała.

– W zależności od budowy genetycznej mieloblastów AML można leczyć na trzy sposoby. Pierwszy: *prosty*. Budowa genetyczna komórek AML jest... z braku lepszego słowa... nieskomplikowana. Leczenie: zwykła systematyczna chemioterapia. Mając do czynienia z prostym AML, mamy duże...

– Może pan przejść dalej – powiedział Oliver. – Wiemy, że mamy postać złożoną.

Eisenstatt kiwnął głową.

– Zatem wiedzą już państwo, że będzie konieczny przeszczep szpiku. I wiedzą państwo, że to poważny zabieg. Musimy znaleźć dawcę szpiku z DNA odpowiadającym pani DNA. Musimy zadbać o zgodność dziesięciu alleli. Im więcej zgodnych alleli, tym lepiej. – Odczekał chwilę. – Ponieważ rodzeństwo ma DNA obojga rodziców, jest ogromna szansa na zgodność. Ale pani jest jedynaczką, więc...

– Ta opcja jest niedostępna – dokończyła Alice.

– Sprawdzimy w Krajowym Rejestrze Dawców. Jeśli i gdy znajdziemy dla pani dawcę, następnym krokiem będzie mieloablacja lub agresywne leczenie immunosupresyjne, po którym dokonamy przeszczepu. Spędzi pani sześć do ośmiu tygodni w szpitalu, będzie poddana ścisłej kwarantannie.

– Sale chorych na piętrze przeszczepów są bardzo ładne – dodała doktor Bhakti. Wyłoniła się nie wiadomo spod jakiego kamienia, już bez pilnika.

Eisenstatt odłożył podkładkę do pisania, po czym znów ją podniósł i uderzył się nią po udzie.

– Przeszczep szpiku to stosunkowo niedawna metoda leczenia. Więc jeśli chodzi o wskaźniki powodzenia...

Przerwała mu Alice.

– Spróbuję wyrazić się jasno – powiedziała z naciskiem. – Nie chcę wiedzieć o niczym, co mogłoby wzbudzić mój niepokój. Jestem młoda. Byłam zdrowa przez całe życie. Nie jestem jedną z tych siedemdziesięciolatek w poczekalni, niech im Bóg da zdrowie.

Czuła drętwienie opuszków palców, jakby pod skórą drżały kłykie, nie mogła nic z tym zrobić, czuła, że pulsuje w niej jakaś siła, robiło jej się niedobrze.

– Proszę poinformować mnie tylko, co czeka mnie każdego dnia. Proszę mi to przedstawić. Proszę... a ja ze swej strony obiecuję, że będę się bardzo starała. Bo chcę widzieć, jak dorasta moja córeczka.

Doktor Bhakti po raz pierwszy spojrzała na Alice w sposób, który sugerował, że rozważa ewentualność, iż ta pacjentka ma prawo do własnych myśli i uczuć. Doktor Eisenstatt zmrużył lekko oczy, które wyrażały troskę.

– Uważam, że pani postawa jest godna podziwu – oznajmił. – Będę zatem przedstawiał wyłącznie statystyki, jeśli pani na tym zależy.

– Kłapki na oczach – powiedział Oliver. – W ten sposób przez to przechodzimy.

– Powinniście wiedzieć – zaczął jeszcze raz Eisenstatt – że w tej chwili sprawy mają się nad wyraz dobrze. W New Hampshire wykonali pierwszorzędną robotę. Doprowadzenie pani do tego punktu to wielki krok naprzód. Moje zadanie polega na bezpiecznym przeprowadzeniu pani do przeszczepu. Traktuję poważnie ten obowiązek. Zawsze działam, uwzględniając najgorszy scenariusz... taki mam *modus operandi*. Zakładam, że wydarzy się najgorsze, przedstawiam

najmniej optymistyczne, przytłaczające ewentualności. Proszę traktować mnie jak nową żydowską babcię. – Spojrzał w oczy Alice, uśmiechnął się lekko. – Na tym polega moja praca. Doprowadzić panią do przeszczepu. Gdy znajdziemy dawcę, przejmie panią transplantolog. Podążaj pani dalej szczęśliwa, że się mnie pozbyła.

Doe wierciła się, kopiąc Alice w brzuch.

– Jak wspomniałem, przeszczep szpiku to stosunkowo nowa procedura – ciągnął Eisenstatt. – Tu, w Whitman, wykonujemy takie zabiegi od jakichś pięciu lat. To nie jest bułka z masłem, ale może się powieść: zgodność genetyczna jest do stwierdzenia, a chorzy coraz częściej znajdują dawców. Po zabiegu chorzy czują się lepiej. Z tego, co wiemy, nowy szpik działa jak lekarstwo.

Podkreślał ważniejsze słowa wymownym uderzeniem dłoni o kolano, Oliver kołysał się w miejscu. Alice widziała, jak napręża stopy i odpycha się od podłogi to piętami, to palcami. Zdawała sobie sprawę, że sama zachowuje bezruch, trzymając marudzące dziecko na prawym barku, podpierając omdlewającą dłonią tył główki, podtrzymując je. Doe pocila się, zwilgotniał meszek na jej główce.

– Prawo obliuguje mnie, abym poinformował państwa – podjął Eisenstatt – że z medycznego punktu widzenia uznajemy schorzenie za *wyleczone*, jeśli remisja trwa przynajmniej pięć lat.

Pisk niezadowolenia, małe rączki odpychają szyję Alice.

Ton Olivera wyrażał szacunek i niepewność:

– Wspomniał pan, że przeprowadzacie przeszczepy dopiero od pięciu lat?

– Dokładnie – zaszczebiotała Bhakti.

– Zamykanie remisji w okresie pięcioletnim nie oznacza, że białaczka wróci po upływie tego czasu – odpowiedział Eisenstatt. – Jak słusznie pani zauważyła, jest pani młoda, była pani zdrowa, ma pani córeczkę i męża oraz wszystkie możliwe powody, żeby żyć.

Wczesnym popołudniem czterdziestego siódmego dnia od zdiagnozowania Alice w New Hampshire Oliver stał w głębi pokoju zabiegowego, słuchając jakiegoś wyjętego z żurnala skurwysyna z drogim zegarkiem na rękę, mówiącego o nieprawidłowościach w krwi Alice. Szanse Alice nie są małe, mówił doktor. Ale martwił się składem jej krwinek. W istocie facet popychał ich na oczach Olivera w kierunku jakiejś procedury, o której Oliver słyszał wcześniej piąte przez dziesiąte.

– Chciałbym to przeprowadzić jak najszybciej – mówił do Alice. – Jeśli to pani nie przeszkadza.

Procedura ta, biopsja aspiracyjna – biopsja szpiku kostnego – pozwoli doktorowi Eisenstattowi przekonać się, co dolega osobie najbliższej Oliverowi na tej głupiej planecie. Gdy Oliver słyszał coś przerażającego, zazwyczaj radził sobie z tym, starał się uporać ze strachem, dzieląc się nim, tyle tylko że teraz nie mógł tego zrobić, na pewno nie teraz, bo te najgorsze scenariusze dotyczyły właśnie osoby, z którą chciałby się strachem podzielić. Więc dzielenie się nie wchodziło w grę. A ta cudowna kobieta była osamotniona, jej organizm był udręczony, drżący. Łykała łzy.

– Nigdy nie wyzdrowieję!

Pękła w nim jakaś tama, łzy popłynęły same, zostawiając piekące ślady na policzkach.

– Nie wolno ci tak mówić! – wykrztusił, chwytając łapczywie powietrze i obejmując żonę. Dodał ostrym tonem: – To nieprawda!

Alice żywiła głęboko zakorzenione przekonanie, że łzy jako środek wyrazu są równie prawomocne jak mowa i tak potrzebne jak śmiech. Dobry płacz o każdej porze i w każdym miejscu – bez względu na to, co sądzą o nim inni – był jej zdaniem błogosławieństwem. Nawet

jeśli Oliver z tego drwił, jeśli wbijał z tego powodu szpile, nie miało to w ostatecznym rozrachunku specjalnego znaczenia, gdyż po wybrzmieniu uszczypliwości towarzyszył jej, gdy jej tamy puszczały. Z drugiej strony Alice mogła policzyć na palcach jednej ręki sytuacje, kiedy w jego oczach pojawiły się łzy. Pierwszą było przecięcie przez niego pępownicy córeczki i wzięcie Doe na rękę zaraz po urodzeniu. Drugą, równie oczywistą, ich ślub, gdy wpatrywał się w oczy Alice, kołysząc się z nią wolno w tył i w przód: z głośników dudnili Ramones, a przyjaciele wpatrywali się z milczącą radością w pierwszy taniec młodej pary jako męża i żony. Trzecia: telefon od jego matki, która przekazała mu smutną wiadomość, że Magoo, ukochany pies z dzieciństwa, został w końcu uspijony. Potem, gdy ten silny skrzydłowy Knicksów – którym Oliver kibicował i których uznawał za niedocenionych – zmarnował kilka kolejnych czystych rzutów spod kosza podczas kluczowej kwarty decydującego meczu fazy play-off przeciwko Jordanowi i Bulls. (Wciąż miała przed oczami ten widok: syrena końcowa; Oliver odchodzi jak odrętwiały od telewizora, zamyka za sobą drzwi do sypialni; Alice wchodzi do niej po kilku minutach i widzi go siedzącego na brzegu łóżka z twarzą ukrytą w dłoniach).

Sześć lat razem, a zapamiętała tylko cztery sytuacje – trzy uprawnione, jedna absurdalna i rozbrajająca. A teraz piąta.

W czasie krótszym, niż jest potrzebny do wymrugania łez spod powiek, w niecałe dwie sekundy po tym, jak zaczęli płakać, Alice doszła do wniosku, że jeśli konsekwencją jej płaczu ma być utrata równowagi przez niego, jeśli jej płacz wywołuje jego płacz, jeśli on ma się martwić, że ona nie da sobie z tym rady, przez co sam tego nie udźwignie, to ona nie chce być osobą, która do tego doprowadziła.

Wysunęła się z objęć Olivera, otarła oczy.

Doe, którą wciąż trzymała na ręku, spojrzała na matkę największymi, najbardziej zatroskanymi oczyma dziecka.

– Tylko ukłucie? – zapytała. – Czy pełna biopsja?

– Pełna biopsja aspiracyjna – odpowiedział Eisenstatt.

Alice domyśliła się, że doktor zachowuje ostrożność, chce ograniczyć rozmowę do spraw konkretnych.

– Zapewne pani wie – mówił dalej – że jest wiele biopsji szpiku kostnego.

– To będzie moja trzecia. – Alice pociągnęła nosem.

– Przesadą byłoby stwierdzenie, że można się przyzwyczaić do tych zabiegów, ale nie są już one dla pani tajemnicą. Przed rozpoczęciem rundy chemioterapii potwierdzamy jej konieczność za pomocą biopsji aspiracyjnej. Właśnie temu to służy.

– Przepraszam, czy dobrze zrozumiałam? – zapytała Alice, kołysząc dziecko. – Następną rundą?

– Wiemy, że kolejna chemioterapia jest częścią leczenia – wtrącił Oliver. – Ale chyba nie chce pan powiedzieć, że zacznie się zaraz?

– O jakim czasie mówimy, panie doktorze?

– Nie ma sensu ekscytować się wydarzeniami hipotetycznymi – odpowiedział Eisenstatt.

– Zobaczmy, co powie nam biopsja.

Alice zdobyła się na kiwnięcie głową, natomiast Oliver posyłał mordercze spojrzenia otworom i gniazdkom na ścianie w głębi gabinetu. Alice podświadomie zdała sobie sprawę, że ktoś puka do drzwi. Weszła pielęgniarka i podzieliła się czymś z pielęgniarką dyplomowaną. Miała świadomość nieustannej obecności doktor Bhakti, przyglądającej się jej uważnie, emanującej zatroskaniem, a przynajmniej zaangażowaniem podczas przeczesywania bujnych, dobrze utrzymanych włosów. Gdyby Alice spojrzała teraz na wizytującą onkolog, wydrapałaby tej dziwce oczy.

I właśnie wtedy malutka doszła do wniosku, że zachowywała się grzecznie wystarczająco długo. Przecieranie oczu już jej nie wystarczało. Łapanie się za uszy wyszło z mody. Nie uspokoił jej nawet smak własnych stóp. Do postanowiła dać mieszkańcom trzech sąsiednich stanów do zrozumienia, że pora jej drzemki już dawno minęła. Wszyscy byli czymś zajęci i nikt nie zwracał na nią uwagi. Podskakiwanie na kolanie i smoczek niczego nie rozwiązywały. A gdy już się wydawało, że jej wycie nie może być przeraźliwsze, *stało się* przeraźliwsze. Alice wbiła wzrok w jakiś punkt w drugim końcu pokoju. Jej świat stał się tym małym punktem. Po dwóch chwilach punkt powiększył się i objął zawodzące dziecko.

– Mamy butelkę? – zapytała.

– W moich notatkach jest też coś o ubezpieczeniu – mruknął doktor medycyny Howard Eisenstatt.

– W zasadzie po to przyszłam – odezwała się Requita. – Zadzwonił dział finansowy. Muszą państwo do nich zajrzeć, wychodząc ze szpitala. Wiem, że już to omawialiście, ale pojawił się jakiś inny problem.

– Daj mi ją – powiedział Oliver. – Daj mi ją.

Odbierając dziecko od żony, zaszczebiotał:

– Grzeczna dziewczynka... w porządku... już... już...

Odwrócił się i odszedł od Alice, od Eisenstatta, maszerując wzdłuż pustej ściany zabiegowego.

– Jesteśmy ubezpieczeni w Unified – odezwał się głosem pełnym rezygnacji i bardziej niż urażonym. – To prosta sprawa, głównie biurokratyczna. Ale zmuszanie niektórych osób do właściwego odczytywania oczywistych faktów jest... proszę nie pytać mnie dlaczego... daremnym wysiłkiem.

Na twarzy Eisenstatta odmalowała się sędziowska wyrozumiałość dla podsądnego, choć sędzia słyszał już tyle łzawych procesowych historii, że nie potrafiłby ich zliczyć.

– Z konieczności między działem finansowym a działem medycznym szpitala istnieje mur. – Objął podkładkę do pisania i przycisnął ją do piersi. – Nienawidzę firm ubezpieczeniowych. Nie-na-wi-dzę. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

Poprosił dyplomowaną pielęgniarkę, żeby skontaktowała Olivera i Alice z pracownikiem społecznym szpitala. Osoba ta może pomóc jako mediator oraz przy wypełnianiu formularzy o wsparcie finansowe, gdyby do tego doszło.

– Ale proszę nie mieć złudzeń – dodał Eisenstatt. – Muszą to państwo załatwić. Naszym jedynym wyjściem jest doprowadzenie do przeszczepu.

Studium przypadku nr 121

Whitman Memorial, 1220 York Avenue, IV piętro, Hematologia/ Onkologia

(wywiad) N.

Były znajomymi od bardzo dawna, mieszkali po sąsiedzku od ponad dwudziestu lat. Ta jej znajoma to samotna matka. Podrzuciła do niej synka przy wielu okazjach; potem jej się poszczęściło i ponownie wyszła za mąż. Uciekła z miasta na przedmieścia, do Rye: ona, jej nowy mąż i syn. Błyskotliwy chłopak. Wyróżniał się w szkole średniej, a potem dostał stypendium gdzieś na Południu, w którymś z tych stanów, gdzie do tej pory wywieszają flagi Konfederacji i przyrządzają naprawdę dobre barbecue. Kiedy ten chłopak tam pojechał, coś się wydarzyło: zakochał się albo nie potrafił znieść rozłąki na pierwszym roku, a może coś go ugryzło. Takie rzeczy się zdarzają – dzieciak jest sam, rok mija mu w napięciu, więc chowa się głęboko we

własnej głowie. Wycofał się, nie wychodził z pokoju w akademiku. Było z nim już tak źle, że musiał rzucić studia i wrócić na Północ. Matka chciała wiedzieć, co poszło nie tak. Ale powiedział jej tylko: „Musiałem stamtąd wyjechać”.

Wrócił więc do Rye, zamknął drzwi do swojego pokoju i nie chciał odpowiadać na żadne pytania; ignorował pukanie ojczyma, przestał nawet używać telefonu, jednym słowem, zamknął się w sobie i w ciszy swojego pokoju. Przyznawał tylko, że czuje się osłabiony, ale mu przejdzie. Powtarzał to rodzicom. Twierdził, że jest tego pewny. Jednakże przeszła mu tylko ochota na jedzenie. Nie miał apetytu. Matka słyszała, jak pojękuje za zamkniętymi drzwiami. Gdy pytała, co się dzieje, skarżył się na ból brzucha. Nie potrafiła się zorientować, czy naprawdę jest chory, czy to coś z głową, czy co. Wiedziała jednak, że jej syn zawsze był wrażliwy. Już jako berbecz był wrażliwszy od reszty dzieciaków z okolicy. Obawiała się, że może mieć problemy psychiczne. Z kolei ojczym tracił resztki cierpliwości. Łomotał w drzwi, kazał mu się wziąć w garść. W końcu nawet sam chłopak zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem tego wszystkiego nie wymyśla. Zaczął kwestionować każdą rzecz, którą o sobie wiedział. Nikt nie miał pojęcia, co będzie dalej. Przez trzy miesiące dzieciak stracił na wadze sześćdziesiąt pięć funtów. Był osłabiony, wątły, chodził zgarbiony – wyglądał jak starzec. A miał dziewiętnaście lat. Takie rzeczy nie przydarzają się chłopcom w jego wieku.

Potem dostał gorączki. Czerdzieści i pół stopnia. Rodzice zawieźli go do izby przyjęć miejscowego szpitala. Lekarz w szpitalu dał mu aspirynę. Po trzech dniach chłopak miał już czterdzieści jeden stopni. Po tym wszystkim matka wpadła na pomysł, żeby zajrzeć do starego notesu z adresami i odnaleźć Carmel, dawną przyjaciółkę z bloku. Carmel od ponad dwudziestu lat pracowała jako pielęgniarka. Powiedziała matce chłopca: „Rusz tylek! Zawieź go do innej izby przyjęć, nie w wiejskim szpitaliku! Zawieź go do normalnej izby w dużym szpitalu. Jak zapytają, co się dzieje, udawaj, że nic nie wiesz. Jak ci z zespołu klasyfikacyjnego dowiedzą się, że chłopak był u internisty, usłyszą, że był już w izbie przyjęć, uznają, że wszystko jest pod kontrolą, i odesłają go do domu”. Carmel nauczyła Evelyne, żeby udawała wariatkę z getta: „Powiedz im: «Nie, nie wiemy, jak się nim zająć. Musicie go leczyć! Nam już ręce opadają!»». W izbie przyjęć nie tolerują młodych chorych chłopaków z drącymi się pod niebiosa matkami, bo to źle działa na innych pacjentów”. Carmel dodała jeszcze, że Bóg wybacza niewinne kłamstwa. Czasem trzeba kłamać. Nie mogą go wyrzucić, bo to wbrew przysiędze.

Evelyne wylądowała z synem w izbie przyjęć szpitala Mount Sinai, opowiedziała przyjmującym całą historię chłopca, przedstawiła objawy, wszystko, co kazała jej mówić Carmel. Trudno w to uwierzyć, ale lekarze jej wysłuchali. Zlecieli wszystkie badania, o które prosiła matka. A po tych badaniach skierowali go do specjalisty od brzucha. W końcu, po tak długim czasie, chłopak znalazł się w rękach kogoś z doświadczeniem. Gdy specjalista usłyszał ich historię, zmartwił się nie na żarty. Przeprowadził dodatkowe badania. I bum – ropień okołonerkowy. Potwornie wielki. A w ropniu różne toksyczne świństwa. Zanim zabrali się do ropnia, musieli wyczyścić jelita. Podłączyli go do kroplówki. Trzeciego dnia w szpitalu chłopak pękł. Łzy popłynęły mu po policzkach. „Jestem głodny – powiedział do mamy. – Jestem naprawdę głodny”.

## Niezbędne formalności

- Proszę się nie ruszać – polecił Eisenstatt.
- Zimno mi – odpowiedziała Alice.
  - Siostró, proszę o koc.
  - Koc, panie doktorze.
  - Zanim zaczniemy – odezwała się Alice. – Gdyby zechciał pan... czy mógłby pan wyjaśnić mi podczas zabiegu, co pan robi i na jakim etapie jesteśmy?
  - Zrobię, co będę mógł.
  - Dziękuję bardzo.
  - Oto co będziemy robili: wyznaczmy obszar w pobliżu górnej części tyłu kości biodrowej, tylnego talerza biodrowego. Tu zrobimy znieczulenie. Proszę się nie ruszać.
  - Mhm.
  - To lidokaina. Znieczulenie miejscowe. Poczujecie lekkie ukłucie.
  - Nnn.
  - Znów lidokaina – mówił Eisenstatt. – Teraz wkłujemy się głębiej.
  - Ach. Aaaa...
  - Dobrze. Tak zostawiamy. – Lekarz czekał. – Proszę się nie ruszać.
  - Staram się.
- (Zabłąkane odgłosy: odkręcanie i odkorkowywanie probówki).
- Te są chyba za duże.
  - Tak, panie doktorze?
  - Masz żółte? – zapytał.
  - Przyniosę – odpowiedziała pielęgniarka.
  - Świetnie. Okej. Okej.
- (Cichy chrobot. Metalu o metal. Roznosi się echem).
- W porządku? – zapytał doktor. – Jak się pani czuje, pani Culvert? Wszystko okej?
- Odpowiedzią było ciche łkanie i melorecytacja:
- Błamaż. Zgoda.

Oliver znalazł w końcu windy na poziomie M, a gdy otworzyły się drzwi, kółka wózka zagrzechotały na rowkach w progu. Miał szczęście: dziecko spało jak zabite podczas oczekiwania w westybulu. Zaczął przeglądać bezpański numer „Schlep”, spodobał mu się artykuł z okładki („Wenecja: chcesz powiedzieć, że mam się poruszać po mieście w kajaku?”) oraz mała, szara boczna ramka infografiki („I ten zapach!”). Otworzyły się drzwi biura. Wyszła przez nie kobieta w ciężkim bezkształtnym palcie, towarzyszył jej wysoki młody mężczyzna. Poruszał się z trudem, był bladej i tak chudy, że tonął w bladoniebieskim swetrze z logo uniwersytetu Karoliny Północnej, którego litery załamywały się w połowie. Kobieta klęła rozmówczynię z biura, zastanawiając się głośno, jak mogą żądać od nich tyle pieniędzy. Gdy zobaczyła Olivera i wózek, umilkła. Syn wziął ją za rękę. Trudno było orzec, które z nich prowadziło które.

Po kilku minutach Olivera poprosiła do środka ta sama młoda kobieta od finansów, którą poznali wcześniej: panna Culpepper uśmiechała się w taki sam uprzejmy i irytujący sposób. Poprowadziła go do tego samego oszczędnie umeblowanego boksu, w którym poinformowała go, że ze względu na niską kwotę ich rodzinnego ubezpieczenia jego żonie wstrzymano przyznanie statusu pacjentki.

Oliver stłumił narastającą wściekłość. Miał rolę do odegrania: podczas wizyt u lekarza, przy zadawaniu kontrolnych pytań o skutki uboczne czy przy niezbyt natarczywym uzyskiwaniu

wyjaśnień. Jego zdanie się nie liczyło. Przeliykał ślinę i milczał – dla Alice. Teraz też mówił cicho, z szacunkiem, objaśniając zadanie arytmetyczne na poziomie pierwszej klasy.

– W piątek rozmawiałem z przedstawicielem Unified. Parasol ochronny naszej polisy wynosi trzysta tysięcy. Wykorzystaliśmy sto pięćdziesiąt tysięcy. Tak mnie poinformowano.

Palec panny Culpepper stuknął niezgrabnie w klawisz Enter.

– Pańska żona choruje na białaczkę? – Głos panny Culpepper brzmiał obojętnie. Stuknęła w klawisz jeszcze parę razy. – Konieczny jest przeszczep szpiku? Przeszczep szpiku to poważna operacja.

– Do tego jeszcze daleka droga. Jak zdaje sobie pani sprawę... jeszcze się do tego nie zbliżyliśmy.

– Przeszczep kosztuje więcej niż kwota, na którą opiewa cała pańska polisa.

Odczekał chwilę, posłał pannie Culpepper najbardziej przeprasające i wyrażające zaufanie spojrzenie dorosłej osoby, po czym wyjaśnił, że jako drobny przedsiębiorca wykupił w okresie ciąży Alice polisę dla drobnych przedsiębiorców, teraz natomiast ma zamiar ubezpieczyć się na wyższą kwotę bez zbędnych dyskusji o warunkach wstępnych. Wyjaśnił, że sprawdził już to wszystko. Nie domaga się litości.

– Lecz zanim podejmę następny krok, jesteśmy, jak mi się wydaje, całe miesiące od wyczerpania naszego dotychczasowego limitu, więc w tej chwili proszę tylko o to, abyśmy korzystali z naszej dotychczasowej polisy.

Jej oczy się zaszkliły.

– Rozumiem pańskie położenie, panie Culverts. Mam nadzieję, że zrozumie pan nasze stanowisko.

Oliver poruszył się niespokojnie, postanawiając nie poprawiać błędu w nazwisku.

– Procedura szpitalna – ciągnęła panna Culpepper – wygląda tak, że gdy osiągnie się pewien pułap wysokości polisy, oznaczamy status pacjenta alertem.

– Ale nie wyczerpaliśmy jeszcze nawet...

Opanował się. Jednak za jego plecami – wyczuł – coś wzbierało. Wózek poruszył się, zadrżał lekko, po czym zapadła cisza, zapanował spokój. Było blisko. Panika na myśl, że dziecko się obudziło, minęła. Przysunął krzesło bliżej biurka i zaczął szeptać ponad blatem z rozgorączkowaniem osoby, która stara się być dobrze zrozumiana, gdyż od tego zależy życie żony.

– Nadal mamy. Sto pięćdziesiąt. TYSIĘCY dolarów. Alice leżała w szpitalu w New Hampshire przez trzydzieści cztery dni i nie wykorzystwała takiej kwoty!

– Powinien pan zdawać sobie sprawę, że w szpitalu w Upper East Side koszty są nieco inne.

– Proszę posłuchać, naprawdę chce pani w to wchodzić, naprawdę chce pani rozmawiać o szczegółach? W porządku, przypuśćmy, że Unified postawi na swoim, przypuśćmy, że przestaniemy być atrakcyjni...

– Panie Culverts...

– I że kolejne rachunki zostaną uznane za pochodzące spoza wyznaczonej sieci szpitali. To będzie dla mnie cios, potężny cios. Ale nie ZMNIEJSZY całkowitej kwoty pieniędzy wydanych z naszej polisy. Przeciwnie, znajdziemy się jeszcze BARDZIEJ pod parasolem ochronnym polisy.

– Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby nie podnosił pan na mnie głosu, panie Culverts.

– Mówię SZEPTEM.

– Ja nie podnoszę na pana głosu, panie Culverts, prawda? Nie tracę panowania nad sobą.

– Ja również nie tracę panowania nad SOBĄ, panno Culpepper! Jeśli jestem



zdenerwowany, choć nie jestem, ale jeśli jestem, to nie przez panią, bo nic do pani nie mam. Absolutnie. Chodzi mi tylko o to, że jest pani de facto przedstawicielką tego biurokratycznego koszmaru, który wytwarza całe to GÓWNO...

– Zaczął pan krzyczeć.

– ...zamiast robić to, co do niego należy, czyli dbać o to, żeby moja żona przeżyła!

– Ten szpital jest prowadzony przez prywatną firmę kapitałową. Firma ta ma własną politykę. Ja nie kreuję tej polityki, jakkolwiek by na to spojrzeć. Moja praca sprowadza się do tego, żeby szpital uzyskał zapłatę za wykonywane usługi, rozumie pan? Nie ja, tylko szpital. Jeśli zaistnieje taka potrzeba, oferujemy pacjentom różnorodną pomoc finansową i różnorodne opcje płatności. Dam panu formularz.

– Panno... Gdzie... Jak mogę... – Oliver postanowił się zresetować. – Prowadzę małą firmę zajmującą się oprogramowaniem. W ten sposób zarabiam na życie, panno Culpepper. Firma nie jest duża, jestem jej jedynym pełnoetatowym pracownikiem. Ale gdy składam zeznania podatkowe choćby po to, żeby dostać kredyt, wszystkim się wydaje, że jesteśmy nadziani, jakby ten roczny przychód był regularnym rocznym przychodem. W rzeczywistości ładujemy pieniądze w rozwój i naszą obecność na rynku.

Zdaje się, że nic z tego nie rozumiała, ale milczała, dopóki mówił.

– Do czasu wyjaśnienia sytuacji – odezwała się, gdy umilkł – na każdą wizytę pańskiej żony będzie wyrażana oddzielna zgoda. Rachunek pani Culverts został zawieszony. Szpital nie będzie wyznaczał wizyt po pierwszym maja. Więc ma pan trzy miesiące. Jeśli w maju będą państwo nadal objęci ubezpieczeniem, zrobimy przegląd sytuacji. Ale na pańskim miejscu rozwiązałabym ten problem wcześniej.

To jedyny znany nam sposób, aby poczuła się pani lepiej

Upłynęła następna godzina, zanim znów wpuścili go do środka. Wszystko oświetlały jasne i bezlitosne elektryczne lampy. Żona leżała zwinięta na boku, osłaniając się smętną imitacją kokonu. Jasnyniebieska peruka przekrzywiła się i wyglądała groteskowo, a nawet gorzej. Alice miała zamknięte oczy, ale nie spała – dochodziła do siebie, oddychała cicho, jej tułów spowijało cienkie białe prześcieradło.

Przy głowie, obok plastikowego kubka, stała nieotwarta puszka soku żurawinowego. Na papierowej wyściółce plastikowego łóżka zabiegowego, sfałdowanej, zmiętej i oderwanej wzdłuż górnej krawędzi, widniała plama krwi. Oliver delikatnie pocałował żonę w policzek. Pachniała gorącem i potem, czuł jej kredową skórę na ustach. Pocałował zamkniętą powiekę, potem drugą, zasłoniętą do połowy wykrochmalonym prześcieradłem. Alice podniosła dłoń do policzka. Zamrugła powiekami, uśmiechnęła się sennie, odpływała... ale spojrzała przez ramię Olivera do wózka, sprawdzając, czy wszystko w porządku.

– Doktor nauk medycznych Howard Eisenstatt jest na mnie zły – powiedziała Alice beztróskim, dziewczęcym, nieco nieprzytomnym głosem. – Nie pozwoliłam mu podać wyników badania przed twoim powrotem.

Konsylium lekarzy stało przed wejściem do zabiegowego, zebrali się wokół stolika z instrumentami, zaglądali do tych samych papierów przypiętych do tej samej podkładki. Oliver ich nie zauważył; teraz zaczęli wchodzić. Eisenstatt wystąpił naprzód z niepewną miną, z czołem i policzkami zaczerwienionymi od niedawnego wysiłku. Zapytał, jak się czuje Alice i czy można rozmawiać przy śpiącym w wózku dziecku.

– Dziękuję, że pan pyta – odpowiedziała Alice. – Dobrze byłoby rozmawiać przyciszonym głosem.

Eisenstatt nalał sobie wody, spojrzał na pielęgniarkę, która stała z markerem i ze ścieralną tablicą wielkości tacy do lunchu.

– Wiem, że to był długi dzień – powiedział.

Zdjął nakrętkę z markera i zaczął szybko pisać najpierw z lewej, potem z prawej strony tablicy, na której pojawiły się skośne, nieco niezdarne i zielone jak las wielkie równoległe litery:

LW P

Przy P postawił jeszcze z piskiem mały ptaszek.

– Musimy doprowadzić panią do P, czyli przeszczepu – objaśnił. Narysował kółko wokół LW. – Przeszła już pani leczenie wstępne. To było ważne, przeszła je pani na medal.

– Panie doktorze? – Alice leżała na boku, opierając głowę na dłoni. – Czy dojdziemy do wyników biopsji?

– Tablica pomoże nam zrozumieć te wyniki oraz ich związek z większą...

Znów pukanie do drzwi. Do zabiegowego wszedł sanitariusz z kartonikiem mleka na tacy z lunchem. Alice podziękowała Miguelowi, przeniosła wzrok na Dantelle i szepnęła bezgłośnie: „Dziękuję”. Oliver podszedł do umywalki i zaczął płukać smoczek do karmienia. Lekarz, który się temu przyglądał, wydawał się zafascynowany, ale i zde gustowany.

– Cały czas pana słucham – powiedział Oliver, nalewając mleko do plastikowej butelki do karmienia z odpowietrznikiem.

Gdy Oliver przykręcił smoczek, lekarz pozwolił sobie na lekki uśmiech – rozpoznawany już jako oznaka narastającej irytacji.

– Chcemy mieć pewność, że utrzymamy raka w remisji – kontynuował Eisenstatt. – Aby tego dokonać, musimy działać uprzedzająco, proaktywnie... czy wszyscy rozumieją, o czym

mówię? Standardowy plan ataku. Dwa miesiące po leczeniu wstępnym kładziemy panią do szpitala na kolejną chemioterapię. Tym razem będzie to potężna dawka cytarabiny. Nazywamy to konsolidacją.

Na tablicy napisał:

LW → k P

– Podczas konsolidacji spędzi pani w szpitalu pięć do sześciu dni. Przez następny tydzień czy dwa pani wyniki znacznie się pogorszą, co jest normalne, ale będzie potrzebne spore pani wsparcie. Wtedy wykonamy również typowanie HLA, pani antygenów leukocytarnych, i zaczniemy szukać dawcy. Opracowanie HLA zajmuje około trzech tygodni. Najlepsze, co może nas spotkać, najlepszy scenariusz, który należałoby oprawić w złote ramki: jedna konsolidacja, podczas rekonwalescencji znajdujemy dawcę i przechodzimy prosto do przeszczepu.

LW → k → P

– To się zdarza? – zapytał Oliver.

– Owszem. – Doktor mówił do Alice, chciał, żeby go słyszała. – Jest pani białą Amerykanką europejskiego pochodzenia. Więc liczby przemawiają na pani korzyść. Gdyby była pani wschodnioeuropejską Żydówką z historią pogromów, ze zmniejszoną pulą genetyczną, moglibyśmy mieć genetyczne komplikacje strukturalne. Podobnie rzecz się ma z Afroamerykanami: pula dawców nie jest tak duża, jak byśmy sobie tego życzyli. Ale nie param się wróżbiarstwem i nie mogę niczego obiecać. Jestem natomiast w stanie stwierdzić, że w przypadku pani Culvert znalezienie dawcy jest wysoce prawdopodobne. Dodam również, że szybkie znalezienie dawcy nie wydaje się niemożliwe.

– A jeśli nie? – zapytała Alice spod cienkiego ochronnego kokonu.

– Znajdziemy – stwierdził z naciskiem Oliver.

– Wiem. Ale jeśli nie...

– Będziemy szukali – odpowiedział Eisenstatt. – Sytuacja nie jest idealna, gdyż w grę wchodzi czynnik czasu. A jedyny sposób na rozwiązanie problemu to przeszczep. Mamy jednak jeszcze jedną opcję, a mianowicie kolejne konsolidacje: LW → k → k → P.

– Muszę ogarnąć problem z ubezpieczeniem – oznajmił Oliver. – Zajmę się tym.

Eisenstatt był niegłupi i nie zmienił tematu rozmowy.

– Pomówmy o terminach. Minęło siedem tygodni od zdiagnozowania choroby i rozpoczęcia leczenia. Normalny okres oczekiwania między chemioterapiami wynosi około ośmiu tygodni. Siedem tygodni to trochę mało, ale w dopuszczalnych granicach. – Z niemal wojskową precyzją zastukał mocno dwa razy markerem w tablicę. – Badanie krwi ujawniło pewne problemy – mówił tonem najspokojniejszym z możliwych. – Zerknąłem pobieżnie na rozmazy z biopsji aspiracyjnej. Jakieś dziewięćdziesiąt pięć procent krwinek wygląda zdrowo. Problemem jest pozostałe pięć procent.

Alice przymknęła oczy, co wskazywało, że wycofała się i powtarza mantrę w którymś ze swoich niedostępnych dla innych światów. Widok ten, choć nieco przerażający, przyniósł Oliverowi ulgę. Czuł w żołądku pękające załążki zmartwień, zakładające kolonie gdzieś u podstawy kręgosłupa. Eisenstatt mówił, że struktura komórek białaczki Alice jest wyjątkowo złożona, możliwe, że rak będzie przez pewien czas w uspieniu, po czym znów się ujawni. Mówił dalej, że nie wyklucza, iż te pięć procent to zwykle nieduże martwe komórki niekancerogenne, a w takim przypadku wszystko jest w porządku.

– Druga możliwość – ciągnął, jakby nie miał wyboru – jest taka, że komórki te są kancerogenne.

Wprawnie wytarł tablicę do czysta. Czekał, sprawdzał, czy Alice zechce spojrzeć.

– Musimy być czujni. Odczekamy kilka dni z tymi komórkami, przekonamy się, jak

dojrzewają i co się stanie, gdy się podzieli. – Eisenstatt wydał policzki, wypuścił oddech i zerknął na Olivera. – Jeśli komórki białaczki zaczną się dzielić – zaczął, mówiąc w stronę Alice – nie mamy wyboru. Będziemy musieli się z tym uporać. Mamy przewagę, ponieważ zorientowaliśmy się we wczesnym stadium. Te pierwsze komórki nie miały specjalnych możliwości, żeby się namnażać. Będziemy tak agresywni, jak to tylko możliwe. Nie nazwałbym tego nawrotem choroby. Nasze długofalowe cele nie ulegają zmianie. Ale musimy przejść przez... – Uniósł tablicę. Czubek markera zaskrzypiał na śliskiej powierzchni:

LW → PLW

Alice rzeczywiście otworzyła oczy i przyglądała się tablicy i lekarzowi.

– Ponowne leczenie wstępne nie jest idealnym rozwiązaniem z oczywistych względów – ciągnął Eisenstatt. – Nie należy lekceważyć rygorów, jakim poddawany jest pani organizm. Lecz jeśli, podkreślam, *jeśli* będziemy musieli podążyć tą drogą, sprzyja nam, jak już mówiliśmy, pani młody wiek: zachorowała pani w pełni sił i zdrowia, urodziła pani piękne dziecko, ma pani pozytywne nastawienie do leczenia. Zostanie pani na oddziale jako pacjentka szpitala na przynajmniej cztery tygodnie. Więc nadal zmierzamy do tego:

LW → PLW → P

Cichy głos zapytał, czy może spojrzeć na tablicę.

Alice wyciągnęła rękę. Eisenstatt podszedł do niej, stawiając dwa duże kroki, i oparł tablicę o jej przykryte prześcieradłem uda. Podał jej także marker. Alice nie podziękowała mu wzrokiem, skupiła uwagę na tablicy. Jednym szybkim ruchem dodała dwie litery po „P”.

LW → PLW → PLW

Pisała dalej:

LW → PLW → PLW → k → k → PLW

– To niemożliwe – powiedział Oliver.

LW → PLW → PLW → k → k → PLW > k > k > k

– Mamy kłapki na oczach, pamiętasz? – prosił żonę.

LW → PLW → PLW → k → k → PLW > k > k > k >

KKKPKKXXXRIPJEBKURWAKURWA

– Dla porządku, pani Culvert, nie zaprezentowałem tego, co przedstawia pani jako ewentualność.

– Nie, doktorze. – Po twarzy Alice spływały łzy. – Pan tylko proponuje napompowanie mnie toksycznymi chemikaliami, aż zaczną świecić.

– Alice...

– Nie sądzę, żebyśmy cokolwiek rozwiązali, podążając teraz tą drogą, pani...

– Czy mam inny wybór, doktorze? Chodzi o to, że właśnie teraz proszę po prostu, po ludzku poinformować mnie, czy jest coś innego, co mogę zrobić?

– Ali, znajdziemy dawkę. Na pewno znajdziemy.

– Może pani zasięgnąć porady w innym szpitalu – stwierdził Eisenstatt. – Jak wspomniała wcześniej doktor Bhakti, to pani ciało i organizm. Ma pani prawo decydować o tym, jakiego rodzaju terapię życzy sobie pani podjąć, a jakiej nie. Nikt nie będzie pani w tym przeszkadzał. Pomożemy pani skontaktować się z dowolnym wybranym szpitalem. Ale należy powiedzieć sobie jasno: decydującym czynnikiem w tym przypadku jest czas. Proszę o tym pamiętać, gdyż chcę się skupić na tym, co panią obecnie czeka. Ponieważ musi pani podjąć odpowiednią decyzję, pani Culvert.

Pozwolił, aby rozważyła ostatecznie zdanie, dał jej szansę na przygotowanie.

– Tak czy inaczej będzie musiała pani przejść chemioterapię. Jeśli rezultaty będą pozytywne, zadbamy o to, żeby trwała pani w remisji. Jeśli okażą się inne, będziemy musieli

doprowadzić panią do remisji. Tak czy inaczej znalazła się pani na początku okresu, w którym zaczyna się konsolidacja. Musi pani zdecydować, czy chce podjąć tutaj leczenie. To zrozumiałe. Czekamy na wyniki, które w pewnym sensie podpowiedzą nam, czy dalsze leczenie będzie ponownym leczeniem wstępnym, czy konsolidacją oraz kiedy je zaczniemy. I czekamy również na pani zielone światło, co zrozumiałe. Zdobycie u nas łóżka bywa ostatnio problemem, w tej chwili oddział jest zapelniony w stu siedmiu procentach.

– W stu dziesięciu – poprawiła go doktor Bhakti.

– Dziesięciu? – Zamknął oczy, jakby nie wierzył liczbom. – Za pani pozwoleniem, pani Culvert, chciałbym wpisać panią na listę oczekujących i położyć panią na oddziale w pierwszym dogodnym terminie.

Atak paniki. Alice odszukała wzrokiem męża, zaczęła się podnosić.

– A co z czwartkowym Świętem Krabów?

Doktor nauk medycznych Howard Eisenstatt wypuścił bezgłośnie powietrze.

– W Black Tide? – mruknął. – Macie rezerwację? – Zaśmiał się z niedowierzaniem, pokręcił głową, potarł podbródek. – Pani Culvert, jest pani bez wątplenia przedsiębiorczą kobietą. Tym razem postaram się nie owijać w bawełnę. Białaczka i leczenie wstępne poważnie nadwerżyły pani układ odpornościowy. Mówiąc „poważnie”, chcę powiedzieć, że pani układ immunologiczny praktycznie *nie istnieje*. Informuję panią, że wolałbym, aby w ogóle nie pojawiała się pani w miejscach publicznych. Jeśli i kiedy wyjdzie pani do miasta, musi pani przebywać w kontrolowanych warunkach. Oznacza to noszenie maseczki. Rękawiczek. Myjących środków antybakteryjnych w torebce. I absolutny zakaz wyjścia na gotowanie krabów.

Alice przyjęła do wiadomości zakaz. Jej mina wyrażała upór: „Co? Chyba nie o mnie panu chodzi?”. Ale i zrozumienie tego, co oczywiste: Alice wiedziała, że nie ma racji, wiedziała, że ją przyłapano.

– Pójdziemy tam w przyszłym roku – mruknął Oliver.

Milczała przez chwilę, wpatrując się w swój podolek, zaciskając szczęki, napinając łącznie je ścięgna. A gdy się odezwała, mówiła szeptem:

– Powtarzam sobie, że muszę na to przystać. Jestem poważnie chora i powinnam się leczyć. – Machnęła dłonią, jakby odganiając od siebie natręta. – Gdzieś w głębi zawsze wiedziałam, że tam nie pójdę. Ty też o tym wiedziałeś, prawda, Oli? To miłe, że ciągle chcesz poprawiać mi nastrój. – Odwróciła wzrok ku źródłu, ku miejscu, do którego zawsze wracała spojrzeniem: wózkowi z dzieckiem. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, doktorze, zadzwonimy z mężem jutro rano w sprawie przyjęcia.

Lekkie skinienie głową, ten sam lekki uśmiech. Eisenstatt zastukał markerem w tablicę, jakby podsumowując i kończąc dyskusję. Zanim wyszedł, odwrócił się i przystanął.

– Jest jeszcze coś. Waham się, czy o tym mówić.

Dyplomowana pielęgniarka, milcząca od tak dawna, że Alice zapomniała o jej istnieniu, wyszła z rogu pokoju. Na twarzy Dantelle (tak, Dantelle) malowała się troska i pewność.

– Mówiła mi pani, że malutka miała wszystkie szczepienia. Ale nie można wykluczyć, że wnosi zarazki do poczekalni. I może potencjalnie zarazić nimi kogoś z pacjentów. Nie można również wykluczyć, że sama zarazi się czymś od pacjentów. Szpitale to bardzo brudne miejsca. A jej układ odpornościowy jeszcze się do końca nie wykształcił.

Oliver nie zdzierzył.

– Doe była z nami podczas leczenia wstępnego w New Hampshire.

– W porządku – odpowiedziała Alice.

– Nie możemy ryzykować – powtórzyła Dantelle. – Mam nadzieję, że pani to zrozumie...

– Pielęgniarki sikały na jej widok.

– Oliver. – Alice zmusiła się do beztrioski. – Wszystko w porządku, Dantelle. Będziemy się umawiali na późniejsze godziny, żeby mogła przychodzić opiekunka.

Mina dyplomowanej wyrażała zakłopotanie.

– Nie wyraziłam się dosyć jasno. Ten zakaz obejmuje również chemioterapię.

Eisenstatt poklepał Dantelle po mięsistym ramieniu i przejął kontrolę nad rozmową:

– Polityka szpitala jest jednoznaczna. – Nie wyglądał na uszczęśliwionego z przekazywania tej informacji, niemniej jednak był oszczędny w empatii. – Nie zajmujemy się tym, jak wyglądają podobne procedury w innych szpitalach. Mamy obowiązki wobec naszych pacjentów. Na piętro chemioterapii nie są wpuszczane dzieci poniżej jedenastego roku życia. Chcemy zapewnić wszystkim bezpieczeństwo, dlatego prosimy: nie zabierajcie ze sobą córeczki.

– Podczas wstępnej fazy chemioterapii będzie pani mogła zjeżdżać do holu na parterze – dodała Dantelle. – Zanim pogorszą się pani wyniki, nic nie stoi na przeszkodzie, aby zjeżdżała pani na dół. Możecie się spotykać w holu.

Jedno z ćwiczeń Alice polegało na wyobrażaniu sobie, że kopie w czarnej zimnej ziemi. Ma brudne, pokryte błotem ręce, będzie kopła, aż znajdzie korzeń, weźmie go w dłonie, przytuli, a potem pociągnie, wrywając z ziemi. W myśl tego ćwiczenia w miejscu, w którym rósł korzeń, w miejscu, które opuścił, powinna zobaczyć światło. Czas zacząć kopanie. Czas wyrwać korzeń.

– Chcecie, żebym położyła się tu na miesiąc. Chcecie, żebym znów przeszła przez to samo, i zabraniać mi widywania się z moim dzieckiem?

Trzymała córeczkę w ramionach, a doktor Eisenstatt stanął obok nich.

– Chcemy panią wyleczyć. Musimy panią hospitalizować na chemioterapię. Musimy znaleźć dawcę. Musimy zrobić przeszczep i musimy zacząć natychmiast. Czas decyduje o wszystkim. Choroba i leczenie nie są sprawiedliwe. Ale nie znamy innego sposobu na zachowanie pani przy życiu, aby mogła pani pozostać matką dla swej córki. To jedyna droga.

Część II  
Konsolidacja

## O co chodzi w życiu

Mniej więcej wtedy, gdy Alice Culvert wkroczyła w trzeci trymestr, program znany jako Mosaic opuścił komputery laboratoriów uniwersyteckich i został komercyjnie udostępniony użytkownikom komputerów osobistych. Była to sama w sobie mała rewolucja. Do czasu pojawienia się Mosaic istniała możliwość wkraczania do tego, co popularnie nazywa się siecią, jedynie poprzez wyznaczonych stróżów: America Online, Prodigy i CompuServe, choć były także mniejsze, bardziej specjalistyczne portale. Na Manhattanie dużą popularnością cieszyły się ECHO (portal z dodatkowym bonusem: podobno aż czterdzieści procent użytkowników stanowiły kobiety) oraz Well (liczba jego użytkowników sięgała ponoć zaskakujących dziewięciu tysięcy), a także portal MindVox (ulubione miejsce cyberpunków, anarchistów i lesbijek). Po pojawieniu się Mosaic dynamika korzystania z sieci uległa zmianie. Jeśli jakikolwiek komputer osobisty miał w miarę stabilne połączenie modemowe, można było obejść portale i bezpośrednio zagłębić się w dowolną niszę lub zakątek rozrastającego się i bezkształtnego wszechświata, znanego jako ogólnoswiatowa autostrada informacyjna. A najlepsze było to, że nowa przeglądarka nie pobierała opłat za czas spędzany w sieci.

Z tym wydarzeniem wiązała się nieoczekiwana decyzja Olivera Culverta, który doszedł do wniosku, że już dłużej nie znieśie wielokrotnego przełączania w ciągu dnia przewodu telefonicznego z aparatu do komputera i na odwrót. Nie wspominając już o irytacji, jaką wywoływały przerywane przez nadchodzące połączenia przyzwoite sesje w sieci. Kazał zainstalować w nowym łofcie drugą linię telefoniczną. Podłączył ją do swojego osobistego pudełkowego terminalu UNIX. W obecności Alice wychwalał aż do znudzenia zalety tego obscenicznie szybkiego połączenia – 42 800 kilobajtów na sekundę – które umożliwi mu stałą łączność z siecią, zawieranie nowych kontaktów i rozszerzenie działalności firmy konsultingowej. Wierzył w swoje urojenia, o czym Alice dobrze wiedziała, choć z jej punktu widzenia firma męża nie była niczym więcej jak tylko przykrywką dla ich nielegalnie pozyskanej przestrzeni mieszkalnej. W firmie oprócz Olivera pracował niejaki Ruggles – szuler i najlepszy przyjaciel męża ze studiów licencjackich – który naganiał klientów z ostatnich domów maklerskich, gdzie miał znajomości. Oliver oraz drugi nieszczęsny fagas, Brow, zajmowali się wsparciem technicznym po niewygórowanych cenach. Ta „firma” pozwalała Oliverowi hołubić jego pomysły ze studiów – pomysły, z którymi nie umiał się rozstać (na przykład grę komputerową przypominającą podchody, w której dzieciaki z college’ów przeżywają w kampusie przygody rodem z *Odysei*). Alice traktowała to wszystko jako bezpieczną przystań dla ambitnego i zdeterminowanego męża, miejsce, w którym Oli może złapać oddech, dreptać w miejscu i unikać nadciągającego tsunami prawdziwego życia.

Nie zmieniła zdania, gdy Oliver zaczął spędzać coraz więcej czasu z nową zabawką: przeglądarką... portalem... czy jakimś programem do gier, ani kiedy przyłączali się do niego Ruggles, Brow i Jonathan, kuzyn Olivera, który wpadał spocony po dziesięciomilowej przebieżce. Między rozmowami telefonicznymi, podczas których Oliver przeprowadzał przypadkowych inwestorów giełdowych przez tajniki techniczne, oraz między rzadkimi chwilami pisania na zamówienie projektów, których kod i algorytmy musiały być dostarczone na czas, cała ta ekipa, jak uważała Alice, oddawała się nowej bezproduktywnej obsesji. Obsesja ta obejmowała pracę na zmiany, hektolitry tanich mocno kofeinowych napojów energetycznych (dostępnych hurtowo na dnie lodówki stojącej na tyłach jedynego pobliskiego sklepu czynnego całą dobę, prowadzonego przez Koreańczyków), wzmocnionych torbami przecenionych ziemniaczanych chipsów, które wcale nie były smaczne, choć dało się je strawić (pochodziły z tego samego



sklepu, gdzie zalegały na zakurzonych półkach). Alice uznała, że chłopcy wyruszyli w podróż: wyraźnie niepraktyczną, owszem; bezproduktywną – z całą pewnością. Niemniej jednak epicką.

Nieustanne piski gwałconego kota wydawane przez linię telefoniczną podłączoną do zewnętrznego modemu. Oceany świecących liter falujące na ekranie, którego jarzeniowe tło męczyło i przerażało siatkówkę. Niezliczona ilość wyraźnie sfuszerowanych hiperłączy i ta sama cholerna grafika przedstawiająca fokę, która obraca na nosie tę samą piłkę. Każda nowa elektroniczna tablica ogłoszeń poświęcona *Star Trek: Następne pokolenie* mogła być prozaiczna, ale pozwalała im iść dalej, na następną stronę oplakującą zakończenie serialu *Mystery Science Theater 3000* czy prezentującą te same fragmenty nagrań radiowych, na przykład słynnych prezenterów klnących w żywy kamień podczas show *American Top Forty*. Czasem trafiali na coś wyższej jakości. Najlepsze strony Telenetu czy FTP. Na zasoby encyklopedyczne, o których istnieniu nikt nie miał pojęcia. Ale najbardziej zastanawiające było to, że w czasie krótszym od czasu potrzebnego na zrobienie popcornu w mikrofalówce na ekranie zaczynały się pojawiać rozpixselowane fotografie. Gołych bab. Wystarczyło tylko wcisnąć klawisz F4.

Alice zaglądała do nich od czasu do czasu, zrobiona na bóstwo, w najmodniejszych ciuchach, w jakich rządzą dziewczyny. Tylko jej wielki brzuch wydawał się nie na miejscu. Przynosiła ze sobą naręcza teczek ze swoim portfolio: potrzebowała ich na spotkanie z właścicielką butiku w East Village, która miała własną linię odzieżową, ale szukała krawcowej. Luźne ciężowe ciuchy sprawiały wrażenie niedbałych, ale ona w nich jaśniała, wracając z buddyjskiej, newage'owej, jogińskiej czy tantrycznej sesji przygotowującej do narodzin dziecka.

– Moja szczęśliwa bando orków – witała ich. – Jaki cuchnący ściek dziś odkryliście?

Odpowiadało jej nagranie audio, odtwarzane z RealPlayera i dokumentujące kłótnię gejów w San Francisco, podczas której jeden z nich krzyczał do drugiego: „Zmiażdżę cię, mały człowieczku!”. Spojrzenie, którym obdarzała Olivera, wyrażało konsternację i było zarazem dosyć protekcyjne, a także – pod koniec – coraz bardziej przerażone. „Mężczyzna, którego kocham, postanowił spędzić życie właśnie w taki sposób, zamiast przygotowywać się do roli ojca”.

Żółtawe twarze szarzały i pokrywały się potem. Rzadkie włosy pociły się i mierzwiły. Nad stacją roboczą formowała się dziwna szara śmierzdząca chmura. Ale wtedy Alice była już zajęta dzieckiem. Co ją obchodzi, że ci idioci wtapiają się w meble jak pleśń? Że sterta kartonów od pizzy zamienia się w artystyczną instalację w odległym kącie loftu?

Przejrzeli jakieś dwieście tysięcy stron internetowych, gdy ni stąd, ni zowąd Ruggles przypomniał sobie problem, który mieli na drugim roku. Ich luźne kółko drugoroczników, skupionych na naukach ścisłych i zarządzaniu, przetrwało jakoś obowiązkowe zajęcia z angielskiego i programowania przy minimalnym nakładzie pracy, dlatego że należący do niego studenci czytali, porównywali, gromadzili i kopiowali swoje prace pisemne.

– Co wydawałoby się proste... – wspominał Ruggles. Urwał i oblizał brudne od chipsów palce.

Ruggles i Oliver używali jednak w tamtym czasie innych edytorów tekstu: Oliver był wierny WordStarowi, a Ruggles ożenił się z WordPerfectem. Z kolei Brow używał głównianego EditOre. I żaden z tych programów – co dobrze zapamiętali – nie pozwalał na otwieranie plików z innego edytora ani udostępnianie swoich innym. Gdy wsadzało się dyskietkę do czyjegoś komputera, nic się nie otwierało albo otwierało się jako krzaczki. Nie, jedyny sposób na przeczytanie pracy napisanej przez kogoś na innej platformie polegał na zainstalowaniu na komputerze obu edytorów, a instalowanie jednego z tych programów wymagało aż pięciu dyskietek wkładanych do napędu jedna po drugiej w odpowiedniej kolejności, co czyniło całą tę

historię zupełnie nierealną: niektóre dyskietki okazywały się zniszczone, zepsute, inne ginęły... Wystarczyło zresztą, że poluzowały im się metalowe zaciski.

Gdy Ruggles czy Jonathan wpadali do Olivera, żeby się poobijać albo zmienić go przy terminalu, wspominki trwały w najlepsze. Wkrótce potem zamieniły się w poważną dyskusję, po której Oliver, a nawet Brow chwilowo odpuścili sobie marnowanie czasu na podchody w sieci. Spisywali funkcje, które musi mieć ich nowy program. Ruggles włączył się z analizą kosztów i korzyści. Rezultat okazał się praktyczny, nieco na wyrost i stosunkowo dobrze przemyślany, uwzględniający marketing, rentowność i plany programistyczne. Wszyscy trzej skoncentrowali się na uogólnionym polu tekstowym, które będzie służyło za strefę zdemilitaryzowaną dla wszystkich edytorów tekstu, na programie do pisania akceptującym znaki, liczby i formatowanie z każdego innego programu.

Zaczęli pisać kod programu i – cud nad cudami – ich nierealne marnotrawne poszukiwania, ich pierwsze luzackie marzenia przyniosły owoce. Wprawdzie dopiero po czterech miesiącach, siedmiu dniach i dziewięciu godzinach, ale zawsze. Dowody były niezbite. Widzieli wcześniej każdą ze stron, na którą teraz wchodziłi. Przekopali się przez niewiele mniej niż milion stron. Zwiedzili całą sieć! Wziąwszy to pod uwagę, świętowali dosyć skromnie: wyczerpani, kiwali głowami, uśmiechali się do siebie drętwo z minami „chwała Bogu, że mamy to wreszcie za sobą”. Wiedzieli, że w każdej dosłownie chwili powstają nowe strony. Jednakże w tym konkretnym punkcie w czasie, w tym momencie ich podróż dopełniła się. „Coś osiągnęliśmy, tylko co?”

Zanim jako zespół znaleźli jakąś wspólną odpowiedź, wrócili do projektowanego programu, by zająć się jego otoczką, czyli nazwą firmy i software’u. Zgodzili się, że jedno i drugie będzie się nazywało Generii (od łacińskiego *sui generis*), co oznaczało „swego rodzaju” lub „w swoim rodzaju” i stanowiło miły żarcik dla wtajemniczonych. (Drugie „i”, tłumaczył Ruggles, sprawia, że rodzaj jest nasz). Oliver dorzucił do nowej firmy niewielkie oszczędności z pierwszej, niepełnoetatowej pracy, Ruggles przycisnął młodych maklerów, by zainwestowali parę groszy, Jonathan – który nie chciał, żeby kuzyn miał na cokolwiek wyłączność – również się dorzucił. Ale pieniędzy i tak było za mało na opłacenie dalszych prac nad programem oraz licencji dla firm, których edytorzy tekstu posłużyły za podstawę Generii, więc oficjalna polityka firmy brzmiała: „Pierdolić ich. Nie zapłacimy im ani centa”. Gdy Generii udowodni, że kod jest autorskim i oryginalnym przedsięwzięciem, że nie został skradziony z innych edytorów tekstu, gdy program zacznie działać bez zarzutu i znikną problemy ze spacjami i błędami formatowania, gdy okaże się, że kod programu jest wolny od potknięć i wirusów, gdy przedstawiciele firmy przeprowadzą naloty dywanowe, rzucając płytami CD na trendsetterów na Manhattanie, jakby program był dyskiem startowym America Online, a produkt Generii znajdzie się na każdym ważnym biurku w centrum i śródmieściu, więc gdy to się dokona, jakikolwiek nakaz zaprzestania działalności stanie się nieistotny. Program powędruje w świat.

Inna, z góry przesądzona rzecz: jej dziecko urodzi się w sposób naturalny. Alice nigdy w życiu nie zgodzi się na znieczulenie zewnątrzoponowe. A ponieważ to ona nosiła pod sercem... hm... małe błogosławieństwo, Oliver, przekonawszy się, że cała ta historia z dzieckiem jest zasadniczo jej problemem, nie wtrącał się (poza kibicowaniem). Pozwalał żonie, aby nim kierowała, tak jak powinien pozwolić (to mogły być jej słowa).

Jeszcze jeden wstrząs: Alice nie chciała znać płci dziecka przed jego przyjściem na świat. A on znów się zgodził (tak jak powinien – słyszał jej słowa wyrażające tym razem lekkie zniecierpliwienie), przystał, że tak jest lepiej, bardziej naturalnie, że będą kochali dziecko, bo liczy się tylko to, żeby było zdrowe, absolutnie zdrowe. Przez kilka sekund Alice przytuliła do siebie ten sinoczerwony kształt: nie знаła płci, niczego nie wiedziała, to było tylko *jej* dziecko,

jego fizyczna obecność, jego zdrowy wrzask, *jej* dziecko, *jej* dziecko, a potem tama puściła i zapytała w końcu: „Co to jest?”, i zapłakała jeszcze bardziej, bo okropna prawda wyglądała tak, że nie mieli nic dla chłopca. Cóż, spierali się o chłopięce imiona z nadzieją na wywołanie porodu, spacerując wolno korytarzami oddziału położniczego szpitala St. Vincent. Alice obejmowała ramieniem jego barki, a Oliver trzymał ją w pasie; upierała się przy jakimś orientalnym imieniu, takim newage’owym albo modnym, a Oliver odpowiadał imionami zainspirowanymi filmem *Blade Runner*. Dla chłopca mieli więc tylko niepewność i teoretyczną miłość bez imienia, dla dziewczynki natomiast porcelanową doskonałość, a raczej zapatrzony w siebie, zarozumiały i pretensjonalny imię ukazujące światu, jak bystry, otwarci, altruistyczni i wszytkowiedzący są rodzice dziecka. Z drugiej jednak strony w imieniu tym kryły się czystość i wdzięk, właśnie to, o co chodziło Alice. A chodziło jej o małą, doskonałą, cudowną i wdzięczną Doe<sup>5</sup>. Co do Olivera: po osiemnastogodzinnym porodzie czuł się wyczerpany, choć był tylko świadkiem i udzielał wsparcia, pojął wszakże, dlaczego rodzenie dzieci jest najcięższą pracą.

Po krótkiej chwili położna podała mu zawiniątko z sinoczerwoną fasolką. Opadł na poduchy fotela obok łóżka Alice. Dziecko idealnie pasowało do długości jego przedramienia, mała, pognieciona buzia miała coraz bardziej siny kolor, a oczy zamykały się jak u iguany albo jakiegoś przedziwnego obcego. Gdy trzymał córeczkę po raz pierwszy, przytulał ją do piersi, czując jej ciepło, zwartą wagę liczącego zaledwie dziesięć minut ciała, wpadł po uszy. Wpatrywanie się w USG już się nie liczyło. Przykładanie dłoni lub ucha do gigantycznego brzucha mamy nie było tym samym: teraz noworodek leżał na nim nieruchomo, chłonał jego zapach, masę i ciepło; maleńkie neurony i zwoje kory wszystko przyswajały, uczyły się i dostosowywały, przyjmowały, tworząc więź głębszą niż ta genetyczna. To był pierwszy, prawdziwy, głęboko fizyczny kontakt pomiędzy nimi i Oliver był pod wrażeniem ogromu tego, kim się stawał dla tej małej bezbronnej fasolki, co podkreślały jej zaciśnięte paluszki przesuujące się ciut bliżej ku niemu.

## Następny ranek, następny lunch, następny wieczór

Wbranży tego mężczyzny ci, którzy zajmowali się tym samym, opowiadali sobie taką historię. Ten mężczyzna jej nie czytał, ale to nie miało znaczenia. Ta historia była dobrze znana. Ten mężczyzna ją znał, więc nie musiał jej czytać.

– Ktoś wymyśla maszynę – opowiadał ten mężczyzna Oliverowi. – Cudowny wynalazek. Maszyna mówi ludziom, kiedy umrą. Podaje dokładną datę i godzinę. Każdy może zdecydować, czy oszczędzać pieniądze, czy wydać wszystko na dziwki i gorzałę. Każdy może określić, jak chce przeżyć czas, który mu został. Czy jest ktoś, kto nie chciałby mieć takiej pewności? – Mężczyzna na drugim końcu linii przerwał, ale nie na tak długo, żeby pozwolić na odpowiedź. – Firmy ubezpieczeniowe kupują oczywiście ten patent. Interes nie idzie jak należy, jeśli klienci wiedzą, kiedy się rozchorują.

Z telefonem w zgięciu szyi, z przechyloną głową, Oliver odstawił kawę w bezpiecznej odległości od klawiatury. Otworzył na ekranie menu z listą plików.

– Zwiększenie wartości. Nie ma pan nic przeciwko temu?

– Właśnie dlatego nie pozwalają na to nikomu, kto ma częściową albo małą polisę... coś o niskim pułapie z wyższą franszyzą redukcyjną, jak ta, którą macie z żoną... Właśnie dlatego nie pozwalają wam zwiększyć wartości polisy po zdiagnozowaniu poważnego schorzenia. Dlaczego mieliby wam pozwolić generować ogromne koszty, jeśli nie płaciliście stosownych składek? W tym interesie nazywamy to jabłkami za pomarańcze. To jedno, o co musicie się martwić.

Pisząc coś na klawiaturze, mamrotał do telefonu coś w rodzaju:

– Niech pan zaczeka... o, kurwa... proszę mówić dalej... przepraszam.

– Trzysta to bardzo mały pułap – padła odpowiedź. – Kiedy oboje walniecie w to czubkiem głowy, jedno wyjście polega na przrzuceniu się na drugie jabłko. Ale to krótkoterminowe rozwiązanie. Nie załatwi pana żonie przeszczepu, którego potrzebuje. A z przebiegu przesłuchań w senacie wynika, że Hillarycare<sup>6</sup> idzie do kosza. Więc z tamtej strony pomoc nie nadejdzie w dającej się przewidzieć przyszłości. Dlatego musimy się zastanowić, jak zwiększyć wartość polisy pańskiej żony.

Ruggles postarał się i skontaktował Olivera z ambitnym, przedwcześnie łysiejącym doradcą ubezpieczeniowym, niejakim panem Blaunerem, który wyspecjalizował się w prawie o ubezpieczeniach zdrowotnych. Pan Blauner informował obecnie Olivera *pro bono*, że z punktu widzenia branży ubezpieczeniowej absolutnie nic się nie stało. Wstrzymane rachunki, rachunki do wyjaśnienia, supertajne okresy próbne – to tylko język branżowy. Jedyne, co się zmieniło między dniem dzisiejszym a dniem przed wizytą w szpitalu, to czas, w którym Oliver musi zdobyć tę nową polisę.

– To i że ta laska zajmująca się pańskim rachunkiem nie są po waszej stronie.

– Święta prawda – mruknął Oliver. – Wyglądała jak transmisja telewizyjna ognia na kominku w święta. Równie dobrze mógłbym, kurwa, rozmawiać z płonącym polanem. Słyszałem, jak myślała: „Ta mała doprowadzi moją rodzinę do ruiny”.

– Ta dziewczynka, młodzieńcze, nie została zatrudniona do rozwiązywania twoich problemów – odpowiedział Blauner. – Nie przeszkolili jej, żeby odpowiadała na twoje pytania. Jej praca polega na bilansowaniu rachunków. Nieważne, czy wyglądają na takie, które chcą pomóc, nieważne, czy są miłe...

– Ta nawet nie udawała.

– Dali jej scenopis. Musi mieć na uwadze szpital, swojego pracodawcę, który nie może

nie dostać forsy. Ta dziewczynka mieszka w Bronksie czy gdzieś tam. Zależy jej tylko na tym, żeby jej dzieciak chodził do szkoły Montessori. Zależy jej na tym, żeby nie wkurwiać przełożonej. Więc jeszcze jeden splukany frajer, bez obrazy, nie robi na niej wrażenia.

Oliver wymamrotał coś niewyraźnie, coś zrezygnowanego, ale potem dodał szybko:

– Ta, wiem.

– Musisz się przyzwycząić, mój młody czeladniku, że wszyscy, do których się zwrócisz, będą uważali, że są pod ostrzałem. Obie strony tak myślą. Przyzwyczajaj się.

– Chemiczna barbie – zaproponowała Alice. – Barbie, której wypadają włosy. Ma wyjmowane cycki. Skórę z wysypką.

– A kiedy zaśnie, lalka salowa ukradnie jej ciuchy.

Alice westchnęła. A potem zachichotała nie bez poczucia winy. Tilda podcierała niemowlę jednym ruchem od przodu do tyłu.

– W porządku, jestem rasistką – przyznała. – Przeciwniczką zdrowych i pięknych lalek. Winna zarzucanych mi czynów.

– Zdrowych i pięknych... To nie ja z całą pewnością.

Tilda przerwała nakładanie maści Triple Paste. Spojrzała prosto w oczy Alice. Przyjaźniły się prawie od dziesięciu lat, od pierwszego tygodnia w college'u, uciekały z zajęć na ciastka w Veniero's.

– Przestań. Nawet nie masz pojęcia, jaka jesteś olśniewająca!

– Tak, po prostu Holly Golightly. Tylko ze skomplikowanym rakiem krwi.

Te słowa były jak wymuszone, kryło się w nich wyrachowanie, interesowność. Ale Tilda nie miała okazji, żeby odpowiedzieć, bo chichot doprowadził Alice do kaszlu, który przeszedł w prawdziwy atak, niedający się powstrzymać, gdy już się zaczął. Przy nausznikach czapki narciarskiej Alice wisiały długie wełniane sznurki, które kołysały się przy każdym kaszlnięciu. Odgłosy wydobywające się z jej gardła brzmiały przeraźliwie. Za nimi wydostały się struny flegmy, a po nich pojawiła się gęsta zielona bryłka. W końcu wszystko ucichło. Alice wzięła od przyjaciółki mokrą chusteczkę i otarła usta. Złapała oddech na tyle, żeby powiedzieć, że wszystko w porządku, że z nią w porządku.

Przycupnięta na brzegu łóżka Tilda pozostała czujna. Dopiero po dłuższej chwili milczenia, wahania i niepewności wróciła do wyznaczonego zadania i zapięła rzepy, co pieczętowało i obwieszczało zmianę pieluchy. Wyczałowawszy malinkę na pulchnym brzuszku dziecka, rozwiła gęstniejącą atmosferę i została nagrodzona – wesoła jak słoneczny poranek Doe się rozszczebiotała, a jej mama rozpromieniła.

Tilda przyniosła wysoki plastikowy przewijak dla dziecka – niech ją Bóg błogosławi – oraz mnóstwo śpioszków, które teraz rozwijały, układały i którymi się zachwycaly. Przygotowała mleko dla Doe, mieszając je z wodą Poland Spring z butli (filtr Brita w ogóle nie działał na zardzewiałą kranówkę płynącą z rur w budynku). Zaglądając do skórzanego notesu Alice, zaczęła nawet rozrysowywać drzewko przyjaciół, którzy będą donosić Alice domowe jedzenie, pomagać przy dziecku i dzwonić do siebie, żeby skoordynować i zaplanować działania. Złożyła brudne mokre chusteczki i wepchnęła je do pieluchy, wrzuciła śmierdzące zawiniątko do płóciennego worka wiszącego z boku komody, odstawiła przewijak i podniosła gaworzącą Doe. Przez cały czas opowiadała Alice o rozmowach kwalifikacyjnych, które prowadziła przez trzy godziny poprzedniego wieczoru, o wadach i zaletach różnych chętnych studentek oraz potrzebujących pieniędzy aktorek, o babciach z Haiti i Dominikany mających wielopokoleniowe doświadczenie w wychowywaniu dzieci z Upper East Side, o nastolatce z Tajlandii mówiącej po angielsku z niezwykłą precyzją; ta dziewczyna przeczytała pewnie ogłoszenie Tildy, chowając się gdzieś na zapleczu chińskiej knajpy z jedzeniem na wynos.

Alice była wdzięczna, choć nie bardzo przejęta opowieścią.

– Zwyczajnie nie pojmuję, że tak trudno znaleźć kogoś, z kim mogłabym spędzać czas i kto rozumie, że znajdzie się...

– ...w delikatnej sytuacji. – Tilda powtórzyła frazę rytmicznie niczym melorecytację. – Wymagającej wyjątkowych obowiązków.

– ...komu można powierzyć opiekę nad dzieckiem...

– ...od dziesiątej rano do szóstej po południu...

– ...a czasem nawet dłużej...

– ...za wcale niemałe pieniądze – zakończyła Tilda.

Alice wyglądała jak uśmiechnięta trupia czaszka.

– No, właśnie. Więc dlaczego to takie trudne?

Grająca w tle płyta z plemienną muzyką kontemplacyjną z Ghany skończyła się. Alice wyciągnęła rękę w kierunku jednego ze stelaży z płytami CD (pofalowanych, wysokich na sześć stóp, wykonanych z polerowanej stali). Chwyciła pudełko i otworzyła plastikową pokrywę jak książkę. Oliver znał od dawna złe nawyki żony, a zwłaszcza jej skłonność do chowania kompaktów do przypadkowych pudełek (w opakowaniach z okładkami przedstawiającymi wrzeszczących buntowników z gitarami we flanelowych koszulach znajdował często medytacyjne pieśni waleni).

Tilda poruszyła się niecierpliwie.

– Poczekaj. Ja to zrobię.

Była dużą kobietą, ale poruszała się z koordynacją i wdziękiem sportsmenki. Wyciągnęła kilka pudełek z płytami. Nie udawała, że nie wie, iż Oliver nazywał ją Matyldą, nie mówiąc już o Wygłodniałym Hipopotamie czy „kobiecie, na której wszystko, każdy ciuch i kolor, zamienia się w brąz jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki”. Płytę z performatywnym monologiem o kobiecej przyjaźni w okresie menopauzy schowała do pudełka od płyty z rockiem progresywnym, opowiadając jednocześnie Alice o wyprawie do podejrzanej dzielnicy magazynów pod mostem Brooklińskim.

Było jak zawsze: okna pociągu F są tak porysowane, że nic przez nie nie widać, tablice informacyjne poza Manhattanem stają się nieczytelne od graffiti. Tilda czekała na pierwszy przystanek i bardzo uważała, żeby go nie przegapić.

– Ale pojawiła się nowa przeszkoda. Kiedy tylko przyjechałam na miejsce i wyszłam z tej głównianej stacji, zaczęły mnie gonić *dzikie* psy. Dzikie psy goniły mnie po Dumbo<sup>7</sup> przez cztery przecznice! – Roześmiała się i opowiedziała Alice o próbach nawiązania korzystnych kontaktów.

– Zawiozłam tam coś na tę wystawę grupową, o której ci mówiłam. Sekretarka powiedziała mi, że kuratorka wystawy skontaktuje się ze mną, to znaczy... dobrze wiem, co to znaczy, ale kto wie, prawda? – Potem przeszła do „cudownie podejrzanych szkoleń z korekty pism prawniczych”; ogłoszenie o nich znalazła na ostatniej stronie „NYPress”. – Te szkolenia odbywają się w mieszkaniu takiej kobiety, czaisz? Wystarczy, żeby się wstydziła za siebie. Więc przechodzisz szkolenie i zamiast urzędowego certyfikatu kobieta daje ci numery telefonów innych ludzi, którzy przeszli szkolenie. Pracują w kancelariach prawnych i mogą za ciebie poświadczyć, o ile, rzecz jasna, zdasz test z korekty pism. Jeśli ktoś cię zatrudni, zaczynasz poświadczać kwalifikacje innych ludzi z kursu w wiadomym mieszkaniu. Wyobraź sobie, że żaden numer telefonu z mojej listy nie odpowiedział.

– Musi być jakiś sposób, żeby mogła widywać się z Doe podczas chemioterapii – powiedziała Alice.

Tilda umilkła. Jej ciastowate rysy zamarły.

– Nie wiem, czy nie powinnam umówić się na wizytę w innym szpitalu – ciągnęła Alice.

– Spotkać się z innym lekarzem od przeszczepów, z kimkolwiek... Musi być taki ktoś. To znaczy przy tej konsolidacji nie mamy już wyboru, prawda? Ale żebym nie mogła zobaczyć dziecka!

– Ona nic nie będzie pamiętała – odpowiedziała Tilda. – Tobie będzie trudniej.

– Nie mogę tego zrobić, jeśli nie pozwolą mi być z dzieckiem. Nie zrobię tego.

Tilda włożyła do rączek Doe debiutancki album ulubionej głośnej kapeli Olivera. Pozwoliła dziecku poślinić srebrzystą powierzchnię. Pogłaskała Alice po łydece.

– Ciesz się tym, co masz teraz. Twój skarb jest obok.

– Nie wierzę zachodniej medycynie – mruknęła Alice. – Gdybym nie musiała zajmować się Doe, pojechałabym do jakiejś aśramy i wyleczyła się przez medytację.

– Zachodnia medycyna to też część Boga. Musisz się z tym zgodzić.

Alice pokręciła głową, jakby odganiając od siebie te słowa.

– Niepewność jest najgorsza. – Łzy napłynęły jej do oczu. – Życie w strachu.

– Ludzie, którzy przez coś przechodzą, są interesujący. Coś przeżyli. To wiele warte.

Wierz mi, że pisarze, projektanci mody, artyści, wszyscy muszą mieć coś do powiedzenia, a jeśli nie mają, to to, co robią, może być zabawne, ale jest pozbawione głębi. Zawsze wtedy zadaję pytanie: „Po co to robisz?”. Spotkałam wielu facetów, którzy najzwyczajniej marnują w taki sposób czas...

Alice oparła się o żeliwną, artystycznie powyginaną ramę łóżka. Zamknęła oczy.

– Zimą, gdy drzewa zasypiają, ich siła spływa do korzeni. – Odnalazła dłoń Tildy i zamknęła ją w swojej. – Muszę zostawić za sobą swoją małość, swoją małośćkowość, wszystko, czego w sobie nie lubię. Jeśli będę taka sama jak dotąd... – lekceważące machnięcie dłonią – ...to będzie porażka i strata czasu.

– Ale chyba nie przypuszczasz, że istnieje między tym jakiś związek? *Nawyki* nie mają nic do rzeczy.

Szum generatora dźwięków. Potem pociąganie nosem.

– Daję sobie rok – powiedziała Alice. – Po upływie roku wszystko pójdzie lepiej.

Tilda kiwnęła głową, a potem zaniepokoiła się, gdy coś sobie uświadomiła: coś do niej dotarło, objawiło się jej. Alice też to wyczuła. Zawsze ta nieszczerłość.

– Możemy... Wyjdźmy gdzieś.

Tilda się nie poruszyła.

– Jestem gotowa – powiedziała Alice. – Słowo harcerki. Chodź, kwiatuszku. Nie bądź cipą.

Według legendy właściciel i jego kumple jeździli na motorach we wnętrzu tego baru dla motocyklistów. Nad masywnym ozdobnym zwierciadłem wisiały na ścianie biustonosze jak papier toaletowy na gałęziach drzew. Niektóre były koronkowe i zniszczone, inne miały podtrzymujące druty, jeszcze inne noszono podczas robienia interesów. Wszystkie budziły mocno erotyczne skojarzenia. Przed starym dębowym barem ustawiała się w czterech rzędach kolejka młodych ludzi w drogich garniturach, przepychano się w niej, by zdobyć najlepszą pozycję i uwagę którejś z wystrzałowych lasek podających drinki. Niczym nieróżniący się od innych biały młody człowiek wymachiwał banknotami. Brunetka minęła go bez słowa. Pochylił się więc ku przyjacielowi z dzieciństwa i wrzasnął, przekrzykując gwar i muzykę:

– Nauka! Na tym się dziś opierają! To, kurwa, nie do uwierzenia! Znają prawie wszystkie odpowiedzi, sahib. Mają *wiedzę*! Mówię ci, że to najlepsza pora w dziejach cywilizacji, żeby się rozchorować.

Teraz niemal każdy dzień Olivera wyglądał właśnie tak. Kontaktowali się z nim kolejni członkowie wewnętrznego kręgu, zapraszając go na kolejne serdeczne rozmowy. Następnego dnia rano był umówiony z Jonathanem, starszym kuzynem, który przetrwał trzy nowojorskie

maratony z rządu i chciał się spotkać na nabrzeżu West Side Pier, gdzie biegał co rano przed pójściem do pracy w jakimś biurze architektonicznym (w którym był młodszym młodszym kimś tam).

Jonathan właśnie przebiegł przepisowe dziesięć mil i stał pochylony, oddychając głęboko, w rozpiętej lekkiej bluzie z kapturem i przepoconej koszulce. Co ten wieczny głos rozsądku chce powiedzieć Oliverowi?

– Przynajmniej nie nazywasz już dziecka „dzieckiem”.

Znajomi, z którymi od dawna nie utrzymywał kontaktów, dzwoniли, gdy tylko się dowiedzieli. „Niewiarygodne” – powtarzali raz za razem, serdecznie, z najlepszymi intencjami. Każdy kumpel pytał: „Jak mogę pomóc?”.

Tamtego wieczoru w barze Ruggles podniósł butelkę PBR, odchylił głowę i wypił łyk. Rozluźnił krawat i nie krył podziwu dla pracującej za barem studentki w kowbojskim kapeluszu.

– Mówię ci, sahib, że robi się teraz cholernie dużo, żeby zapewnić pacjentom leki pierwszego i drugiego etapu leczenia. Poważnie, człowieku. Leki na raka są teraz na topie. Inwestuje się w nie mnóstwo kapitału. Więc to gówna nie da jej rady, rozumiesz?

Wczesne popołudnia były podobne. Ojciec zaczął, gdy tylko Oliver podniósł słuchawkę:

– Te firmy ubezpieczeniowe! Banda brudnych dziwek. Pieprzą się, powiadam, za pieniądze i nawet nie myją.

Ruggles odepchnął dłoń Olivera, gdy ten chciał zapłacić za kolejkę. Uśmiechnął się do barmanki, patrzył za nią, gdy odchodziła dumnym krokiem.

– Jillian kazała mi obejrzeć *Anioły w Ameryce*, widziałeś to? Cholernie dobra sztuka. Koleś zostawia zarażonego kochanka. Myślałem o tym, co was spotkało. – Ruggles upił łyk, przełknął. – Ale to były cioty. Ty jesteś mężczyzną. – Po chwili dorzucił: – No i tam nie mieli dziecka.

Oliver oddzwonił do Blaunera, który zostawił informację poprzedniego dnia o siódmej rano. Blauner kazał mu zaczekać. Po kilku chwilach Oliver usłyszał zamykanie drzwi. Gdy Blauner wrócił, przeprosił i zapytał, na czym stanęli. „Na tym, żeby koszty medyczne nie uniemożliwiły przeszczepu szpiku, który ocali życie mojej żony” – odpowiedział Oliver. Właśnie na tym stanęli.

Ci wszyscy dobrzy znajomi, którzy się pojawiali, ale byli tak wstrząśnięci, że nie wiedzieli, co powiedzieć ani jak się zachować... Musiał od nich uciekać w cholerę, natychmiast!

– A ten jebany przewodniczący Izby Reprezentantów. Skurwysyn wysyła żonie papiery rozwodowe, kiedy ta jest na chemioterapii w szpitalu. – Ruggles wytarł usta rękawem i ciągnął: – Powiedz mi, jak ten skurwiel może spojrzeć na siebie w lustrze?

„Pomóc przy dziecku?” Chór pytań. „Pomóc w zakupach?”

– Czy przeszczep szpiku nie jest przypadkiem współczesnym odpowiednikiem żelaznego płuca? Och, przepraszam, nie chciałem...

– Gdzie mogę się zgłosić jako dawca? Czy czegoś wam trzeba?

– Dowiesz się... – podpowiadał Blauner – ...że lekarze potrafią być najlepszymi ludźmi na ziemi. I najgorszymi. Czasem równocześnie.

Jonathan przeprosił włóczęgę, że nie ma drobnych. Gdy kloszard skończył ich przeklinać, kuzyn Olivera wskazał ławkę nad wodą. Gęsta mgła, choć nie za bardzo.

– Nie umiem sobie wyobrazić, przez co przechodzicie – zaczął Jonathan.

Oliver czuł wiatr na twarzy.

– Tkwę w tym po uszy, ale mówiąc szczerze, też nie umiem sobie wyobrazić – odparł.

Ruggles wpatrywał się w resztki entego piwa.

– A teraz poważnie, sahib, okantowali cię. I masz prawo być rozżalony. Chcę powiedzieć,



że swoją żonę też kurewsko okantowali. I to biedne dziecko. Chryste! To, co wam się przytrafia, nie jest sprawiedliwe. Wiem, że to wiesz, ale pierdolić, jestem pijany, a ktoś musi ci to powiedzieć.

Oślupiały, nabrzmiały wdzięcznością Oliver wpatrywał się w niego w odpowiedzi.

Budzik pokazuje szóstą trzynastą, jak echo towarzyszy mu telefon, ojciec dzwoni najgłębszą i najgorszą nocą z krowiego miasta w Kalifornii.

– Na pewno nie chcecie zasięgnąć drugiej porady?

– Wciąż jesteś biednym sukinsynem, który musi postawić na swoim. – Ruggles błyskawicznie obliznął pianę z warg. – Musisz się przygotować do bitwy i zająć się rodziną. To ty poniesiesz ten ciężar. To kurewstwo, w dodatku niesprawiedliwe, ale tak to wygląda. Pierdolony ciężar bycia mężczyzną.

W najbardziej pobłażliwym okresie lat osiemdziesiątych, nad ranem po każdej szalonej nocy, gdy maklerzy i bywalcy klubów skończyli międzykulturowe wygibasy na parkietach Limelight albo znużyli się bzykaniem przez ubranie w najbardziej niedostępnych zakamarkach Tunelu i podzielili już ostatnie kreski na lśniących stolikach Nell, gdy tancerze go-go z Paradise Garage, striptizerzy z Billy's Topless, misie z Mineshaft, transwestyci z Jackie 60, nie wspominając o dominach ze wszystkich przerobionych piwnic i czikach z kutasami kurwiących się za bezcen przy Little West Twelfth, przeczołgali się już przez ciemność, gdy wszystkie te ślicznotki i ich fagasy odstawili właściwe sobie zamiłowania, skłonności i transgresje, ale wciąż byli zjechani, wciąż się trzęśli i potrzebowali miejsca, żeby się wyluzować, rozstrzygnąć niewyjaśnione wątki, ponownie przeżyć wydarzenia nocy, pograć jeszcze trochę albo wypić bezkofeinową i przyjąć dobre rady – więc ci, którzy o tym wiedzieli, mieli zakarbowane w głowach, że bez względu na to, skąd przychodzili, bez względu na to, kogo przelecieli na West Side, ktoś inny z tego lokalu rozpusty na pewno trafi na tę porytą koleinami ulicę z popękany brukiem. Seledynowe metalowe panele z innej epoki. Wielkie stalowe litery tworzące stylowy napis: R&L RESTAURANT (nazwa jakiejś nieistniejącej jadłodajni z obrazów Hoppera). Jedyne bezpieczny port w tej zrujnowanej okolicy dla każdej cioty, gdzie można klapnąć o świecie. Jedyne miejsce na tyle modne, żeby zaszedł tu nad ranem dowolny kontrkulturowy epikurejczyk. Jedyne otwarta knajpa, w której podawali możliwą kawę, nie mówiąc już o steku z frytkami czy jajkach w koszulce z sałatką cesar z kozim serem (prawdziwie inspirującą – należało spróbować).

Przerwawszy dyskusję z dystrybutorem alkoholu, właściciel restauracji podbiegł do Alice i pocałował ją w oba policzki po obu stronach maseczki. „Wygląda promiennie. Cudownie ją widzieć”. Mówił z tak olśniewającym akcentem, jak olśniewająca była jego siwa czupryna. Chwila stosownego zachwyty nad *bébé*, po czym ujął Alice pod rękę i wtedy coś mu w głowie zaskoczyło. Wpadł w popłoch, cofnął nie całkiem jałowe, jak mu się wydało, przedramię, które narażało ją na ryzyko infekcji. Jego przeprosiny były uzasadnione i zrozumiałe, lecz Alice uznała, że nic się nie stało i nie trzeba niczego domniemywać. W tym miejscu panuje tylko miłość.

Mężczyzna o szerokiej piersi, którego Alice nazywała Florentem, chwycił za rączki spacerówki i popchnął wózek przed nimi, pozwalając Tildzie prowadzić Alice. Szły wolno, bo Alice nie mogła chodzić szybko („Ostrożnie” – ostrzegła ją Tilda), zmierzając ku szczelinie między stolkami przy barze a rzędem kwadratowych stolików jak ze szkolnej jadalni. Stawiały uważnie kroki na zabłoconym linoleum z odciskami brudnych podeszew. Wybitny artysta, o którym pisano największymi literami i który siedział jak zwykle podczas lunchu na swym miejscu pod mapą kraju szczycącego się jego nazwiskiem, spojrzął na Alice podobnie jak wszystkie osoby spożywające teraz lunch. Pomocnicy kuchenni starali się nie gapić na Alice, ich oczy celowo unikały jej spojrzeń, gdyż właściciel już dawno poinstruował personel, jak należy

się zachowywać wobec całej generacji chorych.

– Modłę się każdego dnia, żeby twoja żona przeżyła – dobiegło ze słuchawki, po czym zapadła cisza dla lepszego efektu. – Ale gdy przez to przejdzie – podjął Blauner – będzie miała, mówiąc szczerze, wiele problemów na głowie. Taki drobiazg: nie będzie się już mogła ubezpieczyć na życie. Więc lepiej, żeby twoi rodzice i jej rodzice, jeśli mają pieniądze, zaczęli odkładać coś dla waszego dziecka. Jakiś fundusz powierniczy. Fundusz na studia. Cokolwiek.

– Nie przyszło mi to do głowy...

– Właśnie, bo niby dlaczego? Dobrze, że o tym pamiętałem. A kiedy będziesz składał zeznanie podatkowe i wyszczególniał odliczenia na opiekę zdrowotną, co powinienes zrobić, bo zezwała na to prawo, pamiętaj, żeby ująć w tym wszystkie opłaty nieobjęte ubezpieczeniem, recepty, koszty spoza sieci, każdą płatność, której nie pokrywa polisa i którą musiałeś uiścić sam. Gdy tylko umieścisz je na druku A do odliczeń, masz jak w banku, że w federalnym urzędzie podatkowym zapalą się czerwone lampki.

– To znaczy...

– To znaczy, że zrobią ci audyt zeznań podatkowych, osobistych i firmowych. Więc lepiej trzymaj faktury i paragony.

– Chyba sobie, kurwa... nie wystarczy, że...

– Masz jeszcze trochę czasu na to wszystko, teraz są pilniejsze sprawy. Pracujemy nad zdobyciem dobrego nowego ubezpieczenia, ale pułap tego, które macie, jest niski. Trzysta, prawda? Zadbajmy o to, żeby twoja polisa pokryła tyle, ile się da, musimy pilnować kosztów...

– Ja tylko... znaczy się...

– Musisz trzymać rękę na pulsie, maleńki. Każde wejście lekarza do sali chorego to płatna wizyta. Stażystów nie. Studentów też nie. Ale każde wejście lekarza prowadzącego równa się rachunek. Każde badanie? Inny rachunek. Odczyt wyników badania?

– Rachunek. – Oliver nadązał za szkoleniem, nawet jeśli nie był nim uszczęśliwiony.

– Czyste szaleństwo – ciągnął prawnik. – Wizyty lekarzy są liczone w dziale kosztów lekarskich. Koszty szpitalne w innym dziale. Koszty laboratorium w jeszcze innym. Będziesz dostawał różne faktury z różnych działów, czasem z innych firm.

– Już tak jest. Na większości piszą, że nie mamy wstępnego zatwierdzenia polisy, co jest wierutnym kłamstwem...

– Spokój to jedyny sposób, żeby się z tym uporać, chłopcze. Masz jeszcze przynajmniej miesiąc, zanim ubezpieczalnia opracuje i zatwierdzi koszty. Dopóki tego nie zrobi, będą ci przysyłać faktury. Nie wściekaj się. Potwierdzaj: dział lekarski wysłał ubezpieczalni do zatwierdzenia.

– Rozumiem. Okej. Usiłowałem czytać te faktury, ale brakuje w nich logiki. Nie wiem, do kogo je piszą...

– Właśnie ci to mówię. A ta dziewczynka o oczach sarenki, która prowadzi wasz rachunek?

– Culpepper.

– Nie gadaj z nią. Idź do jej przełożonego. Przy pierwszej okazji. Dzisiaj. Składasz pismo do działu finansowego szpitala. Powiedz temu przełożonemu, że odwołujesz się od wszystkiego do firmy ubezpieczeniowej. Odwołujesz się z każdą najmniejszą opłatą spoza sieci. I żadasz odpisów wszystkich procedur medycznych tego przypadku od prowadzącej rachunek i lekarzy. Wpisz datę i podpisz to pismo. Zostaw sobie kopię. Chcesz, żeby dział finansowy szpitala pomógł ci do chwili, w której zajmą się odzyskiwaniem tego, czego już nie pokrywa ubezpieczenie.

Oliver zapisywał to w komputerze.

– Więc trzeba napuścić szpital na firmę ubezpieczeniową?  
– Po części. Tkwicie w tym z żoną na długo.  
– Jasna cholera, to jak wojna pozycyjna w Rosji!  
– Od ciebie zależy, jak wykorzystasz ten czas. Musisz maksymalnie wydłużyć urzędowy termin każdego odwołania. Jak to się skończy, złożysz papiery o pomoc finansową: przekonamy się, czy szpital zmniejszy rachunek. Szpitale są jak prywatne szkoły na Manhattanie: mają przeróżne fundusze na wsparcie uboższych, tylko że procedura ubiegania się o takie wsparcie przerasta możliwości zwykłych ludzi specjalnie po to, żeby ich zniechęcić do zwracania się o pomoc. Ale, chłopie, skoczysz przez właściwą obręcz i masz wsparcie. Mimo to, nawet jak je dostaniesz, postarasz się o maksymalne wydłużenie terminu spłaty tego, co zostało. Whitman nie zbankrutuje, więc nie musisz się o nich martwić.

– Wiem, że nasze ubezpieczenie pokryje tę całą konsolidację: pięć dni chemii... Zostaniemy pod parasolem. Ale kolejne leczenie wstępne... jeśli Alice się na nie zgodzi... Tak czy inaczej, dziękuję. Bardzo mi pomagasz.

– Musisz się nauczyć radzić sobie z tymi ludźmi – powiedział Blauner. – Podczas każdej rozmowy telefonicznej z firmą ubezpieczeniową pytaj o nazwisko i numer licencji przedstawiciela. Rób wyczerpujące notatki. Powtarzaj im ważne informacje i żądaj potwierdzenia. Jeśli automat w telefonie mówi ci, że nagrywają połączenia dla zapewnienia jakości usług, nie ludź się: sprawdzają, czy pracownicy stosują się do firmowego skryptu. I monitorują twoje odpowiedzi. Więc nie krzycz na nich. Nigdy. Nie daj im powodu, żeby twierdzili, że jesteś niestabilny, gwałtowny, że nie mogą z tobą pracować.

– Ta... na to już chyba za późno, ale dobrze, że mi o tym powiedziałeś.

– Wierz mi, chłopie, że rozumiem. Ale skończ z wygłupami natychmiast. Rozmawiaj z każdym przedstawicielem jak z własną świętą babcią w dniu jej urodzin. Jak tylko wyczerpiesz temat, powiedz mu, że był bardzo pomocny. I zapytaj o nazwisko, bo chcesz go pochwalić przed przełożonymi. I wyślij list z podziękowaniami za uzyskane informacje. Przedstaw te informacje w liście. W ten sposób zostawiasz papierowy ślad tego, kto i co ci powiedział i kiedy. I rób dla siebie kopię każdego dokumentu.

– Co mogą nam zrobić najgorszego? – zapytał Oliver. – Czy firmy ubezpieczeniowe konfiskują własność?

– Zabawny jesteś.

– Co?

– Nigdy nie słyszałeś o sądowym nakazie płatniczym, chłopcze? Zajęciu konta?

– Kurwa.

– Ale to dopiero przed nami. Niemniej jednak... masz jakiś sposób na ukrycie majątku? Masz w ogóle jakiś majątek?

– No kurwa...

– Miałem kiedyś klientkę. Miała raka, chemioterapię, konsolidację. Podczas rekonwalescencji dostała zapalenia płuc. Przed wypuszczeniem do domu zrobili jej tomografię jamy brzusznej. Wszystko to działo się w święta, na początku weekendu bożonarodzeniowego. Braki w personelu, połowa lekarzy specjalistów na wakacjach, oddział prowadzą sami rezydenci i stażyści. Tomografia wykazuje płyn wokół woreczka żółciowego. Radiolog analizuje wydruk, widzi płyn, ale i farfocle. Nie wie, co to jest. Pisze, że istnieje duże ryzyko i że to wszystko może być oznaką poważnego problemu. To trafia do oficjalnego opisu badania.

Oliver zapytał, co to oznacza.

– Prowadzący czyta opis i naturalnie odmawia wypuszczenia pacjentki do domu. Moja klientka skarży się dyżurnemu rezydentowi. Chce iść do domu na święta.

– Znam to.  
– Więc rezydent dzwoni do radiologa. Ten w prywatnej rozmowie przyznaje, że skany nie są takie złe, a to, co się dzieje wokół woreczka, nie jest znów, odpukać, takie niekoszterne. A poza tym na skanach mogą pojawiać się rzeczy, które wydarzyły się przed wieloma dniami.  
– Więc radiolog kryje własny tyłek.  
– No cóż, nie może wypuścić do domu pacjentki z czerwonym światłem w dokumentacji. Gdyby to zrobił, stałby się prawnie odpowiedzialny. A moja klientka przejęłaby szpital.  
– Nie mogła się sama odłączyć od tych, kurwa mać, rurek? – zapytał Oliver. – Wynieść się w cholerę? Nie mogli trzymać jej wbrew woli.

Blauner się roześmiał.  
– Opuścić szpital wbrew zaleceniom lekarzy? Ubezpieczenie nie pokrywa kosztów pobytu w szpitalu, nie płaci za żadną wykonaną w tym czasie procedurę.

Długi wydech.  
– No, właśnie. Są różne punkty widzenia.

Jeszcze jeden wydech.  
– Naprawdę nie wiem, jak my przez to wszystko przejdziemy.

Alice zachwycała się *przepyszny* mocno przysmażonym stekiem z polędwicy, a choć zjadła tylko kilka kęsów, stek i tak był boski. Powiedziała *monsieur* Florentowi, jak bardzo jest mu wdzięczna za tak przyjazną i przemiłą atmosferę, a właściciel restauracji ucałował dłoń Alice, jakby jej gumowe rękawiczki były z jedwabiu i sięgały do łokcia. Wcisnął jej w rękę czarną wizytówkę i powiedział, że gdyby czegoś potrzebowała, wystarczy zadzwonić – nieważne, czy to, czego sobie zażyczy, znajduje się w menu; sprowadzą dla niej wszystko i dostarczą do loftu. Ponownie napełniono koszyki z chlebem i szklanki z wodą. Florent powiedział paniom, żeby się nie śpieszyły, i odszedł. Alice opowiedziała Tildzie o poczekalni chorych na raka i spotkaniu z garbatym mężczyzną. O spojrzeniu w jego oczy, które patrzyły w oczy śmierci. Powiedziała, że widziała jego śmierć. Podążyła za nim w otchłań. Dlaczego ona miałaby przeżyć, chciała wiedzieć, dlaczego miałaby dostać szansę, dlaczego wszyscy są tak mili wobec niej, ci wszyscy ludzie z ich współczuciem i dobrymi myślami?

Gdy przyglądała się tamtemu mężczyźnie, coś sobie uświadomiła. To od niej zależy, czy przyjmie tę otchłań. To ona w ostatecznym rozrachunku musi zabić swojego Boga, zabić rodziców, zabić siebie, swoją tożsamość, swoją osobistą narrację.

Przerwał jej nieśmiało i przepaszająco dyrektor artystyczny pewnego domu mody, w którym Alice nigdy nie była: przedstawił się i zapytał, czy Alice potrzebuje jakichś strojów, czy może coś dla niej zrobić, cokolwiek. Alice podziękowała mu za uprzejmość i uściśniła jego dłoń, a gdy sobie poszedł, powiedziała Tildzie, że zanim zachorowała, słyszała o takiej odmianie buddyzmu, która przygotowuje do śmierci, a wyznawcy śpiewają mantrę: „Każdego dnia jestem coraz starszy, moje ciało rozkłada się i nadchodzi mój kres”. Powtarzała ją sobie podczas ćwiczeń jogi, siekania selera czy mycia zlewu.

Nie śpiesząc się, oddychając, popijając od czasu do czasu chłodną lemoniadę dla pokrzepienia, opowiadała na raty, że czyta, kiedy tylko może, i niedawno przeczytała taki koan o małpie i jej dziecku. Huśtając się, małpa przemierza las, a małpiątko trzyma się jej sierści. W ten sposób małpa opiekuje się potomstwem.

– Jestem matką i dzieckiem. Nie muszę się martwić, wystarczy mi świadomość, że ziemia się mną zaopiekuje. Brzmi dobrze, wręcz cudownie. Choć niewykluczone, że znajduję wymówkę, żeby nie walczyć... Teoria to teoria – ciągnęła Alice. – Każdego dnia staram się myśleć, że ziemia może się mną zaopiekować na różne sposoby. Ale jest też ten czarny ciężar, który przygniata mi piersi: ewentualność, że nigdy nie poznam swojego dziecka, a ono nie pozna

matki. Zostawię małą bezradną małą samą na świecie. Staram się żyć według... ale przepraszam. Przepraszam. Jestem samolubna. Nie wyrzeknę się męża. Nie wyrzeknę się dziecka. Nie mogę!

Tilda wstała zza stołu, obeszła go i usiadła obok wyraźnie wyczerpanej Alice. Nie zważając na własne łzy, ocierała potoki płynące po policzkach przyjaciółki. Alice nie musi się niczego wyrzekać. Znajdą dawcę. Dojdzie do przeszczepu.

Alice zamruczała, oparła głowę na ramieniu Tildy. Jasny puszek porastał chudą szyję. Tilda pogłaskała ten puszek jak najdelikatniej.

– Żyjemy skategoryzowani – powiedziała. – Ty jesteś matką. Żoną. Pacjentką. Mnóstwem rzeczy, prawda? Ale te kategorie nie przybliżają cię do własnej duszy, tak?

Alice oddychała coraz lżej i ciszej.

– Religia nie przynosi odpowiedzi na to, co się z tobą dzieje. Może naprawdę skończysz jako któryś z nierozwiązywalnych paradoksów zen. Ja wiem tylko, że możemy być z tobą. Możemy cię kochać. Tylko tyle możemy. Nadal musisz przez to przejść. To ty wyruszyłaś na duchową pielgrzymkę.

Alice znów zamruczała i przytuliła się mocniej do bezpiecznych piersi przyjaciółki. Tilda głaskała ją dalej. Alice przymknęła oczy. Wydała rozkoszny senny pomruk. Gdzieś z tyłu stukwały przestawiane naczynia, trwały rozmowy przy stołach. Alice to nie przeszkadzało – zasnęła.

## Jak ocalić dzień

Drzwi do łazienki zostawiła otwarte, gdyby musiała wezwać pomoc. Widział kłęby pary, zaparowane lustra. Sprawiało to senne, niemal mistyczne wrażenie: na poły ukryte migotliwe stworzenie o niezgrabnej owalnej głowie trzymającej się niepewnie na bladym sznurku szyi. Opuściła głowę. Na czubku tej głowy widać było małe gruzełki. Na pewno nie wie, że on się jej przygląda, w przeciwnym razie nie pozostałaby tak obnażona, odsłonięta, zatopiona w intymnych rytuałach: dwa pajęcze palce zagłębiły się w puszcze, wyłoniły z lepkiem kremem.

Oliver wędrował po wertepach jej ciała więcej razy, niż mógłby policzyć, ale teraz ciało to stało się właściwie nierozpoznawalne, obce, w sensie nie swoje, ale też pozaziemskie: gładkie, przedziwnie ukształtowane, lśniące blade. Szerokie ramiona się zapadły. W wytartym skrawku zaparowanego lustra widać było wciąż nieprawdopodobnie piękne piersi, ciężkie od zatrutego mleka, i różowe jak szminka sutki. A niżej resztki ciężowego brzucha, na który jakoś nie działała chemioterapia. Nosidełko brzucha zadrgało lekko, gdy nakładała krem poniżej wystającego obojczyka, śnieżnobiała plamka przykryła siniak jak po przypaleniu papierosem, gdzie kiedyś znajdowało się centralne wklucie.

Z pośladków zwisała skóra, puste worki na mąkę. Kiedyś uwielbiał dawać im klapsy, zatapiać w nich zęby. Ten widok rozbił go, nie mógł dłużej patrzeć. W odbiciu w lustrze widział brak włosów łonowych. Mimo że tyle już przeszli, wciąż był tym wstrząśnięty, a jej szparka przyciągała go i odpychała jednocześnie.

Alice rozcierała, wygładzała krem palcami, aż biała plama znikła, a jej pierś zaczęła lśnić. Przy każdym dotyku osypywały się płatki martwego naskórka, unosiły się w przesyconym wilgocią powietrzu. Alice nie zwracała już na to uwagi.

Stanął za nią i wtulił się delikatnie w kruchą architekturę jej karku, oparł głowę nad zdrowym ramieniem, gdzie nie było żadnych centralnych wkluc ani zabiegów. Pocałował ją otwartymi ustami w sam środek karku. Alice wydała pełen zaskoczenia zadowolony pomruk i oparła czoło o jego czoło.

Telefon dzwonił i dzwonił. Wzięła się w garść, pomyślała, że stary dobry doktor Glenn na pewno sprawdził odloty z lotniska Burlington. Wmówiła sobie, że jej opuchnięte, baloniaste czerwone świńskie rysy wróciły do normy. Z logicznych i zrozumiałych powodów (albo zupełnie bez powodu) nieprawdopodobieństwa za każdym razem obracały się na jej korzyść na rozwidleniach szlaku. Ryzykowne chybień o mały włos. Nieprawdopodobne wygrane, nawet jeśli niewielkie.

Każdy dzwonek był szansą – szansą na stawienie czoła przerażeniu, na zrobienie czegoś lepszego od posikania się w majtki. Alice wypuściła powietrze, wyciągnęła rękę i podniosła chłodny gładki plastik słuchawki. Przystawiwszy ją do ucha, zdobyła się na powitanie, czując, że tężeje, starała się rozluźnić ramiona. Podała dzwoniącej osobie datę urodzenia. A potem słuchała. I dowiedziała się, że te jej pięć procent tajemniczych krwinek nie wykazuje żadnych anomalii. Zbliżająca się chemioterapia *nie będzie* zatem powtórny leczeniem wstępnym.

Do jej płuc wpłynęły pierwsze cząstki powietrza. Po raz kolejny „jeśli się uda” zamieniło się w „uda się”. „Przeżyję. Znajdziemy sposób”.

– Jest tego więcej – powiedziała Beth. – Muszę zajrzeć do notatek.

Po drugiej stronie mieszkania, na oknie od wschodu, wylądował tandem gołębi. Warstwa sadzy na szybie była na tyle gruba, że szare ptaki wyglądały tak, jakby były cętkowane i brudne. Alice wpatrywała się w przekrzywiające się główki, kłujące dzioby, słuchała.

Wydobyte z zapomnienia klasyczne gry planszowe. Metalowe pudełka na drugie

śniadanie z bohaterami seriali science fiction. Dziwne lalki produkowane po to, żeby skomercjalizować każdą ekscentryczną przebijającą się gwiazdę. Miłość Ocala Dzień. Alice i Oliver pozwolili wystawie sklepu odwrócić uwagę. Za ich plecami rozlegały się raz po raz trudne do odgadnięcia odgłosy East Village, powietrze było ciężkie i zimne. Oparła głowę o ciepły owczy kozuch jego kołnierza. Dziecko w wózku wyciągało ręce ku pacynkom i wypchanym zwierzętom w witrynie.

Nie mniej radości sprawiały Doe obracające się w suszarce ubrania w automatycznej pralni po sąsiedzku. Potem poszli dalej, meandrując po lekko zamrożonym chodniku Drugiej Alei, zagłębiając się w królestwo ćpunów, włóczęgów i kreatywnych przedsiębiorców, którzy wykładali towary na prawdziwym złodziejskim targu. Oliver przeglądał płyty i kasyety leżące obok wybebeszonego samochodowego radia. Alice próbowała odgadnąć logikę zwężającej się ku dołowi skórzanej kurtki ze straszliwie wypchanymi ramionami i podszewką z kowbojskich frędzli.

– Lata osiemdziesiąte – podsumowała.

Szli noga za nogą, ale wytrwale. Niech szlag trafi polecenia lekarzy: chciała, żeby jej ostatni posiłek na mieście był wyjątkowy. A Oliver nie da rady jej powstrzymać przed zajęciem miejsca przy wspólnym wegetariańskim stole w restauracji, w której się stołowała od pierwszego roku. Długie głębokie oddechy pozwoliły jej wkrótce delektować się kłębami pary gorącej zielonej herbaty. Wypiła cały kubek. Przez wzgląd na stare czasy podzielili się z Oliverem smoczym półmiskiem gorącego jak diabli tofu, morskich roślin i ryżu.

Bez wstępów zapytała:

– Będzie dobrze, prawda?

Jedną z natychmiastowych odpowiedzi było zaspokojenie apetytu. Inną spacer, rozwijanie przemyśleń po drodze. I jeszcze dom, otulenie się bezpiecznym ciepłym stożkowym światłem w pustelni pudełkowej składanej sofie, zaprojektowanej z modernistyczną elegancją lat pięćdziesiątych. Maleństwo miało przed sobą całe miesiące do uzyskania równowagi niezbędnej do wstawania, ale już bardzo się starało, chwytając za oparcie sofy, podciągając się do pionu ramionami, chcąc wstać z mamą i tatą. Świetny sport.

Alice uśmiechnęła się do dziecka.

– Byłabym szalona, udając, że jadę do spa – powiedziała. – Ale to nie znaczy, że nie mogę potraktować tej wyprawy leczniczo i zająć się rzeczami, którymi osoba bardziej ode mnie kompetentna zajęłaby się już dawno.

Kontynuowała przygotowania: najpierw nieduże pudełeczko owiniętych w folię kartek z podziękowaniami i piórka do kaligrafii. Dalej karteczki i serwetki z numerami kontaktowymi, które musi umieścić w najnowszym terminarzu; notes Moleskine z gładkimi kartkami. Podniosła grube miękkie wydanie *Emmy*, powieści, którą chciała przeczytać już od pewnego czasu.

– Kiedy po raz ostatni czytałam dla przyjemności?

Nie zwróciła uwagi na obojętne wzruszenie ramion Olivera i wpakowała książkę do wewnętrznej kieszeni himalajskiego plecaka wspinaczkowego, a potem wyciągnęła się na całą długość sofy. Oparła się na szerokiej piersi Olivera i zastanawiała się głośno, czy nie widział przypadkiem jej discmana.

Poczuła, że się wzdrygnął. Jej też zrobiło się zimno.

Odpowiedź na jej pytanie leżała tam, gdzie położyli ją po powrocie z New Hampshire: ze wszystkimi innymi nietkniętymi rzeczami ze szpitalnej sali w plecaku rzuconym w głąb garderoby.

Wzięcie Doe na ręce wciąż nie wymagało wysiłku, chwała Bogini! Alice zaczęła od pierwszej litery alfabetu, Oliver dołączył do niej nieco chwiejną wokalizą. Niemowlę chwyciło

kosmyk peruki mamy. Głos Alice załamał się, ale nie przestała, nawet gdy dziecko ściągało jej perukę z głowy, przekrzywiając pomarańczową jak gałka lodów fryzurę.

– Następnym razem śpiewaj zeee mnaaaa, dobrzeeee? – Ostatnia samogłoska nie zabrzmiała czysto.

– To było miłe.

Poruszyła się, oderwała od ramienia Olivera, podniosła wyprostowaną Doe i zakołysała nią, przenosząc się teraz tam, gdzie nie mogła słyszeć uwag męża o rozkładzie wizyt w szpitalu, który – jego zdaniem – został dobrze przygotowany.

– Nie chcę stracić rzęs – powiedziała.

– Spójrz na mnie – odparł.

– Łysienie jest wystarczająco okropne. A brwi nie są tak ważne. Zawsze miałam ładne rzęsy.

– Alice, proszę, spójrz na mnie.

– Twoja mamusia będzie drzewem – zwróciła się do córeczki. – A może gładkim łysym motylem bez brwi?

Poddała się po kilku chwilach i odwróciła ku niemu. Dotknął jej podbródka.

– Ciągłe masz rzęsy – zaczął. – Są...

– Rzadsze. Czuję, kiedy nakładam cień.

– Jesteś niewypowiedzianie piękna.

– To straszne, że jestem próżna w takiej sytuacji, ale nic na to nie poradzę.

– Z włosami czy bez włosów, z rzęsami czy bez rzęs, ciągle mam wielką ochotę wypiąć cię nad tą sofą.

– Czarujący unik.

– Pójdziemy do szpitala i zajmiemy się wszystkim. A potem zostawimy całe to gówno za sobą.

– Wiem – powiedziała cicho.

– Musimy przez to przejść.

– Tak.

– Gdyby dało się inaczej...

– Tak.

Jej plan zakładał czytanie bajek przed snem, karmienie dziecka z butelki i leżenie w ciemności do czasu, aż Doe przestanie się wiercić. Miała zgłosić się o szóstą, na wypadek gdyby potrzebny był zabieg otwarcia dojścia centralnego. Potem zrobi się ósma. Zamierzała słuchać oddechu i pochrapywania dziecka, dopóki tylko zdoła uleżeć ze śpiącą córeczką i wpatrywać się w nią. Potem wyjdzie do salonu. Przytuli się do Olivera na sofie, skończy pakowanie i podejmie na nowo rozmowę. Będą rozmawiali do późna w nocy, a ona będzie się zwierzała mężowi, niosąc mu przy tym pocieszenie. Nienawidziła siebie za to, że ta choroba tak bardzo wytrąciła go z równowagi. Wiedziała, że to głupie, ale i tak czuła się winna. Planowała, że przed zarządzonym przez lekarzy moratorium na jedzenie i picie, wchodzącym w życie o północy, rozepnie mu dzinsy, uwolni z majtek tego cudownego kutasa i nawet jeśli będzie spocony i śmierdzący, nawet chociaż jej ciało wygląda jak laserowa transmisja z zawieszonoego nad ziemią statku matki, przypomni Oliverowi, do cholery, o swych kobiecych urokach. Ale jej plany były jeszcze szersze i bardziej dalekosiężne, obejmowały bowiem dalsze życie w zdrowiu, które będzie prowadziła. Gdy zdrowi młodzi mężczyźni i wspaniałe kobiety nie ustąpią jej miejsca na chodniku, po którym będzie szła, pchając przed sobą ten potwornie wielki wózek, przypomni sobie, tak zaplanowała, jak to było, gdy sama czuła się młoda, piękna i niezniszczalna. W piątkowe popołudnia, gdy dziecko stanie się niezdolne przed nadchodzącym



weekendem – pełnym długich pustych godzin bez opiekunki poprzecinanych zaledwie chwilami oddechu – przypomni sobie, tak zaplanowała, ten konkretny wieczór i to, jak się boi. Zaplanowała sobie radość ze zdumienia Doe, kiedy się okaże, że czerwień i błękit mieszają się w fiolet. Zaplanowała, że któregoś mroźnego dnia, gdy będzie się starała zapanować nad atakiem złości Doe, której jakieś dziecko nie da do zabawy łopatki na placu zabaw przy przedszkolu, wykaże się anielską cierpliwością. Zaplanowała cieszyć wzrok widokiem małej damy z gołymi łokciami i kolanami w roziskrzonej taftowej sukience księżniczki, wspinającej się po schodach kamienic z czerwono-brunatnego piaskowca, dzwoniącej do czyichś drzwi i wołającej: „Cukierek albo psikus!”; przemyścić dorastające dziecko tajnym wejściem na dach hotelu Plaza, opowiedzieć mu o pewnej letniej nocy, podczas której mama i tata (dopiero zaczęli się spotykać) wspięli się na ten dach i usiedli na nim ze spuszczoneymi za krawędź nogami, by w przerwach między kęsami dobrego sera i łykami taniego czerwonego wina pochylać się ku sobie i pieścić się słodko. Plan zakładał też, że gdy nastoletnia córka zacznie eksperymentować ze wszystkimi rzeczami, z którymi eksperymentowała ona sama, Alice powie jej, że tajemnica polega na osiągnięciu właściwej równowagi między sześćdziesięcioma procentami wściekłości a czterdziestoma empatii. Z pewnością usiądzie w pierwszym rzędzie z kamerą, tak planowała, na rozdaniu dyplomów na którejś z uczelni Ivy League, w którejś z tych dobrych, dającej licencjaty ze specjalizacji, dzięki którym można zarobić na życie. I prawem cholernej natury poprowadzi tę małą dziewczynkę do ślubu.

Alice była słońcem. Półprzysłone słońcem, które właśnie nacieszyło się całym wieczorem spacerowania i śmiechu, cudownego jedzenia, ale które wciąż miało dość siły – była tego pewna – żeby ożywić gęstą kołdrę ciemności w dzielnicy pakowni mięsa. Dość światła, żeby nim wypełnić jałowe kabiny żółtych taksówek zaparkowanych przy bocznych ulicach. Obudzić drzemiących taksówkarzy. I tych, którzy czekają na zmienników, żeby dojechać z nimi do wyznaczonego punktu końca zmiany i oddać im kierownicę po dwunastogodzinnej pracy. Przyglądała się mężczyznom w roboczych kombinezonach, spłukującym rowki między kostkami bruku, zmywającym krew i odchody, i różowy śluz. Niebo nie rozjaśni się przez kilka następnych godzin. Temu słońcu mogło chcieć się spać.

Oliver wyszarpnął czarną walizę z bagażnika taksówki i postawił ją na ziemi. Wysunął rączkę. Szmaciana laleczka, która była ich pociechą, zwisła bezwładnie między paskami nosidełka, które miał na piersi. Alice po raz nie wiadomo który mruczała przepraszająco. Wytrwała tak długo, jak tylko zdołała, nie chciała zasypiać, nie chciała, żeby to tak wyglądało.

Nie patrząc jej w oczy, powiedział, że nic nie szkodzi.

Różowa barwa sunęła po sylwetkach wieżowców, bokach kanionu, którym była Sześćdziesiąta Szósta Ulica. Ciężkie chmury kłębiły się nisko nad śródmieściem. Noc rozrzedziła się do odcienia zmatowiałego srebra.

Na chodniku przed szpitalem dosyć niegustownie ubrana postać sunęła tym niepewnym, charakterystycznym dla siebie krokiem ku obracającym się drzwiom. Alice dziękowała w duchu za tę odmianę.

– Och, to Tilda! – zawołała, pozwalając sobie na nieco emfazy i tragizmu. – Razem kupowałyśmy ten płaszcz. Najcudowniejszy, najpiękniej kremowy ze wszystkich. Jakby go ubito jak śmietankę do tego odcienia.

Obecnie płaszcz miał kolor soczewicy. Oliver miał dość oleju w głowie, żeby nie komentować. Feromony Tildy miały moc przebarwiania wełny, sztucznego jedwabiu i poliestru. Cóż, wstała o tej pogańskiej porze i przyjechała tu z kawalerki na czwartym piętrze bez windy w Hoboken, co wymagało nie tylko jazdy kolejką PATH, ale i pokonania całego miasta. Nie marudziła, jak miała to w zwyczaju, nie oponowała na bezdechu jak zwykle. Zgłosiła się na

ochotnika na to niewdzięczne spotkanie z prostej dobroci serca, bo znalezienie przyjaciółki, która dotrzyma Alice towarzystwa, było o niebo łatwiejsze niż zamówienie opiekunki na taką porę, do czego się zobowiązali. („Zrobię wszystko” – powiedziała Tilda, nie wysłuchawszy prośby do końca). Osoba warta swej wagi w zbrązowiałym złocie.

– Zaczekaj – rzuciła Alice.

Posłuszny Oliver pozwolił żonie pochylić się, przytulić i pocałować dziecko w czubek głowy. Alice wciągnęła powietrze. Waniliowy zapach Doe rozszedł się w jej płucach.

– Muszę się jakoś z tym uporać – powiedziała, nie wysiadając z taksówki.

Jakiś kierowca trąbił, nie zdejmując ręki z klaksonu. W końcu dał za wygraną. Alice siedziała nieruchomo, ściskając dziecko. Oliver obiecał, że gdy tylko pojawi się żona Jonathana, która zajmie się Doe, wróci do szpitala. Gdy Alice pozna rozkład dnia, ustalą porę odwiedzin z dzieckiem. Tu są numery potwierżeń, które dostał z firmy ubezpieczeniowej, i nazwisko, na które ma się powołać, gdyby ktoś robił problemy.

Opanował się.

– Wszystko będzie dobrze.

Położył jej dłoń na policzku i trzymał nieruchomą głowę.

– *Tu est ma préférée.*

Pocałował ją w usta z siłą rozpedzonego pociągu, aż ustało rozgorączkowanie, opuściły go siły; teraz całował ją mocno i cierpliwie, pocieszająco, ze słodyczą lodów topiących się na łyżeczce, rozpuszczającą się wraz z Alice.

Za biurkiem zarzuconym teczkami i segregatorami siedziała tęgawa kobieta, trzymając telefon między przekrzywioną głową a uniesionym barkiem. Żuła gumę, pociła się lekko i oddychała ze świstem przez nos, patrząc obojętnie w ekran komputera. Stukała w klawiaturę palcami środkowym i wskazującym. Alice zauważyła, że większość paznokci ma wyjątkowo długich i pomalowanych w jaskrawe tęcze, z wyjątkiem paznokci na palcach do pisania, które wyglądały jak obgryzione, gdy łomotały wściekle w plastikowe kwadraty.

Alice za radą Tildy robiła ćwiczenia oddechowe. Ścisnęła dłoń przyjaciółki, skupiając się na twardości i masie pod palcami, pozwalając, by ta naprężona siła objęła ją całą.

Gdy na konsoli telefonicznej zamrugało światelko, kobieta przewróciła oczami, aż pokazały się białka, stuknęła w świecący klawisz i powitała dzwoniącego gardłowym i pełnym powątpiewania: „Mmmmm?”, które było pozwoleniem na rozpoczęcie mówienia. Przyciskała słuchawkę do ucha ozdobionego małymi roziskrzonymi świecidełkami, silnik jej szczęk pracował na najwyższych obrotach – rejestratorka słuchała. Czarne warkocze, grube jak kable elektryczne, nawet nie drgnęły, przymurowane dookoła jej głowy, gdy zmieniała miejsce. Jej mina wyrażała głęboką znajomość problemów tego szpitala.

– Co my, u Boga Ojca, robimy, wzywamy tą panią o świcie i każemy jej czekać na łóżko do popołudnia? – Chciała wiedzieć. – O tak, coś z tym zrobisz, Geraldine. Zejdź w takim razie na dół. Zwiąż swój chudy tyłek windą i spójrz na tą panią i to, w jakim jest stanie, i powiedz jej, że ma czekać. Geraldine... Geraldine. Jakiego sanitariusza masz na zmianie? *Diaza?* Powiedz temu leniwemu głupkowi, że jestem na linii. Ta pani wiele przeszła, a my nie możemy zasłać jej łóżka? Idź natychmiast po *Diaza*. *Sí. Sí. Pronto. Pronto ahora.*

W pokoju badań na trzecim piętrze pielęgniarka przykryła podstawę wagi papierem – kolejne niepotrzebne przypomnienie delikatnego stanu, w którym znajdowała się Alice – a odczyt pokazał, że od ostatniej wizyty u lekarza przed czterema dniami w gabinecie doktora pierwszego kontaktu Alice straciła na wadze całe trzy funty.

– Zaczekaj, aż przeczytasz książkę, którą napiszę – powiedziała Alice. – *Chemodieta*. Kobiety będą się ustawiały w kolejce do chemioterapii.

Oczy pielęgniarki ukryte za dużymi plastikowymi okularami wyrażały brak zrozumienia. W jej fachu utrata trzech funtów nie była powodem do radości.

– Ciągłe ci powtarzam – zawtórowała Alice Tilda. – Rak nie wyrak. Dopóki jest się zdrowym.

Alice się rozpromieniła.

– Uwielbiam cię.

Po korytarzach i poczekalniach niosła się wieść: nowej specjalistce od wkłuć brakuje delikatności poprzedniczki. Niewykluczone, że za tą pogłoską kryło się coś więcej od zwykłej zazdrości i kulturowej podejrzliwości, bo podczas pierwszej okropnej wizyty Alice w tym szpitalu Fatima zmarnowała aż trzy igły, zanim znalazła żyłę. Powściągliwa muzułmanka wyraźnie skoncentrowana pod grubym hidżabem nie zwracała uwagi na sugestie Bhakti, żeby użyła wenoskopu, i masowała wnętrze przedramienia Alice. Poklepała żyłę dwoma palcami, przycisnęła kciukiem.

– Nadgarstki i przedramię wyglądają dobrze, tylko... – umilkła, masowała dalej.

– Doktor Eisenstatt przyjmie panią później. – Doktor Bhakti stała ze skrzyżowanymi ramionami, miażdżąc modny obcas tych samych botków, które Alice zauważyła za pierwszym razem. Czy Alice miała szczęście zjawiać się tu akurat wtedy, gdy Bhakti wkładała te cudne buty? – I mamy mnóstwo dobrych wieści – ciągnęła Bhakti, a jej słowa wędrowały jak po sznurku ponad zakwefioną głowę skupionej pielęgniarki. – Biopsja aspiracyjna wykazała brak komórek białaczkowych w blastach. Co oznacza, że remisja trzyma się mocno. Tak jak chcemy, żeby rozpocząć konsolidację.

Fatima, której ramiona były okryte luźnymi rękawami aż do nadgarstków, ugniatała miękką skórę w zgięciu prawego łokcia Alice. Pokręciła głową.

– Tu nie warto się wkłuwać.

– A poza tym wyniki są na tyle dobre, że możemy odstawić warfarynę. Nie będziemy już rozrzedzali krwi.

– Nawet ta gdzieś się schowała – mamrotała Fatima.

Bhakti, przyjąwszy w końcu do wiadomości obecność pielęgniarki, zwróciła się do niej uprzejmie:

– Sprawdziałaś odpromieniową?

Piorunujące spojrzenie oznaczało: „A jak myślisz?”.

– Czy ktoś mógłby mi przynieść dodatkowy koc? – zapytała Alice. – Proszę. Zrobiło się chłodno.

– No cóż, musimy uruchomić jakąś żyłę. – Bhakti odgarnęła włosy za ucho, najwyraźniej nieświadoma wrażenia, jakie wywołuje ten gest u łysej pacjentki po chemioterapii. Rozplotła rękę i podniosła długopis do ust. – Ma pani zaplanowane przetoczenie krwi, potem żywienie. – Przygryzła koniec długopisu, co nijak nie pasowało do wszystkiego, co myślała o niej Alice. Głos Bhakti brzmiał tak, jakby siedziała w restauracji i wypytywała kelnera o nieznaną potrawę. – Problem z zespołem od wkłuć: jeśli zadzwonimy po nich, jesteśmy uziemieni. Zawsze trzeba dodać dwie godziny do ich szacunków.

Gdy podczas pobytu Alice w szpitalu w New Hampshire nadeszła pora usunięcia wenflonu z okolic jej obojczyka, lekarz kazał jej nucić. Gdy tylko zaczęła, szarpnął. Poczowała ukłucie i nic więcej, ot tak.

– Ostatnim razem miałam dojsście centralne – powiedziała. – Jestem pewna, że wiecie. – Odszukała wzrokiem Tildę i wyjaśniała dalej: – Najpierw próbowano dobrać się do nadgarstka. Taką potwornie wielką jak harpun igłą. Byłam przerażona, ale nie miałam nawet siły, żeby się trząść... w takim byłam stanie. Oliver opowiadał mi jakiś głupi kawał, który uwielbia, nieważne

o czym, wierz mi, to nie było śmieszne.

– Dziwnie mnie to nie dziwi – odpowiedziała Tilda.

– Ale on się śmiał – mówiła dalej Alice – a jak on się śmieje, ja też muszę się śmiać, więc uwielbiam ten kawał. Zaczął go opowiadać, bo wie, że lubię, jak się cieszy. Ale w tamtej sytuacji było to tak absurdalne, że nie mogłam wyjść z podziwu. I pomogło mi się uspokoić.

Tilda uniosła oczy. Alice rozpoznała jej sceptycyzm.

– Wiem, że ty i on nie przepadacie za sobą, Tilapia. Ale Oliver zawsze okazuje mi miłość na niespotykane sposoby. Dzięki temu przetrwałam tamten potworny miesiąc.

Jarzeniówki brzęczały nad ich głowami.

– Zróbmy wklucie centralne i podłączmy wszystko do niego – powiedziała Bhakti, wruszając ramionami. – I tak wyznaczony był zabieg.

Unosiła się, płynęła w górę z dna oceanu, odpychając nogami przyciąganie – czuła ciśnienie na policzkach, paliły ją płuca – wznosiła się przez warstwy ciepła i lodowatego zimna. Wrywała się z głębin ku świadomości, budziła się, przetykała, wdychała głęboko powietrze. Jarzeniowe panele nad głową świeciły ostro, bezwzględnie. W całym obojczyku czuła elektryczne wstrząsy, jakby ktoś przepuszczał prąd przez cienki aluminiowy pręt.

Potrzebowała trochę czasu, ale wydobywszy się z najgłębszych głębin oksykodonowego zamroczenia, uświadomiła sobie, że przejrzysta plastikowa rurka jest nowa, a kaniula inna, że w jej ciele umieszczono nowe urządzenie właśnie tam, gdzie było w New Hampshire.

– To bardziej boli – wymamrotała. – O wiele bardziej.

Wciąż nie była całkiem przytomna, gdy przez jej fugę dysocjacyjną przedarł się znany natarczywy głos dobiegający z jakiejś wysuniętej placówki:

– Myślą, że dali ci za mało morfiny.

Tilda, niech ją Bogini błogosławi. W tej piekielnej maseczce i gumowych rękawiczkach, które będą obowiązywały, dopóki Alice tu tkwi. Tylko coś tu nie gra: Alice przyzwyczaiła się do miętowozielonego ekwipunku z New Hampshire. A maska Tildy miała bladożółty kolor światła wpadającego przez panoramiczne okno w leniwy poranek – o *niebo* ładniejszy. Alice nie mogła zrozumieć, w jaki sposób Tilda dostała się tak szybko do szpitala, jakimś cudem dotarła do Granitowego Stanu, zanim skończyły rozmawiać przez telefon; Alice była przerażona, dzieląc się z nią złymi wiadomościami podczas bełkotliwej, histerycznej rozmowy.

Inna część głębokiego wieczoru: Oliver wtulił się w nią na łóżku podczas przerwy w oglądaniu filmu na kasecie wideo z wypożyczalni nieopodal kampusu. Zapytał ją, czy dane im będzie ujrzeć, jak maseczka na twarzy Tildy brązowieje. Alice uśmiechnęła się, posłała mu spieczony pocałunek.

Coraz więcej rzeczy wokół wydawało się dobrze znanych: wiszące nad nią szklane butle kroplówek i plastikowe worki z płynem – wszystkie podłączone do dużego aluminiowego drzewa i zrobotyzowanego zasilacza pompy infuzyjnej, ten plastikowy pojemnik na odpadki przy drzwiach przeznaczony na igły i radioaktywne śmieci, otwarta historia choroby Alice na jasnobrązowej fornirowanej ladzie. Tilda siedziała na wyściełanym fotelu obok niej. Na wprost Alice ściana okien biegnąca przez całą długość pokoju. Niespodziewanie po prawej stronie, jakieś pięć jardów od niej, błotnistozielona zasłona oddzielająca część pokoju. Zza tej zasłony dobiegał coraz gorętszy aplauz widowni w studiu, tak głośny, że pękały od niego bębni.

Tilda otworzyła notes. Robiła notatki, gdy Alice była nieprzytomna. Powiedziała, że niezbyt wiele. Pozwoliła przyjaciółce zaaklimatyzować się w świecie żywych, nalała jej i podała wodę z dodatkiem kostek lodu. I dopiero wtedy, by nie pominąć żadnego szczegółu, przeczytała sporządzoną przez siebie listę: że doktora Eisenstatta zatrzymał gdzieś jakiś na pewno nagły przypadek, ale ma nadzieję, że przyjdzie jeszcze tego popołudnia, że prześcieradła i poszwy na

poduszki są hipoalergiczne – pielęgniarka sprawdzała dwa razy. Dodatkowo Alice ma mieć dzisiaj badania:

– EKG, elektrokardiografię, żeby się przekonać, czy twoje serce jest w porządku... i ten... skan... tomografię.

Och, i tabletki! Alice ma zażyć tabletki: małą czerwoną, czyli przeciwgrzybiczną, i białą, prawda, a-cyklo-wir, czyli przeciwwirusową, co znaczy, że nie będzie miała żadnych chorób wenerycznych, co znaczy także, że Tilda doprowadzi kilka dla siebie.

Śmiały się razem, co bardzo im się podobało, fajna odmiana, po której Tilda podjęła wątek. Tabletki: nie zdążyła zażyć tabletek stojących na ladzie w plastikowym kubku. Alice rozpoznała trzecią: końską dawkę gęsto upakowanego żółtawego potasu. W New Hampshire zapewniali ją, że potas pomoże jej na trawienie.

– Tylko że wcześniej dostałam sraczkę i za każdym razem ta wielka tabletkę przelatowała przeze mnie na drugi koniec.

Tilda uznała, że to koan godny Buddy: „Jak strawić tabletkę na rozwolnienie, jeśli rozwolnienie wyrzuca tabletkę z drugiego końca, zanim zostanie strawiona?”. Alice z radością głowiła się nad tym dylematem, gdy Tilda znów się wyrwała – opowiedziała o małej staruszce po drugiej stronie zasłony. Pani Woo.

– Jest uziemiona w łóżku. Wepchnęli jej rurę do gardła.

Dodała również, że pielęgniarki, które przychodzą do pani Woo, mówią do niej głośno i powoli, a Tilda nie potrafi uwierzyć, że mogą być takie złe i protekcyjne, tego nie da się opisać słowami. Pani Woo ma dwoje dorosłych wnucząt, które wchodzi i wychodzi z pokoju, kiedy mają na to ochotę, bo – według Tildy – na pewno nie mówią po angielsku, ale mają ze sobą przemiły fetysz w postaci konsoli do gier oraz nadprzyrodzoną awersję do wyłączania telewizora.

– Zapytałam o pokój jednoosobowy. Pielęgniarka powiedziała, że musisz się skontaktować z ubezpieczycielem i zapytać, czy zapłacą za pokój. Sto pięćdziesiąt dolarów więcej za dobę – prychnęła. – Jak chcesz, to zadzwonię.

Alice wyemitowała wzrokiem podziękowania dla przyjaciółki i pożałowała, że nie jest dość lotna, że jej umysł nie pracuje dość sprawnie, by to wszystko policzyć. Chciałaby, żeby ta paplanina trwała, ale rozpoznała jakiś dźwięk – powtarzający się pisk. Miała nadzieję, że to już koniec.

Na zasilaczu zaświeciła się czerwona lampka. Alice wymacała przy sobie włącznik interkomu i powiedziała operatorowi w centrali na piętrze:

– Moja kroplówka piszczy.

W oknie naprzeciw z nieba waliły tumany śniegu – śnieg padał tak szybko i gęsto, że prawie zniknął budynek po drugiej stronie ulicy, kamienica z poprzedniego stulecia z kamienia i cegieł zniszczonych przez czas i żywioły. Alice ledwo widziała ozdobne płaskorzeźby w marmurowym obrzeżu okna po drugiej stronie: roztańczonego cherubina z pękatym brzuszkiem. Na parapecie leżała świeża sterta śniegu. Wszystko wydawało się tak bliskie, że gdyby miała drabinę, mogłaby wystawić ją poziomo przez okno, przedostać się po niej przez zamieć na drugą stronę i stanąć na zaśnieżonym parapecie. Mogłaby stąd uciec.

## Najważniejsze, o co chodzi w życiu

Żona kuzyna zaklinała się, że „w najgorszym wypadku” przyjedzie przed jedenastą. Przeważnie można było na niej polegać. Jej gorączkowa chęć niesienia pomocy wydawała się wiarygodna. Ale „najgorszy wypadek” nadszedł i minął, a po niej ani śladu. Pewnie gdzieś utknęła: w pociągu, metrze, taksówce w korku. Jonathan nie odbierał telefonu, co oznaczało, że nic nie wie albo jest na zebraniu, nie ma nic nowego do powiedzenia albo nie chce mu się odebrać.

Oliver leżał na łóżku i karmił dziecko z butelki, kołyszając je delikatnie i nucąc cicho kołysankę. Doe była za bardzo zmęczona, tęskniła do mamy, nie wyglądała w żadnym razie na uszczęśliwioną, ale reagowała właściwie, przestała się wiercić i marudzić, powoli zapadała w sen. Oliver kołysał ją coraz wolniej. Bycie z dzieckiem jest fascynujące, angażujące, konieczne i satysfakcjonujące i wiążą się z nim same cholerne pozytywy, o których mówiła Alice (i wszystkie inne kobiety, które znał), gdy była w ciąży, a on wpadał w panikę. Tylko że nadchodzi taki moment, kiedy trafia się głową w sufit mimo cholernych błogosławieństw każdej Świętej Wózkowej. Oliver już dawno powinien gdzieś dzwonić, dowiadywać się, jak ocalić życie swojej cholernej żony. Więc gdzie się, *kurwa*, podziała ta żona kuzyna? To chciałby wiedzieć najbardziej.

Zamiast telefonu usłyszał przytłumione stukanie. Niosło się ze strefy roboczej loftu, z klawiatur terminali, z tego swędzącego miejsca, w które nie mógł się podrapać. Jego programiści – to pewne – bardzo starali się nie hałasować, starali się zachowywać z szacunkiem, ale Oliver i tak ich słyszał. Tak to wyglądało: jego rodzina, jego stare życie, jego firma, grupa jego przyjaciół, zaangażowanie i wyzwania – wszystko to znajdowało się w odległości kilku jardów, po drugiej stronie gipsowej ściany. Już, już wydawało się, że zdoła do nich dołączyć, dziecko dawało za wygraną i zasypiało, a Oliver podnosił się na łokciu, gdy znów... Doe. Coś, co przypominało wzdrygnięcie. Spazm. Przebudzenie. Małe rączki ściskające go mocniej za szyję. O wiele mocniej.

Pierwsze ulotne chwile: nowo narodzona córka leży na jego piersi. Mówił sobie, że w przyszłości będzie wracał pamięcią do tych chwil i usiłował sobie przypomnieć delikatny ciepły oddech wydobywający się z płuc Doe i wionący mu prosto w twarz, jej małe paluszki wbijające się w szyję.

W końcu znalazł się na trzecim piętrze Whitmana z uwierającym go w krzyż plecakiem Alice, tak kurewsko ciężkim, jak nigdy by się nie spodziewał, tym bardziej że jego żona ganiała z nim na plecach po całym mieście. Ciągnął także za sobą jej walizkę. Bał się, że będzie wkurwiona. Odwieczna jasność korytarzy i ten cierpki antyseptyczny zapach płynu odkażającego. W przypadkowych miejscach porzucone stelaże na kółkach, półki i nieprzykryte tace z niedojedzonymi resztkami lunchu na przekrzywionych stertach talerzy. Minął fiolki z krwią zostawione na laboratoryjnym wózku. Przypomniało mu się New Hampshire: nie mógł korzystać z ubikacji w pokoju Alice, bo mierzyli oddawany przez nią mocz, więc nie warto było ryzykować naruszenia plastikowego nocnika nałożonego na muszlę klozetową. Którejś nocy – jak zawsze, gdy pozwolił sobie na gazowaną wodę przed snem – pęcherz mu o mało nie pękł. W toalecie na końcu korytarza usłyszał nocnego strażnika: za drzwiami kabiny facet jęczał cicho i poruszał szybko dłońią – odgłosy znane każdemu mężczyźnie z własnych epizodów onanisty.

Wbił wzrok w jakieś drzwi w dwóch trzecich długości korytarza, mniej więcej tam powinien być pokój Alice. Przed drzwiami stała ta stylowa hinduska lekarka, która zwracała się do dwojga Azjatów bardzo bezpośrednim tonem, jakby to miało zagwarantować, że zostanie

zrozumiana:

– O tym musicie porozmawiać z Eisenstattem – mówiła Bhakti. – A nam potrzebna jest wasza decyzja w sprawie deklaracji DNR<sup>8</sup>.

Azjatka odwróciła się od lekarki i powiedziała coś w jakimś azjatyckim języku do starszego od niej o przynajmniej dziesięć lat mężczyzny. Odpowiedział jej, zaczęli się przerzucać zdaniem. Oliver wyraźnie słyszał słowo „resuscytacja”. Wyminął ich najszybciej, jak się dało.

Znaki ostrzegawcze na drzwiach były kolejnym przypomnieniem tego, z czym mieli do czynienia, ale Oliver nie potrzebował już drukowanych zakazów. Chodził w ochronnej maseczce i gumowych rękawiczkach przez czternaście godzin dziennie i był przyzwyczajony do warstwy potu gotującego się pod lateksem, od którego rozmiękały opuszki palców, był przyzwyczajony do oddechu odbijającego się od papierowej maseczki i zamieniającego się w parę.

Małe prostokątne okienko do sali zakryto, jak zauważył, czarną kartką papieru do wycinanek. Firmowy manewr Alice, która nienawidziła podglądania i nie życzyła sobie nadmiaru światła podczas drzemki. Wiedział też, że w jej sali będzie gorąco jak w saunie, więc zdjął kurtkę, a potem sweter. We wnęce z umywalką polał dłonie różowym płynem, umył je i osuszył. Maseczkę zakładało się łatwiej bez rękawiczek, sięgnął więc do kartonowego pudełka i przyłożył żółtą zasłonę do ust, czując od razu ostry chemiczny zapach. Ktoś zawołał go po nazwisku:

– Pan Culvert! Świetnie, że pana widzę.

Bhakti zmierzała ku niemu, okazując wstrzymywane poirytowanie. Ale i tak była atrakcyjna z tymi uderzająco ciemnymi włosami i skórą, długimi rzęsami i zgrabną sylwetką. Zapytała, jak się miewa, co było zdawkową grzecnością.

– Cóż, dotarliśmy do tego punktu w czasie – odpowiedział. – Do dnia pięćdziesiątego pierwszego. To nieźle.

– Nie rozumiem.

– Pierwsze sto dni po postawieniu diagnozy... jest kluczowe, prawda? Dotarliśmy do dnia pięćdziesiątego pierwszego.

Bhakti rozluźniła się, otworzyła szerzej oczy, jakby się za niego wstydziła.

– Nie jestem pewna, co panu mówiono ani co pan czytał. – Miała żywy, skalujący umysł. – Ale pierwsze sto dni po diagnozie rzeczywiście jest kluczowe. Kluczowe jest też przetrwanie pierwszych sześciu miesięcy. – Zamrugnęła, przypatrując się mu spod rzęs szmaragdowozielonymi oczyma. – Pańska żona będzie musiała przejść kilka ryzykownych okresów. Tak się dzieje. Przejdzie przez jeden, będziemy czekali na następny. Pierwsze sto dni po przeszczepie. Pierwszy rok.

Dyskusja azjatyckiego rodzeństwa w głębi korytarza się ożywiła. Obok pielęgniarki stanął sanitariusz, oboje się temu przyglądali. Doktor Bhakti miała kształtną górną wargę sugerującą wiele możliwości. Dodała, że doktor Eisenstatt zajrzy tu niedługo. Jeśli Oliver zechce z nim dłużej porozmawiać...

Przestał jej słuchać. Umył ręce po raz drugi, zostawił kapiący kran, wyjął rękawiczki z pudełka o rozmiarze L. Zwinął razem kurtkę i sweter, wziął je pod ramię. Chwycił walizkę na kółkach, spiął się i napał barkiem na drzwi.

Alice miała na głowie ręcznie farbowaną motocyklową bandanę oraz białe kocie okulary, których zawsze używała do szycia ręcznego. Fioletowo-różowe apaszki, uznawane przez nią za „magiczne”, okręcały się i wiły wokół jej szyi niczym boa dusiciel albo szal pierwszych lotników. Ukryta w miętutkiej barchanowej koszuli koloru waty cukrowej i przykryta od dołu kolorową patchworkową kołdrą uszytą przez jej prababkę (i przekazywaną po kądzieli z pokolenia na pokolenie), Alice wyglądała bardzo komfortowo. Machała puszystym różowym rękawem, trzymając w ręku trzy pocztówki.

Celem nadrzędnym paneli świetlnych nad ich głowami było umożliwienie personelowi medycznemu dostrzeżenia wszystkich potencjalnych komplikacji zdrowotnych u pacjentów, lecz w sali panowała stonowana atmosfera szpitala zamienionego w palarnię opium. Ze stojącego przy łóżku odtwarzacza CD płynęła kojąca piosenka Steviego Wondera, a na stoliku stały twarzą do pokoju rodzinne fotografie w ramkach. Oliver powędrował wzrokiem za łukiem machającego ramienia żony ku przeciwnej stronie sali, gdzie powinien się znajdować logiczny punkt końcowy wyimaginowanej linii. To, co wcześniej było nudną ścianą, stało się obecnie tęczową plamą ropy: jaskrawą, wielobarwną, z fragmentami ludzkich ciał wydartych z kolorowych magazynów.

W najbliższym kącie – tam, gdzie długa oddzielająca zasłona dochodziła do ściany z oknami – stała na krześle Tilda. Stosując się do wskazówek Alice, unosiła wysoko koniec sklejonych taśmą stron, prostując je i napinając. Przez połowę zasłony biegł napis sporządzony grubym czerwonym markerem: RAK NIE WYRAK. DOPÓKI JEST SIĘ ZDROWYM.

Alice przerwała dyrygowanie Tildą i spojrzała na męża. Na jej twarzy malowało się wesołe szelmstwo.

– Robimy postępy, nie sądzisz?

Postawił trzy kroki i znalazł się przy łóżku. Po raz drugi tego dnia położył dłoń na policzku Alice. Po raz drugi ją uspokoił.

Każdy pocałunek musiał być ważny.

– Cześć, serduszek – powiedział.

Miała rozmarzoną, zadowoloną minę, a on starał się zapamiętać tę chwilę.

– Byłyście zajęte.

– Miałam zamiar do ciebie zadzwonić i poprosić, żebyś przywiózł dywan. – Oczy Alice znów strzeliły w bok. – Wiesz, coś dużego i we wzory. Choć Tilda uważa, że dywan jest zbyt... no, nie wiem... arabski?

– Tu jest wystarczająco arabski i bez tego – odpowiedział Oliver. – A znając was, wiem, że będzie jeszcze bardziej.

Zniósł ironiczne podziękowania Tildy, że znalazł czas w swym wypełnionym kalendarzu, by je zaszczyścić swoją obecnością, i potulnie przeprosił, że powrót zajął mu tak dużo czasu. Zapewnił Alice, że dziecko ma się świetnie, naprawdę dobrze, i zapytał ją o samopoczucie i o to, czy lekarze coś mówili (jeśli w ogóle przyszli). Powiedział o telefonie od jej mamy, która jest gotowa przyjechać do nich albo zabrać wnuczkę do siebie (naturalnie). Podniósł maseczkę na nos i dodał:

– To śmierdzi jak kupa dziecka.

– Och, tak bym chciała powąchać...

Wciągnęła nosem powietrze jak ćpun marzący o strzale. Uznał, że musi zmienić temat, żeby nie wpaść w przygnębienie.

– Podobają mi się te żółte – mruknął. – Są pokrzepiające, bardziej... optymistyczne.

– Rozmawialiśmy o tym. – Tilda ukradkiem zerknęła na pager.

Obowiązkowe pukanie przeznaczenia do drzwi. Żwawa Dominikanka, która weszła do sali, poruszała się z profesjonalną werwą. Miała kędzierzawe włosy sterczące na osiem stron. Nad prawą brwią wyraźne znamię wielkości ćwierćdolarówki.

– Czas na pomiary – oznajmiła, a potem zerknęła na nietkniętą wodę w szklance Alice i wydała sapnięcie, okazując swoje niezadowolenie. – Już pani przez to przechodziła – rzekła. – Więc powinna pani wiedzieć, że picie wody i ssanie kostek lodu ma ogromne znaczenie. A ja gadam jak do ściany. – Zmieniła ton, zaczęła mówić szybciej, jakby powtarzała niedawno zapamiętane fakty, żeby ich nie zapomnieć: – Istnieją cztery filary rekonwalescencji pacjentów po chemioterapii. *Uno*: nawadnianie. Dwa: białko. Dalej ćwiczenia. I dbanie o stan jamy ustnej.



- Och, Carmen.
- Widzę tacę z lunchem. Filar pierwszy i drugi leżą. Źle pani zaczyna.
- W imię Białej Babskiej Bogini...
- Jak zacznie pani chemioterapię, straci pani apetyt do reszty. Powinna pani jeść tyle, ile tylko się da, dopóki można.
- Spójrz na ten smętny szary pasztecik z kurczaka – powiedziała Alice.
- Chcę grać w drużynie – wtrąciła Tilda – ale przysięgam, że sama Meryl Streep nie przekonałaby uczestników wyprawy Donnera<sup>9</sup>, żeby tknęli ten pasztecik.
- Jesteśmy zupełnie po drugiej stronie lustra. – Alice przybrała ton, który Oliver nazywał jej „głosem świata mody”. Pozornie zwracała się do Tildy, ale dawała przedstawienie dla wszystkich obecnych. – Czy wiesz, że ten szpital odmawia mi świeżych owoców i warzyw? Konserwowe owoce z puszkami mi nie służą!
- Chce pani, żebyśmy odegrały to jeszcze raz? – zapytała Carmen. – Możemy, czemu nie?
- Wszystko, co od pokoleń wiemy o zdrowym odżywianiu, zostaje postawione na głowie!
- Pani wyniki się pogarszają i jeśli na świeżym owocu będzie choćby jeden przypadkowy zarazek...
- Jeśli trzeba bombardować nuklearnie wszystko, co jem, poproszę Olivera, żeby przywiózł mi z domu mikrofalówkę.
- Kontrolujemy to, co jest w puszcze. Czy tak trudno to zrozumieć?
- Ale ja mam dobre wyniki, Carmen. Powiedzieli mi to rano.
- Ma pani dobre wyniki jak na osobę z rakiem.
- Nie mam raka! – zaprotestowała Alice. – Jestem *en rémission*.
- Jesteś tutaj nie bez powodu, *mama*...

W Dartmouth-Hitchcock Oliver wpatrywał się w drzwi, licząc godziny, potem minuty do przyjścia matki Alice, jakby siłą woli potrafił wymóc jej obecność. Niekiedy miał więcej cierpliwości i opanowywał nudę, rutynowe rozmowy z lekarzami, tłumaczenia pielęgniarek, na czym polegają następne badania, czekanie, namawianie Alice do jedzenia, słuchanie jej zapętlonych monologów (jak ona to znosi, bo to wszystko jest *takie* trudne). Starał się również zapanować nad czymś przeciwnym – nad wymuszoną ciszą, drzemkami Alice, czerwonymi cyferkami na budziku odliczającymi ich oszczędności, ich wspólnymi marzeniami.

Gdy przybywała babcia z dzieckiem, zegar zaczynał się wżerać w jego jestestwo i domagał się przerwy. Oliver wybiegał z budynku, jakby ten płonął, i pędził na parking, gdzie stał wypożyczony przez szpital van. Jechał do którejś z knajp w mieście, brał kanapkę z kurczakiem w sportowym barze przy kampusie, smutny chiński lunch z bufetowego stołu, na którym psuło się pod lampami tłuste jedzenie, albo hinduski specjał – gęsty i ostry, koloru krowiego placka. Jeśli akurat było pogodnie, szedł się przewietrzyć, podążał jak najdalej od starej zgentryfikowanej dzielnicy ku granicom miasta i galeriom handlowym. Smażone, tłuste, przypalone śmieci – jego oficjalny sposób na radzenie sobie z rzeczywistością. Dbał o to, żeby ucztować jak najdalej od szpitala, żeby Alice nie mogła go zobaczyć. Bardzo by się to jej nie spodobało, a ostatnią rzeczą, jakiej chciał, było wzbudzenie w niej obrzydzenia, prezentowanie czegoś, co wyglądałoby jak drwina z jej braku apetytu. Nie chciał, żeby zauważyła cokolwiek, co mogłoby nadwreżyć jej wiarę w męża.

Gdy miała jeszcze spuchniętą twarz, a jej wyniki wciąż szły się jebać, brakowało jej sił, żeby podnieść szklankę wody, i nie mogła zjeść nawet trzeciej części tego, co w Dartmouth uchodziło za jajecnicę. Miał świadomość, że to jeden ze sposobów, w jaki *to* może się wydarzyć. Strach, który następował potem, miał moc wizji. To, czy jej strajk głodowy jest

zamierzony, czy wywołany przez leki, miało drugorzędne znaczenie. Mimo namów lekarzy, pielęgniarek, Tildy, Olivera, a nawet matki, mimo pozornego pojmowania ich słów i rozumienia naświetlanych przez nich konsekwencji niejedzenia widział, jak gaśnie: stawała się zbyt słaba, żeby podnieść plastikowy widelec, żeby żuć. W tamtym momencie niezdolność Alice do włożenia małego kęsa do ust, niezdolność żucia, nasilające się zmęczenie i osłabienie oraz brak apetytu wywoływały u niej jeszcze większe zmęczenie i osłabienie, nasilały brak apetytu. Karmienie dożylnie nie miało znaczenia.

W ten sposób, jeden z wielu, mogła odejść.

„Te jajka wyglądają całkiem znośnie – mówił. – Może jeszcze jeden chaps?”

Studium przypadku nr 368

\* Centrum Onkologiczne Mt. Zion, 1200 York Avenue, Hematologia/Onkologia, p. 820

\* Whitman Memorial, 1220 York Avenue, Hematologia/Onkologia, p. 412

(stan krytyczny)

Dwie oddzielne sesje leczenia wstępnego. Sześć konsolidacji. Do tego dawka napromieniowania, od której świeci się w ciemności. Do tego dwa przeszczepy szpiku: pierwszy allogeniczny, a po nim, po nawrocie raka, nieallogeniczny z wykorzystaniem chemii zaaprobowanej w przypadku leczenia dzieci i pozostającej w fazie eksperymentów w leczeniu dorosłych. Mimo to białaczka wróciła w trzecim, finalnym stadium. W głębi pokoju badań dyplomowana pielęgniarka rozryczała się, gdy nadeszła ta wiadomość. Lekarz, któremu łzy napłynęły do oczu, wykonywał dalej obowiązki, tłumacząc, że będą kontynuowali regularne kontrole stanu pacjentki, będą ją monitorowali i przeprowadzali rutynowe przetaczania krwi. Gdy zajdzie taka potrzeba, stawi się na oddziale intensywnej opieki, a szpital, rzecz jasna, ją przyjmie. Jeśli wystarczy jej sił i chęci, zaordynują następną chemioterapię. Ale jedyne, czego można się spodziewać, to krótkotrwała poprawa.

Najlepsze, co można powiedzieć o kolejnych dniach, to to, że nie czuła się gorzej, a jednocześnie nie zdarzały się dni, gdy odczuwałaby jakąkolwiek poprawę. Nie czuła się silniejsza, nie miała przyływu energii, gdy wyniki poprawiały się same z siebie, gdy ulubione potrawy stawały się nieco bardziej apetyczne od cegieł. Następował regres od samodzielnego chodzenia do chodzenia z chodzikiem i od chodzika do fotela na kółkach. Nie potrafiła już się sobą zająć, ale była zbyt dumna, by pójść do hospicjum – uważała, że w ten sposób by się poddała. Ubezpieczenie nie pokrywało kosztów opiekunki na stałe, więc jej wnuczka wzięła urlop na studiach dyplomowych na Columbii, gdzie zgłębiała nanofizykę, i przeniosła się do starej kamienicy z piaskowca w Queens.

Ponieważ staruszka miała za słabe uda, żeby korzystać ze zbyt niskiej dla niej toalety, wnuczka pięć czy sześć razy dziennie sadzała babkę – samą skórę i kości, całą w zmarszczkach, z patykowatymi kończynami – na basen i podnosiła z basenu. Wnuczka też była wiotka jak chłopiec przed pokwitaniem, nawykła do ogromnych naukowych ksiąg i wielogodzinnych lektur, brakowało jej krzepy, żeby kogokolwiek podnieść, nawet suchą staruszkę. Nie miała doświadczenia w wożeniu chorych starców do szpitala i z powrotem. Ale kupiła ciężką stalową pochylnię i przekonała administratora, żeby pozwolił ją trzymać w komórce na parterze, więc dwa razy w tygodniu, gdy trzeba było wywieźć babcię z domu na transfuzję (staruszka opuszczała mieszkanie tylko w tym celu), wnuczka mogła ją zwieźć z wysokich frontowych schodów szacownej kamienicy, a potem wwieźć po nich. Zamawiała drogi dowóz do szpitala

i płaciła administratorowi za ustawianie ciężkiej pochylni na schodach. Przenoszenie staruszki z wózka inwalidzkiego do samochodu było następnym przedsięwzięciem piekła. Przed przyjazdem do Ameryki administrator należał do rosyjskiej mafii i nie mieszał się do niczego, o ile mu nie zapłacono, podobnie jak kierowca, który stał i patrzył.

Dwie kobiety, stara i młoda, podróżowały w ten ponury sposób od początku końca do czasu odejścia tam, gdzie się odchodzi, przedtem jednak poinformowano je w trybie pilnym, że firma ubezpieczeniowa uznała, iż w tej nowej fazie choroby ich klientka nie potrzebuje już opieki elitarnego szpitala. Wnuczka do późnej nocy czytała polisę, spędziła długie godziny na rozmowach telefonicznych, odwołując się od decyzji o przeniesieniu opieki szpitalnej i wypełniając towarzyszące odwołaniom druki i formularze. Zatrudniła do pomocy błyskotliwych przyjaciół, którzy zbierali informacje, przeprowadzali rozmowy telefoniczne i zarzucali przysłowiowe sieci. Nie chciała, żeby babka trafiła pod opiekę szpitala miejskiego. Jej przyjaciele znaleźli lek, który nie uzyskał jeszcze aprobaty Agencji Żywności i Leków, ale przechodził testy w różnych szpitalach na Północnym Wschodzie. Testy znajdowały się we wczesnym stadium, ale niektóre rezultaty wyglądały obiecująco. Każdego ranka oczy starej kobiety zlepiały się, prawa powieka zaczerwieniła się i zaogniła wskutek zapalenia, a staruszka widziała wszystko podwójnie i potrójnie; była tak osłabiona, że jej poprzednie osłabienie przypominało wyczyny w siłowni napakowanych sterydami karków z Venice Beach. Miejski szpital był mrocznym i ponurym kadłubem, zrujnowanym cementarzem, zwłaszcza w porównaniu z błyskiem luksusu, zdobiącym korytarze Mt. Zion. Poczekalnie miejskiego szpitala przypominały zubożałych kuzynów, których wysiłki, by utrzymać się na powierzchni, czyniły ich jeszcze bardziej żalonymi ekscentrykami.

Nowy lekarz przypuszczał, że problemy ze wzrokiem mogą być efektem białaczki w mózgu. Namawiał staruszkę do poddania się swoistej taniej chemioterapii, natychmiast – jedna strzykawka do płynu mózgowo-rdzeniowego. W rzeczywistości, mówił, nie jest to takie straszne, na jakie wygląda. Odmówiła: nie chciała niczego do chwili odebrania wyników badań.

Wyobraźcie sobie, że wyniki nadeszły. Okazało się, że pije za dużo wody, która oczyszcza jej organizm, powodując różnorakie niedobory, co mogło odegrać jakąś rolę w problemach z widzeniem. Pojawiła się ewentualność, że problemy z widzeniem nie były spowodowane rakiem mózgu. Wysoce prawdopodobne było również i to, że leki doprowadziły do osłabienia mięśni i problemów z chodzeniem, że wskutek ich zażywania traciła równowagę. Szpital skorygował terapię, przepisując inne sterydy. I zamiast wody kazali jej pić gatorade. Wypisano ją po czterech dniach.

A ponieważ okazało się, że kobieta miała rację, nie godząc się na zastrzyk chemii do mózgu, byłaby to wesoła anegdota z rodzaju tych, jak to znamy się lepiej na leczeniu od lekarzy i możemy przybić sobie piątki, gdyby rak rzeczywiście się cofnął po picciu gatorade. Ale wszyscy wiemy, że gatorade nie leczy raka. Gdy kobieta wyszła ze szpitala, nadal musiała się poruszać na wózku inwalidzkim, nadal potrzebowała pochylni i dowozu. Ktoś musiał przynosić jej jedzenie, wprowadzać przez próg do łazienki i podnosić z toalety. Po kilku tygodniach dopadł ją jakiś inny zarazek – jej płuca wypełniło tyle wydzieliny, że znów trafiła do szpitala, gdzie – by ocalić jej życie – wepchnięto jej do gardła grubą rurę, przez którą mogła oddychać. Ubezpieczenie nie chciało płacić za pokój jednoosobowy, więc położyli ją z drugą chorą, i nie pozostawało nic innego, jak tylko modlić się, żeby żaden inny zarazek nie przedostał się z za oddzielającej pacjentki zasłony. Na komodzie w piwnicy, gdzie mieściła się prowadzona przez staruszkę pralnia chemiczna, stał wielki kanciasty telewizor z gównianym obrazem: zakłócenia, śnieg i fale pojawiały się na ekranie, gdy pod ziemią przejeżdżał pociąg numer siedem, mimo to kobieta, gdy tylko miała wolną chwilę w ciągu dnia, oglądała w telewizji teleturnieje: Press Your Luck, Koło

fortuny. Każdego dnia wstawiała o świcie i wyprowadzała na spacer dwa małe yorki, a potem ćwiczyła tai chi w niedużym wybetonowanym parku obok drogi ekspresowej. Uczyla wnuczkę układania w porządku alfabetycznym ponumerowanych i oznaczonych nazwiskami kwitów z pralni. Ta sama wnuczka wykorzystywała teraz studenckie ubezpieczenie do opłacenia pięćdziesięciominutowych sesji terapeutycznych, na których się skarżyła, że już więcej nie znieśie, że jej własne życie się kurczy, że żyje w klatce, ale jednocześnie musi znosić więcej, bo wszystko się zmieniało – właśnie tak to wyglądało – jedynie na gorsze, a na to nie była przygotowana.

Chociaż... po głowie wciąż chodził jej pewien pomysł.

Gdy podzieliła się nim ze starszym bratem, przyleciał z Zachodniego Wybrzeża. A gdy oboje poznali tę hinduską kobietę, która chodziła za doktorem babki niczym pies, nadarzyła się okazja do porozmawiania z człowiekiem odpowiedzialnym za leczenie: przydybali lekarza przed pokojem, w którym babka leżała wraz z inną pacjentką, i opowiedzieli mu szybko o tym nowym leku na białaczkę, niemającym jeszcze certyfikatu AŻL, ale zaaprobowanym do leczenia innych postaci raka i testowanym obecnie w szpitalach. Przekazali naczelnemu lekarzowi prospekt z testów klinicznych badanego leku. Wnuczka poprosiła, żeby przestudiował go przez weekend, przeczytał chociaż.

Doktor powiedział, że wie, co usiłują zrobić. To godne podziwu. Ale mówią o przebiegu kontrolowanych testów wykonywanych przez inny szpital. Doktor nigdy nie stosował tego leku, a ona domaga się, żeby przepisał go pacjentce ambulatoryjnej na schorzenie, którego lek ten nie miał pierwotnie leczyć i na które nie ma jeszcze certyfikatu?

Wnuczka nie ustępowała; przypomniała lekarzowi, że nie wahał się, zalecając zastrzyk z chemią prosto w płyn mózgowo-rdzeniowy starej kobiety, zanim badania potwierdziły obecność komórek rakowych w mózgu.

Lekarz wzdygnął się i odrzekł nieco poirytowany, że postawił diagnozę. Wnuczka bez mrugnięcia powieką odpowiedziała, że owszem, wie o tym doskonale, więc powinien zdiagnozować wszystko na nowo. I zaordynować starszemu nowemu leku.

Ludzie gapili się na nich. Salowe i dyplomowane pielęgniarki stanęły, żeby to zobaczyć. Lekarz podniósł głos, mówiąc, że gdy babka weźmie nowe lekarstwo, najprawdopodobniej umrze po tygodniu. Jej stan jest obecnie bardzo poważny. Czekają ją zapewne operacyjne odsysanie wydzieliny z płuc, co samo w sobie jest, mówiąc oględnie, traumatyczne i będzie wymagało od wnuczki i jej ojca złożenia deklaracji DNR.

Lekarz przypomniał wnuczce, że szpital stosuje z założenia najbardziej humanitarne sposoby leczenia pacjentów. W odpowiedzi usłyszał, że zachował się nader wspaniałomyślnie, gdy rozważył poważnie nową możliwość i zdecydował, co jest humanitarne, a co nie.

Doktor powiedział, że wnuczka nie zmusi go do zaordynowania tego leku.

Mierzyli się wzrokiem; lekarz nie spuścił oczu i wolno i dobitnie oznajmił, że szpital zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby ustabilizować stan babki i odesłać ją do domu do wnuczki. Powiedział, że jeśli babka znowu się rozchoruje, mogą ją przywieźć albo nie. Dodał, że jest mu przykro, gdyż wyobraża sobie, jak wnuczka musi się czuć w tej sytuacji.

– Doprawdy? – zapytała ona. – Wszystko pan rozumie, ale nadal się nie zgadza?

## Witaj w moim ciele

Błękit bezchmurnego nieba. Tkana siatka, lekki metal, materiały zaprojektowane tak, by zapobiegać, ochraniać. Każdy, kto wchodził, miał coś takiego na sobie. I oczywiście rękawiczki. I maseczkę.

Alice zapytała, czy ma przynajmniej kitel. Carmen zachichotała i spojrzała na drugą pielęgniarkę. Pracowały parami, upewniając się, że numer pacjenta na plastikowej bransoletce Alice odpowiada numerowi na każdej z okrągłych szklanych butelek i plastikowych worków; pytały ją o datę urodzenia, a potem odhaczały coś na liście. Carmen pokazywała Alice po kolei wszystkie butelki i tłumaczyła:

– To antybiotyk, kroplówka z penicyliny. A to saeptamonizen<sup>10</sup>.

Niebo pociemniało za dwoma dużymi oknami, padał jeszcze gęstszy śnieg. Część pokoju pomiędzy oknami i owiniętymi kolorową krepiną lampami spowijał półmrok. Carmen zapytała, czy może zdjąć nastrojową krepinę, bo personel musi wszystko widzieć. Zdegustowana Alice kiwnęła głową, wypowiedziała bezgłośnie imię drugiej pielęgniarki, co zabrzmiało jak pytanie. Requita puściła do niej oko i dalej rozwieszała butelki z mętnymi kroplówkami oraz przezroczyste worki, pękate od płynu przypominającego śluz. Ponad zasilaczem wyrosło nieco upiorne drzewo o grubych rozłożystych konarach i gałęziach; rurki biegły ku centralnemu dojściu Alice niczym nieprzeliczone liany. Carmen magicznym czerwonym markerem wypisała na skórze Alice bieżącą godzinę w systemie dwudziestoczworgodzinny oraz datę. Następna zmiana pielęgniarek będzie wiedziała, kiedy zmienić opatrunek i wenflon. Requita rzuciła gniewne spojrzenia na piekielnie piszczący zasilacz pompy. Podciągnęła rękawy koszuli Alice, owinęła bandażami jej przedramiona. Chciała mieć pewność, że ramiona nie stracą ciepłoty. To pomoże w cyrkulacji leku.

– Podajemy steryd – powiedziała. – Przez cały czas trwania konsolidacji. Dodaje energii, a nawet lekkiego haju.

– Przy odrobinie szczęścia – dodała Carmen – odzyskasz apetyt.

Doktor Eisenstatt włożył przy wejściu błękitny kitel, wsunął ramiona w rękawy, choć nie związał troczków na szyi, przez co kitel zwisał mu z przodu tułowia. Zbliżył się, a pielęgniarki przestały ziewać. Miał mokre czoło, rozbiegany wzrok, oczy szeroko otwarte, nieco szalone, ale spojrzenie zdyscyplinowane. Kiwnął głową do Olivera, sprawdził, czy pielęgniarki zachowują się w należyty, taktowny sposób.

– Gdzieś ty był, *Howie*? – zawołała Alice. – Już myślałam, że mnie rzuciłeś!

Było jasne, że doktor Eisenstatt nie nawykł do żartów ze swojej osoby, a zwłaszcza żartów pacjentów. Zaczerwieniona już wcześniej twarz oblała się mocniejszym rumieńcem. Przeglądał, jak się wydawało, kartę pacjentki, ściskając palcami nasadę nosa. Przetarł kciukiem powieki i wymamrotał coś pod nosem, wziął kilka głębszych oddechów. Pod opadającym na pierś kitem lekarza Alice dostrzegła wykrochmalony i spięty szpilką kołnierzyk: złota poprzeczka biegła za uniesionym węzłem krawata; taka ozdoba definiuje szyte na miarę drogie garniturowe koszule. Zauważyła jednak, że kołnierzyk jest nieco zbyt obszerny, więc koszula nie mogła być szyta na miarę. Przemknęło jej przez myśl, że mama doktora kupiła ją na wyprzedazy w Barneys Warehouse. Zbeształa siebie po cichu, ale poczuła się pokrzepiona nie tylko wywołanym przez siebie bólem głowy doktora, ale i jego nadwrażliwością, a nawet pomieszaniem, a nade wszystko siłą rażenia własnej uszczypliwości.

– Pominąwszy pani zaniepokojenie moją opieszałością – zaczął Eisenstatt – które rozumiem i które dzielam... – skupił myśli – ...i za które przepraszam... – przerwał dla

lepszego efektu – ...a więc skoro w końcu zdołałem tu dotrzeć, wszystko wskazuje na to, że sprawy idą w dobrym kierunku, co jest budujące. – Zbliżył się do łóżka. – Zwrócono mi także uwagę, że doszła pani do porozumienia z pielęgniarką.

Przeszedł obok tej, o której mówił tak bezosobowo i której imię nie miało dla niego najwyraźniej znaczenia. Przystanął przy krawędzi łóżka.

– Pani Culvert, zapewniam panią, że znajduje się pani we właściwym miejscu. Gdyby rak był obecny, trafiłaby pani ponownie na leczenie wstępne, rozumiemy się? – Jego żywa inteligencja dodawała wagi każdemu stwierdzeniu, a skupienie zwiększało tę wagę, czego Alice nie mogła nie zauważyć. – Chcemy zachować remisję. I na tym polega leczenie.

Milczenie Alice wyrażało zgodę. Przygotowała podniszczony notes i zapisywała wykład doktora najlepiej, jak umiała, robiła notatki, a Eisenstatt tłumaczył, że cykl konsolidacyjny chemioterapii będzie trwał przez sześć dni. Lek będą jej podawali o siódmej rano i siódmej wieczorem. Potem dzień odpoczynku, potem znów chemia i tak przez sześć dni.

– Więc przed siódmą i po siódmej będę mogła spotykać się z Doe? – Zacisnęła piszącą dłoń.

– Tęskni za tobą – powiedział Oliver. – Przywiozę ją tutaj.

Requita owijała rękawem do mierzenia ciśnienia ramię Alice od strony centralnego dojsścia.

– To chyba nie jest dobry moment – zwróciła jej uwagę Alice. – Nie chcę sprawiać kłopotów...

Eisenstatt przyglądał się, jak pielęgniarka odwija bez słowa rękaw.

– Wielu naszych pacjentów zakłada, że konsolidacja jest rutynowym leczeniem. – W jego głosie zabrzmiał ton ojcowskiej nagany. – Przyjmując, że wszystko potoczy się zgodnie z planem, powinna pani czuć się dobrze przez większą część pobytu w szpitalu. Po powrocie do domu pogorszą się pani wyniki i wtedy poczuje się pani osłabiona i zmęczona. Blisko połowa moich pacjentów wraca ostatecznie do szpitala, nie po chemioterapii, ale z infekcjami. Chemioterapia konsolidacyjna jest silniejsza od leczenia wstępnego.

– Już teraz takie apokaliptyczne wizje? Mówi pan jak żydowska babka, doktorze. Chce pan zostać jentą? Tak to się nazywa? – Wskazując fotografie na nocnym stoliku, zwróciła się do Olivera: – Mały kumkwat.

– Rozumiem, że już pani przez to przechodziła. Ale nie chcemy, żeby nadzieja okazała się płonna. A to się zdarza. Każdy pacjent, który przeszedł chemioterapię choćby raz, uważa, że wie, co go czeka.

– Panie doktorze, czy mogłabym potrzymać tę butlę z lekiem?

Doktor nauk medycznych Howard Eisenstatt popatrzył na nią, jakby spadła z księżycy.

– Z chemią? Zanim zaczniemy?

Wszyscy wydawali się zdezorientowani, wymieniali niepewne spojrzenia. Ale Eisenstatt nie miał powodu, żeby jej odmówić. Butla była średnicy słoika z dżemem, nie miała żadnych złobień czy zgrubień. Zeszła z drzewa. Alice położyła ją sobie na podołku, przycisnęła do niej po obu stronach dłonie. Zamknęła oczy, ścisnęła butlę, żeby atomy jej ciała wniknęły w szklaną gładkość, żeby ciało i szkło, i lekarstwo stały się jednym, jednością. Oczyma duszy ujrzała gładką biel płynącą przez nią, wypychającą z niej przypadkowe myśli, niwelującą zmartwienia. Zrobiła głęboki wdech, poczuła unoszącą się pierś, poczuła wzbierające w niej powietrze i uczyniła swoje wewnętrzne ja tak potężnym i pustym, jak to tylko możliwe. Długi wydech – wypchnęła całą zebraną i wezbraną energię przez nos, czując, jak wszystkie błahy i przypadkowe zmartwienia opuszczają jej ciało. Trwała przy dziecku. Przy przyjaciółkach. Przy matce. Przy nieżyjącym ojcu. Mężu. Dziecku. Kołatała się w niej miłość – Alice ukierunkowała ją, zaprzęgåła.

– Masz ważne zadanie – powiedziała do przejrzystej zawartości butli. – Witaj w moim ciele.

Znów wypuściła powietrze przez nos, czuła, że ożywa i wibruje jej skóra. Nie bała się. Oddając butlę Carmen, podziękowała jej. Oliver kładł się ostrożnie po drugiej stronie łóżka, uważając, żeby jej nie przygnieść. Układał się na boku obok niej i na niej, jego pierś oddawała ciepło ramieniu i barkowi Alice, nie będąc dla nich ciężarem, jego krocze ocierało się o jej biodro, co było cudownym doznaniem, jego noga owijała się wokół jej nogi kuszącą obecnością. Alice chwyciła męża za rękę. Pocałował ją w szyję, chwycił zębami koniuszek ucha. Pielęgniarkom przydałby się popcorn, gdy gapiły się na nich z otwartymi ustami.

– Myślałem trochę o *Captain Jack* – mruknął Oliver.

Roześmiała się.

– Ohydne!

– Więc przejdźmy do *Piano Man*?

– To ambitniejszy projekt. Ambicja sprawia, że jest doskonały w swoim okropieństwie.

Odszukała wzrokiem twarz Carmen, dała jej znać, że może zaczynać.

– No dobra, niech będzie, jak chcesz, możemy przejść do wagi ciężkiej. – Oliver objął ją ramieniem, mówił prosto do jej ucha jak do mikrofonu. – *Love On the Rocks*. „Nic dziwnego”. – Przerwał. – Najbardziej rozżalona piosenka w dziejach świata.

Alice się rozpromieniła, pławiła się w jego ciepłe.

– „Nalej mi drinka”. – Przeszła do następnego wersu.

Konsternacja, śmiech z najtańszych rzędów: któraś z pielęgniarek nie zgadzała się, bardzo lubiła tę piosenkę. Pojedyncze krople spadały w cikliwym stałym rytmie przez obracane kciukiem pokrętko dalej prosto do rurki.

Ich wieczorne sesje nucenia piosenek szły łeb w łeb z okrążeniami korytarzy szpitala Dartmouth-Hitchcock – podwójna radość czasu spędzonego wspólnie w New Hampshire: włochate metalowe ballady, pełne żalu alkoholowe arie z nocnych klubów, najgorszy kicz, jaki przychodził im do głowy.

Przerwali, Alice zapytała doktora Eisenstatta, czy chce się przyłączyć, i ucieszyła się niepomernie, widząc jego odmowny uśmiech, jego niepewność, czy znów z niego nie drwi. Więc ryczeli z Oliverem dalej, bok w bok, niemal złączeni ze sobą, a jednocześnie zapominający o sobie; ich radość promieniowała, tworząc wokół skorupę. „Zadowolenie? Miłość?” Bez względu na to, co czuli, kryło się w tym – Alice dobrze o tym wiedziała – coś niepojętego, nietykalnego, niezniszczalnego. Czuła wokół siebie promieniującą osłonę, ale widziała też jej mroczne i ciemne wnętrze. Kontrast ten pomagał jej skupić się jeszcze bardziej, gwarantował jej dostęp. Rozumiała teraz, że to świetliste uczucie jest bardzo kruche i nie jest niczym więcej niż sklezione ze sobą powierzchnie, zrekonstruowana skorupka rozbitego jajka.

## Wieczór

Zdołała zjeść niemal trzecią część zupy z czarnej fasoli, którą przyniósł z greckiej knajpy, a jedzenie bez problemu zostało w jej brzuchu, więc może sterydy zaczynały działać. Ciśnienie krwi unormowało się przy stu na siedemdziesiąt. Miała stabilną temperaturę. Całkiem nieźle zajmowała czas Olivera grą w remika, leżeli przytuleni do siebie w łóżku, omawiając od niechcienia filmy, które Oliver mógłby wypożyczyć na następny dzień, oraz kwestię, czy wystarczy im czasu na spacer szpitalnymi korytarzami. Splatali dłonie, jej lewa, jego prawa, a to spajanie się ze sobą miało własne konteksty: Oliver późno kładzie się spać po szale programowania, pogrążona w półśnie Alice sięga po jego rękę; porodówka z pobielalymi z wysiłku kłykcami – on liczy jej oddechy, a ona miażdży mu palce; błagalny uścisk, gdy sanitariusze unoszą ją na wózku – nie chce go puścić.

W telewizorze po drugiej stronie pokoju prezenter wiadomości obiecywał widzom, że za dwie minuty dowiedzą się wszystkiego o modnej restauracji i tajemnicy świeżych krabów w połowie zimy. „Posłuchajcie, co ma na ten temat do powiedzenia wydział zdrowia i Amerykańskie Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt”. Oliver gwizdnął i zaklaskał. Alice nic nie powiedziała, ale jej oczy wyrażały rozbawienie i zachwyt.

Potem wizyta. Wyczekiwała jej. Winnie pierwszy raz przyszła wcześniej, zadzwoniła na oddział, że przywiozła Doe i obie czekają na dole. Tylko dlaczego Oliver zeszytniał? Gdyby wszystko było okej, poświęciłby się cały przygotowaniu żony do zejścia na dół. Więc dlaczego Oliver tylko słucha, kiwa głową, mówi, że rozumie i że wróci do domu najszybciej, jak się da? Alice chwyciła go za rękę, ścisnęła ją i zapytała:

– Co?

Odłożył słuchawkę szpitalnego telefonu na miejsce, położył wolną dłoń na kołdrze, marnując przy okazji doskonale rozdanie kart. Dziecku nic nie jest. Wszystko w porządku.

– Wiem, że mówiłaś, że możemy na nią liczyć. Wiem, że Winnie to dobra przyjaciółka i chce pomóc, i w ogóle... – zapewniał ją, a ona odsuwała się od jego boku. – To nic wielkiego. Jakaś zmiana planów jej zespołu baletowego. Najprościej będzie, jak pojedę do domu i zajmę się dzieckiem.

Alice odpowiedziała, że tak trzeba. Będą się pojawiały jeszcze inne przeszkody. Muszą sobie z nimi radzić po kolei.

– Przyjedziemy tu z samego rana – powiedział. – Obiecuję.

Puściła jego dłoń. Znalazł buty, zabrał portfel i sweter. Alice odniosła wrażenie, że śpieszy mu się do wyjścia, co popsuło jej humor. Powiedziała, że spróbuje zrobić sama kilka długości korytarza. Chce się ruszać, dopóki może, to ma sens.

– To lepsze od siedzenia w samotności i zgryzocie.

Oliver wrócił do żony, odsuwając z ust mały papierowy prostokąt. Dotknęli swoich twarzy, Alice przesunęła dłonią po jego żuchwie, wyczuwając zarost.

– Kocham twoją twarz – powiedziała, a on złamał szpitalny zakaz, całując ją w usta. – Spędzisz z nią sam pierwszą noc – dodała.

– Jeśli chcesz, żeby pielęgniarka spacerowała z tobą...

– Musisz iść.

Zerwał troczki z tyłu kitla, zsunął rękawiczki i wszystko wrzucił do pojemnika na śmieci przy drzwiach.

Wieczór widziany przez okno po przeciwnej stronie pokoju wydawał się dziwnie ożywiony, śnieg padał w zawrotnym tempie wyrazistymi płatkami, tak jasnymi, że aż świeciły.



Okna w kamienicy po drugiej stronie ulicy były w większości ciemne. Światło paliło się tylko w jednym z nich, po prawej stronie, a na cienkich zasłonach malowały się zarysy postaci dwóch mężczyzn jak worki ziemniaków tkwiących naprzeciw siebie przy biurku; jeden przecierał oczy, drugi pił kawę.

Alice słyszała zza zasłony, jak pani Woo oddycha przez rurę rytmicznymi eksplozjami: długi wdech, świszczący wydech. Uświadomiła sobie, że od pewnego czasu nie słyszy telewizora, za co była wdzięczna. Usiadła i wyprostowała się, przeniosła nogi na krawędź łóżka, gdzie siedział Oliver; na szczęście nikt nie podniósł jeszcze bocznych zabezpieczeń. Z łatwością wsunęła stopy w pantofle w kształcie króliczków, ale szukała botków do kolan z tak miękkiej skóry, że nie dało się postawić cholewek. Po raz nie wiadomo który była wdzięczna za to, że tym razem nie spuchły jej stopy. I jeszcze jedno: botki wciąż na nią pasowały. Włożyła je, zasunęła zamki i prostując się, poczuła ze zdziwieniem, że nie kręci jej się w głowie i że utrzymuje równowagę bez wspomaganie. Zawiązała szlafrok, wyciągnęła ręce ku ścianie i szarpnęła oburącz, ciesząc się z wysiłku potrzebnego do wyjęcia z gniazdka kabla zasilacza. Fajnie byłoby zwariować i porozwalać wszystko w dzikim szale. Przypomniała sobie jednak o tych nieszczęśnikach, którzy muszą tu sprzątać, o tych, którzy muszą za wszystko płacić, a co z tymi, którzy by ucierpieli od jej napadu?

Owinęła grube rurki wokół szyi, żeby się nie potknąć. Nie śpieszyła się, pociągnęła zasilacz i drzewo z płynami ku sobie, stojak kroplówki zadygotał, ale nie było to nic groźnego, choć zachowywanie czujności, pilnowanie, żeby wszystko poszło, jak należy, okazało się dość trudne. Goście szpitala mieli maski, rękawiczki i kitle, żeby nikogo niczym nie zarazić, Alice musiała to wszystko na siebie narzucić, żeby niczego nie złapać.

Gdy w New Hampshire wyniki zaczęły się poprawiać, a lekarze wyrazili zgodę na wstawanie z łóżka, spacerowanie po oddziale z Oliverem były dla niej jedyną, nadarzającą się wieczorem szansą na wydobywanie się z tego przeklętego szpitalnego pokoju w innym celu niż badania i pobieranie krwi, więc czekała na tę późną godzinę jak na swój ślub. Podczas pierwszego spaceru zdołała zrobić zaledwie dziesięć długości korytarza. Tuż przed wyjściem ze szpitala doszła prawie do pięćdziesięciu, co stanowiło niemal pół mili; na ostatnich pięciu odcinkach wyrzucała ręce w górę, a potem rozpościerała je jak skrzydła i krążyła niczym szybowiec przez pięć następnych rund (fizjoterapeuta na oddziale powiedział jej, że ćwiczenia rąk zapobiegają atrofii mięśni). Idący obok niej Oliver robił to samo albo trzymał stojak z kroplówkami, żeby się nie chwiały; zawsze odliczał, gdy mijali ladę pielęgniarek, liczył wszystkie powtórzenia i szybkość kroków. Co pewien czas śpiewał refren starej piosenki Olivii Newton-John. Pielęgniarki patrzyły na nich jak na pomyślonych i albo do nich ćwierkały, albo udawały, że nie widzą ich, tych dwojga spędzających ze sobą kolejny dzień w raju.

Przytrzymując drzwi ciałem, żeby się nie zamknęły, wytoczyła drzewo z zasilaczem z sali i zaskoczona stwierdziła, że musi pójść w inną stronę niż ta, w którą skręcała, wychodząc z pokoju w New Hampshire. Położenie umywalki i wnęki z zaopatrzeniem medycznym też było inne, tu było mniej miejsca, półki wydawały się krótsze, a pudełka układano jedno na drugim. Za to jaśniej świeciły lampy, co wydawało się mało prawdopodobne, bo inaczej zapamiętała to miejsce, ale przecież miała nad sobą oślepiające dowody odbijające się ostro od kafelków. Korytarz ciągnął się w nieskończoność niczym złudzenie optyczne z grafik Eschera. Usiłowała przypomnieć sobie konkretne wzory z przeróżnych litografii Holendra, ale przyszedł jej do głowy tylko korytarz z filmu Kubricka, nie pamiętała którego.

W pewnej odległości, na drugim końcu korytarza, ujrzała rozmazane zarysy postaci i stojaka do kroplówek.

„Nie chcemy, by nadzieja okazała się płonna – powiedział Eisenstatt. – Myślisz, że wiesz,

co cię czeka”. Martwiło ją to, że doktor Wszystkowiedzący rzeczywiście miał rację. Nie uwierzyłyby, że jest słabsza od czasu przyjazdu z domu, ale zrobienie pięćdziesięciu długości tego korytarza wydawało się tak nierealne jak odziedziczenie hiszpańskiego tronu. Stopy nie chciały się oderwać od posadzki, szurała nimi jak kiedyś, zmierzając w stronę czegoś, co wyglądało jak barykada z przeładowanych przemysłowych koszy na brudną bieliznę, ustawionych z prawej strony korytarza pod drzwiami z napisem BRUDOWNIK. Ominęła barykadę szerokim łukiem, nawigując stojakiem – szeroki łuk. Wkrótce potem musiała powtórzyć ten manewr przy porzuconym wózku z metalowymi półkami, na którym stawiano nieprzykryte tace z niedobrym, niedojezdzonym lunchem, nietkniętymi obiadami, z kawałkami plastikowej folii trzymającymi się mocno kwadratowych tacek. Nieco dalej, za drzwiami pokoju pracownika socjalnego, stał laboratoryjny stelaż z fiolkami krwi. Na ścianie korytarza bliżej Alice wisiały ulotki i broszury: poradniki na temat różnych metod naświetlania czy radzenia sobie z taką czy inną chemioterapią, ulotki grup wsparcia, wskazówki, jak rozmawiać z dziećmi o chorobie.

Dzięki Bogini, że mogła spojrzeć na coś innego. Ta rozmazana plama na końcu korytarza przybrała ludzki kształt, przyrodziany w luźną niebiesko-czarną koszulę drwała i czarne, mocno wytarte dżinsy. Wszystko wisiało na tym człowieku w sposób, który dobrze знаła dzięki Oliverowi i jego przyjaciółom. Nie zwróciłyby na niego uwagi, gdyby nie to, że pchał stojak do kroplówek. Natychmiast dokonała klasyfikacji: „Typ: student studiów magisterskich, mieszkający na tym samym korytarzu; klasa: dziwny i interesujący, z oznakami pasji”.

Poruszał się teraz równoległe do toru, po którym sunęła Alice, i jako pierwszy nawiązał z nią kontakt wzrokowy. Był wychudzony, ale nie tak chudy jak szkielec. Do czoła przylepiły mu się niemyte czarne włosy, potargane po chłopięcemu – na co był za stary, ale miało to swój urok. Gdy do Alice dotarło, że chłopak wbija w nią piwne oczy, coś się w niej włączyło. Pozwoliła sobie na skinienie głową w jego stronę, ale szurała dalej, popiskując podeszwami botków.

Doszła do końca korytarza i skręciła w prawo, a on znów się do niej zbliżył – czy to możliwe, że robił okrażenia za nią?

Miał twarz tak bladą, że niemal alabastrową. Wyraziste brwi i ostry nos nadawały mu trochę dziki wygląd. Mocną szczękę pokrywał tygodniowy zarost.

– Nie trzeba ci pomóc? – zapytał. – W chodzeniu?

– Nie spojrzała na niego.

– Jesteś pewna?

Machnęła ręką, ale dodała szybko:

– Ktoś powinien.

Z niezrozumiałych powodów mówiła dalej:

– Leki jeszcze nie zaczęły działać. Ale wciąż mam niezłe wyniki. Lekarze uważają, że będzie okej... – Zastanowiła się i roześmiała. – Wiesz, to chyba nie jest dobry szpital.

Uśmiechnął się ironicznie, co było zabawne i nieco drapieżne.

– Odniosłem to samo wrażenie, gdy mój lekarz zapytał mnie, czy potrzebuję działki.

– Przypuszczam, że przyda mi się towarzystwo. Bo niby co mogłoby się stać? Złapię raka?

Zapytał, jak sobie daje radę. Uśmiechnęła się bezbarwnie i odpowiedziała oficjalnym tonem z pokazów mody:

– Zmieńmy temat, dobrze?

Zgodził się bez słowa i chwycił jej stojak, przejmując odpowiedzialność za pchanie obu – swojego i jej. Poinformował, że jest tu już od pięciu dni. A historia tego, jak tu trafił, jest naprawdę *przedziwna*. Grał na klawiszach, głównie jako muzyk sesyjny, ale ponieważ miał

kombi, kumple uznali, że zagra z nimi koncert, a przy okazji przewiezie sprzęt.

– Grałem z zespołem znajomego w Brownies. Byłaś tam? Nie? – Czekał na jej reakcję, a gdy nie zareagowała, mówił dalej: – Miałem grypę czy coś. W klubie gorąco jak w szklarni, więc domyśliłem się, że to będzie ciężki wieczór. Ale występ to występ, a granie, rozumiesz, jest lepsze od niegrania. No, w każdym razie nie trzymałem rytmu w żadnej piosence, miałem zamulony łeb, ale jakoś wytrzymałem.

– Nie mów.

– Jak wynosiłem po wszystkim sprzęt, nie czułem już rąk. Zatrzymałem się na chwilę, żeby lepiej chwycić, i stałem tak przez sekundę, uniosłem głowę, spojrzałem na ulicę. Stare domy, śnieg padał mi na twarz...

Alice poczuła, że bierze ją ta opowieść, że w nią wchodzi: nogi muzyka zamieniły się w dwa uginające się miechy akordeonu; usłyszał brzęk klawiszy uderzających o chodnik; uświadomił sobie jeszcze, że ten brzęk i łomot oznaczają setki dolarów na naprawę. Nie zapytała go, choć ją kusilo, czy pił. Chciała zapytać, jak się nazywa.

A on mówił o jakiejś młodej kobiecie, która pomogła mu się dostać do izby przyjęć.

– Dopiero się poznawaliśmy, ale coś między nami było.

Więc kiedy ta laska ze szkoły plastycznej powiedziała, że musi sprawdzić nagrania na automatycznej sekretarce...

– Powtórzyła to po raz trzeci... o drugiej nad ranem...

...muzyk powinien był się domyślić, że ktoś na nią czeka albo ona czeka na kogoś.

– Mam świętego męża. – Alice z rozkoszą podzieliła się tą wiadomością i wypowiedziawszy te słowa, poczuła ulgę. – Oliver jest pod niesamowitą presją... czasem czuję się winna, że zachorowałam. To absurd, wiem.

Postawił kilka kroków i zatrzymał się, odwrócił, żeby ją widzieć.

Ciągnęła dalej, ukrywając emocje:

– Kiedyś słyszałam, że po miesiącu miodowym i zakochaniu tylko jedna kłótnia oddziela większość małżeństw od rozstania. My mamy jeszcze dziecko, co wywołuje dodatkowe napięcia. I wszystko to spoczęło na barkach Olivera.

Klawiszowiec...

– Mervyn? Merv? Dzięki, Merv. Postaram się nie zapomnieć.

...zapytał, czy nadaża, bo jeśli nie, to zwolni, a po chwili przyznał, że nie umiał rozpoznać znaków od tej dziewczyny, która...

– ...zabrała ze sobą kurtkę. A to wiele znaczy, nie?

– Zachowała się lepiej, niż można oczekiwać – mruknęła Alice.

– Na końcu pogłaskała mnie po policzku. Spojrzała na mnie tak łagodnie, z rozmarzeniem. „O niczym nie masz pojęcia” – mówiła tym spojrzeniem.

Alice zwróciła na niego baczniejszą uwagę, przyjrzała mu się uważniej i zastanowiła się, po czym odezwała się z nagłym rozbawieniem:

– Czy jakakolwiek dziewczyna mogłaby od ciebie odejść?

Zaśmiał się cicho.

– Naprawdę. – Robiła, co mogła, resztkami rzes. – Która potrafiłaby się oprzeć tak starannie i z takim trudem wypracowanej zaniedbanej naturze? Temu wychudzonemu i cuchnącemu ciału?

Uśmiechnął się ironicznie.

– To ja. Twój wzorcowy ponury antybohater.

Alice chwyciła stojak i zatrzymała procesję.

– Przyznam – powiedziała nieco zdyszana, ale radosna – że podeszłabym do ciebie na

ulicy.

– Znów to samo.

– Żeby zapytać o coś, czego nie rozumiem w formularzu podatkowym.

Zaskowyczała ze śmiechu, podstępnie – punkt dla niej. Muzyk dotknął zuchwy, jakby otrzymał policzek.

– Masz rację – odpowiedział. – Nie mogę jej winić za to, że nie chciała tkwić w tej porąbanej sytuacji. Zabawne, że to ja jestem tym odpowiedzialnym. Reszta zespołu daje w rurę, a ja jak idiota wynoszę ich sprzęt. – Wbił oczy w posadzkę, zabębnił palcami w wystające z dzinsów kolano jakby dla podkreślenia wagi swoich słów. – To znaczy jestem na tyle dorosły, żeby wiedzieć, jaki to banał: gość grający rocka! Jak się gra rocka wystarczająco długo, uzyskuje się pewną zgodę na rzeczywistość.

– Takie masz podejście?

– Jakie?

– Że jesteś mądry i wrażliwy? Dobry i samotny?

Zastanowił się nad tym.

– Mam kogoś dla ciebie. Wokalistę, z którym kiedyś grałem. Jego dziewczyna mówi mu: „Nie mogę do ciebie przyjść, mam okres i w ogóle”. A Donovan na to, przysięgam, że tak powiedział: „Ale chyba nie krwawisz z ust?”.

Alice parsknęła.

– Mogłabym się z nim umówić.

– Nie chodzi o to, że powtarza tę anegdotę, wiesz? Chodzi o to, że *lubi* ją powtarzać.

– A ty nie – mruknęła z przekąsem.

Merv opuścił głowę i spojrzał na kółka stojaka. Bębnił jakąś wprawkę w tonacji moll.

– Mówisz szczerze i odkrywczco – zauważyła Alice.

– Nie wiem. – Miał poważną twarz. – Musielibyśmy porozmawiać o tym przy lodach.

Poczuła ukłucie w brzuchu.

– Lubisz włoskie?

– Błagam... wszystko jedno... A ty, czekaj, tym się zajmujesz?

Powaga ustąpiła miejsca drwinie, uśmiezkowi.

– Zaprosiłbym cię na lody.

Jęk, zawodzący pod koniec jak wyraz rozkoszy.

– To miłe i bezpieczne.

– Niewinne – dodał. – Ale nie przywiązuj się do tego.

– Chłodny kremowy przysmak – zastanawiała się głośno Alice.

– Dla ciebie do lizania.

Chwyciła konwencję:

– Usta i wilgoć...

– Dorzuć do tego kwestię ojcostwa...

– No cóż... – Jej ton dał mu wyraźnie do zrozumienia, że zamknęła temat. – Może nie wyglądasz na takiego...

– Taa... Bo wcale taki nie jestem.

Nadeszła jego kolej na uśmiech kota z Cheshire. Śmiała się wraz z nim, oparła się o niego barkiem, poszturchując go lekko. Ale muzyk pstryknął jakiś wewnętrzny przełącznik, stał się bardzo czujny, rozpostarł ramiona tak na wszelki wypadek. Po chwili zrozumiał, że poszturchiwanie było tylko wyrazem sympatii, że Alice nie straciła równowagi. Ale i tak zapytał:

– Nic ci nie jest? – A po chwili dodał: – Wiesz, dobrze jest wypłakać się przed nieznajomą. Tak myślę.

Wchodzili w kolejny zakręt w prawo, tym razem wolniej i ostrożniej, Merv wpatrywał się w kółka obu stojaków, zataczając nimi szeroki łuk, pilnując, żeby trzymały się linoleum. Gdy wykonali skręt i stało się jasne, że Alice nie da się nabrać obcemu facetowi i nie wypłacze mu się w rękaw, Merv zaczął od nowa:

– Ta ściema z lodami zazwyczaj przełamuje lody. Co nie znaczy, że jestem mistrzem podrywu i ściemniania, choć kiedy piłem, byłem naprawdę kimś. Tylko że doszło do tego, że miałem dziewczynę i zaczynałem się zastanawiać: „Ty głupia dziwko! Nie wierzę, że dałaś się nabrać na moją ściemę! Jak możesz być tak głupia, żeby pozwolić mi się wypierdolić?”. – Merv skrzywił się i pokręcił głową na samo wspomnienie. – Nie mogłem się doczekać, żeby uciec. Jak ktoś tak bardzo siebie nienawidzi, to nic dziwnego, że zostaje alkoholikiem.

Zdawszy sobie sprawę ze swojego wyznania, Merv zmierzył Alice wzrokiem, ale na niej nie zrobiło to żadnego wrażenia, pozostała nieodgadniona.

– Jak tam? – zapytał. – Jeszcze jedna rundka?

Nie było następnej rundki. Nie wytrzymałaby kolejnej, ale nie chciała jeszcze wracać do przygnębiającego pokoju, więc Merv położył jej dłoń na swoim ramieniu, drugą na biodrze i pomógł usiąść na plastikowym krzeselku.

– Upewnij mnie, proszę, że nie chodziłeś po korytarzu, żeby poderwać pacjentkę po chemioterapii – poprosiła Alice.

Podczas ich spaceru musiał zadziałać jakiś regulator czasowy, bo lampy na korytarzu przygasły, dzięki Bogu, co nadało wnętrzu jeszcze bardziej ponury wygląd. Niedaleko w kącie piszczały tenisówki, pielęgniarki chichotały.

– Nie przeszkadza mi, jeśli miałeś taki zamiar – ciągnęła Alice. – To przynajmniej oryginalne. Byłaby to najbardziej pogięta, wydumana czarna komedia, jaką można sobie wyobrazić.

Włosy Mervina należałoby odchwaścić i przyciąć. Przy kołnierzu jego flanelowej koszuli brakowało guzika. W rozpięciu widać było zapadniętą pierś. Przyglądał się stopom, a jego ironiczny uśmiezek przekształcił się w grymas, jakby Merv ssał kwaśny cukierek. Zerkając na nią kątem oka, zaczął mówić o rzeczach, które dobrze znała: brak białych krwinek, powiększona śledziona, skierowanie od lekarza z izby przyjęć prosto do szpitala, natychmiast.

Lekarz z izby przyjęć powiedział mu, że za jego chorobę może odpowiadać chłoniak albo AIDS. Co się robi, gdy słyszy się takie słowa? Przypomniał sobie swoje odrętwienie. Był w niezłym szoku, gdy w końcu go przyjęli i położyli w jedyńcy. Dwóch sanitariuszy w błękitnych ochronnych kitlach postawiło wokół niego plastikowy namiot. Przyglądał się, jak go wznoszą. Przez następne trzy dni ojciec Merva praktycznie nie odchodził od jego łóżka, wpatrując się w syna mętными oczyma z miną zbitego psa. Wpadali do niego kumple, a z ich sposobu patrzenia i traktowania go wynikało, że zaraz umrze, a oni chcą zapamiętać jego twarz do przyszłych tekstów piosenek i takiego tam gówna.

Zza rogu znów dobiegło wyraźne piszczenie podszew. Carmen powiedziała: „Ach, tutaj jesteś” i zapytała, czy dobrze im się rozmawia i czy nie podać im herbaty. Zaśmiała się z takim rozbawieniem, jakby opowiedziała właśnie najprzedniejszy żart w dziejach kabaretu, choć wyraz jej twarzy mówił wyraźnie: „Ja się nie przejmuję”. Alice zapytała, jak mija jej nocny dyżur, i w odpowiedzi usłyszała, że Rangersi wygrali, więc wszystko jest w porządku. Carmen zmierzyła Alice temperaturę i ciśnienie, sprawdziła, czy centralne dojsście i wenflon trzymają się mocno, a na barku nie ma opuchlizny. Na pożegnanie dodała, że Alice nie powinna siedzieć za długo na korytarzu, przypomniała jej, żeby nosiła maseczkę i że w pokoju czekają na nią tabletki. Alice kiwnęła głową; czekała, aż Carmen skończy nawijać i sobie pójdzie, żeby Merv mógł podjąć opowieść o serii badań krwi, biopsji, stabilizacji wyników i napięciu, które towarzyszyło

mu podczas oczekiwania na wiadomość, z jaką potencjalnie śmiertelną chorobą będzie musiał skrzyżować rękawice.

Starając się oczyścić umysł, Merv zainspirował się gwiazdami sportu odpowiadającymi na konferencjach prasowych na pytania o fazę play-off: „Skupiamy się tylko na najbliższym meczu”. Znajdował niemałe pocieszenie w pewności, że nie jest chory na AIDS. Bał się igieł. I odsuwał od siebie seks z mężczyznami za pieniądze, kiedy był nastolatkiem, cha, cha, więc mógł to skreślić z listy. I ogólnie obawiał się wbijać krążek do kobiecej bramki, więc dbał o to, żeby się chronić. Faktem jest, że nadal zdarzały się koszarne scenariusze: sprawy zaszły za daleko, żeby wyskoczyć w nocy do apteki, więc trzeba było rzucać monetą i – jak po wybuchu bomby atomowej – liczyć się z utratą życia. Oczyma duszy widział oślizgłą prezerwatywę zsuwającą się z poczerwieniałego członka i zastanawiał się, czy to właśnie ta była pęknięta lub nieszczelna. Pamiętał, że bywał pijany i błagał: „Nienawidzę tego, to jak pieprzenie się z plastikową torbą, będę ostrożny, obiecuję”.

Wyznał Alice to, co każdy normalny człowiek z odrobiną oleju w głowie wie od dawna: „Głównym powodem, dla którego faceci chcą grać rocka, jest pieprzenie się na prawo i lewo”, ale potem dodał, że nie jest największym kurwiarzem epoki i ani przez chwilę nie wierzył, że zachorował na AIDS. Mimo to przez trzy dni leżenia na szczypiącym w tyłek szpitalnym łóżku miał gonitwę myśli. Z jednej strony wspomnienia: zarys wyjątkowo pełnej i krągłej pupy w kształcie jabłka wyzierającej spod prześcieradła pewnego leniwego poranka; ujeżdżanie – jego, Merva – wyjątkowo gwałtowne, spojrzenie w oczy partnerki i wspólny wybuch śmiechu; profil zamkniętej w sobie piękności, zastygły grymas uśmiechu na wydętych ustach; jego osobiste zapasy towaru; jego najbardziej intymne erotyczne chwile.

Nie chce być obrzydliwy czy seksistowski. Nie chce wydać się Alice świnią. Prawdopodobnie niektóre z tych kobiet sypiały z wieloma partnerami. Ale Merv nie chciał wierzyć choćby przez sekundę, że którakolwiek z nich była, no wiesz, chora. A mimo to nie mógł powstrzymać się przed typowaniem kandydatek: dziewczyna z pięknymi kruczoczarnymi, sięgającymi do połowy pleców włosami, z którą miał taką dziwną umowę, że nawet w trzydziestostopniowym upale nie zdejmuje rajstop (może z tej przyczyny nigdy ładnie nie pachniała); przygnębiona rubensowska tygrysyca rycząca w łóżku (kształciła się na śpiewaczkę operową), która potem nie chciała wstać, paliła jointa i opowiadała z poczuciem winy o chłopaku we Francji. Dwa dni później odebrała telefon i mówiła do Merva po francusku niskim erotycznym głosem; zawstydzony Merv już nigdy do niej nie zadzwonił.

Gdzieś z tyłu głowy miał świadomość, że nie można zarazić się AIDS z ust ciągnących druta. Niewykluczone wprawdzie, że takie bzdury powtarzali sobie tylko muzycy. Ale gdyby chorował na AIDS, to dwa dni po pobraniu krwi lekarze już by wiedzieli.

W szpitalu odzyskał siły i zaczynało go nosić, ale jednocześnie długie leżenie w łóżku wywoływało senność, więc na zmianę to tracił, to odzyskiwał świadomość oraz niepokój i głód. Od czasu do czasu zastanawiał się, co się stało z tą cholerną laską artystką, czy któryś z chłopaków powiedział jej o nim, że trafił do szpitala i stoi u wrót piekieł. W końcu zaczął się mierzyć z następną logiczną ewentualnością: jak przygotować się na potwierdzenie złych wieści, jak bardzo zaawansowany jest rak i co go czeka w przyszłości.

Ale czy może się Alice do czegoś przyznać?

– Przez cały czas ani razu nie miałem wrażenia, że rośnie we mnie coś groźnego i obcego. Nie miałem.

– Mhm – zgodziła się.

Tego ranka wpadło do niego kilku kumpli, więc zorganizowali małą sesję: Donovan przyniósł gitarę akustyczną, podawali sobie piersiówkę z rąk do rąk, otwierali piwa chłodzące się

na parapecie. Merv wpatrywał się w te piwa z wściekłością: nie ma lepszego powodu, żeby się urżnąć, niż świadomość jakiegoś upiornego, zagrażającego życiu gówna. Tyle tylko że to *on* cierpiał na jakieś upiorne, zagrażające życiu gówno i musiał podejmować właściwe decyzje, więc nie mógł się zamroczyć. Jakiś głos w jego głowie podpowiadał mu, żeby mimo wszystko zachował trzeźwość spojrzenia, a inny pruć mordę: „UPIERDOL SIĘ W TRUPA!”. Rozległo się ostrzegawcze pukanie. W domyśle: idą pojeby w białych kitlach. Wmaszerowali do pokoju jakby w przyspieszonym tempie i stanęli w równym białym rzędzie pod ścianą naprzeciw łóżka Merva. Prowadzący wystąpił naprzód, cholerny dyrygent orkiestry dętej, i zameldował, że Merv nie ma raka ani AIDS. Cierpi na tak rzadką chorobę, że onkolodzy nigdy o niej nie słyszeli i są zmuszeni przeprowadzić niezbędne studia.

Choroba Blechette’a. Pojawiła się w Europie Wschodniej i Rosji. Jej przyczyną była endogamia w żydowskich sztetlach, trwająca od pokoleń, wsobne komórki, które mieszały się ze sobą przez dziesięciolecia. Obecnie na całym świecie zdiagnozowano około tysiąca osób z tą chorobą, choć jest ich zapewne więcej, o czym dowiedział się doktor (i Merv), tyle tylko że choroba jest trudna do rozpoznania. Niektórzy chorzy mogą przeżyć całe życie, nie wiedząc, że na coś chorują, inni umierają szybko, i nikt nie zdaje sobie sprawy z prawdziwej przyczyny zgonu. „Trzeba wiedzieć, gdzie szukać kierunkowskazu” – tłumaczył lekarz. A szuka się go najczęściej, badając pacjentów pod innym kątem, eliminując po kolei inne przyczyny, aż na samym końcu listy dojdzie się do testów na obecność chitotriozydazy w krwinkach. Te testy nazywane są wynikiem „chito”, dzięki któremu lekarska Mensa rozwiązała tajemnicę.

Choroba Blechette’a oznacza, że człowiek rodzi się bez mało istotnego enzymu w szpiku kostnym, produkującego krwinki. Pierwsze symptomy pojawiają się stosunkowo wcześniej i nasilają się wraz z wiekiem, a gdy się skumulują, brak tych pomocniczych krwinek w krwiobiegu, a także w kluczowych organach może okazać się, hm, poważnym problemem. Nazywa się to postępującą chorobą zwyrodnieniową. Zanim większość chorych dociera do dwudziestki, ich śledziony powiększają się przynajmniej ośmiokrotnie, więc brzuch staje się większy z jednej strony. Inne organy wewnętrzne mogą się również powiększyć, co nadaje chorym zdeformowany wygląd. Bliznowatość nerek też jest problemem i przejawia się wieloma nocnymi wyprawami do łazienki. Nadczynność śledziony zmniejsza liczbę trombocytów, co powoduje zmniejszoną krzepliwość krwi, więc chorzy na Blechette’a mają siniaki i krwawienia – z nosa, z dziąseł, a u kobiet pojawiają się nadmiernie obfite miesiączki i takie tam. Przypadłość zmniejsza również liczbę erytrocytów, co oznacza anemię. Zaczynają się choroby układu kostnego, kości stają się kruche wraz z wiekiem, szaleje osteoporoza, a kanał kręgowy zatykają złogi wapnia, co skutkuje najczęściej utratą kontroli nad kończynami dolnymi i organami płciowymi. Opowiedzieli Mervowi o jednym wielkim facecie – sześć stóp wzrostu, ćwiczył każdego dnia – którego kręgosłup był tak zniszczony, że gdy kiedyś doszło do małej stłuczki (ktoś wjechał mu lekko w kufer auta), facet wylądował na wózku inwalidzkim, do którego będzie przykuty przez resztę życia. Lekarze powiedzieli mu, że jeśli ma lepszy pomysł, co zrobić ze swoim życiem, ma wolną rękę. Średnia długość życia cierpiących na chorobę Blechette’a wynosi – bez pomocy medycznej – czterdzieści jeden lat. Merv ma dwadzieścia osiem.

– Ale nie przejmuj się – rzucił, gdy Alice spojrzała nań przerażona. – Przed niecałym rokiem Agencja Żywności i Leków wydała pozwolenie na stosowanie pewnego leku. Badacze pozyskali go z jajników chomiczaka pręgowanego.

– Czy ktoś słyszał kiedykolwiek o chomiczakach! W dodatku pręgowanych!

Ale te małe futrzane gnojki spuszczone do bioreaktora o pojemności dwóch tysięcy litrów. Zsyntetyzowano je albo sfermentowano, chuj wie, Merv już tego śledzić nie potrafił. W każdym razie coś się stało z tymi jajnikami w bioreaktorze, a uzyskany produkt przefiltrowano

do zbiornika, gdzie znów poddano go syntezie, fermentacji czy chuj wie czemu. Ostatecznie uzyskano czyste rzadkie białko, z którego robi się lekarstwo, bo zastępuje enzym. Podawane wystarczająco długo, nie leczy Blechette'a *per se*, ale leczy bliznowatość nerek, zapobiega przerostowi organów wewnętrznych, a nawet odbudowuje kości, częściowo. Ale co najważniejsze, choroba nie postępuje. I można dalej żyć.

I właśnie dlatego zatrzymali Merva w szpitalu na jeden dzień, żeby sprawdzić, czy jego niedobór „chito” wymaga podania leku.

Tajemnica Merva polega na tym, że każda kroplówka z lekiem kosztuje piętnaście tysięcy dolarów.

Alice westchnęła.

– Ta. To trzeci najdroższy lek na ziemi.

Wszystko wskazywało na to, że Merv powinien rozpocząć kurację. Jego pierwsze wyniki „chito” były wystarczająco wysokie. Jutro powinni przeprowadzić następne, bardziej skomplikowane badania, żeby to potwierdzić.

Wyjaśnił Alice, że pacjenci przyjmują lek dożylnie co dwa tygodnie. Więc jeśli zacznie kurację, będzie musiał płacić piętnaście tysięcy dolarów za jeden strzał co dwa tygodnie w zasadzie przez resztę życia. Co oznacza, że natychmiast przebije pułap głównianego ubezpieczenia związkowego dla muzyków, a nie stać go było na wyższe ubezpieczenie, zarabiał, kurwa, ledwie tyle, żeby zapłacić związkowe składki.

Lekarze mówili, że firma farmaceutyczna ma jakiś program dla pacjentów, których nie stać na lek, ale skorzystanie z niego oznaczałoby, że Merv musiałby zrezygnować z polisy i pozostać nieubezpieczonym, co jest szaleństwem. Lekarze powiedzieli mu także o jednej kobiecie z tą chorobą, która przed ukończeniem czterdziestu lat miała pięć operacji biodra.

Czy naprawdę musi przestać zajmować się muzyką i znaleźć sobie jakąś nudną prawdziwą pracę? Zostać sekretarką i siedzieć w boksie przez cały dzień czy coś w tym rodzaju? Sam odpowiedział sobie na to pytanie:

– Pierdoleń to. – Wzruszył ramionami. – Nie wiem, jak oni to robią, że to gówno kosztuje piętnaście kawałków. To jak uzależnienie od heroiny za pięćset dolców dziennie!

– Powinieneś się cieszyć.

– Pięćset *dziennie*. – Uniósł kącik ust i ich ironiczne skrzywienie stało się jeszcze bardziej widoczne. – To następna przerażająca rzecz w byciu chorym. Jest się zależnym od bandy skurwieli, którzy mają cię, najogólniej rzecz biorąc, w dupie.

Nie mogła się zmusić, żeby odpowiedzieć, nie wiedziała nawet, jak zacząć.

– Ale do czego służą pieniądze, jeśli nie do dbania o zdrowie?

– Wiesz co? Mój stary poszedł do biblioteki. Okazuje się, że to lekarstwo wymyśliła Agencja Żywności i Leków. Sfinansowała prace nad lekiem z *naszych* podatków! Bo to, jak mówią, „lek sierocy”. Co oznacza, że są przepisy zobowiązujące rząd do szukania lekarstw na rzadkie choroby. Okazuje się, że prezesem firmy farmaceutycznej jest jeden z badaczy zatrudnionych przez AŻL. Firma farmaceutyczna powiedziała „Wall Street Journal”, że tylko obiecując dziewięćdziesięcioprocentowy narzut na cenę leku, była w stanie zebrać kapitał na wprowadzenie tego gówna na rynek: lekarstwo musi być drogie, żeby się opłacało inwestorom.

– Wierz mi – przerwała mu Alice – zachodnia medycyna może pocałować mnie w dupę.

– A ponieważ my, szczęśliwe lemingi, potrzebujemy pręgowanych chomiczaków do życia, firmy ubezpieczeniowe nie miały wyboru. Nic wielkiego. Podniosły tylko wysokość składek, żeby pokryć koszty. Wszystkim się to opłaca, a medyczny kompleks przemysłowy maszeruje dalej.

– Może powinieneś zaczerpnąć tchu...



Nie zwrócił na nią uwagi.

– Nie mogę poprosić rodziców o podżyrowanie ubezpieczenia. Już dosyć przeze mnie przeszli...

– Przykro mi – przerwała mu uprzejmym, acz stanowczym tonem, przywracając go do rzeczywistości. Odczekała, aż się rozluźni. – Nie jestem pewna, czy masz prawo się wściekać.

Zmrużył oczy.

– Ten lek ocali ci życie? Te sfermentowane jajniki chomików działają? Jest jakaś struktura organizacyjna, która, choć niesprawiedliwa, zapłaci za to wszystko. Przynajmniej będzie płaciła przez pewien czas.

Wzruszył ramionami.

– Może powinienes być wdzięczny?

– Jasne.

– A zamiast tego rzucasz się i odmawiasz.

– Wiem – odpowiedział potulnie. – Wszystkie firmy farmaceutyczne są takie.

– Więc śledź je dalej dla porównania. Żeby skacowani kretyni w Sidewalk Café mogli posłuchać twojej wyjątkowo rozdzierającej wersji *Take the „A” Train*.

Zmarszczył brwi. Miał oczy jak dwa czarne kamienie.

– Wierz mi – dodała Alice – znam doskonale tajniki trzymania się każdego skrawka własnego twórczego życia. – Czekala, aż odpowie jej w jakiś sposób, potwierdzi, że ma rację. Ale odpowiedzi nie było, więc mówiła dalej, łagodnie: – Dlaczego nie możesz być taki jak dziewięćdziesiąt dziewięć procent twórców na Manhattanie i uprawiać sztuki w czasie wolnym? – Jej cierpliwość się wyczerpała. – Zachowujesz się jak zepsuty dzieciak!

– Jasne...

– Zaciskasz oczy i wpadasz w furję.

– Zgadza się.

– Krzycząc: „Nie chcę dorosnąć!”.

– Kobięcy wzorzec męskości: żonaty nudziarz pracujący od dziewiętej do piątej. Mazgaj liczący się z każdym centem. Z jajami w torebce żony.

Alice przyjęła cios.

– Oddanie się w ręce lekarzy nie jest łatwe – przyznała. – Wiem, że kiedy jestem słaba, chora i zbolala, staję się współwinną. Czuję się niemal tak jak moja malutka córeczka, która patrzy na mnie i oczekuje, że się nią zajmę. Wiem, co to znaczy czuć się tak bezradną...

Wzruszenie ramion. Merv wpatrywał się w jakiś punkt gdzieś z prawej strony jej ucha.

– Jestem przekonana, że muszę patrzeć, co robią mi lekarze i pielęgniarki. Słuchać ich wyjaśnień. Wierz mi, kwiatuszku, że nie jestem tym... tym uszczęśliwiona. – Poruszyła rękoma. – Jakaś część mnie ma wrażenie, że te wszystkie historie medyczne mnie nie dotyczą, że oglądam serial, w którym lekarze omawiają mój stan.

– Tak, od tego można zdziecinieć.

– I w zasadzie nic nie robię. Leżę całkiem bierna i pozwalam im wpompowywać w siebie trucizny. Mogę mieć tylko nadzieję, że znajdą dawcę. I przejdę inne straszliwe procedury, które *mogą* ocalić mi życie. – Umilkła. – W ogóle cię nie znam – dodała po chwili, czując, że zbiera się jej na płacz. – Ale sprawileś, że jestem na ciebie bardzo zła.

Wzdrygnął się. Przeczesał włosy, odgarnął do tyłu opadającą grzywkę. Nie patrzył jej w oczy, spoglądał na broszury na ścianie za jej plecami. Unikał jej świdrującego spojrzenia.

– Leżałam w przeklętym łóżku przez ponad miesiąc – ciągnęła. – Wierz mi, że puste dni rosna i rosna, aż stają się upiorne. U-pior-ne! Wiem wszystko o ciszy, która jest tak wielka, że nigdy się nie kończy. Przetyka się każdy pisk i trzask i chce się wrzeszczeć: „Nie, kurwa, jebać to

wszystko...!” – Nie mrugała powiekami, lśniły jej szaroniebieskie oczy, których nie odwracała.  
– Zamieniłabym się z tobą bez wahania.

Merv zebrał się na odwagę i spojrział na nią. Jej zadarty nos zmarszczył się u nasady. Rozdęła nozdrza.

– Zanim Budda został Buddą – podjęła, pociągając nosem – opuścił żonę i dziecko. Bycie Buddą oznaczało, że musiał być wolny, a wolność oznaczała, że nie mógł mieć żadnych zobowiązań. – Mówiła przez łzy, hamując płacz, coraz trudniej dawało się ją zrozumieć. – Zawsze się zastanawiałam, co się stało z żoną, którą zostawił? Co zrobiła? – Jej głos się łamał. – Nauczyłam się, że stawianie trudnych pytań oznacza brak szacunku dla nauczyciela. Uzyskujesz mistyczną odpowiedź, mówią ci, że sprawy osobiste należy poświęcić dla powszechnego dobra. O dobru żony milczą.

– Nie ma odpowiedzi – zauważył Merv.

– Mówimy o najbardziej demokratycznej i pokojowej religii na świecie, rozumiesz? A ty mi mówisz, że nie ufasz medycynie! Pozostałe opcje wcale nie są lepsze.

– Każdy bóg, na którego stawiasz – mruknął Merv – okazuje się złamanym chujem. – Zamyślił się na chwilę. – Zresztą może na tym polega ten układ, żeby zwracać uwagę na słowa, a nie na posłańca. Wiesz, mój nauczyciel wuefu zawsze powtarzał: „Ciotą jest ten, któremu za to nie płacą”.

– Straszne. – W oczach Alice rozbłysły wesołe iskierki. Maseczka chirurgiczna rozciągnęła się wraz z szerokim uśmiechem.

Jakaś nocna pielęgniarka przeszła korytarzem i zniknęła.

– Powtarzałam sobie, że każdego dnia ludzie zapadają na jakieś choroby – mruknęła Alice. – Ale zawsze mogłam powiedzieć: „To nie ja”. – Udała, że dyga, co miało dać mu do zrozumienia, że i ona umie się nad sobą uzalać.

– Wszystko, co mamy do wyboru, jest głównie warte. – Jego dłoń, blada, zrogowaciała, przykryła jej szczupłą dłoń w rękawiczce. – I co dalej z tobą? – zapytał.

– Och... – machnęła ręką, opędzając się od niego. – Mam to co wszyscy. Ludzi, których kocham. Miłość dla innych.

– Namietność – dodał Merv. – Życie chwilą.

– Próbuję sobie powtarzać, że jestem swoją przyzwoitością. W każdej dowolnej chwili mogę ucieleśniać moje człowieczeństwo. – Poprawiła maseczkę przy nosie. – Brzmi patetycznie w każdym razie.

Czekając na odpowiedź, która, jak się spodziewała, nie zostawi na niej suchej nitki, skrzywiła się uprzedzająco. Teraz widziała jego oczy, przyglądał się jej badawczo z taką intensywnością, jakby chciał przejrzeć ją na wylot, szukając w niej... Bóg wie czego. Budziła się w nim jakaś dzikość – tak to wyglądało. Alice się zawstydzila. Obawiała się, że może się zaczerwienić i że ten facet jest na tyle niezrównoważony, że pochyli się i ją pocałuje. Była pewna, że ma zamiar spróbować.

Ale nie. Przeobraził się w drużynowego brzdąkającego na gitarze i śpiewającego przy ognisku:

Nie ma co narzekać

Że pora nie ta

Bo jak mówi się brzydko

ZJEBANYM DO CNA

ZJEBANYM DO CNA

ZJEBANYM DO CNA

Gdy wróciła do pokoju, wciąż nie czuła się sobą, rozstrojona jego schrypniętym głosem

sięgającym zbolątych zawodzących wyżyn. Krzyk ukazał granicę skali jego głosu, a ich rozmowa obnażyła zewnętrzny obręb ich zdrowia psychicznego. Alice była pewna, że ten młody mężczyzna jest niezrównoważony. W zasadzie nie miała nic przeciwko temu, była tym nawet rozbawiona. Ale poczuła ulgę, gdy skończyła z tym wyzwaniem, jak kot, którego sierść na karku jeży się zbyt długo.

W jej sali było ciemno, ale dostrzegła zarys łóżka z podparciem ustawionym pod kątem prostym, odwróconą na drugą stronę kołdrę babci, bałagan zmiętych prześcieradeł. Obok stał wózek z tacą zastawioną plastikowymi dzbankami, napełnionymi do połowy kubkami z wodą, plastikowymi przykrywkami do potraw i kartonowym pojemnikiem z zupą na wynos. Przez okno sączyła się odrobina światła, krawędzie znacznie silniejszego źródła światła rysowały się w odległym rogu, a w ich wnętrzu migotały jaskrawe kolory bezdźwięcznych wiadomości telewizyjnych, widocznych ponad zasłoną. W ciszy pokoju Alice poczuła się dziwnie, niemal medytacyjnie, choć coś ją niepokoiło. Chciała zadzwonić, żeby sprawdzić, co u Doe, powiedzieć dobranoc Oliverowi, ale postanowiła nie budzić dziecka.

Po kilku sekundach zdała sobie sprawę, że coś śmierdzi. Gorzej niż suchy lód w ich dzielnicy.

Pani Woo jęczała, jej głos zniekształcała rura w przetyku, ale najwyraźniej coś ją bolało. Alice pchnęła gwałtownie stojak z kroplówką i sięgnęła po dzwonek do pielęgniarki.

– Stało się coś złego. Tej drugiej pani... proszę przyjść. Trzeba jej pomóc.

Czuła ciężar w nogach, ociążałość w rękach, ale zdołała przepchnąć kroplówkę wokół łóżka bliżej zasłony. Pani Woo wyczuła jej obecność. Zanim Alice zdołała się odezwać, zapalono światło. Wpadł sanitariusz z pielęgniarką, wyminęli ją.

– Cholera. – Sanitariusz pociągnął nosem i zniknął wraz z pielęgniarką za kotarą.

Alice usłyszała szelest, pielęgniarka mówiła pani Woo, że tylko zerkną, i poleciła sanitariuszowi obrócić starszą panią na bok. Po chwili dodała, że nic się nie stało, że upewni się, czy rura do oddychania nie jest zapchana i dobrze się trzyma.

– Tylko zajrzemy – tłumaczyła. – Wszystko w porządku, kochana. Mały wypadek. Przydarza się najlepszym z nas.

Wkrótce przyjdą dwie salowe, obie z potężną nadwagą. Zmienia prześcieradła. Wyższa powie:

– Zawsze to robią w nocy.

Pielęgniarka obieca pani Woo, że jeszcze zajrzy, i poleci salowym zostać przy niej, pilnować, żeby rura się nie zapchała. Ujmie dłoń pani Woo i zapewni ją:

– Wszystko będzie dobrze.

A gdy wyjdzie, salowe będą zrzędziły, łomotały i tłukły się przy łóżku, żartując podczas sprzątania. Alice będzie żałowała, że nie spojrzała pani Woo w oczy; wreszcie nie zniesie tego dłużej i ostatkiem sił powie:

– Ona jest chora. Nie umiecie tego uszanować?

Wkrótce znów będzie musiała spojrzeć w oczy medycznemu establishmentowi, który zwróci na nią uwagę, gdyż nadejdzie jej kolej na pobranie krwi, mierzenie temperatury i ciśnienia, zamianę worków z kroplówką, na nowe antybiotyki, trombocyty i sterydy, na potwierdzenie, że połknęła pigułki oraz poinformowanie jej, że niejednen wenflon wymaga wymiany. Potrzebna będzie kolejna próbka moczu, a pielęgniarka z porannej zmiany obudzi ją po sześciu godzinach, żeby pobrać następną – zasada sześciu godzin jest obowiązkowa – choć zanim się to stanie, wejdzie do niej salowa, zmierzy poziom oddanego przez Alice moczu i zmieni nakładkę na sedes.

Przez całą noc Alice starała się zachować świadomość i przebywać w swoim najlepszym

ja. Mniejsza salowa o słabych szarych zębach zapytała ją, czy ma już próbkę moczu. Wyższa upewniła się, że dzbanek i plastikowy kubek są napełnione świeżą wodą. Alice ostrożnie opuściła głowę ku słomce do picia. Poprosiła każdą z nich o przedstawienie się, a potem zgadywała komicznie po ich akcencie, z jakiego kraju pochodzą. Słuchały cierpliwie jej pytań o nocną zmianę, choć mówiła tak zmęczonym głosem, że trudno ją było zrozumieć.

Lon, nocna salowa, kobieta o twardych rysach i szarych zębach, powiedziała Alice, że wspaniale sobie radzi. Wedle wszelkich znaków na niebie i na ziemi zaraz wyzdrowieje. I wkrótce stąd wyjdzie. Tak pewnie mówiły wszystkie salowe, bo pacjenci chcieli to słyszeć, a usłyszawszy, stawali się potulniejsi i łatwiej przychodziło im wypełnianie poleceń. Ale Alice i tak jej podziękowała.

Minęło sporo czasu, zanim została całkiem sama w niemal ciemnym pokoju, wsłuchując się w rytm rury do oddychania: długi wdech, świszczący wydech. Była już wyczerpana. Brakowało jej siły, żeby uporządkować wydarzenia mijającego dnia. Więc zamiast tego wpatrywała się w noc blednącą za oknem, nieprzeniknioną czerń jaśniejącą ku łupkowej szarości. Śnieg padał gęstymi falami, kołdrami z płatków. Widziała skamielinę starej fabryki na Roosevelt Island wypuszczającą białe kłęby dymu z trzech kominów. Pierwsze kolory świtu malowały się gdzieś w oddali, banalny róż i oranż sączące się przy krawędzi nieba, pełznące nad bezkształtnymi zrujnowanymi magazynami. Przyglądała się miniaturowym powidokom reflektorów z wolno sunącego rzędu aut na drodze; kierowcy jak zwykle śpieszyli się w porannym szczyście.

W sali zrobiło się jaśniej, widziała już strony i zdjęcia swojego kolażu na ścianie: nadludzko doskonale kończyny tancerzy Alvina Aileya, Audrey Hepburn przed Tiffanym z policzkiem wypchanym pączkiem. Nie wiedziała, jak długo wpatrywała się w resztę ściennego kolażu, w czym pomagał jej nadchodzący ranek rozświetlający następne zdjęcia i strony: hinduskiego boga początku z głową słonia – boga, który usuwa przeszkody, bogini stojącej na kwiecie lotosu, zrodzonej na nowo przez spieniony mleczny ocean. Kolorowe magazyny z pięknymi kobietami w bluzkach, które pomagała uszyć. Strony z zapisanymi przez nią tekstami piosenek. Z inspirującymi aforyzmem.

Oczy bolały ją już od wysiłku, ale nie chciała ich zamknąć, bo Alice Culvert jednego była pewna: jeśli uśnie, już nigdy się nie obudzi.

### Część III

#### A co, jeśli sobie odpuści?

## Pierwszy ciepły dzień zimy

Wdrugi wtorek marca zima w końcu mrugnęła. Temperatura podniosła się do ponad dziesięciu stopni, co było tak niewiarygodne jak zdobycie mistrzostwa przez Knicksów. Wzdłuż zachodniej granicy Chelsea ktoś – tak się wydawało – pstryknął jakiś kosmiczny włącznik, uruchamiając pierwotny ssaczy popęd. Ludzie naprawdę chcieli wyjść na dwór, uwolnić się od wyjątkowo brzydkich spadochroniarskich kurtek, ciężaru kozuchów i skóry, palt, których podszewki nasiąknęły miesiącami ludzkiego potu i śmierdziały jak krowie truchła.

W cieniu bloków z cegły – tak ohydnych, że mogłyby stać w Sojusie – na podwórkach pokrytych topniejącym śniegiem babcie pchały sklepowe wózki wypełnione jedzeniem i pękatymi torbami z praniem. Starsi mężczyźni z klasą w słomkowych kapeluszach i białych koszulach rozstawiali ogrodowe krzesła, rozkładali warcaby i kostki domina. Wreszcie ludzie mogli przestać nosić rękawiczki (tak dokuczliwe i trudne do utrzymania w parach przez dłużej niż tydzień) i szaliki (z frędzlami upapranymi w sosach). Z niewidzialnego radiomagnetofonu dobiegał łomot hiphopowych improwizacji, a damscy bokserzy odsłaniali pokryte kędzierzawym futrem klaty. Nastolatki rozmawiały o bzdurach i odstawiały nastoletnie szaleństwa. Jakiś kilkuletni chłopiec dryblował piłką do koszykówki, a kolega chciał mu ją odebrać. Brak umiejętności nadrabiali entuzjazmem.

Samochód osobowy wiozący niedużą barwną rodzinę zwolnił za blokowiskiem i skręcił w boczną uliczkę, minął domniemaną heroinową melinę, potem rzeczywistą melinę, dalej kilka spalonych aut i pustą parcelę, na której zbierali się bezdomni (choć raz nie paliły się tam kosze na śmieci), potem małą trójkątną działkę – jedyny w tej okolicy wspólny ogródek. Za siatką ogrodzenia migwały jaskrawożółte kwiatki. Pierwsi wiosenni przybysze. Niewątpliwie wspaniali, ale nieświadomi, niezdający sobie sprawy z istnienia czegoś takiego jak przedwczesna wiosna i ironia skazywania się na zagładę przez rozkwit. Bo naturalny instynkt podpowiadał im: „Dalej! Kwitnijcie! Żyćcie!”.

Wjechawszy do dzielnicy pakowalni mięsa, samochód zwolnił i zatrzymał się przy jednej ze stojących przy tej przecznicy rzeźni. Otworzyły się tylne drzwi po stronie kierowcy i z auta wysiadł Oliver z ogoloną na łyso głową. Nie zamknął za sobą drzwi, ruszył pośpiesznie do drugiej strony samochodu. Pomógł wysiąść żonie, która opierała się na jego ramieniu. Alice miała na głowie różową zimową czapkę z pomponem i długimi nausznikami, czapkę o wiele na nią za dużą, opadającą na czoło. O wiele za duże były wszystkie jej rzeczy i Alice niemal w nich tonęła. Zawsze była drobna, ale teraz przyczyną stało się coś innego: druga konsolidacja.

Jej matka wysiadła z przodu auta od strony pasażera. Trzymała na rękach becik, wydawała uspokajające dźwięki i tuliła dziecko do piersi. Alice odwróciła się i podziękowała mamie cicho. Trzasnęły drzwi, kierowca wyjął z kufra kilka walizek.

Alice, jej mama i dziecko znalazły się w głębi magazynu, a Oliver rozliczył się z kierowcą. Obchodząc samochód i chowając portfel do tylnej kieszeni spodni, odpiął od paska nieduży czarny przedmiot. Odszedł kilka kroków od chodnika i wystukał coś na tym małym urządzeniu, a potem znieruchomiał, napięty, z przekrzywioną głową. Pod zardzewiałym kolejowym mostem zobaczył bezdomnego owiniętego w śpiwór, a dalej, w cieniu, za drewnianym podwyższeniem rampy załadowniczej zobaczył coś jeszcze. Kogoś. Kogoś, kto opierał się o metalową żaluzję sklepowej witryny.

– A kuku, widzę cię. – Alice ukryła twarz w dłoniach, które zamknęła jak drzwi.

Nie mogła się nie śmiać, promieniała rozradowaniem, a na jej czole pojawiła się żyła w kształcie litery Y. Była znów w domu, chwała Bogini, a remisja trwała. Wystarczyło jednak

pobieżne spojrzenie, żeby przekonać się, jak skurczoną ma twarz, spłaszczoną czaszkę z grubymi żyłami na skroniach, które ujmowały tę twarz w nawias, gdy policzki zapadały się ku zuchwie. Zrzuciła wszystkie przekłete ciężowe kilogramy, a potem schudła jeszcze bardziej. Po raz pierwszy od czasu, gdy była nastolatką, widziała wyraźnie swoje kości biodrowe. Co byłoby cudowne, gdyby nie to, że jej ciało zostało pozbawione elastyczności, a ramiona i nogi skromnej, bo skromnej, ale muskulatury.

To wszystko nie miało najmniejszego znaczenia dla Doe gaworzącej rozkosznie z otwartą buzią.

– Jesteś szczęśliwa, że mamusia wróciła? Mój cudowny żelku?

Połaskotała Doe pod paszkami, pławała się w ciepłe córki; poczuła zmęczenie i odchyliła się na ulubionym fotelu – klasycznym szwedzkim modelu z lat siedemdziesiątych.

Lampy na ścianach świeciły jaskrawiej, niż zapamiętała. Zamrugowała, potem jeszcze raz, lecz nie zdążyła się skrzywić, bo mama przygasila światła.

– Znacznie lepiej – powiedziała Alice. – Dziękuję.

Przyjrzała się dużej otwartej przestrzeni, japońskim grafikom, które tak dobrze знаła – następującym po sobie pionowym ekranom na ścianie naprzeciwko, ręcznie malowanym arkuszem ryżowego papieru, na których przedstawiono samotnego wędrowca i budzącego się tygrysa.

Za jej plecami zamknęły się drzwi wejściowe, usłyszała skrzypienie i ciężkie stąpanie: Oliver wszedł do dużego pokoju.

Zawołała do niego, że nigdy nie przypuszczała, iż w ich mieszkaniu może być tak nienagannie czysto. Powiedziała mu, że bardzo docenia, jak się dla niej stara.

– A widziałas te śliczne gładkie otoczaki na umywalce w łazience? – zapytała jej mama, wychodząc z kuchni. – Bardzo mi się podobają.

Przyniosła na spodeczku parującą filiżankę zielonej herbaty. I ona wyglądała na bardzo zmęczoną, miała bladą bezkrwistą twarz, przygarbione barki. Tydzień doglądania córki odbił się wyraźnie na jej formie, a pobyt w ruchliwym i hałaśliwym mieście mocno przyczynił się do dyskomfortu, który odczuwała. Alice odebrała porcelanową filiżankę, poczuła parę kłębiącą się pod brodą, wpadającą do nosa i ust. Mama uśmiechnęła się, dotknęła jej ramienia. Powiedziała, że przygotuje butelki na noc. Nigdy nie potrafiła usiedzieć na miejscu.

Oliver stał w drzwiach z korytarza i był poirytowany – to akurat Alice umiała rozpoznać. Zrozumiała, że nie może się odnaleźć w półmroku panującym w mieszkaniu. Zakładał prawdopodobnie, że ciemność ma coś wspólnego z Alice; wkrótce przekona się, że nie tylko ciemność.

Nie wstała z fotela, siedziała dalej w szlafroku, trzymając córeczkę, która ocierała się nieprawdopodobnie miękkim policzkiem o jej brodę.

Cztery pierwsze dni pobytu w szpitalu przebiegły zgodnie z planem. Na froncie medycznym obyło się bez komplikacji, a gdy pielęgniarka zwiozła ją na parter, Oliver zajął już całą salę konferencyjną i czekał na sofie z klockami i pluszowymi misiami; smoczki i przewijak zajmowały stół konferencyjny. Alice miała na twarzy maseczkę chirurgiczną, a na sobie ołowiany fartuch i ochronne rękawiczki. Towarzyszył jej stojak z kroplówkami, górujący nad tym jarmarkiem. Doe zobaczyła mamę i natychmiast się rozplakała, nakręcona przez rozłąkę. Alice dotknęła brzuszka córeczki, uniosła różowy sweterek, pocałowała ją przez maseczkę.

– Mamusia kocha twój brzuszek.

Głaskała kolano Doe.

– Mamusia kocha to kolanko. W głębi serduszka musisz wiedzieć, że je Kocham.

Dała córeczce czas na smutki, rysując palcem koła na jej plecach.

– Mamusia kocha twoją bródkę. Mamusia kocha twój mostek. Mamusia kocha twoje piersiki. Kocham cię całą, nawet jak jesteśmy daleko od siebie.

Doe zachichotała, podciągnęła się i przywarła do matki. Alice starała się, żeby stykały się skórą (jak radzą książki dla młodych matek), ale polecenia lekarzy uczyniły to niemal niewykonalnym.

– Niedługo znów będziemy razem, może za kilka dni – mówiła. – Będziemy do siebie tęsknić do tej pory, będziemy smutne, ale nic nam się nie stanie.

Trzymali się z Oliverem za ręce, rozmawiali o sprawach organizacyjnych i o niczym i cieszyli się tą małą, sztuczną, stworzoną przez siebie wyspą normalności, dopóki nie pojawiła się pielęgniarka, a Oliver postąpił zgodnie z zaleceniami żony: spakował się i zabrał dziecko najszybciej, jak się dało.

– Zostaniesz w serduszku mamusi – powiedziała Alice, choć Doe, niczego nie rozumiejąc, znów zaczęła płakać. – A mamusia jest w twoim serduszku.

Dzień przed planowanym wyjściem do domu Alice dostała gorączki i zarządzono kwarantannę. Wszystko stało się o wiele trudniejsze. Alice wpadła w apokaliptyczne przygnębienie; nie chciała się zgodzić na dłuższy pobyt w szpitalu, na dalszą rozłąkę z dzieckiem. Jej spotkania z Eisenstattem przebiegały w napiętej atmosferze, pełnej zniecierpliwienia i upartego braku porozumienia. Po raz pierwszy straciła cierpliwość do pielęgniarek. Potem miała zakrzep w ręce, co jeszcze wydłużyło jej pobyt, a wyniki zaczęły spadać w efekcie chemioterapii. Pozostała w szpitalu o tydzień dłużej, niż przewidywano. W domu córeczki nie dawało się pocieszyć, ryczała nocami, złościła się, kopała i biła nawet babcię.

Teraz, po powrocie Alice ze szpitala, Oliver przygotowywał się do obmycia miejsca, w którym miała centralne dojskie. Zmoczył w ciepłej wodzie w łazience dwie myjki – czerwoną i niebieską. Zabrał je ze sobą, przejrzał nowo zapisane leki i znalazł długą tubkę kremu, umieścił to wszystko na stole krawieckim i odsunął kołnierz szlafroka żony. Pocałował ją w głowę, przejechał jej po karku kłykciami. Alice mruknęła z zadowoleniem. Zamknęła oczy.

– To miłe.

Oliver widział jej tętnicę szyjną napierającą od spodu na skórę poniżej szyi niczym wystający korzeń. W okolicach obojczyka po lewej stronie Alice miała ogromny opatrunek, pozostałość po ostatnim dojsciu.

– Mamo, czy jest gdzieś zielona herbata?

– Już ci ją przyniosłam. Stoi na stole.

Śmiech.

– Tak działa mózg po chemioterapii. Słyszałam, jak pielęgniarki o tym mówiły.

Oliver zabrał się do ponownego wprowadzania niektórych dawnych nocnych rytuałów, odświeżył w pamięci procedurę zmiany opatrunku i przemywania ran. Krok pierwszy: przemyć mokrą czerwoną myjką przezroczyste plastry wokół opatrunku. Krok drugi: zdjąć stary opatrunek z szyi. Alice dalej bawiła się z Doe, dała jej kciuk do ssania, ciesząc się przyjemną pieśczołą. Oliver skończył zdejmować ostatni plaster i sięgnął po niebieską myjkę. Alice czuła jego spojrzenie na karku, słyszała przytłumiony oddech. Odchyliła się i poddała okrężnym ruchom myjki. Oboje nie zważali na dzwonek telefonu. Gdy mama podniosła słuchawkę, dzwoniący zdążył się rozłączyć.

Oliver zakładał nowy opatrunek, gdy zabrzmiał brzęczyk przy drzwiach, jeden raz, nienatarczywie.

Studium przypadku nr 19



Podczas pierwszego tygodnia pracy w rejestracji kliniki onkologicznej poczuła zgrubienie w prawej piersi. Nie wyobraziła sobie tego, nie cierpiała na syndrom Patty Hearst. Przeciwnie, zgrubienie było twarde i z całą pewnością rzeczywiste: guzek w dolnym prawym kwadrancie. Można by pomyśleć, że klinika onkologiczna to najlepsze miejsce do pracy, jeśli ma się guza piersi, ale to nieprawda. Wszystko okazało się bardziej skomplikowane. Rejestratorka nie miała ubezpieczenia przed rozpoczęciem pracy, to po pierwsze, a klinika ubezpieczała pracowników dopiero po trzymiesięcznym okresie próbnym. Koszty badań, konsultacji, diagnozy, terapii i leczenia doprowadzą ją do bankructwa, to oczywiste. Więc nie powiedziała o tym nikomu, ani mężowi, ani byłemu mężowi, ani dorosłym dzieciom, nie powiedziała, co odkryła i co zaplanowała. Postanowiła wytrwać. Dopóki nie obejmie jej ubezpieczenie. Pozostała tylko modlitwa.

I tego się trzymała. Przez trzy miesiące od ósmej trzydzieści do osiemnastej rejestrowała zdiagnozowanych, rozpoczynających terapię przerażonych pacjentów. Z przyczyn formalnych sprawdzała, czy w polisach pacjentów przechodzących chemioterapię nie zaszły żadne zmiany. Przekazywała pytania o leki od pacjentów, którzy przeszli przez piekło chemioterapii i uważali, że są zdrowi, dopóki nie przekonali się, że rak powrócił. Pacjenci, którym nie zostało więcej niż pół roku życia, spędzali całe jego godziny w jej poczekalni. Opuszczała głowę i przygryzała wargę, starała się opanować łomoczące serce, żeby nikt nie usłyszał. Wykonywała swoją pracę. Jedną z pacjentek była młoda kobieta w wieku jej córki cierpiąca na raka jajnika. Jej macica została zbombardowana tak silnym promieniowaniem, że dziewczynę bolało zapinanie pasa w samochodzie. Rejestratorka usłyszała przypadkiem rozmowę na ten temat i wyszła zza kontuaru. Zamknęła się w toalecie, sprawdziła, czy guz rośnie, i rozplakała się tak przeraźliwie, że wstrząsały nią spazmy.

Pracownicy kliniki otrzymywali ubezpieczenie od firmy, która w kontrakcie zawarła wymóg, aby nowi ubezpieczeni przystępowali do polisy jedynie pierwszego dnia każdego miesiąca. Z tej przyczyny rejestratorka musiała czekać trzy dodatkowe tygodnie, zanim mogła wyznaczyć sobie wizytę u lekarza pokrywaną z firmowej polisy. Ale przeszła jakoś przez wyznaczone progi i umówiła wizytę pierwszego dnia działania polisy. Etyka zawodowa nie pozwalała, aby badał ją i leczył lekarz, który ją zatrudniał. Więc kiedy w końcu zwierzyła się ze swych zmartwień współpracownicy, klinika wysłała ją do innego gabinetu.

Od tej chwili wydarzenia nabrały tempa. U rejestratorki zdiagnozowano nowotwór złośliwy piersi drugiego stopnia. Nikt nie zająknął się o tym, czy wykrycie nowotworu podczas minionych czterech miesięcy zatrzymałoby jego rozwój we wcześniejszym stadium, nikt nawet nie chciał o tym myśleć. Zaplanowano obustronną mastektomię, pierwszy dostępny termin był w połowie października.

Jak każda rozsądna kobieta wiedziała o miesiącu, podczas którego nosi się na bluzkach różowe wstążeczki. Tylko który to miesiąc? Nie zwraca się na to uwagi, dopóki nie ma się powodu. Tymczasem w tygodniach poprzedzających obustronną mastektomię zauważyła różowe wstążeczki przypięte do bluzek. Zdobiące płaszcze. Pewnego sobotniego popołudnia, gdy leżała na sofie, oglądając finał kobiet turnieju U.S. Open, zauważyła różowe tenisowe piłki w reklamach. Później zjedli z mężem skrzydełka i oglądali Monday Night Football, a rejestratorka zwróciła uwagę na różowe korki u rozgrywających, obrońców i napastników. Jeszcze później – przesadnie drogie różowe pluszowe misie w sklepie z pamiątkami nieopodal kliniki. Różowe pączki w ciastkarni. Limitowaną wersję różowych szminek i lakierów do paznokci. Designerskie podkoszulki z rakiem piersi. Rękawiczki. Szale. Zimowe czapki

z przyszytą różową wstążką. Wsadzane szlachetnymi kamieniami kolczyki w kształcie różowej wstążki. Naszyjnik uświadamiający zagrożenie rakiem piersi. Różowe torby na zakupy. Parasolki. Magnesy do samochodów. Mokre chusteczki. Recepcjonistka poczuła się jeszcze bardziej samotna, jakby jej cierpienie stało się dla wszystkich źródłem zasilania, z którego się czerpie i które się wykorzystuje. „Spójrz, jesteśmy z tobą! Doceń nasze wsparcie!” Wszyscy są tacy wspaniali, tak dobrze poinformowani, tacy świadomi i pomocni! Tymczasem to jej mieli oberznąć obie piersi.

Tak się złożyło, że jej obustronna mastektomia odbywała się w dniu Spaceru na rzecz Leczenia Raka Piersi. Kto zaplanował obustronną mastektomię podczas weekendu? Lekarze odpowiedzieli, że w weekend mają więcej czasu, w szpitalu panuje większy spokój, więc tak jest lepiej.

Naturalnie York Avenue była zablokowana. Tłumy na chodnikach uniemożliwiały przedostanie się do szpitala. Gdy rejestratorka wyszła z metra, musiała zatrzymać taksówkę, która jechała długą okrężną drogą.

W następnych latach, gdy przeprowadzała doroczne badania, które najlepiej wykonywać w rocznicę właśnie, napotykała ten sam problem. Znienawidziła ten cholerny „spacer”.

Ale operacja się powiodła i – odpukać – rak nie wrócił.

## Przeszukam każdą chmurę

Kobieta stojąca w drzwiach loftu miała radosną minę. Ciemna blondynka z siwymi pasemkami w opadających do ramion włosach przesłaniających twarz, która wyrażała zdecydowanie i łagodność, a przy tym była naprawdę ładna. Gdy witała się z Oliverem, jej oczy lśniły spokojnie i przejrzyście, co brało się – Alice to wiedziała – z codziennych głębokich medytacji. Dla Olivera byłaby to prawdopodobnie oznaka psychozy (każde z nich przyznawało w skrytości ducha, że obie ewentualności się nie wykluczają). Sparrow specjalizowała się w masażu, terapii posttraumatycznej i leczeniu holistycznym, mieszkała gdzieś na Północnym Wschodzie i polecono ją Tildzie jako osobę uzyskującą *zdumiewające* rezultaty z chorymi na raka. Przyjechała do miasta po bezwstydnie błagalnych listach Tildy. Kolejne sesje w pierwszych dniach konsolidacji były na tyle relaksujące, że Alice czuła zadowolenie, a nawet rozkosz. Ale działo się to przed zatorem w ręce i kwarantanną.

Alice widziała niewyraźnie, jak Sparrow kłania się lekko Oliverowi i mówi, że wszystko ułożyło się doskonale, odebrała jego wiadomość, wskoczyła do dziewiątki i właśnie przyszła. Jest taki cudowny wieczór. Podała mu kwiaty.

Gafa została zarejestrowana: uzdrowicielka, która nie wie, że świeże kwiaty są groźne dla układu odpornościowego? Coś takiego mogło podważyć jej wiarygodność w oczach Olivera – Alice doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Ale Oliver podziękował i zapytał, czy może je zostawić przed drzwiami. Mówiąc jednocześnie do Sparrow i Alice, stwierdził, że dni po wypisie są niezwykle trudne i chce się zająć żoną w domu. Alice wyczuła ironię pod tą uprzejmością, zranione uczucia maskowane entuzjazmem. Ale Sparrow zdążyła już do niej podejść i pochyliła się, roztaczając woń olejku kokosowego i orientalnych przypraw. Alice przyjęła jej uścisk z taką wzajemnością, na jaką było ją stać.

– Już czas – powiedziała Sparrow. – Jesteś gotowa?

Alice mrugnęła kilkakroć, w jej wzroku migotała uprzejmość. Minęło kilka sekund, zanim chwyciła krawędź krawieckiego stołu. Jej przedramię drżało, ale zdołała się odepchnąć, a w tym czasie Sparrow ujęła ją pod pachy i zaczęła się unosić wraz z nią.

Sypialniany oczyszczacz powietrza pracował na drugim biegu, z kompaktu płynęło ćwierkanie ptaków, szmer strumyka i wiatr szumiący w drzewach amazońskiej dżungli. Zapalono wotywnie świece i kadzidelka. Alice leżała na brzuchu z odwróconą głową. Miała zamknąć oczy.

Sparrow uniosła jej prawą stopę z łóżka. Mocne i zwarte dłonie, silne jak u boksera, pchały delikatnie nogę do tyłu, sprawdzając jej wytrzymałość. Takim testom Sparrow poddała wszystkie kończyny i stawy Alice, odnajdując granice ich elastyczności. Przesunęła palcami po kręgosłupie chorej, zamkniętymi pięściami, cisnącymi kłykciami zaczęła ugniatać obszar między łopatkami. Wgłębienia na plecach Alice ukazywały zarys jej żeber. Palce przebiegały po nich kojąco. Sparrow przysunęła się i usiadła na pośladkach Alice; jej ciężar nie był nieprzyjemny. Przesuwała palcami po czaszce chorej, znajdując te punkty, gdzie czaszka przechodzi w szyję. Alice znalazła się za rozkoszną zasłoną snu, ale słyszała kojące słowa:

– Masz mężne i silne ciało. Twoje ciało to skarb i przyjaciel.

Widział to tak: gdyby Alice umarła we śnie, musiałyby przyjechać Tilda, żeby wziąć dziecko do siebie. Gdyby pager Tildy nie odpowiadał albo Tilda nie zdołałyby dojechać do centrum wystarczająco szybko, dziecko zabrałby kuzyn Olivera z żoną. Musieliby przylecieć. Wszystko to było ustalone. Obecność mamy Alice w mieście również byłaby jakimś rozwiązaniem, ale Oliver zakładał, że będzie wrakiem człowieka. Miał w pogotowiu numer pagera Tildy, kupił też drugą niezgrabną motorolę – taką, jaką sam miał – Jonathanowi

Smallerowi. Aparaty te były lżejsze i nieco ładniejsze od cegieł z lat osiemdziesiątych, ale i tak nie miałyby szans w żadnym konkursie designu, bo w gruncie rzeczy były paskudne. Gdy Oliver był zmuszony korzystać z aparatu na ulicy, ludzie patrzyli na niego jak na wariata, co było podwójnie upokarzające, bo odbiór nigdy nie okazywał się dobry. Ale kryła się w tym teoretycznie pewna pociecha, że Oliver i jego kuzyn mogą być zawsze – znów teoretycznie – w kontakcie i że w przypadku kryzysu do kogoś się dodzwoni. Dopiero później zadzwoni do koronera. Taki miał plan. W ten sposób będzie chronił dziecko: nie dopuści, żeby Doe zachowała w pamięci obraz mamy zamykanej w worku.

Druga nad ranem. Alice i Doe dawno śpią. A Oliver wyobraża sobie, jak to może się stać – dylemat, o kogo zadbać: o konającą, miotaną spazmami, cierpiącą, przerażoną i niczego już niekontrolującą Alice czy o dziecko. Teoria gier wymagała, aby planował najgorsze, co oznaczało, że Doe się obudzi, wyczuje, że dzieje się coś niedobrego, i zacznie ryczeć wniebogłose. Musiał również zakładać, że Tildy nie będzie w śródmieściu, że będzie robiła chuj wie co, żeby zarobić na czynsz, albo poła gorzałą jakiegoś nieszczęsnego kmiota, żeby zaciągnąć go do swojego legowiska. Założmy również, że Jonathan i jego żona będą mieli skomplikowane plany i ważne zobowiązania, których nie da się odłożyć ot tak, co oznacza, że Oliver przez dobre pół godziny będzie musiał sam mierzyć się z kryzysem. Alice nie zdoła zaczekać na odsiecz, będzie potrzebowała natychmiastowej pomocy, więc Oliver zadba, żeby w każdym komputerze znalazła się instrukcja postępowania. Poprosi każdego, kto bywa w lofcie w miarę regularnie, żeby zapoznał się z instrukcją (nie zrobią tego, ale poprosi mimo wszystko). Zapewniono go już, że niektórzy kelnerzy od Florenta przeżyli własne tragedie przez AIDS i potrafią radzić sobie lepiej od innych w sytuacjach kryzysowych, a jeśli będzie trzeba, pomoże mu również sam Florent. Najgorszy scenariusz: coś zaczyna się dziać o trzeciej nad ranem, a Doe zajmuje się w sypialni któryś z transwestytów kurwiących się na rogu. Oliver da mu lub jej zaliczkę, a przedoperacyjny trans usiądzie z dzieckiem i będzie go pilnował, uspokajał, podczas gdy ratownicy medyczni będą reanimować Alice. Coś może im zginąć, ale trudno. Oliver musi mieć pewność, że dziecko nie przeżyje traumy na widok rzucającej się i toczącej pianę matki, nie mówiąc już o wynoszeniu jej na noszach przez sanitariuszy.

Największy pokój loftu był pogrążony w ciszy, świeciły się tylko lampa na jego biurku i ekran komputera. Wydrukował z szarego laptopa listę postępowania w nagłych wypadkach i przykleił ją taśmą we wnętrzu górnej prawej szuflady biurka, żeby miał ją zawsze pod ręką, lecz żeby nie znalazła jej Alice – kolejna rzecz, o której nie musi wiedzieć. Gdy skończył, opadł na oparcie fotela na kółkach i zapatrzył się w nicość. Czuł się jak mały chłopiec, który wspina się na palce, żeby sięgnąć do tej szuflady, ale ledwo jej dotyka opuszkami, ledwo wyczuwa jej gładką powierzchnię. To niewidzialne coś było dla niego zbyt wielkie, żeby je w pełni pojąć.

To strach, że ich córka dorośnie, nie znając matki, że pustka po niej zdominuje jej życie, że nie będzie miała wyboru i z konieczności wyidealizuje nieobecność lub, co gorsza, będzie ją winiła za tę nieobecność, przeklinała podobnie jak każdą kobietę, którą ojciec przyprowadzi do domu (przyjaciółki rodziny, które znajdą wolną chwilę w napiętym rozkładzie dnia, żeby ukończyć własne poczucie straty, mające najlepsze chęci przyjaciółki zmarłej, czyniące samo dobro, rozmaite potencjalne macochy). Będzie przeklinała ojca, przeklinała świat, a co najgorsze, siebie, siebie, siebie. Jako samotna nastolatka poświęci całe dni na chowanie się po kątach z pamiętnikami mamy, rekonstruując własną wersję życia tej kobiety – najogólniej rzecz biorąc. Bo szczegóły są nieprzewidywalne. Nawet on nie potrafił ich pojąć, choć zostawiał sobie nieskończenie wielkie pole dla wyobraźni.

Czterolatka wychodzi z przedszkolnej sali i staje w korytarzu, gdzie widzi te wszystkie kobiety, z których każda na kogoś czeka i radośnie otwiera ramiona. Tak jest każdego dnia, gdy

wychodzi z sali i staje w korytarzu. Każdego dnia widuje mamy tulące dzieci. Po przedszkolaki przychodzą też karaibskie nianie, ale jego mała córeczka widzi tylko mamy przynoszące owoce, torebki ze świeżo ugotowanymi na parze brokułami i z sokiem jabłkowym, jogurty i herbatniki ze złotą rybką. Tata znów się spóźnia, wpada bez tchu i usiłuje sobie przypomnieć, w której kieszeni schował ten idiotyczny serowy paluszek.

Wstaje o świcie i ćwiczy na jej Barbie zaplatanie francuskiego warkocza. Ma pomalowane paznokcie, córka pomalowała je różowym brokatowym lakierem przed snem, gdy musiał ją czymś zająć. Ma niezdarne dłonie, jego sprawność manualna odbiega o lata świetlne od kobiecej, bo kobiety ćwiczą zaplatanie warkoczy, odkąd skończą sześć lat. Następnego ranka: jest zaspany, ale koncentruje się na każdym pociągnięciu grzebienia, żeby włosy córki układały się zgodnie z naturalnym zawirowaniem; ciągnie i męczy się, żeby rozdzielić końcówki i poplątane pasemka. Szuka spinek do włosów, robi się gburowaty, gdy nakazuje: „Nie wierć się!”. Jakby na ten znak dziewczynka wyrywa się z płaczem. Na przedszkolnym zdjęciu znów będzie miała podświetloną aureolę z cienkich potarganych włosów.

Chcąc uszanować wolę zmarłej żony, nie pozwala, aby jego dziecko wychowywała telewizja, co oznacza, że jeśli nie płaci za opiekunkę, gotowanie obiadów nie wchodzi w grę i nie będzie wchodziło, dopóki Doe nie skończy jakichś sześciu czy siedmiu lat. Czyli w prawdziwym życiu: półotwarte pojemniki z jedzeniem na wynos, lodówka, z której zalatują dziwne zapachy, kuchenny zlew ze stertami brudnych naczyń.

Poleganie na jednej czy dwóch niepokojąco atrakcyjnych, tylko trochę znających się na rzeczy młodych absolwentkach szkół artystycznych, zarabiających na dodatkowe wydatki opieką nad dziećmi. Konieczność zatrudniania następnych opiekunek. Sporządzanie list zastępstw. Żonglowanie ich planami zajęć. Dziewczyny zawsze się rozglądają za jakąś prawdziwą pracą, odliczają dni do takiego czy innego stażu i choć pielęgnują relacje z jego córką, w miarę upływu czasu spóźniają się coraz bardziej. Doe słucha z szeroko otwartymi oczyma ojca tłumaczącego, dlaczego odeszła kolejna opiekunka. Z czasem nie robi już wielkich oczu, przyzwyczajają się do cyklu przywiązywania się i bycia porzuconą: ufasz ludziom, wierzysz w nich, a oni odchodzą i nie masz na to najmniejszego wpływu.

Następny napad złości: Doe musi nieustannie okazywać, że jej wola jest ważniejsza od jego zakazów – przewraca kubek z kakao. Spojrzenia z sąsiednich stołów, mężczyźni, którzy przyprowadzili swoje dzieci do tej jadłodajni w sobotę o dziewiątej rano, chcą zabić czas w ten długi weekendowy dzień. Twarze naznaczone bólem początków wieku średniego. Przyglądają się atakowi Doe nie bez współczucia, ale w ich spojrzeniach kryje się coś jeszcze. Coś, co bierze się z pokładów znacznie głębszych od współczucia i co jest czystym wszechogarniającym przerażeniem.

Ale krzywa zbierania doświadczeń działa również w przypadku dorosłych – Oliver przestaje być przykładnym żalobnikiem i obrzuca gości jadłodajni gniewnym spojrzeniem. („Czego chcecie? To spadło na moje barki! To coś zupełnie innego niż rozwód!”) Staje się panikującym spiętym tatą, który podnosi córkę z krzesła za mocno, co trochę ją przeraża. „Jezu, Doe! Coś ty narobiła? Spójrz!”

Staje się człowiekiem pokonanym, który ukrywa twarz w dłoniach, słuchając płaczu córki i marząc o tym, żeby zniknąć. Ale przechodzi i przez to, ewoluuje: zabiera córkę znad kałuży kakao, żeby się bardziej nie pobrudziła, wyjmując serwetki z serwetnika, mówi, że wszystko jest w porządku, i sprząta bałagan.

I to słowo, znów to słowo, ciągle i zawsze to słowo! Przewraca się, płacze i wykrzykuje to słowo. Dostaje za mało posypki na pączki i jęczy: „Chcę do mamy!”. Nie chce posprzątać zabawek: „Mama!”. Chce zostać dłużej na placu zabaw: „Chcę do mamy!”. Bawi się

w przedszkolu w rodzinę, inni są braćmi i siostrami, a ona? Mamusią! Mamusią!

Kiedy dojrnie jakoś do tej najcudowniejszej i najlepszej pory wieczoru, gdy kładą się razem spać, Doe leży wygodnie pod kołdrą, jest urocza i kochająca, wpatruje się w niego z nieskończoną, zdaje się, miłością, słucha bajek i z czułością ciągnie go za ucho. Przeczytał już dwie bajki, a ona trze oczy rączkami – czas gasić światło. I właśnie wtedy, Oliver już wie, wszystko zaczyna się na nowo.

„Chcę do mamy” – mówi Doe.

Alice miała nadzieję, że powtarzając córce: „Mamusia jest w twoim serduszku. Ty jesteś w serduszku mamusi”, sprawi, że córeczka zapamięta te słowa, i tak się stało, Doe zapamiętała je na zawsze.

Oliver prosi małą, żeby wzięła głęboki oddech. Prosi ją, żeby poczuła ciepło miłości mamusi w całym ciele. Prosi, żeby odetchnęła raz jeszcze i poczuła ciepło na czubku głowy, na czole, gdzieś pod powiekami.

Dziewczynka się stara. Otwiera oczy. Ma duże białka. Wielkie błękitne tęczówki wbijają się w ojca. „Dlaczego nie mogę iść do mamusi? Wiem, że mamusia jest w niebie – mówi cicho cienkim, pełnym przejęcia głosem. – Możemy polecieć samolotem”. Oliver pozwala sobie na mrugnięcie, stara się opanować. „Niebo jest bardzo duże” – stwierdza. Nie robi to na niej wrażenia. „Przeszukam każdą chmurę” – obiecuje.

## Bliski horyzont

Znów wpadli w wir codziennych obowiązków, a ich zwarta hermetyczna bańka znów się zamknęła. Alice dopilnowała, żeby zadzwonił, by zaplanować i potwierdzić wizyty kontrolne u Eisenstatta (w piątek w przyszłym tygodniu). Sama dzwoniła do pielęgniarek, pytając o leki, do aptek – z pytaniami o dawkowanie. Po rozmowach telefonicznych rozpoczynała dzień zazwyczaj od prostych wymachów ramion i rozciągania się czy podstawowych ćwiczeń tai chi, jeśli miała ochotę. Potem brała witaminowe suplementy, w tym przyniesione przez Sparrow płyny do podgrzania, zawierające wschodnie zioła i mieszanki. (Miały zapewniać Alice siły, ale smakowały jak gorące rzygi). Ostrożnie próbowała śniadania. Starła się karmić Doe przecierem jabłkowym i myła jej buzię mokrą ciepłą szmatką, a nawet wyjmowała ją z wysokiego stołka i sadzała na podłodze, żeby Doe bawiła się swoimi nóżkami w śpioszkach oraz nogą od stołu krawieckiego dla równowagi. Jeszcze nie chodziła, ale była uszczęśliwiona, próbując wstawać i prostować się. Alice poruszała się całkiem nieźle, choć musiała pamiętać, ile rundek z córką jest w stanie znieść. Przeszkadzały jej fale gorąca, sześć albo siedem w ciągu dnia – najbardziej absurdalny ze skutków ubocznych. Przez cały czas było jej zimno i nagle – ni stąd, ni zowąd – jej ciało ogarniał pożar. Starła się temu przeciwdziałać, okładając się lodem, zajmując umysł czymś innym, pisząc notatki na nowym eleganckim szarym powerbooku, który dostała od Olivera. Przesuwała dłoń po trackballu, ciesząc się jego gładkością, robiąc strzałką kursora zygzaki na ekranie. Dzwoniła do przyjaciółek, ale nie rozmawiała z nimi długo. Pomagał jej w tym Oliver, który nie tyle podsłuchiwał, ile sprawdzał ją, pytając, z kim rozmawia i co słyhać. Alice potrafiła być nazbyt wspaniałomyślna, zdarzało się jej nawet odbywać sesje terapeutyczne z dziwnym chłopakiem, którego poznała na szpitalnym korytarzu, więc Oliver musiał jej pilnować, biorąc pod uwagę to, ilu przyjaciół chciało z nią rozmawiać. Gdy trzymała telefon luźno przy uchu i nie odpowiadała zbyt często, nie angażując się w rozmowę, pochylał się do słuchawki bezprzewodowego aparatu i przepraszał, tłumacząc, że żona musi odpocząć.

Pisanie kartek z podziękowaniami również ją męczyło. Niełatwe było nawet przeglądanie płyt. Plusem było to, że nie płakała po (wy)miotach Morriseya (istniał logiczny związek między miotami tego artysty a skutkami ubocznymi leków zażywanych w remisji). Nie płakała także po przymusowym wyrzeczeniu się pewnych intymnych rytuałów, obejmujących na przykład golenie nóg męską golarką z żyłką (ryzyko skaleczenia było zbyt duże, więc musiała się obejść maszynką elektryczną). Zajmowała się ważniejszymi sprawami każdego dnia, spotykała się z cudownymi przyjaciółmi przybywającymi do ich hermetycznej, pogrążonej w półmroku bańki: Susanną i Suzie, i Sue, Christiną, Janą, Julie, Karen, Mary Beth, Jess, Sarą Jay i jej mężem Isidrem, Markiem i Marie, Crystal, Jynne, Fioną, Alison i Cindy, Seanem i Daphne (ciągnącymi za sobą dzieci, Owena i Mirę) oraz Davidem i Mattem, Patty i Joshem – wszyscy oni stanowili jądro ukochanych przyjaciół i byli zapraszani lub przychodzili sami, nie zapisując się w planie odwiedzin Tildy, ale *stosując się* do tego szaleństwa i nie skarżąc się na wymagane szczepienia przeciw grypie (jedna dawka, żadnych kłastrów, aerozoli czy żywych szczepionek). Rozumieli, że nie mogą jej odwiedzać z najłżejszym nawet przeziębieniem albo po przebytej chorobie czy też kontakcie z chorym. Siadywali obok Alice przy krawieckim stole, półleżeli na sofie obok niej, dziewczyny robiły szale na drutach i rozmawiały o wzorach, zapewniając Alice czarującą rozrywkę i zabawę, przedstawiając jej swoje zdanie, gdy o nie prosiła, dzieląc się przemyśleniami, gdy nie prosiła, próbując ukrywać posępne i zmartwione miny, ale nie maskować troski, prowadząc głębokie filozoficzne rozmowy przy tych jej dziwnych ćwiczeniach rozciągających, wmasowując nawilżacze w jej skórę, napełniając kubek wodą, wprowadzając ją

w zaufaniu w swoje sekrety, plotkując z nudów i zdając sobie wreszcie sprawę, że Alice siedzi na tym fotelu tak długo, bo nie ma zwyczajnie siły, żeby wstać i odejść. Wszystko to działo się przy proponowanej przez nią partyjce kart. W taki sposób mijały jej dni, podzielone na krótkie fragmenty przyjemnych odwiedzin trwających do chwili, gdy musiała się zdrzemnąć (przy odrobinie szczęścia jej drzemka zbiegała się z układem drzemek Doe), na co goście proponowali, że załatwią jej niezbędne sprawunki, zabiorą dziecko na pełen przygód spacer, zrobią pranie. Jeśli nie pojmowali wskazówki, że czas już odejść, zostawali, siedzieli i wpatrywali się, jak Alice zasypia, przyswajając sobie pełen ogrom tego, co dzieje się z ciałem tej wyniszczonej kobiety.

Wpadały też jej co bardziej żywiołowe przyjaciółki – Golzi, Debb i Annaka – żywe srebro, dzikie dzieci z alergią na planowanie, od których nie można było wymagać, żeby się zapisywały w planie odwiedzin, nie mówiąc już o stosowaniu się do czyichś arkuszy kalkulacyjnych, bo poza wszystkim innym były zajęte przygotowywaniem jesiennych linii na Tydzień Mody. Więc wpadały ni stąd, ni zowąd, pytając, czy to okej, przynosząc pojemniki świeżo ugotowanego wysokobiałkowego jedzenia, które spełniało wszystkie dietetyczne standardy Alice; jeśli nie miały akurat czasu, płaciły jakimś restauratorom z Village za przywiezienie trzygwiazdkowego posiłku. Były też drogie przyjaciółki z liceum, które chciały przyjeżdżać z głębi stanu (tylko na kilka dni, żeby pobyć razem, załatwić zakupy, zabrać Doe na Washington Square, cokolwiek będzie trzeba). I koledzy Olivera ze studiów – oni też się starali, choć nie znali się specjalnie na dzieciach i w zasadzie się ich bali, a poza tym nie umieli w ogóle gotować, sprzątać ani zrobić nic pożytecznego. Więc wpadali różni ludzie i robili, co mogli, w zasadzie cokolwiek: przynosili tony przetworzonej żywności z delikatesów, której Alice nie mogła jeść, butelki bardzo dobrego wina, którego nie wolno jej było pić, i torebki z pachnącą specyficznie hydroponiką, której nie odebrałyby im od ust nawet rottweilery. Wymieniali uwagi o programach telewizyjnych i o niczym, entuzjastyczne i pozytywne w sposób, który nie był w stanie ukryć, że się martwią, że chcą okazać dobrą wolę, bardzo chcą.

Rozbrajało to Alice, nawet jeśli czuła odrobinę goryczy. Bo wszyscy oni przychodzili po to, żeby poczuć się odrobinę lepiej ze sobą i wyrazić współczucie, by odejść i zająć się spokojnie własnym życiem.

Piętnowała się za takie myśli. Żartowała, że jej przypadłość nie jest taka zła. Siadywała i słuchała muzyki. Rozmawiała z tymi wszystkimi zdumiewającymi ludźmi. Drzemała i robiła na drutach. Wdzięczność sprawiała, że wybaczała tym niewielu osobom, które były zbyt przerażone, żeby przyjść. Takim jak Winnie, która była niesłowna i zapomniała, nie przyszła w wyznaczonym terminie, potem po raz drugi, i zniknęła, paląc za sobą mosty.

Nie wspominając już o tych, którzy wpadali niezapowiedziani, rzucali okiem na Alice i uciekali z wyciem.

Kiedyś przy kawie i plotkach Jeremy powiedział, że on i jego lepsza połowa modlą się za Alice. Oliver odpowiedział mu tym samym zrzędlwym stwierdzeniem, którym zwrócił się do Blaine'a, gdy ten wpadł z naręczem czasopism i zapytał, czy czegoś nie trzeba: „Jeśli naprawdę chcesz pomóc, zarejestruj się jako dawca szpiku”, i zakończył edukacyjnym: „Przynajmniej zwiększysz szanse na przeżycie kogoś innego”.

Tego dnia Alice była niestety przy tym obecna. Położyła dłoń na ramieniu Jeremy'ego, łagodząc napastliwość Olivera.

– Dziękuję wam. Każda dobra myśl pomaga.

Alice spała, Oliver odebrał telefon po trzecim dzwonku.

– Ta?

Ktoś się rozłączył. Gdy tego samego popołudnia Oliver czekał na rozmowę z urzędnikiem z wydziału drobnej przedsiębiorczości i przełączył się na oczekiwanie połączenia, ktoś znów



zadzwoił i natychmiast się rozłączył.

Przesłuchując sekretarkę, Oliver słyszał te króciutkie połączenia; gdy tylko włączał się automat, dzwoniący przerywał łączność. Sprawdził godziny – zawsze wczesnym popołudniem: idealna pora, żeby zrobić sobie przerwę od obowiązków, żeby znów przetrwać ten nudny kawałek dnia.

– Dlaczego twoi znajomi nie chcą ze mną rozmawiać? – zapytał Alice.

Zapewniła go, że to nie oni. Pytała ich. Nikt o niczym nie wiedział.

– A ten mały trubadur? Z korytarza? Nie terapeutyzowałaś go przez pewien czas przez telefon?

Wzdrygnęła się? Nie. Oddychała miarowo.

– Nie sądzę. To jakieś głupie dowcipy. Nastolatki zdobywają czyjś numer i nie odpuszczają. Mnie to też wkurza, wierz mi.

Oliver kiwnął głową. Już dosyć zajmowania się tym głupstwem. Czekają go ważniejsze sprawy.

– Chcę ci coś przedstawić, Ruggs, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Bez powitania, bez żadnych wstępów, prosto z mostu.

– Ten prawnik, który mi pomaga, zwrócił mi uwagę na taki, no wiesz, miejski program. Oferują ubezpieczenia zdrowotne ludziom z drobnej przedsiębiorczości. A najlepsze jest to, że te ubezpieczenia obejmują też współmałżonków. I nie ma pułapu kosztów leczenia w sieci. – Czekaj. Milczenie oznaczało zgodę? – Chodzi o to, że jeśli zechcemy przejść wraz z Generii do tego planu, pojawią się koszty. I właśnie dlatego dzwonię. Mamy jakąś tam rezerwę finansową, ale potrzebujemy jeszcze trochę czasu, zanim uruchomimy demo programu. Chuj wie, kiedy trafimy na rynek. To znaczy, wiesz, przystąpimy do ubezpieczenia. Z drugiej strony ono gwarantuje polisę dla Alice i to jest ważne. Ale dla firmy... tylko z tej perspektywy... no...

– Kogo mam zabić? – zapytał Ruggles.

Gdy Jonathan wysłuchał tej samej prośby, powiedział:

– Fajnie, że pytasz, Oli, ale nie wygłupiaj się.

Więc zaszumiał faks i wypluł zwijającą się stronę, która spadła z podajnika na podłogę.

<FOR FPO; to be reset as ART>

CC: Oliver Culvert

Panie Culvert, załączam bopię mojej rozmowy z 27.02. z Peachford. Proszę zachować w archiwum. Mam nadzieję, że to wyczerpuje Pańskie pytania. Proszę zadzwonić, jeśli pojawi się coś jeszcze.

Cleandra Sapir

Kier. Wydz.

Nowojorski Stanowy Wydział Drobnej Przedsiębiorczości

\*

<FOR FPO; to be reset as ART>

P: Mam pracownika, który przechodzi do Peachford Health Ins. z innej firmy ubezpieczeniowej, która oferowała niski pułap, ale wszystkie świadczenia. Czy należy brać pod uwagę warunki wstępne przy założeniu ciągłości świadczeń? Mówimy o leczeniu raka. Członek rodziny pracownika jest, co zrozumiałe, bardzo zaniepokojony koniecznością rozwiązania wcześniejszego ubezpieczenia rodzinnego i chce mieć pewność, że Peachford przejmie koszty leczenia, które rozpoczęło się w DHMC, a obecnie jest kontynuowane w Whitman Memorial.

Cc: Oliver CulverT

\*

<FOR FPO; to be reset as ART>

Dziękuję za przesłanie pytania oraz dodatkowe informacje. Członek rodziny będzie w pełni ubezpieczony przez Peachford.

Właśnie tak. Ciężar całej planety. „Członek rodziny będzie w pełni ubezpieczony”. Pozwolili sobie odetchnąć. Opowiadał jej sekwencję faksów, rosnące podczas tej wymiany napięcie. Alice trzymała jego dłonie w swoich dłoniach w chwili prawdy. Chichocząc, przyciągnęła go do siebie, dotknął czołem jej czoła, przytrzymał jej dłoń na swojej szyi.

Zrobił kilka kopii faksu zgodnie ze wskazówkami Blaunera, który kazał kopiować ważne dokumenty. I przechowywać oddzielnie.

Oczywiście na horyzoncie było więcej pożarów, pominąwszy zwykle zastanawianie się, które rachunki można zapłacić w następnym miesiącu.

Po pierwsze i nie do obejścia: główny programista cholernego projektu Generii był niedysponowany, zajęty czymś innym lub nieosiągalny przez dłuższe okresy. Nikt, kto ma uczucia, nie zgłaszał pretensji do Olivera ani nie kwestionował jego priorytetów, ale sprawa pozostawała nierozwiązana, a pierwotny nieprzekraczalny termin oddalał się we wstecznym lusterku.

Drugi problem: podczas konsolidacji Alice Brow zajął przestrzeń roboczą, programując na okrągło i spijając na sofie. Nie doszedł co prawda do poziomu młodego Billa Gatesa, który – według legendy – zasypiał przy terminalu, pisząc pierwszy kod Windowsa, budził się gwałtownie, a potem bez zmużenia oka podejmował pracę na nowo tam, gdzie przerwał. Ale tak czy siak Brow był teraz praktycznie przykuty do biurka. I było widać efekty! Nie tracili nadziei. Tyle tylko że po powrocie Alice do domu jej układ odpornościowy nie był bezpieczny w towarzystwie latającego biologicznego cyrku organicznych odpadów niemyjącego się programisty.

A tymczasem każda minuta nieprzepracowana przy komputerze oznaczała niepowetowaną stratę, marnotrawstwo ograniczonych zasobów.

Popołudniowe poszukiwania zaowocowały odkryciem budynku za rogiem. Na drugim piętrze, tuż nad kilkupoziomową chłodnią, można było wynająć nieduże biuro. Wedle tradycji biuro to przez dwadzieścia pięć lat wynajmował pewien weteran marynarki, który dwa razy w tygodniu wspinał się do pracy po schodach przeciwpożarowych i rozpakowywał na miejscu skórzaną lekarską torbę pełną igieł i tuszu. Jak głosiła plotka, postawiono go kiedyś przed trybunałem wojskowym pod zarzutem morderstwa, ale został uniewinniony i może dlatego nazywał swoje trzy maszyny do tatuażu „rynsztunkiem” lub „osprzętem” zamiast „pistoletami”, krzywiąc się na tych, którzy popełniali ten błąd: „Pistolet służy do zabijania – warczał. – Na tym polega różnica”. Jego klientami byli najczęściej gliniarze, strażacy i ratownicy medyczni, inaczej mówiąc, ludzie odpowiedzialni za egzekwowanie wprowadzonego przez miasto zakazu wykonywania tatuaży, który respektowali tak samo jak zakaz palenia trawy na chodniku.

Biuro było zagracone, zakurzone i gorące jak wnętrze pieca, bo od świtu do zmroku przez okna wpadało słońce. Śmierdziało w nim jak w noclegowni dla bezdomnych. Gdy Oliver o to zapytał, agent nieruchomości wyjaśnił bez zmużenia powieki, że artysta tatuażu odszedł z tego świata, siedząc za biurkiem, i piekł się w słońcu, dopóki nie znalazł go pomocnik. Robotnicy na dole uznali, że z chłodni wypadła jakaś póltusza.

Pojawiły się więc dodatkowy miesięczny czynsz, koszty fumigacji i sprzątania oraz nowa linia telefoniczna i nowe połączenie z internetem, które pozwoli ich komputerom na odbieranie strumienia danych z zawrotną, nieznaną wcześniej prędkością 54 000 bitów na sekundę. Potrzebne były także osobne linie do faksów i rozmów, żeby nic nie zrywało delikatnego,

najnowocześniejszego połączenia z internetem. Rachunki za elektryczność będą wysokie. A Oliver będzie musiał dorzucić nowe biurka i ergonomiczne fotele (bo zatrudnia bandę wymagających, marudnych sukinsynów) i klamerki do prania dla wszystkich nadwrażliwych nosów.

– Mój pojebany kuzyn chce zostać artystą od instalacji. Nie mam pojęcia, co to, kurwa, jest – powiedział Ruggles. – Ale dostał się do RISD<sup>11</sup>. Nie jest mu łatwo, ale się trzyma. Wiesz dlaczego?

Oliver chciał odpowiedzieć, ale Ruggles podniósł palec.

– Dzieciak żyje ryżem i świeżym powietrzem. Kradnie papier z Kinko's. Głodujący artysta i tak dalej. Takie pisklę jak to nasze nieopierzone przedsiębiorstwo musi mieć jak najmniejsze koszty własne, *capisce*?

– Jasne.

Żrenice przyjaciela zrobiły się większe.

– Naprawdę?

Podczas konsolidacji Alice Ruggles spędził popołudnie przy jej łóżku, skłaniając ją sprytnie do rozmowy o zbliżających się Oscarach. Był autorem bezsprzecznie najlepszego toastu na ślubie Olivera.

Elliot Ruggleschmierr stał się w gruncie rzeczy kluczową postacią w życiu Olivera podczas tygodnia zapoznawczego przed pierwszym rokiem studiów. Byli parą niepasujących do siebie prymusów połączonych encyklopedyczną znajomością detali sagi *Star Trek*. Teraz Oliver czekał na ostateczny wyrok dawnego współlokatora i nie miał pojęcia, czy Ruggles nie byłby urażony, gdyby się dowiedział, że on dba wyłącznie o pieniądze. Może poczuł się dotknięty, że Oliver tak bardzo troszczy się o finanse firmy, mając tyle na głowie? Albo może zwyczajnie liczy koszty dodatkowe?

– To najgorsza pora na coś takiego – powiedział Ruggles, cedząc słowa.

– Na co? – zapytał Oliver.

Ruggles chyba podjął jakąś decyzję i zmienił bieg:

– Okej, słuchaj, naprawdę nie chcę o tym mówić. Gram w twoim zespole na dobre i na złe. Ale ten program jest twoim dzieckiem. Jesteś głównym graczem. Ja i inni tylko ci podajemy. Chodzę z kapeluszem w rękę do każdego znajomego na giełdowym parkiecie. Jest tam mnóstwo dobrych ludzi i paru niezbyt dobrych, którzy pakują ciężko zarobione pieniądze w ten interes, uwierzywszy ci na słowo, ufając twojej renomie i prezentacji. Pamiętasz to?

– Tak.

– „Dopracujemy to, pokażemy Microsoftowi i innym sukinsynom, że Generii może wchodzić do ich programów i wychodzić z nich jak mysz z sera, może zabierać, co tylko chce, a oni będą musieli nam płacić za strzeżenie granic. W przeciwnym razie wielkie wejście na rynek Windowsa 95 okaże się pozbawione sensu”. To ty tam stałeś, mówiłeś o wolnym dostępie i pilnowaniu bram.

– Pamiętam, Elliot. – Oliver czekał i patrzył.

Ruggles wypił łyk jamesona, skrzywił się i rozluźnił krawat.

– To, kurwa, rób to, co do ciebie należy, okej? I nie martw się. Wszyscy się zapisaliśmy na to ubezpieczenie. Rozmawiałem już z każdym. Ruszaj z Bogiem. Ale musisz się nam odwdziżyć, sahib. Czas zapiąć pasy i wrzucić wyższy bieg. Przy okazji rozerwiesz się, skupisz na czymś innym. Mam, kurwa, nadzieję.

Mama Alice po dwudziestu pięciu latach nauczania dzieci farmerów z New Hampshire, jak unikać rozdzielnych bezokoliczników, dostała niedużą, ale przyzwoitą emeryturę. Na emeryturze zajmowała się psami, ogródkiem, uczęszczała na zajęcia plastyczne, była członkiem

grup czytelniczych, zapamiętała grała w brydża, a przez trzy dni w tygodniu pracowała w rejestracji w gabinecie weterynaryjnym. W tym czasie jej wyżłami weimarskimi opiekowały się przyjaciółki. Personel gabinetu weterynaryjnego wspierał ją w trudnej sytuacji, ale tak czy inaczej potrzebował kogoś do odbierania telefonów i umawiania wizyt. I były jeszcze psy... więc żeby nie oddawać ich do schroniska i zachować przyjemną pracę na część etatu – czyli czeki, które nie były aż tak konieczne, ale się przydawały – mama Alice musiałaby wrócić do Putney. Nie istniało łatwe rozwiązanie, więc mama Alice w typowy dla siebie zrównoważony sposób zajęła się najrozsądniejszą rzeczą, jaka jej przyszła do głowy, mianowicie zmienianiem pieluch. Miała bzika na punkcie wnuczki. Zmieniała filtr w oczyszczaczu powietrza, by w sypialni zawsze było świeżo. Sprzątała, odkurzała, siedziała przy łóżku, trzymała córkę za rękę. Kołysała dziecko i gruchała do niego, opowiadając historię o sześciolatek Alice, która spadła z konia i złamała sobie rękę.

– Prrrr... – powiedziała, biegnąc na drugą stronę mieszkania. – Zaczekajcie... Słucham?  
– Odebrała telefon. – Halo?

– Myślałem, że nigdy się do ciebie nie dodzwonię. – Niski łagodny głos.

– Chce pan porozmawiać z moją córką? Mam powiedzieć, że kto dzwoni?

– Ee... ja...

– Może wybrał pan zły numer? – nie dawała za wygraną mama Alice. – Ostatnio zdarza się mnóstwo pomyłek.

Zamiast odpowiedzieć, dzwoniący zwyczajnie się rozłączył. Mama Alice odłożyła słuchawkę. Poszła do kuchni, umyła ręce, a potem wróciła do sypialni, gdzie zaczęła mówić o białym cukrze.

Dietetyczka z New Hampshire wspomniała o nim jako pierwsza. Sparrow, Tilda, Kate i mnóstwo innych zdrowo odżywiających się koleżanek Alice miało to samo zmartwienie – rak odżywia się rafinowanym cukrem.

– Nigdy więcej – odpowiedziała Alice, unosząc prawą rękę. – Słowo harcerki.

Ciemna czekolada, tiramisu, tarta z limonką, czerwony aksamitny torcik – wszystkie jej ulubione smakołyki, wywołujące poczucie winy.

– Odstawię je – przysięgała. – Zobaczysz. Nowy reżim.

Potem, podczas końcowej rozmowy w pokoju badań Alice przedstawiła swoją nową dietę personelowi medycznemu, czekając na ocenę i aprobatę. Odpowiedział jej szybko Eisenstatt:

– Po takiej chemioterapii cukier niczego nie aktywuje.

– Jak to? – zapytała Alice.

– W pani przypadku choroba nie jest obecnie metabolicznie aktywna. Komórki rakowe nie dzielą się w szpiku kostnym w taki sposób, w jaki inne komórki dzielą się w przewodzie pokarmowym. Mają odmienne cykle.

– Chce mi pan powiedzieć, że jedno z drugim nie ma żadnego związku?

– Powiem raczej, że priorytetem jest odzyskanie wagi. Można jeść wszystko. Obojętne, co pani zje, będziemy się cieszyli, że pani je.

Mimo to zgodnie z instrukcjami i preferencjami w lodówce był zapas niesłodzonego mleka sojowego i kokosowego, czystego pełnotłustego jogurtu, lodów, nektaru z agawy i naprawdę dobrych serów. Oliver poświęcał część każdego dnia na bieganie po mieście; po powrocie Alice do domu znalazł stosunkowo blisko laboratorium, które badało jej krew, wieczorem podawał żonie w zastrzyku odpowiednią dawkę warfaryny (przecierając najpierw jej podbrzusze brązowym odkażającym żelem); każdego dnia kopiował dokumenty dla ubezpieczalni, konsultował się z prawnikami, załatwiał sprawy Generii, żeby ruszyć z nowym biurem, oraz żonglował argumentami przed kretykami z banku i kutasami od kart kredytowych.

I zawsze przed powrotem do domu wypełniał instrukcje Madame, zaspokajając jej życzenia: świeże mango i limonki, słoiki z proteinowym proszkiem na zwiększenie wagi oraz świeży niepasteryzowany miód pozyskiwany prosto od pszczół, kupowany na czarnym rynku (niepasteryzowany miód przenosił kiedyś dżumę i wciąż był zabroniony). Każdy dzień obfitował w wieści o nowym zbawiennym specyfiku. A wieści tych dostarczały przyjaciółki.

– Jak będziesz w mieście – myślała głośno Alice – mógłbyś mi kupić czarną gorzką czekoladę?

– Bo... – Spojrzał na nią uważniej.

– Bo poddaję się zachodniej medycynie, tak jak chcesz. – Skrzyżowała ręce, odpowiadając na jego zniechęcenie, zanim je okazał. Patrzył na żonę skonsternowany. A ona rzuciła szybko: – Gdyby to ode mnie zależało, zrobiłabym to holistycznie.

– Słodyczne są teraz holistyczne? Mogę przywieźć ci z miasta Mountain Dew. Też słyszałem, że jest organiczny.

– Straciłam włosy. Co miesiąc jestem napromieniowywana. Zjadam trzy kęsy obojętnie czego, zanim zamyka mi się żołądek.

– Jezuuu... – mruknął, wstając. – Żartowałem. Nie czepiaj się mnie. Raz chcesz tak, drugi raz znowu inaczej...

– Powiedział, że *mogę* jeść cukier.

– Wybieramy sobie co przyjemniejsze wskazania? To nowa dieta?

– Chcę gryza tarty z limonką!

Kryła się za tym pewna groźba: jeśli on jej tego nie kupi, zrobi to ktoś inny. Albo już ktoś to robił.

Odwiedziny Tildy następnego dnia obejmowały wypad do cukierni po drugiej stronie ulicy. Tilda podała Alice małą paczuszkę: biały woskowany papier z ceną wypisaną markerem. Powtarzała znane już zdania:

– To dobry znak, że masz w ogóle ochotę spróbować. Nawet kilka kęsów pomoże. Obojętnie co przed włączeniem chemii.

Alice rozwinęła pakunek i zajrzała do środka.

– Prosiłam o serek truskawkowy? Nie chcę sprawiać kłopotów.

– Jest różowy, kochanie – odpowiedziała ostrożnie Tilda.

Alice zmrużyła oczy.

– Nie widzę.

Wystarczyło słowo, by cała sieć wsparcia pracowała pełną parą i usłudzie prokurowała roztwór soli. Często przecierane oczy łzawiły, przez to mrugała. Teraz były z Tildą ostrożne, nie reagowały z przesadą. Starły się zachowywać racjonalnie i trzeźwo, a po krótkiej wymianie zdań doszły do ogólniejszego porozumienia: Alice powinna szukać nowych prawd. To jedyna pomocna interpretacja.

– Czym jest róż w planie kosmicznym? Czym biel? – Tilda mówiła jak na wykładzie motywacyjnym. – Kogo obchodzi parę miejsc w spektrum? Wykorzystaj to jako szansę skupienia się na czymś *prawdziwym*.

Alice się uśmiechnęła. Ale zaraz twarz jej się wyciągnęła.

– Znajdzie się dawca – pocieszała ją Tilda. Objęła przyjaciółkę ramionami. – Oliver załatwił sprawę z ubezpieczeniem, prawda? To niesamowite! A teraz znajdą dawcę. Wszystko się rozwiąże.

Alice pociągnęła nosem, wpatrując się w przyjaciółkę.

– Trudno to wyjaśnić – powiedziała – jak bardzo męczące jest niebycie w pełni sobą.

Zastanawiały się przez chwilę nad tymi słowami. Wkrótce zastanawiał się nad nimi

i Oliver, gdyż Alice wciągnęła to zdanie do swego stałego repertuaru i powtarzała je słowo w słowo przynajmniej czterem innym odwiedzającym ją osobom.

Ostatnią z nich była Sparrow. Uzdrowicielka wysłuchała zdania, kiwnęła lekko głową, a potem zaczęła czegoś szukać w jaskrawej, obszytej paciorkami torbie. Wyjęła figurkę z brązu wielkości piłki do baseballu. Postawiła ją na dłoni Alice. Chłodna w dotyku i zaskakująco ciężka.

– Częstym nieporozumieniem jest branie bodhisattwy za bóstwo – oznajmiła. – Bodhisattwa jest śmiertelnikiem, który osiągnął duchowy stan przebudzenia.

Alice przyglądała się figurce. Przesunęła palcami po wyłobieniach i wgłębieniach. Na pierwszy rzut oka wyglądała jak drzewo. Po bliższym przyjrzeniu się Alice zauważyła coś jeszcze: z mocnego skrzywionego pnia wyrastała krzepka kobieca postać z dużymi łagodnymi oczami. Trojgiem oczu. Nad pniem unosiły się ramiona niczym gałęzie albo ogon pawia.

– Guanyin to jedna z czterech największych bodhisattwów – powiedziała Sparrow. – Jej imię przetłumaczone z sanskrytu oznacza „wysłuchana w krzyki świata”. Jest uosobieniem miłosierdzia. Ale bytów jest zbyt wiele, aby je mogła ocalić. Widziała miliony dusz płynących przez bramy zaświatów. Wyciągała ku nim ręce, ale było ich tak wiele, że ramiona bodhisattwy rozdzieliły się na tysiące szczap. Pomógł jej Budda Amitabha, który połączył szczapy ramion, aby mogła wyciągać je do tych w potrzebie.

Sparrow wyprostowała się, siedząc na kolanach naprzeciw wpatrzonyj w nią z łóżka Alice.

– Poćwiczmy medytację.

Kazała Alice usiąść, pomogła jej zająć pozycję zbliżoną do lotosu.

– Wierz mi, że to przynosi bardzo dobre rezultaty. Chcę, żebyś spoglądała na dłonie figurki Guanyin. We wnętrzu każdej dłoni jest oko. Widzisz? Każda z tysiąca rąk patrzy w inną stronę. Każde ramię wpatruje się w cierpienie innych. Gdy będziesz nieszczęśliwa, gdy uznasz, że los jest dla ciebie niesprawiedliwy albo zbyt wymagający, stań się jednym z ramion Guanyin. Zamknij oczy i spójrz w stronę cierpienia. Powoli. Wyprostuj plecy, jeśli możesz. Wyobraź sobie młodą matkę w Afryce Subsaharyjskiej. Ma rodzinę i głoduje, i cierpi na tę samą chorobę co ty. Oddychaj równo.

Alice otworzyła oczy i spojrzała na Sparrow, chciała wypełniać polecenia, ale była sceptyczna.

– Gdy będziesz wdychała – mówiła dalej niezrażona Sparrow – chcę, żebyś wraz z powietrzem wciągnęła w płuca ból tej młodej matki. I ból jej rodziny. Teraz wydech, uwolnienie, pozwól temu bólowi odejść. Twój siedzący lotos jest bardzo silny. Wspaniale. A teraz staniemy się następnym ramieniem Guanyin. Gotowa?

Studium przypadku nr 921

Whitman Memorial, 1220 York Avenue, Hematologia/Onkologia, p. 421A

To było na jego twarzy i obejmowało niemal całą kość szczękową. Guz nie reagował na różnorodne metody leczenia, więc ostatecznym wyjściem stało się usunięcie stawu skroniowo-żuchwowego i niemal połowy żuchwy.

Spędził na stole operacyjnym ponad szesnaście godzin i operacja pomogła – usunięcie zawiasu ułatwiło wysunięcie żuchwy, ale lekarze musieli także usunąć język i wewnętrzną tkankę policzka oraz dolną wargę. Minęło wiele miesięcy, zanim zdjęto mu bandaż i opatrunki, a potem następne, zanim zeszyły zasinienia i opuchlizny. Wtedy zobaczyli go najbliżsi i przyjaciele. Siostra zmagąła się ze sobą, żeby zachować obojętną minę, ale wiedział, że jest przerażona i wstrzymuje łzy. Nie mógł nic jej powiedzieć. Tę część swojego życia, w której mógł

posługiwać się mową, miał już za sobą.

Miał też za sobą żucie. Brak zuchwy oznaczał, że nie mógł gryźć. W przetyku umieszczono mu chirurgicznie rurkę, przez którą podawano przez żołądek do czegoś, co nazywa się jelito czcze, płynne pokarmy dla niemowląt. Nie miał już zmysłu smaku, nie mógł się nim delectować i cieszyć. Nigdy nie dojdzie do siebie po niespodziewanym wylewie czegoś gorzkiego. Nasycenie – to wszystko, co teraz mu pozostało. Uczył się tym cieszyć, przyjemnością niebycia głodnym. Dostosował się. Z niektórymi rzeczami radził sobie lepiej niż z innymi. Gdzieś tam pozostały smaki i aromaty, których nigdy nie dozna. Nigdy nie pocałuje psa w nos, nie mówiąc już o przysłowiowej ślicznotce, której jeszcze nie spotkał, ale która gdzieś tam była i czekała na niego. Umawianie się na randki w tym mieście jest trudne, nawet gdy ma się całą twarz. Jego życie jeszcze się nie zdążyło zacząć w żaden ważny sposób. Młode małżeństwa zawsze wyjeżdżały z miasta na weekend, by zaszyć się gdzieś nad Hudsonem w jakimś przytulnym pensjonacie. Leniwe poranki w łóżku. Śniadanie we dwoje, jasnożółte jajka, grube skwierczące plasterki bekonu, wszystko od miejscowych rolników. To takie proste, a zupełnie nieosiągalne.

Nadal umiał się śmiać, choć jego śmiech brzmiał inaczej... jak wyłączony. Nie wydawał żadnych dźwięków jak normalni ludzie. Zamiast tego drżało całe jego ciało, skracał się oddech, a powietrze wydobywało się z płuc w krótkich eksplozjach. To było dosyć bolesne. Siostra mieszkała w mieście. Czasem wpadała do niego po dniu spędzonym w przedszkolu, gdzie pracowała. Spędzała u niego noc, przygotowując się do kolejnych zajęć. Czasem opowiadała mu o maluchach uczących się liter przez cały dzień w obesranych pieluchach. Zaczynał się śmiać i dygotać. Przestraszyła się za pierwszym razem, stężała, chciała wiedzieć, co mu jest i czy przeprowadzić pielęgniarkę. Po jakimś czasie przywykła. Raz po raz jego dygot doprowadzał ją do chichotu. Więc śmiał się i dygotał, a ona śmiała się z nim i oblewała się sięgającym dekoltu rumieńcem. Kiedyś spróbowała go naśladować, dygocząc w fotelu. Śmiali się oboje i dygotali, a on nie wiedział dlaczego.

## Wtorkowe popołudnie, 17.00

Pierwotny pomysł – zrzucenie tekstów z innych edytorów na białe pole – okazał się zły. Zrzucanie tekstu wydaje się proste, ale tak naprawdę wymaga włączenia kodów wszystkich innych programów: pobierania i przenoszenia wszystkich słów i symboli bez naruszania komend formatowania, co przypominało przenoszenie, powiedzmy, jeziora do morza za pomocą wiadra. A w zasadzie było gorsze, bo nie chodziło tylko o samo przeniesienie, ale przeniesienie w nienaruszonym kształcie, czyli zrekonstruowanie, umieszczenie każdej kropli jeziora w poprzednim miejscu. Tego wszystkiego należało dokonać na białym polu Generii. Woda nie zostanie w jednym miejscu. Nie ma na to szans.

Błędy były na porządku dziennym, wszystko się pieprzyło: malutka pomyłka sprawiała, że kursor wariował albo rodził drugi kursor, który też wariował. Łączenie akapitów z różnych programów demolowało marginesy, co skutkowało powstaniem niemożliwie długich pionowych linii tekstu. Koniec nie wydawał się bliski, choć w tym królestwie bałaganu pojawiały się, to prawda, jaśniejsze punkty: rozwiązania kwestii dających się rozwiązać, żmudne poprawki. Pięć godzin skreślania punkt po punkcie niekończącej się listy błędów – niosło to perwersyjną radość. Są gorsze rzeczy od kończenia dnia z poczuciem, że jeśli naprawi się błędy, wszystko zacznie działać.

Oliver inaczej skierował światło lampy na biurku, otworzył roboczy plik i spojrzał na zielony strumień danych.

Odkąd tylko pamiętał, robienie „tego, co trzeba” polegało na samotnej pracy. Angażowanie się w jakiś projekt, poświęcanie się zadaniu pozwalały mu na kulturalne zachowywanie się wobec innych. Bo osiąga się punkt, w którym człowiek jest tak wyczerpany, że potrzebuje świeżego powietrza i cieszy go obecność przyjaciół, chce słuchać ich pogaduszek, a nawet pieprzenia. Z tego samego powodu cenny czas spędzany z Alice czy wesoły wieczór z Jonem i Rugglesem relaksowały go na tyle, że znów mógł zakładać uprzęż i wracać samotnie do lochu, siadać przed terminalem i całkowicie oddawać się pracy.

W radiu kaszłała Doris z Rego Park<sup>12</sup>; mówiła, że obrona Knicksów jest za stara i nie umie szanować piłki.

Oliver zapisał zmiany. Pochylił się nad biurkiem i wyjął teczkę z rachunkami, którą położył obok klawiatury. Otworzył stary edytor tekstu. I zaatakował klawiaturę:

...telefony do pobliskich szpitali w New Hampshire i Vermont potwierdzają, że żaden szpital rejonowy nie ma oddziału hematologii/onkologii (vide załączona lista). W istocie w opisanych okolicznościach DHMC jest JEDYNYM szpitalem, do którego można było przewieźć moją żonę. Poza tym, jak wynika z przedstawionych faktur, moją żonę zajmowało się PIĘCIU różnych lekarzy prowadzących. Z załączonego zestawienia wynika, że na oddziale hematologiczno-onkologicznym DHMC pracuje siedmiu lekarzy. A zatem jest rzeczą statystycznie niemożliwą, aby pięciu z siedmiu lekarzy pobierało stawki większe od średniej w tym rejonie w jedynym szpitalu, w którym mogła być leczona moja żona.

Zważywszy na ten fakt, składam oficjalne odwołanie do działu finansowego Unified, który odmówił pokrycia załączonych kosztów, tłumacząc to nielogicznie, że koszty te przekraczają „granice rozsądku i zwyczaju”.

Poprawił błędy ortograficzne i spojrzał na zegar w górnym rogu ekranu.

A gdyby sobie odpuścił? Zrobił krótką przerwę i skoczył do handlarza Washington Square, żeby kupić małą torebkę zmieszaną z oregano? Wskoczy na wieczór z chłopakami, co pośrednio sugerują wszyscy ci, którzy go pytają, jak sobie radzi, albo ci, którzy dawali mu



taktowne kuksańce ze słowami: „Dbaj o siebie”. Robili to w dobrej wierze i z troską, zwracając uwagę w najmniej bolesny sposób na jego podkrążone i zaczerwienione oczy oraz miękki drugi podbródek, jego rosnący brzuch napierający na pasek i spadające do połowy bioder spodnie, jego zdystansowany, pełen niedowierzania wzrok, poirytowane, by nie rzec: wkurwione, spojrzenia i grymas niezadowolenia, który stawał się już permanentny.

A gdyby tak rzeczywiście o siebie zadbał i przyjął jointa z „dziękuję”, i ujął się tak, że kontrola lotu skierowałaby go na najbliższą sofę? Albo pozwolił kumplom stawiać sobie przez całą noc? Lecz gdyby po tym wszystkim ktoś zadzwonił... Gdyby coś się stało z Alice albo jego córeczką...

W życiu do tego nie dopuści.

Oliver rzadko stosował ucieczkę – tylko najbardziej odpowiedzialne jej formy i tylko wtedy, gdy planety znalazły się w odpowiedniej konfiguracji, czuł się wielkoduszny i miał dosyć siły, żeby być dobrym i szlachetnym tatusiem, i znalazł kogoś, kto siedziałby przy łóżku Alice. Zakładał wtedy przez głowę nosidełko, dopinał paski i umieszczał małą wierzcipiętę w środku. Zabierał Doe na szkolny plac zabaw przy Horatio, wyjmował ją ostrożnie z nosidełka i sadzał na specjalnie wymodelowanej huśtawce dla niemowląt. Uradowana córeczka wierciła się niecierpliwie na siedzeniu, a on ją popychał, leciuteńko, w sam raz. Gdy odnalazł właściwy rytm, zaczynał się gapić na boiska do koszykówki, gdzie młodszy od niego grali trzech na trzech. Przenosił wzrok na plac zabaw, zerkając na młode matki w obcisłych dzinsach, ukazujące z dumą wyrzeźbione po ciąży figury.

Ale dzisiaj tak nie było. Dzisiaj działo się coś innego.

Wyplacił z firmowego konta osiemnaście dwudziestodolarowych banknotów. Piętnaście leżało równo poukładane w niezamkniętej białej kopercie, którą wyjął teraz z szuflady i schował do lewej przedniej kieszeni sztruksowych spodni. Pozostałe trzy banknoty miał w portfelu, na wszelki wypadek. Przy klawiaturze spoczywała pognieciona cytrynowożółta wizytówka. Miał zadzwonić pod widniejący na niej numer o siedemnastej. Ale nie mógł tego zrobić z telefonu biurowego, bo po rozmowie zostałby ślad, a ci, z którymi chciał rozmawiać, nie odbierali połączeń komórkowych – zapomniał o tym dwa razy i dwa razy go rozłączono.

Pierdolić to.

Wstając zza biurka, rozejrzał się i szybko przejrzał w ekranie komputera.

Ruszył na wschód, mijał sklepy z obuwem sportowym, sklepy z butami i sklep ze zdrową żywnością, zakręciło mu się lekko w głowie od szybkiego marszu, ale nie zwolnił kroku. Nie chciał się spóźnić. Patrzył przed siebie i kłął pod nosem, bo cholerny burmistrz Giuliani ciągle nie wymienił urwanych słuchawek i wybebeszonych automatów w budkach telefonicznych. Przeszedł na drugą stronę Broadwayu i zbliżał się do trójkąta ruchliwych alei przy Astor Place. I właśnie tutaj dotarł do niego stary truizm: człowiek staje się częścią miasta, gdy dopada go miejska historia. Dla Olivera historia miasta przybrała kształt ludzi tłoczących się w długiej kolejce przypominającej potężne ramię wyciągające się do jego gardła. Kolejka zajmowała połowę chodnika pod dużym komercyjnym budynkiem z kamienia wzniesionym w poprzednim stuleciu. Ludzie tłoczyli się w niej grupkami po dwie, trzy osoby, opierali się o siebie, zasłaniając przy tym duże plakaty w witrynie Astor Wine & Spirits. Kolejkowicze zabijali czas pieprzeniem o niczym z sąsiadami przed i za sobą, stali i gapili się gdzie bądź. Kilku z nich grało nadmuchiwaną lalką jak piłką plażową.

Oliver nie zdawał sobie sprawy, że jest wtorek. Ale to musiał być wtorek. Oczywiście.

Każde wtorkowe popołudnie przez prawie trzy lata: niekończąca się kolejka. Większość czekających była przybyszami spoza miasta z przysłowiową słomą z butów i marzeniem o karierze. Stali tu też przegrani po rozwodach, szukający nowego mieszkania, żeby poskładać

się do kupy. Nie masz znajomego z wolnym pokojem czy choćby jakimś kątem? Nie stać cię na oddawanie piętnastu procent rocznego czynszu agencji nieruchomości? Znalezienie pracy w tym mieście było o wiele łatwiejsze od wynajęcia mieszkania. Więc we wtorek po południu w twoim najlepszym interesie leżało urwanie się z pracy w czasie, gdy szare strony „Village Voice” schodziły z prasy drukarskiej, a rozpoznawalne wszędzie w mieście granatowe logo tygodnika przesiąkało jeszcze przez okładkę. Około wpół do czwartej pierwsze paczki słynnego lewicowego pisma wyjeżdżały z drukarni na wózkach, ciągnięte z kwatery głównej przy Cooper Union na chodnik Czwartej Alei. Oddalony o kilkaset jardów kiosk przy Astor Place dostawał je mniej więcej kwadrans przed szóstą. Dobrą godzinę wcześniej niż inne.

Nawet Statua Wolności wiedziała, że dział ogłoszeń drobnych w „Voice” był alfą i omegą w kwestii taniego wynajmu mieszkań, stanowiąc taki skarb, że nawet potężni wydawcy, nawet słynni felietoniści nie mieli doń dostępu przed wydrukowaniem. Szybki dostęp zapewniała jedynie kolejka przy Astor Place. W każde wtorkowe popołudnie Oliver dorabiał do skromnego stypendium z uczelni rozmieszczaniem wizytówek firmy Hudson Nieruchomości wraz ze swoim numerem wewnętrznym w każdej budce telefonicznej w odległości pół mili od kiosku przy Astor Place. Potem rozdawał wizytówki wszystkim stojącym w kolejce, tłumacząc tym, którzy stali w środku i z tyłu, że jeśli nie stoisz na przedzie, to gdy kupisz egzemplarz „Voice”, znajdziesz działający telefon i parę obiecujących ogłoszeń, numery ogłoszeniodawców będą ciągle zajęte, a jeśli automatyczna sekretarka nie okaże się jeszcze zapełniona, dzwoniący znajdzie się na pięćdziesiątym piątym miejscu na liście. Bez szans.

Gdy spóźnialscy z kolejki dowiadywali się, że czytaniem ogłoszeń niczego nie osiągną, Oliver mówił, że może im pokazać różne miejsca, po czym wracał do zakurzonego biura w starym hotelu w Gramercy, gdzie przez cały wieczór odbierał telefony. Następnego dnia wstawał o siódmej. Co pół godziny aż do samego wieczora spotykał się z grupami sześciu–ośmiu nieznanymi na umówionych rogach w Lower East Side pomiędzy pierogarniami i krawcowymi szyjącymi suknie na *quinceañera*, i chińskimi knajpkami z oskubanymi kurczakami wiszącymi w oknach. Wolne lokale w tej okolicy były najczęściej zapuszczonymi melinami, klucze do nich mógł dostać każdy, a prowizje od wynajmu leżały na ulicy. Oliver zawsze umawiał się z ludźmi na rogach od południowego wschodu. Południowy wschód należał do niego. Inne grupy potencjalnych lokatorów zbierały się ze swoimi agentami pierwszego stopnia na trzech pozostałych rogach, a wszystkie te grupki zdenerwowanych białych były zabawne i rzucały się w oczy niczym trzęsące się ze strachu zapowiedzi lepszej przyszłości. Nieodmiennie gderający administratorzy prowadzili następnie *parado de blancos* po skrzypiących wąskich schodach, cuchnących dziwnymi gotowanymi na parze warzywami, do ciemnych korytarzy, w których odbijały się echem płacz dzieci i ujadanie zapomnianych psów. Zawsze zatrzymywali się przy jakichś metalowych drzwiach ozdobionych pozrywanymi nalepkami – z flagami Portoryko, księżniczkami czy fioletowymi dinozaurami.

Gdy matka magistranta w trenczu skarżyła się, że jej rodzina pracowała przez pięćdziesiąt lat po to, żeby wyrwać się z takich niskich nor z jedną sypialnią, Oliver odpowiadał jej, że ma absolutną rację i mieszkanie jest nie do przyjęcia. Wspominał przy tym o większym mieszkaniu, które miał na liście, położonym całkiem niedaleko, co prawda z nieco wyższym czynszem, ale jeśli pani sobie życzy, mogą je obejrzeć. Gdy pracujący na zastępstwa filmowiec z branży dokumentalnej krzywił się na pochłapane krwią ściany i kredowy zarys ciała bez głowy na podłodze, Oliver zgadzał się z nim całkowicie. Absolutnie nie do przyjęcia. Nikt przy zdrowych zmysłach nie może jadać śniadania w pokoju, w którym popełniono morderstwo. „Ale, wie pan, podłogę umyją, a ściany pomalują”.

Jego ulubienicą stała się pewna zastępczyni szefa kuchni. Wymęczona po obrzydliwym

rozwodzie, nieludzkich godzinach pracy w modnym bistro w Village i miesiącach szukania niedrogiego lokum, straciła nad sobą kontrolę i wrzeszczała: „Chyba nie chce mi pan wmówić, że ten NIECZYNNY SZYB WINDY jest DWUPOZIOMOWYM APARTAMENTEM! Nie ma PODŁOGI! Jak można WYNAJMOWAĆ mieszkanie BEZ PODŁOGI?”. Oliver podał jej chusteczkę i przyznał, że nie oglądał wcześniej tej oferty. Oczywiście powinni wyjść stamtąd jak najszybciej.

To wszystko było warte zapamiętania. Idealna praca dla robiącego magisterium studenta zonglującego różnymi zajęciami między czarną dziurą wtorkowego popołudnia a czwartkowym południem. Wszystkie wizyty w mieszkaniach i podpisywanie umów wynajmu musiały się odbywać w tym krótkim czasie, pełnym napięcia i wysiłku. Piątkowy wieczór i sobotę spędzał na włóczeniu się między laboratorium komputerowym a Lower East Side. Jego dorywcza praca wymagała uwagi i umiejętności wciskania kitu, ale nie odbierała mu umysłowej energii, co przydawało się na uczelni. Wcześniej zaczął używać laptopów, parkując w kawiarniach i skupiając uwagę na programowaniu, rozpoczynając i kończąc zadania, pracując linijka po linijce z programistyczną matematyką i logiką. Regularny przyływ pieniędzy z prowizji pozwalał mu zapraszać Alice do modnych restauracji i cieszyć się życiem. Znajomi mogli zadawać sobie pytania etyczne co do jego pracy, ale Oliver zachowywał spokój. Dawanie napiwków stróżom za informacje o mieszkaniach do wynajęcia nie było niczym nagannym, bo każdy wiedział, o co chodzi, i przysmykał na wszystko oko. Dzwonił też w ciemno do firm zarządzających budynkami i pytał o wolne mieszkania, podlizywał się administratorom, którzy dostawali w łapę, i może potrzebował prysznic po czymś takim, ale tak działał ten świat. A werbalna gimnastyka przekonywania potencjalnych lokatorów do wyłożenia zaliczki nie różniła się specjalnie od metod podrywu w klubie. Przekonywało się kogoś do zrobienia czegoś, co ten ktoś i tak chciał zrobić.

Oliver podał staremu weteranowi w kiosku dwie ćwierćdolarówki i wziął paczuszkę owocowych Chicletów. Pocił się pod zimową marynarską kurtką.

Pewien znajomy jego kuzyna – jasnowłosy, klasycznie północno-wschodni młody członek establishmentu (ze skórzanymi łatami na łokciach marynarki i całą resztą) – dał mu cynk i żółtą wizytówkę, wytłumaczył, jak to działa; świeży oddech nie jest wyłącznie kwestią uprzejmości, zapobiega rozprzestrzenianiu się zarazków. Pocieszające było to, że jakiś absolwent szkoły przygotowawczej był tak otwarty. Miły strzał w żyłę.

Oliver wyszedł spod zielonej markizy. Po bokach gromadziły się niecierpliwie grupki gniewnych młodych ludzi, którzy czekali, aż sprzedawca gazet rozetnie nożem do tapet tę dziewczęcą paczkę, żeby mogli przedrzeć się przez kolejkę i porwać egzemplarz. W pewnej odległości jasnowłosi skejci robili sztuczki wokół wielkiej czarnej kostki. Kilku spóźnialskich wychodziło z metra i zmierzało pod plażowy parasol po drugiej stronie ulicy, gdzie jakiś gość sprzedawał z rozkładanego stoliczka stare kasety z pornosami.

Przy najbliższym rzędzie automatów telefonicznych stały oczywiście dwie osoby. Czekwały.

Agent nieruchomości chciał go zatrudnić na pełen etat, zapłacić nawet za wyrobienie mu licencji i przenieść do nieruchomości komercyjnych. Ale kobieta, która przyglądała mu się na tym gównianym przyjęciu na strychu w Williamsburgu na Brooklynie, zadawała pytania. Czego tak naprawdę chce?

Cukier oblepił mu zęby.

Po przejściu Czwartej Alei znalazł się w St. Marks Place, tym słynnym odcinku podupadających kamienic z piaskowca z usługami w piwnicach i na parterze. Oliver nie zwrócił uwagi na wypożyczalnię wideo z filmami o obco brzmiących tytułach i czynną przez całą dobę

knajpę oferującą wciąż jedną i tę samą specjalność zakładu, a mianowicie burgera ze śmierdzącego ryżu, zwiędłego ogórka i tofu, podawanego w chlebie pita. Jakiś szalony artysta oblepił słup latarni odłamkami ceramiki i mozaiki oraz okruciami luster, tworząc odjechane jaskrawe dzieło sztuki, sygnalizujące, że wszędzie wokół płyną podziemne strumienie twórczej energii. Oliver starał się nie myśleć o programach, nad którymi nie pracuje. Szedł z opuszczoną głową, ukryty w kurtce. Czuł, że ma spocony kark, powinien się przejrzeć, nie chciał wyglądać jak kupa gówna.

Słynny w latach pięćdziesiątych klub jazzowy, z którego barmani przeganiali nikomu nieznanego pijanego Jacka Kerouaca, zamieniono w sklep Gap. Kremowa lada i stelaż z czasopismami stały nadal, a na zewnątrz kręcili się zagraniczni studenci z wymiany, fotografujący się jak na okładce pierwszego albumu New York Dolls.

„Dla jaj i dla rozrywki” chodził z Alice do sklepów z płytami – do Normana, Venus albo Smash; każdy z nich dudnił do późnego wieczora. Turyści i miejscowi, młodzi i starzy buszowali między stelażami, oglądali opakowania i okładki i czytali listy utworów. Przezroczyste pudełka kompaktów były oczywiście puste, żeby klienci nie kradli płyt, a gdy się je przerzucało, wydawały plastikowy trzask. Oliver uwielbiał ten dźwięk, który niósł się po całym sklepie jak stukanie maszyn do pisania podczas nauki stenotypii. Alice towarzyszyła mu ochoczo, bo była muzycznym snobem i jako nastolatka poświęcała więcej czasu, niż powinna, na włóczenie się po sklepach z płytami. Zabawiali się wyszukiwaniem najgorszych okładek: młoda zamyślona kobieta wędrująca plażą o zachodzie słońca z fletem prostym uniesionym do ust. Rękawica rzucona. „Bije tego grubego gościa na zmotoryzowanym wózku inwalidzkim z saggatami na palcach”.

Alice nigdy nie ukrywała, jak ważne jest dla niej dziecko. Powiedziała mu o tym dosyć wcześniej, gdy leżeli razem nocą w łóżku: oparła się o jego pierś, a w tle łomotały i dzwoniły kaloryfery. Małe dzieci, mówiąc szczerze, zawsze Olivera przerażały: ciągle płaczą, srają i są zupełnie bezradne. Nie pochodził z dużej rodziny i nie stykał się na co dzień z małymi dziećmi.

Gdyby nic nie odpowiedział, nie usłyszałby, że żaden mężczyzna nie może odmówić dziecka kobiecie, którą kocha.

Ojciec z pewnością nie stanowił najważniejszej osoby w jego życiu, ale jego cień nadal kładł się na Oliverze. Chłopcu niczego nie brakowało: adidasów, roweru z dziesięcioma przełożeniami, komputera, który dostał w wieku trzynastu lat, czy pieniędzy na koncerty w Sacramento – niczego, ale w każdej spędzonej na przedmieściach chwili doskonale zdawał sobie sprawę, że ta obfitość nie bierze się znikąd, że zawdzięcza ją mozołowi starego, który pracował przez sześć dni w tygodniu po dziesięć godzin dziennie przy wyklepywaniu wgnieceń w gruchotach, furgonetkach i wyścigówkach z bezdroży. Jego warsztat nazywał się Dent Doctor. Każdego ranka przy śniadaniu niezdamy olbrzym mierzwił Oliverowi włosy, zsuwał mu na talerz z patelni jajka na kielbasie i zapewniał dobre pół godziny przekomarzania się, po czym całował mamę Olivera w policzek i ruszał do pracy – wymachiwać arsenałem młotków. Po zachodzie słońca ociężały i zalatujący żytniówką Doc miał w sobie jeszcze tyle entuzjazmu, żeby wejść do domu z serdecznym: „Hej, hej”. Pytał Olivera o szkołę, sprawdzał, czy syn odrobił lekcje, i zjadał to, co żona przygotowała na obiad. Potem zniknął na długą kąpiel. Później pojawiał się, by opowiadać bajki przed snem albo wspólnie pooglądać na sofie kawałek meczu Giants.

Gdy Oliver podrośł i Doc nie nadał już za jego zadaniami z matematyki i chemii, nie przestał jednak rozumieć ocen, które dostawał syn, więc gdy kiedyś w dziewiątej klasie Oliver oblał jeden z testów, Doc to zauważył. Ujął dłoń syna twardą zrogowaciałą ręką i przyciągnął go do siebie. Miał czerwoną twarz i gorący, kwaśny od whisky oddech. Powiedział:

– Nic nie rozumiesz? Robię to po to, żebyś ty tego robić nie musiał.

Oliver założył więc, że jego rodzina będzie wariantem tej, w której się wychował, a Alice stanie się w niej główną opiekunką noszącą największe ciężary – mamą. Dzieciaki w szkole przez większość dnia, bo jeszcze zajęcia pozaszkolne i cała reszta. A Oliver, tak jak jego ojciec, będzie mierzwił im włosy podczas śniadania i wygłupiał się przy stole. Będzie się pokazywał na szkolnych przedstawieniach, rozmawiał z nauczycielami na wywiadówkach i wpadał do dzieci przed snem, by opowiadać bajki albo przeprowadzać trudne rozmowy.

Ale tragedii nie da się przewidzieć w arkuszach kalkulacyjnych, prawda? Tragedia ma własny plan biznesowy.

„Tylko ten jeden raz – wmawiał sobie. – Żeby pozbyć się tego z systemu”.

Według miejskiej legendy nazwy kolejnych ulic w Alphabet City oznaczały *All right, Beware, Check yourself, Dead*<sup>13</sup>, a wszyscy doskonale wiedzieli, że każdy gość w tej okolicy szuka guza i najpewniej go znajdzie. Wydział komunikacji już dawno wywiesił białą flagę: w Alphabet City nie naprawiano dróg, chodniki były nierówne, przebijały przez nie grube korzenie niszczące beton. Przy krawężnikach leżały zwały brudnego śniegu, co utrudniało marsz, a z szarych stert wystawały niczym resztki zamierzczej cywilizacji plastikowe torby, puszki po coli i kawałki szkła. A jednocześnie zaczynały kwitnąć białe magnolie. Oliver wszedł pod różowe, wielkie jak spodki pąki kłujące w oczy na gałęziach, minął porzucone sklepy o witrynach zabitych deskami, oszpeconych przez miejskie kudzu: warstwy nieczytelnych bazgrołów graffiti i przyklejane na mąkę plakaty dawno przebrzmiałych koncertów.

Zbliżając się do rzędu automatów telefonicznych, usłyszał szeptany zaśpiew reklamujący modny w tym tygodniu produkt: worki na zwłoki, worki na zwłoki. Odwracając się plecami do ziomali koronera, podszedł do następnego rzędu telefonów. Tylko jeden miał słuchawkę. I był oczywiście zajęty. Przez krzepką kobietę rzepę. „Nie wciskaj mi tego kitu, Julio” – pouczała, po czym przerwała na chwilę wystarczająco długą, by rzucić Oliverowi wyzywające spojrzenie, które oznaczało, że ma zamiar rozmawiać przez wieczność albo coś koło tego.

Oliver nie podniósł głowy i minął automaty, słysząc za sobą rechot chłopaków stojących na rogu, którzy na pewno śmiali się z niego. Nad miastem wisiało przepiękne, krystaliczne, ciemniejące przy krawędziach niebo. Duży budynek przy następnym rogu był zupełnie wypalony; Oliver kręcił się przy nim, przyglądając się jego kadłubowi i zerkając raz po raz na telefon. W skorupie budynku krzątali się squattersi: jakiś starszy gość poprawiał gwałtownie antenę na dachu, dwie dziewczyny przypominające studentki spokojnie i cierpliwie wietrzyły biały wyblakły obrus, który otworzył się jak czasza spadochronu i opadał w zwolnionym tempie na ulicę.

Oliver wyjął żółtą wizytówkę. Na odwrocie zapisał wcześniej właśnie ten adres.

Przy krawężniku w rynsztoku płynęła rzeka: topniejący śnieg, trzy fiolki po cracku. Zatopione do połowy opakowanie po igle kołysało się na falach.

Jeden z Jacksonów z jego portfela pomógł pozbyć się rzepy przy telefonie. („No dobra, kretynie, NIECH CIĘ CHOLERA”). Oliver wypuścił gumę do rynsztoka; czekając na połączenie, słyszał swój puls w uszach. Przedstawił się imieniem i przeprosił za spóźnienie. Brakowało mu tchu z niecierpliwości, czuł się jak wyżęty. Gdzieś w oddali wyła policyjna syrena.

Odnalezienie podanego adresu zajęło mu pięć minut: jasnożółta kamienica z wapienia pamiętała lepsze czasy. Żelazne kraty przecinały nawet najwyższe okna. Dzwonek przy drzwiach wejściowych zepsuł się i zaklinował, bo brzęczał jeszcze, gdy Oliver znalazł się już w środku. W zrujnowanym westybulu nie paliło się żadne światło, na ścianie wisiała lista podpisywana przez tych, którzy chcieli, żeby w przyszłym miesiącu odwiedził ich deratyzator. Oliver zszedł do mieszkania w przyziemiu i nie musiał pukać. Drzwi były już otwarte.

Gdzieś z kąta wyjrzała przekrzywiona głowa. Farbowane kasztanowe loki przesłaniały

twarz, w uśmiechu kryła się drwina.

– Cześć.

Wyciągnęła rękę, ujęła jego dłoń i wprowadziła go do środka. To było tak, jakby przestąpił jakiś rodzaj progu. Weszli do niedużego, słabo oświetlonego salonu, gdzie paliły się tylko niewielkie zapachowe świece. Jego przewodniczka była mała, ale nie tak mała, żeby to przeszkadzało. Miała na sobie tylko wyblakły podkoszulek, a Oliver potrzebował dobrej chwili, by odczytać na nim nazwę jakiegoś nieznanego eksperymentalnego teatru. Nie mógł się powstrzymać od spoglądania na jej uda: śnieżnobiałe, jaśniejące w migotliwym świetle świec. Podziwiał ich gładkość, pulchność, pełne biodra nad nimi i krągłości ocierające się o dół podkoszulka.

Przystanęła bez ostrzeżenia, odwróciła się do niego i chwyciła go za pasek. Każdy nerw Olivera był jak naelektryzowany. Nie miał pojęcia, co powinien zrobić. Ona wiedziała: szarpnęła zamek rozperka. Jęknął.

– Badanie ptaszka – wytłumaczyła po pięciu sekundach. – Ty masz odznakę, a ja biorę twojego kutasa do ust, prawo mówi, że musisz się przedstawić.

Chyba zauważyła jego konsternację, bo dodała:

– Sekretariat poinformował mnie, że odwoływałeś spotkanie kilka razy. Musimy sprawdzać nowych klientów.

Pod ścianą z nieotynkowanej czerwonej cegły stała szkarłatna jak krew sofa. Skórzane poduchy ugięły się pod ciężarem Olivera. Spojrzał przez pokój na duży plakat oprawiony w ramy – słynny klasyk, *Do utraty tchu* Godarda. Pod plakatem stał jasny drewniany stoliczek, pusty, jeśli nie liczyć wiklinowego kosza z gruszkami. Kobieta przedstawiła się jako Circe i zapytała, czy Oliver ma ochotę na kieliszek czerwonego wina. I czy przyszedł tu prosto z pracy.

Usiadła obok niego, chowając stopy pod okazałymi pośladkami. Półmrok ukrywał jej wiek, Oliver zdołał się tylko zorientować, że nie ma obfitego biustu. Pachniała lawendą. Podniosła zapalonego papierosa z popielniczki Crystal Pepsi stojącej na biblioteczce. Zaciągnęła się i wypuściła dym przez nos. Zrozumiał, o co chodzi. Koperta powinna się znaleźć na stole.

Circe zachichotała, dziękując. Zapytała, czy chce wziąć prysznic.

– Nie dam rady – powiedział.

Potrzebowała sekundy, żeby to do niej dotarło.

– Z czym nie dasz rady?

Oliver odsunął się i wstał z sofy.

– Myślałem, że dam. Ale nie. Przepraszam. Po prostu nie mogę.

## Mała Edie

Wtorkowy wieczór, mniej więcej godzina po obiedzie: Alice obudziła się z drzemki i odkryła białą gorącą jaskrawość pod powiekami. Wydała zduszony okrzyk, zacisnęła oczy, poczuła pieczenie. Trzeszczały już deski podłogi. Oliver, który właśnie wrócił do domu, biegł do sypialni.

– Dlaczego są zapalone?! – krzyczała Alice.

– Nikt nie zapalał światel – zapewnił ją, dostosowując rytm słów do szybkich kroków. – Co jest? Co się stało?

Po raz drugi upewnił ją, że lampy są zgaszzone. Dołączyła do nich mama Alice i potwierdziła to kojącym tonem.

– Są wyłączone, kochanie.

Z głębi mieszkania dobiegły odgłosy komunikujące zaniepokojenie dziecka. Alice zamrużyła powiekami, spróbowała jeszcze raz... Nawet odrobina światła ją raniła, miała zbyt wrażliwe oczy. Oliver znalazł w szufladzie biurka numer telefonu na oddział, a potem tupał po mieszkaniu, klnąc w tych miejscach, gdzie zwykle miał zasięg, a teraz go nie było. Zrezygnował z komórki, podniósł telefon stacjonarny, czekał na połączenie. W końcu jakiś lekarz powiedział mu, że problemy ze wzrokiem Alice są zapewne utajonym skutkiem ubocznym chemioterapii. Poradził, żeby Oliver przemywał oczy Alice wodą i kupił w aptece bezalkoholową wersję kropeł No More Tears. Oddział przesyła do jego apteki receptę na mocniejsze krople. Jeśli Alice się nie polepszy, musi przyjechać na oddział doraźnej pomocy do Whitmana.

Dopóki świat był spowity cieniem, a ludzie pozostawali ciemnymi kształtami na tle cienkiej czarnej zasłony, wszystko było dobrze. Poruszanie głową też nie stanowiło problemu. Ale gdy wchodziła do innego pokoju i uderzało w nią jakieś światło, na które nie była przygotowana, sprawy przyjmowały fatalny obrót. Spuszczono rolety, a ich sypialnia stała się jaskinią nietoperzy. Alice leżała w łóżku, przestała wychodzić. Jeśli musi żyć w pułapce, nie będzie się nad sobą rozczulać, nie będzie wyla i zamartwiała się implikacjami tego nowego zwrotu akcji. Przesuwała dłonią po małej mosiężnej figurce, zapamiętując wgłębienia Guanyin, jej ostre kanty, drobne rowki, odłamany kawałek u podstawy, szorstkie zakończenie skręconego, jak sobie wyobrażała, pnia.

– Zamówię transport – odezwał się błagalnie Oliver. – Pojedziemy na pomoc doraźną, załatwimy to i wrócimy raz-dwa. Bingo.

– Nie możemy trochę poczekać?

Miała szczerze dosyć leżenia w łóżku, ale nie chciała wracać do szpitala.

Nie odmówił jej wprost. Nie miał takiego zamiaru. Nie przy tym, co chciał zrobić. Przyniósł jej natomiast mnóstwo mokrych szmatek, by mogła przemywać oczy, gdy tylko zajdzie potrzeba. Wykupili w aptekach w Chelsea całe zapasy No More Tears i nawilżali regularnie jej źrenice. Budzenie dziecka o piątej rano nie wchodziło w grę, więc Oliver wykazał się inicjatywą i delikatnie gryzł Alice w zwisający luźno płatek ucha. Gryzł ją bardzo lekko, a potem unosił głowę i szeptał:

– Czas na kropelki.

Poruszała się, jęczała, zasnęła, ale zadowolona. Oliver namawiał ją dalej, siadał, zajmował pozycję i bezlitośnie otwierał palcami powieki Alice, żeby zakropić oczy.

Krople piekły ją inaczej niż światło, to pieczenie było raczej pulsowaniem niż bólem i sięgało głębiej, jakby wwiercając się w rogówkę i tęczówkę, wywołując dziwne swędzenie korzeni w oczach, tych optycznych nerwów czy czegoś tam. Skutek leczniczy był

natychmiastowy, ból ustępował, trochę, więc jeśli pokój był pogrążony w mroku, oczy nie piekły tak bardzo. Ale nawet najlżejszy promyk porannego światła wydostający się zza krawędzi rolet wywoływał odrzut. Miała tak nadwrażliwe oczy, że ledwo co widziała nawet w ciemności. Wierciła się nieustannie. Wpatrywała się we własny podolek, przesłaniała oczy, marszczyła twarz, aż czoło przeszywał rwący ból. Nieustannie obejmowała się ramionami i wciąż się napinała. Kładła sobie gaziki na oczach, przeobrażając się w egipską mumię. Wyobrażała sobie siebie jako trupa w grobowcu sypialni. Drapała się po gazikach, poklepywała je; była zmęczona, ale nie mogła zasnąć, a oczy piekły i pulsowały. Chciało jej się pić, ale nie mogła się zmusić, żeby usiąść. Wyobrażała sobie, że to pulsowanie da się wydobyć z oczodołów jak wnętrze melona. Koncentrowała się na bezruchu, pracowała nad stagnacją, śniła na jawie, że siedzi u koreańskiej kosmetyczki i robi sobie pedikiur, czytając jakieś głupie pismo doradzające wybór sandałów na lato. Przeszkadzał jej tylko smród suchego lodu.

Ucieczką okazała się najprostsza rozkosz, migotliwy chłód na języku – tęczy sorbet. Dogadzała sobie. Ten smak pozwalał jej wyobrażać sobie swobodę: spacerowanie po ulicy, śmiech i lizanie stożka w waflu. Co pewien czas do jej uszu dobiegała piosenka, więc wyobrażała sobie dalej, że siedzi w studiu podczas jej nagrywania. Widziała go, jak studiuje partyturę, czeka zasłuchany na nadejście swojej partii i włącza się, nagrywając melodię. Brakowało jej zabawnych rozmów z nim przez telefon, to prawda. Jednocześnie nie mogła znieść własnego przerażenia, gdy Oliver, czekając na wiadomość ze szpitala, podnosił słuchawkę.

„W jaki sposób Oliver widzi?” Przez jej zamglone myśli płynął balon. „Jak to się dzieje?”

Minęła jej pora, by iść spać. Mama, zgodnie z podziałem na strefy, krząta się zmęczona w kuchni. Parzy następną partię tej potwornej herbaty.

– Żeby oglądać na własne oczy, jak znika moja córka...

Zacisnęła pięść, posłała Oliverowi groźne spojrzenie.

– Znam hipisów. Wychowałam moje jedyne dziecko w hipisowskim mieście. Bóg mi świadkiem, że nie miałam problemów z nikim, kto chodził do takiego czy innego duchowego centrum. Ale wytłumacz mi, dlaczego ona nie chce pójść do pomocy doraźnej? Wierzy w tę figurkę bardziej niż w lekarzy.

Oliver położył jej dłoń na swoim ramieniu, przyciągnął ją do siebie i przytulił. Spokojnym opanowanym głosem powiedział:

– Katherine, panuję nad wszystkim.

Następnego dnia, wchodząc do sypialni, matka Alice ujrzała córkę i wnuczkę śpiące obok siebie. Wnuczka leżała na boku zwinięta w kłębek, dotykając mamy czubkiem głowy i śpiąc na jej ręce jak na poduszce. Padało na nią popołudniowe światło, Doe skopała z siebie kocyk i wtuliła się w bok mamy. Zamknięte oczy lalki, długie rzęsy lalki, wywinięte do góry, jak kiedyś rzęsy jej mamy. Oddychała lekko, płatki jej warg – tak delikatne, że mogłyby zostać namalowane przez wytwórcę zabawek – zamknięte wokół smoczka, uszczęśliwione. W oczach babci Doe wyglądała zdrowo i była zadowolona. Alice leżała nieruchomo obok niej, śpiąc jak zwykle na plecach, spełniając przez sen nieme prośby dziecka lub może nie zdając sobie z nich sprawy. Trudno orzec. Głowa jej córki była tak mała, tak goła i gładka. Nie dało się zignorować jej podobieństwa do czaszki. Ta głowa była odrzucona do tyłu, a usta nie tyle otwarte, ile ziewające jak jama, jakby zuchwa wypadła ze stawu. Nie dało się tego ująć inaczej: Alice wyglądała jak trup. Paluszki Doe nagle zadrgały, jej pulchna dłoń ożyła i zacisnęła się na szyi mamy – Alice nie zareagowała. Jej matka pochyliła się, sprawdziła, czy oddycha. Po dziesięciu minutach sprawdziła znowu.

Kwadrans po tym wszystkim nie była w stanie usiedzieć. Nie była w stanie odnaleźć się w tym mieszkaniu, nie wiedziała, co począć z niepokojem, który ją rozsadzał, musiała coś



przedsięwziąć. Postanowiła przeczytać listę, którą jej zostawiono, odszyfrować nabazgrane wskazówki Olivera. Dała znać przyjaciółce Alice, kiedy wróci.

„Jefferson Market się nada” – pomyślała. Może za bardzo szczeni się rodowodem jak na jej gust, a ceny są takie, że powinni za nie zamykać... W każdym razie robi tam zakupy. Sklepowa kolorowa mapka ulic, na które dostarcza się zakupy za darmo, nie obejmowała ulicy, przy której mieszkała córka, więc mama Alice posłusznie zapakowała zakupy do toreb i sklepowego wózka. Mijały ją puste taksówki, a gdy jakaś się w końcu zatrzymała, kierowca zapytał ją łamaną angielszczyzną, czy wybiera się na przedmieścia, a potem dodał:

– Końcie zmianę, musicie oddać taksówkę, psieprasiam.

Nieważne. Szła dalej z wypełnionym wózkiem i przez pewien czas podziwiała ogrom miasta, ulice pełne ludzi, choć nienawidziła i bała się... tego wszystkiego. Trwało to jakiś czas. Obtarła sobie stopy. Bolały ją prawe kolano i biodro. Zatrzymała się, żeby napić się wody.

Gdy wróciła do domu, zapaliła gaz, ustawiła mały płomień i szukała w szafkach odpowiednich rondli, a potem przypomniała sobie, że wiszą na stelażu. Mruczała pod nosem przez cały czas, nie przestając monologować niezrozumiale.

„Jesteś moim wszystkim, tak bardzo cię kocham” – tak mówiła córce, gdy Alice była mała.

Usta przyjęły łyżkę. Płynna cieknąca substancja ugniatana przez zęby trzonowe przedostaje się na język i pod policzek.

Bez żadnych wskazówek z zewnątrz, bez żadnych oczekiwań i pomysłów spróbowała czegoś, co z pewnością było płynem, ale nie wodą, bo trochę się lepiło. Było dosyć lekkie i miało pewien posmak. Gorące. Delektowała się tym. Zjadła jeszcze jedną łyżkę.

– Czuję się, jakbym była małą dziewczynką i właśnie wróciła ze szkoły – zachwycała się.  
– Mamusiu, uwielbiam twoją zupę pomidorową!

Alice wiedziała, że Budda podczas ewolucji ku Buddzie przeszedł fazę ascetyzmu, każdego dnia odmawiał sobie pożywienia, oprócz jednego ziarnka ryżu i kropli wody. Idąc tym tropem, cierpienie można uznać za sycące. Być może nie syci głodu przebudzenia, ale zapewnia środki niezbędne do przebudzenia. Alice doszła do wniosku, że rozgryzła cierpienie. Być może zawężające się widzenie wskaże jej kierunek? Być może dzięki temu, że nie rozprasza jej bodźce wzrokowe, będzie mogła poszerzyć swoją wrażliwość, pogłębić i wzbogacić pozostałe wrażenia zmysłowe?

Zwolniła bieg myśli, skoncentrowała się i skupiła na najmniejszych ziarnach w zupie. Kulistych. Twardych na języku.

– To kuskus – powiedziała.

Jeszcze jedna łyżka, coś okrągłego i dosyć jędrnego, włóknistego, ale mogła zatopić w tym zęby.

– Marchewka... Mmm... Czy to kminek?

– I odrobina harissy – odpowiedziała mama.

Alice kiwnęła głową, nazwa otwierała dostęp.

Mama podała jej chałkę. „Challah” – powiedziała, gardłowo wymawiając „ch”, a jej starania były odważne, pełne szacunku i nieco komiczne.

Alice umoczyła kawałek chałki w zupie, poczekała, aż nasiąknie. Ugryzła, jęknęła z zachwytu.

– Świat otwiera się przede mną na nowo.

– Kochanie?

Alice wymacała, ujęła i ścisnęła rękę matki z całej kościstej siły. Wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze.

– Mogę tak żyć.

Tego popołudnia, gdy Oliver wrócił z nowego biura i wszedł do zaciemnionego pokoju, leżała w pozycji embrionalnej przykryta patchworkową kołdrą babci.

– Wyjdź, póki możesz – jęknęła.

Natychmiast rzucił się do garderoby i wyłonił z niej po krótkiej chwili z plastikowym futerałem.

– Jestem idiotą! Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem?

Odwrócił futerał i wysypał z niego czarne przedmioty przypominające nietoperze.

– Wszystko to było pod ręką! – Wybrał parę, sprawdził soczewki. – Jak stwierdzić, czy dają pełną ochronę?

Zdecydowała się na owalne ekstrawaganckie versace, superpunkowe, z zausznikami w kształcie stalowych agrafek. Teraz ich urok polegał na opływowych ciemnych szklach zakrzywiających się wokół oczu niczym okulary pływackie, chroniących przed światłem ze wszystkich stron. Alice pamiętała je jako prawdziwą zdobycz, pierwszy podarunek z torby z podarunkami, którą dostała od przyjaciółki przyjaciółki – modelki, która wyszła bogato za mąż i postanowiła zaprezentować własną kolekcję podczas Tygodnia Mody, zorganizować własny partyzancki pokaz na chodniku przed namiotami w Bryant Park. Alice wylosowała nocną zmianę, szyjąc i naprawiając jak oszalała, i trzymając za rękę tę nawaloną koką wariatkę. Jakimś cudem suknie koktajlowe nadawały się do włożenia. A torba z podarunkami była zapłatą dla Alice: okulary Versace miała na nosie pięć razy, potem przepadły gdzieś w garderobie.

Woda po goleniu, którą Alice sprezentowała Oliverowi na Gwiazdkę, łączyła subtelnie goździki, cynamon i pieprz. Przypominała jej o przyjemności, jaką było wtulanie się w jego pierś przed snem. Połączenie między wrażeniami a wspomnieniami przesywało ją dreszczem. I wiarą we własne umiejętności.

Będzie mogła otworzyć oczy, obiecywał Oliver, wszystko będzie dobrze.

Przesunęła dłoń po policzku męża, delektując się szorstkością odrastającego zarostu i nieco tłustawą cerą. Przygotowała się i odrobinę uchyliła powieki.

Szkła zrobiły swoje, zasnuwając pokój brązowym woalem. Rozpoznawanie twarzy, którą dobrze знаła – cierpliwe marszczenie czoła, coraz szerszy uśmiech – sprawiło jej przyjemność.

Musiał się niedawno ogolić, co nieziemsko ją oczarowało.

– Pozwól się zawieźć na pomoc doraźną – poprosił po raz kolejny.

– Potrzebuję tylko świeżego powietrza. Może się przejdziemy?

Kwartalem ulic? Spacer zapewni tak potrzebny trening. Żeby nogi nie uległy atrofi? A mama będzie mogła zmienić pościel i przewietrzyć sypialnię – tu było tak klaustrofobicznie! Jej puls przyspieszał z każdym wypowiedzianym słowem: ma wprost idealny słomkowy kapelusz z opadającym rondem, olbrzymim! Założy grubą maseczkę chirurgiczną. Wiedziała, że wyniki badań krwi wciąż są złe, i obiecała Oliverowi, że nie będzie niczego pogarszała. Spacer jej pomoże.

Przeszkodził im dzwonek telefonu, jak zawsze w najgorszym momencie. Domyśliła się po zmianie, która zaszła w Oliverze, po jego cichym: „Jezu...”, że pojawił się problem.

Nie, nie pozwoli na to. Dzinsy, które kiedyś były jej drugą skórą, stały się komicznie luźne, i Alice wykorzystwała to, udając, że potrzebuje chwili, żeby je dopiąć. Za to stopy spuchły jej jak banie, ale zmieści je w adidas, o ile nie włoży skarpet. Skompletowała strój, wkładając dzinsowy płaszcz do kolan z wystrzępionym na kształt piór kołnierzem.

– Po latach wyglądam w końcu jak Mała Edie<sup>14</sup> – roześmiała się.

Od razu poczuła wstyd, rozczulając się w taki sposób nad sobą. Ale słowo się rzekło,

rozpoczęła wieczór.

– Muszę odpocząć od tego naszego Grey Gardens.

Oliver dotknął jej ramienia i przyłączył się do zabawy, całując ją w policzek.

Mała Doe zobaczyła, że tata zdejmuje nosidełko w drzwiach garderoby. Uznawszy, że i ona wybierze się na pełen przygód spacer, zaczęła się ślinić, pluć z uciechy i wymachiwać rączkami.

Alice przypomniała mężowi, żeby posadził Doe przodem do siebie.

– W drogę, szefie.

Wyszli z windy i stanęli w krótkim korytarzu. Halogenowa lampa trzaskała strachem w jej uszach, Alice zacisnęła mocno oczy, szepcząc:

– Oliver...

Jej cienkie jak strączki fasoli nogi drżały i uginały się, a wielkie stopy klauna przypominały gąbki. Ale znów był przy niej: objął ją w pasie mocnym ramieniem, podpowiadał z uwagą, co ma robić, mówił kojąco, łagodnym tonem:

– Małe kroki... tak jest... w porządku... świetnie ci idzie.

Otworzył wejściowe drzwi, opierając się o nie, i wskazał ręką drogę.

– Za trzy kroki trafisz na pierwszy stopień. Musimy po nich zejść na ulicę. Dobra, pierwszy krok, tak jest, drugi krok, tak jest.

Przedwczesna wiosna nie całkiem się wycofała, ale wieczory stały się chłodniejsze. Powietrze było ciężkie i duszne, jak przed deszczem. Światło latarń rozpraszało się w mgiełce, nad neonami pobliskich sklepów wisały zwiewne chmurki. Alice osłoniła oczy i odwróciła głowę od światła. Stawiała odmierzone mocne kroki na nierównym chodniku. Każdy z nich był ćwiczeniem: najpierw godziła się z tym, że czuje strach, potem zbierała się w sobie i w przyplwywie determinacji postanawiała, że idzie dalej. Parę razy poczuła mocniejszy uścisk w talii. Oliver pilnował jej, sygnalizował, że powinna zwolnić. Na dworze jeszcze gorzej śmierdziało suchym lodem. Ale wyjście z domu sprawiło jej przyjemność, było jak dar dzielnicy pakowalni mięsa. Nawet oblewający Alice pot wydawał się rozkoszny, niemal zmysłowy. Doe wyciągała szyję. Wpatrywała się w mamę błyszczącymi oczyma z pierwszymi oznakami świadomości; ciekawe, co myślała?

Przy skrzyżowaniu z Little West Thirteen stały pod wiaduktem w zwykłych miejscach dwie transwestyckie dziwki: jedna poprawiała perukę i makijaż, druga objadała się popcornem. Donnelle i Michelle ubierały się identycznie, jak uczennice bliźniaczki. Alice od dawna przywykła do ich zachwyków nad jej botkami, do źle wymawianej nazwy krawca, który uszył jej ołówkową spódnice, za którą obiecywały ją pociąć. Ale tego wieczoru nie usłyszała od nich żadnych uszczypliwości, obie milczały jak zakłęte. Przeraził je jej wygląd. Wspomniała o tym Oliverowi.

Nie odpowiedział. Wyczuła, że dokonuje się w nim jakaś zmiana, zacisnął palce na jej biodrze, zeszytniał.

Spojrzała na niego: mrużył oczy, wpatrując się w jeden punkt.

– Skurwysyn – wycedził.

Powędrowała za jego wzrokiem, ale widziała tylko plamy, czarne smugi.

– Co? – zapytała, ale już wiedziała, już czuła przerażenie. – Znów to samo...

W Oliverze wzbierał gniew – to była jedyna odpowiedź. Ale przecież nie może zostawić ślepej, chorej na raka żony na ulicy i puścić się pędem z dzieckiem na piersi! Nie może gonić.

– Oliver? – szepnęła.

– DAJ JEJ SPOKÓJ!

Z zaułka dobiegł rumor przewracających się kubłów na śmieci. Rozległo się gniewne

poszczekiwanie małego pieska.

Oliver stał się uosobieniem wściekłości, wrzeszczał:

– TRZYMAJ SIĘ OD NAS Z DALEKA! JUŻ JA CI SIĘ POGAPIĘ, SKURWIELU JEDEN!

Dziecko w końcu usnęło, usiedli oboje na sofie.

– Wytłumacz mi to – powiedział.

Czuła, że się jej przygląda, słyszała cień wątpliwości w jego głosie, w jego stłumionym oddechu. Odezwał się z udawanym spokojem:

– Nie rozumiem, jak jedna przypadkowa rozmowa na szpitalnym korytarzu mogła doprowadzić do czegoś takiego. Coś was połączyło, okej. Ale...

– On przez coś przechodzi, Oliver.

Rozłożył ręce.

– A my tutaj gramy w chińczyka?

– Nie wiem, co mogło się stać.

– Za mało mamy problemów, o których nie wiem?

Alice stwierdziła, że nie ma pojęcia, dlaczego ten człowiek ją śledzi.

– Rozmawialiśmy ze sobą dwa razy. To wszystko.

Spojrzał na nią, jakby dostrzegł coś na jej twarzy.

– Mówiłaś, że raz.

– Tak, w korytarzu – odpowiedziała. – Potem zajrzał jeszcze do mnie, zanim go wypisali.

– Więc dwa razy – mruknął.

Tak, przyznała, dwa. Przyznała również, że popełniła błąd, podając Mervowi numer telefonu. To wszystko wymknęło się spod kontroli, ale – jej głos zaskrzeczał – nie zrobiła nic złego.

– To szaleństwo. Nie pamiętam nawet, jak on wygląda.

Krzuszyła się, była bliska łez. Ale się opanowała.

– Błagam cię – zwróciła się do męża – dochodzimy do takiego punktu w tej rozmowie, w którym możesz mieć rację albo możemy nadal być małżeństwem. A ja bardzo chcę pozostać twoją żoną.

Wyczuwała jego wściekłość, ale też czuła, że Oliver stara się jakoś to pokonać. Skrzyżował ręce na piersi. Odwrócił głowę, patrząc gdzieś w pustkę. Wyprostował ręce, ale się nie poruszył, jednak nie był już taki sztywny jak uprzednio; westchnął wewnątrz, spuścił powietrze, jakby z jakiejś małej dziurki wyciekła odrobina czegoś dlań ważnego. Wzdychał, nie wzdychając. Zmienił pozycję, przysunął się do niej bliżej, sięgnął po jej uda, podniósł jej nogi i przełożył je sobie przez kolana, żeby mogła się oprzeć i leżeć. Powiedział, że jest z niej dumny, bo przeszła całą przecnicę.

– Powinniśmy to powtarzać każdego dnia.

Alice miała małe zmarszczki na skroni, małe czerwone wgłębienia od wstążki kapelusza. Zapytała go przez łzy, czy on myśli, że mogłaby zrobić coś złego:

– Po co miałabym to robić? Przecież to zupełnie absurdalne. Jesteś moim bohaterem. Czy ty to rozumiesz?

Rozmawiali do późna w nocy, dzieląc się tym, co leżało im na sercu, drażąc, rzucając się na oślep przez granice i zdobywając nawzajem zaufanie do siebie. Oliver powiedział, że nie chciał zwracać jej głowy sprawą pieniędzy, ale poczuł wielką ulgę, dowiedziawszy się, że umowa z nową firmą ubezpieczeniową będzie rozwiązaniem. Co prawda nadal się martwił, że osiem tysięcy rzeczy może się nie udać. Najbardziej pesymistyczna i sceptyczna część Olivera nie jest w stanie odetchnąć, dopóki Peachford nie pokryje pierwszego czeku.

Po raz pierwszy od nie wiadomo jak dawna Alice przyjrzała się jego twarzy i zauważyła ciemne worki pod oczami. Zrobił się też pulchniejszy na policzkach.

Mówił dalej, dzieląc się z nią napięciem, w którym żył, starając się skończyć program. Gdy sprawdzał pracę Browa, znajdował w niej mnóstwo błędów, widział w niej pośpiech albo przeciwnie – mozół i powolność.

Dotknęła ucha męża i pogłaskała je, wyczuwając z radością włoski wyrastające pod płatkiem.

– Zawsze wygrywasz – stwierdziła.

Zadrzały mu brwi, jakby nagle zabołały go oczy. Opuścił głowę. Alice poskarżyła się, jak bardzo brakuje jej karmienia piersią. Dotknęła ud i pokazała mu siniaki, które zostały po podskokach Doe. Jedyne, czego pragnęła od życia, to akceptacja córki – taka sama, jaką Alice miała dla własnej matki. Lecz mimo to gdy mama była u nich, zajmowała się domem, martwiła o wszystko i opiekowała się nią, Alice nie mogła tego znieść. Nie mogła znieść własnej bezradności. Wcześniej nie przechorowała w życiu więcej niż dziesięć dni. A teraz? Czy ma docenić wyostrzający się słuch niczym jakiś dar?

Nie wie, nie wie, nie wie. Ale się dowie.

– Mam misję do spełnienia, kwiatuszkę – powiedziała. – Przysięgam.

Studium przypadku nr 33

Whitman Memorial, 1220 York Avenue, III piętro, Onkologia dziecięca, p. 323

Jasne, że czuł się kiepsko, widząc, jak inni drugoklasiści biegają po boisku. Ale doszedł do trzech pompek i był niezły w odbijaniu piłki tenisowej od ściany. Chciał grać latem w T-ball, chciał dostać koszulkę drużyny, no i jeszcze znaleźć się w zuchach. Gdy ma się osiem lat, chce się być wszędzie tam, gdzie każą nosić mundurek. Zbliżały się trzy lata w remisji, ale i tak ścinało go z nóg zwykle przeziębienie, skutki uboczne warfaryny i różne takie, przyzwyczaili się jednak i wiedzieli, jak sobie z tym radzić.

Choć tym razem było inaczej, a z drugiej strony może nie tak bardzo – jego mama nie miała pewności. Przy obiedzie szklify mu się oczy, nie podobało się jej, jak trzyma widelec, bo miał taki bezwładny nadgarstek. I spocone czoło. Ale migdałki nie były powiększone. Położyła dłoń z boku brzucha synka, tak jak jej kazano. Pocałowała jego policzek jak błogosławiony różaniec.

W izbie przyjęć zrobili mu frajdę i pozwolili wyjść z izolatki, żeby oglądać telewizję w rogu sali; nadawano akurat reportaż o negocjacjach między związkiem graczy a właścicielami klubów. Podając pielęgniarkę historię choroby synka, matka upewniła się dwa razy, że skontaktowano się z jego onkologiem. Ojciec chłopca odebrał nagrany wiadomość i zadzwonił do szpitala: „Jestem w biurze, ale już wychodzę”. Matka miała wrażenie, że przeczuwa coś, o czym nie chciałyby wiedzieć. W telewizji przerwa na reklamy, reportaż dobiegł końca. Zawiozła grzecznego chłopczyka z powrotem do pokoju badań, gdzie natychmiast usnął. Przyglądała mu się przez chwilę, po czym poszła do automatu po ohydny kawę i przeżyła coś okropnego, jakieś déjà vu. Nie chodzi o to, że przypominała sobie te wszystkie razy, kiedy szła po tę ohydny kawę podczas pierwszej karuzeli, ale o to, że poczuła nagle wyczerpanie i przerażenie wszystkich minionych miesięcy, że dotknęła ją świadomość, że nie wie, co się stanie. Już i tak chodziła dwa razy w tygodniu na terapię. Brała sertralinę, żeby przeżyć dzień, i valium, żeby przespać noc. Ojciec chłopca wynajął sobie małe mieszkanie dwie przecznice od nich, co wskazywało, że chce się pogodzić i być w pobliżu w nagłych wypadkach.

Następnego ranka onkolog wykonał nakłucie lędźwiowe. Z ponurą miną stwierdził, że pacjent wyszedł z remisji. Chłopiec zaprzyjaźnił się z dyplomowaną pielęgniarką, w prezencie na siódme urodziny kupiła mu czapkę Yankees z daszkiem w paski, którą dało się dopasować do głowy. Popłakała się, gdy powiedziano jej, co zaszło. Duże miękkie dłonie ojca objęły palce chłopca jak baseballowa rękawica. Mama głaskała go po plecach. Zaplanowano dalsze postępowanie i leczenie. Wielokrotnie powtarzano dane na temat przeżywalności. Chłopiec słuchał tego nieco wstrząśnięty z pytaniem w oczach. Chciał wiedzieć, czy oddział podczas jego pobytu odwiedzi któryś z zawodników Yankees i czy strajk graczy oznacza, że nie przychodzą już na oddziały.

W pokoju badań nie było okien, nie było w nim na co patrzeć. Doktor mówił o powtórnym przyjęciu do szpitala, następnej rundzie chemioterapii, szukaniu dawcy. Tata mrugał i kiwał głową, patrząc prosto przed siebie. Nie ma innego sposobu, prawda? Trzeba się przygotować. Zgodził się zostać z synem. Później tego samego dnia znów zaczął palić. Po powrocie ze śródmieścia usiadł w małym mieszkanku i wypił jak zawsze piwo, a może dwa. Powiedział synkowi, że wykorzystają wszystko, co tylko znajdą na oddziale, do cholery. Mama spojrzała na niego, rozgniewana nieprzyzwoitym językiem. Miała wrócić do domu, żeby spakować się przed dłuższym pobytem w szpitalu. (Gdy wyjdzie ze szpitala, uniesie dłoń i pokaże środkowy palec Bogu, czego nie robiła od ostatniej choroby synka). Przywiezie mu karty do gry w baseball Strat-O-Matic, o czym bez przerwy jej przypominał. Podkreślał, jak ważna jest niebieska okładka, w której trzymał podsumowania meczów i statystykę całego wyimaginowanego sezonu. Powinna leżeć na biurku, a jeśli nie, to pod łóżkiem. Czasem popołudniami ojciec grywał z synem w Strat-O-Matic, a chłopiec wspominał o którymś z niedawnych spotkań, które wygrał w dodatkowej rundzie. Zapytał mamę, czy mogłaby mu przywieźć najki Air Jordan, przynoszące szczęście, trójki.

Powtórne leczenie wstępne zacznie się, gdy tylko skończą badania i podłączą cewnik Hickmana do centralnego wkłucia. Natychmiast zaczną szukać dawcy. Chłopiec był, prawdę mówiąc, podniecony perspektywą powrotu na oddział dziecięcy. Jego pokój miał jasne barwy, a na ścianach świeciły w ciemności planety, rakiety i spadające gwiazdy. Zastanawiał się, czy spotka tu dawnych kolegów. Spojrzał na laminowany jadłospis, przygryzł dolną wargę i prychnął. A potem dostrzegł w nim pizzowe tacos i stwierdził, że tego wcześniej nie dawali.

Oddział z pewnością nie był domem Rolanda McDonalda, gdzie spełnia się najbardziej fantastyczne dziecięce marzenia, ale był domem dla dzieci chorych na raka, w dodatku w Nowym Jorku. Więc raz po raz widywało się na oddziale znane osobistości. Pani od kontaktów z miastem i ludzie od PR-u sprowadzali kogoś niemal co tydzień. Wrestlerzy Owen i Bret Hartowie wpadli na oddział, żeby założyć każdemu pacjentowi nelsona. Hokeista Mark Messier spędził tu całe popołudnie i często udawał, że się krztusi. Chłopiec dostał mnóstwo czapecek i koszulek, a Messier podpisał mu czarny krążek srebrnym markerem Sharpie. Gracze w baseball są częstymi gośćmi – tak obiecywała pani od kontaktów z miastem. Logika podpowiadała, że potrzebna jest im teraz dobra prasa, zwłaszcza że Mecz Gwiazd właśnie spłynął rurami. Więc będą przychodzili. Ale tak się złożyło, że przyszli dopiero podczas trzeciego tygodnia pobytu chłopca w szpitalu. I w dodatku byli to gracze Metsów – garbatego przyrodniego brata baseballu w Nowy Jorku.

Chłopiec odwrócił się od pielęgniarki, nie chciał pozwolić, żeby zmierzyła mu temperaturę. Tata podniósł głos. Powiedział, że tak nie wolno: „Hej, kolego! Przestań się wygłupiać!”.

Miotacz Metsów Dwight Gooden nie miał jeszcze trzydziestu lat, ale od jego ostatnich wyczynów w pluciu ogniem na boisku – czym oczarował miasto – minęło dobre pół dekady.

Wciąż miał gładką i jaśniejącą twarz, ale wokół oczu pojawiły się zmarszczki, jakby smutku. Znany był jako Dr. K, ale upłynęło już sporo czasu od ostatniego zwycięskiego sezonu doktora, a bulwarówki rozpisywały się z radością o najnowszych problemach gracza: jego zawieszeniu za używanie kokainy czy zdjęciu billboardu z reklamą Nike na Times Square. Doc miał niezliczone powody, żeby wykpić się od tej wizyty. Naprawdę nie musiał tu przychodzić. Miał na sobie bawełnianą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i cienki złoty łańcuszek na szyi. Uśmiechał się nieśmiało. Kiedy się odezwał: „Hej, człowieku, jak leci?”, mówił cichym łagodnym głosem. Powiedział tylko kilka słów: „Tu chyba nie jest tak źle, myślę”. Był przyjazny, ale zachowywał się z rezerwą, jakby był zawstydzony.

Chłopiec przechodził wtedy leczenie wstępne. Stracił wszystkie włosy. Miał słaby puls. Pojawiły się komplikacje. Najłatwiej przychodziło mu spanie. Ale zmusił się, żeby nie zasnąć, i poprosił Doca, żeby podpisał mu koszulkę Yankees.

## Libertyni

Eisenstatt zaświecił jej latarką w oczy, obiecał, że to nie potrwa długo. Wydał odgłos wskazujący na rozpoznanie.

– Ostre zapalenie spojówek po chemii. Standardowy skutek uboczny, zwłaszcza u młodszych pacjentów.

Alice nie przestawała mrugać ze zboląłą miną. Gdy tylko zgasił urządzenie, opuściła głowę. Starła się wyostrzyć wzrok, skoncentrować na środkowym kafelku posadzki, na jego cętkowanym wzorze. Na jednej cętcie. Odzyskała nieco równowagę i sięgnęła po swoje versace.

– Trzy dni – ciągnął lekarz. – To bez wątpienia nietypowe dla zapalenia spojówek. – Mówił teraz głosem rozczarowanego, nieco rozeźlonego ojca. – I proszę mi wyjaśnić raz jeszcze: dlaczego nie zgłosiliście się do pomocy doraźnej?

Ten okropny szpitalny chłód, typowe lodowate powietrze pokoju badań. Alice otuliła się na powrót szpitalnym kocem i zamknęła oczy, jakby to oddalało pytanie.

– Żona nie chciała wracać do szpitala. – Oliver, chwała Bogu, odpowiedział za nią ze stołka w rogu pokoju.

– Naszym celem jest doprowadzenie pańskiej żony do przeszczepu – oznajmił Eisenstatt – a nie trzymanie jej za wszelką cenę jak najdalej od szpitala. – Zwrócił się do Alice: – Wskaźnik pani połączeń telefonicznych jest bardzo niski.

– Nie pogarszało się – zdołała wykrztusić. – Powiedzieli mi przez telefon, żebym przyjechała, jak się pogorszy.

– Ale nie polepszało się, to pewne.

„Pamiętasz ten tekst?” Spojrzeli z Oliverem po sobie. Był wyraźnie skonfundowany, podobnie jak ona. Alice nie po raz pierwszy pomyślała o doktorze, posługując się przezwiskiem nadanym mu przez męża: Dickenstein.

– Czy moja hospitalizacja coś by zmieniła? – Westchnęła. – Jak mógłby mi pan pomóc?

– Moglibyśmy zwiększyć dawki. Moglibyśmy zmienić lek. Z całą pewnością zbadalibyśmy pani wzrok. Zrobilibyśmy rezonans magnetyczny.

– Mam ogromną nadzieję, że będzie pan równie staranny przy moich rozbłyskach gorąca.

– Rozbłyskach gorąca? – Eisenstatt zajrzał do karty. Zacisnął chłopiące usta. – Taak, coś pamiętam. – Poprosił niewidzialną pielęgniarkę, żeby zaniosiła receptę do apteki, gdy tylko skończy; przepisał silniejsze krople do oczu. – Wiele pani przeszła – podjął. – Ale są też pozytywy. Zwiększyła się liczba białych krwinek o zero siedem. Po spadku po chemioterapii. To dobry początek.

Mówił dalej, podając liczby: hemoglobina jedenaście, płytki piętnaście.

Znów zacisnął usta jak dziecko patrzące na rybę.

– O tym warto porozmawiać.

Jasność przebijała się przez szkła okularów, Alice czuła panujący w pomieszczeniu chłód, drapał ją koc.

– Zmiana nie jest gigantyczna – dodał. – Liczba czerwonych krwinek zawsze zwiększa się na końcu. Ale w naszej sytuacji nie chcemy dłużej czekać. Te wyniki, proszę spojrzeć, stawiają panią u progu przeszczepu. Dziś dla pewności zrobimy transfuzję. Świeża krew zwiększy liczbę płytek na pewien czas.

Poprosił pielęgniarkę, żeby zadzwoniła i spytała o transfuzję – czy będą mieli wolne miejsca po konsultacji.

– Ile to potrwa? – zapytał Oliver.



– Parę godzin.  
– Zadzwoń do mamy – powiedział. – Damy jakoś radę. I złapię Tildę na wszelki wypadek.

Alice wyciągnęła do niego rękę w geście podziękowania. Opuścił głowę, szperał w plecaku, szukając tej obrzydliwej cegły telefonu.

– Jeśli wyniki nie utrzymają się na wysokim poziomie, jeśli szpik przestanie produkować krew, będziemy ją przetaczali podczas każdej konsultacji. Czyli co parę dni.

– I to będzie trwało aż do przeszczepu?

Jej serce spadło z czwartego piętra na chodnik.

Eisenstatt rozważał pytanie w milczeniu, zastanawiając się być może nad doborem słów.

– Amerykański rejestr dawców jeszcze nie trafił na odpowiednie. – Wyznał w końcu prawdę, a Alice zakręciło się w głowie i musiała chwycić pręt łóżka. – Proszę się nie poddawać – powiedział stanowczo i podniósł uspokajająco ręce. – Mamy przed sobą wiele ruchów. Pojawiają się nowi dawcy. Każdego dnia. I rozważamy też inne możliwości, a mianowicie dawcę z niepełną, ale wystarczającą zgodnością, żeby iść dalej. Do tego czasu przetaczanie krwi utrzyma panią w formie i zapewni tak bardzo potrzebną energię.

– Najtrudniejsze jeszcze przed nami. – Głos z innej części pokoju. Alice poznała tę afektowaną intonację. – Ale gdy nadejdzie, wydarzy się bardzo szybko.

– Och, doktor Bhakti – mruknęła. – Nie wiedziałam, że pani tu jest.

– Pokoje na piętrze przeszczepów są najlepsze w całym szpitalu – zapewniła Bhakti. – Nawet lepsze od prywatnych jedynek na położnictwie.

Alice zmroziła ją spojrzeniem.

– Dziękuję, pani doktor. Zawsze można na panią liczyć.

Wracał z małej hinduskiej restauracji po drugiej stronie Sześćdziesiątej Ósmej, taszcząc przeładowane torby, z których wydobywały się zapachy wywołujące szaleństwo ślinianek. Znajdował się zaledwie kilka jardów od wind, do których zmierzał, gdy usłyszał zniekształconą wersję swojego nazwiska, wymawianą ze znakiem zapytania, jakby trudno było ją wyartykułować.

Wołano go z jakiegoś biura. W drzwiach stała kobieta przypominająca dziewczynkę przebraną za sekretarkę w szkolnym przedstawieniu: zaczesane do tyłu włosy, za duże plastikowe oprawki okularów, czarna bluzka w grochy, ołówkowa spódnica, ciężkie buty. Podchodząc, walczyła z naręczem brązowych teczek, które groziło zawaleniem.

– Dobrze myślałam, że to pan. Zdaje się, że oboje mamy pełne ręce.

Dopiero teraz ją poznał: panna Culpepper. Zakołysała się na obcasach. Mogła chwycić to, co wysunęło się jej spod łokcia, ale pozwoliła upaść teczce i przyglądała się rozsypującym się po posadzce dokumentom. Oczy, którym Oliver życzył śmierci, nabrały jakiejś wewnętrznej głębi. Jej twarz – ładna, choć naiwna – zdradzała wyczerpanie. Potrzebował dobrej sekundy, zanim pojął, że ona chce, żeby z nią porozmawiał.

– Naprawdę ucieszyłam się, mogąc się przekonać, że rozwiązał pan wszystkie problemy z ubezpieczeniem – oznajmiła. – Proszę przekazać moje najlepsze... proszę powiedzieć Alice, że modłę się za nią.

Nad potężną rzeką Connecticut, w malowniczym zbiegu Vermontu, New Hampshire i Massachusetts leży starówka Brattleboro pełna eleganckich domów z cegły, w których mieszczą się spółdzielcza jadalnia, wyśmienita pijalnia kawy, staromiejskie restauracje oraz najlepsze bistra. Są tu też trafiki i salony tatuażu oraz kilka księgarni (w tym antykwariatów), sklepy z meblami (przeważnie antykami), płytami i taśmami wideo, hotel w klasycznym stylu art déco, a obok sala kinowa, w której wyświetla się nowe filmy i organizuje przedstawienia lokalnej trupy

teatralnej. Osiedlali się tu pracownicy naukowcy przechodzący na emeryturę oraz wykształceni, dobrze zarabiający hipisi, którzy uznali okolicę za bezpieczną dla dzieci. Miasto jest kulturalne, choć nie wielkomięjskie, jest prowincjonalne, ale nie nazbyt prowincjonalne, i współegzystują w nim ludzie wypaleni, mieszcuchy, miłośnicy zdrowej żywności i zwolennicy barbecue, staromodni wieśniacy i narciarze, a wszyscy oni tolerują zdrowy napływ weekendowych wojowników: podglądaczy liści i motocyklistów.

Była to idealna sceneria dla przedwcześnie dojrzałej nastolatki, biorącej udział w próbach szkolnych przedstawień, odbywającej całonocne rozmowy przygotowujące do lokalnych konkursów retorycznych, powielającej najlepsze style i projekty z klasycznych filmów i magazynów mody i studiującej ich młodszych kuzynów, takich jak „Paper” i „Interview”, w poszukiwaniu wieści z centrum Manhattanu.

Gdy Alice wspominała teraz lata dorostania, widziała przed sobą wszystkie wieczory i noce, podczas których owijała się tęsknie kablem telefonicznym, rozmawiając szeptem do późna z najlepszą przyjaciółką o chłopcach, którzy niemal nie wiedzieli o jej istnieniu. Wspominała też niekończące się przejażdżki po wiejskich drogach: liście wirowały im nad głowami, a Alice i jej paczka palili goździkowe papierosy, jedli magiczne grzybki i nastawiali radio na pobliską stację uniwersytecką. Delektowała się wspomnieniami nakrapianych słońcem letnich popołudni gdzieś nad wodą, wcierania w skórę kremów z filtrem i opalania się wysoko na skałach nad wodospadem. Pamiętała zimowe zamiecie, które przetrwała, zamykając się z planszą Ouija i podwędzoną mamie butelką sauvignon, zadawała nieżyjącemu ojcu jedno absurdałne pytanie za drugim: „Tęsknisz?”, „Jak gorąco jest pod ziemią?”.

Za iloma uosobieniami ojca uganiała się w książkach i filmach? Ile stołów w rogu etnicznych i egzotycznych restauracji przywłaszczyła sobie wraz z uznającym się za egzystencjalny klubem znajomych, ciesząc się spojrzeniami mieszcuchów zerkających na jej niebieskie włosy i używane ciuchy? Po balu maturalnym siedziała na schodach ratusza, brała i podawała dalej butelkę i przyglądała się wschodowi słońca nad górami z głową opartą na ramieniu przyjaciółki. Po kilku podróżach rocznie do prawdziwych miast – Toronto, Bostonu, na Manhattan – nabrała tyle oglady i wyrafinowania (a przynajmniej tego, co za nie brała), żeby zdać sobie sprawę, iż *absolutnie* potrzebuje więcej.

Gdy zjawiała się na Manhattanie, by podjąć studia, ciągnęło ją uporczywie i konsekwentnie ku East Village, ku kręgom zderzających się ze sobą światów. Chodziła na wernisaże, żeby pić za darmo, udając, że się zna, kiwając głową podczas rozmów o wystawianych dziełach. Nie była natomiast na koncercie potwornego zespołu jednego z jej znajomych, który w końcu zdołał załatwić pijany debiut w CBGB o drugiej nad ranem, ale tylko dlatego, że zajmowała rzeźnię, która uchodziła za toaletę w tym klubie, bawiąc się końcem klucza do mieszkania, trzymanym przez szczupłego chłopca o idealnie nastroszonych włosach. Status quo: nie potrafiła utrzymać pozycji w Integral Yoga; starała się utrzymać rytm bębniarzy w sobotnie popołudnia na zajęciach z tańca afrobrazylijskiego; obracała biodrami przez całą noc w Pyramid, Save the Robots, Area albo Limelight; zbierała o trzeciej nad ranem pięć dolarów drobnymi, żeby kupić u Yaffy słoneczne wegańskie burgery. („Z komosą, dzięki”). W któryś Nowy Rok, chorobliwie błada i skacowana, siedziała wiele godzin, aż rozboleł ją tyłek, w bocznej ławce kościoła St. Mark’s w Bowery, oglądając ze znajomym gejem dobroczynny maraton Poetry Project; doczekali się w końcu Jima Carrolla z czupryną jak mop, chudego jak ćpun (właśnie tak powinien wyglądać), który przeczytał opowiadanie, a po nim bogini śródmieścia Patti Smith, która wychrypiała posępną pieśń bóstwa, i wreszcie na deser cudownie zaokrąglonego i wesołego Allena Ginsberga, który wszedł na podwyższenie (zapadła kościelna cisza, nikt nie śmiał nawet odetchnąć) i odczytał dosyć gównianą rymowankę. Później,

w zakrystii, poczuła się wyróżniona i ucieszona, gdy Ginsberg opuścił słynne krzaczaste brwi i wykazując się większym wdziękiem, urokiem i zdeterminowaniem niż na scenie, uderzył bezwstydnie do jej znajomego.

Odkrywała, kim jest, dopracowywała, kim chce zostać, poznawała życie poniżej Czternastej na ulicach bez franszyz, w małych, pełnych ludzi przyczółkach stawiających czoło białej homogeniczności reaganizmu, wpychanej wszystkim do gardeł. Dla Alice miało to i tę dodatkową zaletę, że widywała na własne oczy wszystkich tych efektownych i jedynek w swoim rodzaju frików: dzieciaki z klubów wychodzące z jakiejś knajpy z wegańskimi sokami w całej okazałości nocnych strojów (postawione stożkowato włosy, lśniące od brokatu twarze, wojskowe buty i bikini z gazet), dziewczyny z dreadami w peniuarach gejsz i gorsetach z lateksu, ciągnące za sobą bongosy po próbach. Ekscytowało ją, że tyłu innych odkrywa dla siebie świat: chwyta, wyrzuca, łączy, bez żadnej mapy, celowo rezygnując z instrukcji. Więc wydawała przyjęcia z robionym przez siebie sushi, podczas których jej znajome rapowały własne teksty, chodziła na seminaria medytacji transcedentalnej, pracowała w namiocie podczas festiwalu Wigstock, pomagając w retuszach i naprawach. Między siorbnięciami barszczu z polskiej jadłodajni kłóciła się o zagraniczne filmy z tancerkami tańca nowoczesnego, zgodziła się uszyć kostiumy dla undergroundowej trupy teatralnej, która nie miała wyboru – musiała stać się nieoglądalna. Pozwalała, aby rysowano jej akty, fotografowano ją w łańcuchach – robiła to dla przyjaciół, dla miłości, dla sztuki... dla jaj. Tak, przeżyła nawet obowiązkowe załamanie nerwowe pod uwodzicielskim wpływem śmierci pewnego autora. I nadal owijała się kablem telefonicznym mimo kaca i waty w ustach, próbując zawsze dostrzec drugą stronę w ślicznym, kurewsko samolubnym i nieodpowiedzialnym chłopaku. Studiowała projekty i barwy, szyla za darmo spódnice przyjaciółkom, targowała się, kupując stary manekin na pchlim targu w Chelsea, używała tego truchła do modelowania strojów odtwarzanych z filmowych fotosów. Płakała i gotowała z Bożej Miłości i dla Bożej Miłości, maszerowała, wznosiła okrzyki i szarpała policyjne bariery wraz z innymi protestującymi z ACT UP<sup>15</sup>, aż nie czuła rąk i miała zdarte gardło. Płakała po śmierci wspaniałego szczupłego chłopaka, do którego uderzył Ginsberg. Czciła jego męskość. Stała się kobietą – pobłażliwą, absorbującą, zapożyczającą, przytulającą, przeciwstawiającą się, składającą wszystko razem.

A teraz była tutaj. W prostokątnym labiryncie czwartego piętra zwięzającym się do ciemnych pomieszczeń na tyłach. Póleżała na podniszczonym wygodnym fotelu, pływając we wnętrzu różowej czapki narciarskiej, punkowych okularów przeciwsłonecznych i różowego szlafroka frotté. Wyglądała jak królowa alternatywnego rocka, posępna, grająca na basie legenda drzemiąca w garderobie. Nad nią wisiał pękaty woreczek, z którego spływała do jej żył gęsta jak ketchup plazma. Gdy zobaczyła, że Oliver odsuwa niebieską zasłonę, jej drzemiąca postać ożyła, drgnął kącik ust. Podniosła na powitanie niepodłączoną rękę – pomachała nią lekko, a potem wyciągnęła błagalnie po styropianowy kubek.

– Masz! – zdołała wykrztusić. – Delicje!

Mango lassi! Słodkie, gęste i spienione, z cierpkim posmakiem wieńczącym słodycz. Ile razy zamawiała ten napój przez lata? Nie potrafiłaby policzyć. Nie liczy się takich rzeczy. Sący, smakuje, czuje kopa, docenia i znów sący.

Teraz po długim łyku zostały jej cienkie musujące wąsy. Opadła na fotel, wydając pomruk zadowolenia. Oliver wyjął styropianowy pojemnik i jej oczom ukazało się jakieś czarne soczewicowe tandori. Pocałował ją w policzek i zameldował, że purée pachnie wybornie. Napoczęła je, a on powiedział, że zje resztę. Postawił puszkę z napojem dla siebie i butelki wody dla niej. Zaczął otwierać plastikowe opakowania.

Był w połowie pysznego kurczaka tikka masala, gdy ktoś udał głosem, że puka w zasłonę.

Eisenstatt wsuwał się bokiem, jakby po kawałku, przylizana fryzura, głowa i szyja nieruchome, wślizgiwał się tylko tors. Spojrzał na jedzenie.

– Pachnie doskonale.

– Chce pan spróbować? – Alice zamoczyła nietknięty kawałek placka naan w sosie. – Czy znów mamy kłopoty?

Eisenstatt popatrzył na oferowany mu placek. Na jego twarzy malowało się rozbawienie.

– Zajrzałem sprawdzić, jak się sprawy mają. I porozmawiać o elementach leczenia. A skoro już o tym mowa: tak, nie podoba mi się to, co pani je.

– Ale wszyscy wiedzieli, że idę po lunch. – Oliver wskazał korytarz. – Pytałem, czy mogę przynieść jedzenie. Rozmawiałem z pielęgniarką.

– Pewnie zrozumiała, że chodzi o naszą kafeterię.

Alice siorbnęła przez słomkę, celowo głośno.

– Jestem chorą, słabą, ślepą inwalidką. I nic nie rozumiem, panie doktorze. Czy ktoś przy zdrowych zmysłach chciałby z własnej nieprzymuszonej woli jadać w szpitalnym barze?

Eisenstatt się nie poddawał.

– Martwię się jakością jedzenia z restauracji i tym, czym to grozi.

– Och, myśli pan, że jesteśmy beznadziejnie głupi.

Humor dodawał jej sił, popłynęła na fali, zmieniając głos na ten z pokazów mody:

– Że spędzamy weekend w centrum pomocy doraźnej, zamiast siedzieć w domu? Że przynosimy jedzenie z miasta zamiast z uroczej szpitalnej kafeterii?

Uniosła styropianowy kubek, jakby wznosiła toast.

– Jesteśmy parą bon vivantów! Nazywają nas libertynami!

– Gdybym miał gdzieś jej dobre samopoczucie – dodał Oliver – przyniosłbym jedzenie ze szpitalnego baru.

– Tak, bardzo zabawne, jak zwykle. Ale doskonale wiecie, o co chodzi: jedzenie stanowiło problem. Martwimy się o pani sposób odżywiania. Pani mąż pytał, czy endoskopia może zdiagnozować ewentualne problemy z żołądkiem.

– Kolejna zagadka kryminalna do rozwiązania – mruknęła oschle Alice. – Hura.

– Nasz szpital działa w taki sposób – odezwał się Eisenstatt, nie dając się złapać na przynętę, nadal powściągliwy w tonie i zachowaniu, choć ścisnął blat stołu za sobą – że zabieg endoskopii planuje się z sześciomiesięcznym wyprzedzeniem. Jeśli jednak pani lekarz oficjalnie zażyczy sobie zabiegu, wówczas wykonuje się go w tym samym tygodniu. Mówimy o poważnej procedurze. Gdyby endoskopia była nieszkodliwa, powiedziałbym: dlaczego nie, spróbujmy. Ja proszę tylko, żeby dbała pani o dietę. Proszę. Przepisuję pani również nową receptę na cthulhestę<sup>16</sup>.

Gdzieś za zasłoną ktoś się roześmiał z własnego dowcipu. Zakaszła i ucił głosił.

– Cthulesta – powtórzył Oliver. – Znowu?

– Ten sam sposób podawania. Wieczne zastrzyki po bogatym w tłuszcze posiłku. Tłuszcz pomaga strawić i wchłonąć lekarstwo. Przy odrobinie szczęścia zwiększymy produkcję krwinek białych, neutrofilów oraz zmniejszymy szansę na infekcję grzybiczą, wszystko, co dobre.

– Żeń-szeń zapobiega grzybicy – oznajmiła Alice.

– Nie wiem, czy pan o tym wie – odezwał się Oliver, pocierając brodę i wbijając wzrok w posadzkę – ale po pierwszej konsolidacji rachunek za receptę na ten lek opiewał na pięć kawałków. Nasz plan pokrywał tylko pięćdziesiąt procent. Ubezpieczenie odmówiło, rzecz jasna, reszty.

– Zdaje się, że wypełniałem jakiś formularz? – zapytał Eisenstatt.

– Po moich dwóch telefonach. A i tak przekreślił pan kod płatności.

– Przy odrobinie szczęścia zapobiegniemy pani powrotowi do szpitala – ciągnął niezrażony Eisenstatt. – Tak jak pani sobie życzy. I ja również.

– Ale mówił pan, że wyniki są coraz lepsze? I wszystko ze mną dobrze? Może nie potrzebuję tego leku?

Eisenstatt oparł się o ścianę i skrzyżował nogi, stojąc w dosyć dziwnej pozycji, zważywszy na jego masę. Postukał długopisem o rękaw szpitalnego kitla, wciskając i wyciskając wkład. Chwilami wydawał się Alice bardzo młody i sprawiał wrażenie jedynaka.

– Rozumując logicznie, ma pani rację – zaczął. – Normalny rekonwalescent nie byłby, co zrozumiałe, narażony na żadne ryzyko. Ale proszę mi wierzyć, że normalni rekonwalescenci chodzący po ulicach nie zmagają się z białaczką i nie są narażeni na grzybicę. W stanie neutropenii oraz podczas wychodzenia z tego stanu stosunkowo często pojawia się grzybicze zapalenie płuc jako skutek uboczny.

Oliver odczekał, aż doktor skończy, po czym podniósł rękę.

– Kiedy pojechaliśmy po raz pierwszy na izbę przyjęć, Alice... – zawahał się – ...zdiagnozowano zapalenie płuc. Czy to też było...

– Nie wiemy, czy było to grzybicze zapalenie płuc – przerwała mu.

– A wiemy, że nie było?

– Czy teraz wszystko będzie tak wyglądało? – zapytała poirytowana, choć bez gniewu. – Nic nie wiemy na pewno, ale i tak muszę robić wszystko, co mi każą. Potem dostanę wizytówkę i będę czekała w kąciku jak grzeczna dziewczynka. I tak umrę, ale ze świadomością, że zrobiłam wszystko, jak należy.

Skończywszy, wypuściła powietrze i przeniosła wzrok niżej, gdzieś w głąb, a jeśli czuła samozadowolenie – jakby nie potrzebowała żadnej odpowiedzi, jakby ta odpowiedź ją nie interesowała – brało się ono z tej drobnej satysfakcji, że sama umie odpowiadać na pytania, które zadaje.

## Przyjęcie z okazji końca druku

Na pierwszym roku pewna profesorka, która stała się mentorką, potrzebowała pomocy przy jakichś próbkach. Poprosiła o to po zajęciach i ucieszyła się, gdy Alice zgłosiła swój akces do szlachetnego zastępu Zdolnych Studentów Gotowych Dać się Zajeździć na Śmierć. Był to zupełnie nowy dla niej świat i podczas pierwszych tygodni garbienia się nad stołem projektanckim w nienagannej pracowni w Chelsea czuła się tak, jakby dostała klucze do tajemniczego, niedostępnego do tej pory skrzydła zamku, które od dawna pragnęła poznać. Wkrótce potem jednak przekonała się, że klucze otwierają drzwi do dziwnie cichych komnat, w których weekendy mijają przy pracy po dziesięć godzin dziennie, jakby dała się przykuć do tych projektanckich stołów i maszyn do szycia. Rozpracowała zagadkę taniej podróbki modnego kostiumu, który wszyscy chcieli mieć. Nauczyła się odnajdować poezję w sylwetkach, liniach i wiszących wykrojach. Nie dostawała prawie nic za pracę, choć stawka dzienna w oczach dwudziestolatki wydawała się tak ekstrawagancka jak połączane domy wzdłuż Central Park West.

Jej branża działała pod wieloma względami jak to miasto: albo się ma nieruchomości, albo się wynajmuje; albo się człowiek wspina w górę łańcucha pokarmowego – robiąc wrażenie na dyrektorach kreatywnych, dostając szansę projektowania, zbierając zamówienia, zaplecze i tworząc własną linię – albo po wspięciu się na wierzchołek zjeżdża na sam dół. Miała mnóstwo zleceń i w którymś momencie między tymi wszystkimi sałatkami z delikatesów skończyła dwadzieścia siedem lat. Jej miłość do projektowania ubrań przestała być tak dziewiczo niewinna, a twórcza energia coraz częściej przypominała resztki pasty do zębów wyciskane ze zwiniętej tubki. Ciągle pracowała w tych samych koszmarnych godzinach za te same stawki. Lecz już nie było olśniewająco. Nadal nie miała ubezpieczenia ani dodatkowych świadczeń i ciągle biegła przed siebie, żeby nie dać się zmiażdżyć przez walec miejskiego życia. Przez cały czas czuła na plecach gorący oddech widzianych we wstecznym lusterku świeżo opierzonych i gotowych na wszystko młodszych wersji siebie samej, które zjeżdżały do miasta i tylko czekały na jej potknięcie. Coraz częściej czuła nostalgiczną bliskość z matką. A mijane na ulicach dzieci otwierały bolącą otchłań w jej łonie.

Po serii pierwszych randek tak zdumiewająco banalnych, że nawet niewartych opowiadania przyjaciółkom, zajęła się jakąś pracą dorywczą, a na przerwach na papierosa spotykała Kirę, młodą i podobnie jak ona tkwiącą w ślepych zaułku projektantkę z Mediolanu. Nie było żadnego powodu, żeby się z kimś nie zbliżyć czy nie pójść po pracy na drinka. Czasem oznaczało to spędzanie czasu ze znajomymi Kiry – pogardliwie uśmiechniętymi dziennikarzami z Uzbekistanu czy magistrantami z Paryża ochoczo tańczącymi wokół ognisk, w których płonęły rodzicielskie pieniądze. Pewnego razu Kira zaprosiła ją na „przyjęcie tematyczne”. Nie potrafiła podać tematu, ale to nie miało znaczenia. Alice miała pójść na imprezę w towarzystwie Tildy, ale Tilda w ostatniej chwili dostała dodatkową pracę przy jakimś horrorze. Alice nie była specjalnie napalona na samotne wyjście, ale doszła do wniosku, że jeśli pretensjonalni obcokrajowcy do czegoś się nadają, to są to tak zwane domówki.

Miała wtedy skośnie przycięte włosy, a jej naturalny ciemny blond zastąpiła rozwichrzona płomienna fryzura w kształcie lizaka – wyglądała jak skrzyżowanie królowej psychodelii z elfem. Jesień tamtego roku mocno się spóźniała, zatrzymawszy się na etapie, w którym robiło się chłodno tylko w cieniu, ale niebo było na tyle przejrzyste, że Alice mogła włożyć ulubiony czarny bezrękawnik z szerokim kołnierzem wysadzany ceramicznymi gruszkami i truskawkami. Kierując się instynktem, zawiesiła na szyi mnóstwo śmieciowych

naszyjników z koralikami w kształcie nakrętek i wagin. Przyjaciółki często jej dogadywały, że za bardzo się stara, że jest zbyt dosłowna w swych gustach. Ale dlaczego gust nie miałby działać na jej korzyść? Dorzuciła do tego kilka gangsterskich sygnatów i wcisnęła się w bajkowo fioletowe aksamitne spodnie. Przeglądając się po raz ostatni w lustrze, zauważyła, że lśniąca tkanina opina jej tyłek i biodra w sposób, od którego – hura, hura – nie chciało jej się rzygać. Powabny kawałek skóry – zdrowy i nieskazitelny – błyskał między paskiem spodni a bezrękawnikiem.

Pismo Kiry było czytelne jak u prymusi, więc Alice nie miała kłopotów z odnalezieniem niemal niezamieszkanego Williamsburga, w której jedyną oznaką cywilizacji były delikatesy czynne całą dobę. Wpuszczono ją do uzbeckiego domu pogrzebowego, lecz zanim Alice znalazła się w westybulu dla żałobników, skrzyła zgodnie z instrukcją w lewo i weszła do długiego prostokątnego pomieszczenia – pierwszej części, jak się później okazało, amfiladowego mieszkania.

W pobliżu stało jakieś dziesięć osób w pozorowanych grupkach, nawijali z werwą, a nawet z nadzieją. Jedyne oświetlenie znajdowało się po drugiej stronie pokoju i pochodziło z dużych tablic informacyjnych – ekranów, na jakich wyświetlają się połączenia w portach lotniczych. Przy tablicach stali pochyleni ludzie, którzy coś zapisywali. Wkrótce potem okazało się, że gdy się chciało dostać do salonu, gdzie odbywało się prawdziwe przyjęcie, trzeba było skombinować jakąś tabliczkę z imieniem. Może dlatego ci ludzie spisywali coś z ekranów? Alice zaczęła się rozglądać za taśmą samoprzylepną, gdy usłyszała wołającą ją Kirę, która przybiegła wraz ze współlokatorką, dosyć podejrzaną osobą o niedającym się zapamiętać imieniu.

Z większego pokoju, gdzie odbywała się prawdziwa impreza, dobiegała muzyka. Ktoś pokazywał znajomym tabliczkę z imieniem, wywołując salwę śmiechu i aplauz. Alice nie czuła się najlepiej w towarzystwie obu znajomych, ale one wydawały się uszczęśliwione, widząc ją: Kira otworzyła ramiona, by ją serdecznie uściskać, a jej francuska współlokatorka przesyłała napowietrzne całusy.

Może poczuły ulgę, bo Alice mogła tu kogoś znać? Może liczyły na odrobinę uprzejmości? Ale z pewnością kryło się za tym coś jeszcze. Nie były jej najlepszymi przyjaciółkami, ale ich otwartość sprawiła, że Alice ucieszył ich widok i to, że się tu znalazła. Podejrzana Francuzka odwróciła się i krzyknęła do kogoś głosem kolaborantki z Vichy:

– Och, załatw ją! Musisz!

Alice ujrzała mocno zbudowanego mężczyznę, który podszedł do nich usłużnie. Ciągnął za sobą innego chłopaka, ale ten nie wyglądał na uszczęśliwionego.

– Masz tabliczkę z imieniem? – zapytała ją Kira. – Jeśli nie chcesz odszyfrowywać kodu, nic się nie stanie. Zapisz tylko numer.

Zanim Alice zdążyła spytać, co to wszystko znaczy, Kira, podejrzana Francuzka i pierwszy facet zaczęli nawijać po francusku w takim tempie, że ze swoją znajomością języka nie była w stanie za nimi nadążyć.

– Mieli cię zapytać, czy chcesz się nauczyć zapisywać swoje imię kodem – powiedział ten drugi chłopak. Grzywa kasztanowych kręconych włosów. – To temat przyjęcia – dodał.

– To nawet lepsze niż trzymanie alkoholu pod kluczem, zanim goście wypełnią wniosek – odparowała Alice.

Przyjrzał się jej uważniej, wyraźnie zaskoczony dowcipem. Intensywne głębokie oczy coś szacowały, wyszło mu, że nie może się nie uśmiechnąć. Stał obok niej. Sięgnął do kieszeni i wyjął długopis.

– Baw się dobrze. Nie będę ci przeszkadzał.

Po pobieżnych poszukiwaniach okazało się, że w pobliżu nie ma żadnych tabliczek ani taśmy klejącej, na których mogłaby coś zapisać. Ale to, co znalazła, okazało się równie

interesujące: blat pokrywały strony z podręczników, powieści, romansów, przeróżnych książek w najbardziej egzotycznych językach. Były polakierowane, pokryte szlakiem czy może zawerniksowane. Alice pokazała je nowemu towarzyszowi. Nie chciał się uśmiechnąć.

– Och, daj spokój – prowokowała go.

Przesunęła dłonią po blacie, czując szorstkość, wypukłości, zagięte rogi, różne warstwy utwardzonego papieru.

– Wyglądają jak zatęchłe relikty. Z biblioteki dziadka. Odbicie poświaty z ekranów jest eleganckim posunięciem.

– Niezły pomysł, prawda?

Alice powędrowała za jego wzrokiem, spojrzała na zgromadzonych gości, dostrzegła duży przesuwający się napis: ZJI KOŃCA DRUKU PRZYJĘCIE Z OKAZJI KOŃCA...

Nie rozumiała, o co chodzi. Tymczasem chłopak znów zaczął coś mówić, ale inaczej, szybciej i z większym zaangażowaniem, jakby Alice odpowiadała jakimś jego standardom, co odkręciło jego wewnętrzny kran. Zastanawiała się, czy zechce się jej przedstawić. W przeciwieństwie do niemal wszystkich mężczyzn ze świata mody Gęsta Czupryna wyglądał zdecydowanie na hetero, a przy tym był wcale, wcale.

Przepraszał ją, mówił, że to wszystko w jakimś sensie jego wina. Jego kumpel Ruggles – wytorny dupek obejmujący ramieniem francuską harpię – napadł na niego i zażądał, aby zrobił sobie wolne od pracy i nauki. Zaciągnął go na jakiegoś pokera z obcokrajowcami. Co, mówiąc szczerze, było dosyć odlotowe: zapachy z garnków na piecu stanowiły miłą odmianę po wiejskich rozdaniach; podawano różne drogie krakersy i pyszne sery, a na dodatek więcej niż kilka kieliszków dobrego czerwonego wina. Grali w siedem kart, ale z wieloma dzikimi kartami na ogromne stawki, a drugą i czwartą kartę oddawało się osobie po prawej stronie. Podczas jednej z przerw na przekąskę odpowiedział na pytanie, co się robi na informatycznych studiach podyplomowych.

Alice spojrzała na niego podejrzliwie, ale zachęciła go, żeby mówił dalej.

Chłopak wyjaśnił obcokrajowcom, czym jest rzeczywistość wirtualna, możliwość stworzenia w komputerze rzeczywistości i życia, i systemu, w którym się jakby egzystuje, żyjąc równocześnie w świecie zewnętrznym. Powiedział Alice, że jego wirtualne życie może być trójwymiarowe, to znaczy obejmować handel, rozrywkę i oczywiście seks. Pełna równoległość do rzeczywistości, a przynajmniej jej uzupełnienie.

– Ona może się też przesączać do naszej rzeczywistości. Niedługo zaczniemy płacić za pomocą komputerów, a nawet, kto wie, kupować...

– Z przyjemnością obyłabym się bez sprzedawców – roześmiała się Alice. – Ale jak kupić sukienkę bez przymierzania? – Przewróciła oczami. – Daj mi znać, co z tego wyjdzie.

– Jasne. – Wyglądał na nieco zirytowanego. – Problem w tym, że nikt jeszcze nie wie, co z tego wyjdzie. Ale komputery staną się coraz powszechniejsze. A ja zajmuję się...

– Pisanie kodów? – zapytała.

– Ta.

– Co to znaczy?

– No dobra, jak chcesz, żeby komputer robił te różne rzeczy, o których mówimy, musisz się jakoś z nim komunikować, nie? Więc pomysł o kodzie jak o języku. Angielskim. Urdu. Mówiłem twoim znajomym, że ta umiejętność jest ważniejsza od posługiwania się językami obcymi, że trzeba umieć prowadzić rozmowę z komputerem, żeby tworzyć programy, które komputer obsługuje, to jest ważniejsze dla przyszłości niż cokolwiek, co napisano drukiem na jakiejś pierdolonej stronie. – Odczekał chwilę. – Taa... twoi znajomi byli tak samo przekonani jak ty. Więc postanowili to uczcić. „Hej, zrobmy imprezę z okazji końca słowa pisanego”.



Otworzył ramiona na cały pokój.

– To ich święto. Wokół fruwią kartki z kodem. Pisziesz imię, w kluczu każda litera odpowiada liczbie. Więc możesz przekształcić swoje imię w kod zerojedynkowy, BASIC. Potem będziesz mogła chodzić po salonie i przedstawiać się swoim kodem. Ponieważ to był mój błyskotliwy pomysł, jestem jakby zobligowany, żeby tutaj być.

Na blacie ktoś położył nowe kartki papieru. Alice chwyciła jedną z nich i przestępując z nogi na nogę, zajrzała do klucza. Odczytała kod, zastanawiając się przez chwilę.

Nienagannie skrojone wielkie litery:

JEDEN.

## Wynalezienie ognia

Wśród bąbelkowych kopert, które nadeszły pocztą tego dnia, znalazła się jedna, w której przysłano nowoczesny magazyn multimedialny wydawany przez kilku karierowiczów dilujących kulturę oraz dwie płyty z pierwszymi poziomami trójwymiarowych gier RPG. Za każdym nadawcą stały miliony wierszy kodu – pisanego miesiącami, a może latami – wypalone na płycie kompaktowej i wysyłane w świat przez inne wygłodniałe młode wilki o wielkich ambicjach, marzeniach i dodatkowo umiejętnościach wciskania ludziom kitu. Było to nieco przygnębiające, kiedy Oliver się nad tym zastanawiał. Oddzielił materiały reklamowe od kolorowych magazynów mody Alice i nie zwrócił uwagi na wypadające z nich karty prenumeraty.

Najważniejsze były i tak małe koperty, ukryte pomiędzy tymi dużymi. Działy finansowe szpitala wysyłają, jak wiedział, faktury każdego dwudziestego. Zaczynało go mdlić w okolicach dwudziestego trzeciego, co nasilało się za każdym razem, gdy zbliżał się do skrzynki na listy. Wyjątkowo przerażające były urzędowe błękitne jak niebo koperty wypchane tonami procedur rachunkowych. Dzisiaj na szczęście nie było nic takiego. Jedyna faktura ze szpitala nadeszła w cienkiej kopercie o jaśniejszym błękitnym odcieniu, do którego już przywykł. W kopercie był krótki nakaz zapłaty: siedemset dolarów za wizytę Alice z 11 kwietnia. Przez całą stronę biegł czerwony ostrzegawczy napis: jeśli rachunek nie zostanie zapłacony, jego egzekucją zajmie się firma windykacyjna.

Nie przywiązywał do tego specjalnej uwagi, sortował lawinę listów z firm ubezpieczeniowych. Wśród nich miesięczny wyciąg za kwiecień, nieduży pakiet zawierający opis opłaconych procedur z wizyty w szpitalu 11 kwietnia, jedna strona objaśniająca, dlaczego niektóre płatności za wizytę z 11 kwietnia zostały przeniesione na następny miesiąc, co zwalniało Olivera z odpowiedzialności, inne krótkie wyjaśnienia, dlaczego obniżono niektóre płatności za wizytę w szpitalu 11 kwietnia, co zmusza go do wzięcia odpowiedzialności...

I coś nowego. Cytrynowożółta koperta. W takim samym odcieniu jak wizytówka florystki. Ugięły się pod nim nogi.

Ale nie... Pismo nadała jakaś instytucja medyczna, której nie znał.

Gdy wszedł do mieszkania, najpierw zauważył Doe z przecierem jabłkowym na buzi aniołka i śpioszkach. Zamieniła tackę w gigantyczne połyskujące bagnisko. Jej jasne oczy lśniły, uśmiechnęła się szeroko do tatusia, kołysząc się w przód i w tył na wysokim stołku, a potem lekko podskakując, co pozwoliło Oliverowi opanować nieco złość. Miał zamiar krzyknąć jak jego ojciec: „Cześć, cześć!”, ale córeczka zaczęła robić jeszcze większy bałagan, rozrzucając przecier wokół siebie.

Obok stołka siedziała mama Alice, przecier spływał jej z włosów, a ona wyglądała na bardzo wyczerpaną w tym oplakany stan. W kuchni był ktoś jeszcze, ktoś nowy: młoda brunetka. Oliver jej nie znał.

– To Samantha – przedstawiła ją mama Alice, starając się zachować spokój. – Pomoże wam, kiedy wyjadę.

Nawet niezła: prosta grzywka, może nieco za długi nos, ale szczerze oczy i ciepły uśmiech. Trzymała łyżeczkę i słoiczek. Jej starania również nagrodzono przecierem, który miała na podbródku, dłoniach i rękawach.

Oliver powitał ją w swoim domu, ale chyba zdradził go niezbyt szeroki uśmiech i brak przekonania. Musi iść dalej, z szacunkiem, ale pośpiesznie, trzymając w ręku zgnieciony list.

Kojące dzwonki i instrumenty dęte – zza drzwi sypialni dobiegały harmonijne dźwięki, co budziło w nim irytację. Wepchnął się do środka, gotów na to co zwykle: kilka wotywnych świec

i przytłumione światło. Ale nie był przygotowany na to, co ujrzał. A ujrzał Tildę na macie do jogi w beżowym trykocie i karmelowych spodniach od dresu; klęczała na jednym kolanie, wyciągając obie ręce ku niebu. Wszędzie odkryta skóra, zaczerwieniona i lepka od potu; wyglądała jak stara antylopa gnu – dysząca i pokryta poranną rosą.

Za jej plecami Oliver dostrzegł żonę zwisającą z przodu łóżka w ciemnych okularach na nosie i baseballowej czapeczce z odwróconym do tyłu daszkiem. Starła się unieść ręce, jakby chciała zasygnalizować przyłożenie. Zdołała podnieść ręce nad barki z ugiętymi łokciami. Jej bicepsy drżały.

– Siedem – powiedziała Sparrow.

Stojąca u wezłowia łóżka uzdrowicielka przyjęła idealną pozycję wojowniczką.

– Oddychaj. Wstrzymaj oddech. Teraz wydech. W porządku, osiem...

Oliver zdał sobie sprawę z dobrze znanego zapachu, który z pewnością nie był aromatem kadzidełek. Czy to naprawdę możliwe, że przypalają, ćwicząc jogę?

– Pamiętasz, jak ten cholerny doktor z karetki nie pozwolił ci jechać ze mną? – Nie mógł już dłużej czekać. – Lepiej włóż buty klauna i przyłącz się do cyrku.

Alice pozostała skoncentrowana i sztywno skupiona.

– Twoja polisa nie pokrywa jazdy karetką. Właśnie dostałem rachunek. Zgadnij ile.

Wytrwała w pozycji. Wypuściła powietrze.

– Tysiąc dwieście dolarów. Buty klauna, tak?

Szkła ciemnych okularów pozostały czarne, ślepe.

– Najogólniej rzecz biorąc, to nic. Dopiero gdy spojrzysz na to...

– W tej chwili nie mogę się tym martwić.

– ...ich tupet...

– Oliver – poprosiła.

„Nie reaguj przesadnie” – napomniął się, czując gorąco na policzkach. No jasne. Niech zajmą wszystkie pokoje. Niech odprawiają tam te swoje rytuały, niech cmokają *empatycznie*.

Wycofał się z tego newage’owego zlotu czarownic, które posyłały mu upalone spojrzenia. Przebiegł obok mamy Alice, odnotowując kątem oka jej zatroskanie. Rozpierało go pragnienie, żeby na nią szczeknąć, pozbyć się stąd tych wszystkich cholernych jędz!

Wybiegł z mieszkania, szturchnął guzik windy, kołysząc się na stopach. Wbił dłoń w kieszenie i stwierdził, że nie jest w stanie wytrwać w tym korytarzu przez pół minuty, czyli tyle, ile ta kurewska rozchwierutana winda potrzebuje, żeby tu z chrzęstem wjechać.

Brow był w drugim biurze przed swoim terminalem, siedział zgarbiony, z wysuniętą szyją. Z tyłu wyglądał jak potargany skoncentrowany zółw.

To dobry znak. Może nawet przełom.

Oliver ruszył w kierunku najbliższego terminala. Usłyszał niskie dźwięki. Zwrotka była rytmiczna, krótka i nieczytelna – ciąg niedługich akordów powtarzających się monotonnie i napędzająco. Białe stożkowate głośniki po obu stronach komputera zniekształcały dźwięk. Mimo to Oliver rozpoznał krótki, wystukiwany palcami riff – prosto z lat osiemdziesiątych plus czynnik obciachu.

Na monitorze przed Browem porzucona stacja kosmiczna, industrialne tło, ciemne wloty korytarzy, wszystko dobrze znane.

Nagle sceneria zadrżała, ekran został rozświetlony przez rój czerwonych pocisków.

Dłoń na środku ekranu odpowiedziała elektrycznym ogniem.

– Dosyć, kurwa, tej *Zaglady!* – rzucił Oliver.

Kazał Browowi przysłać sobie mailem wszystkie robocze pliki z tego dnia. To nie była prośba.

Wyjął z kieszeni mały notes, w którym zapisywał zmiany w programie; każda notatka miała jakiś cel, wystarczyły dwa albo trzy słowa kluczowe, prawie bez symboli i liczb. Miał nadzieję, że ta zwięzłość wymusi na nim zaangażowanie, skłoni jego pamięć do odtworzenia większości starych zadań i stanie się odskocznią do produktywnej pracy.

Dowiedział się, że z domu nikt nie dzwonił.

Położył się na sofie, otworzył laptopa.

Oczywiście, że Alice nie powinna zajmować się pieniędzmi, popełnił kardynalny błąd, poruszając tę kwestię. Ale czy ma ukrywać przed nią każde zmartwienie? Zajmuje się nią, a ona decyduje, czy jego zmartwienia są warte zwracania jej głowy? Bez przerwy krzyczy, jak ważne jest dla niej dziecko, więc dlaczego jakaś obca panna wpycha w Doe przecier jabłkowy, gdy mamusia odlatuje przy bębnoch?

Wyjął z lodówki napój orzeźwiający, przeszedł tam i z powrotem przez biuro, rozplątał kabel od słuchawek.

W notesie gryzmołił nie tylko notatki i pomysły, widniały tam kolumny cyfr: opłaty za taksówki do szpitala i ze szpitala w dniach wizyt, niezliczone kwoty wyrzucanych przez okno pieniędzy. Podliczenia, ile jeszcze wiszą szpitalowi w New Hampshire. Niedokończony rachunek kosztów spoza sieci w Whitmanie, wynikających ze starej polisy. Dwa kawałki miesięcznie idą z dymem na nową polisę rodzinną. Kolejne sześćset na czynsz za nowe biuro. Nie licząc miesięcznych opłat. I piętnastu dolarów za godzinę, które płaci każdemu z tych idiotów, żeby sobie grali w strzelanki. Plus stówka za każdą sesję – wraz z wydatkami – dla tej jebanej uzdrowicielki. Do tego jeszcze ta nowa cipa opiekunka na pełen etat; ciekawe, ile zażąda...

Z drugiej strony faktem jest, że część jego znajomych jeszcze sponia studia.

A cały cholerny naród jest zadłużony po uszy, nie?

Coś wymyślą. Najlepszy sposób to rzucić Generii na rynek.

Spędził więcej niż kilka popołudni na wałęsaniu się po tych pracowniach. Mieściły się zazwyczaj w przepastnych pomieszczeniach oświetlonych gołymi, wiszącymi na drutach żarówkami i utrzymane były w stylu minimalistycznym, jeśli chodzi o meble i oświetlenie. Alice oczywiście pracowała przy jakichś wykrojach: z potarganymi, związanymi gumką włosami trzymała w cudownych ustach kawałek spiętego szpilkami materiału. Nawet w pochłapanych farbą ogrodnickach i krótkim topie wyglądała olśniewająco, tak że zatrzymywał się u niej każdy dostawca i każdy przedstawiciel handlowy, a wszyscy szukali wymówki, żeby ją podrywać. Ale gdy pojawiała się jakaś reprezentantka gatunku *Modelus dramaticus* – na przymiarkę, żeby zrobić fotkę, dać się zmierzyć, spiąć szpilkami lub zmienić czy wreszcie zwrócić taką czy inną szmatkę – górę brała ich eteryczna natura doprawiona cynizmem i zblazowaniem służącymi jako wał ochronny i maska. Oliverowi wystarczały ziemskie kształty Alice, jej otwarta twarz. Wielką radość sprawiało mu to, jak niewiele Alice sobie robi z domyślnej kolejności dziobania wśród modelek i wolnych strzelców. Często zaskakiwała gości swoimi przemyśleniami na temat szytych przez siebie sukienek, gdy taki czy inny łabędź rozdziawiał dziób za stołem, pytała te nastolatki o romanse wystające z ich toreb za trzy tysiące dolarów albo podziwiała noszone przez nie w mieście baletki. Oliver przyglądał się jej relacjom z tymi dziećmi i dostrzegał różnicę między nią a nimi, bo Alice była niemal pulchną, przyzwoitą kobietą, a te zepsute dzidy przyprawiały go o drgawki. Był również w jakimś sensie dumny, mogąc spotykać się z kimś takim jak ona, bo to ona go wybrała, bo to ona się przy nim rozebrała i drżała, i opadła na niego, a potem przyglądała mu się z przecudnym, zupełnie niewinnym zachwytem.

Jej uczucie uwznioślało go, otwierało mu oczy na te lepsze anioły. Dzięki potędze jej uśmiechu stał się mniej wrogi wobec innych. Dzięki jej wierze w niego i dzięki jej dobrej woli zaczął rozmawiać z ludźmi na spotkaniach towarzyskich, choć nadal umiał milczeć jak grób

i nadal wykazywał tendencję do mówienia nie tego, co trzeba. Ale teraz przynajmniej o tym wiedział i teraz przynajmniej przeproszał. Im więcej czasu spędzał z Alice, tym bardziej zdawał sobie sprawę z konieczności nadrobienia niedostatków. Zaczął przywiązywać większą wagę do higieny i wyglądu. Stał się uprzejmy. Udawał przynajmniej, że otwiera się na świat i ogólnie pojmowaną kulturę. Jeśli chciał, żeby ta zdumiewająca kobieta tak na niego spoglądała, jeśli chciał, żeby to jaśniejsze stworzenie należało do niego, musiał się zmienić.

To było osiągnięcie największe ze wszystkich.

Zmierch rozsnuwał swą bezładną magię, gdy przechodził przez Little West Tenth. Wszędzie szaro i jałowo, za dużo tego. Marzył, żeby ktoś odkręcił jakiś wąż i splukał pod ciśnieniem brud i rozpad z całej dzielnicy. Jakim cudem ta zakazana okolica zdołała go uwieść? Ile czasu i emocjonalnego kapitału zainwestował w przekonywanie Alice, że to wymarzone dla nich miejsce? Ile pieniędzy i potu poświęcił, żeby tu być? *Tutaj?*

Odwrócił głowę. Rozejrzał się na wszystkie strony. W tych zaułkach mogło się czaić najgorsze. Ale zauważył tylko dwoje niedożywionych nastolatków pryskających farbą skomplikowane graffiti na burcie osiemnastokółowca. Nie przestali żartować między sobą, gdy ich mijał, co go rozwścieczyło jeszcze bardziej. Ciął dziwnie duszne o tej porze roku powietrze jak nóż.

W połowie drogi przez zrujnowane i zapomniane przez Boga Gansevoort zauważył nobliwą parę wyłaniającą się z jakiegoś obskurnej knajpy. Prawdopodobnie odwiedzili syna, którego utrzymywali i który pracował tu na pół etatu za barem. Szli, trzymając się za ręce, ku jedynej działającej latarni, pod którą stał zaparkowany ich cadillac z rozbitym już przednim reflektorem i urwanym do połowy zderzakiem. Starszy pan tupnął gniewnie nogą. Żona spojrzała nań z przerażeniem i wypowiedziała jego imię. Jakby na jej znak pojawił się niebieski policyjny wóz patrolowy, zwolnił i pojechał dalej.

Oliver nie miał pojęcia, dokąd zmierza. Nie miał żadnego celu. Może pójdzie ku wygodnym zakamarkom i zatłoczonym chodnikom West Village, zagubi się w oglądaniu witryn gustownych butików, gdzie lekarze kupują brokatowe fatalaszki dla kochanek.

Jeśli ma przeżyć następne pół godziny, musi uciec od tego smrodu, smrodu zamarznętej śmierci.

Z przeciwnej strony ulicy dobiegał wędzony aromat prażonych orzeszków ziemnych. Sprzedawca przyglądał się zgrabnym nastolatkom z przedmieść wychodzącym ze stacji PATH, zabijając czas do chwili, kiedy będzie mógł odstawić na noc wózek do magazynu.

Na wiacie przystanku autobusowego wisiał plakat przedstawiający czarną kobietę w pióropuszu i *dashiki* na tle kolorów ziemi. Wyglądała tak stereotypowo, tak po afrykańsku, że aż bolało patrzeć. Oferowała pomoc pod numerem telefonu 900 737 3225 i należała do Kręgu Jasnowidzących Przyjaciół. Brała 3,89 za minutę.

Muskularni młodzi mężczyźni w koszulkach korporacyjnej ligi koszykówki rzucali piłkę do kosza i cytowali hiphopowe teksty. Z przeciwnej strony nadchodziła starsza pani, która zawijała w plastikową torebkę odchody swojego basseta.

Oliver pozwalał, by to wszystko odwracało jego uwagę: klasyczni biali Amerykanie i protestanci z Południa, puszający się Goci i starannie zebrani razem ludzie wypaleni, a każdy z nich nieinteresujący się tym, co go bezpośrednio nie dotyczy. Uwagę Olivera zwróciła wyjątkowo kulturalna, elegancka i wyrafinowana para. Spacerowali leniwym krokiem, wymachując splecionymi dłońmi i dzieląc się ciepło zabawnymi uwagami. O czym mówili? Dokąd pójść na obiad.

Zdumiało go to. Jakby stał się świadkiem wynalezienia ognia.

Wracał już do domu, gdy zauważył dwie kobiety wychodzące ze sklepu z przecenionymi

perukami. Miały bardzo krótkie spódniczki i długie zgrabne nogi obleczone w siatkowe rajstopy, co sprawiało, że nie można było ich nie zauważyć. Pierwsza ciągnęła za plastikową torbę, którą niosła ta druga. Tamta ją odganiała, śmiała się i mówiła, że koniec zabawy.

– Na co się gapisz? O, słodziutki mężuś! – Trzask balona z gumy. – Cześć, mężusiu!

Druga przyłączyła się do niej.

– Hej ty, cukiereczku!

Poruszyła jabłkiem Adama.

– Ach... – mruknął Oliver – ...to wy...

– Nie udawaj, że nas nie poznałeś.

– Hej, Donette... – rzucił. – Michelle.

– Ta, wiem, że widziałeś już wszystko, co najlepsze, maleńki... – Wyciągnęła gumę z ust, długą śliską nitkę, i wessała ją z powrotem. – Jak się trzyma ta twoja śliczna żona?

Co miał powiedzieć? Czy było coś do powiedzenia?

## Można powiedzieć i to

Kocham cię nad życie.

Oliver przyglądał się żonie, która starała się wziąć w garść. Bez czapki. Bez okularów. Bez włosów. Bez brwi, co sprawiało, że widział łuk brwiowy i cętki wyschniętej skóry na jej skroni przypominające muszelki. Skrzywiła się, złościąc zmarszczki w kącikach oczu, lepkie i lśniące. Zamrugła.

Wpatrywała się w drugi koniec pokoju, szukając obiektywu kamery.

– Twoje narodziny są bez wątpienia najlepszą rzeczą, jakiej doświadczyłam – mówiła dalej. – Jestem taka wdzięczna za tyle wsparcia: od douli, Olivera, przyjaciół. Pozwolili mi rodzić bez znieczulenia. Jestem im taka wdzięczna. Miałam to szczęście, że otrzymałam dar czucia, jak wychodzisz ze mnie. Słyszałam te odgłosy i czułam: pult, plump, plum. – Roześmiała się. – Myślałam, że to się nigdy nie skończy. Było tak wiele dziecka we mnie! Tak wiele ciebie! – Uniosła dłoń, dotknęła długimi palcami policzka. Miała czarujący głos. – Gdy zobaczyłam twoją buzię po raz pierwszy... to była najpiękniejsza chwila w moim życiu. A kiedy się dowiedziałam, że jesteś dziewczynką... poczułam tak wielką miłość... nie mogłam zasnąć tamtej nocy, kiedy się urodziłaś... Podziwiałam cię bez przerwy, trzymając cię na rękach. – Wydawało się, że się rozplacze. Ale powiedziała tylko: – To doświadczenie było dla mnie najprawdziwszym błogosławieństwem.

Zdekoncentrowała się, jakby wyszła z transu, unosząc powoli łysą głowę. Wyglądała jak mistyczna trzcina; przez chwilę wpatrywała się w otaczający ją na łóżku chaos: notatki rozrzucone na pogniecionych kwadratach patchworkowej kołdry, małą mosiężną figurkę jakiegoś zmutowanego słonia leżącą na boku. Obok przykrytych patyków, które musiały być jej nogami, stał oparty o poduszkę żółty notes z listą w punktach.

– Uporządkowałam sobie to, co chciałam powiedzieć – oznajmiła głośno. – Ale nie sądzę, żeby to, co jest we mnie...

– Świetnie sobie radzisz – odparła Sparrow, nie podnosząc głowy znad wizjera kamery ustawionej na statywie.

Alice przysłoniła dłonią oczy i spojrzała na Tildę.

– To, co powiedziałaś, jest piękne. – Jej głos dobiegał zza źródła światła. – Mów dalej, kochana.

Zrozumiała. Zapatrzyła się w pustkę albo do wewnątrz, otworzyła jakąś szufladę w głowie i zajrzała do środka. Opuściła powieki, nie podniosła ich. Po chwili na jej spierzchniętych i spękanych wargach pojawił się blady uśmiech.

– Kiedy śpisz, moja kochana Doe, przyglądam się twojej przeogromnej ufności. Pławię się w twoim oddechu, delektuję się buzią, którą kocham nad życie, tą buzią, która jest dla mnie życiem samym... jest... jest... – Pociągnęła nosem, zmarszczyła go. Spod uniesionych powiek ukazały się czarne diamenty, mokre i roziskrzzone. – Znaczy dla mnie tak wiele. – Spojrzała teraz prosto w obiektyw. – Odkąd zachorowałam, całowałam cię tyle razy... Wiem, że nadejdzie taka chwila, kiedy nie będę już mogła cię całować. Gdy przyglądam ci się zbyt długo, nie potrafię docenić wartości twojego widoku. Nie potrafię docenić tej chwili. Ale błagam cię, moja najukochańsza córeczko, zapamiętaj to, co powiem. Ból na twojej twarzy nie jest twoją twarzą, tylko moim od niej oddaleniem.

Od drzwi, nie dla uszu tego świata:

– Jezu.

Oliver, wyczerpany i potargany, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Miał łagodne,

szeroko otwarte oczy, policzki zaczerwienione jeszcze od chłodu. Czuł się ogłuszony, dotknięty i przerażony zarazem.

– Miałeś tego nie widzieć.

Czerwone oczy Alice – od haszyszu? Od płaczu?

– Czy ty się przypadkiem nie poddajesz? Czy nie postępujesz na odwrót?

– Uznałam, że to najwłaściwsza pora.

– Wierz mi, że nie kocham twojego szpitala. Ale wielu mądrych ludzi poświęca życie na walkę z tym gównem i stara się, żebyś wyzdrowiała.

– Nie mogę jeść. Prawie ośleplam. Nie mamy dawcy. Co powinnam zrobić?

Rolety w sypialni były podciągnięte prawdopodobnie po to, żeby wpuścić światło do filmowania, ale zrobiła się już noc i w kątach snuły się cienie. Kolejowa estakada za oknem wyglądała jak poczerniała łupina.

Wtrącił się inny głos:

– Ona się nie poddaje. – Sparrow stała wyprostowana między Oliverem a jego żoną. – Chciałam ci powiedzieć... – zwróciła się do Alice – ...że pytałam o Siddharthę, który zostawił żonę, żeby zostać Buddą.

– No tak, to twoja terapia – wtrącił Oliver. – Masz na koncie zdumiewające osiągnięcia. Tak słyszałem.

– Przestańcie już – rzuciła stojąca z boku Tilda.

– Dlaczego... – poskarżyła się płaczliwie Alice.

– Już wszystko rozumiem – przerwał im. – Chcę się tylko nauczyć. Naprawdę.

Wyleczyłaś kiedyś kogoś z raka? – zwrócił się do Sparrow.

– Mam pewne osiągnięcia.

– Doprowadziłaś do czyjejś remisji?

– W aśramie...

– A gdzie jest ta aśrama?

– W zachodnim Massachusetts, na północ od Berkshires.

– Więc w tej aśramie na północ od Berkshires ilu ludzi wyleczyłaś z raka?

– Oliver, to nie jest miejsce ani czas...

– Jestem dużą dziewczynką, Alice.

Sparrow wbijała w niego wzrok, ten przedziwnie świdrujący wzrok, którym go mierzyła, szukając słabych punktów. Oliver przez chwilę poczuł jego siłę, chciał się ugiąć, zaufać jej. I właśnie w tym momencie, gdy Oliver czuł, że się waha, Sparrow pozwoliła sobie na uśmiech. W jej głosie brzmiała sama słodycz:

– Przy odpowiedniej opiece i pomocy, właściwych praktykach medytacyjnych i śpiewach zostaliśmy pobłogosławieni dziewięćdziesięcioma pięcioma procentami wyzdrowień. A zanim zapytasz: ponad połowa tych, którzy do nas dołączają, zostaje w remisji.

– Dziewięćdziesiąt pięć procent? No, no! Zdrowieją od jogi i naparów z ziół?

– Poza nauką Zachodu istnieje inna nauka. Lewatywy z kawy oczyszczają krwiobieg. Brokuły i inne świeże, gotowane na parze warzywa...

– Imponujące! Naprawdę imponujące! Ale mam jedno pytanie. Jeśli dziewięćdziesiąt pięć procent chorych na raka ma remisję po waszych lewatywach z brokułów, dlaczego nie widuję cię jeszcze w telewizji śniadaniowej? Dlaczego nie udzielasz konsultacji wszystkim szpitalom na świecie? – Przerwał na chwilę, żeby to do nich dotarło. – Ta choroba to największa pierdolona plaga w dziejach – ciągnął. – Najgorsza! W Whitmanie badają komórki w momencie podziału, żeby się, do kurwy nędzy, dowiedzieć, czy nowe komórki są *potencjalnie* kancerogenne. A ty chcesz mi wmówić, że kompleks przemysłowo-medyczny nie chce się dowiedzieć, czy *brokuły*



leczą raka? Daj spokój. Pfizer posłałby do tej twojej aśramy oddziały szturmowe. Przepuściliby twoje lewatywy przez testy kliniczne jak deszczówkę przez rynnę, komercjalizując wszystko w chuj!

Spojrzał na nią wyzywająco. Ale nie prosto w oczy, tylko nieco wyżej, na mały przedziałek, na poletko obsadzone siwymi włosami i przedzielone wyźlobieniem. Była pewnie najlepszą sekretarką oddziału, zbyt często pomijaną w awansach. A może jakaś głęboka rodzinna trauma doprowadziła ją do załamania? Nieważne, odrodziła się z popiołów – ta wielka mistyczka z Berkshires – i spędza resztę swych dni na głębokiej medytacji i dojeniu chorych rozpaczliwie chwytających się jakiegokolwiek nadziei.

– Budda potrzebował wielu lat, żeby wrócić do zamku. – Głos Sparrow nie był donośny, przeciwnie, brzmiał spokojnie, jak jesienna bryza. – Dziecko, naturalną kolejną rzeczą, było wówczas o wiele starsze, podobnie jak żona Buddy. Choć nie widziała męża od wielu długich, pełnych znoju lat, przyjęła go w zamku bez słowa skargi. Ale minęły trzy tygodnie, zanim Budda odwiedził ją w sypialni.

– Kobiety nie mogą być buddystkami, to fakt.

– Oliver!

– Przeczytałem to w sieci. Żeby doznać przebudzenia, muszą wrócić na ziemię jako mężczyźni. Dopiero wtedy mogą cokolwiek.

Sparrow czekała, wyźlobione przez czas zmarszczki na jej czole pozostały płaskie.

– Żona Buddy powitała go takimi słowami: „Czy musiałeś odejść?”. Na co odpowiedział: „Nie. Ale nie wiedziałbym tego, gdybym nie odszedł”.

Skóra na jej policzkach była twarda i gładka jak wypolerowana deska. Sparrow pozwoliła, żeby dotarło do nich przesłanie. A potem zwróciła się do Olivera:

– Nie biorę za to pieniędzy.

– Bo i, kurwa, nie powinnaś.

Usłyszał czyjeś potknięcie za plecami, uderzenie o coś... źródło światła zamigotało, równowaga przedziwnych cieni i blasku została zakłócona, a potem wróciła.

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać z Oliverem tylko we dwoje. – Gest Alice był stanowczy, położyła dłoń na sercu.

Sparrow zrozumiała, przerwała pojedynek i uściskała Alice. Trzymała ją za obie dłonie, odchodząc, a na samym końcu ich ramiona ułożyły się w okrąg. Szepnęła coś, Alice kiwnęła głową.

Uzdrowicielka zajęła się zbieraniem książek i toreb, a Alice wymieniła spojrzenie z Tildą, porozumiewając się z nią w ich własnym języku. Alice zapewniła je obie, że wszystko będzie dobrze, poprosiła, żeby zostawiły sprzęt, choć bardzo prosi, żeby zgasiły światło.

Wyciągnęła rękę do Olivera i poklepała pościel obok siebie.

Nie usiadł. Górował nad nią.

Zapytał, czy podać jej wodę.

Gdy wypięła dwa łyki, jej jabłko Adama wydało mu się nieproporcjonalnie duże w stosunku do szyi.

Zza gipsowej ściany dobiegały odgłosy wychodzących kobiet, ciężkie kroki i szepty, ostrzeżenie mamy Alice, żeby nie zbudziły dziecka.

– Jeśli umrę za chwilę – powiedziała Alice – obawiam się, że twój mrok weźmie górę.

Przewrócił oczami.

– Mówię to po to, żeby nam pomóc – ciągnęła. – Nie bierz tego do siebie.

– Tego rodzaju ocena zapewnia nam...

Gestem dłoni powstrzymała jego sarkazm. Podniosła głowę, próbując spojrzeć mu

w oczy, co okazało się niemożliwe. Zamknęła powieki i już ich nie otwierała.

– Chcę tylko, żebyś wiedział. Z całego serca życzę ci, żebyś pokonał ciemność i nie utknął w niej.

– Ja się nie poddam, Alice...

– Będziesz miał jeszcze cudowne życie beze mnie. Spotkasz kogoś innego, kto będzie dla ciebie dobry, kto będzie dobrą mamą dla Doe. Ale stanie się tak tylko wtedy, gdy otworzysz się na taką ewentualność.

– Nie poddam się. Jeśli to, co mówisz, oznacza, że ktoś musi być Wielkim Chujem w tym towarzystwie, w porządku, przyjmuję ten zaszczyt. Ale...

Przygryzła wargę, położyła mu dłoń na kolanie, wyczuła napięcie, mocny opór.

– Wiem, jakie to dla ciebie trudne. Czuję napięcie, w jakim żyjesz. Ale to cię zatruwa, Oliver. Dajesz mi tyle radości! Chciałabym spędzić z tobą całe lata. Chcę nawet przejść z tobą przez to piekło. Chcę, żebyśmy byli rodzicami. Ale jeśli nie będzie mi to dane, nie chcę, żebyś robił to sam.

– Ta, fajnie – mruknął. – Ale pozwolisz, że nie będę się tym teraz zajmował.

– Bądź otwarty na miłość, Oliver.

– Chryste...

– Bądź otwarty na dobro.

Skupił się, wypowiadając starannie każde słowo:

– Usiłuję rozgryźć, jak żyć z tym, co mi zostało. – Odwrócił głowę, czuł ucisk w gardle. – Czy właśnie taki był Joey? Ten od klawiszy?

Wzdrygnęła się. Otworzyła usta, jakby chciała powiedzieć: „Och”. Ale milczała. Podniosła rękę jak do obgryzania paznokci. Jej czoło i policzki zaczerwieniły się, źrenice zaślniły.

Zmusiła się, by popatrzeć mu w oczy – badawczo, z namysłem.

– Muszę coś dla ciebie zrobić – powiedziała. – Chodź, usiądź.

Nie czekała, aż usiądzie, wyciągnęła rękę i dotknęła poły marynarki, uniosła ją i sięgnęła po sprzączkę paska.

– Co ty... – zachnął się. – Hej.

Niezdarnie i powoli, guzdrząc się, bo wyszła z wprawy, rozpięła w miarę fachowo pasek i nie spojrzała nawet na pogniecione poły koszuli. Musiała natomiast odnotować, że przytył, że obrósł tłuszczem, bo nigdy nie był taki gruby jak teraz, ale nie dała tego po sobie poznać. Oliver pozostał spięty, poirytowany, lekko zaniepokojony. Ale nie przerwał jej rozpinania guzika dzinsów, odsuwania zamka, sięgania w głąb.

W pokoju rozeszła się woń piżma. Był ciepły, spocony, lekko zaczerwieniony, nie całkiem sflaczały, ale z pewnością nie sztywny. Opuściła dzinsy i bokserki do połowy białych ud. Przestał oddychać, wstrząśnięty tym, co się działo. Jęknął, gdy ujęła go w dłoń. Zwiększyła tempo, starając się najlepiej, jak mogła. Wzdychał, patrząc na jej dłoń na sobie. A potem wbił wzrok w kąt sypialni, w to miejsce między gipsową ścianką działową a schodzącym pod dziwnym kątem dachem, gdzie była maleńka szparka wpuszczająca dźwięki i zapachy. Znow jęknął, gardłowo, z aprobatą.

Szybko domyślił się, że rozboleła ją ręka. Ale to jej nie przeszkodziło, nie wahała się, pochyliła się i pocałowała go w nabiegłą krwią żołądź, liżąc niezdarnie niczym niepewny kociak wokół krawędzi. Objęła go ciepłymi wilgotnymi wargami. Zgarbił się i wydał niechęcy jakiś wysoki odgłos; odchylił głowę i zamknął oczy. Prawą ręką dotknął jej potylicy. Czuł pod palcami pustynię jej skóry. W pokoju zrobiło się cieplej, Alice oddychała szybciej. Rzuciła się na niego z odważnym postanowieniem, coraz szybciej i szybciej. Pulsowały jej policzki.

Ale nawet się nie zbliżył do orgazmu.

Podniósł ją ostrożnie, zdjął z siebie i uniósł ku własnym ustom, całując ją z największą czułością, którą w sobie miał; na jej wargach poczuł własne ciepło i sól.

Przycisnął jej kruche ciało do siebie, położył jej głowę na swoim barku, pieścił jej potylicę i śmiał się, zaskoczony, trzymając ją ciągle w ramionach.

Płakała, płakała długo, jej szlochanie się nasilało, miotając całym ciałem.

– *Favorito* – powiedział. – *Favorito*.

## Część IV

### Przebudzenie

Starasz się nie gapić na mężczyznę bez szczęki – tego, który stoi pod kwiatami. Ale ten nieszczęśnik z garbem i marmurowymi oczami chce, żebyś patrzyła, chce, żebyś go zobaczyła. Gdy mijasz jakąś bezradną kupę kości na noszach, musisz się mocno nagimnastykować, żeby nie wbijać oczu w ciemnofioletowe wrzody mięsaka Kaposiego. Siadasz na jakiejś sofie, czekasz na wizytę. Starasz się nie niepokoić rzędem przyszłych trupów podłączonych do rurek z tlenem, nie myślisz o przypadkowości choroby, braku powodu, dla którego ktoś zdrowieje, a ktoś inny nie. Obrzucasz wzrokiem tych nieszczęśników przez ułamek sekundy, nie możesz tego nie zrobić, a twoje serce bez dwóch zdań wyrwa się do nich. Ale też: „Przynajmniej nie jest ze mną aż tak źle”.

A potem wchodzisz do poczekalni innej niż twoja zwykła poczekalnia i czujesz, że wszystkie oczy wpatrują się w *ciebie*, po czym odwracają się z lękiem.

Jestem w punkcie, w którym muszę przywoływać wewnętrzną wojowniczą boginię, żeby spojrzeć w lustro. I nadal płaczę. Od czasu ostatniej konsolidacji odrastają mi włosy, ale są jak puszysty meszek, niemal przezroczyste i cienkie. I bardziej siwe z przodu niż ostatnio. Moja twarz przypomina czaszkę wykopaną po tysiącach lat, mam suchą, szorstką skórę. Jako dziewczynka zawsze chciałam mieć takie wielkie zdumione oczy jak bohaterki anime. Teraz je mam. Są uwięzione w pustych oczodołach, skąd usiłują się wyrwać. Po lekach mam spuchnięte policzki jak po nieudanej operacji plastycznej. Krzywiłam się na nadwagę po ciąży, teraz za nią tęsknię, marzę o nadmiarze tłuszczu na biodrach i udach (przez całe życie nienawidziłam swoich grubych ud). Kości biodrowe wystają przez skórę, co przypomina mi te nastoletnie modelki, dla których szylam, choć wcale nie jestem do nich podobna.

Wyglądam jak więźniarka obozu koncentracyjnego, mówię to z przykrością, ale to nieuniknione skojarzenie.

Moje znikanie dotyczy też cienkiej wspaniałej obrączki z prostego złota. Pół roku po ślubie palec serdeczny nabrzmiał mi tak bardzo, że nie miałam wątpliwości, że już nigdy jej nie zdejmę. Ta myśl: „Nigdy jej nie zdejmę” zawsze wzbudzała we mnie podniecenie. Podczas jakiegoś długiego obrzucania ścięciem spoglądałam na swoją dłoń, widziałam ten błysk i myślałam: „Mam w życiu coś więcej od mody”.

Teraz przy każdym opuszczeniu ręki obrączka spada.

Pełnia jesieni. Na dworze jest chłodno, a noce stają się coraz dłuższe i dłuższe. Staram się zajmować tym, co najpilniejsze. Odebraliśmy telefon. Dostaliśmy awans. W tej nowej poczekalni wisi inny obraz – dobrze znaną retrospektywę impresjonistów zastąpił Lichtenstein. Ale rzędy krzeseł są tak samo nudne, rosną tu takie same zakurzone kwiatki i leżą podobne antykwaryczne czasopisma. Gdy mimo to widzę moją ulubioną dyplomowaną pielęgniarkę, czuję kopa: coś jakby nadzieję.

Zaciskam dłonie na wyściełanym metalowym oparciu. Zapieram się i odpycham, unosząc się jakoś i zawisając nad fotelem. Ale ten fotel na kółkach jest za niski. Nie mogę wyprostować ud, żeby stanąć.

– Zazwyczaj jakoś mi się udaje – mówię Requicie.

– Wiem – odpowiada.

– Ale tym razem nie. – Uśmiecham się.

Oliver, który mi się przygląda, kręci się niespokojnie. Wiem, że jest poirytowany tym, że niepotrzebnie marnuję energię. Pochyla się, chwytając mnie pod pachy i unosi lekko.

– Raz – zaczyna – dwa i...

Prostujemy się; sprawdza, czy złapałam równowagę.

– Jeszcze raz – mówi. – Gotowa?

Nie pozwalam mu odliczać. Przesuwam się sama na lekarski stół, bez pomocy.

Miły w obejściu, chudy i wysoki, gęste falujące włosy z przedziałkiem na środku – ten lekarz przypomina mi jakąś gwiazdę tenisa albo surfera z lat siedemdziesiątych.

– Sergio Blasco – przedstawia się z hiszpańskim, europejskim hiszpańskim akcentem, kultywowanym niewątpliwie przez lata edukacji w szkołach z internatem. – Przejmuję pani leczenie. *Naturalmente*, będę się nadal konsultował z Eisenstattem. Ale od tej chwili, podczas przeszczepu i później, proszę traktować mnie jak swojego lekarza.

Gdy wypowiada nazwisko Eisenstatta, mówi z ledwo zauważalnym lekceważeniem, a nawet pogardą, co czyni go bliskim memu sercu.

Pokasłuję z aprobatą, a Blasco pochyla się, marszcząc brwi.

– Od jak dawna ten kaszel?

Odpowiada za mnie Oliver:

– Od kilku dni.

Blasco nie przestaje mi się przyglądać, a cienkie brwi stykają się ze sobą.

– Dwa dni? Pięć dni?

– Pani kasłała już w piątek podczas wizyty – dopowiada Requita. – Teraz to kasłanie się pogłębiło.

– Czy mogę? – Blasco chwyta stetoskop.

Z boku podchodzi pielęgniarka i zarzuca mi ciepły cienki koc na ramiona niczym poncho. Przystawia mi kubek z wodą do ust, kiwam głową, dziękuję i zatrzymuję kubek. Blasco bada mnie, słucha, nie porusza się. Wyjmuje słuchawki z uszu i wraca do karty. Czyta, przerzuca strony.

– Zgadza się – mówi. – Mamy tu wirusowe zapalenie żołądka.

Wiem, że zastanawia się nad tym, co we mnie wysłuchał i co przeczytał, i jak jedno ma się do drugiego...

– Nos i gardło. – Zwraca się do Requity: – Będę potrzebował kultur. Zrób to dziś.

Małe szare oczy popatrują to tu, to tam, przyswajając sobie wszystko, ale Blasco zachowuje spokój. Gdy przenosi wzrok na mnie, wyczuwam, że patrzy jak człowiek, a nie jak lekarz okazujący fachowe współczucie. Sztywnieją mi ramiona i szyja, co może mieć jakiś związek z uwagą, którą mi poświęca przystojny mężczyzna. Ale to chyba za proste. Dzieje się coś innego. Mimo swobodnej sportowej sylwetki Blasco jest myślicielem, docieka, szacuje. Czy tego rodzaju szacowanie może nie wyprowadzać z równowagi?

– Cała historia choroby wskazuje, że jest pani imponującą osobą. To bardzo nam się przyda. Przeszła pani przez leczenie wstępne i... cztery...? *cztery* konsolidacje. To było wielkie ryzyko. Ale wreszcie pojawił się dawca. To wspaniała wiadomość! Przeszła pani przez najgorsze: i przerwy, i najcięższą harówkę. Ale znalezienie w taki sposób dawcy i pobranie szpiku tuż po jego odkryciu to wielkie szczęście!

Kiwam głową.

Klaska w dłonie bez ostrzeżenia, co brzmi jak krótka sucha eksplozja i jest sygnałem zwracającym uwagę.

– Procedura, którą chcemy zastosować, nosi nazwę allogenicznego przeszczepu szpiku. „Allo...” to z łaciny „z zewnątrz”. Praktyczny termin. U dawcy przeprowadza się nakłucie talerza kości biodrowej. Szpik pobiera się z kręgosłupa przez pięć dni. Wykorzystujemy komórki macierzyste do wyprodukowania nowego szpiku dla pani.

Czeka, upewniając się, że nadażam.

– To bardzo skomplikowana procedura. W grę wchodzi wiele czynników. Ale mamy powody, by przypuszczać, że zakończy się powodzeniem.

– Tylko tyle chcemy wiedzieć – mówi Oliver.

„Chcemy wiedzieć o wiele więcej!” – mam ochotę krzyknąć. Ale czuję na sobie badawcze spojrzenie Olivera.

– Nie będzie pan rysował niczego na tablicy?

To moje pierwsze słowa do lekarza, wypowiedziane piskliwym jak ćwierkanie ptaka głosem.

Nieruchomieje, chyba nie rozumie.

– To taki żarcik. Proszę mówić dalej.

Nieco skonsternowany Blasco podnosi rękę z biodra. Podpiera podbródek dużą dłonią. Jego oczy nabierają stalowej barwy. Czuję jakiś osad, coś, czego nie potrafię zaklasyfikować.

– Pani szpik, o czym wiemy, produkuje komórki białaczki. Z tej przyczyny chcemy go zastąpić. Mamy nadzieję zrobić to z wykorzystaniem zdrowego szpiku od dawcy. Ale zastąpienie szpiku oznacza dodatkową niefortunną okoliczność, mianowicie taką, że najpierw musimy usunąć albo wyeliminować pani własny rakotwórczy szpik.

Zamykam oczy. Dokonuję szybkiej wizualizacji, wychodząc naprzeciw ciemności.

– Uwolnicie mnie od cierpienia – mówię. – I od przyczyny cierpienia.

W pokoju zapada cisza, nikt nie wie, jak potraktować tę uwagę, nie mówiąc już o odpowiedzi na nią. Doktor chrząka.

– To, co przed panią, pani Culvert, nie będzie łatwe.

Otwieram oczy. Blasco cierpliwie czeka.

– Wiele już pani przeszła, wiem. Ale to, o czym mówimy, jest jedyne w swoim rodzaju. Przechodzi pani maraton sprintów. Przebiegła pani sprintem już wiele długości. Teraz czeka panią kolejny maraton, wymagający ogromnego męstwa i wytrzymałości. Chcę, żeby była pani silna, najsilniejsza, jak się da. Chcę, żebyśmy wszyscy byli przygotowani.

Mam w ustach pustynny szlak. Brakuje mi śliny, żeby przełknąć.

– Nasz pierwszy krok – zaczyna ostrożnie Blasco – nosi nazwę „kondycjonowanie”, polega na silnej radioterapii, trwającej zazwyczaj trzy dni. Po dwa naświetlania dziennie. Czasem nawet trzy. Wszystko będzie zależało od pani wyników. Jeśli pojawią się problemy i trzeba będzie zwolnić, dodamy czwarty dzień.

– Pokoje pacjentów na piętrze przeszczepów są o wiele ładniejsze – mówi Requita. – To dobre miejsce na rekonwalescencję.

– Tak nam mówiono – rzuca Oliver, nie podnosząc głowy znad notesu.

– Następnym krokiem po naświetlaniu jest silna chemioterapia. Tiotepą. Cyklofosfamidem. Doksorubicyną. Innymi lekami i sterydami wzmacniającymi skutki. Przez cztery dni. Potem dzień odpoczynku.

Oliver pisze najszybciej, jak się da, ja natomiast usiłuję rozsypać splątane wnętrzości. Mam wrażenie, że strach wycieka mi z oczu. Próbuję odetchnąć, przypominam sobie, jak się oddycha.

Na twarzy Blasco maluje się wyraźne zatroskanie.

– Wszystko w porządku?

Kiwam głową, a on mówi dalej:

– Po odpoczynku podamy pani komórki macierzyste. Ta część nie jest zła. Komórki macierzyste są dostarczane do krwiobiegu dożylnie, zazwyczaj przez dojsście centralne. W podobny sposób jak przetoczenia krwi, które pani już miała. Komórki macierzyste wędrują

wraz z krwią do szpiku, gdzie się zagnieżdżają. Poczekamy podczas pani rekonwalescencji, aż przeszczep się przyjmie i szpik zacznie pracować, przyrastać w pani kościach. Zwykły pobyt w szpitalu trwa od czterech do sześciu tygodni.

Wyjmuje długopis, włącza go i wyłącza raz po raz dużym kciukiem, co niewątpliwie jest tikiem nerwowym.

– Jestem przeciwny owijaniu w bawełnę. Bardzo się martwię pani utratą wagi. Martwię się, czy pani organizm zniesie rygor przeszczepu. Martwię się, że pani serce nie wytrzyma napięcia. Ale to nie są powody, dla których nie warto próbować. Przeprowadzimy badania. I albo sobie pani poradzi, albo nie.

Trudno zdecydować, w którą stronę mam obrócić głowę, gdzie wbić wzrok. Zauważam, że Blasco wystawił długie nogi, skrzyżował je w kostkach, że ma podzielowane buty na czubkach i piętach.

Requita podaje doktorowi nową podkładkę z dokumentacją medyczną, on odbiera ją bez słowa, tłumaczy, że musi zadać mi kilka pytań wstępnych, zanim przejdziemy dalej. Oliver wierci się jak zwykle i znów odgrywamy największe przeboje: choroby w rodzinie, jak zostałam zdiagnozowana, czy zażywałam narkotyki, wziewne środki odurzające? A potem:

– Czy przez ostatnie pięć lat odbywała pani stosunki płciowe z prostytutką bez prezerwatywy?

– Ha! Chciałabym.

– Pani życie płciowe przez pięć ostatnich lat było...

Przełykam ślinę przez zaciśnięte gardło.

– Monogamiczne, owszem.

Gdy kończyłam spotkania z przyjaciółkami czy medytację, gdy kończyłam ćwiczenia relaksacyjne albo budziłam się po drzemce i nikogo ze mną nie było, Oliver zachodził do mnie, przynosząc ze sobą czasem Doe. Odbierał Jagódkę opiekunce i gryzł maleństwo w nos.

– Daa – mówiła ta nasza duża dziewczynka, gaworząc i chichocząc, a on kołysał nią niczym szmacianą lalką, podrzucał i podnosił, a potem wreszcie z wielkim „pufff” sadzał na poduszce obok mnie.

Czasami, jeśli Doe była już ze mną w łóżku, psuł nam zabawę albo porywał książeczkę, którą jej czytałam, i pakował się bezczelnie do naszego świata. „Cześć, ślicznotko” – mówił. Albo: „Dobry wieczór, moje serduszko”.

Czasem też nic nie mówił i rzucał się na mnie, całował wilgotnymi ustami moje spieczone wargi. (Rozpoznawałam z łatwością jego dobry nastrój, bo najpierw całował mnie gorąco, a potem bardziej zmysłowo). Właził pod kołdrę albo kładł się na niej, uważając, żeby mnie nie zmiażdżyć albo nie kopnąć w nogę. Wtulał się we mnie, brał moją dłoń w swoje dłonie niczym orzeszek. Opadał na plecy, wtapiał się w łóżko, zamykał oczy i wypuszczał powietrze, leżąc przez chwilę spokojnie, a jeśli musiał się ruszać, to głaskał mnie po głowie, odwracał się w moją stronę i całował najdelikatniej i najzwiewniej w zamknięte powieki. Zazwyczaj śmierdział potem, wydzielał ciepło, zmęczenie i rozedrgane końcówki myśli, często miewał zaczerwienione oczy od wielu godzin drobiazgowej logiki i wpatrywania się w ekran. Leżeliśmy razem aż do obiadu albo do pory na tabletki, zależy, co było pierwsze.

Gdy myśli się o błogosławieństwie jako czymś, czego się potrzebuje, choć się o tym nie wie albo nie wie, jak o to poprosić, to popołudnia z nim były błogosławieństwem.

Ale było też coś innego. Od czasu ślepoty albo dzięki technikom medytacyjnym miałam bardziej wyostrzone i dostrojone zmysły. Tamtego lata zdarzały się takie przypadkowe popołudnia, kilka, niezbyt wiele, gdy Oliver kładł się przy mnie, przytulał i wtulał, brał mnie za rękę albo głaskał po głowie, a ja czułam na jego skórze... no właśnie, co? Nie całkiem nic,

niezbyt wiele, ale jakąś chemiczną odmianę niczego, antyseptyczną świeżość emanującą z jego ciała, wplątaną we włosy.

Od szamponu? Żelu do kąpieli? Ten zapach pojawiał się... hm... może co dwa tygodnie. Nawet nie wiem, czy regularnie. Ale czułam go.

Za trzecim albo czwartym razem zapytałam Olivera, czy ćwiczy.

– Chyba bierzesz prysznic na siłowni?

Znieruchomiał.

– Pytam, bo nigdy nie mówiłeś, że w tym nowym biurze jest prysznic. Przypuszczam, że używałbyś go częściej, gdyby tam był.

Czułam, że szuka po omacku, domyśliłam się, że jest skonsternowany.

Pokręcił przepraszająco głową. Uśmiechnął się lekko. Nie mówił o tym? Brow załatwił wejściówki dla gości do klubu fitness Crunch. Usiłuje jakoś radzić sobie z stresem. Wydawało mu się, że mi mówił.

Potem już nigdy nie czułam tego antyseptycznego zapachu czystości. Ani w jego włosach, ani na skórze. Ten zapach zniknął. Jego wizyty w klubie pozostały niewyjaśnionymi anomaliami. A Oliver był dla mnie jeszcze lepszy. Niemożliwie dobry: każdego ranka budził mnie pocałunkiem, podawał lekarstwa, parzył ziołowe herbaty. Siadywał przy mnie i czytał, przynosił mi wodę z lodem, karmił delikatną jajecznicą. Pojechał do sklepu z zaopatrzeniem medycznym w Chelsea, kupił chodzik i nauczył mnie używać tego diabelstwa. Dbał o to, by chodzik stał rano przy łóżku, i pomagał mi się podnieść. Załatwiał przewozy do szpitala, pomagał w pakowaniu chodzika do bagażnika i rejestrował mnie w rejestracji. Potem wracał, siadał obok i trzymał mnie za rękę. Podczas pustych nieobecnych godzin, które spędzałam w naszym małżeńskim łóżku, wracałam myślami – nic na to nie mogłam poradzić – do tego zapachu czystości, nie wiedząc, co o nim sądzić i dlaczego mój umysł mi to robi.

Opiekunka zajmowała się Doe, upewnił się i zamknął jak gdyby nigdy nic drzwi do sypialni, po czym usiadł na krawędzi łóżka. Jakimś cudem moja dłoń znalazła się w jego dłoni.

– Więc to wygląda tak...

Choć zabrzmiało to idiotycznie, pomyślałam najpierw, że skurczyły mu się w praniu ulubione dżinsy albo że popełniłam kosztowny błąd, bawiąc się jego laptopem. Poczułam ukłucie winy. „Cokolwiek to jest, nie chciałam!”

A po chwili pomyślałam: „O-o”.

Spojrzał mi w oczy, a potem podniósł wzrok, jakby z czymś się zmagał.

„Nie potrzebuje intymności” – powiedział. Nie chce żadnych komplikacji emocjonalnych. Ani kochanki. Ani zdrady. Nie będzie bzykał opiekunki. Jestem dla niego wszystkim.

Rozumiałam każde jego słowo, ale ich zestawienie i to, co mówił, nie odnosiło się do mojego życia.

Dalej ukrywał prawdę, krążył i dotykał tematu tylko przez moment.

– Nie chodzi o to, że cię zdradzam. Cholera, zastawiłem firmę. Poświęciłem wszystko, żebyś wyzdrowiała, żeby zajmować się Doe. Ja tylko... Chcę tylko sprawić sobie ulgę. Nie czuć tego zwierzęcego popędu. Robię to anonimowo. I to znika. I znów jestem dobry i zajmuję się tobą. Jestem z tobą pod każdym względem.

Zrobiłam wielkie oczy, trzęsły mi się ręce. Jedną trzymał w swojej dłoni, ale się trzęsła, więc ją puścił. Nie byłam w stanie wykrztusić słowa. Nie mogłam złapać tchu.

Oliver wyjął z portfela wizytówkę. Miała żółty kolor bladego słońca. Była pozginana. ALEXA FLORYSTKA. Tak było na niej napisane. A poniżej drobniejszym czarnym drukiem slogan: WSPANIAŁE KWIATY Z CAŁEGO ŚWIATA. I numer telefonu. Miałam mgłę przed oczami, numer i litery rozplywały się.



Od lata. Całe miesiące czegoś takiego.

Zawsze się zabezpieczał. Chciał, żebym o tym wiedziała. Ale to wszystko go przytłaczało, rujnowało go. Powiedział, że nie potrafi już dłużej kłamać. Nie chce tego. Nigdy nie był dwa razy u tej samej kobiety. To nic nie znaczy.

Jakaś dłoń w rękawiczce sunęła po moim torsie, po żebrach. Czułam jej lodowaty uścisk, gdy chwyciła mnie za serce.

Jedna z naszych ostatnich randek przed moją chorobą. Przeszkoliliśmy opiekunkę, a potem uciekliśmy szybko do małego zatłoczonego baru z tapas gdzieś przy jakiejś bocznej uliczce w Chelsea. Zaopatrzeni w dobrą sangrię (tylko odrobinę owocową, żeby poczuć smak i nie zabijać alkoholu), czekaliśmy na małe gorące talerzyki z przekąskami: duszone chorizo, młode ziemniaki z ziołami, ciepły krem szparagowy. Przy stole z prawej strony wybuchła awantura, kobieta rzuciła serwetką, mężczyzna odsunął się gwałtownie i sięgnął po portfel. Trudno było ich nie zauważyć: zabierali z pośpiechem płaszcze, ich twarze zastygły w gniewie, oboje przedzierali się przez wąskie zatłoczone przejście. Gdy znaleźli się bezpiecznie na zewnątrz, wszystkie pary w restauracji, w tym Oliver i ja, odetchnęły z ulgą, jakby mówiąc: „To nie my...”.

W półmroku, przy ceviche z przegrzebkami, przypomniałam Oliverowi o naszej pierwszej dużej kłótni i powiedziałam mu, że później zadzwoniłam do matki, która dała mi taką radę: w każdym udanym związku, w każdym bliskim sobie małżeństwie nadchodzi taka chwila, że bez względu na to, jak bardzo się kocha, wie się o sobie za dużo, o wszystkich dobrych rzeczach i złych. „Oboje jesteście ludźmi, skołatаныmi ludźmi”.

Tamtego wieczoru, gdy chodziłam ślepa wokół kwartału i Oliver dopytywał o Merva, słowa matki ciążyły mi jak kamienie. Odpowiedziałam, że może mieć rację albo możemy pozostać małżeństwem. Dodałam, że muszę być jego żoną. Ta bomba przypomniała mi o tamtym, o tamtych słowach. Przez następne tygodnie kurewska bomba Olivera i moje własne myśli z korytarza Whitman Memorial: „Chwała Bogu, że nie jestem taka zła” przekształciły się w rozumowanie: „No tak, znam teraz drugą stronę”. Ale słowa matki pozostały. I gotowałam się w nich, gotowałam się z gniewu i oburzenia we własnym zalewającym mnie pocie i upokorzeniu, we własnej gołej rozpacz.

„Zabawne, że pan pyta, doktorze. Bo tak się składa, że mój mąż regularnie chodzi na kurwy”.

Prawda oznacza, że ubezpieczyciele mieliby wymówkę, żeby nie wydawać kosmicznych kwot na tę procedurę. Daje im wyjście kończące moje życie.

Oliver nie waha się ani sekundy, odpowiadając Blasco – kłamie jak z nut, kłamie jak na zamówienie.

– Oczywiście, że nie.

Blasco zaznacza coś na liście i nie podnosi głowy.

– Świetnie.

Doktorowi się nie śpieszy.

– Po przeszczepie – mówi, jakby wyjaśniał gościowi zasadę działania podstępnego zamka w drzwiach – pani układ odpornościowy będzie nawet słabszy od układu noworodka. Wszystko to, o co pytają matki noworodków, będzie miało zastosowanie wobec pani: „Czy mogę zabrać dziecko tu czy tam? Czy można prześwietlać noworodka?”. Podstawową kwestią jest to, kto będzie się panią zajmował. – Blasco przenosi wzrok ze mnie na Olivera. – To jest jak codzienna praca w szpitalu, praca pielęgniarki. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przez siedem dni w tygodniu.

Oliver znów nie waha się ani sekundy.

– Ja jestem jej głównym opiekunem. Byłem. Będę.

Narasta we mnie sprzeciw. Chcę krzyknąć: „Nie!”. Ale się opanowuję.

Mama będzie musiała zająć się Doe. Tilda właśnie zaczęła nową pracę jako asystentka redakcyjna. Inni znajomi pewnie zechcą pomóc, ale nie mogą rzucić wszystkiego. Oliver jest jedyną osobą, która może ze mną przez to przejść. Patrzę prosto przed siebie na doktora. Oliver zaciska szczęki, napina ścięgna w sposób, który świadczy, że wie, że patrzę. Porusza jabłkiem Adama.

Więc doszło do tego, że muszę zdać się na łaskę procedur medycznych, w które nie wierzę i którym nie ufam. Muszę porzucić myśl, że będę matką dla swojego dziecka, muszę porzucić dziecko. Jestem w zasadzie bezradna i muszę zaufać Oliverowi, choć nie mogę na niego patrzeć, nie mogę nawet o nim myśleć. Nie wiem, czy jesteśmy jeszcze małżeństwem. Nie wiem, czy razem żyjemy.

Pierwsza Szlachetna Prawda o Cierpieniu mówi: „Rodzisz się. Żyjesz. Cierpisz i chorujesz. Umierasz”. Ale, rzecz jasna, nic nie jest takie proste.

– Co mam zrobić? – pytam. – Muszę to zrobić, więc zrobię. – Drżą mi ręce, nie mogę nad tym zapanować. – Ona zaczyna chodzić. Wypowiada pierwsze słowa. Nie chcę, żeby za mną tęskniła. Muszę to zrobić, ale jak mam ją zostawić?

Oliver nie śmie się poruszyć, ale nawet nie musi. Requita stoi obok mnie i masuje mi plecy okrężnymi ruchami.

– Ona nic nie będzie pamiętała. To tylko pani problem.

– Jest pani trochę wyczerpana psychicznie – zauważa doktor Blasco.

– Znów się rozpadam w pokoju badań. – Pociągam nosem. – To takie upokarzające. Niektóre rzeczy w ogóle się nie zmieniają, jak sądzę. Ale to ostatni raz. Proszę mi wierzyć.

Oliver podaje mi płaszcz. Opuszcza podstawki na wózku inwalidzkim i stawia na nich moje stopy. Wyjeżdża ze mną z pokoju badań i nie śpiesząc się, popycha wózek do windy. Pada, gdy wyjeżdżamy na dwór, a Oliver dba o to, żebym nie zmokła – umieszcza mnie pod starą metalową markizą i biegnie do krawężnika, żeby sprawdzić, czy wynajęty przez nas samochód jest tam, gdzie powinien być. Samochodu nie ma. Próbuje więc złapać taksówkę, ale oddaje ją dwójgu starszym ludziom. Deszcz nieco zelżał, odkąd przyjechaliśmy, ale wciąż pada równo. Włosy Olivera są już mokre, woda spływa mu po uszach i twarzy.

Podróż powrotna do domu ciągnie się w milczeniu w nieskończoność, trafiliśmy na południowe korki. Cisza na tylnym siedzeniu jest bardziej mgławicowa niż ta, jaka zwykle zapadała między nami. Oliver pyta, czy jestem głodna. Usiłuje wypytywać, kto przychodzi wieczorem. Mam zamknięte oczy, nie widzę go. Rozpaczynam wizualizację, chcąc to zaakceptować lub uciec. Oliver już się zgodził. Mówi, że mnie obudzi, kiedy dojedziemy do domu.

Bardzo ostrożnie pomaga mi wsiąść do windy, potem w mieszkaniu dość do stołu, woła opiekunkę i Doe do mamusi. Ściskam moją dziewczynkę, a ona powtarza pierwsze ulubione słowo: „Mama”. Oliver przygotowuje owocowe smoothie z proteinami, dziękuję mu. Gdy kładzie mi dłoń na ramieniu, nie odsuwam się. Czy te uprzejmości wskazują na ocieplenie? Muszę w to wierzyć. Zostawia mi przestrzeń dla siebie, ale czuwa, ma mnie na oku.

– Wierz mi, Oliver, że wiem, co to znaczy czuć bijące między nogami serce. – Dłużej już tego nie zdzierzę i idę na całość. – Wiem, jak to jest, gdy chce się uciec. Ale jeśli uważasz, że zasługujesz na lizaka, dlatego że mi powiedziałeś, że pierdolisz się z kurwami, gdy ja zdycham na raka w łóżku, to... Myślisz, że zdołasz mnie przekonać, że masz *prawo*? Czego ty chcesz, Oliver? Rozgrzeszenia? *Pozwolenia*?

Bez zaufania wszystko się rozpiędała. Może to się stawało powoli i sączyło jak woda

z odpływu. Próbné separacje, wysiłki zadośćuczynienia, terapia dla par... te bzdury. Ale gdy chce się wyklepać wgniecenia i widzi się, że ta druga osoba nie da się uformować na powrót, jak należy, nie da się zespawać, małżeństwo dobiega końca.

A jeśli w dodatku jest się idiotą, który spowodował szkody, bo tak się akurat stało, nie można być jednocześnie tym, który to naprawia. Nie ma na to szans.

Ale ktoś musiał wyrazić zgodę na przeszczep. Ktoś musiał wyrazić zgodę na balast badań. Na napromieniowanie. A poza tym szpital potrzebował ostatniej cytologii Alice. I wszystko to na jutro, bo za dwa dni mieli pojawić się w Whitmanie między ósmą trzydzieści a dziewiątą. Wystarczyły katar, przeziębienie czy co to tam było, żeby przepisali jej pięćset miligramów lewofloksacyny dziennie – chcieli opanować ten kaszel najszybciej, jak się da. Więc Oliver musiał pilnować, żeby brała przepisane lekarstwa. Polecono mu trzymać od niej jak najdalej jeżówkę i inne rośliny lecznicze – lekarze nie wiedzieli, jakie skutki uboczne może mieć ich przyjmowanie i co może się w związku z tym wydarzyć.

Więc nie. Odejście nie wchodziło w grę. Nie dla niego.

Jestem wytatuowana! Szaleństwo!

Kiedy chodziłam do szkoły, tatuaże były niebezpieczne. Chciałam się wytatuować, ale zabrakło mi jaj.

Teraz mam dwa. Zrobili mi je od razu rano. Powiedzieli, żebym nic nie jadła ani nie piła po północy, co trochę mnie zdenerwowało. Leżę na długim stole w dużym chłodnym pomieszczeniu.

– Okej, zdejmujemy kitel – mówi pielęgniarka. Przez chwilę się wstydzę i nie wiem, co robić, więc pomaga mi, opuszcza krawędzie kitla poniżej ramion, aż do łokci. Nie jest tym uszczęśliwiona, więc każe mi rozluźnić okrycie. Wykonuję polecenie. „Popatrz sobie”. Dowody tego, przez co przeszłam: mostek przebija skórę, motyli szkielet na piersi. Mierzą moją szerokość. Potem boki. Potem przewracają mnie i mierzą mi plecy. Pielęgniarka myje i sterylizuje moją klatkę piersiową.

Wszystko dzieje się tak szybko, szokująco za szybko, kilka chwil, elektryczny wstrząs, po którym czuję przyływ adrenaliny i chcę więcej. Ale mam już wytatuowane dwie kropki, z których każda jest wielkości plamki po długopisie na poduszce. Pierwsza na klatce piersiowej w połowie mostka, tam gdzie kiedyś miałam rowek między piersiami. Druga na tej samej wysokości na plecach. Zaznaczają, gdzie zaczynają się płuca, żeby trafili z naświetlaniem.

Sanitariusz Donnay, który wiezie mnie na szóste piętro, jest masywny jak szarżujący w futbolu. Choć dostał polecenie, żeby zawieźć mnie na kardiologię NATYCHMIAST, idzie spacerowym krokiem i mówi w podobnie nieśpiesznym rytmie:

– Masz zakaz opuszczania celi, co? Ale wszystko będzie dobrze, widzę to po tobie.

Uśmiecham się do niego, chcąc odplacić mu dobroduszością za dobroduszość. Ale gdy docieramy na kardiologię, poczekalnia jest niepokojąco pełna, kręci mi się w głowie, bo jestem słaba jak groch przy drodze. Oliver jest już w rejestracji, pochyla się nad ladą i rozmawia cicho z rejestratorką. Donnay podwozi mnie na miejsce, przybija piątkę.

– Bądź czarna – mówi. – Bądź silna.

Odchodzi powoli, jakby z poczuciem winy; wkrótce dumę, którą odczułam po pożegnaniu z nim, wyparł biurokratyczny jazgot.

– Niestety – słyszę – mamy tu napięty harmonogram przyjęć.

Ponieważ się spóźniłam, musieli mnie przenieść na następną wolną godzinę, co stworzyło logistyczny koszmar. Po tych badaniach mam zrobić prześwietlenie klatki piersiowej i EKG, a potem pójść do dentysty, który zajmie się ubytkami w zębach. Gdy tujechałam, Oliver i rejestratorka układali mi następne trzy dni: czy mogę przesunąć biopsję szpiku, rozmowę

z tutejszym psychiatrą (który ma ocenić mój stan psychiczny i, co ważniejsze, przepisać antydepresanty) i konsylium z Eisenstattem i Blasco, którzy chcą omówić rezultaty pierwszej rundy badań.

Wystarczy, żeby zemdleć. Ale rejestratorka obiecuje, że wszystkim się zajmie, a Oliver, który nie splunąłby na pracownicę administracyjną szpitala, gdyby się paliła, zapewnia mnie:

– Prostujemy wszystko, jak należy.  
– Czy mogę cię prosić o trochę soku pomarańczowego? – pytam.  
– Przepraszam – wtrąca się rejestratorka – ale nie wolno pani jeść ani pić cztery godziny przed badaniami wysiłkowymi serca.

– Nie jadłam i nie piłam przez cały dzień. Polecono mi nie jeść i nie pić przed...  
– To okropne, wiem. Ale proszę jeszcze trochę wytrzymać. Zawieziemy panią na badania najszybciej, jak się da.

Jak długo leżę na kozetce w poczekalni, owinięta w rodzinną kołdrę? Oliver trzyma mnie, głaszcze lekko po skroniach, ochrania. Słyszę jego puls w uchu. Jego troska jest obrzydliwa i czuła zarazem, ale nie mogę się go pozbyć, nie wiem, czy chcę.

W pierwszym miesiącu naszego narzeczeństwa zachorował na grypę. Spędziłam całe popołudnie w mojej niemożliwie małej kuchni przy palących się palnikach. Chciałam mu pokazać, co umiem – to było ważne – chciałam mu pokazać, że umiem się nim zaopiekować. Pamiętam, że pociałam się niemiłosiernie i usiłowałam przypomnieć sobie przepis, który znałam na pamięć. Zawiozłam mu wielki garnek zupy z soczewicy, co oznaczało jazdę metrem na Times Square i chodzenie milami podziemnych tuneli. Straszne. Zjadł dwa talerze i oczywiście wylał resztę, choć zapewniał mnie, że wylizal garnek do pysznego końca. Szkoda, że nie mogę się już nim zajmować w taki sposób. Szkoda, że nie mogę zajmować się sobą. Szkoda, że nie mogę już chodzić wczesnym popołudniem na lekcje tańca, podążać za ekstatycznym łomotem i rytmem bębnow, za plemiennymi synkopami i młóceniem, i przytupywaniem, i obrotami – ja i cała reszta sali, tyle skoncentrowanych, spoconych, wspaniałych kobiet. Te nieliczne poranki – w sumie miesiąc – gdy byłam na tyle zmotywowana, żeby wstać wcześniej i pójść pobiegać nad Hudsonem. Rozkosz bycia w pełni we własnym ciele. Szkoda, że nie mogę już stać w kuchni i zagubić się w powolnej medytacji przy parzeniu herbaty. Ja i moje proste głupie rytuały. Moje niezbyt imponujące, funkcjonujące ciało – ten cud.

Oliver nie chciał pokazać mi kuchni, dopóki nie skończył wszystkiego instalować. Gdy w końcu wwiózł mnie windą na górę i odsłonił mi oczy, potrzebowałam dobrej chwili, żeby wszystkiemu się przyjrzeć – tyle mi obiecywał, wiedziałam, że to będzie imponujące, jasne. Nie mogłam uwierzyć, że zrobił to dla mnie. Teraz nie jestem pewna, czy nadejdzie jeszcze taki czas, że wsunie mi ręce pod kieckę i będzie mnie pieścił. Trudno mi nawet uwierzyć, że kiedykolwiek chwycę się kuchennego blatu i rozłożę nogi. Nie wiem, czy będzie mi to dane i czy tego chcę. Ta świadomość wywołuje we mnie drżenie – z obrzydzenia i podniecenia jednocześnie.

Myślę o nas dwojgu siedzących na sofie po obiedzie, na którym mieliśmy gości. Skończyliśmy plotkować, podzieliliśmy się spostrzeżeniami; jesteśmy jednocześnie nakręceni i zmęczeni. Myślę o radości, jaką sprawiały mi jego zalatujące alkoholem pocałunki, o połączeniu pragnienia i wyczerpania, gdy chce się prowokować, bawić, posuwać cał po cał, a jednocześnie nie marzy się o niczym innym jak tylko o śnie. Oliver jest jedyną osobą na świecie, która zna moje dawne erotyczne fantazje: biorą mnie grubo, sprawujący władzę starzy faceci, wykorzystują mnie, jestem ich małą dziwką.

Teraz wstydzę się własnego pożądania. Ale gorszy od wstydu jest strach. Czy stanę jeszcze w naszej kuchni i zrobię wielkie niedzielne śniadanie dla Doe? Czy będziemy jeszcze kiedykolwiek wylizywali miski?

– Przeszczep jest bardzo trudny dla serca – tłumaczy nowy zgarbiony lekarz. – Musimy mieć pewność, że pani serce jest wystarczająco silne.

Gdy to mówi, pielęgniarka chwyta mnie za ramię i uciska mięśnie długie; sflaczały biceps ustępuje, jakby ugniatała rurkę z ciepłym purée z ziemniaków. Po całej wieczności odnajduje żyłę. Śpieszy się, żeby ją utrzymać, i przekłuwa mi skórę. Nie krzywię się, zauważam, że strzykawka jest jakaś dziwna, obłożona szarym metalem (w kolorze łupku).

Pobierają mi krew, mówią mi, że mieszają ją z radioaktywnymi izotopami, a potem wstrzykną ją na powrót. Pielęgniarka przytrzymuje rurki, wkłada mi papierowe papucie i prowadzi do roweru treningowego w rogu pokoju. Zza szklanej ściany wychodzi technik i poprawia siodełko. Mam trzymać się jedną ręką kierownicy roweru dla równowagi, a drugą przyciskać kamerę, jak najbliżej. O ile dobrze rozumiem, aparat ma śledzić radioaktywne izotopy w moim krwiobiegu.

– Nastawimy w rowerze trzy stopnie obciążenia – mówi doktor. – Na pierwszym dwadzieścia mil na godzinę. Potem trzydzieści. A potem najwięcej. Chcemy, żeby pedałowala pani coraz szybciej i szybciej, żeby kamery mogły śledzić komory pani serca.

Zaczynam całkiem nieźle, chcąc im pokazać, że dam radę. Ale trzymanie kamery przy sercu jest dosyć trudne, wymaga wysiłku, zwłaszcza że technik powtarza, bym nią nie ruszała. Po chwili pedały stają się jak z ołowiu, przekręcenie ich trwa i trwa, jakbym jechała przez gęste błoto. Zaczynam ciężko dyszeć, ale udaje mi się ukończyć drugi etap. Trzeci jest za trudny, obracam pedały tylko dwa razy.

Gdy wchodzi lekarz, jestem pochylona nad rowerem i łapczywie chwytam powietrze. Patrzę na niego i czuję rozpacz.

– W porządku. – Przygląda mi się.

Siedzę zgarbiona nad kierownicą i patrzę na niego. Widzę troskę w jego oczach, dobrze znaną litość.

Zwraca się do technika za szybą:

– Zrób jeszcze raz drugi poziom. Może zdołasz uchwycić.

Robią osiem przyzwoitych zdjęć. Najlepiej byłoby dwadzieścia. Włócę się po torze przeszkód, piję radioaktywne barwniki, siedzę pod skanerami. Rezultaty są niejednoznaczne. Nikt nie wymachuje pięścią i nie drze się: „Dasz radę!”, nie potrzebujemy dzwonek ani gwizdków. Wieloznaczność jest trwała. Decydenci nie mają wyraźnego powodu, żeby wszystko wstrzymać, wystarczy, że nam nie przeszkodzi. Ta ulga jest zdumiewająca: „To się stanie”. I prawie histeryczna panika: „To się dzieje”.

Mama przyjeżdża na weekend, energiczna i pomocna jak zawsze, chce wszystko załatwić, wszystkiego dopilnować, zająć się mną. Czuję jej miłość. Jest bardzo podekscytowana tym, że zabierze dziecko do Vermontu. Jej *oczekiwanie*. Gdy stajesz się rodzicem, zaczynasz doceniać to, przez co przechodzili nasi rodzice, jak się dla nas poświęcali. Może powinnam bardziej doceniać matkę. Ale jestem mała. Jestem zazdrosna, czuję się okradziona po raz kolejny, w inny sposób.

Pamiętam swoje dzieciństwo, śnieżne popołudnia spędzane na zabawie w strojenie się w mamine ubrania. Pamiętam, jak przeglądałam jej czasopisma, podziwiałam piękne panie, ich wyjątkowe suknie. Doskonale pamiętam, jak bawiłam się w mamę, udając dorosłą. Nie mogę znieść myśli, że nie zobaczę, jak moja córka robi to samo, że nie będę dla niej wzorem dorosłej, wzorem matki dla swojego dziecka. Kiedy zaczynam myśleć o mojej Doe skazanej na mieszkanie w tych samych pokojach, w których ja mieszkałam, na mieszkanie tam beze mnie...

Wiem, że takie myśli nie są nikomu potrzebne.

Więc znów przeżywam Ostatni Wieczór Przed Przyjęciem Do Szpitala. Żałuję, że nie zrobili mi lobotomii, nie wycięli płata czołowego, żebym nie musiała doświadczać tego, co będą

mi robili.

Ostatni weekend był niewyobrażalnie piękny, ale był też chińską torturą. Wraca do mnie obraz szpitalnego łóżka, piszczącego stojaka z kroplówkami, jarzeniowych świateł. Przyglądałam się rano śpiącej Doe: wtulała się we mnie, jej buzia o cal od mojej twarzy, spokojna i delikatna, ze smoczkiem do połowy wysuniętym z ust. Wyciąga do mnie rączkę, jej dłoń jest taka mała w mojej dłoni, taka ufna. Jestem dla niej, a ona przyjmuje to za oczywistość. Chcę, żeby brała mnie za oczywistość. Ale zastanawiam się, czy przypadkiem nie tuli się tak mocno, bo rozumie więcej, niż mi się wydaje. Obserwowałam ją tego ranka, usiłowałam nasiąknąć jej oddechem. Nie ma nic ważniejszego od czucia jej, wsłuchiwania się w nią, wachania jej dziecięcego zapachu, leżenia obok, doznawania wraz z nią spokoju. A jednocześnie przygniata mnie przymus cieszenia się takimi chwilami.

Gdybym naprawdę wierzyła w inkantacje, które powtarzam, gdybym pamiętała nauki i medytację, wówczas brak jakiegokolwiek gwarancji byłby piękny.

Wiem, że nie chcę umrzeć. Nie jestem na to gotowa, nie jestem gotowa na to, że już jej nie zobaczę, nie położę spać, nie zmienię pieluchy, nie ugryzę w paluszki.

Ale muszę przestać się zastanawiać, kiedy znów się zobaczymy. Muszę wierzyć, że obie będziemy na tyle zdrowe, żeby cieszyć się sobą.

Ciągle czuję krew w ustach, ugryzłam się w język, choć podczas wysiłkowego EKG miałam ochraniacz na zębach. Dali mi jakieś lekarstwo na gardło, po którym twardnieje mi język i robi się za duży. Swędzą mnie palce, jakby stępiały mi opuszki, ale nie z odrętwienia, jakie czuje się po spaniu z dłonią pod ciałem, ale z czegoś innego, niepoznawalnego, jak masło orzechowe schnące tygodniami na blacie w kuchni. Dostałam polecenie, żeby umyć dziś tors. O północy mam przestać jeść i pić. Muszę nauczyć się słów modlitw, które boję się wypowiedzieć.

Trzymam ją w ramionach, ma ciężkie powieki, pływający, rozmyty wzrok. Kołyszę ją przy piersi, wdycham jej kwaskowy zapach. Przekazuję jej spojrzeniem wszystko, co tkwi we mnie – całą miłość, całe życie miłości – przekazuję to dłonią przyciśniętą do piersi, łomoczącym, podejrzanym sercem. Oliver płaci kierowcy, każe mu zawieźć moją matkę z Doe z powrotem do domu. Pyta, czy mama ma zapasowe klucze. Prawie nie zwracam na niego uwagi i nic nie mówię na jego ogoloną na tyso głowę.

Śmiertelna cisza przed świtem. Kościelna fasada Whitmana wygląda jeszcze starzej, gdy spowijają ją cienie. Hol sprawia wrażenie pogrążonego w ciszy i żalobie mauzoleum.

Czekając na przyjęcie, widzę następną wersję siebie samej: upiór kobiety tonącej w spodniach od dresu. Ma na twarzy maseczkę, a na dłoniach rękawiczki, za chwilę i na mnie przyjdzie kolej. Widzę za biurkiem dobrze znane cudowne sploty. Dziś są upięte w cienkie, biegnące rządками do tyłu ciasne warkoczyki. Ciało wylewa się ze szpitalnej bluzy w kotki, Yolanda robi to co zwykle, warczy gardłowe groźby do telefonu. Wyjmuje słuchawkę ze zgięcia szyi i rzuca nią o blat biurka, a potem wrzeszczy głośno do mikrofonu:

– Gertie, dlaczego, do kurwy nędzy, ta pani przychodzi tu bladym świtem?! Zaprowadzisz tą panią na zabieg, *zanim* doktorzy pójdą na obchód, *zanim* wstaną pacjenci i *zanim* im podasz śniadanie! Mówię poważnie.

Oliver podwozi mnie do biurka. Uniesione brwi, czekoladowe tęczęwki wielkie jak w kreskówkach.

– Słuchaj mnie, pani Culvert, jesteśmy zawałeni po kokardę. Robię, co mogę, kochanieńka, ale będziesz musiała poczekać.

– Możemy wyjść na dwór? – pytam. – Żeby odetchnąć?

Bez niczyjej pomocy przechodzę, szurając nogami, przez otwierające się automatycznie

drzwi i delektuję się poranną mgiełką na twarzy, lekką i delikatną. Wciążam mroźne powietrze w płuca, chłód rozpościera się niczym koc na pikniku. Niebo jest wciąż srebrzystym preludium świtu, a na zachodzie głębokim, niezmiernym granatem. Idę na południe ku wieżom mostu Queensboro, gdzie granat jaśnieje. Troska idącego obok mnie Olivera promieniuje jak ciepło. Ma rację, muszę uważać.

– Chodzenie jest fajne – mówię. – Powietrze odświeża.

Dwaj mężczyźni ustawili wózek z bajglami na rogu. Dyszą ciężko, otwierając stragan. Choć polecono mi nic nie pić, butelkowana woda sprawiłaby mi wielką ulgę, więc ustawiamy się w kolejce za dwoma pierwszymi klientami. Marzę o pierwszym łyku wody i wpatruję się w zdjęcie przyklejone do brudnej szyby wózka: piegowata wysypka ziaren maku na bajglowym cieście, gruba warstwa wiejskiego serka. Po FDR suną z szumem auta. Wyobrażam sobie dotyk wykrochmalonych szpitalnych prześcieradeł, stęchłe filtrowane powietrze.

Miesiąc, jeśli dopisze mi szczęście.

Siadamy na ławce, jest bardzo chłodno, wilgotne drewno ziębi mnie przez kurtkę i spodnie od dresu. Pamiętam, że jako dziewczynka wyglądałam przez okno na słońce wschodzące nad zielonymi górami. Pamiętam, że wpatrywałam się w nocne niebo, leżąc na noszach, przyglądałam się, jak pada śnieg. Wystawiam język jak wtedy i zlizuję parę ze spierzchniętych warg. Oliver przygląda się temu, jedząc bułkę. Wiem, że chce mnie pocieszyć, ale nie robi tego, pozwalając sycić się takimi chwilami. Świt nadrabia zaległości, niebo rozjaśnia się warstwami i – jak dla mnie – bardzo widowiskowo, zupełnie nie do opisania.

I wtedy odzywa się szpitalny pager. Oliver zerka na mnie panicznie i pytająco. Widzę, że się boi, ale i nalega. Rozpoznaję, że *uwierzył* w to, co się stanie, zainwestował w to, dosłownie. Zbieram się w sobie, zaczynam wstawać, a potem myślę: „Nie”. Puszczam bok ławki, opieram się i podnoszę głowę ku uciekającemu mrokowi, wystawiam twarz na poranną rosę. Oliver wstaje, żeby mi pomóc, a potem daje spokój, a ja patrzę dalej. Wszystko jest takie proste, wszystko jest takie piękne.

Plastikowe rękawiczki z talkiem zaciskają się na nadgarstkach: słaby roztwór morfiny kapie z kroplówki. Słyszę za sobą pomruki, ciche uwagi. Mam nad sobą zamaskowane trio w szpitalnych kitlach. Martwią się, że wyglądam tak źle. Górująca nade mną pielęgniarka jest na tyle przytomna, żeby zabawiać mnie rozmową. Poufała jak majętna starsza pani rozmawiająca o sztukach na Broadwayu, pyta mnie, czy jestem gotowa na miesiąc przeszczepu. Dezynfekuje alkoholem cewnik, który zakłada na koniec plastikowej rurki. Rurka jest zastanawiająco gruba.

– Jak coś, przez co studenci piją piwo – mamroczę.

Ktoś nakłada brązową maź na wymazówkę: trzema szybkimi ruchami maź ta zostaje wtarta wokół zasinienia w miejscu, w którym tętnica szyjna styka się z obojczykiem.

– To będzie długi miesiąc. – Pielęgniarka cmoka. – Mam nadzieję, że jesteś gotowa.

„Co z tobą? – chcę zapytać. – Po co mi mówisz takie rzeczy?” Ale płynie przeze mnie jakieś miodowe światło. To całkiem miłe, zaczynam gasnąć, mrugam powiekami. I nagle czuję uderzenie, ostry ból, bardziej dojmujący i skupiony niż podczas wcześniejszych zabiegów instalowania centralnego dojścia. Krzywię się i jęczę, zaciskam oczy tak mocno, że czuję, jak pęka mi skóra na twarzy. Ból wciska się ruchem okrężnym głębiej, boruje mnie na wylot. Słyszę własne słowa zranionego zwierzęcia:

– Więcej morfiny, dajcie mi więcej morfiny.

– Spokojnie, spokojnie – mówi instrumentariuszka. – To dojście jest większe i dlatego tak boli. Przy cieńszych rurkach komórki macierzyste giną.

Następna rzecz, z której zdaję sobie sprawę, to pulsowanie. U podstawy szyi.

Mam watę w głowie, czuję się słaba, jakby zdarto ze mnie skórę. Sprawdzam, co pulsuje.

Przy obojczyku piętrzą się gazowe opatrunki i plastry, kilka szwów trzyma rurkę pod skórą. Podążam za nią wzrokiem i stwierdzam, że podłączono kroplówkę – już coś we mnie pompują. Jestem w pokoju, w którym panuje mrok, niewiele tu naturalnego światła, a ustawione pod przedziwnym kątem ściany zbiegają się niczym boki olbrzymiej pizzy calzone. Ale pokój jest mały. Mały i trójkątny. A teraz ktoś głaszcze mnie po policzku.

Nie przywykłam do Tildy w takim stroju – dopasowanym karmelowym żakiecie. Atlasowa bluzka pod spodem ma kolor cynamonu, lśni i błyska, gdy Tilda się porusza. Ma nową wycieniowaną fryzurę z prosto przyciętą grzywką sięgającą do połowy czoła.

– Cudowna zjawia! – mówię. – Wspaniała babka.

Tilda się uśmiecha.

– Ta stara *schmatta*? Dekoracja. Wzięłam parę godzin wolnego. Przyczołgałam się z redakcji. – Wybucho głośnym śmiechem, który zawsze mnie rozbawiał. – Nigdy dość!

Pielęgniarka wjeżdża do pokoju z potężnym stojakiem do kroplówek – gruby statyw z wieszakami na wiele torebek. Do tego cztery pompy infuzyjne. Poświata monitorów poziomu płynów nasycy pokój radioaktywną zielenią.

– Tyle gadali o pokojach na tym piętrze, że takie śliczne i duże – mówi Tilda, udając, że zwraca się do mnie. – A tu jedyne okno jest za łóżkiem! Nawet nie możesz wyrzucić!

Pielęgniarka przestaje na chwilę podłączać zasilacze.

– Sprawdziłam, jak pani chciała. Oddział jest obłożony. Przed panią Culvert jest sześcioro innych pacjentów do lepszych pokoiów.

Pytam Tildę, czy jest tu gdzieś mój plecak. Podaje mi go, a ja wyjmuję nieduży notes, mój pamiętnik, w różowej, zamszowej, jeszcze nienaruszonej oprawie. To będzie mój najnowszy Dziennik Uzyskanej Pomocy Medycznej. Specjalnie wysłałam Olivera do miasta, żeby go kupił. Pół strony jest pokryte zapisanymi przeze mnie datami i odpowiadającymi im nazwiskami oraz notatkami, w tym – jak szybko sprawdzam – „Donnay, sanitariusz, «bądź czarna, bądź silna»”. W pierwszej wolnej linii zapisuję: „Maggie”. I dalej: „Funkcje życiowe. Będzie nadzorować mój pierwszy rozkład dnia”. Na tym częściowo polega mój plan. Gdy ktoś będzie mi coś robił, zabierał mnie gdzieś, coś mi dawał, sporządzę z tego notatkę. Zakotwiczę się. Dzięki temu przetrwam.

Nie minęło pięć minut, a coś zaczyna piszczeć, konsola któregoś z zasilaczy mruga na czerwono. Maggie przewraca oczami. Sprawdza, resetuje zasilacz, pochyla się, żeby sięgnąć po rękaw do mierzenia ciśnienia, i robi pomiary. Zerka na moją kartę i odczytuje nazwisko pytającym tonem. Czy jestem znajomą Yolandy?

Uśmiech.

– Dziewczyno, Yolanda mówi o tobie. Mamy cię mieć na oku i sprawdzać, jak się miewasz.

Dziękuję jej raz jeszcze. Maggie otwiera się i przyjmuje mnie jak swoją. Po chwili potwierdza to, czego się spodziewałam – że naświetlanie nie zacznie się dzisiaj, co ma sens, ale i tak jestem rozczarowana. Maggie współczuje mi i dodaje, że doktor Blasco też będzie dziś nieobecny, ale czuwa i monitoruje wyniki krwi i innych badań. Maggie ma dla mnie urzędowe formularze do podpisania i odfajkowania. Ma wytyczne. Ma formularz, w którym pytają mnie, czy resztki z mojej biopsji można wykorzystać w laboratorium akademii medycznej.

– Jeśli chcesz, żeby cię odwiedził pastor albo rabin, zapiszę cię. Pracownicy socjalne przychodzą w poniedziałki, jeśli zyczysz sobie spotkania. Mamy terapię sztuką, lekką jogę, masaż, możesz się nauczyć grać na gitarze.

– Brzmi cudownie – mówię. – Jakbym się wybierała na wakacje.

– Wiem, że ten koleś od terapii muzycznej był wcześniej. Może już wyszedł. Trochę



dziwny chłopak. Zgodnie z planem powinien przychodzić dwa razy w tygodniu, a siedzi tu niemal bez przerwy.

– Mam prośbę – mówię. – Jak zacznie się leczenie, nie będę stąd wychodziła, prawda?

– Będą cię zabierali na naświetlania, ale przeważnie...

– Czy mogę chodzić po korytarzu? Dopóki zdołam?

Maggie spogląda na mnie niepewnie.

– Przyjaciółka będzie chodziła ze mną.

– Zadzwoń do lekarza dyżurnego.

Po kilku minutach do drzwi puka jakaś kobieta. Włosy w kok, spięty jak ona sama. Przedstawia się, podaje mi rękę i stanowczo odradza spaceru.

– Czy mogę zobaczyć kartę praw pacjenta?

– Oczywiście.

– Więc mogę?

– Alice?

– Nic mi nie jest, Tildo. Chcę tylko wiedzieć.

– Pani Culvert, jeśli pójdzie pani na spacer, nie będziemy, rzecz jasna, dzwonić po ochronę. Wróci pani do pokoju, zanim tu nadejdą. Ale po korytarzach kręci się wielu ludzi. Wystarczy, że ktoś na panią kichnie, kto wie? Kiedyś był tu pacjent, który przyszedł do nas z grypą. Nikomu o niczym nie powiedział i zmarł dwa dni po przeszczepie.

– A ilu ludzi nie umarło? – rzuca Tilda. – Niech pani o tym powie.

Kobieta obrzuca Tildę morderczym spojrzeniem.

– A gdybym powiedziała, że byłam lekarką tego pacjenta? Nadal będzie pani uważać, że to kolejna straszna opowieść wykorzystywana przez personel medyczny, żeby nikt nie kręcił się po korytarzu? Tak czy inaczej... – uprzejmy uśmiech – ...odradzam spaceru.

Zrzuciwszy jej walizki i torby na stertę przed szpitalnym pokojem, Oliver znalazł spiżarnię dla pacjentów, gdzie zabrał się do opisywania i oznaczania datą pojemników tupperware: ROLADA Z INDYKA, PIECZONY KURCZAK, GOTOWANE BROKUŁY. Sprawdził, czy na samoprzylepnej taśmie widoczne są dane Alice i numer pokoju, po czym wpisał datę następnego dnia, kradnąc trochę czasu, zanim wszystko wyrzucił. Przygotował dla Alice proteinowy shake, podgrzał w mikrofalówce indyka, a po nim zupę z soczewicy. Wjechał z tacą do pokoju żony. Rozmowy zamarły. Tilda wbiła w niego wzrok.

Wie? Komu jeszcze Alice powiedziała?

Postawił tacę z jedzeniem. Zaczął wnosić rzeczy, pytając Alice, czego jeszcze potrzebuje. Powiedział, że w pokoju socjalnym wiszą zdjęcia osób, którym z powodzeniem przeszczepiono szpik i które wróciły do normalnego życia. Dodał, że na Boże Narodzenie oddział wydaje przyjęcie dla wszystkich wyleczonych i że na ścianie w pokoju socjalnym jest pełno fotografii z tych imprez z mnóstwem zdrowych pacjentów. Wszyscy wyglądają na bardzo szczęśliwych. Jedno ze zdjęć wpadło Oliverowi w oko: fotografia rozpromienionego czarnego mężczyzny, obok którego siedziała córka i nad którym stały dwie wnuczki.

– Na zdjęciach są ludzie, którym przeszczepiono szpik cztery, sześć, dziewięć lat temu. I wszyscy wciąż są w formie.

Spuchnięte policzki zarumieniły się, rumieniec oblał całą patrzącą z uznaniem twarz. Rozkładając potrawy na tacy na kółkach, był tak blisko, że z łatwością mogła go dotknąć. Ale nie poruszyła dłońmi leżącymi na kołdrze. Skończył przygotowania. Unikając kontaktu wzrokowego, odszedł od łóżka, rozpiął najmniejszą walizkę i wyjął z niej dobrze znane pułapki – ich ślubne zdjęcie w ramkach, Alice z córeczką kilka sekund po przyjściu Doe na świat, potem po sześciu tygodniach i po dziewięciu. Wyjął też inspirujące aforyzmy z poprzednich pobytów

w szpitalach – nie mieli czasu ani energii, żeby zaczynać od początku – oraz wielki, rozkładany, zlepiony taśmą napis RAK NIE WYRAK. Tilda wydała cichy okrzyk zachwyty i złapała koniec, co sprawiło, że Oliver poczuł się jeszcze bardziej samotny. Znalazł się w szponach ponurej determinacji. Nie zapytał, o co chodzi z tym małym, ciasnym pokojem, obszedł tylko łóżko i przyjrzał się fotelikowi w szkocką kratę. Pociągnął i podniósł siedzenie, wysuwając jego część i zamieniając fotelik w leżankę, na której będzie spał. Koniec leżanki sięgał do stoliczka przy łóżku. Zanim zdążył złożyć fotel, Tilda zajęła się wcieraniem kremu nawilżającego w czoło Alice.

Rozległo się pukanie do drzwi, weszli Blasco, lekarz dyżurny i Bhakti tuż za nimi. Doktor rozejrzał się, skrzywił i polecił Bhakti, żeby zajęła się znalezieniem dla Alice nowego pokoju. Umył ręce, sprawdził centralne wklucie, wspomniawszy o zaczerwienieniu skóry i poprosił pielęgniarkę o środki dezynfekcyjne i sól fizjologiczną. W pokoju robiło się coraz ciemniej bez sztucznego oświetlenia. Blasco przyciągnął krzesło do łóżka i usiadł na nim, składając ręce na podolku. Chce wiedzieć, jak Alice się czuje. Pierwszy dzień był straszny, zgodził się z nią. Dodał, że nie może brać prysznicza przez najbliższą dobę.

– Ale – powiedział – rano proszę zmyć krem. Krem przed naświetlaniem? Równie dobrze można się wysmarować samoopalaczem przed pójściem na plażę.

Zapalają się światła i budzę się. Na zegarze piąta. Pielęgniarka, niska Azjatka, mówi i porusza się tak żwawo, że czuję się onieśmielona. Przygląda mi się uważnie.

– Leki już działają – mówi. – Zaczerwienienie policzków i czoła to skutek uboczny. – Pyta, czy wciąż mam okres. Kiedy po raz ostatni?

Strzelam:

– Pewnie jakieś dwa tygodnie przed tym, jak mnie zdiagnozowano...

Pielęgniarka każe mi wypełnić kartę śniadaniową, przypomina, żebym zamawiała potrawy jak najkrócej podgrzewane w mikrofalówce, przekazuje telefonicznie zamówienie i mówi, że przyniosą mi śniadanie między siódmą a dziewiątą. Kazała mi złapać się za dłonie i pchać, żeby sprawdzić, jak jestem silna. Potem chwyciła mnie za stopy i kazała robić to samo. Pomaga mi wstać i powtarza, że mam nie brać prysznicza przez dobę. Waży mnie. Nieco ponad pięćdziesiąt pięć kilo. Oliver porusza się, gdy pielęgniarka zakłada mi maseczkę. Wchodzi mój ulubieniec Donnay, pchając przed sobą wózek na kółkach. Nie śpiesząc się nadmiernie, jak to ma w zwyczaju, odłącza pompy infuzyjne. Siadam na wózku.

– Więc jedziesz. – Oliver ujmuje moją dłoń.

– Maraton sprintów – mówię. – Jadę.

Gdy się pochyla, żeby mnie pocałować, nadstawiam policzek w maseczce. Trzyma moją dłoń jeszcze przez jedną pozaplanową chwilę. Potem pielęgniarka rzuca mi na kolana – pac! – duży niebieski segregator z trzema kółkami i moją historią choroby. Posyłam jej zbolale spojrzenie. „Co z tobą?”

W połowie stojaka do kroplówek znajduje się drugi poziom cienkich metalowych gałęzi na drugą partię płynów. Ten dodatkowy poziom sprawia, że stojakiem trudno jest poruszać i utrzymywać w równowadze. Donnay sprawdza powoli, czy żaden kabel ani wtyczka nie wplątały się w ciężkie kółka stojaka. Zjeżdżamy wolno na dół. Rozpraszają mnie okna, grube konary drzew za szybami, błękitne niebo malujące się między gałęziami. Ruszamy następnym korytarzem, wjeżdżając w jakąś odmienną strefę. Ściany pomalowane są grubą warstwą farby w podstawowych barwach, a okna wychodzą na jasno oświetlone patio w wesołych kolorach. Bawią się na nim dzieci. Niektóre mają łaciate głowy, inne są całkiem łyse. Gonią się po wielkiej mapie na miękkim dywanie. Wspinają na poduchy wypełnione kulkami, bawią się lalkami i klockami, czytają, układają puzzle. Niektóre są podłączone do kroplówek. Widzę, jak jakieś

dziecko biegnie pędem do narożnika, pochyla się i wymiotuje do wiadra. Potem po prostu wraca i przyłącza się do gonitwy.

Korytarz prowadzący do poczekalni naświetlań zapełnia się chorymi. Tuż przed salą radioterapii widzę mężczyznę różniącego się od chorych: stoi wyprostowany, ma na sobie trzyczęściowy garnitur, jest całkiem łysy, ale niewątpliwie zdrowy. Wydaje mi się, że gdzieś go już widziałam, ale nie umiem sobie przypomnieć gdzie. Na palcu prawej mięsistej dłoni nosi obrączkę. Otwierają się drzwi sali radioterapii. Wywożą łysego chłopca. Nie ma więcej niż osiem lat. Mężczyzna w garniturze uśmiecha się od ucha do ucha.

– Czołem, kolego!

Z radością oddałabym się w tej chwili w jego ręce.

Skrzypią zawiasy w okutych ciężkich drzwiach. W środku ściany są wyłożone ołowiem. Wiozą mnie do jakiegoś aparatu: metalowego cokołu z wyściełanymi rączkami, z mnóstwem dźwigni i rurek. Rurki znajdują się na różnych poziomach i w różnym położeniu, a gdy podjeżdżam bliżej, widzę, że każda rurka jest oznaczana skalą. Poniżej rowerowe siodełko. Pojawia się sanitariusz, który pomaga mi przejść do cokołu.

W odległości pięciu jardów czeka uśpiona maszyna do radioterapii. Przypomina broń obcych, kosmiczną armatę wysokości ośmiu czy dziewięciu stóp. Na końcu lufy tej armaty znajduje się chromowane oko, które patrzy na wszystko, nie mrugając powieką. Nie mogę oderwać oczu od tego oka, przez co wiotczeję, nie budząc tym niczyjego zadowolenia.

Gdy sanitariusz doprowadza mnie do cokołu, zbliżają się dwaj technicy i zachodzą mnie z boków. Zaczynają zakładać mi te... nie wiem, co to jest... ale są duże i miękkie. Półkoliste, spadają mi na barki i zatraskują się. To niewątpliwie klamry. Żebym się nie ruszała.

Jeden z techników dopasowuje zrobione na miarę ołowiane tarcze na płuca, nerki i inne organy wewnętrzne. W tarczy chroniącej płuca jest kilka małych dziurek – technik patrzy przez nie, szukając tatuażu, i upewnia się, że wszystko jest w jednej linii.

Dopóki oddycham, nic mi nie będzie.

Czarne pasy przecinają mi tors, tworząc wielką literę X, przytrzymują mnie, przechodzą przez pręty, po czym technik ściąga je tak ciasno, że nie mogę się poruszyć, nie mogę drgnąć. Ten sam technik podsuwa mi rowerowe siodełko pod tyłek.

– Tak na wszelki wypadek – mówi.

Dodaje, że gdybym zemdląła, pasy utrzymają mnie w odpowiedniej pozycji aż do zakończenia sesji.

Więc w porządku, Bogini, pierwszy dzień nie był taki zły.

Muszę sobie odpuścić. Może wystarczy, że będę spała? Tutaj wcale nie jest tak źle. Jestem tu, gdzie jestem. Zastanawiam się, co mogłabym robić – pisać, czytać, medytować, rysować, robić na drutach, malować na swój niezdarny, ograniczony sposób. Chcę być przejrzysta. Wcale nie jestem nieszczęśliwa. Jakaś maleńka cząstka mnie domaga się tego, kąsa po piętach jak mały rozszczekany psiak, chce, żebym była smutna, żebym się martwiła. „Pamiętaj, że jesteś nieszczęśliwa! Pamiętaj, że to jest straszne!” Ale przecież od tak dawna żyję z ciężarem na piersi. Gdy jestem w dobrej formie – co nie zdarza się często, ale czasem się zdarza – wiem, że nie muszę żyć w strachu, że uniosę jego ciężar. Ciekawe, co by się stało, gdybym odwiązała czarną wstążkę tego ciężaru i otworzyła pokrywę? Co by się stało, gdybym nasypała do środka ziemi, zasadziła w nim kwiatki, podlewała regularnie i wystawiała na słońce?

Spójrzcie, jak zaskoczyło mnie dzisiaj życie. Spójrzcie, jak bardzo się mną opiekowano. Spójrzcie, jak się bawiłam na niezliczone sposoby.

Po drugim napromieniowaniu spotkała mnie cudowna niespodzianka: w moim pokoju czekały na mnie Jynne, Susannah i Patty oraz – co zupełnie zdumiewające – Geeyan, która

przyszła mnie odwiedzić prosto po locie z wybrzeża. Nie zdołałam ukończyć drugiej rundy naświetlania bez klapnięcia na rowerowe siodełko, byłam wykończona, ale widząc je, poczułam się wspaniale. Geeyan po nocnym locie wyglądała olśniewająco. Załatwiła kopię promocyjną najgorętszego od lat filmu – o czym wiem, choć nie jestem w obiegu – pełnego absurda i przemocy i zupełnie odjechanego, który wygrał wszystko w Cannes.

– Reżyserem jest podobno nawiedzony autyk. Wykorzystuje popkulturę w sposób wysoki i niski. Całe Los Angeles powtarza za tym koleśkiem: „Wiesz, jak Francuzi mówią na ćwierćfunciaka z serem?”

W innym życiu umarłabym z ciekawości. W zasadzie czułam, jak mnie świerzbi to dobrze znane uczucie, żeby nie tyle wiedzieć, ile być w środku, i nie tyle obejrzeć ten film, ile być już po seansie. Widziałam, że wszystkie moje przyjaciółki – które zawsze są na bieżąco – były podekscytowane. Geeyan chciała od razu załatwić magnetowid, żebyśmy mogły obejrzeć film razem. I obiecywała nam plotki z biura prokuratora okręgowego o przygotowaniach do procesu O.J. Simpsona.

– Wywal to z siebie – rzuciła Susannah.

– Wszystko – dodała Jynne.

– Co się tak certolisz? – zapytała Patty. – Wal!

Ciągnęły tę sprawę o morderstwo, a ja czułam, że się kurczę, i bawiłam się literkami na tablicy magnetycznej, którą dostałam w prezencie od Susannah. Jynne szybko to zauważyła. Przyniosła tomik poezji, wyjęła go i zaczęła nam głośno czytać. Wiersz był niezwykle i nawet jeśli nie zdołałam wystarczająco się skupić nad znaczeniem opisu konika polnego – myjącego, zdaje się, twarz i rozkładającego skrzydełka – zapamiętałyśmy niektóre z cudownych fraz poetki, zapisałyśmy te budzące pozytywne nastawienie do życia na tablicy. („Wiem, jak uważnie słuchać! Wiem, jak trwać w błogosławionym bezruchu!”) Próbowałyśmy też pobawić się w rysowanie i malowanie. Nadal umiem rysować – *quelle* ulga! – ale nigdy nie szło mi dobrze z pędzlem, a teraz byłam zdumiona, że malowanie cienkich prostych linii robi na mnie tak ogromne wrażenie.

– To zabawne – powiedziałam. – Mam straszne problemy z malowaniem, gdy skupiam się na tym, że może mi nie wyjść. Chyba dlatego, że zawsze chciałam być prymuską. Teraz czuję coś przeciwnego, jest fajnie, że nie muszę być doskonała. – Roześmiałam się. – To idealny dla mnie środek wyrazu.

Chcę namalować małe obrazki dla Sue i Susanny, i Julie na święta. Taki mam pomysł na ten tydzień. Dla kogo jeszcze? Dla Tildy? Deb? Na małych kartkach. Mogę narysować piórkiem serca albo kwiaty, a potem je pomalować. To będzie wymagało ćwiczenia. Ale popołudnie było zabawne. Moje przyjaciółki mówiły o swoich problemach, o swoim życiu, a ja wyrwałam się odrobinę z mojego, wylatując z niego i wracając w drzemkach i fugach. Przyjaciółki spoglądały na mnie z miłością. Poszeptywały wokół mnie, a ich spojrzenia i ciche słowa służyły mi za kołdrę. Słyszałam, jak wymieniały się najnowszymi wieściami: Jynne awansowała, Geeyan kończy nowy dom; pogoda, omleły.

A Patty jest taka słodka! Wracając ze spiżarni z czymś, co wrzuciła na ząb, zapytała:

– A co jest temu gościowi w sąsiednim pokoju?

Nie wiedziała, że na tym oddziale leżą sami chorzy na raka.

– Wiem – odparłam. – Przygnębiające, prawda?

Jynne powiedziała mi to samo: że wszyscy tutaj wyglądają tak, jakby się poddali.

Mam te niesamowite dziewczyny każdego dnia! Każdego popołudnia składają mi te niewiarygodne wizyty!

Niech Oliver się wścieka. Mam nadzieję, że zeżrą go wyrzuty sumienia. Wcale mi nie

przeszkadza, że każdego popołudnia wymyka się nadąsany, pewnie do biura, ale kto wie? Może różnymi się osobowościami? On często jest udręczony i nieszczęśliwy. Ja nieczęsto. Ma powód czuć się nieszczęśliwy przez to, co mi zrobił. Nie jestem na tyle silna, żeby nie czuć wściekłości i upokorzenia. Ale nie mogę pozwolić, żeby te uczucia mnie zjadły.

Jynne przeczytała nam trochę Thoreau, a ja zapisałam fragment zdania: „...jakbym był samym ciałem, krwią i kośćmi”.

„Tak widzą mnie lekarze” – pomyślałam.

Thoreau pisał o swym odludziu: „Dlaczego miałbym się czuć samotny?”<sup>17</sup>. Dlaczego miałabym się czuć samotna? Gdybym umarła, a moja świadomość połączyłaby się z uniwersum, czy byłoby to takie złe? Jestem coraz bliższa zgody na to, mimo że zamierzam żyć dalej, zostać tu i wychować moją dziewczynkę. Jedno wyklucza drugie, wiem. Wcześniej, kiedy tu byłam, chciałam dowodów siły innych ludzi, teraz wystarcza mi moja własna siła. Chcę wybrać się w góry i poprosić kogoś, żeby mi zrobił zdjęcia: całkiem nagiej, pozującej na skale – kolumna wytrzymałości.

Wielką niewiadomą jest sam przeszczep. Ale to nie dziś. To nie dziś.

Za każdym razem, gdy podnosił słuchawkę telefonu, wybierał podany na wizytówce numer i ostrożnie uzgadniał z florystką, jakie lubi kwiaty – niewielki bukiet z Dalekiego Wschodu, a może coś pełniejszego z Rosji – wiedział, że łamię umowę. Ale mimo to składał zamówienie. Nigdy nie umawiał się na piątek, bo w piątki są obłożeni, pełno tam napalonych biznesmenów spoza miasta albo szefów opróżniających się w oczekiwaniu na długi weekend w domu. (Już sama myśl o tym, co oznacza „pełne obłożenie”, napawała go przerażeniem, zwłaszcza gdy oferowano mu późniejszą godzinę). Rejestratorka zawsze mówiła o kwiatkach. Delikatnych azjatyckich pąkach, pełnych u góry, wyjątkowych, które rozkwitną już za tydzień. Tylko trzysta.

Jeśli Oliver nie opadł z sił przez nadmierne podniecenie i onanizowanie się poprzedniego wieczoru lub też jeśli nie stchórzył (odwołując florystkę za pomocą jakiejś mało wiarygodnej wymówki i wykonując ten czy inny obowiązek), rozpoczynał ciąg okropnych rytuałów: wkładał firmowe pieniądze do białej koperty, dzwonił, by podano mu adres, o wyznaczonej godzinie wypluwał gumę i wchodził do salonu, wbijał wzrok w gustownie ubraną kobietę siedzącą samotnie u końca baru. A jednak za każdym razem, gdy wpuszczano go pod wyznaczony adres i gdy zmierzał schodami w górę lub w dół, serce waliło mu jak młotem. Za każdym razem, gdy otwierały się przed nim leciuteńko, zapraszająco drzwi jakiegoś mieszkania, gdy szybko kończył sprawę i szedł dalej, zajmując się absurdalnymi wyzwaniem planowania wszystkiego, załatwiania spraw, w każdej mijającej sekundzie miał świadomość rozmiarów zdrady, której się dopuszczał. Doskonale wiedział, jak wielki sprawia jej zawód.

Wiedział także, że zawodzi sam siebie i swoje o sobie wyobrażenie: o przyzwoitym i prawym mężu zachowującym się godnie, najlepszym mężczyźnie, o jakim słyszał.

Ale znów: Alice ma ubezpieczenie. Doprowadził ją do przeszczepu, prawda? Dziecku niczego nie brakuje, dostaje więcej niż inne dzieci. A on jest przy nich codziennie, łamię sobie kręgosłup i spuszcza firmę w klozecie, a wszystko po to, żeby się nią zająć. Pozamałżeński seks i przyznanie się do niego – czy to unieważnia trwanie u jej boku, poświęcenie wszystkiego, żeby wyzdrowiała?

A jednak sam *czuł*, że jest nieuczciwy. Bo nie dał jej wyboru. Oszukiwał ją, aż było za późno, by mogła coś z tym zrobić. Bo stała się bezradna.

Nie mógł o tym z nikim porozmawiać: ani z Rugglesem, ani z Jonathanem, a już z pewnością nie ze swoim nieszczęsnym ojcem (mieszkającym na drugim końcu kraju, ledwo przytomnym o świecie, starającym się zrozumieć wyniki badań). Nie mógłby żyć ze

świadomością, że wiedzą. Więc opowiadał o wszystkim prostytutkom. Gdy leżeli spoceni na łóżku, dysząc ciężko, zrzucał z barków ciężar. Zazwyczaj go słuchały, leżąc na boku i patrząc na niego albo leżąc na plecach i gapiąc się w sufit, albo też zamykając oczy w udawanym zamyśleniu i spokoju. Niektóre nie znały angielskiego na tyle dobrze, żeby go zrozumieć. Jedna powiedziała, że jej matka przeszła przez coś podobnego nie tak dawno temu.

I znów wstał świt. I znów Oliver poukladał wszystko w szufladkach, wrócił do Whitmana, wędrował korytarzami, skręcał w prawo, przyzwyczajał się na nowo do niekorzystania z łazienki w ich pokoju.

Spuścił wodę, umył ręce. Wracając korytarzem, włożył kitel i maseczkę. Gdy wszedł do pokoju, Alice przywołała go gestem.

Obudziło ją jakieś wrażenie.

– Ciśnie mnie – wymamrotała niewyraźnie. – W szczęce.

Kazała mu położyć dłoń na szyi. Migdałki, węzły chłonne czy cokolwiek to było.

– Powiększone – potwierdził.

– Czuję się jak chomik. – Jej oczy błyszczały, miała zboląłą minę.

Siostra Hwan odpowiedziała na wezwanie i natychmiast zbadała Alice. Zupełnie spokojna, poinformowała ich, że to typowy skutek uboczny naświetlania.

– Mamy płukankę do ust, która na to pomaga.

– I jeszcze swędzi mnie trochę pipka.

Dyplomowana pielęgniarka spojrzała na nią znad okularów.

– Piecze przy oddawaniu moczu?

– Nie.

– Jakież upławy?

– Nie.

– Dolegliwości?

– Tak jak mówiłam.

– Trochę swędzi?

– Trochę swędzi.

Podczas obchodu Alice opanowała rolę do perfekcji, odpowiadając na pytania lekarza dyżurnego (starszego pana z siwą przystrzyżoną brodą), wyjaśniając nieporozumienia dotyczące faktów i opisując nowe zdarzenia: w uszach ma pełno płynu, w nocy miała dwa ataki suchego kaszlu, było jej mdło i bolał ją żołądek. Pomiar temperatury wykazał gorączkę. Oględziny jamy ustnej ujawniły skrzepy krwi na dziąsłach pod policzkami.

Lekarz zlecił parę leków i kilka nowych badań.

Siostra Hwan pobrała wymazy, przyniesiono śniadanie.

– Umieram z głodu – powiedziała Alice, ale Oliver zauważył, że zjadła tylko dwa kęsy bułki. Potem położyła dłoń na brzuchu, podciągnęła nogi, skurczyła się.

Siostra Hwan sięgnęła po słuchawkę telefonu, powiedziała centrali, żeby wezwali pagerem lekarza dyżurnego.

– Łatwo jest być dobrej myśli, gdy nie czujesz się strasznie – szepnęła Alice. – Ale ból wszystko rozpuszcza.

Podszedł do niej. Znów się skrzywiła. Siostra Hwan powiedziała, że nie odkłada słuchawki.

Pukanie. Chudy sanitariusz w sięgającym kolan kitlu i spodniach opadających fałdami na myśliwskie – jak się wydaje – buty. Wepchnął wózek do środka.

– Transport czeka. Na naświetlania. Gotowa, żeby skoczyć?

Alice przyjrzała mu się uważnie, a na jej twarzy pojawił się grymas, jakby uprzytomniła

sobie coś straszego.

– O nie, jestem taka niemądra, moje mleczko!

– Mleczko? – powtórzył zdezorientowany Oliver.

Usiadła niezbyt pewnie i stanęła przy łóżku, rozłączyła choinkę z kroplówkami. Była teraz żołnierzem wykonującym rozkazy, powędrowała z choinką do łazienki. Stanęła nad umywalką, odkręciła wodę. Namydliła myjkę i zaczęła energicznie szorować twarz.

– Tak – powiedziała siostra Hwan do telefonu. – Zgadza się.

Zamówiono w aptece nowe lekarstwo na mdłości, a lekarz dyżurny wyraził życzenie, aby lek ten szumiał w żyłach Alice przed naświetlaniem. Ale nie to było przyczyną wściekłości Olivera. Rozgniewał go ten chudy ziomal, sanitariusz. Jak usłyszał o nowej kroplówce, zrzędnęła mu mina. Przeniósł ciężar ciała z jednej patykowatej kończyny na drugą i zaklął pod nosem. Oliver zauważył, że przeszkadza mu czekanie, i dlatego się wściekł.

Szacował, ile czasu zajmie dostarczenie lekarstwa z apteki, a następnie opróżnienie kroplówki. Strzelał, jeśli chodzi o długość oczekiwania na zapchany korytarz radioterapii, do tego trzeba dodać dwie godziny samej procedury. Wszystko to wskazywało, że wróci najwcześniej w porze podwieczorku. Musi jakoś przetrwać nieco dłużej. Do tego czasu będzie wolny na ulicach miasta, pośród hałasu i nawoływań, pod niebem zasnutym autobusowymi spalinami, na stacji metra, na którą wjeżdża pociąg, gdy on czeka w kolejce na bilet. Zajrzał do torby z praniem Alice i sprawdził zawartość, zasznurował ją. Otworzył szufladę, zapamiętał, żeby kupić jej nową bieliznę, by nie musiała chodzić w szpitalnych siatkowych majtkach, zanim odbierze pranie. Zapytał ją przez zamknięte drzwi łazienki, czy ma ulubiony sklep z bielizną.

Wskoczył do dziewiątki jadącej do śródmieścia – najlepsze, co może zrobić, to dostać się do biura.

Generii było w zasadzie gotowe. Grafika, interfejs – wszystko działało; szarobiałe pole tekstowe z minimalnym obramowaniem linijkami wyznaczającym rozmiar strony. Można było importować do pliku akapity i całe teksty. Niestety, cholerny kursor zaczynał się kręcić, gdy zjechał poniżej dolnej krawędzi, co oznaczało, że Oliver musi wyśledzić tę błędną linijkę kodu. Pojawiły się też problemy z dodatkowymi spacjami, dwukropkami zamiast średników oraz inne drobne błędy wywołujące przeróżne drgawki. Lista rzeczy do prania była bardzo długa – tysiące poprawek.

Robił wszystko, co mógł, aby powstrzymać nieuniknioną katastrofę finansową; podnajął nowe biuro na kilka miesięcy i przeniósł pracę z powrotem do mieszkania, do czasu powrotu Alice. Brow przychodził teraz tylko raz w tygodniu, żeby programować, a i wtedy zaledwie na kilka godzin. Twierdził, że się nie wyrabia, bo wrócił na studia magisterskie.

Najgorsze jednak było to, że Ruggles zaczął się nagrywać na automatycznej sekretarce: „Cześć, kolo. Mam nadzieję, że wszystko okej u żony. Mam nadzieję, że się trzymacie. Zasyłam uściski. Okej. Człowieku... Tylko sprawdzam, jak się czuje Alice. Chciałbym do was wpaść i zajrzeć do niej. Może w piątek? Oddzwoń, to coś nagramy”. (Oliver nie oddzwonił; czuł się winny czy nie czuł się winny, miał gdzieś podejrziwość Rugglesa).

Zatrzasnęły się drzwi wagonu. Złapał się najbliższego uchwytu, żeby nie upaść, gdy pociąg ruszy. Instynktownie pomacał kieszenie płaszcza, sprawdzając, czy zabrał buteleczkę ze środkiem odkażającym do rąk. Tuż przed nim dziewczyna z ufarbowanymi na platynowo włosami i grzywką słuchała discmana. Jasnożółty kabel słuchawek biegł wzdłuż jej szyi przez rozpięcie skórzanej kurtki i zniknął gdzieś na podołku. Oliver zauważył, że dziewczyna pociąga nosem, wyciera się chusteczką.

Puścił uchwyt i przeszedł na drugi koniec wagonu.

Już bez najmniejszych oporów siadam na tym rowerowym siodełku i nawet nie myślę

o tym, żeby stać. Przyciskają jakieś guziki za ochronną szklaną ścianą. Wielka maszyna szumi. Czuję teraz ciepło na powierzchni skóry. Jestem wyschnięta pod tą grzejącą lampą. Siedzę tak długo bombardowana promieniowaniem, że tracę rachubę czasu, nie wiem, co się dzieje i gdzie jestem. Gdy w końcu mnie odpinają, praktycznie osuwam się z siodełka i jestem wdzięczna, że czeka na mnie sanitariusz; nie obchodzi mnie, że to ten szczupły, naburmuszony. Wiezie mnie korytarzem. Mówię mu o swojej wdzięczności. Odpowiada mi tak:

– Płacą mi za to, żeby czekać na pacjentów.

W holu mijamy starszą panią przy automacie telefonicznym. Opowiada komuś o potwornym smrodzie lekarstwa, które podają mężowi przez wenflon.

– Już dłużej tego nie zniosę – mówi.

„Wiem, jak się pani czuje” – chcę jej powiedzieć.

Ale przecież nie wiem.

Czekamy na windę, sanitariusz stoi u mojego boku. Czekamy tylko we dwoje, nad nami zmieniają się neonowe cyferki.

– Wszyscy mamy jakąś pracę – mówi sanitariusz. Patrzy prosto przed siebie na grube metalowe drzwi. – Lekarze mają pracę. Technicy mają pracę. Pielęgniarki czasem też. Moja praca to zawieszenie pani tam, gdzie trzeba. Dają mi premię za punktualność. Jak pani czeka, nie dostaję premii. Czujecie pani?

– Czuję – wykrztuszam. – Ale nie wiem, co mogłabym z tym zrobić.

Przestępuje z nogi na nogę, nie opuszcza głowy.

– To lekarz przepisał mi tę kroplówkę – mówię.

Nie mruga. Trzyma ręce na plecach, jakby go skuli.

– A skoro już o tym mowa – dodaję – to po zabiegu centralnego wklucia leżałam przez trzy godziny nieprzytomna w korytarzu, bo nikomu nie chciało się zawieźć mnie do pokoju. Kto dostał za to premię?

Cichy dzwonek windy, zielona strzałka wskazuje kierunek w dół. Znów zaskakuję samą siebie, wstając z wózka o własnych siłach.

– Hej! – woła sanitariusz. – Nie może pani...

– No to patrz.

Jedną ręką przyciskam wielki segregator do piersi. Drugą chwytam choinkę.

– Chodź – mówię.

Drżą mi uda, gdy wchodzę do windy. Odzywam się melodyjnym głosem:

– Musimy jechać do góry! Musimy się trzymać rozkładu, *nie wiesz?*

To, co robię, jest naganne. Wracam sama do pokoju, wstaję o własnych siłach, nie patrzę na sanitariusza, przysparzam mu problemów. Ma wytatuowaną szyję i nadgarstki i nie więcej niż dwadzieścia dwa lata. Jakoś nie mogę uwierzyć, że pracuje za minimalną stawkę, żeby odłożyć pieniądze na studia dyplomowe. Jestem gotowa się założyć. Większość salowych niedawno przyjechała do tego kraju; pewnie jadą do pracy przez godzinę z jakichś dzielnic pod miastem, a potem przez całą niekończącą się zmianę prześcielają mi łóżko, opróżniają nocnik tylko po to, żeby zatrudniająca je agencja odliczyła sobie pokaźną kwotę od ich pensji.

Winda zwalnia, zjeżdżając na moje piętro. Przypominam sobie, że nasz burmistrz – na którego nie głosowałam – został wybrany w dużej mierze wskutek demonizowania ogromnej liczby kolorowych i że zrobił to po to, żeby wykorzystać obawy populacji, do której niewątpliwie należę. Czuję nagłą złość i wstyd, że przyczyniłam się, choćby odrobinę, do narastania kulturowej wrogości w naszym pełnym smogu powietrzu, zwłaszcza że moje zdrowie, jeśli nie *życie*, zależy w sporej części od tych związanych umowami o pracę służących, obsługujących mnie dosłownie rękami i nogami.



Ale nadal czuję się żywa!

Niemal fruwać, unosząc się na fali słusznego gniewu.

I właśnie teraz zdaję sobie sprawę – choć może powinnam powiedzieć „doceniam” – jak bardzo lubię swój głos.

Cisza zwycięża, donośny spokój przed przybyciem przyjaciółek. Robię wszystko, żeby ta cisza mnie nie zgmiotła. Muszę ją wykorzystać, ruszyć głębiej w siebie. Leżę w łóżku, zjadam trzy łyżki rosółu, więcej nie daję rady. Jestem osłabiona, adrenalina już się rozproszyła – taka jest cena bezczelności. Jestem rozgniona, mam spoconą twarz. Kładę się na plecach, zamykam oczy, ale pokój dalej wiruje. Myśli dryfują i zderzają się ze sobą, nie są gorączkowymi majakami, ale nie są też przytomne, moja świadomość przypomina przymiarki sukienek przed ważną randką. Przymierzam i zdejmuję kiecki, widzę je dopiero wtedy, gdy je zdejmę, szpetnie porzrucane na całej podłodze – przypadkowe myśli z moich drzemek i półsnów.

Nie wiem, czy mam poczuć ulgę, gdy przerywa mi pukanie – łatwo rozpoznawalna chwytna piosenka popmetalowa, grana wszędzie w radiu przed dekadą.

– Terapia muzyczna?

Podnoszę głowę, wciąż jestem w stanie fugi, nieprzytomna – nie całkiem rozbudzona, ale i nie śpiąca – i krzywię się na zapalone górne światło.

– Powiedzieli mi, że może byłaby pani...

Zagląda do pokoju. Wyrzeźbiona fryzura, zarost.

– Hej – mówi. – To zabawne, że znów cię spotykam.

Wciąż jest chudy, otacza go aura zmarnowania. Ale skórzana kurtka dobrze na nim leży. W progu zakłada maseczkę. Sposób, w jaki chłoną mnie jego oczy, jest zupełnie jednoznaczny. Wpadam w panikę, brakuje mi tchu.

– Miałam nadzieję, że już się nie zobaczymy – mówię.

– Wiem. Przepraszam.

Gdy przechodzi przez próg, znosi go w lewo. Wyraźnie kuleje, a każdy krok prawą nogą sprawdza jej umiejętność podpierania ciała. Przyglądanie się temu jest niemal bolesne. Po zdrowej stronie ciała niesie poobijany czarny futerał. A w drugiej ręce mały wzmacniacz.

– Co ci się stało? W nogę?

– Ach to... To tylko otarcie.

– Jak to możliwe, że tu jesteś?

– Poniosło mnie, wiem.

– Nie jesteś już...

Przejście z tym sprzętem wokół łóżka nie jest łatwe, ale jakoś mu się udaje i dociera do końca pokoju, gdzie stoi rozkładany fotel.

– Nie – odpowiada.

Pochyla się, otwiera futerał i wyjmuje elektroniczne klawisze. Obraca się, szuka wzrokiem gniazdka na ścianie i podłącza sprzęt do prądu.

– Mówiąc szczerze, jestem tu po to, żeby przynieść ci terapeutyczną ulgę w chorobie.

Czekam chwilę.

– Dziwne, że nie przyniosłeś lodów.

Odwraca się przodem do mnie.

– Poniosło mnie.

Na swojej prawej dłoni zauważam między kciukiem a palcem wskazującym długie ciemne znamię. Mam ich teraz pełno, wyglądają jak plamy po whisky na białym obrusie.

– Mówią, że to od napromieniowania – informuję go. – Ale to zawsze wstrząs, jak się je widzi.

Wiem, że mi się przygląda, przypatruje się moim dłoniom.

– Jakie znasz piosenki? – pytam. Bo nie wyszedł. Bo coś musi się stać. – No dalej, zagraj coś chorej kobiecie.

Nie odrywa ode mnie oczu.

– Już wystarczy tych błagalnych spojrzeń – rzucam. – Dosyć przeprosin. Poproszę o terapię muzyczną.

Brzdąka klawiszem, jakby go sprawdzając. Potem jeszcze dwoma, raz po raz.

Odwraca się do wzmacniacza, kręci jakąś gałką, sprawdza kabel.

Gdy podnosi głowę, rozpoznaję kruchość, widzę twarz osoby usiłującej uchwycić to, co chce powiedzieć. Pochyliła się, kładzie ręce na kolanach. Zaczyna bębnić palcami, które tańczą w wyćwiczonych synkopach – może to rozgrzewka? Krzaczaste brwi stykają się w wyrazie skupienia.

– Wiesz co, pamiętasz jak... – Przerywa, zasłania usta pięścią. – Okej, jeszcze raz. Latem złamałem nogę, domyśliłaś się, tak? Popierdolona historia, właśnie tak, jak ostrzegali lekarze. „Jeśli nie będziesz patrzył pod nogi, źle stąpniesz i bęc”. Czy ich, głupi osioł, słuchałem? Jeden źle odmierzony krok na nierównym chodniku. Usłyszałem trzask, poczułem szarpnięcie, *bęc*.

– Mocno? – pytam.

– Złamana kość udowa. Mówią, że może już nigdy nie będę normalnie chodził, może już nigdy nie będę biegał, nawet po wszystkich rehabilitacjach.

– Mervyn...

– Taa... Gips na nodze przez cały czerwiec. Musiałem przenieść się do ojca do Jersey. Na szczęście znalazłem kogoś, żeby podnając mieszkanie, i dzięki temu mogę je zatrzymać. Ale to było jak wielkie przebudzenie. Przestałem wypierać.

Gdy kiwam głową, czuję sztywniejącą szczękę – rwanie.

– Zapisalem się na kursy na uniwersytecie, chcę się dostać na studia dyplomowe. Umiem grać, więc zajmę się terapią muzyczną. Może zdołam zrobić coś dla innych. W każdym razie taki mam plan.

– Zapamiętałam cię jako cynika... – Opanowuję się, czekam. – Więc nie jesteś terapeutą muzycznym?

– Mają już terapeutkę. Jest wspaniała, prawdę mówiąc. Ale pracuje tylko dwa razy w tygodniu. A tu jest pełno pacjentów siedzących w salach i czekających Bóg wie na co. Więc jest zapotrzebowanie. Przeczytałem ogłoszenie na tablicy oddziału i pojawiłem się tutaj jako wolontariusz. Gram, o co ludzie poproszą, gram też muzykę klasyczną albo po prostu brzdąkam w charakterze muzycznego tła.

Spogląda na mnie i pyta:

– Było tak źle?

Te oczy. Spragnione. Tęskne.

– Aż tak nie – odpowiadam. – Ale zawsze. – Pytam po chwili: – Czy wiesz, do czego doprowadziłeś?

– Do czego? Dlatego że chcę trochę pożyć?

– Mój mąż...

– Niewinny pocałunek? To taki grzech?

– Nie był aż tak niewinny.

– *Wiem*.

– Ale nie wydarzyło się nic, co miałoby jakieś znaczenie.

– Wiem – powtórzył, tym razem ciszej. – Co mogłoby się wydarzyć?

Salowe pchają na korytarzu tace z jedzeniem. Odwracają głowy.

– Nic nie mogłoby się wydarzyć. *Nic.*

Z wysiłku piecze mnie gardło, pali jak ogniem. Kaszlę. Boli mnie szczęka, sztywnieją ścięgna na szyi. Dotykam jej. Milczę i ból nieco ustępuje. Nie otwieram oczu, słyszę go, czuję jego siłę – chce pomóc. Ryzykuję i kręcę głową w bok, najpierw w jedną, potem w drugą stronę. *Nie.*

Oliver wrócił do Alice, leżała na boku, zwinięta pod patchworkową kołdrą, nieruchoma, spała z mocno zaciśniętymi oczami i otwartymi ustami. Spokój panujący w szpitalnej sali wydał mu się dziwny, trudno było ustać na miejscu. Zauważył, że rozkładany fotel, na którym sypiał, stoi bliżej łóżka. Zauważył, że szpitalny lunch jest prawie zjedzony. Zajął się wyrzucaniem buteleczek z napoczętymi rano napojami Ensure. Nalał świeżej zimnej wody do kubka. Gdy Alice poruszyła się, podszedł do niej, chciał pocałować ją w policzek. Wyczuła jego obecność, wzdrygnęła się, otworzyła szeroko oczy. Widział, jak mu się przygląda, jakby nie była pewna, kim on jest.

Mrugnęła powiekami, raz, potem drugi, oprzytomniała, rozpoznała męża.

Wiedział, co oznacza dla niej jego ogolona twarz, jak Alice interpretuje umyte i uczesane włosy – z miejsca poczuł się nagi. Ale zanim zdążył otworzyć usta, jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Chciała coś powiedzieć, szukała u niego pomocy. Jęknęła cicho, boleśnie. Jej panika przedostawała się na zewnątrz, była zaraźliwa.

– Co się dzieje? – zapytał.

Ale już wszystko było jasne, miała szczękościsk, staw żuchwowy i mięśnie napinały się na lewym policzku.

– Mm tttttngggg mmmm tnhgg.

Jęczała, nie mogąc otworzyć ust, bolało ją, usłyszał, jak stara się powiedzieć:

– Nnnn mmmccc. Eejj. Nnnn mmmccc.

– *Niech ktoś tu przyjdzie!* – zawołał tępo do interkomu. A potem dodał z pełną determinacją precyzją: – Pokój Pięć Zero Osiem Jot. NATYCHMIAST.

Ujął dłoń Alice i powiedział, że wszystko jest już w porządku. Kazał jej oddychać.

– Weź głęboki oddech. Wdech i wydech.

Może powinni poćwiczyć rytmiczny oddech jak przed porodem?

Widział na jej twarzy gonitwę myśli, szacowała możliwości. W końcu się poddała, spróbowała wypuścić powietrze przez nos. Przyjęła wygodniejszą pozycję, wyprostowała się, rozłożyła ramiona. Gdy wciągnęła powietrze, z jej oczu zniknęła panika. Kiwnęła do niego głową, wypuściła powietrze po raz drugi. Na jej twarzy odmalowała się przebiegłość opanowania. Znów coś wymamrotała zupełnie niezrozumiale, co ją poirytowało. Zastanawiała się, czekała, przycisnęła językiem zakleszczoną szczękę. Pokazała drugą stronę twarzy, robiąc jakiś gest.

– Język też?

Rezydent pełniący nocny dyżur – stosunkowo młody mężczyzna o krótkich kasztanowych włosach i długim nosie – nie był zaskoczony. Położył dłoń w rękawiczce na policzku Alice, pomógł jej otworzyć usta, zaświecił latareczką w głąb jamy ustnej.

– Do tego spuchnięty język, zgadza się. Brzeg i prawa strona.

Jęknęła, potwierdzając.

– Taa... – odpowiedział. – Naświetlanie robi różne dziwne rzeczy ze śliniankami.

Oznajmił, że lekarstwem są cytrynowe dropsy. Alice musi zacząć wytwarzać ślinę, a jej problemy znikną.

– Proszę pić więcej wody. Znacznie więcej. Po jedzeniu cytrynowy drops do ssania. I proszę tyle nie mówić.

Oliver zbiegł przez cztery piętra po schodach i zapłacił osiem dolarów w sklepie z upominkami za torbę słodczy. Dropsy zadziałały – oddzieliły żuchwę od szczęki, rozluźniły język. Gdy Alice się w końcu odezwała, mówiła wolno; „Dżżkuuuujeee”, jakby miała w ustach kamienie. Po godzinie znów zajrzał do nich rezydent, któremu powiedziała na swoją obronę, że pije dużo wody.

Chciał wiedzieć, ile pełnych kubków dzisiaj wypła.

Zrobiła głupią minę.

– To pierwszy... – Zauważyła trochę wody na dnie. – Jeszcze nie skończyłam.

Rezydent nie był zdziwiony; rozejrzał się i powiedział pielęgniarce:

– Musimy panią przenieść do większego pokoju.

Taka fotka: mam długie nieumyte włosy spięte gumką i nadal pucołowatą twarz, co wówczas mnie zawstydzało. Uśmiecham się do niej promiennie. Patrzy na mnie skonsternowana, wielkie odstające uszy, śliczna żółta przepaska na łysej księżycowej główce dziecka. Widać kawałek jej tłusciutkiej dłoni i odcisk ząbków na gryzaku.

Otwieram pomarańczową kopertę z nazwą nieistniejącego już drugstore'u, przerzucam fotografie, sprawdzam, czy są duplikaty, wyjmuję negatyw. Podnoszę mały kawałek twardego plastiku w kierunku sufitu. To przyzwyczajenie ze świata mody: sprawdzanie oryginałów ujęcia, portretów.

– Proszę o odbitkę tego zdjęcia z ząbkowaniem – mówię. – Może w większym formacie: jedenaście na czternaście.

Przerzucam strony albumu. Każę mu zrobić to samo, poszukać zdjęcia, na którym trzymam Doe w nadmuchiwanym rękawku w basenie za domem kuzynki. I jeszcze jednego, na którym wykrzywia się straszliwie, gryząc mnie z zapalem w kciuk.

Przerzucam dalej strony i zauważam coś dziwnego. Stopniową zmianę od zdjęć, na których jesteśmy razem – ja i Doe – do zdjęć samej córki. Oliver już nas nie fotografował. Sama robiłam jej zdjęcia, na których malutka jest bez mnie. To doprowadza mnie do wściekłości, wali w nasze szczęście baseballowym kijem zwątpienia. Gdzie on wtedy był? Zastanawiam się, czy w ogóle był aż tak szczęśliwy? Zastanawiam się, jak głębokie jest pęknięcie życia, które budowaliśmy. Zaczynam wątpić w siebie jako żonę, w szczęście, w które wierzyłam. Tylko tyle mogę, żeby nie wrzeszczeć.

Potem myślę: „A jeśli te fotografie staną się wszystkim, co będzie można pokazać Doe o jej matce, o matce i córce razem?”

Glendora – tak nazywa się dyżurująca tej nocy pielęgniarka, której imię zapisuję w moleskinie, choć to nie jest konieczne, bo wywiera niezatarte wrażenie. Pochodzi z Karaibów, jest po pięćdziesiątce, urodziła mnóstwo dzieciaków i ma jeszcze więcej wnucząt. Ma wysoko ufryzowane włosy układające się w czarny blok przypominający tort czekoladowy oraz skłonność do malowania oczu na niezwykle kolory: miedziana lśniąca kredka i niebieski tusz do rzęs nadają jej ciemnobrązowej twarzy wstrząsający wygląd. Jakby tego nie było dość, maluje brwi w dramatyczne półksiężyce. Jest dużą kobietą, która wydaje się jeszcze większa w tej naszej małej garderobie, gdy dyszy przez nos, badając pompy infuzyjne, odpowietrzając zapchane rurki, pobierając mi krew i robiąc pomiary, sprawdzając podawane leki, pomagając mi pójść do łazienki i wyprowadzając mnie z niej, odpowiadając na pytania moich przyjaciółek i krewnych, pytając o mnie lekarzy i zapisując odpowiedzi w mojej karcie. Zawsze stara się być uprzejma. Widząc fotografię przy łóżku, powiedziała, że córka to błogosławieństwo. Dodała, że opiekujący się mną Oliver jest również błogosławieństwem. Normalna temperatura przed wyjazdem na trzecie naświetlania? Błogosławieństwo!

Przypadkowo strąca wielkim tyłkiem fotografię ze stoliczka przy łóżku. Przeprasza

i podnosi ramkę ze zdjęciem. Jestem na nim z Doe na innym szpitalnym łóżku, jej buzia ma jasnoczerwony kolor, jest pomarszczona, bo zdjęcie zrobiono kilka minut po porodzie.

– To prawdziwe błogosławieństwo – mówi Glendora.

– Dziękuję.

– Przejdziesz przez to, kochana.

– Jasne – mamrocę. – To nie ulega kwestii.

Uśmiecha się.

– Tak trzeba myśleć.

Oliver patrzy na mnie, przez chwilę – „Tak trzeba myśleć, bo co? Bo wiadomo, że i tak się umrze?” – jesteśmy zjednoczeni w irytacji. Ale to nie trwa długo, jego wygolona twarz doprowadza mnie do wściekłości, o czym wie, wraca więc do swojego laptopa.

Jaką część życia zajmują wyrzuty sumienia, rozpamiętywanie błędów, bicie się w piersi, że nie wróciło się do byłej żony lub byłego męża, zadośćuczynienie za zakręty bez powrotu, uznawanie własnych błędów popełnionych z pychy, pożądlivości, chciwości czy tchórzostwa? Tak, ze strachu popełnia się błędy. Ból jest konieczny i są takie pęknięcia, których się nie da naprawić, a nasz pobyt na Ziemi jest chaotyczny.

Widziałam ciężarowców w siłowni, dodających sobie otuchy na ławeczce przed wyciskaniem wielkiego ciężaru: „Nie boli, nie przypierdoli!”. Podobnie brzmi, nawiasem mówiąc, jedna z nauk Satchidanandy – nie ma bólu, nie ma zysku. No cóż, ja mam już swój ból: spuchniętą szczękę, splątane myśli, rozdarte serce.

Wszystkie pielęgniarki są zajęte. Oliver siedzi na fotelu i nadal zajmuje się laptopem, w pokoju panuje cisza. W takich chwilach czuję największą samotność i najbardziej boję się tego, co mnie czeka. Żałuję, że nie ma przy mnie Tildy, która mnie karmi, troszczy się o mnie i przypomina mi, żebym jadła co dwie godziny.

Ale tak nie można patrzeć na świat, wiem. Zadaję więc sobie pytanie: „Co stoi na przeszkodzie mojego samodzielnego troszczenia się o własne ciało?”. Odpowiedź nie jest przyjemna. Przywożą mi jedzenie do łóżka, ale ono stoi i psuje się. Nie myję zębów przed snem. Jestem za bardzo przywiązana do myśli o Tildzie, pielęgniarce czy jakiejś Hindusce, która się mną zajmuje, przynosi mi zupę i zmienia przepoconą pościel.

A gdybym to JA stała się tą dbającą o mnie Hinduską? Umiem odciąć się od bólu w szczęce i ustach, zredukować ten ból do małego pulsującego punktu w czarnej otchłani. Umiem ukryć w ciemnej komórce niedorzeczność żądzy Olivera, zatrzaskać drzwi i spuścić na to wszystko czarną zasłonę. Umiem odwrócić się plecami do zgrozy, wielkiego strachu, jaki czułam tego popołudnia, mając przez chwilę do czynienia z własną niedorzeczną żądzą, gdy jej obiekt wyłonił się z eteru i wszedł do tego pokoju, by usiąść przy moim łóżku. Ale wyszedł stąd, prawda? Umiem żyć tylko tu i teraz. Jednak tak trudno się od niej oddzielić.

W końcu dobre pół godziny po umówionej porze dzwoni telefon. Chcę go odebrać, ale Oliver jest szybszy i podaje mi słuchawkę.

– Miała wspaniały dzień – mówi mama. – Poszłyśmy do muzeum i dzielnie się spisywała. Kupiłam jednorazowy aparat i robiłam zdjęcia. Wyślę je, tak jak chciałaś, będę je wysyłać każdego dnia. Nasza cudna dziewczynka ma już ponad roczek i robi się taka duża! Zjadłyśmy cheeseburgera na obiad, a potem pluskałyśmy się w wannie. Teraz padła jak mucha. Tak, tak, padłaś!

Mama opisuje minę mojej córeczki, gdy ta usiłuje coś rozgryźć.

– Teraz marszczy nosek i przekrzywia główkę. Jakby to, co mówię, było „fee”. Wszystko, czego nie chce, jest „fee”.

Słyszę śmiech Doe i mówiącą do niej mamę. Mam zwęglone serce, ale płonie w nim żar.

– Twój śmiech to najlepsza rzecz pod słońcem – mówię. – Rozświecisz świat swoim śmiechem.

Przypominam sobie, jak wygląda, gdy jest niepewna, jak opuszcza i rozkłada rączki. Szepczę, że ją kocham.

– Bardzo dziś za tobą tęsknię. Szkoda, że nie jesteś ze mną i nie możemy się pobawić.

W słuchawce rozlegają się trzaski, Doe się dąsa; po chwili wybucha płaczem.

– Mnie też jest smutno – mówię. – Mnie też, moja Jagódka.

Płacze coraz głośniej i coraz przeraźliwiej.

– Kocham cię w każdej sekundzie... – mówię.

– Jest zmęczona – słyszę głos mamy. – Już nie może się skupić.

– To nie dzwońcie tak późno.

Mówię płaczliwie, jestem na krawędzi. Ale włącza się Oliver, przejmuje inicjatywę, przekrzykuje mnie, przezywa Doe od makaroników, śpiewa jej piosenkę z pierwszych liter alfabetu.

Na drugim końcu wycie ustaje.

– Powiedz jej, że nosisz ją w sercu – mówi Oliver.

Mówię z wysiłkiem:

– MAMUSIA JEST W TWOIM SERDUSZKU.

Jakieś przyciszzone dźwięki, w końcu cisza. Słyszę niewyraźnie.

Pytające: „Maa?”

A potem: „Taa?”

I jeszcze: „Saa?”

– Mamusia i tatuś w serduszku? – pytam.

– Maa taa saa.

Druga Szlachetna Prawda o Przyczynie Cierpienia (*duhkha*) stara się opisać przyczyny pragnienia. Mogę pragnąć pięknej jedwabnej pościeli, ładnej torebki Dolce, ale te pragnienia są przejściowe, są *tanhā*: można je zaspokoić, ale nigdy się nie nasycić. Budda uczy, że *tanhā* bierze się z braku świadomości, że chwytanie na oślep jednej rzeczy po drugiej jest iluzją. Budda mówi: „Pragnienie wiąże z tym światem. Opanowanie pożądania wyzwala. Dzięki porzuceniu pożądania wszystkie więzy są odcinane”<sup>18</sup>.

Może mogłabym zaakceptować szorstkie wykrochmalone prześcieradła. Może mogłabym przestać marzyć o obejrzeniu *Pulp Fiction*. Ale krzyknęłabym prosto w twarz Buddy: „Posłuchaj tego dziecka, które wyszło z twojego łona! Porzucisz pragnienie bycia z nim?”

W słuchawce cisza, a ja mam serce w gardle, pulsuje mi żuchwa i czuję dłoń Olivera na barku. Rozmazałam się.

Jestem tutaj. Opanowana. Żyję pełnią tej chwili.

– To prawda – mówię, starannie wymawiając słowa, co ma rozluźnić ściśnięte gardło. – Mamusia i tatuś są w twoim serduszku. Ty jesteś w naszych sercach. Więc jesteśmy bardzo blisko siebie. A nasze pragnienia nas uwznioślają. I zbawiają.

Mówi z rozłożonego fotela:

– Chyba odnieśliśmy sukces.

Wydarzenia już są za nami, w pokoju w końcu zgasło światło.

– To było miłe – odpowiadam.

– Jakoś dajemy sobie radę do tej pory.

Ściany są czarne i mniej czarne.

– Ta nocna pielęgniarka to dzieło sztuki, nie? Te brwi!

– Glendora?

- Tak ma na imię? One są wytatuowane?
- Narysowane.
- *Narysowane?*
- Mhm. Golisz brwi i rysujesz sobie bardziej ekstrawaganckie. Wiele kobiet tak robi.
- Naprawdę?
- Znam się na tym, Oliver. I znam się na kobietach.

Klimatyzacja zmienia bieg, lekki przeciąg.

- Chcesz o tym porozmawiać? – pyta.

– Chcę spać.

– Bo ja chcę. Chciałbym wyjaśnić...

– To był długi dzień, Oliver.

Czeka.

– Muszę spać – mówię.

Jego rezygnacja jest namacalna. Słyszę, jak zmienia pozycję na leżance.

– Jasne.

Świt albo pięć minut po nim. Nieważne, jaka to nieludzka pora. Wyrrywają mnie z zaślinionych głębin. Młoda salowa Noelle mówi mi, że doktorzy potrzebują próbek: „Próbek stolca i moczu”. Gardło mnie boli, jakbym przez cały wieczór żuła skórzaną podeszwę, więc jest lepiej. Niewykluczone, że zdołam wypowiedzieć kilka zdań. Mówię ostrożnie i powoli.

– Niefajnie robi się kupę i siku w kapelusze – zaczynam. – W dodatku oddzielne.

Noelle nie przestaje się sztucznie uśmiechać.

Mówię dalej:

– Zwłaszcza gdy ma się rozwolnienie po tych lekach. Robię kupę czymś takim, czym sikam. W dodatku równocześnie. Więc jak mam to zrobić w oddzielne kapelusze? Mam uprawiać gimnastykę odbytem?

Noelle patrzy na zdjęcie przy łóżku, mówi, że mam śliczne dziecko.

Zazwyczaj idę spać po porannych pomiarach, ale tym razem jestem za bardzo nakręcona. Pojawia się siostra Hwan. Pyta mnie o szczękę. Jak sobie daję radę.

Przypomina mi, co robiłam poprzedniego dnia, jakie brałam leki po przebudzeniu, kiedy pojechałam na naświetlanie. Popołudnie. Czy czułam jakieś objawy przed pójściem spać? Czy obrzmiewał mi język, bolała zuchwa? Czy szczękościsk pojawił się zaraz po przebudzeniu po naświetlaniach? Mówi, że chce być moim adwokatem.

– Po co? – pytam.

Nie odpowiada.

Po godzinie wchodzi Blasco z moim radiologiem. Wiedzą, co powiedziałam pielęgniarce, ale chcą wiedzieć więcej, próbują nakreślić chronologię zdarzeń, krok po kroku, jakie skutki uboczne pojawiły się tutaj, jakie leki podawano mi wcześniej i kiedy.

– Chcemy wiedzieć tyle, ile tylko można – mówi Blasco. – Każda podpowiedź i wskazówka mogą nam pomóc.

Pyta, jak sprawdzają się cytrynowe dropsy. Kiwam głową i mówię, że świetnie. Doktor Blasco przyjmuje to z ulgą i przechodzi do mojej perystaltyki.

– W pani karcie odnotowano, że nie załatwiała się pani od przyjęcia na oddział.

– To nieprawda – mówię.

– Podajemy pani zofran, który wywołuje zaparcia – ciągnie Blasco. – Zaordynujemy tabletki, które rozluźnią stolec.

– Nie.

– Ułatwią załatwianie się.

– Nic pan nie rozumie.

Radiolog kiwa głową do Blasco. Patrzą na mnie, oczekując na wyjaśnienia.

– Teraz moja kolej? – pytam.

To będzie mój ostatni wyjazd poza pokój, przynajmniej na pewien czas. Zjeżdżamy na pierwsze piętro i ruszamy korytarzem z rzędem okien. Przypatruję się wyblakłemu niebu: dzień jest wietrzny, korony drzew kołyszą się za oknami oddziału tam i z powrotem. Resztki liści w czerwonych, pomarańczowych i bladeżółtych barwach jesieni są gotowe odfrunąć z wiatrem. Ale jeszcze się trzymają, a rozkołysane gałęzie niemal dotykają murów, są tak blisko, że kilka listków opiera się o szybę i zaraz ucieka. Przyglądając się tym wietrznym synkopom, czuję mdłości, jakbym miała zwymiotować.

– Dam ci sto dolarów – mówię do sanitariusza – jak pójdziemy na wagary i wywieziesz mnie na dwór na pięć minut.

Jest wychudzony, ma pomarszczoną jak zleżałe jabłko twarz ćpuna i więzienne tatuaże na szyi.

– Co się stanie, jak mnie złapią na dworze? – pyta. – Zgadnij.

– Dwieście dolarów.

Cmoka.

– No dalej – nalegam. – Idziemy się nawalić.

Zatapia się w sobie, przygląda mi się badawczo, oceniając głębię mojego szaleństwa.

– Kuuuurwa. – Wybuchu śmiechem.

Śmieję się razem z nim i pokazuję mu opuchnięty język.

Mam dobry kontakt z Paulem, radiologiem, choć naszą relację trudno uznać za przyjacielską. Największym odkryciem była dla mnie jego przyjaźń z doktorem Eisenstattem. Lecz gdy zapytałam, ile lat ma Eisenstatt, Paul zirytował się, jakbym nie powinna była wiedzieć niczego o tym człowieku, jakbym zawsze miała myśleć o nim jak o lekarzu.

Jednakże dziś nie jestem w stanie prowadzić pogawędki. W głowie mi pulsuje, oddycham z trudem. Przy każdym ruchu mam zawroty głowy i muszę się trzymać brzegów rowerowego siodełka. Paul mówi, żebym się nie śpieszyła. Patrę przed siebie z nadzieją, że znajdę przedmiot, na którym mogłabym się skupić. Na najbliższym uchwycie wisi wiadro do rzygania przypominające nocnik. Te uchwyty są zamontowane na stałe i nie ma sposobu, żebym sięgnęła po wiadro. Nie oddycha mi się łatwiej. W pomieszczeniu jest dosyć chłodno. Mam gęsią skórę. Wokół ciągle coś szumi. Zastanawiam się, czy nie powiedzieć Paulowi, że nie dam rady. Wyobrażam sobie, że rozpinają mi pasy, wyjmują ostrożnie cewnik, a na dworze czeka na mnie samochód. Ale to nie wygląda jak rzeczywistość.

Właśnie przez to przechodzą ludzie.

Teraz moja kolej.

Chwytam łączywie oddech, biorę się w garść, zgrzytam zębami i czuję napięcie w zuchwie, mniejsze niż poprzednio, ale ciągle mocne, co przynosi dziwną ulgę. Jestem gotowa. Kiwam głową.

„W porządku – mówię sobie. – Już nigdy nie będę musiała przez to przechodzić”.

Pizama i bielizna leżą na podłodze obok łóżka.

Ponieważ już mogę wziąć prysznic, powiedziano mi, że czystość jest bardzo ważna dla zdrowia. Nie da się opisać słowami, jak bardzo chcę zmyć z siebie tę łózkową skorupę, warstwy kremu, kwaśny odór ciała. Używam interkomu, żeby im powiedzieć, że idę pod prysznic.

– Ktoś może przyjść zmienić pościel.

Radosna odpowiedź:

– Się robi.



Woda płynie odświeżającą kaskadą. Pozwalam jej płynąć po czaszce, ramionach, obracam się i podnoszę głowę, wystawiam pod nią przód szyi. Trzymam się stalowego uchwytu i stoję pod prysznicem, dopóki nogi chcą mnie utrzymać. Potem, wciąż ociekając wodą, przeciwstawiam się losowi i zmuszam swoje jelita do posłuszeństwa. Zamykam plastikową pokrywę, umieszczam nieduży zbiornik na toalecie zgodnie z instrukcją.

Sadowię się na śnieżnobiałym prześcieradle, kładę się na świeżo posłanym łóżku i znów dzwonię do pielęgniarki z wiadomością, że mam kał do analizy.

Jeszcze jedno „się robi” równie radosne jak pierwsze.

Odzyskawszy nieco godności, zamykam oczy i pozwalam sobie odpłynąć.

Naprzeciw Penn Station brudny biurowiec z epoki meloników i trzech martini na lunch. Oliver zignorował gliniarza do wynajęcia w recepcji i ruszył prosto do chrzęszczącej windy. Minął zakurzony labirynt korytarzy art déco z zapomnianymi już mosiężnymi skrzynkami na listy, ozdobionymi orłami o wciąż czujnych i wpatrzonych gdzieś oczach. Znalazł się u celu: ciemny pokój z lekko uchylonymi drzwiami, oświetlony jak zawsze zapachowymi świecami. Pojawiła się ona: nieduża, seksowna, właśnie taka, jaką opisano przez telefon, wypełniająca szczelnie koronkowy biustonosz i figi. Ta ma na imię Perla. Atrakcyjna, choć starsza niż w opisie, o długim, czerwonym bałtyckim nosie pokrytym żyłkami przy nozdrzach. Zmęczenie życiem wokół oczu. Zmarszczki w kącikach. Mruczy seksowym głosem jego imię, wyciąga rękę po dowód ze zdjęciem.

Od tego zawsze robiło mu się niedobrze, był to prawdziwy test dla jego paranoicznego ja: czy chce się dać złapać w samym środku schadzki? Albo jeśli coś pójdzie nie tak i zaborą mu dowód, rzucą gdzieś na podłogę i zostawią? Dowód i lista schadzek mogą doprowadzić do niego, obnażyć go przed światem. (Na całe szczęście po pierwszym razie nikt już nie oglądał jego kutasa).

Perla oddała mu dokument.

Znów znalazł się w nijakiej sypialni. To nawet nie była sypialnia, tylko pusta przestrzeń biurowa z gotyckimi sztukateriami i dużym łóżkiem pośrodku – na tyle odsuniętym od ściany, żeby o nią nie łomotało. Oliver wszedł do środka, na przemysłowej wykładzinie stał rząd tenisówek i sandałów na platformach w małym, niemal dziecięcym rozmiarze. Drzwi do garderoby były otwarte, na podłodze leżała wybebeszona walizka z wypadającymi z niej pogniecionymi topami i dzinsami. Obok nieduża sterta podarunków (logika wskazywała, że kupiono je u koreańskich hurtowników w pobliżu): pudełka z perfumami w celofanie, pluszowe wypchane misie, próbki gorzkiej czekolady.

Położył kopertę na stolicku przy łóżku i odwrócił się wyczekująco, doświadczony na tyle, by znać zasady – za te pieniądze nie dostawał ulicznych kurew. Jedna miała na sobie obcisłą wieczorową suknię, inna, na prośbę Olivera, włożyła codzienny strój jak dziewczyna z sąsiedztwa. Nalewały mu wina, pytały o opinie w sprawie rynku, dopytywały się bez skrępowania, czy życzy sobie masaż. Masowały go piersiami po plecach, wsuwając mu język do ucha.

– Chcesz wziąć prysznic? – zapytała Perla, wskazując jakieś drzwi.

Cienkie białe ręczniki na toalecie. Na półce galonowy słój żelu do higieny intymnej Vagisil i największa, najekonomiczniejsza butla Listerine. Płyny do ust zabijają zarazki, co czyni obciążanie bezpieczniejszym. Przed penetracją albo podczas erotycznej masturbacji co bardziej doświadczone dziewczyny zakładały mu prezerwatywę ustami. Któregoś razu dostał wspaniałą, choć zdenerwowaną dziewczynę z Afryki, nową w tym interesie, ledwo pełnoletnią, która nie chciała zacząć, póki nie umył genitaliów antybakteryjnym żelem. „Nie dotykaj kutasa” – zażądała. Ale dotknął („Siła przyzwyczajenia, wybacź”). Więc poleciła: „Wróć do łazienki

i umyj się jeszcze raz”.

Bezzapachowy szampon Vidal Sassoon. Oliver wzdrygnął się, nie sięgnął na półkę.

Poklepywał na sobie ręcznik, żeby wyschnąć, owinął się nim w pasie i starał się nie myśleć o swoim coraz większym brzuchu, nie mówiąc już o stercie brudnych ręczników w koszu na pranie. Z pokoju dobiegał już kiepski pop, jak zwykle. Koperta zniknęła ze stoliczka. Podobnie jak stanik i figi Perli. Lśniąca brązowa opalenizna, wielkie soczyste melony, brzuch z blizną po cesarskim cięciu. Gdy się do niego uśmiechnęła, stała się młodsza i łagodniejsza. Wskazała mu łóżko.

– Zajmę się tobą – szepnęła w sposób, który większość mężczyzn bierze za niewymuszony.

Kłamstwo, wmawiał sobie, jest jednorazowe. „Żeby pozbyć się tego z systemu”. Ale to nie było takie proste. Choć rzadko go całowały albo całowały ze sztywnym politowaniem. Choć robiły się wilgotne tylko po irygacji. Lizały go, podskakiwały, krztusiły się, zgrzytały zębami, przyciskały się, zmieniały pozycje z misjonarskiej na od tyłu, miały giętkie ciała gotowe na każde wyzwanie, każdy wyczyn, za który się zapłaci, ale na nic więcej. Zawsze trzymały dystans. Seks z frajerem, żeby się rozładował i poczuł usatysfakcjonowany. Oliver miewał orgazmy – czasem nawet wyjątkowo silne – ale zawsze wychodził z tych mieszkań niespełniony. Przede wszystkim czuł przygnębienie, że upadł tak nisko, żeby *za to* płacić! Czuł się wykorzystany. Poniósł porażkę na wszystkich frontach, na których mężczyzna może się nie sprawdzić. Istniało tylko jedno rozwiązanie: następna schadzka. A przy stosunkowo rzadkich okazjach, gdy wychodził chwiejnym krokiem z tych mieszkań, na uginających się kolanach, z zawrotami głowy, pożądanie nękało go dalej – kolejne dobre bzykanie tak szybko, jak się da.

Żył w innym wszechświecie niż ten, w którym obdarzano go płatną miłością. Tyle przynajmniej wiedział.

Mimo to kobieca skóra pozostawała dlań cudem.

Perla przymknęła oczy.

Jęczała, przygryzała dolną wargę. Jej łechtaczka nabrzmiała krwią, lśniła czerwienią. Czuł mięśnie jej pochwy zamykające się na nim.

Teraz nie były już ważne jej dystans profesjonalistki, emocjonalne bariery; przebijało przez nie to, co na samym dnie: pierwotne umiejętności ludzkiego ciała. Czy miała orgazm? Czy czuła coś naprawdę? Wstydział się, że to ma dla niego znaczenie, ale wołał wierzyć, że tak.

Później Perla zapaliła papierosa w małej kuchni. Gdy Oliver się ubierał, dzwoniła gdzieś i rozmawiała z kimś krótko po rosyjsku. Obdarzyła go ponadnormatywnymi komplementami – że było „wprost niesamowicie” i że ma „niesamowitego kutasa” – a potem dodała jeszcze zwykłą śpiewkę, że „on sam jest niesamowity” i że chce się z nim spotykać regularnie. Znów zapytała, czy chce skorzystać z prysznicza, i wyjrzała przez judasza, żeby sprawdzić, czy nikt nie stoi na korytarzu.

Nie wiem, od jak dawna siedzi przy łóżku. W jego głębokich żrenicach maluje się ulga, a na twarzy zatroskanie. Gdybym miała dość siły, wyciągnęłabym rękę i pogłaskała go po policzku.

– Jak się miewasz? – pyta. Tylko że mówi niewyraźnie, jakby miał coś w ustach. – Dajesz radę?

Jestem zbyt wyczerpana, żeby się uśmiechnąć, więc tylko na niego patrzę. Włosy opadają mu na twarz, wpatruje się w klawisze, gra kilka spokojnych nut. Na najdalszych klawiszach leżą moje cytrynowe dropsy. Mówi, że nad czymś pracował. Może mi to zagrać?

Melancholijne dźwięki ze środka skali. Narastają, ale niezbyt szybko. Nuci do muzyki. Nuty rozplývają się, ale tworzą rytm, melodia podąża dalej, wyżej, szybciej, weselej. Zamykam

oczy i słucham. Pozwalam sobie płynąć.

Oparzenie po naświetlaniu pulsuje mi na czole.

Piosenka spływa jak liście. Rozumiem, że melodia jest jak ucieczka, i ignoruję niezdarne części. To miło, że Merv stara się zrobić mi niespodziankę. Że nie trzeba się martwić konsekwencjami.

– Cudnie – mówię mu – że zechciałeś mnie stąd zabrać.

– Jeszcze nad nią pracuję. – Uśmiecha się z wdzięcznością, ale i szelmowsko. – Zagrać ci jeszcze jedną?

Nie czeka na pozwolenie, zachowuje się jak student z gitarą na ognisku z piwem, chce się popisać przed laskami. Nowa piosenka ma żywy rytm, taki jak do przemarszów po głównej ulicy.

I potem to się staje. Wchodzi Oliver. Już od progu gratuluje mi końca naświetlań, mówi, jak bardzo jest ze mnie dumny. Melodia się urywa. Zamykające się drzwi trafiają go w plecy. Widzę, jak ta scena odmalowuje się na jego twarzy: Oliver najpierw ją trawi, potem domyśla się, kim jest klawiszowiec, przyswaja sposób, w jaki ten chłopak na mnie patrzy – i może jak ja spoglądam na niego? Jak na niego patrzyłam? Czuję odruchowe przerażenie. Zostaliśmy przyłapani. A potem myślę: „Na czym?”

Oczy Olivera zachodzą łzami. Patrzy tak, jakby dostał cios, po którym ugięły się pod nim kolana, kołysze się na piętach. Zauważa otwarte dropsy na klawiszach Merva.

Przez chwilę niepokoję się, że widzę załamanego mężczyznę. Ale chcę krzyknąć: „Widzisz, jak to jest! Nie jesteś jedyny!”

A teraz patrzy na mnie: na moje skurczone ciało owinięte pościelą, niemal zmumifikowane, na moją poparzoną groteskową twarz, na mój grymas przerażenia i ekscytacji.

Milczy. Nie rusza się. Jakby zdarto z niego ochronną warstwę skóry, jakby wypalono mu promieniowaniem szpik, ukazując jego gołą istotę.

Trochę się boję, że Oliver powie coś głupiego.

– Graj dalej.

Te słowa są jak sztylet. Podchodzi do mnie, patrzy mi w oczy, całuje mnie w policzek.

Sięga po metalowe rozkładane krzesło, jest zrezygnowany i zamyślony. Widzę, że jest zraniony.

Wzrusza ramionami.

– Im nas więcej, tym lepiej, prawda?

Merv zerka niespokojnie na mojego męża i na mnie, wygląda na zmartwionego, zastanawia się, co zrobić. Unosi kącik ust. Krzywy uśmiech. Opuszcza głowę i wpatruje się w klawisze.

Zaczyna grać melodię w kabaretowym stylu, choć wydaje się nawet żywsza i skoczniejsza. Potrzebuję kilku sekund, żeby ją rozpoznać, ale w końcu, nie wiedząc sama, co robię, piszczę z zachwyty.

– *Show me, show me, show me how you do that trick.*

Oliver patrzy na mnie z wyraźnym niesmakiem. Mimo to podśpiewuję następny wers:

– *‘The one that makes me scream’, she said<sup>19</sup>.*

Zatapiam się w radiowym przeboju sprzed lat.

Słuchamy przez długą chwilę pięciu, może sześciu piosenek: syntezatorowych tanecznych przebojów i bluźnierczych plotek, uwielbianych przez białych Niemców w pełnym rywalizacji świecie, potem ukierunkowanego inteligentnego gniewu, który wrze w skorumpowanym cieniu pomnika Waszyngtona, potem strapionego i po chłopięcemu zawadiackiego poczucia humoru prosto ze stołków barowych przedmieść Minneapolis. Każda piosenka jest nie tylko rozpoznawalna, ale błyszczący jak klejnot znaleziony po Bóg wie ilu nocach spędzonych na

kręceniu galką radia, wyciąganiu anteny w nadziei na lepszy odbiór tej ulubionej odległej uniwersyteckiej stacji. Oliver zachowuje się znośnie – dostrzegam nawet pewien podziw – ale widzę też, że się zastanawia, co oznacza obecność Merva w tym pokoju. Natomiast Merv bez reszty oddaje się muzyce jak profesjonalny wykonawca. Z wyćwiczoną nonszalancką wyższością stara się nie odrywać wzroku od klawiszy, jakby wszystko, co ważne, było wypisane na nich. Od czasu do czasu podnosi głowę i zerka na mnie. Na mojej twarzy, jak przyklejony, błogi uśmiech.

Błogosławiona Glendora! Ma w nosie nasz mały trójkącik, nie zamierza zaniedbać swoich obowiązków. Człapie w stronę łóżka i pochyła się – głowa, szyja, ramiona opuszczają się niczym na zardzewiałym dźwigu. W ten chrzęszczący sposób kuca nad posadzką. Wokół przepełnionego czerwonego pojemnika walają się zużyte strzykawki i niepotrzebne rurki. Wzdycha.

– Nikt tego nie sprząta?

Zbiera to, co się wysypało.

– Co za nieporządki... – zaczyna.

– Co za syf! – przerywa jej Oliver. – Gówniany syf. Wiedziałem, że pani czeka, aż to powiem – dodaje, wyraźnie z siebie zadowolony.

Powinnam ją przeprosić. Merv przestał grać i ukrywa uśmiech w kołnierzu.

Glendora nie jest pewna, czy biali nie śmieją się z niej. Potem kręci głową i nazywa nas bandą czubków. Słyszę pełne podziwu chichoty reszty zgromadzonych. Dołączam do nich z ulgą. Glendora wyrzuca rurki do kosza na śmieci, który znajduje się na zewnątrz, wraca, otwiera drzwi do łazienki.

– Masz dla mnie ten kał?

– Oddałam dzisiaj rano.

Podmalowane na różowo oczy mrugają raz za razem. Wydyma usta.

– Blasco właśnie prosił.

– Nie ma na toalecie?

Rozgląda się.

– Ani śladu.

– Przysięgam, że zostawiłam.

– Nie mamy tego w karcie, kochana. Nie mamy w karcie, nic nie dostaliśmy.

Nie pytajcie mnie jak, ale zdobyłam się na wielki wyczyn: bezprecedensowy złoty medal w gimnastyce odbytem. Tak, dostarczyłam drugą czystą próbkę w ciągu jednego dnia. Pokój pielęgniarek nie odpowiada. Drugi telefon również.

W końcu o dziewiątej wieczorem, godzinę i dziesięć minut po pierwszym telefonie, ktoś podnosi słuchawkę.

– Potrzebuję pomocy – mówię. – I ktoś musi odebrać kał.

Po kilku minutach pojawia się następna kobieta z Karaibów, starsza, zdaje się, że ma na imię Shanti, ale nie mam czasu zaglądać do notatek. Mówi, że mają nagły wypadek na oddziale. Glendora jest zajęta.

– W czym mogę pomóc? – pyta.

– Dziękuję. Gdyby mogła pani zabrać tacę, ale przede wszystkim dzwoniłam w sprawie próbki kału.

Widzę, że się jej śpieszy, jest wyraźnie poirytowana, prawdopodobnie *mną*. Wchodzi do łazienki. Słyszę, jak mówi: „Słodki Jezu”. Chlupot spuszczonej w toalecie wody.

– Spłukała pani próbkę?

– Co?

Oliver zrywa się i idzie do łazienki.

– Próbkę kału, którą ktoś miał odebrać przed godziną!  
– Nie wiedziałam, że to ma iść do analizy! – Shanti krzyżuje ramiona.  
Czuję, że trafia mnie szlag, ale chcę zachować spokój, choć nie bardzo mi się to udaje.  
– Nie wierzę, że pani to zrobiła – mówię. – Dzwoniłam trzy razy, żeby ktoś odebrał próbkę.  
– Nie wiedziałam – powtarza z uporem. – Nikt mi nie powiedział.  
– Żona powiedziała pani o tej próbce, jak tylko pani weszła – mówi z naciskiem Oliver. – Sam słyszałem.

Bardzo nie chcę wyjść na awanturnicę, w dodatku rasistkę.  
– Dziękuję ci, Oliver – mówię. – Naprawdę nie potrzebuję...  
Shanti stoi z założonymi rękami, jak odrętwiała, gotowa chłonąć obelgi, od czego robi mi się niedobrze. Widząc, że skończyłam, przeprosza raz jeszcze, ale ewidentnie nieszczerze. Odwraca się szybko jak skarcona dziewczynka i wychodzi.

Znowu pukanie do drzwi: wchodzi oddziałowa, a za nią Glendora. Oddziałowa jest niską Azjatką, młodszą ode mnie, wita mnie żywo. Zarabia prawdopodobnie więcej pieniędzy, niż ja zarabiałam kiedykolwiek nawet w najlepszych czasach. Jej przednie zęby przypominają stare sztachety w płocie, zrujnowane przez czas i złą pogodę, ale to, zdaje się, jej nie przeszkadza. Zachowuje się dziwnie i godnie, prawdopodobnie była dyskryminowana – z pewnością z powodu zębów – ale wszystko wskazuje na to, że nie zaznała takiego zła jak Shanti czy Glendora. Dynamika klasowa wydaje się inna, dynamika władzy między oddziałową a mną jest z pewnością zupełnie inna niż między mną a pozostałymi pielęgniarkami. Pyta mnie, co się dzieje. Coś się we mnie otwiera.

– Nie winię Shanti – mówię – bo to najwyraźniej nie była jej wina, ale coś tu mocno nie gra. Słyszę bez przerwy, że mam dostarczyć lekarzom próbkę kału. Ale zdaje się, że nikt nie wie, że ma ją ode mnie odebrać.

– Och, Shanti wiedziała – mówi Glendora.  
– Wiedziała? – Czuję bezbrzeżną ulgę.  
– Powiedziałam jej o tym, kiedy przyszła do pracy.  
– Nie wierzę, że...  
– Z pewnością ma pani teraz inne zmartwienia – przerywa mi dyplomowana pielęgniarka.

– Słyszę po pani głosie, że jest pani zdenerwowana.

– Doceniam, że jest pani świadoma tego, przez co przechodzę – mówię. – Ale to nie zmienia faktu, że staram się robić to, co do mnie należy, a inni to psują.

– Jak mogę pani pomóc?  
– W porządku. Tylko jedna sprawa. Proszę powiedzieć temu człowiekowi, który odbiera telefony, że jego praca jest naprawdę ważna. Słyszę od niego: „Się robi”, „W porządku”, sprawia wrażenie profesjonalisty, ale nic nie robi. I proszę powiedzieć Shanti, że jej praca również jest ważna. Ludzie pracujący na tym oddziale powinni dobrze wykonywać swoją pracę. Bo są naprawdę *ważni*. I chciałabym się wyspać tej nocy, więc proszę o późniejszy pomiar temperatury i ciśnienia.

– Polecę, żeby przyszła do pani na końcu.

Oliver zabiera głos:

– Czy mógłby to zrobić ktoś inny niż Shanti?

Jestem mu bardzo wdzięczna i czekam na odpowiedź.

– Ja to zrobię.

– Dziękuję, Glendoro – mówię.

– Zrobię to, kochana, nic się nie martw.

Jest chyba bardzo późno. W pokoju panują ciemności, co jakiś czas piszczy lub ćwierka maszyna, przerywając ciszę. Czuję się bardzo samotna, tkwię w straszliwym miejscu i nie mogę zasnąć, mając świadomość, że toczy się we mnie walka raka z napromieniowaniem; mąż, który mnie zdradza, śpi tuż obok na rozkładanej leżance.

Więc dlaczego jestem tak nieprzytomnie szczęśliwa?

Skończyłam dziś większą część tej procedury. Zjadłam dosyć białka. Przez godzinę robiłam na drutach. Słuchałam muzyki, która chwilami wprawiała mnie w zachwyt. Czuję się dzisiaj kochana, nawet jeśli ta miłość była zupełnie nietrafna i żywił ją ktoś prawie nieznamy. Ale gdy dla mnie śpiewał, chciał mnie stąd zabrać albo przynieść mi chociaż ulgę, dać nadzieję, to miało znaczenie. Czuję to.

Pozwoliłam sobie dziś na tyradę. Wiem, że zachowałam się źle, wiem, że wyrządziłam krzywdę. Ale zrobiłam to, tak czy inaczej, pozwoliłam się ponieść brzmieniu własnego głosu, jego gwałtowności, żywotności, moim własnym sprzecznym pragnieniom. Odkąd zachorowałam, czuję przeszywające mnie światło, które coś mi odbiera warstwa po warstwie.

Trzecia Szlachetna Prawda o Ustaniu Cierpienia mówi o wygaśnięciu *duhkha*, o wyzwoleniu z cierpienia. Rozum łączy to z wygaśnięciem przyczyn cierpienia. Chcąc ulżyć pożądaniu, musimy wyeliminować przyczyny pożądania. Nasze chęci, pragnienia, iluzje, zachcianki. Myślę, że to niemożliwe. Wiem, że niemożliwe. Nie do końca możliwe. Ale odkąd zachorowałam, pojawiło się to światło. Odebrano mi ciało, zredukowano do jego podstawowych funkcji. A dziś na krótką chwilę odnalazłam drogę do prawdziwej siebie.

– Au, au, au!

Właśnie się przekonałam, że mam alergię na krem, którym smarują mi bark wokół dojscia, więc wrzeszczę – dobroduszenie, z miłością, owszem, z miłością – do cudownej dyżurującej nocą pielęgniarki Tary:

– Skurwysyny!

Śniadanie: owsianka z mikrofalówki z nektarem z agawy. Nie mogę zjeść dwóch łyżek. Przy moim piątym łyku ensure wchodzi doktor Blasco, poprawiając gumkę przy papierowej maseczce. Przenoszę spojrzenie na jego ochronny kitel. Uszyto go z czegoś, co wygląda jak żółty szyfon z ery kosmicznej, czegoś półprzezroczystego, przylegającego, z grubym obszyciem. Wiąże się to na szyi i nigdzie więcej, więc fruują rozpięte poły. Podchodzi do mnie wesoły jak ptaszek o świcie:

– Gotowa na następny maraton?

Sposób, w jaki układa się na nim kitel, jest wzruszający – to rozpostarcie, ta luźna żółtość. Przypomina mi to fartuch do grilla noszony przez dobrodusznego, zaabsorbowanego ojca, gotowego rozpocząć doroczną przygodę z grillowaniem: nie ma jeszcze pojęcia, że skończy się to jak zwykle płaczem dzieci i oburzeniem żony, że wszyscy będą głodni i bardzo na niego źli.

Ale co to? Co się dzieje w mojej głowie? Dlaczego się rozklejam? Dlaczego jestem wahadełkiem z nieustannie zmieniającymi się nastrojami? Gdzie się podziała moja pewność siebie?

– Bardziej niż gotowa – odpowiadam lekarzowi. – Zaczniemy już tego grilla.

Znam dobrze kroki, choć każdy z nich wywołuje nudności w brzuchu: wchodzi pielęgniarki w kostiumach jak z horrorów, każda w papierowej maseczce i rękawiczkach z talkiem, poruszają rękoma jak roboty, żeby zawiązać sobie sznurki na szyjach; Oliver sponiony, poci się jak prosię w ochronnym stroju i marudzi, że nie może korzystać z laptopa w rękawiczkach.

– Chcemy zacząć z czystym kontem – mówi Blasco, mając na myśli krwinki niezarażone rakiem.

Przechodzi do szczegółów, ostatnich kroków przed przeszczepem. Podczas pierwszej rundy chemii wprowadzą do mojego organizmu dwie substancje: cytoksan, który może wywołać zapalenie pęcherza moczowego, oraz thyatemper<sup>20</sup>, który będą mi podawali co cztery godziny.

– Godzinę po przyjęciu tego leku weźmie pani prysznic – mówi Blasco. – To pomoże w oddychaniu, przeciwdziała zakrzepom i dusznicy. Następny prysznic po sześciu godzinach. Nie wolno pani pić wody z prysznicą.

Teraz następuje część, w której ujmuję oburącz przezroczyste ciężkie butle, unoszę je i opuszczam, jakbym je ważyła. Teraz chwytam je z boków (rozplaszczając dłonie, przyciskając je do nich). Teraz dziękuję i witam każdą miksturę, uwielbiając ją, modląc się o skuteczność tej trucizny, wpuszczając ją w siebie z całą siłą wojowniczego ducha.

– Zróbmy to! – mówię, ale zdaję sobie sprawę, że udaję entuzjazm. Wmawiam sobie, że ta chemia uzdrawia mnie na swój sposób, a ja uzdrawiam siebie na swój. Ale moje mantry nie brzmią już przekonująco. Czuję się tak, jakby jakaś część oddzielała się ode mnie, otwierała się gdzieś daleko. Nie mogę być tu i teraz, ale słyszę jakiś głos w sobie, który każe mi być tu i *teraz*.

Nie ma nic przyjemnego w napromieniowywaniu i zamienianiu się w świecący, spuchnięty, pokryty bliznami kumkwat, ale dzięki naświetlaniom mogłam przynajmniej opuścić ten pokój. To się skończyło. Zostałam uwięziona w tym byle jakim trójkacie udającym pokój. Muszę się z tym pogodzić.

Cewnik pulsuje dalej w rytmie disco, ale mówią mi, że nie ma na to rady. Jakikolwiek środek przeciwbólowy zablokowałby moją zdolność rozpoznawania bólu, powiadomienia stosownych władz o ważniejszych problemach, co jest obecnie kluczowe. Niech będzie błogosławiony Blasco za wypisanie lorazepamu. Gdy tabletkę zaczyna działać, senność przypomina tę, jaką czerpie się z drugiego talerza wybornej sycącej zupy. A gdy się budzę, jestem całkiem przytomna, co według pielęgniarek jest dobrym znakiem. Poza tym pomaga mi znajomość procedur, która – choć nie przynosi ulgi – sprawia, że niewiele mnie już zaskakuje. Uzupełniam dziennik, gdy pielęgniarki wieszają na choince środek osłaniający pęcherz o nazwie kenzlo<sup>21</sup>. Mam sucho w ustach. Staram się pić więcej wody, ale czasem zapominam. Muszę pilnować tak wielu spraw, że niektóre z nich mi umykają. Pozwalam sobie na luksus dodatkowych drzemek, zwłaszcza gdy podpinają mnie do chemii.

Tilda najwyraźniej odnalazła swoją niszę w redakcji „Schlep”, a redaktorzy z wielką ochotą wykorzystują ją do maksimum, ale oto pojawia się u mnie i robi, co może, żeby się nie rozpaść na widok mojej twarzy. Poświęca dużo czasu na przyglądanie się moim dłoniom: są pomarańczowe, spieczone, twarde i szorstkie jak muszle przegrzebka. Potem sprząta bałagan na tacy i dzwoni, żeby ktoś przyniósł dzbanek świeżej wody. Rozpakowuje parującą sojową edamame i pieczonego w cytrynie kurczaka, wyjmując wszystko z pojemników Tupperware, a z torby nową tubkę nawilżacza do warg, podwędzoną w dziale kosmetyków czasopisma. Chce wiedzieć, jak się miewam, co oznacza, że chce wiedzieć, co mówią lekarze. Nawet ten nieprzyjemny temat cofa nas do starego pokoju w akademiku i znów jesteśmy znającymi się na wylot, swobodnymi w swoim towarzystwie współlokatorkami, uzalającymi się nad sobą z powodu niedostępnych chłopaków.

Wspominam jej o powrocie muzyka, ale się kryguję i nie mówię niczego wprost. Jest podejrzliwa i zachwycona. Potem naprawdę przechodzi ją dreszcz, podnosi dłoń w rękawiczce do maski na twarzy.

– Dużo bym dała, żeby to zobaczyć.

– Trzeba Oliverowi zapisać na plus, że nie rozwalił tych klawiszy na jego głowie.

– Ale musiał być wkurwiony. Był wkurwiony?

– Tilda, ja mam prawdziwe problemy. Gdybyś tylko wiedziała, jak jestem przeorana...

– Błagam cię. Oliver nie ma powodu do zazdrości.  
– Owszem, oprócz tego, że załatwił mi ubezpieczenie, jak wiesz, płaci za mnie składki i lata po mieście z moją brudną bielizną.  
– A gdzie był przez całe popołudnie? – pyta, bo wie.  
– Ale nie można go winić, prawda?  
Zanim zdąży się ze mną nie zgodzić, nie zgadzam się sama ze sobą.  
– Owszem, winię go.  
Ale i rozumiem. Żyje w nieustannym napięciu. Stoi u mojego boku i wspiera mnie we wszystkim. Jakiś głos w mojej głowie chce mu powiedzieć: „Idź”. Muszę żyć tu i teraz, kto inny, jak nie ja? „Idź się pieprzyć. Z jakąś dupą. Kogo to obchodzi?”  
– Ale przejmujesz się tym, prawda?  
– Bo to *jest* zdrada. To znaczy, jak dorastamy, dowiadujemy się, że mężczyźni nie są wierni. Martwimy się, żeby kogoś znaleźć i wyjść za mąż. A potem marnujemy małżeństwo, zamartwiając się tą ewentualnością... Każda kobieta żyje w strachu. Jest tyle wspaniałych par, którym się nie udaje. Ludzie się rozwodzą. Życie toczy się dalej.  
Kładzie dłoń w żółtej gumowej rękawiczce na moich wyschniętych na kość kłykciach.  
– Ale nawet po takim gwałcie – mówię dalej – mamy naszą bliskość. I pewnie dlatego to tak boli. Potrzebuję go. Naprawdę. Dlatego to mi doskwiera, Til. Ale może to znaczy...  
Tilda mruga, próbując nadażyć.  
– Ja też jestem zdezorientowana. – Ściskam jej palce. – Wczoraj było strasznie. Siedzieliśmy i spoglądaliśmy na siebie, nie ufając sobie ani trochę.  
– Fuj.  
– Fuj. Ale gdy Oliver się wycofał i pozwolił Mervowi zostać, uwierzył, jak się zdaje, że to dla mnie najlepsze. Że są ważniejsze rzeczy.  
Zaczyna mnie boleć gardło. Sięgam po dzbanek, nalewam resztkę letniej wody do szklanki i piję.  
– Pociuszające jest to – dodaję – że nic nie musiałam z tym robić. Uporządkuję to jakoś później. Jeśli przeżyję.  
– Kiedy – poprawia mnie Tilda.  
– Kiedy – powtarzam.  
– A jaki jest ten klawesynista? – pyta Tilda.  
Patrzemy sobie w oczy. Macham ręką.  
– Mówimy o mężczyźnie, który potrafi znaleźć publiczność tylko wśród przykutych do łóżka i za słabych, żeby uciec.  
– Więc jest w moim typie.  
– Kiedy się wściekłam na pielęgniarkę, widziałam, jaki był przerażony. To mu się w ogóle nie mieściło w głowie. Ale jest uroczy. I otwarty. I słodki. I lubię, jak przychodzi, bo czuję się dzięki temu bardziej żywa.  
– Myślę, że to dobrze, że O. pamięta, jaką jesteś laską. – Znów ściska mi dłoń.  
Dziękuję jej, opieram się o poduszkę.  
– Czasem zastanawiam się, jak będzie wyglądało jego życie beze mnie.  
Twarz Tildy tężeje. Pokazuję jej gestem, że chcę mówić dalej.  
– Pewnie skończy ten swój program, jeśli poświęci mu tyle uwagi, ile poświęca mnie. Będzie płacił opiekunkom. Jest młody. Mając za sobą taką kliwą historię, wyjdzie do świata i szybko znajdzie sobie inną kobietę. Bo nawet jeśli ten przeszczep się powiedzie, minie dużo czasu, zanim wyzdrowieję, jeśli w ogóle.  
– Alice...



– Nie użalam się nad sobą, tylko stwierdzam fakty. Że będzie mu znacznie lepiej...  
– Jesteś już bardzo silna, skoro miewasz takie przemyślenia – zauważyła Tilda. – A ja muszę być silna, skoro ich słucham.

Uścisk ręki, podziękowanie wzrokiem. Wkładam do ust kostkę lodu.

– Najbardziej przeraża mnie to, co się stanie z Doe. Nie mogę o tym myśleć.

– Wiem, kochanie.

– Nie umiem sobie tego wyobrazić.

– Więc nie myśl o tym.

Słyszysz znużenie w jej głosie. Przechodziła już przez to nie raz.

– Nie myśl – powtarza.

Nie mógł spać, jeść, pracować, myśleć o niczym innym i o nikim innym. Nie wyobrażał sobie, że mógłby ją stracić z powodu raka – to było nie do pomyślenia. Ale że może ją stracić z powodu innego mężczyzny... to było jakie? Odrażające? Kastrujące? Niemożliwe. Ale to jego wina.

Przez dwie godziny usuwał bez przekonania błędy w programie, zapisał plik, zamknął komputer i poszedł do kiosku, w którym Alice kupowała czasopisma, gdzie zgarnął wszystko, czego jeszcze nie widział w jej pokoju: „WWD” (na okładce superatrakcyjna nadąsana blondynka z grzywką), „Italian Vogue” (nadąsana blondynka, rozrzucone włosy) i „Cosmo” (słynna amazonka, nadąsana, znamię). Przy każdym kroku instynkt podpowiadał mu, żeby oglądał się przez ramię. Wyobrażał sobie, że zobaczy tego kulawego skurwysyna na środku chodnika razem z tą jego podskakującą czupryną.

Odebrał z pralni naprzeciw Whitmana jej bieliznę. Zatrzymał się w aptece i kupił kilka pomadek ochronnych ChapStick. Z takim mętlikiem w głowie nie uda mu się przyzwoicie popracować, ale to nie przeszkadza w zajmowaniu się Alice. Będzie bronił tego, co do niego należy.

Stał przed jej pokojem trzy godziny wcześniej niż zwykle i zajrzał na półki z zaopatrzeniem medycznym.

Rękawiczki były dostępne jedynie w rozmiarze dla karłów. Plastik ledwo przykrywał palce, pękał i strzelał, nie wsuwał się dalej. Oliver zakładał maseczkę, gdy poczuł na sobie czyjś wzrok: ktoś zbliżał się powoli za jego plecami. Skórzana kurtka. Zarost.

Zjawił się intruz. Odstawił wzmacniacz i futerał z klawiszami. Nie patrzył na niego, czekając na swoją kolej.

– Nie widzisz, co się z nią dzieje? – zapytał Oliver.

Tamten opuścił głowę, zerkając gdzieś w bok, jakby chciał przetrwać tę myśl. Oparł dłonie o biodra, wystawiając łokcie. Zdobył się na odpowiedź:

– Widzę. – Zasznurował usta. – Między nami nic nie ma. Okej, początkowo tak, ale ja... podobała mi się, to wszystko.

– Błagam, nie pierdol.

– Ale ja chcę jej tylko pomóc, człowieku.

Podniósł głowę i spojrzał Oliverowi prosto w oczy. Oliver zeszytniał, szukając w głowie jakiejś odpowiedzi.

– Nie możemy pójść na wojnę – oznajmił w końcu. – Nie teraz.

Merv zamrugnął, patrzył.

Wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, gdy weszli razem. Speszony nieco Oliver szedł pierwszy, z torbami zakupów i kolorowymi magazynami pod pachą, za nim, kilka poprawnych kroków z tyłu, podążał Merv z opuszczoną głową, przygarbiony, z czarnym futerałem i wzmacniaczem w ramionach. Oliver całuje mnie w policzek, chce wiedzieć, jak się czuję. Merv

sprząta na stole, pyta, czy nalać mi wody.

Być może wczytuję się zbyt mocno w różne sprawy, ale po tamtej chwili przez pozostałe dni chemioterapii, przysięgam, coś się zmieniło w tym pokoju. Nastrój, owszem, ale coś jeszcze. Jestem przekonana, że wysypka na przedramionach nie jest tak dotkliwa. I mówię mocniejszym głosem. Nawet światło dzienne wpadające do pokoju z okna za łóżkiem wydaje się inne, cieplejsze. Wiem, że zabrzmiało to absurdalnie, ale przysięgam, że jest bujniejsze, a barwą przypomina wczesnopołudniowe słońce wpadające na poddasze jakiegoś paryskiego malarza. A oprócz tego dzieje się mnóstwo innych rzeczy; gdy budzę się ze snu albo halucynacji, mam wokół siebie przyjaciółki: Jynne z nagranyymi na kasetach składankami, które towarzyszyły nam podczas gotowania, gdy mieszkaliśmy razem, albo Mary Beth z próbkami materiałów i slajdami, a także całym workiem najmodniejszych w tym sezonie zimowych swetrów. Słuchanie plotek sprawia mi radość, przyglądanie się, jak opychają się krówkami – też. Potem wszystkie robimy sobie przerwę na medytację.

Merv też jest tutaj, trzyma się na uboczu, akompaniuje na klawiszach naszym składankom z taśm. Uśmiecha się do moich przyjaciółek nieco prowokacyjnie, racząc je od czasu do czasu anegdotami z tras koncertowych. Oliver często na ochotnika zjeżdża na dół do sklepiku albo idzie do pomieszczenia socjalnego po zapasy. Co pewien czas ktoś wychodzi z pokoju, żeby zdjąć kitel i rękawiczki dla ochłody. Zagląda pielęgniarka, boimy się, że nas opieprzy za hałas. Ale wcale nas nie opieprza, tylko śpiewa razem z nami, nawet jeśli nie zna za dobrze tekstu.

Nie wiem, jak długo trwa ten etap, godziny czy dni, ale zwieńczeniem wszystkiego są następne odwiedziny Tildy. Oliver całuje ją w zamaskowany policzek. Wyciąga rękę i przedstawia jej „naszego nadwornego muzyka”. (Szkoda, że nie mogłam zrobić zdjęcia głupiej miny Tildy).

Ta chwila niesie mnie dalej, do następnej fazy błogosławionego maratonu. Wchodzi Blasco otoczony jak zwykle falangą rezydentów i sióstr. Tłok w pokoju budzi w nim niewątpliwie irytację, ale uśmiecha się do nas. Jest skupiony, co wskazuje, że chodzi mu o coś poważnego.

– Chcę zapytać, jak się pani dzisiaj miewa. – Kładzie mi palce na szyi, mierzy puls, ogląda dłonie, mrużąc oczy. – Ale jak widzę, wysmienicie!

Każda z dwóch pielęgniarek trzyma butlę wielkości mniej więcej dziecięcej futbolówki – grube gładkie szkło. W pierwszej butli jest gęsty, lepki syrop ciemnego koloru mieszaniny bourbona i krwi. Płyn w drugiej jest przejrzysty. Blasco mówi mi, że to ostatni krok przed podaniem komórek pnia, macierzystych, bardzo ważny. Biorę głęboki oddech i wypuszczam powietrze.

– Czy mamy wyjść? – pyta Mary Beth.

Blasco przygląda się odwiedzającym.

– Regulamin szpitala nie zezwala na więcej niż dwóch odwiedzających naraz. Ale wszyscy i tak już weszli, więc jakoś obejdziemy regulamin.

Przenosi wzrok na mnie i mówi, że leki zostaną podane jednocześnie. Nazywa ciemną miksturę ATG<sup>22</sup>. To jakaś globulina, która działa jak przeciwciało i zwalcza coś w limfocytach T, co może mi zaszkodzić. Płyn w przezroczystej butelce to chyba końska surowica.

Przyznaję, że kiedy zaczyna omawiać ostre reakcje alergiczne, obniżenie ciśnienia krwi, problemy z oddychaniem, trochę się wyłączam i zaczynam być uszczypliwa, bo słyszałam już o każdym możliwym skutku ubocznym, a prawda jest taka, że *muszę* przez to przejść, czy mi się to podoba, czy nie. Dąsam się trochę, pozwalam sobie nie słuchać, patrzę na rezydenta, który się spóźnił i zapukał do drzwi: jest zajęty zawiązywaniem sznurków na szyi, nie obchodzi go, co mówi doktor, gapi się na moje obrazki i slogany. Jeszcze jedno moje małe zwycięstwo.

Pielęgniarki dodają do choinki kolejną gałąź na nowe leki, przerywa nam salowa, która zagląda przez uchylone drzwi i pyta, czy może posprzątać. Widzę, jak wpatruje się w lekarzy i pielęgniarki. Odchrząkuje i zamyka drzwi. Oliver uśmiecha się ironicznie, opuszcza głowę i wraca do robienia notatek.

Blasco mówi, że będę jeszcze bardziej zmęczona, ale nie pozwolą mi się wyspać, ponieważ muszą osłaniać mój pęcherz, więc będą mnie budzili na siku co dwie godziny.

– Cudownie – mruczę pod nosem.

Droga czujna Mary Beth prosi, żebym powtórzyła, bo niedosłyszała. Odmawiam.

– Kto wie – ciągnie jak zwykle optymistyczny Blasco – być może wróci pani apetyt?

Kiwam głową, ale wizualizuję sobie tę nową gałąź na choince wypełniającą się butelkami; widzę coraz więcej cienkich rurek biegnących od plastikowych torebek i butelek ku centralnemu wkluciu: małe strumyki łączące się w potężną rzekę w moim cewniku, wpadającą do mojego ciała.

Czuję łomoczące w klatce piersiowej serce, które chce uciec gdzie indziej, nawet do innego pokoju. Wędruję wzrokiem po otoczeniu łóżka, widzę, że do choinki podłączają dwa zasilacze, po jednym z każdej strony, co w sumie daje osiem pomp kontrolujących przepływ leków. Cztery grube wtyczki wtykają do gniazd na ścianie. Dobry Boże! Jedna z tych rurek będzie się zawsze zatykała. Jeden z zasilaczy zawsze będzie mrugał na czerwono.

Jak będzie wyglądała moja wyprawa do łazienki? Czy zdołam rozłączyć wszystko na czas? Co dwie godziny!

– Kiedy byłam małą dziewczynką, wymyśliłam taką zabawę.

Mówię to do zgromadzonych w pokoju, ale nikt mnie nie słyszy, wszyscy wpatrują się w Blasco jak wzorowi studenci w wykładowcę. Merv pyta, czy coś mówiłam. To powoduje, że Jynne i Mary Beth odwracają się do mnie. Blasco przerywa. Poirytowany Oliver piorunuje Merva wzrokiem.

– Podłoga była oceanem – mówię. – A moje łóżko łodzią. Musiałam siedzieć w łodzi i pływać po morzach.

Udają, że wiedzą, o co mi chodzi. Pozwalam na to. Mówię dalej:

– Zawsze było o wiele weselej, gdy w łodzi zjawiały się przyjaciółki. Jestem naprawdę szczęśliwa. Wy wszyscy płyniecie ze mną tą łodzią.

Słyszę głos Jynne:

– Jesteś z tobą.

Widzę jak przez mgłę, że kiwają głowami gdzieś z boków. Pielęgniarki natomiast nie przestają pracować przy podpinaniu mnie do butli. Glendora sprawdza i wymienia zapowietrzoną igłę. Wszyscy znów patrzą na Blasco.

– Jakiś tajemniczy głos podpowiada mi, że będę żyła.

Oklaski. Okrzyki. Kciuk przesuwają się po kropłomierzu. Ustawia tempo. Wnika we mnie chłód.

Lecę do przodu. Szeroko otwieram usta. Wylewa się ze mnie żółć i płyn. Każde szarpnięcie torsji przeszywa mnie jak piorun. Trwa to przez całą wieczność. Wypływa tego więcej, niż da się ogarnąć rozumem, bo nie mam w żołądku tyle jedzenia i płynów. Czuję dłoń Blasco na plecach. Pomaga mi. Słyszę jak przez mgłę głos męża, który wypowiada moje imię. Znów wymiotuję. Prosto na nowy sweter. Na szpitalny strój. Na rodzinną kołdrę.

Oliver wyciera mi twarz, osusza rękawem oczy. Glendora sprawnie zmienia pościel. Przerywa mi, gdy przepraszam, i mówi z taką godnością, jakiej nigdy u niej nie słyszałam:

– Nie martw się tym, kochanie. Nie możesz nad tym zapanować.

Fala cofnęła się tak szybko, jak nadeszła, wstrząs organizmu minął. Jeden z zasilaczy bez

przerwy świeci na czerwono, jedna z rurek nieustannie się zapycha. Ale leki skapują bez ustanku. Lekarze wyrzucili kitle do śmieci, pielęgniarki wchodziły i wychodziły ze zwykłymi sprawami i obowiązkami. Tętno Alice się ustabilizowało, a ona się uspokoiła i usnęła na dwie godziny, aż do budzika. Oliver dotknął jej i pomógł pójść do łazienki, położył z powrotem do łóżka. Rozdawał karty, miał zawstydzająco dużo asów. Zjawiały się stada przyjaciółek na kolejne zmiany, od dwunastej do trzeciej, od czwartej do szóstej, przynosiły robótki i książki, posiłki, słodczyce, gazety. Alice drzemała, budziła się i znów zasypiała. Żołnierze na pierwszej linii obrony Olivera trwali od pewnego czasu w pełnym pogotowiu, choć instynkt podpowiadał mu, że mogą odetchnąć. Wiedział, że chemioterapia, którą zastosowali, pochodzi z lat pięćdziesiątych i jest jak nalot dywanowy, nadzwyczaj morderczy. Przy tej chemioterapii poprzednie – podczas leczenia wstępnego i konsolidacji – wydawały się subtelne i wyrafinowane. Końska surowica jest sama w sobie śmiertelna. Ten drugi lek, ten z literami, w nadmiarze wywołuje *białaczkę*. Nie było potrzeby mówić o tym Alice. Nie było potrzeby wspominać o tym Tildzie.

Zawsze, gdy opuszczał tamten pokój, myślał o zegarze, o potencjalnie ograniczonym czasie, do którego wychodząc, odwraca się plecami. Więc starał się wytrwać w pokoju i nie ruszać się z niego. Ale Alice spała i była z nią Jynne, a zaraz miała przyjechać Julie. Oliver doszedł do wniosku, że siedzenie tu, gdy ona śpi, jest jak czekanie na katastrofę. Nie ma zamiaru rozważać takiego makabrycznego idiotyzmu.

W tej chwili tylko Perla była dostępna. Wciąż miał na sobie ubranie i zasznurowane buty. Usiadła obok niego na łóżku w drogim hotelu. Nie mógł przestać gadać, a Perla – wylewająca się z rozkloszowanej jedwabnej brzoskwiniowej koszulki babydoll – głaskała go po ramieniu.

– Wszystko byłoby proste, gdybym miał pewność, że przeżyje! – mówił. – Trzy lata. Nawet w upośledzeniu, nawet jako inwalidka, obojętne. Ale to byłoby warte tego wszystkiego. Istniałby cel.

– Przechodzi przez to, żeby wychować dziecko – odezwała się w końcu Perla. – Jej cierpienie jest biblijne, nie?

Żywił nieugięte przekonanie – ułatwiające mu te schadzki, a jednocześnie czyniące te zdrady jeszcze bardziej absurdalnymi – że te kobiety niewarte są potu na czole Alice. To niemożliwe.

Nie umiał jej odpowiedzieć, nie rozebrał się, zostawił tylko kopertę na łóżku i nie obejrzał się za siebie.

– Tyle się wycierpiała, przeskoczyła tyle barier, żeby teraz... kilka pierdolonych dni od przeszczepu – tak blisko! – *umrzeć!*

Ruggles wgrzyzł się w hamburgera, nie zwracając uwagi na sos spływający mu po brodzie.

– To już jest zupełnie poza mną – ciągnął Oliver. – Już nie umiem nazwać tego sprawiedliwym czy niesprawiedliwym, dobrym czy złym, miłosiernym czy okrutnym.

– Jedzenie ci stygnie, brachu.

– Ja już nic z tego nie rozumiem.

– Bo to jest, kurwa, nie do pojęcia. – Ruggles podniósł frytkę i wbił zęby w letnią ziemniaczaną masę.

Oliver nie chciał się z nim spotykać, ale musiał z kimś porozmawiać, więc gdy w końcu do niego zadzwonił, Ruggles pewnie usłyszał coś w jego głosie, bo zareagował natychmiast, nie pytając o Alice, ale o miejsce, w którym jest Oliver, i kazał mu tam czekać. Spotkają się, coś zjedzą.

Teraz powiedział bez owijania w bawełnę:

– Dostaliśmy od Word Perfecta nakaz wstrzymania prac.

Oliver uniósł brwi.

– Przepraszam, że o tym mówię, zwłaszcza... wiem, że jest to pora najgorsza z możliwych, ale nie mam specjalnie wyboru. – Łyk piwa. Ruggles otarł wąsy z piany, zabrał się do frytek Olivera. – Możemy ich posłuchać i zwinąć interes, i to wszystko, koniec zabawy. Ale wydaje mi się, że doszliśmy do porozumienia: „Pierdolić ich!”. Albo możemy iść do sądu. Tyle tylko że oni mają kurewsko dobre finansowanie i w chuj prawników. Rozpirzą nas i wysną do ostatniej kropli krwi.

Ruggles żuł i czekał. Po chwili podjął:

– Moim zdaniem powinniśmy zebrać to, co mamy, i zacząć dystrybucję, rzucić nasze dziecko na głęboką wodę. Pokażmy światu, że możemy się dostać do każdego istniejącego edytora tekstu. Wyrządźmy szkody, weźmy się w ich interesy, damy tym skurwielom prawdziwy powód, żeby nas wykupić i kazać nam zniknąć. Dzięki temu przetrwamy, a kto wie, może jeszcze zyskamy?

– A gdyby z nimi pogadać? – zapytał Oliver. – Może umówmy się na spotkanie?

– Też o tym myślałem. Pokażemy, co mamy, wystraszymy ich, zapłacą nam, żebyśmy się odczepili.

– Może powinniśmy się spotkać z Microsoftem? – Oliver myślał na głos. – Złapałibyśmy chwilę oddechu, rozegrali tych dwóch przeciw sobie?

Ruggles skrzywił się na ten pomysł, jakby taka ewentualność przekraczała ich możliwości. Bawił się serwetką, pochylał się nad talerzem, zajmując prawie cały stół i skracając dystans między nimi. Oliver poczuł jego gorący hamburgerowy oddech.

– Wszystko sprowadza się do jednego – powiedział Ruggles. – Masz dla mnie program czy nie?

Oliver zjawił się w szpitalu z trzema nowymi piżamami z ulubionego bieliźnianego butiku Alice w West Village i przed drzwiami pokoju zobaczył wielką pomarańczową skrzynię z dużym czerwonym krzyżem na boku i pojemnikami z tlenem w środku. Ludzie ze szpitala mówili na to „zestaw awaryjny”.

Założył szybko maseczkę, ignorując pieczenie w górnej części uszu, sięgnął po rękawiczki, nie zadał sobie trudu zawiązania kitla. Otworzył drzwi do pokoju. Alice siedziała na łóżku. Była tak blada, że światło odbijające się od jej profilu nadawało jej upiorny wygląd; przypominała przezroczystego ducha z wesołego miasteczka. Usiłowała się uśmiechnąć.

– Tak się cieszę, że jesteś.

– Nie jest dobrze – mruknął Merv.

Siedział po drugiej stronie łóżka z tymi pierdolonymi klawiszami na kolanach.

Musiała pójść do łazienki. Jynne wyszła o trzeciej. Miała przyjść Julie, ale nie przyszła. Nikogo przy niej nie było. Nie wyglądało to najlepiej, ale nie było niczym niezwykłym, takie rzeczy się zdarzały, da sobie radę, więc wstała i wtedy, w połowie drogi do łazienki, zakręciło jej się w głowie, a ona całkiem opadła z sił. Ledwo doszła do krzesła, na którym odpoczywała przez chwilę, czekała, ale pokój nadal wirował, więc odpoczywała dalej i dalej czekała, bo była za daleko od dzwonka alarmu. Nie była w stanie wrócić do łóżka. I wtedy się zanieczyściła.

Oliver trzymał ją za szyję, opuścił głowę, żeby jeź na jego czaszce ocierał się o meszek na jej skroniach. Po raz pierwszy podczas tego jej pobytu w szpitalu drżały mu ręce, co potraktował jako jakiś znak. Wpatrywał się w żółtą plastikową bransoletkę na jej nadgarstku. Wypisano na niej dużymi czarnymi literami: MOŻLIWOŚĆ UPADKU.

Przesunął dłoń po jej czole, było rozpalone jak piec, widział żyły w miejscu, gdzie kości czaszki wystawały nad skroniami, a potem się zagłębiały. Cienkie i wyraźne, osuwające się na policzki, rozdzielające się we wzorki jak żyłki na liściach albo linie na mapie metra. Na czole miała znamiona, na policzkach też – i one osuwały się ku szczękom. Wróciła z mściwą

jaskrawością wysypka, policzki spuchły, a skóra była miejscami spalona na czerwono, gdzie indziej na pomarańczowo, by w jeszcze innych miejscach nabrać tak bladej kredowej barwy, że wyglądała na zzieleniałą. Sypał się z niej łupież. Miała głęboko spękane wargi, białe od wyschniętej śliny w kącikach ust.

Skończyła opowiadać swoją przygodę i oparła głowę na jego ramieniu, odpoczywała z zamkniętymi oczami. Ale coś ją zabolało, syknęła i odepchnęła się od niego. Rurki na szyi naciągały cewnik. Poleciała głową do przodu niczym jakieś mistyczne zwierzę z rozdziawionymi ustami. Zebrała się w sobie, jej twarz stała się groteskowo karminowa, ale nie zwymiotowała. Ledwo torsje ustały, znów nią rzuciło, tym razem gwałtowniej – niepowstrzymana fala, wzbierająca od brzucha i ogarniająca całe ciało.

Oliver trzymał już basen i uchwycił większość wylewu żółci. Nadszedł trzeci odruch wymiotny, nieprawdopodobnie gwałtowny, a jego efektem była tylko cienka struna żółtego śluzu.

Potem znalazł się w łóżku obok niej, a ona wtuliła się w jego szyję, podnosząc ku niemu wzrok. Przeniosła spojrzenie wielkich oczu na zdjęcie córeczki.

Był przerażony jak nigdy dotąd, ale wziął jej kruchość w ramiona. Objął wzrokiem jej bezradność, jej narastające przerażenie.

Wydymuchała smarki z nosa i powiedziała:

– Robi się niedobrze.

Przynoszą przenośną toaletę i stawiają obok łóżka.

– Na wszelki wypadek, gdyby pani nie zdążyła – mówi siostra Hwan.

Doceniam jej roztropny takt, zakłada, że mam jakiś wybór, jakbym mogła się podnieść, żeby zdążyć do toalety. Każda potrzeba wymaga teraz dzwonięcia po pielęgniarkę. A basen służy do innych celów. Gdy na przykład śluz zatyka mi gardło i muszę go zwymiotować. Albo gdy zjem za mało – bo nie mam apetytu – i żołądek się buntuje. Albo gdy się poddam i biorę spory kęs białego chleba – nawet to jest agresją przeciw mojemu organizmowi, przed upływem pół godziny przeżute pieniste cząstki pokarmu wracają, niosąc ze sobą kawałki skóry z podniebienia. Albo gdy w pokoju jest za gorąco i zwracam żółcią. Potem zwijam się w kłębek i próbuję zasnąć, i wtedy słyszę, jak pielęgniarka mówi Oliverowi, że to nie flegma, tylko rozkładająca się wyściółka żołądka.

Noc jest długa. Zanieczyszczam się dwukrotnie. Dwa razy wymiotuję do basenu. Przepraszam, łykając łzy.

– Świetnie sobie radzisz – mówi Oliver.

I znów przystawia mi żółty plastikowy basen pod brodę. Znów leży ze mną w łóżku. Znów otula mnie ramieniem, głaszcze po głowie, drapie po cienkich, porastających ją niewidzialnych włoskach.

Kiedyś, po dwudziestce, zaczęłam pracować nad kolekcją męskiej garderoby inspirowaną wczesnodwudziestowiecznym modernizmem: tweedowe kamizele i tym podobne. Żeby poznać kontekst, próbowałam przeczytać *Ulissesa*. Nie dojechałam nawet do połowy, ale uderzyła mnie odwaga Joyce'a, który starał się uchwycić każdą przypadkową myśl, każdą dygresję pojawiającą się w ludzkiej świadomości. Przygotowując się do przeszczepu, myślałam, że uda mi się siłą woli osiągnąć taki sam stopień wzmożenia samoświadomości. Ale się specjalnie nie udało. Podążam za skojarzeniami niczym jakaś wlokąca się przyjaciółka, człapiąca noga za nogą i nieustannie starająca się je dogonić. Potykam się, zrywam nić, myśli mętnieją podobnie jak wszystkie barwy. Albo błyska ból i zalewa wszystko na białą. Każdą myśl. Albo wymiotuję, i myśl ucieka. Prawdę mówiąc, jest mnie zwyczajnie mniej.

Ale co jakiś czas odnajduję tę cienką nić – wspomnienie, pomysł. Choć trwa to bardzo

długo, trafiam do miejsca, w którym ją zgubiłam, zbieram się w sobie i podnoszę ją, ślinię jej wystrzępiony koniec, bym mogła nawlec ją na igłę. Jestem zadowolona, zszywam, podążam za jakąś myślą.

Chyba jest rano, gdy wchodzi Blasco. Jest miły, ale poważny, bada mnie, robi przegląd moich nocnych przygód.

– W sumie nie wygląda to tragicznie – mówi. Potem pyta mnie, czy chcę skorzystać z AKP. – Analgezji kontrolowanej przez pacjenta – dodaje, gdy patrzę pytająco. – Jedno naciśnięcie guzika zapewni pani dawkę morfiny, lecz nie taką, żeby pani nic nie czuła. Poza tym nie będzie pani wolno szaleć. Żadnych imprez.

Kiwam głową. Chcę. Oczywiście, że chcę.

Gdzieś w tle unosi się nieważka muzyka klawiszowa, lecz potrzebuję dobrej chwili, by uświadomić sobie, skąd pochodzi. Ktoś coś obiecuje, obiecuje być przy mnie, gdy będą mi podawać komórki macierzyste. Chcę podziękować Mervowi, ale Oliver każe mi się nie odzywać, muszę odpoczywać, następne dni są najważniejsze. Odpowiadam mu nieskładną gadaniną o moim samotnym dzieciństwie, wyznaję coś, o czym doskonale wie – że zawsze chciałam mieć braci i siostry.

– Łudzę się, że będę mogła mieć więcej dzieci.

– Alice.

– Wiem, co mówili o tej procedurze, ale modliłam się, żeby było inaczej. Nie będę niepłodna i może za kilka lat, gdy Doe podrośnie, zatęsknisz za małym dzieckiem.

Głaszczę mnie po głowie. Widzę w jego oczach, co się ze mną dzieje.

Pielęgniarka zmienia opatrunek przy wkłuciu, mierzy ciśnienie i temperaturę i dzwoni do dyżurki lekarzy. Przychodzi pielęgniarka z nowej zmiany, mierzy mi ciśnienie i dzwoni do dyżurki. Gdy pojawia się rezydent, Oliver pyta w kółko, co się dzieje. Rezydent zagląda mi w oczy i każe otworzyć usta. Mówi, że mam bardzo niskie ciśnienie. Pytam, jak bardzo, ale nie odpowiada, co oznacza, że to poważna sprawa. Mrugam bez przerwy powiekami, więc w końcu zamykam oczy. Lekarz zajmuje się mną, nie zwracając na mnie uwagi, więc poczytuję to za przyzwolenie. Skupiam się na oddychaniu, napełniam brzuch powietrzem jak balon, a potem wydycham przez pierś. Czuję zimny okład na policzku, ktoś go przyciska, potem na szyi. Uwalniam napięcie i wydycham powietrze, słyszę, jak Oliver pyta, czy coś czuję, i rzeczywiście czuję nowy zimny kompres na brzuchu.

– W porządku – mamroczę.

Zapewniam go, że nic mnie nie boli, nic mi nie dolega. Ktoś do mnie mówi, rozpoznaję ten głos, ale choć rozumiem słowa, z jakiejś dziwnej przyczyny nie umiem odpowiedzieć. Czuję, że moje ciało się rusza, wzbiera pode mną łóżko, wypychając tułów do przodu. Czuję, że ktoś bierze mnie pod ramiona, zmusza do siedzenia prosto. Nieduży dysk przylega mi do boku, potem do drugiego. Blasco mówi, że płuca są w porządku. Ośluchoje mój brzuch. Trochę to niefajne, ale pozwalam mu robić, co do niego należy. Jestem teraz wygodnie oddalona od ciała na wyciągnięcie ręki.

– Obawiam się dekompensacji. – Czoło Blasco pokrywała lekka warstwa potu, miał gorący oddech, którym wionął w twarz Oliverowi. – Niewykluczone, że serce nie wytrzymało wysiłku, do którego zostało zmuszone. Ale to może być również niewydolność nerek, odwodnienie albo jakaś infekcja, której jeszcze nie zdiagnozowaliśmy. Jest w neutropenii.

– Ale już była w neutropenii...

– Owszem. Ale tym razem ma gorączkę neutropeniczną. Do tego dołączają się naświetlania, którym została poddana.

Oliver wpatrywał się w Alice, w powłokę powiek tętniącą małymi czerwonymi żyłkami.

W białe jak kość kręgi pod jej oczyma.

– W tej chwili – ciągnął Blasco – poszerzę spektrum antybiotyków. Dostaje ich dużo. Ale podamy jeszcze więcej.

– Czy to coś pomoże? – zapytał Oliver.

– Mam nadzieję, że zmniejszy gorączkę. Będziemy odżywiają ją dożylnie. Podamy jej trombocyty...

– I komórki krwiotwórcze?

– Przeprowadzimy również wszystkie badania krwi. To ograniczy przyczyny nagłych spadków ciśnienia. Gdy po badaniach znajdziemy źródło infekcji, będę mógł podać wybiórcze i ukierunkowane antybiotyki.

Oliver złapał doktora za łokieć, jakby chcąc zatrzymać go na miejscu, jakby Blasco gdzieś się wybierał.

– Jest tak blisko.

– Mamy komórki krwiotwórcze. – Blasco czekał na jakąś reakcję, a potem ciągnął: – W idealnych warunkach podaje się je pacjentowi jak najszybciej. Ale osłabienie pańskiej żony stanowi problem. Być może wynika po części z przyjmowania środków przeciwbólowych. Osobiście czuję się znacznie lepiej, podając komórki pacjentowi niż trzymając je w zamrażarce.

Jakiś odgłos. Alice się poruszyła. Powieki drgnęły, zamrugła, otworzyła pływające oczy. Spojrzała na Olivera.

– Dziękuję ci za wszystko – powiedziała.

Spojrzał na nią badawczo, pochylił się ku niej.

– Pamiętasz naszą pierwszą noc? – zapytał. Wszystko, co czuł do tej pory, uderzyło mu do głowy. – Pamiętasz, co wtedy powiedziałem? To ciągle prawda. Mógłbym przelecieć cię wszędzie, nawet na tym łóżku.

Blasco trzymał ją za ramię dłonią w rękawiczce. W drugiej ręce miał kosmicznie wielką kuchenną strzykawkę – tak dużą, że można by oblać polewą tort urodzinowy dla całego więzienia. Wykonano ją z plastiku, a pojemnik był długi i przezroczysty. W środku znajdowała się mętna, gęsta mikstura bladorożowej barwy.

Alice zdobyła się na coś w rodzaju uśmiechu. Sądząc po uniesionych pod maseczką policzkach Blasco i ruchach samej maseczki, i on się uśmiechał. Oliver umiał już odczytywać mimikę z brwi i ruchów mięśni twarzy. Lekarz trzymał wielki bolus między sobą a pacjentką niczym rekordowo dużego pstrąga. Oliver pstryknął fotkę, potem jeszcze jedną, na wszelki wypadek, a Blasco kiwnął uroczyście głową. Wrócił do pracy, zmienił rękawiczki na nowe.

Pojawiła się Bhakti, stukając obcasami po posadzce. Ciemne, lśniące włosy opadały jej na plecy, a skóra miała odcień whisky – emanowała zdrowiem. Przeprosiła za spóźnienie. Strój ochronny podkreślał jej uderzającą urodę. Obok Carmen siostra Hwan pompowała na bolus środek odkażający do rąk, upewniając się, że każdy dotknięty cał – niech szlag trafi rękawiczki – został zdezynfekowany. Potem zabrała się za całą powierzchnię strzykawki.

– Jesteś już tak daleko – powiedziała Hwan. – Jeszcze tylko jeden krok i będziemy w domu.

– W domu. – Oczy Alice załśniły.

Blasco wskazał rurkę. Bhakti potrzebowała dobrej chwili, żeby uświadomić sobie, że padło jej nazwisko, i dotknęła piersi, żeby się upewnić. W końcu ruszyła z wahaniem, jakby jej zwykła pewność siebie była tylko fasadą i pojawiło się okno, w którym ukazała się jej prawdziwa, nieustannie potrzebująca dowartościowania natura. Znow była chudą okularnicą z klasy z niesfornymi włosami, która stara się zrobić jak najlepsze wrażenie na nauczycielach i nikomu nie pozwala dostrzec przerażenia, jakie wzbudza w niej nowa prywatna szkoła. Ujęła



ostrożnie bolus dwoma palcami, jakby to była pełna pielucha. Blasco instruował ją dalej, ułatwiając Bhakti przejście do następnego kroku. Lekarce zadrżało lekko ramię, gdy podłączała ujście strzykawki do rurki cewnika, sprawdziła, czy połączenie jest szczelne, czy nie będzie przeciekało.

Przez cały poranek Oliver był tak zdenerwowany, że nie mógł ustać w miejscu, musiał się ruszać.

– Ciśnienie dziewięćdziesiąt na pięćdziesiąt trzy – zawołała Glendora.

– Doskonale – powiedział Blasco. – Gotowa?

– Trzy... – zaczęła Bhakti – ...dwa...

Oliver nie patrzył w oczy Alice. Alice niczego nie przekazywała mu wzrokiem. Oboje milczeli w skupieniu.

– Są tutaj – powiedziała Alice.

Po chwili:

– Bardzo zimno.

– Nowe życie! – Donośna deklaracja podekscytowanej jak dziecko Glendory zwróciła uwagę lekarza.

Uśmiechnął się. Dotknął nadgarstka Bhakti, uspokoił ją, zmienił kąt nachylenia strzykawki i siłę nacisku tłoka.

– O której przetaczamy trombocyty? – zapytał Blasco.

– Jeszcze ich nie mamy – odpowiedziała siostra Hwan.

– Jada?

– Tak mówią.

Zawibrował pager przy pasku siostry Hwan. Zerknęła na niego.

– Dzisiaj na okrągło.

Twarz Alice lśniła od spływających łez, miała mokre policzki i brodę. Nie podniosła ręki, żeby je otrzeć. Powiedziała tylko:

– Tak mi wstyd, że płaczę.

– Płacz – szepnął Oliver.

– Nie ma się czego wstydzic – dodał Blasco.

Przez następne minuty Oliver nie mógł usiedzieć na miejscu. Instynkt, natura podpowiadały mu, że powinien być przy żonie, obejmować ją w łóżku, a przynajmniej trzymać za rękę. Ale przy łóżku stało zbyt wiele osób. Ostatnią rzeczą, jakiej chciał, była jakaś przypadkowa infekcja. Więc stał z boku i szczyrzył zęby do Alice. Chwilami wyczuwała jego spojrzenie, przerywała medytacyjne oddechy i spoglądała na niego. Jej oczy po raz pierwszy od dawna nie były zamglone od leków, ale przejrzyste jak promień słońca. Jej mokra twarz też jaśniała, jakby łzy wygładziły przebarwienia i zmarszczki, nadając jej zupełnie nieziemską urodę i elegancję. W dniu ślubu miała włosy odgarnięte z twarzy i upięte w ozdobiony kwiatami kok. Sama zaprojektowała prostą różową sukienkę, a chcąc się w nią zmieścić, miesiącami paliła papierosy i odchudzała się. Rezultatem była kobieta tak przepiękna, jakiej świat nie widział. W najszcześniejszym dniu swego życia. To wspomnienie o mało go nie ścięło z nóg. Patrzył dalej.

W pewnym momencie pomyślał nawet: „Teraz przydałaby się muzyka...”, co go rozbawiło i zirytowało. Zastanawiał się, gdzie jest Merv. Nie tęsknił za nim, ale pamiętał, że Merv chciał tu być.

Komórki krwiotwórcze chyba już się skończyły, bo Blasco pochylił strzykawkę do dołu i potrząsnął rurką niczym shakerem z martini.

– Ważna jest każda kropla nowego szpiku.

Oliver zamknął dłoń i podniósł ją do góry. Potem wskazał coś brodą.

– Możemy to zatrzymać na pamiątkę?

Blasco pokręcił głową.

– Gdy skończymy, strzykawka trafi do laboratorium mikrobiologicznego. Będą hodowali szpik z resztek, które tu zostały.

Dwa dni po przeszczepie zwalnia się większy pokój. Ale teraz nie wygląda to na dar niebios. Liczba białych krwinek leci na łeb na szyję, więc żądanie ode mnie, żebym usiadła na wózku i wybrała się w podróż do miejsca położonego nieco dalej przy tym samym korytarzu, jest równie realne jak podjęcie przeze mnie szkolenia astronautki.

– Jeśli się nie przeniesiecie – mówi pielęgniarka do Olivera – stracie pokój na rzecz następnej osoby w kolejce.

Zbiera rzeczy: mój jesienny płaszcz, pantofle, w których tu przyszłam, książki, na które nawet nie spojrzałam, discmana. Dobre dziesięć minut zajmuje mu zdejmowanie obrazków ze ściany naprzeciw łóżka. Potem pakuje wszystkie rzeczy do poszwy na poduszkę, a brudną bieliznę do drugiej.

Merv, który przychodzi ze sprzętem, widzi wybebeszony pokój i pocącego się Olivera. Jest skonsternowany, a potem łapie, o co chodzi, i mówi, że cieszy się, że nie przyszedł za późno.

– Jakbym zobaczył pusty pokój, człowieku, całkiem by mi odjechało.

Nie mam serca przypomnieć mu, że spóźnił się na przeszczep, a Oliver milczy jak grób, choć nie wygląda na to, żeby Merv czekał na najświeższe wieści; ściąga kitel i rękawiczki i wychodzi z pokoju. Ale szybko wraca, ciągnąc za sobą kilka wózków inwalidzkich. Oliver zostaje w pokoju i popycha moją walizkę ku drzwiom. Choć Merv mocno kuleje i nie jest mu łatwo nosić rzeczy, bierze walizki i układa porządnie na pierwszym wózku. Tworzą z Oliverem niezły zespół. Obaj pocą się bez ustanku, ale gdy Merv podnosi album, rzadnie mu mina. Widzę jego zniecierpliwienie. Oliver przyciska palce do skroni, masuje i deklamuje głośno wszystkie reguły odnoszące się do odzieży ochronnej.

– No dalej, brachu.

Patrzę błagalnie na Merva.

– Proszę.

Ale Merv nic nie słyszy. Chwyta przyniesiony przez pielęgniarkę worek na śmieci, wkłada do środka stertę plakatów i zdjęć, do tego szkolne albumy i szybko, wprawnych ruchami owija zawartość resztą worka.

– Strawiłem więcej czasu na przenoszeniu sprzętu, niż się wam wydaje – mówi.

Mój nowy pokój w porównaniu z tamtym lochem jest pałacem! Mógłby być dużą kawalerką, a na ścianie po przeciwnej stronie jest w zasadzie tylko okno, przez które do pokoju wpada popołudniowe światło i za którym widać najbliższe domy i wieżę ciśnień. Proszę sanitariuszy, żeby pozwolili mi posiedzieć przez chwilę po słonecznej stronie ze spuszczonej roletami. Przyglądam się przez szparę miejskiej zabudowie: małym starym kamieniczkom i większym za nimi, dachom i zasłoniętym widokom, wieżom i wieżowcom wznoszącym się jak klocki, panoszącym się, rozpychającym się łokciami i ciągnącym daleko jak okiem sięgnąć.

W końcu pielęgniarki spełniają swój przykry obowiązek i kładą mnie do łóżka, a drugi sanitariusz zajmuje się choinką. Oliver wnosi do pokoju powypychane worki na śmieci. Leje się z niego pot, ale nie robi sobie przerwy. Nie muszę się zastanawiać, dlaczego postanowił przybić się do krzyża i zostać męczennikiem i czy w grę wchodzi jakaś rywalizacja. Merv rozsiadł się przy łóżku, wyciągnął nogi i przygląda się Oliverowi z rozbawieniem, a teraz pozwala sobie nawet na założenie rąk za głowę i przeciąganie się. Mówiąc szczerze, jego rozbawienie jest zaraźliwe. Mój organizm jest nadwerężony przeprowadzką. Ale jestem szczęśliwa, mając

towarzystwo. Szczęśliwa, że mogę z kimś dzielić te chwile absurdu.

– A więc – zaczyna Merv, gdy Oliver wychodzi z pokoju. – Jak się trzymasz?

Spojrzenie, którym go obdarzam, ma mówić, że chyba oszalał, że jest głupi jak but. A potem wszystko rozumiem. Uśmiecham się do niego nieśpiesznie, bez otwierania ust, jak kot z Cheshire, który dał się nabrać. Zerkam na niego i przyglądam mu się bacznie. Jestem nieprzenikniona, tajemnicza.

– Dlaczego tu przychodzisz? – pytam.

Porusza się niespokojnie na fotelu, drapie się po szyi.

– No cóż, no cóż, więc.

– Nie chciałam cię obrazić.

– Czy jest z tym jakiś problem? – Uśmiecha się ironicznie. – Widzę, że mu nie odbija.

– Pytałam cię o to wcześniej, prawda? Nie jestem pewna, czy dobrze cię rozumiem.

Czy to adrenalina rozjaśnia mi umysł? Nie słyszę odpowiedzi, jestem bardziej ożywiona, o wiele bardziej niż wcześniej, ale mówienie mnie męczy. Merv podaje mi pośpiesznie kostki lodu, wodę. Przestaję kaszleć, dziękuję mu, biorę szklanke, upijam łyk, czuję chłód w przełyku.

– Prawda – mówi Merv.

Jeśli jego jedynym motywem jest chęć pomagania ludziom, dlaczego nie został wolontariuszem w szpitalu bliżej domu ojca? Dlaczego nie gra dla pacjentów z innych pięter czy innych oddziałów?

– Przestań – mówię.

– Masz przeszczep, leczą cię w tym szpitalu, więc jeśli istniała choćby najmniejsza szansa, że znajdziesz się na tym oddziale, chciałem tu być z tobą.

Mam gęsią skórkę, skurcze trzewi.

– Zaczekaj. – W jego głosie słychać lekką stanowczość. – Wiem, że nie jesteś, no wiesz, dostępna... – Wyraźnie spodobał mu się ten żart. – Taa, jesteś przykuta do łóżka, po naświetlaniach, po chemii, to plus ta cała niszcząca ciało procedura pewnie rozjaśniły mi w głowie. Mówiąc szczerze, wstydzę się tego, co było wcześniej. Gdy leżałem w gipsie, zastanawiałem się nad tym, jak za tobą łąziłem. Chyba cię prześladowałem. To była ostatnia potrzebna ci rzecz. – Na jego twarzy malują się różne myśli. Palce poruszają się mimowolnie, bębniąc jakiś rytm. – Od dawna wiała we mnie lodowata wichura – mówi. – Wiedziałem o tym, ale pozwalałem jej wiać. Wmawiałem sobie, że nie umiem się powstrzymać albo Bóg wie co. Byłem pojebany. Wiem. Ale jeszcze przed tym gipsem, mówię prawdę, gdy myślałem o tobie i o tym, przez co przechodzisz...

– Mervyn.

– Źle to zinterpretowałem, wiem, wybrałem złą drogę. Może teraz jestem na właściwej. Poniekąd dzięki tobie. Bo myślę, panienko, o sile twojej woli. O twojej chęci życia. I wyciąganiu ręki do innych...

Nie może mówić dalej, a ja nie mogę mu odpowiedzieć, bo do pokoju wraca Oliver – jak zwykle w samą porę – pchając przed sobą zapakowany rzeczami fotel na kółkach. Merv wstaje, jakby chciał mu pomóc, ale Oliver celowo udaje, że go nie zauważa, zdejmując walizki i zostawia ładunek w progu. Zastanawia się na głos, czy nie napisać gdzieś przy starym pokoju, dokąd się przenieśli, żeby poinformować innych gości.

A potem znów wychodzi. Merv i ja patrzymy na siebie. Nawet nie próbujemy powstrzymać chichotu. Przyglądam się jego wiecznie nieumytym włosom zawsze opadającym na oczy, niewyregulowanym gęstym brwiom. Merv znów wyciąga kulejącą nogę, maca się po udzie. Zgina kolano i znów ją wyciąga, jakby sprawdzając staw i jego stabilność.

– To urocze – mówię. – I bardzo romantyczne.

– Chcesz powiedzieć *szalone*.

To ja dotknęłam go kolanem, jeśli mam być szczerą. To był nasz pierwszy kontakt. Gdy dochodziłam do siebie po spacerowaniu, usiedliśmy i rozmawialiśmy w tym antyseptycznym korytarzu, i dotknęliśmy się kolanami, nie cofnęłam swojego, pozwoliłam kolanom się stykać. Zsunęłam maseczkę na szyję, przechyliłam głowę i przysunęłam się ku temu mężczyźnie – temu chłopcu, którego nie znałam, aż do tamtej nocy. Ogarnęło mnie jakieś odrętwienie, jakaś nierzeczywistość, miałam wrażenie, że wkraczam w inny wymiar, gdzie nie istnieją żadne zasady. Przycisnęłam usta do jego ust. Nie odwzajemnił pocałunku, był jak posąg, więc cofnęłam się odrobinę. Pozwoliłam mu się oswoić z tym wszystkim. A potem ujęłam go dłonią w rękawiczce pod zarośnięty podbródek. Pochyliłam się po więcej i czułam, że się otwiera, przyjmuje mnie. Miał ciepły, stęchły oddech, grube wargi, jędrne i silne. Ujęłam zębami dolną, wessałam jej sprężysty miąższ, drażniąc go, żując delikatnie i znów otwierając się odrobinę na jego język. To ja kierowałam jego dłonią: zdjęłam ją ze swojego policzka i przesunęłam w dół, na pierś. To ja przesunęłam ją jeszcze niżej poza zwinięty i zawiązany pasek od szlafroka. Trzymałam ją tam przez długie sekundy. Oczy zaszły mi mgłą. Westchnęłam cicho, pisnęłam płochliwie.

– Chyba już wystarczy.

Tak powiedziałam, a potem nieśpiesznie założyłam maseczkę i poprawiłam szlafrok. To ja, dobrze ułożona uczennica, wstałam bez żadnych niedomówień i ruszyłam korytarzem do siebie.

Uśmiechamy się porozumiewawczo jak spiskowcy. Jesteśmy spiskowcami. A oto i mój drogi mąż, wraca do nas znowu, Ten, Przeciwno Któremu Spiskujemy, po drugiej stronie wszystkiego, zdyszany, już bez adrenalinowego kopa. Choć jest podejrzliwy, zostaje mu tylko, prawdę mówiąc, irytacja z powodu roli, którą przyszło mu odgrywać, więc tworzy z Mervem coś w rodzaju chwiejnego tandemu: pracują razem milcząco i wydajnie przy rozwieszaniu obrazków na połowie ściany. Równie wprawnie zajmują się rozkładaniem moich rzeczy w szufladach komody i wieszaniem płaszcza w nowej szafce. Zrobiwszy to wszystko, Oliver przystaje i napawa się światłem i przestrzenią wokół. Śmieje się, mówiąc, że pada z nóg, dodaje, że najchętniej położyłby się na cały dzień do łóżka, i pyta, czy może wskoczyć do mnie, więc leżymy razem, przytuleni do siebie na jednoosobowym szpitalnym łóżku, a potem znajdujemy karty i gramy we trójkę w remika. Oliver zostaje daleko w tyle za mną, a Merv jest pełnym karcianym amatorem, w co trudno mi uwierzyć.

– Nie nudzicie się jak cholera podczas nagrań w studiu? – pytam.

Merv śmieje się do siebie i trzyma fason, jak może, usiłując nauczyć się gry, a Oliver, jeśli nie śmieje się z nami, to przynajmniej nie pozbywa się głupio dzokerów, spuszczać sekwensy do rynsztoka. A potem niespodziankę robi nam Tilda, zjawiając się z czekoladkami i grzechotkami – nie może uwierzyć, że przegapiła najważniejszy moment!

Co wieczór firma kurierska zawozi moją krew do laboratorium w New Jersey, gdzie badają ją analitycy, którzy sprawdzają wyniki pod kątem tego, czego mi brakuje, i sporządzają dla mnie miksturę chemikaliów i leczniczych mazi, które kurier dostarcza do szpitala następnego dnia. Pielęgniarki codziennie wymieniają mi rurki do kroplówki, żeby nie zaległy się w nich żadne bakterie. Jedna z pielęgniarek mówi mi niezobowiązująco, że żałuje, że nie kupiła akcji firm produkujących plaster. Wszystkie mnie pocieszają: mam się trzymać, nie poddawać się, nigdy, przenigdy. Przychodzą też przyjaciółki, siadają przy łóżku, zapinają pasy. Nawet Lani, która odwołała tyle spotkań i wyszła wcześniej z tyłu odwiedzin. Ma łagodną, przejętą buzię i przynosi mi plakat z autografem pewnego barda wirtuoza, na którego pierwsze koncerty w ratuszu chodziłyśmy my, najwierniejsze jego fanki. Na plakacie gwiazdor przeży się w dredach,

a pod spodem widnieją moje imię i zachęta: „Trzymaj się”.

Włosy znów wypadają mi garściami i kłębkami, również te krótkie siwe albo czarne pasemka, wypadają cały czas, spływają mi prosto na ramiona jak małe ścinki u fryzjera, które się zgarnia miotką po strzyżeniu, suszeniu i czesaniu; nie udaję, że mnie to nie rusza, i podejrzewam, że coś poszło nie tak z ostatnim przetoczeniem krwi, bo drapię się jak wściekła, wysypka zamienia się w bataliony mrówek maszerujących w górę i w dół po przedramionach, z kolei gardło mam jak ściśnięte imadłem, a stopy jak dwa pustaki (lekarze bez przerwy pytają, czy czuję swędzenie w kończynach; nie wiem, co odpowiedzieć, nie wiem, jakiej odpowiedzi się spodziewają). I jakby to wszystko nie było dosyć upokarzające, znów mam biegunkę, naprawdę straszną, potworną, bezlitosną, nie jestem w stanie nigdzie dojść, jestem już tak słaba, że przy każdym wyjściu do łazienki powinna mi towarzyszyć salowa: gdy tylko poczuję, że zaczyna mnie pędzić, mam dzwonić, salowa czasem zdąży mi pomóc, ale najczęściej korzystam z basenu, choć zdarza się, że i to nie wychodzi, i salowa musi mi podetrzeć tyłek, zmienić prześcieradło; jest to upupiające, bo jestem bezradna jak dziecko i płaczę z tego powodu, płaczę bardzo często, nic na to nie mogę poradzić; do tego każą mi brać częściej ten idiotyczny środek na rozwolnienie, co zupełnie nie ma sensu, bo sram w łóżko trzy razy dziennie. Piszę liścik do Olivera: „Kiedy będzie łatwiej?”.

„Plamienie pochwowe” to inny sposób na określenie krwawienia, ale przynajmniej nie potrzebuję więcej niż dwóch podpasek dziennie. Mimo to bez przerwy powtarzam Simone i Requie, i Alvarezowi, że potrzebuję więcej podpasek, błagam! Czuję krew w ustach, a smak wraca mi tylko wtedy, gdy je przepłuczę specjalnym płynem przeciwko infekcjom i zajadom. Obok łóżka mam gruszkę do odsysania flegmy, krwi i martwego nabłonka. Twarz i szyja puchną mi coraz bardziej, policzki opadają wokół ust. Dostaję więcej estrogenu i mieszankę proteinową, która wygląda jak wielka torba uryny. Skórę mam wciąż poparzoną i obrzmiałą, tylko że teraz pojawiły się pęknięcia, mówią mi, że to niedobrze, że mam spękaną skórę na twarzy, bo to oznacza jej kruchość, więc muszę się często kremować. Mam tony balsamów, oceany mleczka kosmetycznego i muszę kremować się więcej i więcej. Ostatnie kosmyki włosów na głowie przypominają piórka małego kurczaka. Ręce drżą mi bez przerwy, nie mogę tego powstrzymać. Starszy doktor, który pokazuje się na obchodach – bardzo elegancki i wyprostowany – pyta mnie:

– Czyż to nie wspaniały widok? – I dodaje: – Gdyby tylko ktoś zechciał umyć tu od czasu do czasu okna.

Przed moim pokojem siedzi na krześle salowa, która pełni całodobową wartę, by pomóc mi pójść do łazienki – tak wolę o tym myśleć. Julie czyta dzisiejsze plotki w „Page Six”. Trzymam ją za rękę i śmieję się razem z nią, wpatrując się w jej cudowną twarz, po jej minie poznaję, że wie, jak bardzo ją kocham. Gdy słucham wieści od mamy, gaworzenia i krzyków Doe, otwiera się we mnie niezgłębiona studnia miłości. Gdy rezydentka informuje mnie, że nie jadłam i nie piłam od sześciu dni, chcę ją zapytać, czy na tym, jej zdaniem, polega wsparcie, a potem usiłuję sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni umiałam zabrać głos w swoim imieniu, bo teraz nie potrafię i nie potrafię też się tym przejmować. Słyszę w uszach bicie serca. Podłączają i rozłączają wokół mnie jakieś maszyny. Choinka zamieniła się w wieżowiec, zasilacze i monitory emanują zieloną poświatą, która przesącza się przez worki i odbija w oknie, tworząc w tej części pokoju dziwną radioaktywną lunę. W szpitalnym interkomie słychać czyjś głos – „Mary Kate, osiemnastka potrzebuje coś na mdłości” – który zapętleł mi się w głowie: „Mary Kate, osiemnastka potrzebuje coś na mdłości. Mary Kate, osiemnastka potrzebuje coś na mdłości”. Ściskam dłoń męża.

Czwarta Szlachetna Prawda o Ścieżce Prowadzącej do Ustania Cierpienia wiedzie do przebudzenia. Ludzkie pragnienia nigdy nie znajdą zaspokojenia, a sami ludzie nigdy nie osiągną

osobistego zadowolenia. To fałszywa ścieżka. Prawdziwa droga wiedzie do *bodhi*: przebudzenia i oświecenia. W dążeniu do *bodhi* niezbędna jest aktywność. Pilność. Pogląd. Postanowienie. Użyteczność. Nawyk. Ścieżka wiodąca do *bodhi* kultywuje zatem koncentrację, rozwija charakter, karmi wewnętrzną mądrość, ukazując, jak prowadzić cnotliwe życie, aż w końcu człowiek rozkwita, staje się pełen współczucia i mądrości. Jest oświeconą istotą. Czuję, że oddzielam się od świata fizycznego, wstępuję w jakiś inny i bardzo wątpię, czy będę musiała się martwić o wybór właściwej ścieżki, o życie według jakiegokolwiek doktryny. Ból nie istnieje.

Gdy miałam osiemnaście lat, zanim wyjechałam na studia, zakochałam się na zabój w pewnym chłopaku. Podczas weekendu okłamałam mamę i pojechaliśmy do Burlington, a ja wróciłam w ciąży. Wiem, że usunięcie tej ciąży było konieczne, ale zawsze myślę o tym małym dziecku, które zostało z tobą, i może dlatego tak bardzo pragnęłam postąpić kiedyś właściwie. Nie wiem. Naprawdę żałuję, że nie dane mi było doprowadzić tego do końca, wychować i kochać mojej małej dziewczynki, poznać jej i pozwolić jej poznać mnie; wiem, że dano mi szansę, by ją kochać, i to jedyne, co nigdy się nie kończy.

W weselny poranek, do którego przygotowywałam się miesiącami (planowałam, odchudzałam się, ćwiczyłam i paliłam jak oszałała jednego papierosa za drugim), Tilda, Julie i moja mama oraz inne przyjaciółki zrobiły mi niespodziankę i przyniosły śniadanie do pokoju hotelowego, a potem wpakowały się do łóżka. Podczas ceremonii obejmujemy się z Oliverem, a nasz unitariański pastor gej owija nas stułą; gdy odmawia ostatecznie błogosławieństwo, przytulam się do Olivera tak mocno, że cały świat zaczyna wirować wokół nas. Następnego dnia jedziemy przez Vermont starym kombi jego kuzyna, karmiąc się nawzajem resztkami ślubnego tortu. Wciąż czuję na ustach lukrową polewę i wilgoć ciasta.

Jestem sama w sypialni z nożyczkami w dłoni, wycinam fotografie z żurnali do kolażu na ścianie. Przybiegam do domu, żeby rozmawiać przez telefon z tymi samymi przyjaciółkami, z którymi spędziłam cały dzień w szkole. Ostatniego wieczoru naszej pożegnalnej wycieczki przed wyjazdem na studia siedzimy na schodach Sacré-Coeur i gapimy się na leżący u naszych stóp Paryż. Wokół nas imprezują i tańczą przystojni europejscy chłopcy. Imigranci chcą nam sprzedać pojedyncze puszki heinekna z sześciopaków. Moje przyjaciółki rozłożyły na kolanach plan miasta i usiłują zrekonstruować naszą dzisiejszą trasę, żeby wykombinować, gdzie Jill mogła zostawić portfel. Jill jest na granicy hysterii. Wszystkie się wstawiłyśmy i bełkoczemy. Wpatruję się w czarną noc, gotowa na rozpoczęcie życia.

Jest czwarta rano, zaczyna świtać, robi się jasno w korytarzach ulic, ruchu jeszcze nie ma, a ja wracam do domu z przyjęcia w Williamsburgu, trzymając w ręku szpilki; jestem na lekkim rauszu, gryzę jabłko i mam poczucie, że otwierają się przede mną nieskończone możliwości, co jest przedziwnie nieuniknione, jakbym odkryła klucz do zamka, który w sobie noszę i o którym do tej pory nie wiedziałam. Czuję, że miasto jest moje.

Tata wiezie nas do Putney, do knajpy motocyklistów z barbecue – to nasze tajemne miejsce, do którego uciekamy; siadamy przy piknikowym stole, odganiamy pszczoły i dzielimy się wielkim talerzem żeberek, a potem zamawiamy lemoniadę, a tata wyciera mi twarz wilgotnymi chusteczkami i pozwala wypić czarno-biały mleczny shake.

Jak ja uwielbiam kupować dziecięce ciuszki – ubranka dla dziewczynek wzbudzają we mnie zazdrość. Chodziłabym w nich, gdyby tylko szyli je w większych rozmiarach. Dlaczego nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby zaprojektować dziewczęcą kolekcję dla dorosłych kobiet?

Jeśli po mojej śmierci będzie jakaś ceremonia żałobna, byłoby miło, gdyby zagrano na niej moją ulubioną piosenkę Steviego Wondera i powiedziano, że to dla moich ukochanych przyjaciółek. Może wystarczy ta zwrotka, w której Stevie śpiewa, że jest szczęśliwszy od porannego słońca, i ten cudowny refren w podzięce przyjaciółom za wspólne życie.

Czekam na swój pierwszy okres, czekam, aż to się stanie, a to się nie stanie nigdy, przenigdy – i wtedy po południu, kiedy ustawiam się w rzędzie z innymi koleżankami, żeby zrobić pajacyka dla panny Rutman, pojawia się.

Mama pakuje do torby furę cukierków i jedziemy do miasta do cudownego kina w stylu art déco na poranek.

Radość ze znalezienia tego małego przewijaka, z którym można się wybrać w podróż, rozpiąć pasy i położyć na nim dziecko. Duma, którą czuję za każdym razem, gdy wystawiam ten przewijak – jestem mamą żołnierką, umiem poradzić sobie ze wszystkim i wszystkim się zająć.

Powinni zorganizować dla mnie ceremonię żałobną. Zasluguję na to.

Leżymy z Oliverem na sofie po długim dniu, on ugniata i masuje mi stopy, a ja kończę skręcać jointa, zapalam, wydmuchuję ku niemu dym.

Rysuję kilka linii przy linijce kątovej i kończę rysunek empirowej spódnicy; ten strój jest tak nieskomplikowany i doskonale elegancki, że wydaje się kształtem, na który czekało moje ciało przez tyle lat i tyle bitew, a to takie proste.

Ludzie nie powinni za bardzo rozpaczać. Mam nadzieję, że będą pamiętali, jak bardzo ich kochałam.

Niebieski pasek na teście. Nie znika.

Te długie chwile, gdy nie wiem, czy moje dziecko jest chłopcem, czy dziewczynką, i tylko je trzymam, podziwiam, z ulgą i w panice, bo to ciałko takie małe i pomarszczone, i czerwone; czuję wagę tego zawiniątka i łzy płyną mi po policzkach, aż w końcu się poddaję i mówię: „Okej, powiedzcie mi”.

Te wielkie jak orzechy, wpatrzone we mnie oczy, ten zachwycający mały ziemniaczek buzi.

Nie wierzę, że ucichnę. Dołączam do wszystkiego, co kiedykolwiek żyło. Jeśli moje wyobrażenie o wszechświecie jest prawdziwe, będę pomagała po drugiej stronie.

Ale lubię swój głos. Chyba będzie mi go brakowało.

Loteria działała tak: pielęgniarki, salowe i sanitariusze z danego piętra zrzucali się po dziesięć dolców z każdej wypłaty. Brali miskę z dyżurki. Uczestnicy losowali z niej pasek papieru z jakąś przypadkową liczbą. W dniu wypłaty lekarz dyżurny schodzi do kafeterii, kupuje kawę, przynosi dolara, ćwierć dolara albo jakąkolwiek resztę. Dwie ostatnie cyfry numeru seryjnego. Kto je ma, zgarnia pulę. Od czterystu do siedmiuset dolarów. Dziesięć dolarów od każdej wypłaty to żadne pieniądze, ale gdy zgarnia się pulę, skarbie, to jest coś.

Glendora zawarła umowę ze znajomymi z innych pięter. Zgodziła się je zastępować, gdy rozchorują im się dzieci albo wydarzy się coś nieprzewidzianego. W zamian za to one zgodziły się, żeby Glendora brała udział w ich losowaniach. Uczestniczyła w loteriach na czterech piętrach. Dzięki wygranej wyleczyła sobie zęby, spłaciła pojebów z urzędu skarbowego i kupiła krótkie wycieczki do South Beach, Portoryko i Kostaryki. Nową sofę też kupiła z wygranej. Przekonała się również, że na innych piętrach pacjenci nie są tacy cisi i skarżą się na różne bzdury: puste dzbanki na wodę, temperaturę w pokojach, baterie w pilotach tak słabe, że nie można zmienić programu – to było najlepsze. Myślała wtedy: „Nie macie o niczym pojęcia”. To, przez co przechodzili jej pacjenci podczas przeszczepu szpiku, było piekłem na ziemi. I byli bardzo mili, z małymi wyjątkami. Wdzięczni i uprzejmi. Glendora pracowała na tym oddziale od dwunastu lat i była pewna, że nie chciałaby pracować nigdzie indziej.

Devanshi Bhakti poświęciła swą dysertację doktorską oraz trzy późniejsze stypendia naukowe na badanie powiązań genotypu i fenotypu w nukleotydach – więc dlaczego brała udział w konsyliach dotyczących tej pacjentki? Powinna siedzieć w laboratorium. Jej miejsce mógłby zająć dowolny rezydent, bo i tak wiedziała trzy razy więcej od każdego specjalisty. W wieku

trzech lat rozwiązywała proste działania z dzieleniem, czytała książki dla młodzieży, w wieku pięciu lat była najmądrzejszym dzieckiem, jakie zdołało uciec z zacofanej wioski, a potem najinteligentniejszą uczennicą szkoły przygotowawczej w Londynie. Jako najlepsza studentka wygłosiła mowę absolutoryjną. Stypendium Fulbrighta. Podczas egzaminów na studia podyplomowe uzyskała dziewięćdziesięciosiedmioprocentowy wynik. I bliski maksimum na egzaminach na studia medyczne. Zaszła tak daleko i pracowała tak ciężko, że w końcu pogodziła się z tym, że nie ma niczego złego w byciu ambitną. Że pragnienie uwagi jest okej, podobnie jak mierzenie się z nierozwiązywalnym, zdobywanie Manhattanu, walka z rakiem i każde inne wielkie wyzwanie. Miała ważne powody, dla których sypiała tylko po dwie godziny na leżance w pokoju lekarzy. Za jej życiem towarzyskim, składającym się z powtórek w telewizji, wypożyczonych filmów i odgrzewanych lasagne albo tych gównianych potraw na wynos z jadłodajni o trzeciej nad ranem, kryło się większe dobro. Była w najlepszym wieku, żeby urodzić dziecko (matka przypominała jej o tym za każdym razem, gdy rozmawiały). Miała takie biodra i wcięcie w talii, że patrząc na nie, sama się podniecała. Raz po raz trafiała do takiego czy innego modnego baru, przyjmując drinka od jakiegoś dobrze i drogo ostrzyżonego mężczyzny w markowym garniturze, przez telefon przeproszała, że musi przełożyć obiad w następnej trzygwiazdkowej restauracji, odbywała coś w rodzaju rozmowy z maklerem z funduszu hedgingowego, podczas której ów makler zaklinał się, że nie jest taki jak inni maklerzy z funduszy hedgingowych, jest natomiast zwykłym miłym gościem, ma duszę i wszystko inne i da sobie radę z ich przedziwnym rozkładem dnia, bo sam długo pracuje. Najlepszy był weekend ze wspinaczką po skałkach. Dostawała wisiorki i kolczyki. Ale zawsze odkrywała, najczęściej przed upływem czterech miesięcy, że ten czy inny facet, w tym przypadku makler funduszu hedgingowego, z niczym nie daje sobie rady i w niczym nie różni się od innych. Po czymś takim wracała przeważnie na utarte szlaki: krótkie, acz namiętne i kliwne, zwiedzane w towarzystwie tego samego miłego, nudnego, lecz nieszkodliwego rezydenta, i prowadzące do tak romantycznych miejsc jak jakieś puste łóżko pacjenta czy – raz – cylinder aparatu do rezonansu magnetycznego (po tej przygodzie dowiedziała się przynajmniej, jak wygląda skan dwojga pieprzających się ludzi). Devanshi Bhakti wiedziała, że mężczyźni – zarówno lekarze, jak i pacjenci czy sanitariusze – gapią się na nią. Wiedziała, że pielęgniarki nazywają ją księżniczką. Opowiadano sobie niestworzone historie o zapachu jej łona. Zwracała sama sobie uwagę raz po raz, że dąży do większego dobra. Nie okazywała emocji, stojąc w głębi pokoju badań i rozmyślając o eksperymentach, które kiedyś przeprowadzi. Przyłapywała się na kręceniu kosmyka włosów i przestawała, przypominając sobie fotografię na czyjejsz szafce: ta pacjentka też miała kiedyś długie włosy.

Sergio Blasco żałował, że nie potrafi wyjaśnić krok po kroku tego, co z punktu widzenia nauki działo się z żoną tego mężczyzny. Powtarzał rzeczy oczywiste: znalazła się w delikatnym położeniu, wszystko może potoczyć się w jedną albo drugą stronę, potrzebuje czasu, żeby szpik się przyjął, a podstawowe pytanie brzmi, czy jej organizm to wytrzyma. Mąż rozumiał sytuację, ale w tej chwili zajmowało go coś innego. Mówił: „Nie wiem, jak można to znosić każdego dnia”. Spodziewał się uzyskać odpowiedź na to pytanie. „Dla mnie jest to o wiele łatwiejsze niż dla pacjentów i ich rodzin – tak odpowiedział mu Blasco, po czym dodał: – Mówiąc szczerze, nigdy nie można się do tego przyzwyczaić”. Te dwa zdania stały się dlań bliźniaczymi podporami. Nastrój Blasco również oddziaływał na otoczenie. Czasem, gdy miewał zamglony wzrok, schodząc z maratońskiego dwunastogodzinnego dyżuru, wygłaszał banalne mądrości i nie miał pojęcia, co mówił krewnym pacjentów. Wiedział, że odpowiedzi, których udziela, oddalają zasadnicze, najważniejsze dla tych ludzi pytanie: „Jak mam poradzić sobie ze śmiercią?”.

Przez piętnaście lat uprawiania zawodu do jego bazy danych trafiło mnóstwo nazwisk.



Historie choroby zajmowały więcej niż kilka szafek na tyłach oddziału. Ale nigdy nie zdołał przywyknąć do spirali, po której wznosili się lub opadali pacjenci. Nigdy. Blasco miał żonę, o którą musiał dbać. I dzieci do wychowania. Był więcej niż dobrym golfistą i zbierał drogie cygara. W każde Święto Dziękczynienia zabierał rodzinę do wspólnej pracy w garkuchni dla ubogich. Wzniósł własne mury obronne.

Mimo to nie potrafił przejechać pewnej przecznicy w Upper West Side, żeby nie myśleć o Mikhaelu Bishopie. Czasem wystarczyło, że jechał na Upper West Side, żeby przypomnieć sobie tamten wieczór: wpadł do baru dla kibiców, żeby napić się piwa i obejrzeć mecz Yankees, gdy dostał na pagerze wiadomość o Mikhaelu. Bywały też poranki, gdy wbijał wzrok w miseczkę chrupiących płatków i widział w niej odbicie spoglądającej na niego Joy Washington. Panna Washington miała nieco ponad dwadzieścia lat i przeszła przeszczep; zbliżając się do pierwszej rocznicy tego wydarzenia, postanowiła wydać przyjęcie z tej okazji – z okazji wyzdrowienia. Blasco odpowiedział jej nawet pisemnie na zaproszenie. Potem zaczęła mieć problemy z żołądkiem. Poczuli się naprawdę źle, tak mówiła: „Naprawdę źle”. Kazał jej przyjechać na badania krwi i biopsję.

Zapominał nazwiska, ale czyjaś przekrzywiona głowa w metrze przywracała mu pamięć. Siedział, pijąc herbatę, i widział w niej herbacianą przejrzystość czyichś oczu. Otwierała się przed nim nieskończoność.

Starał się nie pić za dużo. Niektóre wieczory były lepsze od innych.

Od wielu dni już się nie poruszała, nie jadła, nie reagowała. Oliver nie opuszczał szpitalnego pokoju. Ale nagle musiał stamtąd wyjść. Z tego powodu. W chwili gdy zjechał z piętra, poczuł wagę tego błędu i przyciąganie na jej orbitę. Musi przy niej być, gdyby coś się stało. Bardzo niepokoiła go myśl, że może go tam nie być.

W kancelarii Blaunera czekał już Ruggles, gawędząc z adwokatem, który pomógł Oliverowi przy ubezpieczeniu. Był także Jonathan, wszyscy trzej otoczyli go małą grupą. Ruggles powitał go mocnym uściskiem dłoni, komentując jego wygląd i pytając posępnym głosem, jak Alice się trzyma. Oliver odpowiedział, że ma nadzieję na polepszenie, i dodał, że musi wracać jak najprędzej. Wszyscy to rozumieli. Pokazano kontrakty.

– Nie naciskałbym na to, gdybym nie musiał – tłumaczył Ruggles przepraszająco, ale stanowczo. Wyjaśnił Oliverowi, że skończony projekt jest ich jedyną nadzieją. – Rozmawiałem z Browem. Chyba wskoczy na pokład. Nieważne, wiem, że to relatywnie nieważne.

Blauner objaśnił warunki kontraktu. Bez większych ceregieli Oliver zrzekł się kontrolnego pakietu akcji w firmie na rzecz Rugglesa za określoną w kontrakcie kwotę, która zważywszy na okoliczności, była bardziej niż szczodra. Obejmowała również sprzęt komputerowy. Ponieważ mieszkanie Olivera wynajmowano na firmę z jej nazwą na umowie najmu, Ruggles przejmie loft, ale odpowiednie klauzule gwarantowały Oliverowi, że będzie mógł zostać w nim wraz z rodziną, dopóki będzie to konieczne.

– Chłopie, ostatnią rzeczą, na jakiej mi zależy, jest wyrządzenie komuś krzywdy – zapewnił Ruggles.

Oliver odmówił pójścia na lunch, choć ta propozycja uświadomiła mu, że jest głodny. Czekając na windę w szpitalu, stał obok eleganckiego mężczyzny w doskonale skrojonym płaszczu z wielbłądziej wełny – Alice rozpoznałaby ten krój. Mężczyzna miał aktówkę, trzymał ją oburącz przed sobą, poniżej pasa. Oliver doszedł do wniosku, że to jakaś gruba ryba, zapewne z dyrekcji szpitala. W kłapie palta mężczyzny widniał mały znaczek, który wyglądał jak wstążeczka AIDS, ale była zielona, a nie czerwona.

Gdy nadjechała winda, wsiedli do niej tylko oni dwaj. Oliver nacisnął guzik trzeciego piętra, a mężczyzna poprosił o ósme. Popatrzyli na siebie przez chwilę.

– Jak się pan dzisiaj miewa? – zapytał nieznajomy.

– Trzymam się, a pan?

– Podobnie.

– Co oznacza ta wstążeczka?

– Dawcę organów.

Oliver przypatrzył mu się uważniej. Czuł narastający głód. Winda szumiała cicho i jechali w milczeniu. Niecierpliwił się. Gdy rozległ się sygnał świadczący, że zatrzymała się na trzecim piętrze, wypadł z niej niemal pędem.

– Powodzenia – pożegnał go mężczyzna.

Oliver odpowiedział przez zamykające się drzwi:

– Niech pana Bóg błogosławi.

Ruszył dobrze sobie znanym korytarzem. Owinięte celofanem tace z lunchem stały na wózkach, sanitariusze gadali o bzdurach w małej grupce, wczesnopopołudniowa cisza, jej zwykłość – wszystko to tak nierzeczywiste. Lekarze zaczęli go już przygotowywać na ostateczność. Gdy zadzwoniła mama Alice i opowiadała o codziennych wyczynach Doe i jej zdrowiu („Dziś zbierałyśmy jabłka i szalałyśmy w liściach”), zastanawiał się, czy powinien jej powiedzieć, żeby przyjechała. Miał wrażenie, że coś za chwilę rozłupie mu czaszkę. Czuł naprężające się gdzieś w środku zwoje, gotowe pęknąć, gdyby tylko ktoś wszedł mu w drogę.

Przypomniał sobie, co powiedziała ta kurwa: „Jej cierpienie jest biblijne”. Ludzie chcą, żeby cierpienie było biblijne, bo pragną nadać mu sens, cel, do którego prowadzi; na podobnej zasadzie wierzą w aniołów stróżów, duchy spełniające zadania po śmierci czy jakikolwiek kosmiczny system pozwalający zmarłym pozostać blisko tych, którzy ich stracili. Lecz jeśli traci się tak wiele, czy nie lepiej zapomnieć? Pozwolić odejść?

Bo tak czy inaczej zawsze trafia się na mur z cegły. Otchłań.

Umył ręce i włożył ochronny strój; salowa chrapała na krzeselku. Nie dbał o to, czy ktoś jest w pokoju, wbił wzrok w żonę: leżała otulona, a jej chude ciało ledwie rysowało się pod kołdrą. Była blada jak kreda, miała zamknięte oczy i lekko rozchylone usta, jakby szukała odpowiedniego słowa, które zaraz wypowie. Taki spokojny minimalistyczny obrazek. Jego okrutne piękno sprawiło, że zadrżał. Usiadł całym ciężarem na krześle. Oparł się o łóżko i wyciągnął do niej ręce. Opuścił głowę, oparł policzek o szorstkie prześcieradło. Z tego miejsca widział jej poruszającą się lekko szyję. Oddychała. Ledwie. Przelknął ślinę i wpatrywał się w te płytkie, niemal niedostrzegalne oddechy.

– Jeśli musisz odejść – szepnął z trudem – odejź. W porządku. Bez względu na wszystko, *tu esta mi favorito*. Więc jeśli musisz nas zostawić, zostaw. Nie martw się o mnie. Nie martw się o nas. Wszystko będzie dobrze. Zrób to, co musisz zrobić.

Szóstego dnia po przeszczepie potrzebowała tylko jednej podpaski na dobę. Blasco spodziewał się, że to kwestia czasu. Jej organizm był gotów. Nie potrzebowała już przetaczania krwi. Po raz pierwszy od dawna zdjęli worek z choinki. Została oczywiście kroplówka z heparyny i sól fizjologiczna, i odżywianie w płynie oraz kilka antybiotyków. Wypadły jej wszystkie włosy i miała banalnie (jak bila, jak jajko) gładką głowę, a gdy marszczyła brwi po jakimś koszmarze albo poruszeniu, zmarszczka biegła przez całe czoło aż do dawnej linii włosów. Nie, nie miała brwi. Nadal przylepiali jej plaster za uchem na nudności i nadal odsysali z jej ust to, co się tam gromadziło, a Oliver nie mógł uzyskać prostej odpowiedzi, czy odsysają jej śluz i flegmę, czy raczej kawałki ciała. Spadły wyniki prób wątrobowych, co było pocieszające. Ale najlepsze było to, że liczba jej leukocytów wzrosła do 0,4. Personel szpitala był pod wrażeniem, lecz zachowywał daleko posuniętą powściągliwość w słowach, jakby wszyscy bali się żywić nadzieję. Zwrot pojawił się dzień czy dwa przed przewidywanym w scenariuszu

najlepszym rozwojem wypadków, co było ekscytujące. Alice uczciła to, przesypiając cały dzień.

Następnego dnia liczba leukocytów podskoczyła do 37, a trombocyty osiągnęły zdumiewający wynik 8000. Cofnęła się opuchlizna stóp, teraz było widać w nich kości, po raz pierwszy od nie wiadomo jak dawna. Gdy Alice otwierała oczy, jej spojrzenie pozostawało zamglone albo puste. Patrzyła na kogoś, ale w rzeczywistości spoglądała w jakiś odległy wszechświat. Oliver mówił do niej po imieniu, nie reagowała. Tilda robiła to samo i uzyskiwała więcej: błysk. Uśmiech z odrobiną szaleństwa. Dyżurujący rezydent uznał, że to normalne.

– Bierze dużo różnych środków przeciwbólowych.

Na początku zdołała zjeść pomarańczowego tic taca. Wiele godzin później zdobyła się na odwagę i zdołała wypić dwa łyki herbaty, choć przy drugim o mało się nie zakrztusiła. Gwałtownie łapała powietrze. Na jej twarzy malowała się panika, ale Oliver zachował spokój.

– Zamknij usta. Trzymaj w nich herbatę. Okej. Teraz odchyl głowę. Na trzy... gotowa?

Wstrząs ustąpił; zgodziła się. Jej świadomość zawęziła się do skupionej zgody. Oliver był gotów pomóc jej się przechylić, ale nie musiał, połknęła herbatę. Nieco później tego samego wieczoru wypła dwa łyki wody. A po nich ugryzła róg krakersa. Następnego ranka przełknęła trzy łyki ensure.

Wciąż dużo spała, starała się siadać bez pomocy zmechanizowanego łóżka i witała przyjaciółki przytomnym spojrzeniem oraz kilkoma zdaniem wdzięczności i sympatii. „Wspaniale, że cię widzę”. „To prawdziwe błogosławieństwo, że ze mną jesteś”. Blasco chciał zmienić niektóre z podawanych jej leków na pigułki, odpiąć ją od tyłu kroplówek. Druga tabletką, którą Alice próbowała połknąć, wróciła, co oznaczało, że na choince pojawi się znów coś przeciw mdłościom. W ciągu dnia często trzymała Olivera za rękę.

– Jedzenie jest teraz bardzo ważne – tłumaczył Blasco. – Wysokobiałkowe. Wysokokaloryczne. Mnóstwo płynów. Chcemy dojść do tysiąca kalorii dziennie.

Alice energicznie kiwała głową.

Siostra Hwan, jakby w scenariuszu przewidziano w tym punkcie jej wystąpienie, stanęła obok łóżka i podjęła watek:

– Mieliśmy pacjenta, który musiał przybrać na wadze. Powiedzieliśmy mu, że jeśli będzie zjadał tysiąc kalorii dziennie, wypuścimy go do domu. Pacjent polecił żonie przynieść sobie pudełka Oreo i mleko. Zjadał paczkę dziennie, mocząc ciastka w mleku. Po pięciu dniach został wypisany.

Alice ścisnęła dłoń Olivera. Wspomniano o tym po raz pierwszy, po raz pierwszy podniesiono sprawę wypisu. Słowa te podziałały elektryzująco i zwiększyły ich nadzieję. Przyjaciółkom dano zielone światło i postawiono przed nimi jasno sprecyzowany cel, a ich przywiązanie przybrało postać jedzenia: goście wkładali kombinezony przeciwchemiczne i przynosili smakołyki w pojemnikach Tupperware, przejawiając jednocześnie nerwowość i zapal niczym poddani z prowincji przybywający do kapryśnej księżniczki Alice. Przynosili więc jej ulubioną tartę z limonką, jeszcze ciepłą po wyjęciu z pieca, czekoladową babkę od Zabara, wielowarstwowe cytrynowe torty, puszyste migdałowe croissanty. Tilda zajęła się blenderem, rozstawiła sprzęt w spiżarni i mieszała proteinowy shake – 200 kalorii na łyk. Jeden z notesów Alice został przeznaczony na rejestrowanie dziennego spożycia kalorii. W środku znalazła się skserowana lista produktów spożywczych z ich wartością kaloryczną. Blasco to popierał, chciał jak najszybciej odłączyć Alice od odżywczej kroplówki, co byłoby dla niej najlepsze. Ale 450 kalorii z jednego trójkątnego kawałka limonkowej tarty pozostało marzeniem. To samo z pączkami z polewą Krispy Krems (210 kalorii). Nawet pół porcji płatków Rice Krispies (dziecięce opakowanie – 130 kalorii) było nie do przełknięcia. Trzy łyki soku jabłkowego (jedna szklanka – 120 kalorii) stawały się osiągnięciem. Zjedzenie zwykłego tostu wywoływało

biegunkę.

– Tego się spodziewaliśmy – tłumaczyła siostra Hwan. – Organizm musi się znów przyzwyczaić do przyjmowania pokarmów. Pojawią się jeszcze skurcze żołądka.

Po przychylnych dla Alice podliczeniach i zaokrągłaniu w górę tego dnia zjadła 150 kalorii. Ale następnego o sto więcej.

Z choinki zdjęto dwa kolejne worki. Odłączono, zdemontowano i zabrano pierwszy zasilacz pompy infuzyjnej. Zniknęła też asystentka zajmująca przez całą dobę krzesło przed drzwiami. Zwyczajnie przestała przychodzić. Dało się również zauważyć, że personel medyczny średniego szczebla potrzebował więcej czasu, żeby reagować, i zaglądał znacznie rzadziej. Oliver pojmował, że dzieje się tak dlatego, że inni pacjenci na oddziale przechodzą krytyczne stadia przeszczeputu. Alice natomiast się polepszało.

Wyglądam jak liniejąca jaszczurka. Może nie powinnam była prosić o lustro. Ale chciałam się przejrzeć po tak długim czasie.

Chciałabym też zajrzeć przez okno tam, gdzie byłam. Ale nie mam żadnych wspomnień, nie wiem, czy odeszłam, więc nie mam nic do powiedzenia. W kącikach ust na zajadach zrobiły mi się strupki, co traktuję jako dobry znak, tym lepszy, że te strupki same odpadają. Mam nadzieję, że z twarzy zejdą mi czerwone poparzenia; do swojej czaszki jak z kości słoniowej mam – przynajmniej teraz – niejednoznaczny stosunek. Skupiam się na wykonywaniu wyznaczanych mi zadań: staniu przez kilka minut bez oparcia, kręceniu młynka ramionami, unoszeniu nóg na zmianę, aż doliczę do dziesięciu. Przychodzą pielęgniarki, żeby mnie zmotywować, dzieląc się, jak mi się wydaje, plotkami i stawiając wyzwania: jeśli odzyskam siły i będę dużo jadła do końca tygodnia, wypiszą mnie do domu. Chcą, żebym się opychała, wciąż na to nalegają. Przez całe życie o tym marzyłam – żeby ktoś kazał mi wcinać desery! Teraz moje ukochane przyjaciółki przynoszą to, co najlepsze, lecz oczywiście nie mogę zjeść więcej niż kilka kęsów. Ale to się zmieni, jestem pewna. Mam wielką motywację. Mam nawet własną ścieżkę dźwiękową. Gdy przychodzi Merv, jego najnowsza playlista zaczyna się od absurdałnego rapu, który brzmi tak:

Jestem głodna, wierzcie mi,  
nieodparcie.

Mam apetyt, wierzcie mi,  
na żarcie.

Nie przychodzi każdego dnia. Już nie.

– Powiem ci szczerze – wyznaje. – Pomyślałem, że mógłbym zrobić coś głupiego. Teraz przychodzę według rozkładu, który mi ustalili.

– Rozumiem.

– Szczerze?

Widzę romans, który się nie wydarzył.

– Mam zajęcia – mówi.

Może Oliver doniósł na niego do szefostwa pracowników socjalnych, może coś między nimi zaszło? Nie chcę wiedzieć. Obaj czują się na tyle swobodnie w swoim towarzystwie, że Oliver z przyjemnością spuszcza Mervowi cięgi w karty. To dużo.

– Oczywiście – mówię.

Zasady: nie mogę przebywać w tłumie, nie mogę korzystać z publicznych środków komunikacji, nie mogę przebywać w miejscach pełnych kurzu, nie wolno mi się zbliżyć do żadnej budowy. A co ze świeżo wyremontowanym mieszkaniem?

– Żadnych świeżo wyremontowanych mieszkań – odpowiada Blasco. – Ani innych miejsc, w których osadza się pył.

Dobrze znam mojego męża, wiem, że przetrawia tę wiadomość.

A potem sobie uświadamiam...

– Musimy zadzwonić do mamy – zwracam się do Olivera, wrywając go z zamyślenia. – Chcę, żeby Doe wróciła do domu razem ze mną.

Oliver nie śpieszy się z odpowiedzią.

– Jesteś pewna, że zdołamy się nią zająć?

Prosi, żebym go wysłuchała: on też tęskni za dzieckiem, lecz zastanawia się, czy nie warto byłoby poczekać z powrotem Doe jeszcze tydzień albo dłużej.

– Dopóki nie odzyskasz sił.

Zastanawia się, czy mama zechce z nami zostać nieco dłużej, czy zdoła wziąć wolne w pracy.

– Dochodzę do zdrowia bardzo szybko – upieram się. – Przed terminem.

– Wszyscy są z tego ogromnie zadowoleni. – Blasco uśmiecha się cierpliwie, jak zawsze.

– Nie chcemy jednak, żeby córeczka zaraziła czymś panią po powrocie. Wystarczy przeziębienie, a po czterech dniach wyląduje pani z powrotem u mnie na oddziale.

– A to jest nam potrzebne jak dziura w moście – stwierdza Oliver.

„A to nerwusik – mówi moja mama. – I jeden, i drugi”. Zacznie pakować rzeczy. Włoży je potem do samochodu i przyjadą obie w ciągu jednego popołudnia. Wystarczy, że damy jej znać. Więc dalej towarzyszą nam ludzka wspaniałomyślność i promienna miłość. To uczy pokory, że tyle osób tak bardzo się o mnie stara, wkłada w moje wyzdrowienie tyle wysiłku. Oliver się zgadza. Blasco kiwa głową, jest nieco poruszony, gdy powtarza mi, jak ogromne robię na nim wrażenie, ale musimy być bardzo ostrożni. Doktor i pielęgniarki odchodzą, zostajemy z Oliverem sami, mówię mu, że wiem, jak bardzo się mną opiekował. Wiem, że nie było to dla niego łatwe. Żywię do niego przeróżne uczucia, stwierdzam, ale byłabym niewdzięczna, gdybym mu nie podziękowała. Otwiera szeroko oczy, ma dosyć głupią minę.

– Tak się zastanawiałem... W Williamsburgu jest mnóstwo dużych loftów. Co powiedziałabyś na to, żebyśmy kupili inną szczurzą norę i ją wyremontowali? Lubię to robić. Z przeprowadzką moglibyśmy poczekać, póki całkiem nie wyzdrowiejesz. A Williamsburg to okolica uwielbiana przez twoje supermodne przyjaciółki, prawda? Znajdziemy budynek z windą. Zostaniemy tam, żebyś spokojnie mogła się zastanowić, co dalej. Poczekamy, aż Doe trochę podrośnie. Przekonamy się, czy okolica nie stanie się modna.

Tak bardzo się postarzał. Ale spod brwi, ze zmęczonych podkrążonych oczu wyziera na mnie prośbą o coś chłopiec.

– Chcę tylko stąd wyjść – odpowiadam.

– No jasne.

– A potem zastanowimy się nad resztą.

– Tak?

– Zastanowimy się – mówię. – Spróbujemy.

Nic więcej nie mogę mu teraz powiedzieć, musi to rozumieć, bo chwytła mnie za rękę. Niedługo zacznie sprzątać pokój, zdejmować ostrożnie obrazki i kartki ze ściany, odklejać taśmę, zwijać plakaty i chować je do tuby, którą dostałam dawno temu, pracując przy jakimś pokazie. Zbiera kartki z życzeniami. Zaczyna składać ubrania. Niedługo zejdzie na dół i zrealizuje w aptece mnóstwo recept.

Będę się musiała nauczyć, jak zmieniać sobie opatrunek wokół centralnego wkłucia. Cewnik zostanie jeszcze przez pewien czas po wypisie, tak na wszelki wypadek, a ja odpowiadam za jego stan i czystość. Siostra Hwan kładzie przede mną zamknięty plastikowy pakiecik i instruuje: „Włóż rękawiczki, rozłóż jałową podkładkę, załóż maseczkę. Zawsze miej

pod ręką zapasowe pudełko z rękawiczkami. Gdy otworzysz pakiet, włóż nowe. Namocz plaster gąbką, żeby łatwiej się odkleił. Nakładaj opatrunek zawsze w tej samej kolejności: czerwony, biały, niebieski”.

Przyglądam się. Usiłuję zapamiętać. Znów będę się musiała wiele nauczyć.

Fizjoterapeutka Justine – młodsza ode mnie, wysoka, ciemnowłosa i nienawistnie szczupła – puka do drzwi i wsuwa w szparę zamaskowane oblicze. Pyta, czy mam ochotę wyjść z pokoju.

– Jedna runda wokół piętra. Musimy postawić cię na nogi.

Jestem zdumiona, trochę się boję, a jednocześnie ta propozycja jest tak ekscytująca... A Justine umie porwać, jej pozytywne nastawienie jest zaraźliwe. Mam już więcej sił, ale wygramolenie się z łóżka zabiera mi sporo czasu, podobnie jak włożenie ochronnego stroju. Justine jest cierpliwa, kompetentna i mocno stąpa po ziemi. Ustalamy, że wychodzę ze szpitalnej sali po raz pierwszy od dwudziestu pięciu dni. Tym razem nie będę robiła rundek z Oliverem. Ani z Mervem. Będę z fizjoterapeutką. Będę się uczyła, jak mam to robić sama.

Stawiam powoli pierwsze bolesne kroki: krótkie, ostrożne szuranie. Gdy wrócę do domu, pełni dobrych chęci znajomi będą mnie pytali, jak się miewam, a ja im będę odpowiadać, że dobrze, co najczęściej wprowadzi ich w błąd. To rozumiałe. Dla zwykłych ludzi „miewanie się dobrze” oznacza pełną rekonwalescencję, powrót do normalności z terminami, którym trzeba sprostać, z przejściami dla pieszych, przez które należy przebiec przed zmieniającym się światłem. Dla mnie „miewanie się dobrze” oznacza utrzymanie w żołądku łyka zupy, kęsa krakersa. Nie mogę jeść nic odgrzewanego po raz drugi, muszę ograniczyć się do świeżych mrożonych dań. Po odgrzewanym ryżu będę rzygać jak fontanna. Jeśli nie stracę na wadze w jakimś tygodniu, będzie to olbrzymi sukces.

Z czasem odrosną mi włosy, brwi, owłosienie łonowe – kręcone i znacznie ciemniejsze w odcieniu – będę kasztanową brunetką. Mam także inną grupę krwi. Łamię mi się paznokcie i odrastają na nowo. Mam dziwne blizny na brzuchu. W domu czekają na mnie przeróżne wyzwania – nie mam siły ani apetytu, chwieję się na nogach po utracie wagi. Straciłam masę mięśniową i jędrność ciała, miewam liczne skurcze i sztywnienie mięśni. Spędzę całą wieczność na siedzeniu w biurowym fotelu z dzieckiem na kolanach i przyglądaniu się przyjaciółom wykonującym za mnie podstawowe domowe prace. Będę czytała córeczce w łóżku i zasypiała długo przed nią, a Oliver będzie mnie budził, zaniepokojony, gdy dziecko zacznie płakać. Odbije nam na punkcie mycia rąk, a buteleczki Purella będą stały wszędzie, zawsze w zasięgu. Dwa razy w tygodniu, we wtorki i w piątki, jak w zegarku, będę jechała do szpitala na badanie krwi, przetoczenie plazmy, terapię oddechową, po lekarstwa na dziwne skutki uboczne, po lekarstwa na skutki uboczne lekarstw na skutki uboczne. Nieustannym utrapieniem jest szermierka przeszczepu z komórkami biorcy, dochodzi do zwodów i pchnięć, trafień albo i nie. Niedobry posiłek cofa mnie o miesiąc. Przeżywam piekło na ziemi w pewne sobotnie popołudnie, siedząc w poczekalni nagłych przypadków onkologicznych, czekając, aż ktoś mnie przyjmie. Choć nienawidzę szpitala z całego serca, zniechęcę go jeszcze bardziej, czując obrzydzenie i przerażenie za każdym razem, gdy Oliver będzie mnie prowadził albo wiół przez te rozsuwające się drzwi. Koncentruję się, oczyszczam umysł, medytuję, śpiewam mantry, a wszystko obraca się wokół myśli, że nie mam już raka, że jestem zdrowa. Ale nieustannie towarzyszy mi strach: to coś jest częścią mnie, tego, kim jestem, i tkwi gdzieś głęboko, uspione, tylko czekając na odpowiedni moment, żeby znów zacząć następną, groźniejszą rundę. Wiem, że nie tylko ja się boję. Pogorszenie nastroju, przypadkowe kasznięcie wywołuje niepokój Olivera. Jedno kichnięcie czy krosta, każda zmiana w konsystencji wydalanych przez organizm płynów stawiają cały oddział na baczność. A gdy tylko skoczy mi temperatura – pobieranie krwi i kolejna

biopsja.

Mimo to znajduję się w górnych dziesięciu procentach pacjentów z pozytywną odpowiedzią immunologiczną. Doktor Blasco powtarza to jak refren. Jest szlachetny jak mało kto, jest prawdziwym księciem w tym mieście barbarzyńców. Często chodzi w rozpiętych koszulkach polo, czasem w narciarskich swetrach. Moje wizyty u niego rozpoczynają się zazwyczaj od paru krótkich uwag na temat jego dzieci. Używa dzieci dla podkreślenia tego, co ważne. Gdy zirytują mnie jakieś ograniczenia, mówi: „Jak pani wie, mam dwóch małych synów, więc wszystko rozumiem”.

Nie jestem w stanie przewidzieć, jakim wysiłkiem będzie dla mnie spacer do rogu ulicy, nie mówiąc już o obejściu jednego kwartału. Bez przerwy sobie powtarzam, że nie muszę wyzdrowieć od razu, wystarczy, że będę zdrowsza niż poprzedniego dnia. Ufam, że jest ze mną lepiej, czy to dostrzegam, czy nie. Cztery tygodnie i trzy dni po moim wypisie z Whitmana na niebie pojawią się tłuste leniwe chmury i chłód przesywający do szpiku kości. Będę spacerowała przez dwadzieścia minut z zaledwie dwoma przerwami na oparcie się o metalowe kubły na śmieci, a gdy obejdę kwartał i wrócę pod drzwi domu, będzie to dla mnie największe zwycięstwo i gdybym tylko mogła, uniosłabym ręce nad głową jak Rocky. Po czterech następnych miesiącach będę miała jeszcze lepszą kondycję. Będę ćwiczyła tai chi w sypialni, będzie mnie świeżbiło, żeby gdzieś wyjść, zjeść coś w restauracji czy pójść z dzieckiem w wózku na spacer. Gdy zrobią mi morfologię, osiągnę wynik limfocytów 170 – ciągle w zakresie pacjentów z pełnoobjawowym AIDS.

Gdzieś w połowie tego wszystkiego spróbujemy z Oliverem uprawiać seks. Skorzystamy z oceanu nawilżaczy, a i tak będzie bolało, choć nie tak dojmująco jak wtedy, gdy w wieku piętnastu lat traciłam dziewictwo na tylnym siedzeniu starego subaru, ani tak intensywnie, jak wtedy, gdy wypychałam dziecko na świat. Był to jednak wstrząs, tak czy inaczej. Ale moje ciało zacznie wilgotnieć. Czuję prąd w miejscach, w których nie czułam go od wieków. Stosunek nie potrwa długo, poczuję otarcia i poproszę Olivera, żeby przestał, a on posłusznie ze mnie wyjdzie. Zajmuję się nim przez chwilę, po czym prosi mnie, żebym mu ścisnęła jądra, czego nigdy nie robił, ani razu przez wszystkie te lata, które spędziliśmy razem. Zastanawiam się oczywiście, skąd mu się to wzięło. Ale spełniam jego prośbę. Kończy śpiwnie, lekko chrząka, drży, kurczy się i opada. Przytulamy się do siebie. Przez chwilę przenika mnie jeszcze ten prąd. Nie wiem, co o tym myśleć. Wiem, że nie muszę.

Jestem szczęśliwsza, niż da się to opowiedzieć. Wiem, że to prawda. Sanitariusz potrzebuje dwóch godzin, żeby zjawić się w moim pokoju z wózkiem, którym zawiezie mnie do windy i w dół do wyjścia ze szpitala. Słońce jest już nisko, srebrzysta poświata nieba posrebrza wszystko poniżej – domy, samochody, pieszych. W twarz wieje mi przyjemnie jesienny wiatr – pierwsze zjawisko pogodowe, jakie czuję na sobie od tak dawna. Wiatr uderza mnie niczym piosenka, którą niegdyś uwielbiałam, ale której nie słyszałam od dekady. Oliver już zapełnia bagażnik taksówki moimi walizkami. Sanitariusz ustawia wózek poziomo jak najbliżej otwartych żółtych drzwi, tak że wystarczy lekko się unieść i opaść na tylne siedzenie. To wszystko jest fantastyczne, nieznanne i dzieje się tak zwyczajnie.

– Nie wierzę – mówię.

Oliver obejmuje mnie ramieniem. Zasypuje komplementami, zapewnia, jak bardzo jest ze mnie dumny, ale choć słyszę jego głos, nie bardzo wiem, o czym mówi. Po nieskończeniu długim czasie zniknął gniotący mnie ciężar. Mam tylko wrażenie, że to, co go zastąpiło, nie jest wcale lekkością, ale czymś, co ledwie rozpoznaję: czymś obcym, niemal czczym.

Odcienie różu, jasnego błękitu, fioleto i pomarańczowego wypełniają przestrzenie między szpicami wieżowców śródmieścia i ciągną się wzdłuż znikającej linii horyzontu. Na południu

zbierają się chmury, niebo ciemnieje, a staloszary kolor zwiastuje deszcz. Mijamy wielki, ukryty w cieniu niszczyciel marynarki wojennej: śpi przycumowany w doku. Wody Hudsonu są niespokojne i szare, białe bałwany i brudny metal.auta suną powoli ku zatorowi przed tunelem Lincolna. Nadciągający wieczór, błyszcząca miejska panorama, jej chłodne piękno, wielkość, toczące się w niej życie i wszystko, co na mnie czeka, ściskają mi gardło. Przypominam sobie, że mam oddychać, i wypuszczam powietrze. Widzę jej wielkie piwne oczy. Radosną buzię. Widzę ją, a jednocześnie nie mogę jej zobaczyć, nie umiem sobie wyobrazić, jak bardzo urosła, jak zmieniła się jej twarz. Ale nie muszę, prawda? Nie muszę znać wszystkich odpowiedzi. Nie muszę wiedzieć więcej niż do następnego oddechu. To wszystko dzieje się naprawdę. A gdy córka wróci do domu, rozłożę szeroko ręce. Będę czekała.



Epilog  
2010

### 3 maja, wczesne popołudnie

Dotknęła palcem szklanego prostokątka, przesunęła jedno zdjęcie, przywołując następne. Na tym nowym ma wessane policzki i wysunięte zaokrąglone w dzióbek wargi, jakby się wyglupiała albo przesyłała pocałunek narzeczonemu. Brudne włosy szesane do tyłu i związane tak mocno, że naciągnęły skórę na czole. Jej twarz dominowała na portrecie: wielkie jak spodki, skupione oczy i wciągnięte policzki. Dziś nie pomalowała ust na trupio karminowy kolor, nie podmalowała oczu czarną jak krypta kreską – ma być gustownie i stosownie, jak jej polecono, a tego polecenia nie mogła akurat zlekceważyć. Na zdjęciu trzymała telefon w wyciągniętej ręce, a sama odbijała się w dużym łazienkowym lustrze. Zawinęła rękawy porządnego za dużego swetra, tak że biała podszewka zasłaniała rękawiczki bez palców i obejmowała niemal ścisiskanego przez nią w dłoni iPhone'a. Subtelny wzorek sukienki – czerwone kwiaty wiśni i pomarańczowe lilie – był niemal niewidoczny, bo wtapiał się w czerń. W krótkim rozcięciu sukienki widać było jednak jej udo i wzór na rajstopach – zarys dużych kwiatów. Nie można być bardziej gustownym. Zdjęcie potwierdzało efekt, który chciała osiągnąć: wyrafinowanie, seksapil, dystans. Wygląda na nim jak dwudziestka.

W School of Performing Arts każdy miał jakiś własny projekt. Dwoje znajomych z drugiego roku projektowało własną linię odzieży – w piwnicy mamy jednego z nich oczywiście – i zapłaciło jej dwie stówy, żeby została modelką na ich stronie. Z jakiegoś powodu sesja odbyła się na High Line, starych nadziemnych torach zamienionych w świetną parkową aleję. Gapili się na nią turyści, gdy przyjmowała pozy baletnicy w hiphopowych ciuchach zaprojektowanych przez białe bogate dzieciaki. Sesja zatrzymała na chwilę cały ruch pieszy, a parkowa ochrona kazała im się wynosić, więc dokończyli w pobliżu, w bocznych uliczkach dzielnicy pakowalni mięsa. Było realistycznie, nieco niebezpiecznie i streetartowo, coś jak w Bed-Stuy i Bushwick, ale jednocześnie z klasą i ekskluzywnie. Od tamtej pory zaczęła przychodzić z dziewczynami w poszukiwaniu przygód. Nie zachwycała się ludźmi opływającymi we wszystko, ale nie trzeba być materialistką, żeby docenić *couture* w butikach Alexandra McQueena, Comme des Garçons czy w pierwszym amerykańskim sklepie Stelli McCartney, który naprawdę ścinał z nóg. Piły latte, jadły babeczki i zastanawiały się nad tym najnowszym przysmakiem, czymś pomiędzy torcikiem, croissantem a pączkiem („Nie wchodzi w grę ze względu na ilość kalorii” – powiedziała któraś z nich z oczami błyszczącymi z zachwytu). Potem szły na Dziewiątą Aleję, żeby kupić pojedyncze fajki w którymś z ostatnich meksykańskich delikatesów i przejść się do Apple Store. High Line wyglądała teraz lamersko, odkąd ci ludzie od rewitalizacji pozbyli się graffiti z budynków, ale za to dzielnica pakowalni mięsa była pełna modnych szklanych hoteli, wspaniałych restauracji, winiarni i klubów na dachach, gdzie mogłeś wejść tylko wtedy, gdy wpuścił cię selekcjoner. Może któregoś wieczoru włoży tę sukienkę, żeby się przekonać, czy wygląda na pełnoletnią. Tata, gdy słyszał o jej wyprawach, robił się melancholijny – szczególnie po paru drinkach – w ten swój zrzedliwy i rozmarzony sposób („chodziliśmy po pięć mil w śniegu po pas”), snuł opowieści o dziwkach transwestytach na każdym rogu. Trudno to było sobie wyobrazić. Nie pamiętała przecież swojego dzieciństwa, nie pamiętała, że tam mieszkali, nie mówiąc już o tym, przez co musiała tam przejść mama.

Chryste. Dzisiaj na sto procent usłyszysz tę gadkę.

Telefon wibrował jak oszalały, to na pewno SMS-y z pytaniem, gdzie się podziewa. Doe nie odpowiadała, ale przedarła się przez hol z recepcją do jaskrawo oświetlonej przestrzeni podzielonej na miejsca do pracy i boksy, gdzie siedział wiecznie zmieniający się zespół wystylizowanych bądź lekko zapuszczonych kobiet i mężczyzn tylko trochę – pozornie – od niej

starszych. Za ostatnim rzędem przegród stalowe biurko strzegło korytarzy władzy: Korporacyjna Niewolnica Janice była jak zwykle przykuta do biurka; tym razem jadła jakieś curry. Doe przeszła dalej, mruczając pod nosem:

– Hej, Janice, jestem spóźniona, muszę...

Po czym zdawkowo i z lekkim zakłopotaniem machnęła ręką. Nie zwalniając, nie pukając, włączając pole ochronne w oczekiwaniu na najgorsze, wpadła, potykając się, do biura.

– Musi być lepszy. Znacznie lepszy. Ten interfejs musi być bardziej funkcjonalny.

Po drugiej stronie gabinetu za biurkiem z polerowanej stali siedziała duża kobieta, która oderwała na chwilę wzrok od smartfona, żeby pokręcić głową z fryzurą w kształcie grzyba. Wykonała powszechnie rozumiany gest oznaczający „chwileczkę” i właśnie wtedy światło padło na jej bluzkę, która zamigotała. Okazało się, że czarna tkanina wcale nie jest czarna, ale ciemnobrązowa.

– Jasne – rzuciła do słuchawki Tilda, która miała na głowie zestaw z mikrofonem jak chłopcy śpiewający w boysbandach. – Tylko nie gadasz o najbardziej zaawansowanej technologicznie grupie w dziejach świata.

Doe odwiedzała ten podłużny budynek z ciemnoniebieskiego chłodnego szkła, odkąd tylko pamięta – od czasu, gdy nie mogła usnąć, zastanawiając się, kto jest lepszy: księżniczki czy wróżki. Potem przychodziła tu zawsze, gdy uczyła się trzymać ołówek, klóciła z dziećmi na placu zabaw, miała skurcze w nodze, pierwszą miesiączkę, dzieląc się tym, czym nie mogłaby się podzielić z nikim innym. Te zwierzenia zawsze kończyły się wyglądaniem przez wielkie, sięgające od sufitu do podłogi okno – pod którym się spotykały – na nieskończone wyczekujące niebo. „Schlep” było najdziwniejszym z czasopism: nie tylko przetrwało, ale zaadaptowało się do epoki elektronicznej, przekształcając się w „internetowe lifestyle’owe centrum i źródło wiedzy dla osób starszych pochodzenia żydowskiego”. Ciocia Tee też przetrwała: zrzędlivość i malkontencka przyziemność dobrze jej służyły, ośli upór (oraz brak partnera) pozwalał pracować do późna i pilnować właściwego i profesjonalnego podejścia do obowiązków. Zaczynała jako wolny strzelec, potem została redaktorką i wreszcie redaktorką naczelną; stała się niezbędna. Obecnie piastowała funkcję wiceprezes firmy i miała udział w zyskach. Nawet dawna anegdota o jej brązowiejących ciuchach działała na jej korzyść, bo stała się jej znakiem rozpoznawczym: zwiewne czekoladowe szale, kostiumy i spódnice w dekadentkich rudobrunatnych odcieniach.

Doe pokazała na migi, jak jest jej przykro, i ruszyła na palcach przez wielki minimalistycznie urządzone gabinet. Ciągłe linie, spokojne kolory, niewielkie wieże książek ułożonych jedna na drugiej wzdłuż obrzeży białego dywanu, stelaże z niestarannie porozwieszanymi ciuchami wiszącymi w dziwnych pozycjach. Gdy dotarła do grubej szklanej tafli stołu, zerknęła na ceramiczny półmisek z żelkami, ale darowała sobie i usiadła na krawędzi biurka Tildy. Podniosła i opuściła podkładkę pod drzwi w kształcie wrześniego wydania „Vogue’a”, a potem zajrzała do torebki ciotki, szukając jakiejś zawieruszonej dwudziestodolarówki czy czegokolwiek.

Tilda zrobiła wielkie oczy. Bezgłośnie: „Hej, ty!”, a potem gwałtowne ruchy, jakby Doe była osą, którą należy odpędzić.

– Wyglupiam się.

Ciocia musiała wrócić do rozmowy.

– Jasne – powiedziała. – Słuchaj, mam spotkanie, muszę kończyć... Ta... Wiem... Muszę... Wybacz, porozmawiamy jutro.

Nacisnęła guzik i odsunęła od siebie telefon.

– Skurwysyny.

Sięgnęła po torebkę, odebrała od Doe ten ciężar, poszperała i podała jej pieniądze.

– Mówiłam ci, że robimy aplikację „Schlep”. Będzie się nazywać Schlapp. Głupio, nie? Ale ładnie. Chodzi o to, że ta aplikacja nie jest tylko dla seniorów, to znaczy jest, ale dla żydowskich seniorów. Schlapp musi zrobić dla nich wszystko. Kupić im bilety na samolot, potwierdzić rezerwację i odprawić im bagaż, ubrać ich odpowiednio na poranny lot, doprowadzić ich do bramek, zapiąć za nich pasy, a potem jeszcze odebrać za nich bagaż. Nasi programiści tego nie rozumieją.

Doe sięgnęła od niechcenia po żelki.

– Oj.

Tilda się uśmiechnęła, a potem zamyśliła. Doe była pewna, że przypomniła cioci o przeszłości, czego starała się unikać.

– Na sto procent masz oko po mamie.

Doe potrzebowała dobrej chwili, żeby pojąć, że ciocia mówi o jej stroju.

– Bardzo stosownie. Ale to nadal ty.

Brzęczyk. Zanim Tilda zdążyła odszyfrować zniekształcony elektronicznie przekaz od Korporacyjnej Niewolnicy Janice z interkomu, otworzyły się drzwi i do gabinetu wszedł tata Doe. Miał zakola, nieduży szpic gęstych loków nad czołem i siwawe skronie. Do tego zwykłą dla siebie minę – jednocześnie sztywną i zgnębioną. Ale profil miał wyrazisty, a sylwetkę niezłą, zwłaszcza w sięgającym kolan płaszczu i ciemnym garniturze. Często powtarzał, że musi być w formie, bo ktoś powinien tu zostać i zająć się wszystkim. Z tego samego powodu – mówił córce – zamienił podkoszulki na urzędowe koszule. Poza tym golił się rytualnie każdego dnia. Chciał sprawiać na niej wrażenie człowieka ogarniętego, czujnego i pozbieranego. Chciał być dla niej wzorem.

Jednak dziś język jego ciała wskazywał, że coś go poruszyło; brakowało mu zwykłej agresywności, którą przejawiał, gdy się śpieszył albo gdy ktoś wpłynął w ten czy inny sposób na jego pojmowanie właściwego załatwiania spraw. Wydawał się dziwnie ospały. Doe domyślała się, co to może oznaczać.

Tata i Tilda nie marnowali czasu na pogawędki. Czekali na Ikonę We Własnej Osobie.

Nic nowego: mama szła powolnym miarowym krokiem, a jej Obecność maszerowała przed nią. Była tak szczupła, że jej figura doprowadzała każdą kobietę (w tym Doe) do spazmów z powodu własnego wyglądu, a także przypominała, przez co mama przeszła. Owszem, bez dwóch zdań zawsze ubierała się idealnie. A czasem jeszcze lepiej, co podkreślały najczęściej dziwne małe dodatki czy ozdoby, coś nieoczekiwanego i przykuwającego uwagę. Dziś miała na głowie czarny słomkowy kapelusz, którego szerokie rondo osłaniało ją od słońca. Kremowa bluzka spływała z niej jak z wieszaka, ściągnięta w talii, spięta czarną aksamitną kokardą. Do tego czarna szyfonowa spódnica, której skraj omiatał podłogę. Mama zawsze miała najlepsze botki i te lakierowane, które włożyła dziś, nie były wyjątkiem. Wyglądała elegancko, modnie aż do absurdu, niczym skrzyżowanie zakonnicy i dziecka kwiatu, z dodatkiem zjawiskowości. Nic dziwnego, że uważano ją za muzę w hermetycznym świecie mody. Cholera, wystarczyło na nią spojrzeć, kiedy szła chodnikiem, by złożyć jej w ofierze koźle.

Mama zawsze się spóźniała. Doe odziedziczyła to po niej. Ale u mamy miało to jakieś uzasadnienie, rzecz jasna. Bo mama zawsze miała dziejowego asa w rękawie i jeśli ktoś spóźniał się na spotkania z nią albo się niecierpliwił, był zwyczajnym kretyńcem. Z kolei Doe miała z tego powodu ciągle nieprzyjemności, reprimendy, domowe areszty i rozmowy na stronie. Tak, cholera, bywa. Mama była chora. Przykuta do łóżka. Dochodziła do siebie po jakimś zabiegu albo walczyła, nie mogła się ruszać, była w stanie bawić się lalkami na podłodze, ale potem ktoś musiał pomóc jej wstać i położyć się na sofie, z której obserwowała świat. Przed zaproszeniem

koleżanek do domu, przed pierwszymi odwiedzinami Doe informowała wszystkie szkolne przyjaciółki o sytuacji, streszczając udrękę, której sama do końca nie rozumiała. „Mama miała raka i ciągle są jakieś powikłania”. Mówiła o myciu rąk i wszystkich powierzchni oraz podkreślała, że nie powinny wpadać w panikę na widok kruchej sylwetki mamy. Doe i Cyrus – założyciel firmy krawieckiej w piwnicy, jej wierny i (na prośbę Doe) wyłącznie platoniczny najlepszy przyjaciel – zbliżyli się do siebie podczas tych długich tygodni, gdy w brzuchu mamy objawił się jakiś nieznany wirus i lekarze bardzo się martwili, a wszyscy wpadli w popłoch, że odejdzie. Był jeszcze taki straszny moment – potworne cztery dni, najgorsze, jakie można sobie wyobrazić – gdy złe wyniki białych krwinek wskazywały na nawrót, a Cyrus zaczął się spotykać z klasową gwiazdą Mindy, przez co najlepsze przyjaciółki Doe musiały pilnować jej podczas obu rund badań. Tak wyglądało życie. Nigdy nie miała innego. A choć zdawała sobie sprawę, że ograniczenia mamy absolutnie nie dotyczą miłości, czasem tata musiał jej przypominać – biorąc ją na stronę w pracowni w kamienicy, w której mieszkali, albo zabierając na długi spacer – żeby, „no wiesz”, przestała „sobie lecieć”. Prosił ją, by wzięła na siebie więcej obowiązków. Była *bardziej* cierpliwa, przez co stanie się lepszą osobą. By stawiała czoło wyzwaniu. Tego właśnie chciał od niej ojciec i można bez przesady powiedzieć, że Doe się starała: naprawdę pomagała robić zastrzyki i podłączać kroplówki, podawała mamie niezbędne leki, robiła, co było trzeba. Ogromnie kochała mamę i była dumna z jej wyjątkowości, poczucia humoru i niezwykłej aury, która ją otaczała.

Ale mówiąc szczerze, męczyły ją matczyne przypadłości. Buntowała się.

– Nie wiem, dlaczego muszę tam iść.

– Oboje musimy – syknął jej ojciec. I dodał: – Idziemy oboje, bo mama tak chce.

Po chwili poprawił się raz jeszcze:

– Mama i ja chcemy, żebyś z nami poszła.

– Powiedziałam, że idę. Tylko nie wiem dlaczego.

– Chcemy kogoś upamiętnić. – Głos mamy brzmiał jak zawsze cicho i jednostajnie. –

Dawno temu ten człowiek był... – Ucichła, wciąż posągowa.

Wielkie ciemne okulary nadawały jej nieprzenikniony wygląd. Mama z pewnością nie zwalniałaby jej ze szkoły, gdyby to nie miało znaczenia. Doe czuła się trochę winna, ale wciąż się opierała.

– Może najlepszą odpowiedzią na twoje wątpliwości będzie pójście z nami i wspólne przeżycie tego doświadczenia – powiedziała mama.

Niewolnica Janice wiedziała, że ma przynieść butelkowaną wodę, mama podziękowała jej uśmiechem. Poprosiła o chwilę, by mogła dojechać do siebie. Samochód na dole już czeka, ale mogą się trochę spóźnić. Tilda usiadła obok mamy na sofie i pocałowała ją w policzek. Mama podziękowała jej, że pozwoliła im spotkać się u siebie w biurze, a Doe po raz któryś z rzędu nie mogła się nadziwić, jak staro wygląda mama w porównaniu z ciocią, jak bardzo jest w porównaniu z nią zniszczona, choć były w tym samym wieku, a Tilda dzieliła z mamą pokój na studiach i została jej najlepszą przyjaciółką. Doe nie czuła się z tym dobrze, więc odwróciła wzrok ku ojcu, zatopionemu, jak się wydawało, we własnych mechanizmach wewnętrznych.

Stał przodem do okna i wyglądał przez szybę w kierunku High Line, w stronę luksusowego hotelu z konsjerżem przez całą dobę. Nie lubił tutaj przychodzić, Doe o tym wiedziała. Gdy z powodu lukratywnego kontraktu jego firma konsultingowa nie mogła odmówić udziału w rewitalizacji którejś ze starych rzeźni, marudził całymi miesiącami i był bardziej zgryźliwy niż w swej zwykłej zrzędlivej postaci. Czasem otwierał się po kilku drinkach – z zaczerwienioną, pokrytą plamami twarzą – ale opowiadane przez niego historie nie trzymały się kupy i były niejasne. Doe wiedziała, że zanim zaczął działać w branży budowlanej, wykupiono

od niego firmę software'ową i nie zdążył dokończyć przełomowego programu. Program nigdy nie trafił na rynek. Kupiła go wielka firma informatyczna, żeby go pochować. Wszyscy oprócz taty zarobili krocie.

Przyłożył palec do szyby, coś rysował.

– Wiem, tato.

Zdała sobie sprawę, że mu przeszkadza.

– Ciągłe czuję smród suchego lodu.

Głos mamy zawisł w powietrzu. Zdjęła okulary i wbiła wzrok w tatę. Podszedł do niej, stanął z tyłu i położył jej dłonie na ramionach.

– Nic nie ujdzie twojej uwadze – powiedział.

Podniósł nieco słomkowy kapelusz, pochylił się i pocałował mamę w czoło. Ona ścisnęła jego dłoń, milczeli przez chwilę. Doe zastanawiała się, czy nie powinna podejść i przyłączyć się do nich. Ale doszła do wniosku, że i tak poświęciła dla nich całe popołudnie.

Wybiegając myślą naprzód, zapytała, gdzie się ma odbyć ta ceremonia żałobna czy co tam. Dla podkreślenia swoich słów zakręciła tyłeczkiem tancerki, wykonała *pas cheval* i wybiegła z gabinetu, maszerując przejściem między boksami, gdzie przy odrobinie szczęścia wpadnie w oko paru milutkim komputerowym maniakom, a zwłaszcza temu dziwnemu z potężną rudą brodą. Myszowate panny ze słuchawkami w uszach jadły lunch przy biurkach i poprawiały profile randkowe. Słyszała tatę za plecami, który żartował, że z tej okazji odkurzy swoją kolekcję wydawanych co miesiąc singli Sub Pop – cokolwiek to znaczy.

Ich kierowcą był sympatyczny gość z Ameryki Środkowej. Mama poprosiła go, żeby zawiózł ich na drugą stronę miasta przez St. Marks Place, z czym kierowca miał pewien problem, bo nie wiedział, jak wprowadzić to do nawigacji, gdyż nie była to najkrótsza, preferowana przez nią trasa. Ale mama nalegała i powiedziała, że to stosowna trasa na dziś. Gdy Doe przewróciła oczami, zapytała ją, dlaczego umie być tak przemiła dla obcych ludzi, a wyżywa się tylko na niej. Odpowiedziała mamie, wyglądając przez okno. Dotknęła wsuwek, którymi upięła włosy. Miała ochotę wbić je sobie w oczy.

Samochód minął American Apparel, Insomnia Cookies, Crumbs, Johnny Rockets i banki rywalizujące ze sobą po przeciwnych stronach skrzyżowania. Tata zastanawiał się głośno, do kogo należy przestrzeń biurowa nad powierzchnią bankową. Mama nie zwróciła na to uwagi, skończyła odkażanie rąk i zamknęła oczy, uciekając do tego szczęśliwego miejsca, w którym osiągała w tych czasach nirwanę. Wszyscy pozostali w samochodzie wpatrywali się w jakiś ekran: kierowca w GPS, tata sprawdzał pocztę, a Tilda odpowiadała na SMS-a. Doe zaczęła przeglądać swoje zdjęcia, wyrzucając najbrzydsze selfie. W aucie panowała cisza, jeśli nie liczyć przekleństw, którymi Tilda komentowała odpowiedzi programistów, atakując z werwą ekran telefonu. Doe zauważyła, że tata zwracał uwagę na to, co mówi ciocia, zwłaszcza na takie słowa, jak „warunki techniczne” i „platforma”.

– A kto to w ogóle organizuje? – zapytała przez ramię Tilda z przedniego siedzenia. – Jak to się stało, że skontaktowali się z tobą, a nie ze mną? To ja z nim chodziłam. Przez pięć miesięcy. To nie jest bułka z masłem.

Mama Doe musiała sobie o czymś przypomnieć, bo zajrzała do tej swojej niezgłębionej torby na ramię, z której wyjęła złożoną kartkę papieru maszynowego. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i skupiła się na wydruku. Poruszyła lekko wargami, ale nic nie powiedziała. Znalazła długopis i szybko coś zaznaczyła.

– Nie mówię, że nie powinni cię zaprosić – ciągnęła Tilda.

– Pieniądze i czas. Choroby i lekarstwa – odezwał się zupełnie od rzeczy tata, nie wiadomo do kogo, do córki czy do reszty pasażerów. Był czymś zaabsorbowany, jakby

prowadził w głowie rozmowę, jakby wpadł na jakiś niesłychany pomysł.

– Wydawało mi się, że pieniądze plus racjonalne decyzje, plus technologia mogą być lekarstwem, mogą zmierzyć się z czasem. Dla dobra miasta, rzecz jasna. Ale czas niweczy wszystko i to jest lekarstwo. – Wskazał za okno. – Cóż...

Kierowca burczał pod nosem, że umiejscowienie St. Marks in-the-Bowery dwie numerowane ulice dalej od St. Marks Place nie ma najmniejszego sensu, i ogromnie irytował się ruchem ulicznym, na co tata w końcu poprosił go o skoncentrowanie się na prowadzeniu auta, stosowanie się do wskazówek GPS-u, skręcenie z Astor i wykonanie serii szybkich manewrów w dwóch wąskich bocznych uliczkach.

Majestatyczna kamienna iglica służyła im za punkt orientacyjny, powoli się do niej zbliżali. Na dużym szarym placu stały białe stragany wiejskiego targu. Jasnowłose, uczesane w koński ogon kobiety miały nastoletnich ulicznych grajków, nie zwracając uwagi na ich tęskne pieśni, rozmawiając przez telefon. Pod okazałą kolumnadą ciemno ubrani ludzie wchodziłi do starego kościoła.

Tata Doe pomógł wysiąść mamie, Tilda stanęła po jej drugiej stronie, sprawiając, że ich córka stała się piątym kołem u wozu, zamykając ten mały pochód, który przeszedł przez próg kaplicy, gdzie powitały ich dwie panie w średnim wieku – niska i pulchna oraz wysoka i pulchna, obie ubrane na czarno. Niższa miała proste siwe włosy sięgające szerokich ramion, nieduży złoty kolczyk w nosie, a w rowku między obleczonymi w koronki piersiami niezgrabny wisiorek z krzyżykiem. Z kolei wyższa mogła się pochwalić długimi czarnymi dreadami, kolorowym różańcem, pończochami w smoki i czarnymi butami na platformach. Kiwnęły z powagą głowami i podały im złożone jasnyniebieskie kartki.

Doe trochę pamiętała mężczyznę na zdjęciu. Jego młodsza wersja wpadała do nich do domu, rzucała się na kanapę i marudziła, że w ogóle nie zna Brooklyn Heights i że nie zdążyła się tu przeprowadzić, zanim ceny stały się niebotyczne. Wpadał raz czy dwa razy do roku. Mama zawsze się rozpromieniała, śmiała ze wszystkiego, co mówił, i obładowywała go jedzeniem, gdy wychodził. Przynajmniej raz sięgnęła do torebki i wypisała mu czek. Doe zapytała cicho, czym handluje ten gość. W odpowiedzi usłyszała gitarę akustyczną, z głośników płynęło Pink Floyd, a piosenka opowiadała o przygodach pływackich dwóch zagubionych w akwarium dusz.

Światła w kaplicy przygasły, rozpoczął się już pokaz slajdów wyświetlanych na ścianie. Ostatni slajd ukazywał gniewnego młodego człowieka w dziwnej marynarce o wywatowanych ramionach. Wyczerpany, zlany potem wznosił piwem toast wraz z innymi również wyczerpanymi muzykami. W jego ciemnych oczach tlił się chaos i to spojrzenie wywołało pewną reakcję wśród zgromadzonych, którzy zachichotali lub zaczęli pociągać nosem. Połowa ławek pozostała pusta, ale tłum i tak okazał się spory, zresztą Doe na nic szczególnego nie liczyła. Tata wepchnął je na ławkę z tyłu. Ale mama została w przejściu. Sięgnęła do tej swojej przepastnej torby i wyjęła z niej poduszki pod plecy i pupę.

Uroczystość upamiętniająca Mervyna „Merva” Goldina była bardziej wciągająca, niż Doe mogłaby się spodziewać, i dziewczyna słuchała zaciekawiona, jak przyjaciele z dzieciństwa wspominają zabawnego chłopaka, który poświęcał czas wolny na czytanie science fiction i negował każdy fakt albo ogólnie przyjętą prawdę. Gdy ktoś wspomniał, że Merv rzucił studia i spełnił swoje marzenie, wyjeżdżając w trasę z zespołem, tata spojrzał na Doe i syknął:

– Nawet o tym nie myśl.

Pewien starszy gość – o naprawdę ładnych włosach i pokrytej bruzdami twarzy, jakby niejedno w życiu widział – wspominał, jak w dawnych czasach siadywali we dwóch na ławce, opalali się i wymyślali słynny obecnie sposób na podryw: pytali dziewczynę, która im się podobała, czy nie poszłaby na loda. Doe uśmiechnęła się pod nosem i mruknęła:

– Nieźle.

Doszła do wniosku, że idąc do baru na dachu hotelu Standard – co z pewnością się stanie – założy okulary przeciwsłoneczne mamy. Zawibrował telefon. U góry ekranu pojawiły się dwie pierwsze linijki SMS-a od Cyrusa. Mama położyła jej dłoń na nadgarstku. Żadnych SMS-ów.

Wśród żałobników przeważali mężczyźni w średnim wieku z rodzaju tych, którzy w środku dnia grają w bilard po barach albo jeżdżą do Vermontu na złoty starych samochodów czy też sprzedają zegary ze starych płyt na nadmorskich bulwarach: starzejący się hedoniści i przedstawiciele niegdysiejszej bohemy o twarzach suchotników z brzuchami i siwawymi długimi włosami, zaczesanymi na żel i zebranymi w kitkę; kobiety były przeważnie tylko ciut za stare i ciut za tęgie, żeby farbować sobie włosy na kolory odblaskowe, chodzić z kolczykami w nosie i wyblakłymi tatuażami. Ale dziś na tych ławkach i wokół nich nie widać było fałd ani zmarszczek, koszule wyprasowano, ciała wciśnięto w gorsety, szacowne biurowe kostiumy i kościolkowe garnitury oraz suknie z rodzaju „gustowna kurwa na wybiegu”. Kobiety przesyłały sobie napowietrzne pocałunki. Mężczyźni kiwali głowami i rzucali ciepło: „Hej”. Mama Doe poświęciła dużo czasu na przyglądanie się ludziom siedzącym w ławkach, aż w końcu westchnęła z przejęciem i szepnęła:

– Carmel. Czy to możliwe?

Chwyliła męża za rękę, kogoś pokazała, komuś pomachała. Doe nie wiedziała komu.

Merv nigdy się nie ożenił, ale zaręczał się dwukrotnie: pierwsza narzeczona kochała go, gdy pił, a druga, gdy przestał pić. Obie starsze gotyckie panie, które rozdawały ulotki w drzwiach, pokiwały głowami: był zabawny, dowcipny, smętny, widział wszystko na swój własny sposób i nie dawał się przekonać. Gdy minął ból po niedoszłym małżeństwie, obie kobiety przyjaźniły się z Mervem i do dziś żałują, że im się nie powiodło. Merv miał też kilka innych poważnych dziewczyn oraz kilka lasek z barów: przyjaciółki, które przez lata dzieliły się z nim zasiłkami, a oprócz tego znajome artystki, z którymi koncertował albo nagrywał, koleżanki z AA, jedna czy dwie studentki ze wspólnych studiów albo te przypadkowo spotkane, a wszystkie one potwierdzały skuteczność tekstu o lodach. Tilda gapiała się przed siebie jak odrętwiała, a od czasu do czasu kręciła się niespokojnie. W końcu się rozryczała i poprosiła mamę Doe o chusteczkę. Wytarła oczy i szepnęła do przyjaciółki:

– Był nieźle popieprzony, ale był nieszkodliwy i naprawdę zabawny.

Doe pomyślała, że powinna zapytać Cyrusa, czy pójdzie z nią kiedyś na lody.

Wspomnienia przechodziły od niezdarnych (jak opowieści na pierwszej randce) do zabawnych (jak z estrady), od poważnych do rubasznych, ale zawsze były wzruszające, niekiedy wyciskające łzy, zarówno wśród mówiących, jak i słuchających. Wyłaniała się z nich skomplikowana postać: trudna, pokrecona, czarująca, troskliwa, wrażliwa; sylwetka kogoś, kto był gotów zrobić wszystko dla tych, na których mu zależało, lecz sposób, w jaki to robił, sugerował nie tyle troskę, ile samotność. Był zapaleńcem i fanfaronem nieustannie przyłapywanym na kłamstwach, ale i muzykiem noszącym sprzęt zespołu czy zwracającym furgonetki do wypożyczalni. Był zgorzkniały, że nie odniósł sukcesu, ale nie miał problemu z graniem na dwie ręce z chorymi w szpitalach, choć dyplom z terapii muzycznej nie zagwarantował mu pracy, na którą liczył (co wzbudziło wesołość wśród żałobników). Chodził regularnie na mityngi we wtorki o jedenastej i traktował trzeźwość równie poważnie jak przyjaźń, co okazało się zbawienne, bo pomogło mu poradzić sobie z diagnozą, gdy się pojawiła ni stąd, ni zowąd i diametralnie zmieniła jego życie.

Mama Doe ścisnęła zadrukowaną kartkę, jej kruche dłonie lekko drżały. Spierzchnięte i doskonale umalowane wargi poruszały się bezgłośnie. Na podwyższeniu siedzieli w półkołu czterech facetów, którzy właśnie kończyli grać na gitarach akustycznych kolarz z oryginalnych



kompozycji zmarłego. Młody człowiek czekał, aż skończą i zejną z podwyższenia, po czym nerwowo, zacinając się, rozpoczął opowieść o swojej teściowej, sekretarce, która poznała Merva po tym, jak odnowił jej się rak piersi. Doe wpatrywała się w mamę, zaskoczona i zainteresowana jej intensywnymi przygotowaniami.

Przyjaciel wspominał, jak siadywali z Mervem na schodach przeciwpożarowych, palili papierosy i rozmawiali o generykach, prawie patentowym i jego szaleńczo drogich zastrzykach z jajników jakichś gryzoni. Wspominał kolejny upadek Merva, który zdruzgotał mu łokieć i nadgarstek, od czego Merv zaczął podupadać na zdrowiu i już nigdy nie doszedł do siebie. Nie wyglądało to źle, ale nagle zaczynał puchnąć albo skaleczył się przypadkowo i krwawił jak zarzynane prosię. Przystawał się pokazywać, więc ludzie o nim zapominali, a potem ni z tego, ni z owego wrzucał jakiś odjechany prześmieszny post na Facebooka i przypominał, że nie da się go nie lubić.

Mama podała Doe okulary i podniosła się powoli. Ojciec wyszedł za nią z ławki i ujął ją pod ramię. Stanąwszy na mównicy, poprawiła mikrofon, opuściła go nieco. Zastukała weń paznokciem, a Tilda zawołała:

– Słyszemy.

Mama zdjęła kapelusz, ukazując wszystkim króciutkie, różowe jak cukierek włosy. Żałobnicy mruknęli z aprobatą. Uśmiechnęła się, błysnęła oczyma. Wydawała się taka maleńka na tej mównicy. Taka stara. Zaczęła mówić, zakrzuszyła się i przerwała, jej twarz wykrzywił grymas, machnęła ręką, jakby chcąc się uwolnić od mikrofonu.

– Gdy poznałam Mervyna, usiłował mnie poderwać w szpitalu, gdzie przechodziłam chemioterapię. – Odczekała, aż ucichną śmiechy, i mówiła dalej: – To prawda. Tak było. A ja się w nim zakochałam. To trwało krótko i było bardzo widowiskowe. Drugi etap naszej znajomości zaczął się wtedy, gdy dochodziłam do siebie po kolejnej chemioterapii. Mervyn wystawał pod moim domem, jakby mnie prześladował.

Żałobnicy znów zachichotali, a Doe wiedziała, że mama usiłuje być czarująca, choć wiele ją to kosztuje, podobnie jak szczerą prawdą, którą córka wyczuwała w jej słowach. Przywykła do tego, że mama nigdy nie kłamie i jest poważna, ale teraz było inaczej. Nie umiałaby powiedzieć dlaczego, ale było inaczej.

– Później zaczął się następny etap. Byłam zupełnie bez sił. A ten człowiek przychodził każdego dnia do mojego pokoju w szpitalu i śpiewał dla mnie piosenki. – Znów ten grymas. – Często byłam w takim stanie, że wcale go nie słyszałam. Ale i tak śpiewał.

Ojciec opuścił głowę i zasłonił oczy. Doe nie pamiętała, żeby kiedykolwiek przy niej płakał, ale teraz to robił, a przy tym wyglądał na zadowolonego.

– Był przyjacielem, przychodził i śpiewał mi piosenki, i pomagał wyzdrowieć. To zupełnie niezwykle. Pojawił się w moim życiu w osobliwy sposób i przeszliśmy razem długą cudowną drogę. – Odchrząknęła, zastanawiała się nad czymś. Zamknęła oczy, wzięła głęboki oddech, wypuściła powietrze. – Nie znałam Mervyna zbyt dobrze. Nie był też najważniejszą osobą w moim życiu. Ale w najtrudniejszym dla mnie czasie był kimś wyjątkowym. Robił dla mnie wszystko.

Przez żałobników przetoczył się pomruk, niski, narastający – pomruk aprobaty, ale i czegoś jeszcze. Doe nie odrywała od mamy oczu. Alice opuściła pomarszczoną jak u żółwia głowę, otarła dłonią łzę i zeszła z mównicy prosto w otwarte ramiona męża. Ojciec pomógł jej pokonać trzy schodki w dół. Stanęli z boku i przyglądali się sobie. Następny mówca rzucił w ich stronę jakieś uprzejme słowa i wszedł na podwyższenie. Tilda głośno wydmuchiwała nos w chusteczkę. Doe wiedziała, że rodzice ją kochają i że kiedyś byli w sobie zakochani, ale często się zastanawiała, czy łączy ich jeszcze miłość. Teraz widziała, jak na siebie patrzą: promiennie

i z tak przeogromną bliskością, że kryły się w niej i czułość, i wspólne przejścia, i jeszcze coś, coś więcej.

Nie pozostawało jej nic innego, jak wstać z ławki. Nie pozostawało jej nic innego, jak podejść do rodziców i przytulić się do nich. Słyszała oczywiście miliony razy opowieści mamy o raku. Teraz czekały na nią maile i SMS-y, na które musi odpowiedzieć, ćwiczenia przy drążku baletowym, które musi wykonać, i setki innych rzeczy, które powinna zrobić tego popołudnia. Ale może warto porozmawiać z mamą? Może nie opowiedziała jej wszystkiego? Wzbierał w niej odwieczny, dobrze znany niepokój. Nie wiedziała, co począć, nie знаła odpowiedzi, przynajmniej tych właściwych. Wyciągnęła ręce ku kopule nieba. I spłoszona zrobiła coś, co ostatnio rzadko jej się zdarzało: posłuchała matki, wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze.

## Podziękowania

Latem 2009 roku u mojej nieżyjącej już żony Diany Joy Colbert zdiagnozowano białaczkę. Nasza córeczka miała wtedy sześć miesięcy. Diana chorowała przez dwa i pół roku, zmarła trzy dni przed trzecimi urodzinami córki. Przez lata jej choroby mnóstwo ludzi, więcej, niż jestem w stanie wymienić, robiło wszystko, żeby pomóc naszej rodzinie. Staraliście się i uczyniliście nasz los o wiele znośniejszym. „Dziękuję” nie jest w stanie wyrazić mojej wdzięczności. Pamiętajcie, że towarzyszą wam moja wieczna miłość i wdzięczność. Mam nadzieję, że zdołałem wyrazić to należycie osobiście. Ale powtórzę: jesteście dla mnie wszystkim.

Nie mam również szans wymienić tych wszystkich, którzy pomogli mi dojść do siebie po śmierci Diany. Było ich zbyt wielu. Jesteśmy sumą naszych przyjacieli, co sprawia, że mam niewiarygodne szczęście.

Diana prowadziła dziennik podczas tamtej udręki. Miała nadzieję, że zdoła spisać wspomnienia i że to, przez co przeszła, pomoże innym. Jej zapiski są surowym opisem rzeczywistości, nie zostały poprawione ani ukończone, więc w takiej formie nie nadają się do opublikowania. Ale użyczyły mi przemyśleń i ducha Diany. Fragmenty tej książki – zwłaszcza jej czwarta część (*Przebudzenie*) oraz scena nagrywania filmu wideo pod koniec części trzeciej (*A co, jeśli sobie odpuści?*) – zostały zainspirowane niektórymi wpisami z dziennika, o czym warto pamiętać. W tych i kilku innych przypadkach stworzyłem sceny oparte na fragmentach dziennika lub dopasowałem zdania (czy idee) z tych fragmentów do istniejących już scen. Wymagało to niekiedy przepisania na nowo słów Diany, zmiany jej wypowiedzi, tak aby pasowały do Alice, lub też przeredagowania istniejących fragmentów. Moim celem zawsze było zachowanie wierności uczuciom Diany i szacunku dla jej intymności. Jednocześnie w powieści chciałem pozostać wierny drodze życiowej Alice i własnemu życiu książki. Mam nadzieję, że udało mi się to osiągnąć i że w sposób najwłaściwszy oddałem umiłowanie życia i wolę życia Diany. Jeśli nie, wynika to wyłącznie z moich ograniczeń jako pisarza.

Kwestie praktyczne: ważne są podziękowania dla New York University za umożliwienie mi nauczania, dla Paragraph Workspace (znanego również jako „Cubicle”) za miejsce do pisania i wsparcie, dla HALD Hovedgaard Danish-American Writers’ Retreat za umożliwienie wyjazdu, gdy byłem w fatalnym stanie, dla Civitella Ranieri Foundation, a zwłaszcza Tiny Summerlin i Dane’a Prescottta za przyjęcie mnie w innym strasznym okresie, dla Candance Wait, Elaine Richardson i Corporation of Yaddo za wszystko oraz dla Authors Guild i Alice Rubin z TEIGIT za pomoc z nowym ubezpieczeniem w sytuacji, gdy od tego dosłownie zależało życie.

Szczególne podziękowania należą się paniom, które pomagały mi zajmować się córeczką: Sam Miller, Ninie Namthip, Lizie Reyblat, Jen Hyde, Joyce Sotter, Michelle Marisoli, Lauren Piven, Jess Prestii. Lindsay Kennedy okazała się wielką przyjaciółką.

Leigh Newman, Fiona Maazel i Mary Beth Hughes zorganizowały zbiórkę pieniędzy i dołożyły się do niej; zbiórka okazała się ogromną pomocą w pokryciu części kosztów medycznych – Wasza hojność sprawiła, że jestem Waszym dłużnikiem. Richard Price, Rick Moody, Jonathan Franzen, George Saunders, Jon Foer, Sean Wilsey – nie jestem w stanie oddać Wam pieniędzy, żadnemu z Was, ale być może zdołam jakoś przekazać dalej Waszą wspaniałomyślność.

Dziękuję Andrew Ginsburgowi, Ginie Grimaldi, Hannie Tinti, Jaime Clarke’owi, Nicole Krauss, Alison Smith, Sarze Jay, Sheri Fink, Willowi Lychackowi, Evanowi (The Rooster) Hughesowi i Adelle Waldman za każdą sobotnią noc przez trzy lata. Dziękuję Joshowi Ferrisowi

i Elizie Kennedy, Julie Sabaugh, Markowi Robetsowi, dzięki którym prawie zachowałem zdrowe zmysły.

Maszynopis tej powieści miał trafić do Random House przed wieloma laty. Ludzie sprawujący władzę mogli z łatwością wypowiedzieć mi umowę i oszczędzić sobie bólu głowy. Ale pod kierownictwem Giny Centrello przysłali mojej córce wielkie różowe wypchane zwierzątko, pomagali mi znajdować opiekunki, byli cierpliwi i udzielali mi wsparcia, pracowali nad tym, by maszynopis stał się dobrą książką. Każdy pisarz zasługuje na to, by znaleźć tak mądrego i pomocnego wydawcę. Dziękuję Ci bardzo, Gino, za troskę i uwagę. Dziękuję Ci, Rodrigo Coral, że wytrwałeś i zaprojektowałeś wspaniałą okładkę. Dziękuję Simonowi Sullivanowi za opracowanie artystyczne, Beth Pearson za oko i spokojną dłoń, Michelle Jasmine, mistrzyni sztuki public relations, Andrei Walker za mistrzowskie opanowanie trudności (czekam na nasz kolejny projekt), Caitlin McKennie za dobroduszość, skuteczność i rady oraz mojemu emerytowanemu redaktorowi Davidowi Ebershoffowi za klasę. Jest geniuszem, a co więcej – jest uprzejmy. Pisząc to, łykam łzy. Dziękuję, Przyjacielu, że trzymałeś mnie za rękę podczas tej podróży. Nikt nie zrobiłby tego lepiej.

Jim Rutman paruje ciosy bez względu na okoliczności. Jestem dumny, mogąc być jego klientem i grać z nim w obronie.

Howard Axelrod i Matthew Thomas odbierali telefony o każdej porze, za każdym razem – trudno wyobrazić sobie lepszych przyjaciół.

Dziękuję Diamond, Jhanine i Yale, TJ i Daclainowi, i Isadorze, Crystal Kenneally, która jest najlepszą siostrą z guacamole pod ręką. Caryl i Howardowi Bockom, których wsparcie i miłość nigdy się nie skończą.

Davidzie Colbert, Susanno Maurer, Peggy Taylor, jest mi strasznie przykro, że nie zdołaliśmy zachować jej przy życiu. Wszystkim nam jej brakuje, ogromnie, każdemu z nas na własny sposób. Pamiętajcie, że jesteście bohaterami. Pamiętajcie, że Was podziwiam. I co najważniejsze, wiem, że Lily was kocha.

Leslie Jamison przywróciła mnie do życia, uzdrowiła mnie i sprawiła, że każdy dzień stał się wartościowy. I każdego dnia usiłuję okazać jej wdzięczność i miłość.

Lily, jesteś moją najjaśniejszą gwiazdą.

<sup>1</sup> New Hampshire (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

<sup>2</sup> Amerykańska projektantka mody; przeżyła raka piersi.

<sup>3</sup> Franklin D. Roosevelt East River Drive – wschodnia obwodnica Manhattanu.

<sup>4</sup> Dartmouth-Hitchcock Medical Center w Lebanon w stanie New Hampshire.

<sup>5</sup> Łania; królicza, zajęczyca (ang.).

<sup>6</sup> Propozycja ustawy o opiece zdrowotnej przedłożona w roku 1993 przez administrację prezydenta Billa Clintona.

<sup>7</sup> Część Brooklynu w okolicach mostu Brooklińskiego.

<sup>8</sup> *Do Not Resuscitate* – nie resuscytować. Deklaracja, w której osoba ciężko chora oświadcza, że nie chce być reanimowana, gdy dojdzie do zatrzymania pracy serca i oddechu podczas operacji.

<sup>9</sup> Wyprawa amerykańskich osadników do Kalifornii. Podczas zimy 1846–47 osadnicy utknęli w górach Sierra Nevada, gdzie musieli się uciec do kanibalizmu, aby przetrwać.

<sup>10</sup> Nazwa leku fikcyjna.

<sup>11</sup> Rhode Island School of Design.

<sup>12</sup> Doris Bauer – słuchaczka nowojorskiego radia sportowego WFAN (AM), która niemal każdej nocy dzieliła się na antenie swoimi opiniami na temat występów nowojorskich drużyn. Zmarła w roku 2003 na raka piersi i płuc.

<sup>13</sup> Ale Bój się, Chyba Drzysz (ang.).

<sup>14</sup> Edith „Little Edie” Bouvier Beale – amerykańska modelka, bywalczyni salonów i początkująca aktorka, kuzynka sióstr Jacqueline Kennedy Onassis i Lee Radziwiłł. Była piękną kobietą, ale cierpiała na przypadłość polegającą na łysieniu. Spędziła większość życia w posiadłości Grey Gardens na Long Island w stanie Nowy Jork.

<sup>15</sup> Założona w roku 1987 organizacja przeciwdziałająca rozprzestrzenianiu się AIDS.

<sup>16</sup> Nazwa leku fikcyjna.

<sup>17</sup> Henry David Thoreau, *Walden, czyli życie w lesie*, tłum. Halina Cieplińska.

<sup>18</sup> Źródło: I, 69 *Iccha Sutta*.

<sup>19</sup> „Pokaż mi, jak robisz tę sztuczkę. Tę, która sprawia, że krzyczę, powiedziała”. *The Cure, Just Like Heaven*, 1987.

<sup>20</sup> Nazwa leku fikcyjna.

<sup>21</sup> Nazwa leku fikcyjna.

<sup>22</sup> Poliklonalne globuliny antylymfocytarne. Przeciwciała antytymocytarne (*Anti-Tymocyte Globulins*, ATG), zwane również antylimfocytarnymi.

